

CZ III / 6 / 1966

Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

1966

Rocznik 18

Nr 1—12 (194—205)



Czeski Cieszyn 1966

Wydawca

Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w CSRS

Zwrot

MIESIĘCZNIK

**ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI
CZESKI CIESZYN, UL. LENINA 28
Telefon nr 6864**

INDEKS TREŚCI

ARTYKUŁY POLITYCZNE, NAUKOWE, OGÓLNE

- Bielan Bronisław*: Jeden dzień na Bagińcu, nr 4, str. 5—6
- Brożek Ludwik*: Rok Sienkiewicza, nr 10, str. 3—4
- Cejnar Wanda*: Panie Profesorze... nr 7, str. 12—13
- Czaja Edward*: Nie tylko sprawa kadr, nr 1, str. 6
- *Winnetou...?*, nr 4, str. 15
- Danel Robert*: Diabelskie Eldorado, nr 11, str. 11—12
- E. R.*: Kalendarz śląski 1966, nr 1, str. 12—13
- *Warszawskie spotkanie z książką*, nr 6, str. 12
- Epitafium* [zgon Edwarda Czai], nr 4, str. 14—15
- [h], ws, wk*: Można cieszyć się w Cieszyńcu, nr 6, str. 8—9
- Hławiczka Karol*: Zawody chórów w Dąbrowie od strony stolika sędziowskiego, nr 7, str. 9—10
- *Śląsk i jego wojaże*, nr 9, str. 8—9
- Jasiczek Henryk*: Cena odwagi i zaufania, nr 1, str. 2—3
- *Nie budujmy domu od dymu z komina*, nr 3, str. 6—7
- *Milenium*, nr 4, str. 2—3
- *200 numerów „Zwrotu”*, nr 7, str. 2—3
- *Śląska róża*, nr 9, str. 2
- *Podpatrywanie życia*, nr 10, str. 9
- *Przed nowym etapem „Zwrotu”*, nr 11, str. 2
- Jaworski Kazimierz*: Tym razem tylko w sprawie polonistyki, nr 1, str. 5—6
- J. B.*: Cenny dokument, nr 12, str. 13
- J. K.*: A. Fierla po 25 latach, nr 11, str. 14
- Jt.*: Wędrujące dzieci, nr 8, str. 10—11
- Kadłubiec Daniel*: Pionierska praca czeskiego językoznawcy, nr 1, str. 10
- *Olza czy Olsza?*, nr 6, str. 15
- Korzenny Jan*: O szkolnictwie bez nauczyciela, nr 2, str. 8—9
- Kos Tadeusz*: W przyczepce, nr 1, str. 3—4
- List w sprawie szkolnictwa Ministerstwa Szkolnictwa i Kultury*, nr 6, str. 9
- Lubosz Bolesław*: Poeta i żołnierz, nr 10, str. 5—6
- Mańka Alojzy*: Na przyzbach, nr 11, str. 3—4
- Mazurek Józef*: Zasłużona rodzina nauczycielska, nr 3, str. 11—12
- Most Władysław*: Prus odczytany na nowo, nr 1, str. 13—14
- M. R.*: Kalendarz śl. 1967, nr 12, str. 16
- Nawrocki Witold*: Piękne wspomnienia, nr 2, str. 11—12
- *Dwadzieścia lat współpracy*, nr 5, str. 9—10
- *Ostatnie dni Czechosłowacji w oczach Ksawerego Pruszyńskiego*, nr 12, str. 3—4

- Ogłoszenie konkursu na prace plastyczne, nr 9, str. 9
- Ogłoszenie konkursu kompozytorskiego, nr 10, str. 9
- Ondrusz Józef*: Konferencja folklorystyki słowiańskiej, nr 8, str. 10
- Oszelda Władysław*: Niewyśpiewana krasa beskidzkiej góralszczyzny, nr 11, str. 9
- Piegza Karol*: Józef Raszka — śląski Atget, nr 3, str. 7—9
- Pokłosie jubileuszu*, nr 8, str. 3
- Pomaizl Karel*: O kwestii narodowościowej, nr 2, str. 2—4
- *O problematyce narodowościowej w Czechosłow. (II)*, nr 3, str. 3—5
- *O problematyce narodowościowej w Czechosłow. (III)*, nr 4, str. 3—5
- *O problematyce narodowościowej w Czechosłow. (IV)*, nr 5, str. 6—7
- *O problematyce narodowościowej w Czechosłow. (V)*, nr 6, str. 6—7
- *O problematyce narodowościowej w Czechosłow. (VI)*, nr 7, str. 6—8
- *O problematyce narodowościowej w Czechosłow. (VII)*, nr 8, str. 5—6
- *O problematyce narodowościowej w Czechosłow. (VIII)*, nr 9, str. 6—7
- *O problematyce narodowościowej w Czechosłow. (IX)*, nr 10, str. 6—9
- *O problematyce narodowościowej w Czechosłow. (X)*, nr 11, str. 5—7
- *O problematyce narodowościowej w Czechosłow. (XI)*, nr 12, str. 5—8
- Przeczek Wilhelm*: „Dyskurs” w atmosferze, nr 1, str. 11
- *„Barrandov” to nie tylko ateliery*, nr 2, str. 4—5
- *Teatr bez snobów*, nr 5, str. 11
- *Nie tylko Quentin...*, nr 8, str. 4—5
- Raban Wiktor*: Sprawdzian zaufania i troski, nr 5, str. 10
- Rafaj Oldřich*: Marginalia o kulturze i sztuce, nr 7, str. 8—9
- *Nad „Latem” Władysława Sikory*, nr 10, str. 13
- Rosner Edmund*: Nad drugim tomikiem Wł. Sikory, nr 9, str. 11
- Rusnok Jan*: Życzymy sobie, nr 1, str. 1—2
- *Polska*, nr 5, str. 2
- *Wszystko zależy od nas samych*, nr 6, str. 2
- *Podsumowanie ankiety*, nr 6, str. 4—6
- *Ludzie, którzy drukują „Zwrot”*, nr 7, str. 4—5
- *Rewolucja czy zmiana firmy*, nr 8, str. 2
- *Rozmowa z Czytelnikami*, nr 12, str. 2
- *Saw—: Czekamy na Godota*, nr 2, str. 1
- Sikora Władysław*: Odpowiedzi prywatne, nr 1, str. 7—8
- *O malarzu kwiatów*, nr 7, str. 13 do 14
- *Powroty do źródeł*, nr 9, str. 3
- *Jubileuszowe okazje*, nr 11, str. 2—3

- Siwek Tadeusz*: Dla nas czy nie dla nas? nr 3, str. 2
- *W naszym imieniu*, nr 5, str. 3
- *To Polska*, nr 7, str. 2
- Suchanek Eugeniusz*: Zapłonęły ogniska, nr 10, str. 2
- Szmeja Leon*: Z historii parku i jego twórcy, nr 8, str. 4
- Szymanik Jan*: O naszej twórczości bez iluzji, nr 9, str. 12—13
- Wagnerowa Helena*: Jan Amos Komenský w Polsce, nr 1, str. 9—10
- Wantuła Józef*: Brakuje kropki nad i... nr 4, str. 9
- *Z „Hutnikiem” w Warszawie*, nr 12, str. 14—15
- Wilczek Stanisław*: „...Gdzie śląskość jest polskością...”, nr 3, str. 9—11
- *włącz—: Wielkie dni Bielska-Białej*, nr 7, str. 5—6
- *Za Olzą, za miedzą...*, nr 10, str. 4
- *Za Olzą, za miedzą...*, nr 11, str. 9
- ZA*: Radzieckie zrzuty dla partyzantów pod Ostrem, nr 4, str. 6—8
- Zahradnik Stanisław*: Jeszcze o sprawach szkolnictwa [Uwagi do wyjaśnienia], nr 1, str. 4—5
- *Jak to dawniej wybierano*, nr 8, str. 11—12

OPOWIADANIA

- Czuźmir Aleksander*: Błękitny gwiazdolit [przekł. z ros. K. Jaworski, ilustr. Br. Liberda], nr 11, str. 4—5
- Pałowski Gabriel*: Skazany na życie, nr 7, str. 11
- Piegza Karol*: Powrót, nr 2, str. 5—7
- Prochner Bronisław*: Upominek, nr 3, str. 15
- Sajdok Gustaw*: Mikroopowiadania, nr 3, str. 15
- Sikora Władysław*: Trójka [ilustr. Br. Liberda], nr 2, str. 12—13
- *Okruchy*, nr 12, str. 4—5
- Szymik Jan*: Żaba [ilustr. Br. Liberda], nr 3, str. 5—6
- *Róże* [ilustr. Br. Liberda], nr 6, str. 2—3
- *Ósma Be* [ilustr. Br. Liberda], nr 12, str. 9—10
- Tragiczna noc* [Ze wspomnień byłego partyzanta Józefa Kluza z Mostów k. Jablonkowa], nr 8, str. 6—7
- Tragiczna noc* [Ze wspomnień byłego partyzanta Józefa Kluza z Mostów k. Jablonkowa], nr 9, str. 4—5
- Wantuła Leon*: Odszukane drogi [ilustr. Br. Liberda], nr 5, str. 4—5

WIERSZE

- Fierla Adolf*: Pod Beskidem tańcząca, nr 8, str. 9
- Gottlieb František*: Zimowit, Źródło [przekł. H. Jasiczek], nr 8, str. 9
- Jasiczek Henryk*: Polska wiosna, nr 5, str. 1

- Jak wytłumaczyć, nr 8, str. 9
- W ten czas liści padania, nr 11, str. 1
- W błękitny zmierzch, nr 12, str. 1
- Kijonka Tadeusz: Ucieczka, W ciszy oczu, nr 4, str. 4
- Koniusz Janusz: Zapis, nr 4, str. 11
- Kubisz Paweł: Roz zbujański duchy wstały..., nr 7, str. 3
- Lubosz Bolestaw: Zima w górach, nr 2, str. 9
- Ballada, nr 5, str. 5
- W Skoczowie nad Wisłą, nr 9, str. 5
- Mańka Alojzy: Orka, nr 1, str. 11
- Mrózek Robert: Sól, nr 1, str. 5
- Czas powrotu, nr 3, str. 4
- Nasz czas, nr 6, str. 5
- Palowski Gabriel: Muszla, nr 5, str. 11
- Pistola Jiri: Jesień (przekł. H. Jasiczek), nr 8, str. 9
- Porgba Stanisław: Wiersz, nr 9, str. 5
- Przeczek Wilhelm: Wętawa, nr 6, str. 7
- Pastorałki beskidzkie, nr 12, str. 8
- Sikora Władysław: Ballada o silikozie, nr 4, str. 8

PIÓREM I OBIEKTYWEM

- Gaudyn Janusz: Turcja, nr 1, str. 8—9
- Hlawiczka Karol: Dzwony i dzwonki szwajcarskie, nr 4, str. 10—11
- Korzenny Jan: Samochodem przez najwyższe góry Europy, nr 11, str. 7—9
- Samochodem przez najwyższe góry Europy, nr 12, str. 10—11
- Waleczek Antoni: Pierwsze spostrzeżenia (Obrazki z Kuby), nr 5, str. 8—9

TEATR I SZTUKA

- A jednak optymizm, nr 6, str. 13
- ar—: Karpaccy górale w Gnojniku, nr 6, str. 14—15
- ef—: Jan Sztwiertnia i „Sałasznicy“, nr 4, str. 14
- Wajda Jan: Niezmienny ideał publiczności, nr 2, str. 13—14
- Odzyskana ranga, nr 4, str. 13—14
- Kto ma rację, nr 6, str. 13—14
- Niefrasobliwie i pogodnie, nr 7, str. 10—11
- Niewątpliwe powodzenie, ale czy sukces? nr 11, str. 13—14
- Uśmiechnięte wspomnienie, nr 12, str. 17—18

NASZA KOLUMNA

- Bielan Bronisław: Wyjście z impasu, nr 3, str. 14—15
- fk—: Imponujący dorobek, nr 3, str. 12—13
- Górny W.: W takt wiosny, nr 5, str. 14—15
- H. S.: Dwadzieścia świetlic, nr 8, str. 12—13
- O PZKO mówią przewodniczący Kół, nr 10, str. 11—12
- Rusnok Jan: Konfrontacja myśli, nr 4, str. 12
- Sajdok Gustaw: Śladami dobrej roboty, nr 5, str. 13—14
- Sikora Władysław: O SLA bez przykazań, nr 5, str. 12—13

Szmeja Henryk: Na marginesie sejmików PZKO, nr 2, str. 10—11

SYLWETKI NASZYCH DZIAŁACZY

- Brożek Ludwik: Paweł Stalmach (1824 do 1891), nr 11, str. 10—11
- Władysław Wojcik (1882—1940), nr 12, str. 12
- Chlebówczyk Józef: Alojzy Bonczek (1865 do 1937), nr 6, str. 10—11
- Ludwik Klucki (1801—1887), nr 8, str. 8
- Józef Badura (1903—1943), nr 9, str. 10
- Karol Junga (1887—1943), nr 10, str. 10

ŻYWE TEKSTY — ŻYWE PIEŚNI

- Kadłubiec Daniel: Jako jedyn sprzedawołem krowym (ilustr. Br. Liberda), nr 1, str. 14—15
- Ło zwojnikach, nr 2, str. 14—15
- Zakłete pieniądze w repertuarze Elżbiety Sikorowej, nr 5, str. 15
- Zakłete pieniądze w repertuarze Elżbiety Sikorowej (ilustr. Br. Liberda), nr 8, str. 14—15
- Jako jedyn szwiec musiał księżniczkę lyczyc (ilustr. Br. Liberda), nr 9, str. 14—15
- Jako jedni zawodzili z królewskóm ceróm (ilustr. Br. Liberda), nr 10, str. 14—15
- Jako diobół most budował (ilustr. Br. Liberda), nr 11, str. 14

GODKI I POGWARKI

- Stolarz Teofil: Skarb w Kluczkowcu, nr 9, str. 13—14
- Wawrosz Adam: Z apyrylm (ilustr. Br. Liberda), nr 8, str. 13—14
- U starzików, nr 12, str. 19

PORTRETY

- Badura Józef, nr 9, str. 10
- Bonczek Alojzy, nr 6, str. 10
- Brodziński Kazimierz, nr 10, str. 5
- Czaja Edward, nr 4, str. 15
- Fierla Gustaw, nr 7, str. 13
- Fierla Adolf, nr 11, str. 14
- Godulowa Anna, nr 3, str. 15
- Graca Rudolf, nr 7, str. 14
- Junga Karol, nr 10, str. 10
- Klucki Ludwik, nr 8, str. 8
- Kluz Józef, nr 8, str. 6
- Kubisz Jerzy, nr 3, str. 11
- Kubisz Stanisław, nr 3, str. 11
- Lenin W. I., nr 11, str. 4
- Mazurek Józef, nr 7, str. 14
- Niemiec Józef, nr 7, str. 12
- Pinkas Rudolf, nr 6, str. 15
- Prus Bolesław, nr 1, str. 14
- Pszczółka Jan, nr 6, str. 14
- Raszka Józef, nr 3, str. 9
- Sienkiewicz Henryk, nr 10, str. 3
- Sikora Władysław, nr 9, str. 11
- Sikorowa Elżbieta, nr 5, str. 15
- Stalmach Paweł, nr 11, str. 10
- Świątek Józef, nr 9, str. 15
- Szewczyk Wilhelm, nr 3, str. 10
- Szmeja Leon, nr 11, str. 15
- Wojcik Władysław, nr 12, str. 10
- Zuczek Gustaw, nr 8, str. 15

KRONIKA

- | | |
|------------------|-------------------|
| nr 1, str. 12—14 | nr 7, str. 12—13 |
| nr 2, str. 12—15 | nr 8, str. 12—14 |
| nr 3, str. 12—14 | nr 9, str. 12—15 |
| nr 4, str. 12—15 | nr 10, str. 12—15 |
| nr 5, str. 12—15 | nr 11, str. 12—14 |
| nr 6, str. 10—13 | nr 12, str. 16—19 |

ROCZNICE I SYLWETKI

- nr 1 jubileusz 50-lecia Wilhelma Szewczyka, str. 14
- nr 3 jubileusz Anny Godulowej, str. 15
- nr 6 jubileusz Jana Pszczółki, str. 14
- nr 6 Zmarł Rudolf Pinkas, str. 15
- nr 7 Ocala przed zapomnieniem (70-lecie dr J. Mazurka), str. 14
- nr 7 jubileusz 70-lecia Rudolfa Gracy, str. 14
- nr 8 60-letni Gustaw Zuczek, str. 14—15
- nr 8 jubileusz L. Bielana i T. Rychlika, Zmarł A. Kolorz, str. 15
- nr 9 Zmarł Józef Świątek, str. 15
- nr 11 jubileusz Klemensa Matusiaka, Zmarł J. Kolaja, Zgon aktywisty PZKO (Józefa Kalety), Śmierć Leona Szmei, str. 14—15

POWSINOGA

teatrzyk satyry, humoru i fraszek

- Ankieta (wyjątki z wypowiedzi), nr 5, str. 16
- Cebula Jan: Fraszki, nr 9, str. 16; nr 10, str. 16
- Choinki Bronisława Liberdy, nr 12, str. 20
- Faber Wincenty: Cybernetyka (wiersz), nr 11, str. 16
- Gaudyn Janusz: Fraszki, nr 1, str. 16
- Dziwny współlokator, fraszki (ilustr. Br. Liberda), nr 3, str. 16
- Fraszki, nr 4, str. 16
- Fraszki, nr 5, str. 16
- Fraszki, nr 7, str. 15
- Fraszki, myśli, nr 11, str. 16
- Fraszki, nr 12, str. 20
- Hwuzd Adam: Wożony Redaktorzel, nr 7, str. 15
- Lec Stanisław Jerzy: „Myśli nieuczesane nowe“, nr 6, str. 16
- Liberda Bronisław: 200-tny nr „Zwrotu“, nr 7, str. 16
- Mańka Alojzy: Czytajmy naszych klasyków, nr 1, str. 16 (il. Br. Liberda)
- Smarkuła miała rację, fraszki, nr 2, str. 16
- Fraszki, nr 3, str. 16
- O godzinach nadliczbowych, nr 4, str. 16
- Kronika jubileuszowa, nr 7, str. 15
- Premia, nr 10, str. 16
- Wykorzenianie zła, (nr 11, str. 16)
- Procner Bronisław: Na balowo-minorowo, nr 1, str. 15—16
- Raz jeszcze poankietowo, nr 7, str. 14—15
- Powakacyjne résumé, nr 9, str. 16
- W ramach kołody, nr 12, str. 20
- Raban Wiktor: Żywoł człowieka pocztowego, nr 8, str. 16
- Tadrała Józef: Fraszka, nr 4, str. 16
- Wąsik Witke: O literaturze śląskiej studium Witka Wąsika, nr 12, str. 19



Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

Cena Kęs 1,—

ROK 18 — (Nr 194)

Czeski Cieszyn, styczeń 1966

1

W NUMERZE:

Cena odwagi i zaufania ★ W przyczepce ★
Jeszcze o sprawach szkolnictwa ★ Odpowiedzi
prywatne ★ Turcja ★ Jan Amos Komenský
w Polsce ★ Prus odczytany na nowo ★

Życzymy sobie

Ucichł brzęk noworocznych toastów. Trwa sezon dokonywania ocen i podsumowań ubiegłego roku oraz opracowywania perspektyw i snucia przypuszczeń, co nam przyniesie rok bieżący.

Chcę i ja trochę pocenić i poprzyć. Otóż wydaje mi się, że dla społeczeństwa, którego reprezentantem jest nasze pismo, był to rok raczej korzystny. IX Zjazd PZKO, ciekawe dyskusje na łamach prasy, intensywne starania znacznej grupy entuzjastów wokół ZG PZKO i innych polskich instytucji, stworzyły atmosferę otwartej wymiany poglądów, rugowania tego, co przestarzałe, odmładzania naszego życia społecznego. Powiało świeżym powietrzem, mniej nadzieję, że w roku bieżącym powiewy te osiągną siłę przyzwoitszych podmuchów.

Ogólnie był to rok niezbyt spokojny. Nasilenie różnych konfliktów zbrojnych z interwencją USA w Wietnamie i Dominikanie oraz regularną wojną indyjsko-pakistańską na czele, przybrało dawno nie notowane rozmiary. Tylu zamachów stanu — szczególnie w młodych państwach afrykańskich — to chyba jeszcze w żadnym roku powojennego dwudziestolecia nie zanotowano.

Niemniej było w tym roku dużo, bardzo dużo symptomów, które wskazywały, że polityka pokojowa weźmie w końcu górę we wzajemnych stosunkach między mocarstwami.

Ruch na rzecz zakończenia wojny w Wietnamie, organizowany w Stanach Zjednoczonych początkowo przez niewielkie tylko grupki ludzi, przybierał w ciągu całego roku na sile, by w końcu wywierać coraz wyraźniejszy wpływ na politykę prezydenta Johnsona. Mocna, acz niezbyt na razie jednolita i skuteczna presja państw afrykańskich przeciw rządowi rasistowskiemu w Rodezji Południowej, rozmowy indyjsko-pakistańskie prowadzone na najwyższym szcze-

Foto Rudolf Fierla.



blu w radzieckim Taszkencie już w roku bieżącym, są tego dowodem.

Również i dla naszego kraju nie był to rok zbyt łatwy. — Poważny nieurodzaj, klęska powodziowa na południowej Słowacji, ciągle jeszcze istniejące niektóre dysproporcje w przemyśle, i to wszystko w okresie przebudowy całej gospodarki, stwarzały niewątpliwie trudną sytuację.

Pomimo tego jednak podstawowa dziedzina gospodarki — przemysł — wykonał dosyć wysokie zadania ze znaczną nadwyżką, a pierwsze doświadczenia z wprowadzeniem nowych metod zarządzania i planowania naszej gospodarki eksperymentalnie do szeregu zakładów przemysłu kluczowego okazały się co najmniej zachęcające.

Rozpoczynamy więc rok 1966 wprawdzie z poważnym balastem trudności ekonomicznych, z którymi borykamy się od lat co najmniej pięciu, ale równocześnie i z poważnymi oraz uzasadnionymi nadziejami, że rok ten powinien nam przynieść znaczne uzdrowienie i usprawnienie całej maszyny naszej gospodarki narodowej, a co za tym idzie i perspektywy podnoszenia stopy życiowej.

Osobiście bardzo bym sobie życzył, by przyniósł nam ten rok również więcej rzeczowości, inwencji i poczucia realnej rzeczywistości w sferze ideologicznej. Czytając bowiem niektóre materiały z tej dziedziny, odnoszę czasem wrażenie, że dla niektórych piszących sprowadza się krytyka dogmatyzmu i tego wszystkiego, co określamy mianem systemu kultu jednostki, do jakiejś negacji naszych osiągnięć w ogóle, do krytyki samego ustroju. Jestem gorącym zwolennikiem linii XX Zjazdu KPZR, przede wszystkim dlatego, że tak zwana destalinizacja oczyszcza i umacnia ruch robotniczy i trudno mi zrozumieć tych, którzy w tym nurcie dopatrują się jego osłabienia.

Ale powróćmy na nasze regionalne podwórko. Również i tutaj należy sobie życzyć więcej rzeczowości, inwencji i poczucia realnej rzeczywistości w roztrząsaniu naszych spraw — szczególnie takich, jak pro lem młodzieży, awangardowości, nowoczesności, rozumienia nowoczesnej sztuki...

Życzymy sobie przede wszystkim, by owo roztrząsanie przynosiło realne i zdrowe owoce. Byśmy mieli coraz więcej klubów młodych, coraz ciekawsze i atrakcyjniejsze imprezy, coraz zdolniejszych piosenkarzy, aktorów, śpiewaków, twórców. By coraz szersze masy rozumiały dążenia awangardzistów i dużo, dużo bardziej, by owi awangardziści rozumieeli dążenia, potrzeby i zainteresowania mas

A na koniec optymistycznie. Wierzę głęboko, że rok, który rozpoczynamy, wykaże znów ogromne przywiązanie polskiego społeczeństwa do naszej rodzimej kultury, że tak jak dotychczas, będziemy mogli chlubić się najwyższymi przeciętnymi bodającymi w skali europejskiej uczestnictwami ludzi w pracy zespo-



Zamek na Hradcu w zimowej szacie.

łów, na imprezach, w czytelnictwie prasy, w zakupie książek polskich itd. Bo na niespełna 60.000 Polaków wykazujemy w tym kierunku wyniki przekraczające wysoko osiągnięcia wielokrotnie ludniejszych powiatów.

Życzymy sobie, by w roku 1966 udało nam się te niewątpliwie osiągnięcia dalej rozwijać, poszerzać i ugruntowywać, byśmy mieli do tego odpowiednie warunki, przede wszystkim pokój.

JAN RUSNOK

Cena odwagi i zaufania

Kiedyś, sporo lat temu, odnotowałem w swoim notatniku myśl, którą napisał Fryderyk Nietzsche: Wiara w prawdę zaczyna się od zwątpienia we wszystkie prawdy, w które się dotąd wierzyło.

Prawda — jakie szerokie, drażliwe, często nieuchwytnie pojęcie. Przyszedłem głosić prawdę — mówił ten, którego powiesili na krzyżu, za prawdę palono na stosach, wyrywano języki, skazywano na wygnanie. Czyniono to na podstawie wyroków opartych na dowodach prawdy! Więc kto miał prawdę? Czy zawsze ofiary, jeśli wielki mędrzec Rabindranath Tagore mawiał, że rzeka prawdy płynie korytem błędów?

Od dziecka uczono nas szanować praw-

dę, chociaż życie samo uczyło nas innej prawdy o prawdzie.

Ten sam Nietzsche, którego przekręcali na swój sposób ideolodzy hitleryzmu, sugerował, że słabi rzadko mają rację, prawda jest po stronie silnych.

Wydaje mi się, że apologeta siły, Nietzsche, świadomie pomijał fakt, że prawda pozostaje prawdą nawet wtedy, kiedy przegra, kiedy silni podniosą kłamstwo do rangi prawdy.

Prawda ma sens, jeśli jest konkretna; jest uwarunkowana obiektywnym rozwojem nauki, społeczeństwa. Prawda też potrafi się zestarzeć, często zanim zostaje wyparta przez nową. Stare prawdy służą jako tarcze tym, którym nowe zagrażają.



Na peryferiach Cz. Cieszyńska wyrastają nowe bloki mieszkalne. Foto Bronisław Bielak.

Stąd tyle wrogości, nienawiści, oporu, niechęci. Stąd kamieniowanie proroków.

Od dziecka uczono nas mówić prawdę, szanować i walczyć o prawdę. Tylko, niestety, jej fanatyczni obrońcy nie dopuszczali do siebie możliwości, że prawda nie zawsze musi być po ich stronie, i że często nie bywa ani po jednej, ani po drugiej stronie, tylko gdzieś w środku.

Trzeba dużo wyrozumiałości i tolerancji, mądrej cierpliwości, żeby nie ranić i nie krzywdzić pochopną prawdą. Świat zawsze cenił odwagę tych, co w trudnych czasach zdobyli się na obronę prawdy.

Nasze pokolenie przeżyło niejedną prawdę, w pewnym okresie przyjęliśmy zasadę, że kolektywna racja jest cenniejsza od prawdy indywidualnej. Można by się z tym pogodzić, gdyby zasada ta

nie została wypaczona i nadużyta. Kopernik miał rację, chociaż cały ówczesny świat potępił jego poglądy. Niebezpieczeństwo organizowania kolektywnej prawdy tkwiło w systemie, który określiłmy systemem kultu. Słuszne stanowisko w konkretnej sprawie mógł zająć kolektyw po „rzeczowej i krytycznej” dyskusji. Niestety, dyskusja toczyła się najczęściej w atmosferze przytakiwania temu, który funkcyjnie stał w tym kolektywie najwyżej. A ten zaś przywoził swoją gotową „prawdę” w teczce, albo był zmęczony i narzucił jakąś myśl, projekt, decyzję nieprzemyślanie. Większość skwapliwie podchwyciła sugestie tego, „z którym trzeba się liczyć” i właściwie powtarzała w własnych sformułowaniach to, co tamten powiedział.

Jeśli znalazł się ktoś, co oponował, to albo się naraził, albo przeszło się nad nim do porządku dziennego.

Odwaga, krytyczne stanowisko, sprzeciw — te pojęcia znikły z słowników naszych zebrań. Natomiast triumf święciły słowa: całkowita zgodność poglądów, bezgraniczne zaufanie... jedno-myślna uchwała itp. Im gorliwiej i bez-myślniej ktoś przytakiwał, tym szybciej robił karierę. Odmienny pogląd traktowano jako przejaw krytykanctwa, warcholstwa, wrogości do... itp.

Nic dziwnego, że taki klimat sprzyjał praktykowaniu oportunistu, ostrożniactwa i cwaniactwa.

Wielu doszło do przekonania, że milczenie nie tylko nie naraża, ale można nim wiele zdziałać, wysiedzieć sobie opinię mądrego, oddanego sprawie członka organizacji, zarządu itp. Oni nie potrzebowali nawet myśleć, bo oni bezgranicznie ufali.

A przecież bezgraniczne zaufanie deprawuje, rodzi groźnego molocha pozornej, iluzorycznej jedności, która jest jed-

nością na glinianych nogach. Nawet szczere, niewyrachowane zaufanie szkodzi, włącza bowiem do sprawy serce, niestety wyłącza myślenie. Czy należy wykreślić zaufanie?

Nic podobnego, potrzebne nam jest jak sól, jak zaprawa murarska, wiążąc cegły w jeden dom, musi to być jednak zaufanie krytyczne, pełne życzliwej przeczności.

Lęk przed tym, że powie się coś nie po linii, zamykał usta, rodził obłudę, obłuda rodziła demoralizację, niewiarę w sens kierowania się prawdą!

Niestety, nie wszyscy zdążyli się z tego okresu otrząsnąć, nawet wielu uczciwych, ale zahukanych ludzi woli „nie gasić, co ich nie pali”, woli przytakiwać, albo przetykać słowa sprzeciwu, chociaż czasami sumienie i rozsądek dyktuje im zastrzeżenia, choćby nawet pod adresem większości.

Nikt nie nawołuje do anarchizmu. Nawet odwaga już potaniała. W chwili obecnej potrzebna nam jest jedność oparta na szczerej, głębokiej, wszechstronnej wymianie zdań, analizie każdego z poszczególnych problemów. Jeszcze niedawno radziecka „Prawda” przypominała, że naród i partia są żywotnie zainteresowane w tym, aby widzieć i znać życie takim, jakim ono jest. A więc nie upiększać, nie zakrywać słabych miejsc, nie kryć głowy w piasek.

Socjalizm zrodził się z buntu, z negacji zastanej prawdy o sprawiedliwości i wolności.

W naszych sercach i myślach ani na chwilę nie powinien zgasnąć płomień buntu przeciw zastanej i nieprzezwykłej do końca asekuracji, przeciw zakłamanemu i bierności tych małodusznych, którzy zrezygnowali z szans ulepszenia otaczającego nas świata.

HENRYK JASICZEK



Foto Gabriel Palowski.

Po szybach spływają cieniutkie strużki. Za oknami podskakuje krajobraz. Wiatr zgina gałęzie drzew. Przedwiośnie? Jesień? Ale trzęsie... Wygodnie tu nie jest, za to cicho. Jedzie nas niewielu. Tak jakoś nijako, łzawo. Prawo kontrastu. Bo wczoraj, przedwczoraj...

Naprzeciwno — to chyba mój typ. Nóżka założona wysoko. Ale szyk. Hm... O czym może myśleć w tej chwili?

Że to tylko dwa dni wolnego. Przynajmniej teraz nie będzie nawału w sklepie. Odsapniemy trochę, pogadamy. Gdyby tak Jadzia wiedziała, lub Ela. No, tym nie mogę się pochwalić. Ale żeby ten Władek aż tak... Szkoda, że tyle piłam w Sylwestra — jak to właściwie było? A jednak został u mnie przez cały czas. To by było życie, tak stale, z nim...

Ten obok, to chyba jej partner. Jakiś dziwny gość. Patrzy w jeden punkt gdzieś poza mną, takie oczy...

Jeszcze miałem być tam... A jednak

puścili. To był Sylwester! Chociaż muszę uważać, nie chciałbym tak, jak przed rokiem. Koledzy nie wstydzą się, przyjęli między siebie. Mama przestrzega, ale ona zawsze taka. A może ma rację? Grunt, żebym dostał tę posadę, to już

W przyczepce

trzeci raz... Cholery jedne. Żeby choć skosztowali tego chleba. Jeden z drugim nie lepszy, ale nie przyłapali ich, a teraz kręcą głowami. Gdyby to tak wykreślić jakoś z życia. Chciałem cały tydzień witać wolność, ale to jakoś nie tak...

Na ławce wierci się mała dziewczynka. Dziś jeszcze nie uczył się w szkołach. Beztroskie życie, takiej chyba najlepiej...

Szkoda, że nie mogłam zostać u babci. Jeszcze nie dokończyła tej bajki o trzech złódkach. Mówiła, że mi mama opowie.

Ale mama... Najpierw się kłóciła z tatusem o jakiegoś Stanisława. Tataś trzasnął drzwiami i nie wrócił. A ten pan dał mi całe pudełko czekoladek. I mamusia była taka, jak zeszłego roku z tatusem. A ja patrzyłam na telewizor, choć nie było bajek, tylko jakieś fabryki i coś mówili... mówili... Kiedy tak usnę u babci, to przeniesie mnie do łóżka. Ale mama zapomniła. Zimno było. Nie wiem, dlaczego tak się ludzie cieszą z tego Nowego Roku. Choć ja też się cieszę. Jeszcze dwa przystanki i będę w domu... u babci.

Chrapanie w kącie nagle się urywa. Otwierają się oczy jak podmalowane czarną kreską.

Pierońskie życie... wszyscy jadą pierwszy raz do roboty, a mi już dużo nie brakowało. Ale starej nic nie powiem, po co? Zaczyna się dobrze, jeszcze trzy miesiące i będzie Wołga. Gdyby ta moja miała się bardziej koło mnie, taką kupę pieniędzy przynoszę, a ona tylko „Janek tu, Janek tam, jeszcze to, jeszcze tamto”.

Ale gryjno to ona jest, cholera. E... wypaść się porządnie, albo wypić co z kamratami.

Obok mnie jakiś pan wyciąga notes, zapisuje. Kto to?

Tak, od Nowego Roku po nowemu. Zapisane, będę mógł kontrolować. Zaraz, ale ja już to kiedyś zapisywałem, przed rokiem i jeszcze chyba kiedyś. Nie, teraz to już rzeczywiście... Żeby tylko z tego czwartku nic nie było. Wszyscy mnie widzieli... co ja to nagadałem temu kie-

rownikowi? Jeśli mnie zawołają, to pokażę notes: oto zapisane, już nigdy nie będę w ten sposób, nowe życie, towarzyse... Uświadamiam sobie swoje błędy, ale dajcie mi jeszcze możliwość. Uwierzyć?

Przy drzwiach jakaś zylasta ręka kurczowo trzyma się siedzenia. Spod baranicy widać siwe wąsy, zmarszczki...

Dożyłem jeszcze... A w listopadzie wydawało się, że już, już... Jak to się jeździło w ten pierwszy dzień roku do

pracy. Tak chciałem jeszcze i teraz córce trochę pomóc, ciągle nie mogą sobie jakoś dać rady. Ale sił ubywa. Nawet ta podróż... Nie chciałem do szpitala. Co też mi dziś doktor powie? Żle zaczynam Nowy Rok, jak się też dla mnie skończy?

Jedziemy w przyczepce. Każdy wiezie swój los, swe troski i radości, swój czas.

My i nasze życie. Nowy rok...

TADEUSZ KOS

Jeszcze o sprawach szkolnictwa

Od Redakcji.

Pierwotnie postanowiliśmy nie publikować materiałów o naszym szkolnictwie, polemizujących z doc. dr. Sivkiem, wychodząc z założenia, że to, co one zawierają, było w lapidarnym skrócie zawarte w posłowniu redakcyjnym do tego artykułu.

Ze względu jednak na to, że materiały w tej sprawie ciągle napływają, a niektóre zawierają dalsze poszerzenie tematu, uważamy za nasz obowiązek podzielić się ich treścią z czytelnikami.

Uwagi do wyjaśnienia

Jestem stałym czytelnikiem „Zwrotu”. Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w nr 9 artykuł pióra K. Polaka pt. „Dwudziestolecie polskiego szkolnictwa”. Moim zdaniem artykuł jest napisany, jak mało obecnie, z szczerością i znajomością sprawy. Niezmiernie mnie przeto zaskoczyła reakcja na ten artykuł dziekana Fakultetu Pedagogicznego w Ostrawie, doc. dr A. Sivka, który w swym artykule pt. „Jako wyjaśnienie do jednego artykułu” w nr 11/1965 „Zwrotu”, pragnie sprostować jego zdaniem mylne wywody i przedstawienie sytuacji przez K. Polaka, bowiem nie może dopuścić, „żeby czytelnik „Zwrotu” był mistyfikowany i fałszywie informowany o kształceniu nauczycieli dla szkół z polskim językiem wykładowym, które są w Czechosłowacji.

Nie jestem nauczycielem, nie pracuję w szkolnictwie, nie myślę więc występować tutaj jako osoba autorytatywna, chcę tylko poruszyć niektóre aspekty sprawy, nasuwające się każdemu człowiekowi, interesującemu się tą kwestią w związku z tym „sporem”.

Po dokładnym przestudiowaniu „wyjaśnienia”, daremnie doszukiwałem się tam wyjaśnienia tych zasadniczych zagadnień, znalazłem tylko sprostowanie kilku mało istotnych faktów. Tak np. dowiedziałem się, że nie istnieje już w Ostrawie Instytut Pedagogiczny, lecz Fakultet Pedagogiczny, ale co to właściwie ma do rzeczy i jaki związek z rzeczywistością? Boć przecież fakt pozostaje faktem, że jak instytut, tak i obecnie fakultet przygotowuje przyszłych nauczycieli polskich w języku czeskim, czyli nie macierzystym.

Doc. dr Sivek nie widzi, względnie nie chce widzieć zasadniczej różnicy między przygotowaniem w naszych warunkach przyszłych nauczycieli dla czeskich i polskich szkół podstawowych i średnich. Nie uświadamia sobie prostego faktu (a jako pedagog, będący na tak odpowiedzialnym stanowisku powinien sobie to uświadomić), że wychowankowie Fakultetu Pedagogicznego narodowości polskiej po absolwowaniu szkoły będą nauczycielami w polskich szkołach, będą wychowywać dzieci w ich języku macierzystym — polskim. A jak mogą pełnić to trudne i odpowiedzialne zadanie w myśl potrzeb naszego społeczeństwa, kiedy sami nie mają dostatecznych możliwości posługiwania się poprawną polszczyzną, względnie nauczania się języka literackiego. Wyobraźmy sobie, że absolwent Fak. Ped. w Ostrawie po zdaniu państwowego egzaminu z języka francuskiego miałby uczyć w szkole dzieci francuskie; czy podołałby temu zadaniu? Podobnie ma się rzecz z nauczycielami polskimi na naszym terenie. Należy tu bowiem wziąć pod uwagę specyficzne warunki, w jakich żyje mniejszość polska na Śląsku Cieszyńskim. Przypomnijmy sobie, w jakich warunkach kształtuje się nasz przyszły nauczyciel: w domu, a częściejowo i w szkole, posługuje się gwarą miejscową, coraz bardziej zachwaszczaną obcymi naleciałościami językowymi, w życiu społecznym również coraz bardziej przeważa język czeski, po maturze odchodzi do obcego środowiska i tam w obcym języku kształci się na nauczyciela polskiego. Czy należy się później dziwić, że takiemu nauczycielowi

wi sprawia często kłopot samo posługiwanie się językiem literackim, w którym ma wychowywać dzieci?

Z powyższych powodów sądzę, że każdy rozumny człowiek uzna za słuszne żądanie wysunięte przez K. Polaka, by poloniści absolwowali całe studia w Polsce, a reszta nauczycieli przynajmniej część. Doc. dr Sivek twierdzi, że jest to problem nie do zrealizowania i stara się to udowodnić tym, że odnośne stypendia dla studiujących za grani-



Trzyńieckie wielkie piece.

Sól

*Platek po platku stroi się ku ziemi
niżej coraz niżej
złocien w rudzeń w rdzę*

*wiosło za wiosłem idzie w białe wydmy
głębiej coraz głębiej morze
z ciepłych piasków w słony kamień w sól*

*zanim się pora w ptaki jesienne uwikła
chciałem dla ciebie
barwy dni ponieść ku skrzydłom motyli
trzmielem godzin ciągle krążyć w słońce*

*oglądam tylko twój spóźniony powrót
i słucham tylko kiedy schodzę bliżej
jak krople zamyślenia osypujesz w ciszę*

ROBERT MRÓZEK

—Foto Leopold Wiszczor.



cą wypisuje ministerstwo, ale tutaj chodzi przecież o całkiem coś innego. Naprawdę nie widzę powodu, dlaczego ten problem w obecnych przyjaznych i pod każdym względem zgodnych stosunkach między Polską a Czechosłowacją nie mógłby być pomyślnie załatwiony ku ogólnemu zadowoleniu i dla dobra sprawy. Wszystkie te możliwości, które wymienienia doc. dr Alojzy Sivek, jako jego zdaniem całkowicie wystarczające, jak radio, telewizja, kursy wymienne, lektura literatury współczesnej, bezpośredni

kontakt z pisarzami polskimi, mogą wystarczyć tylko do umacniania znajomości języka obcego, lecz nie wystarczają w naszych warunkach do ugruntowania i całkowitej znajomości swego języka macierzystego.

W końcu pragnę jeszcze zaznaczyć, że ton, w jakim doc. dr Sivek wystąpił przeciwko K. Polakowi, wydaje mi się nieodpowiedni, a podejście do sprawy niewłaściwe i w gruncie rzeczy nic nie rozwiązujące. Całkowicie zgadzam się z autorem, który stwierdza w zakończeniu

swego „wyjaśnienia”, że „jeżeli już uwagi krytyczne i wnioski na ulepszenie, wtedy rzeczowe, podłożone faktami i na odpowiednim poziomie fachowym”. Uważam, że wszystkie te wytyczne spełnia artykuł K. Polaka w większej lub mniejszej mierze, lecz nie kierował się nimi doc. dr Sivek, bowiem oprócz przytoczenia właściwej nazwy obecnej wyższej uczelni pedagogicznej w Ostrawie, o niczym innym mnie osobiście nie przekonał i nie obalił wywodów K. Polaka.

STANISŁAW ZAHRADNIK

Tym razem tylko w sprawie polonistyki

Przeczytawszy artykuł doc. dr A. Sivka pt. „Jako wyjaśnienie do jednego artykułu w „Zwrocie” nr 11/1965, sięgnąłem raz jeszcze po wspomniany przez niego nr 9/1965 z artykułem K. Polaka „Dwudziestolecie polskiego szkolnictwa”. Nie wchodząc w inne szczegóły, poruszane przez autorów wspomnianych artykułów, chciałbym dorzucić parę słów w sprawie polonistyki u nas.

Sam jestem studentem tego wydziału (kombinacja polonistyki z językiem czeskim) na UP w Ołomuńcu, czuję się więc poniekąd kompetentny do zabrania głosu.

Fakt, że skłaniam się do argumentów K. Polaka, iż poloniści na naszym tere-

nie powinien być po studiach w Polsce, nie jest podyktowany li tylko tym, że sam chciałbym tam studiować, ale i o-biektywnym stanem rzeczy, który za tym przemawia. Kreśląc powierzchowną sytuację polonisty-studenta na czeskim uniwersytecie, chcę tylko pokazać, jak bardzo mało spotyka się on z żywą polszczyzną. Nie dotyczy to poziomu nauczania tej dziedziny nauki, bo jest on dostatecznie wysoki, by zostać dobrym polonistą przy odrobinie dobrej woli. Ale żeby dobrze podać swym uczniom wiadomości zyskane na uniwersytecie, trzeba też dobrze umieć mówić po polsku. I w tym sęk. Owe zachwaszczenie

nałeciałościami języka, w którego środowisku żyje się w przeciągu pięciu lat, jest raczej zrozumiałe.

Tu chciałbym pokazać doc. dr Sivkowi (mojemu byłemu wykładowcy), że nie tak łatwo o kontakty z polszczyzną już na przykład w Ołomuńcu. Telewizja odpada. A radio tranzystorowe też wysiada. Spotkania z prelegentami polskimi bardzo rzadkie. Pozostaje lektura współczesnej literatury — ale i tu bardzo ograniczona inną obowiązkową lekturą.

Mało tego, wykłady i seminaria z polonistyki prowadzone są w języku czeskim, na razie do piątego semestru (rzecz zrozumiała — na jednego Polaka trzech

Czechów, którzy nie mają na tyle opanowanego języka polskiego, by słuchać w nim wykładów i brać czynny udział w seminariach. Sam fakt nie sprawia większej trudności, ale stawia Polaka raczej w sytuacji absurdu, uczy się on języka ojczystego jako obcego.

Dalsza rzecz to sprawa wypracowań

piśmiennych. Wydział ma wybitnych specjalistów z zakresu literatury i gramatyki, ale nie ma nikogo, kto z troszczyłby się o szatę stylistyczną tych wypracowań.

I jeszcze jedno. Jak można uczyć do-
brze o Polsce i jej kulturze, znając ją

tylko z książek, czasopism i parotygodniowego pobytu w tym kraju.

Jednym zdaniem, wydaje mi się, że i tutaj pasuje jak ulał owo Goethe'owskie „Wer den Dichter will verstehen, Muss in Dichters Lande gehen.“

KAZIMIERZ JAWORSKI

Nie tylko sprawa kadr

Bodajże po raz pierwszy w historii powojennego szkolnictwa polskiego na czechosłowackim Śląsku Cieszyńskim poruszono na łamach naszej prasy regionalnej pewne niedociągnięcia przejawiające się w nauce języka ojczystego w szkole polskiej. Ludzie najbardziej upoważnieni do tego, jak dr Jan Korzeny i Karol Polak, długoletni pracownik pedagogiczny, w swych rozważaniach na temat ulepszenia nauki i podniesienia poziomu nauczania języka ojczystego w naszej szkole wysunęli słuszny postulat kształcenia przyszłych nauczycieli-polonistów w Polsce. Nie trzeba chyba nikomu przypominać, że żaden człowiek, tym bardziej student polonistyki, wyrwany z swojego środowiska i rzucony w środowisko językowo obce, nie oprze się nawykowi i naleciałościom językowym tego terenu. Wydaje mi się, że wszelkie kontrargumenty w postaci organizacji katedr językowych w naszym kraju i rzucanie nauki języka polskiego do jednego worka z nauką innych języków jest, mówiąc bardzo ogólnie, niepoważne. W żadnym wypadku nie można mierzyć przydatności nauki języków obcych tą samą miarą. Istota rzeczy tkwi w tym, że należy widzieć w nauce każdego języka rolę, jaki on ma odegrać w danym społeczeństwie. Przecież co innego sprowadzić do kraju np. kilkadziesiąt ton cytryn i użyć do tego korespondencji w języku hiszpańskim, a co innego pójść do szkoły i uczyć młodzież i przyszłych obywateli państwa socjalistycznego — ich języka ojczystego. Tu trzeba zrozumieć, że język polski w czechosłowackiej rzeczywistości ma zupełnie inne znaczenie, niż np. język angielski czy też wspomniany już język hiszpański. Trzeba pamiętać o tym, że językiem polskim posługuje się dosyć spora liczba obywateli czechosłowackich, którzy pracą swą wytwarzają dobra materialne dla swojej socjalistycznej ojczyzny. Tej zasadniczej cechy pozbawione są inne języki obce, których dziś z takich czy innych względów nauczamy, oczywiście poza językami innych ugrupowań narodowościowych żyjących w CSRS. Z tych właśnie prostych powodów należałoby otoczyć większą troską kształcenie kadr przyszłych nauczycieli szkół mniejszościowych w naszym państwie. Powiedzmy sobie szczerze i otwarcie, że poprawności językowej, dykcji, polotu i ducha języka polskiego nie przekaze swoim słuchaczom nawet ten

najlepszy polonista z nad Wełtawy. Po co więc uczyć się sztuki u czeladnika, jeśli jest możliwość nauki u mistrza!

Równie ważną jest sprawa weryfikacji programów nauczania języka ojczystego i historii w naszych polskich szkołach. Jest bowiem nie do pomyślenia, by absolwent polskiej szkoły wiedział tyle samo o dziejach swego narodu, co jego czeski kolega wie o historii Polski. Dotychczas jeszcze nikt nie zabrał w tej sprawie głosu, chociaż temat ten nurtuje w naszym społeczeństwie. Wiemy przecież, że w okresie błędów i wypaczeń w pogoni za upolitycznieniem nauczania w szkole polskiej rugowano z czytańek przeznaczonych dla młodzieży szkolnej wszystko to, co chociażby odrobinę trąciło duchem polskim. Te właśnie teksty czytankowe, charakteryzujące sylwetki wielkich synów naszego narodu, stanowiły namiastkę nauki historii naszego narodu, bowiem programy nauczania nie przewidywały i dotąd nie przewidują nauki historii polskiej.

Tu mimo woli trzeba wyrazić podziw dla naszych polonistów, którzy uczą literatury polskiej w oderwaniu od podłoża społeczno-ekonomicznego danego okresu historycznego. A chyba żadna inna literatura w świecie nie jest tak ściśle związana z dziejami narodu, jak właśnie literatura polska. I tak w wyniku selekcji tekstów przeznaczonych dla celów szkolnych, pozbawiono naszą młodzież możliwości chociażby powierzchownego zapoznania się z działalnością takich wielkich synów naszego narodu i międzynarodowego proletariatu jak Feliks Dzierżyński, Karol Świerczewski, nie mówiąc już o wkładzie Polaków do walki o wyzwolenie innych narodów. (Tadeusz Kościuszko, Walery Dąbrowski, Bem i inni). Tu mimo woli nasuwa się pytanie, co wie nasza młodzież o działalności L. Waryńskiego, Pawła Findera i innych przywódców polskiego ruchu robotniczego. Fakt, że żyjemy w Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej nie zwalnia nas jeszcze z obowiązku znajomości dziejów naszego narodu. Być internacjonalistą nie oznacza w żadnym wypadku wyzuć się z wszelkich uczuć patriotycznych względem własnego narodu. Przecież ten, kto nie jest patriotą własnego narodu, nie może uszanować ani innych narodów.

Wprawdzie szkoły nasze przybrały nazwę podstawowych szkół dziesięcioletnich z polskim językiem wykładowym.



Nocą w porcie gdyńskim. Foto CAF.

W rzeczywistości jednak szkoła nasza winna się różnić od pozostałych szkół nie tylko językiem wykładowym, ale przede wszystkim wykładami literatury i historii polskiej, bowiem te czynniki decydują w głównej mierze o przynależności do danego narodu i kształtują kręgosłup narodowy naszej młodzieży. Nie można przecież stawiać młodzieży przed jakąś pustką narodową i czekać w jakim kierunku ona się przechyli. Narzekamy, że nasza młodzież jest chwiejna, że brak jej poczucia narodowego i staramy się szukać winy w postawie osobistej naszych pedagogów. Przecież nauczanie w szkole nie jest zależne tylko od postawy osobistej nauczyciela, ale przede wszystkim od planów i programów nauczania. Powiedzmy sobie szczerze, że młodzież nasza jest taka, jaką ukształtowała ją szkoła na podstawie zatwierdzonych planów nauczania.

Posyłamy swe dzieci do polskiej szkoły, nie tylko by opanowały swój język ojczysty, tego bowiem może ich nauczyć częściowo i dom rodzinny, ale posyłamy je również między innymi dlatego, by poznały dzieje swych przodków, dzieje swego narodu!

Oto kilka bardzo powierzchownie ujętych problemów naszego szkolnictwa polskiego w CSRS, problemów zasadniczych, których nie trzeba się bać i które trzeba w jak najszybszym czasie rozwiązać. Wymaga tego nie tylko dobro naszej młodzieży, ale przede wszystkim dobro szkoły socjalistycznej.

EDWARD CZAJA

Odpowiedzi prywatne

Nad „Prośbą do macierzanki”
Mołgorzaty Hillar

Poezja jest chyba odkrywaniem owej najwłaściwszej rzeczywistości, jej bogatych i niepowtarzalnych związków, stale nowym podchodzeniem do świata zjawisk, rzeczy i ludzi. Jest szukaniem podstaw, korzeni wszystkiego, co nas otacza.

Czyli poezja jest jakąś najwłaściwszą treścią podniesioną do potęgi wzruszenia, zaskoczenia, jest namacalnością nie odkrytych dotąd związków.

★

Leśmian

Kiedy czytam Leśmiana, wydaje mi się często, że to nie człowiek pisał. Zgadzałem się, że Mickiewicz, że Słowacki pisał, ale Leśmian chyba wyśnił albo ukradł niebu.

Leśmian jest głęboko dramatycznym widzeniem świata i natury. W sposobach wyrażenia rzeczy martwych widzimy owo zastanawianie się nad najistotniejszymi zjawiskami prostych, codziennych zjawisk. Wystarczy przeczytać „Stodołę” czy „Wiatrak”:

Tyś całował dziewczynę, lecz kto biel jej ciała

Poróżowił na wargach, by cię całowała?

Albo:

Tyś pociosał stodołę w cztery dni bez mała,

Ale kto ją stodołił, by — czym jest — wiedziała?

Nie chodzi tu na pewno o teizm jakiegokolwiek rodzaju. Owa „Majka” nie jest żadną istotą (nadprzyrodzoną), to jakaś istota istnienia, istota bytu rzeczy i zjawisk, aż perfidnie głęboka istota zjawisk.

Ta sama historia w „Wiatraku”:

...Wędrowcze, w jednym miejscu zakłniony kosturem,

Co znaczą twoje wstrząsy i nagle podrygi?

...Z kim tak trafnie rozmawiasz na migi i śmigi?

W co wierzysz? Kogo widzisz nad sobą w lazurze?

Gdybyś się uczłowieczył — jakie miałbyś lica?

Co za stwór się zataił w twej sękatej skórze?

Czym jesteś, oglądany przez duchy z księżycą?

To właśnie jest Leśmian — ożywianie rzeczy nie oczami ziemskimi, lecz poza-rzeczy nie oczami ziemskimi lecz poza-ziemskimi; zastanawianie się nad ich najwłaściwszymi, żywymi, mimo wszystko, cechami. W tym widzę ową dramatyzację rzeczy, chociaż wyraz ten nie wystarcza dla pełnego wyrażenia danej treści.

★

Chodzi mi o wniknięcie w głąb rzeczy i zjawisk. Chcę zorientować się w świecie, chociaż nie wiadomo, czy to kiedykolwiek uda mi się w zupełności.

Nie lubię, gdy ktoś uważa, że istnieje ustalony porządek rzeczy i nie można poza niego wychodzić.

Nie chcę kombinować i bawić się w niezrozumiałość. Wypowiedzieć prosto skomplikowane sprawy... Pono potrafili to wielcy. Oni jednak prosto ujmują wyniki, uogólnienia. A ja szukam uogólnień, chcę dojść do pojęć.

Mówiąc o kulturze dla mas, musimy uczyć masy kultury. Kultura nie może stać, ani cofać się.

Sympatyzuję ze stwierdzeniem bodajże Eluarda, że poezji bliżej do muzyki niż literatury. A muzyka? Rzadko kto z przeciętnych słucha oper, Beethovena. Słucha się czeskich polek albo jazzu. A jednak czcimy Beethovena, choć niewielu go rozumie. Ale mam nadzieję, że raz robotnik przychodząc z pracy posłucha Beethovena.

★



Sezon karnawałowy w pełni. Foto T. Kopczek.

Można by powiedzieć, że nauka zawężyła sztuce pole działania, wypiera ją w inne regiony. Uważam, że już stosunkowo dawno nauka zbliżyła się do sztuki i w pewnym sensie sama stała się sztuką. Czyżby zacierały się różnice? A może właśnie dlatego pewni artyści chcą rozbić taką zacierającą się granicę? Albo nie dopuścić do zjednoczenia się, uciekając do abstrakcji?

★

Snobizm... Snobizm to brak kultury, zafałszowanie swego ja w niepojętym jak w nitce jedwabnika, ukrywanie się

w kostium niepojętego w wyniku nieuctwa, lenistwa, wygody. Snobizm jest podstawową chorobą kultury małowieszczańskiej. Nowe społeczeństwo powinno wykorzenić małpowanie snobów rzeskim powiewem rzeczywistej osobowości, szczerem i otwartym spojrzeniem człowieka wyzwolonego z „niegdysiejszych trunków”. Nowe społeczeństwo powinno popierać pijaństwo świeżości, czystego, niespreparowanego powietrza, wyzwolonego ludzkiego ja.

Mocno wiąże się ze snobizmem kicz, szmira. Snobizm jest chorobą ludzi małych, słabych, ludzi bez charakteru. A trudno pogodzić się z jakimkolwiek, nawet szlachetnym, zakłamaniem.

★

Na czym polega burzliwość młodych? Zastali oni uporządkowany w pewnym sensie świat, skończone sformułowania. Widzą błędy, niedomagania owych sformułowań. Stąd moralność ich wejścia w życie polega na zburzeniu zastanego i wniesieniu nowego. Młodzi widzą ostro, żywiołowo, bez przytępiionych doświadczeń. Doświadczenie ma w sobie coś kalekiego, stępia ostrza zmysłów, wszechstronnego wchłaniania wszystkimi porami ciała. To chyba młodość posuwa świat naprzód, a doświadczenie ustala jego profil, wykańcza go.

★

Boję się. Jesteśmy bowiem o nieco mniejsi niż współczesność. Jesteśmy nie-raz na drodze do absurdu. A historia mówi, że nieładnie tak — chociaż boli... Ale nie chcemy starymi drogami. To słuszne, że nie chcemy, szczególnie naszymi starymi drogami. Nie odpowiedzieliśmy jednak dotąd na pytanie — jak?

Boję się, by nie zastąpiła nas maszyna elektronowa, zdolna do kojarzenia milionów wariacji.

Wiem, że człowiek a maszyna, że psychika, życie, egzystencja, XX wiek... Wiem, że nie zejść chyba z tej drogi. Widzę oczywiście te błaha i podstawowe różnice, widzę sens. Czasem jednak wydaje mi się, że poezja dzisiaj chce być pisana, napisana. Nie lubi już czytania. Woli być nieczytana. Nie potrzebuje czytania.

Wydumany, durny problem? A może jakaś charakterystyka?

★

Poezja i nauka...

Nauka nazywa, klasyfikuje, uogólnia, wyciąga wnioski.

Poezja wchodzi w rejony dostępne również dla nauki, lecz robi to, czego nauka nie potrafi. Rejony poezji, to łapanie jakichś zwiewnych motyli i ustalanie w zwiewnej formie.

Konserwacja wrażeń. Lecz wrażenia to za mało. Konserwowanie tego, co składa się z wrażeń i jest nadrzędne. Chyba nazwać by to należało klimatem odczu-

cia, podświadomymi nawet uczuciowymi, odczuciowymi nurtami człowieka. Poezja daje kształt nienazwanemu, nie dającemu się nazwać.

★

Poezja jest gdzie indziej, poza słowem i kalkulacją. Nieraz daje się tylko odczuć i przekonuje, że trzeba iść dalej niż się doszło — aż do poezji. Ów proces

dojścia porównałbym do poszukiwacza złota, który przekopał górę, żeby w końcu zrozumieć, że złoto jest za każdym razem tuż, na odległość ręki, lecz po dotyku zapada się głębiej, zmusza kopać znowu. Zwykle nie dochodzimy do głównej żyły złotodajnej. Lecz w glinie wyrzuconej przechodzień zobaczy po czasie tu i ówdzie grudkę szczerego złota. Tych grudek bywa niewiele, za mało jak na

wysiłek. Stąd wywodzi się nostalgia wielkich maniaków. Syzyfowa praca, ale nie bez sensu i bez celu. Bo praktycznym i logiką tu się nie liczą. A wielkim maniakom nigdy nie żal wysiłków. I ostatecznie bieg do poezji nie jest pogonią za mirażem; zresztą nawet owo przecucie poezji jest warte takiej drogi.

WŁADYSŁAW SIKORA

niorem
KURIERSTWEM

TURCJA

MIGAWKI Z PODRÓŻY



Tekirdağ.

Do Turcji w ogóle trudno się dostać. Przy załatwianiu wizy w konsulacie tureckim w Pradze nie dawano mi dużych szans. Dano mi jednak cztery formularze. Na nich 30 pytań głównych i 4 podpytania. W sumie 120 pytań, na które należało odpowiedzieć w języku tureckim, francuskim lub angielskim i z czterema fotografiami przynieść za tydzień.

Przyniosłem. Studiowano moje odpowiedzi bardzo długo, wiedząc, że umiem po angielsku, mówiono przede mną po francusku, a potem powiedziano mi, że konsul jest w Londynie, że jeden pan czekał na wizę pół roku i w końcu nie wyjechał. Ja w końcu jako, że posiadam własny „travel passport” wyjechałem z Cedokiem bez wizy tureckiej z nadzieją, że uda mi się ją uzyskać przy wyjeździe do Turcji. Szczęście mi dopisało i w rezultacie w Turcji byłem.

TURCJA

Kraj o powierzchni 781 000 km². Mała jego część, bo 24 000 km² leży w Europie, reszta w Azji. Z 28 milionów mieszkańców przeszło 600 tysięcy żyje w stolicy kraju Ankarze. Od roku 1923 republika, a od roku 1952 członek NATO. Jest również członkiem CENTO i zacofanym krajem rolniczym. Rolnictwo tworzy 80 procent dochodu narodowego, a 70 procent inwestowanego kapitału jest pochodzenia zagranicznego.

WALUTA

Jedna libra turecka ma 100 kuruśów. Okulary przeciwsłoneczne kosztują 7—10 liber. Kilogram pomarańczy 2,5—4 libry, widokówka 1 libry, ładna gumowa piłeczka 1 libry, bilet do kina do 3 liber, kobieta 5 liber lub więcej, ale o tym później.

ISTANBUL

Podobnie jak Rzym i Ateny, położony jest na 7 pagórkach. Można go podziwiać od strony morza i krztusić się nim. Istanbul widziany od strony morza lśni w słońcu połączanymi dachami swych świątyń, strzeliste wieże dotykają nieba, człowiek jak najszybciej chciałby być w mieście, by móc podziwiać to wszystko z bliska. A widok z bliska prezentuje się bardzo prozaicznie.

MIASTO

Domy nie zachwycają zbyt swą architekturą. Typowe wielkomiejskie ulice, do których zbiegają się wąskie uliczki, nieraz bardzo strome i jeszcze bardziej brudne. Po bruku nierzadko cieknie brudna woda, jako że jest zwyczaj wylewania brudów na ulicę wprost pod nogi przechodniów (chyba nie ma kanalizacji).

Uliczki, gdzie są bazyliki z jarzynami, są tak śliskie, że nieprzyzwyczajonemu trudno po nich chodzić. Ta śliskość bru-

ku się nie liczy w porównaniu z panującym tam smrodem. Człowiekowi stale przychodzi na myśl czeskie powiedzonko: „Smradu jak v Cařihradu”. Umieli już nasi przodkowie patrzeć, wąchać i myśleć. Tych 1 250 000 mieszkańców Konstantynopola widocznie tak samo zachwyca się swoim miastem, jak my naszymi.

NA ULICY JAK KTO CHCE

Na ulicach Istanbulu uderza brak oznaczenia przejść dla pieszych i regulacji ruchu. Ludzie przechodzą z jednej strony ulicy na drugą, w którym miejscu chcą i jak chcą. Myślałem, że mnie coś przejdzie, ale kierowcy są bardzo oględni. Zrozumieli, że pieszy ma tylko dwie nogi, a ich wehikuł aż cztery kółka, które można łatwo wymienić.

TAKSÓWKI

Mają swoje przystanki i po drodze przybierają pasażerów. Można zatrzymać taksówkę, która już wiezie trzy osoby. Ekonomiczni są ci istanbulscy taksówkarze. Samochody eleganckie. W całym Istanbulu widziałem tylko jednego Spar-



Eirne.



Istanbul.

taka, i to jeszcze czechosłowackiego turysty. W większości samochody amerykańskie.

ŻEBRACY I DZIECI

Na ulicach siedzą w łachmanach kalecy, pokazujący przechodniom swe okaleczone kończyny. Często ludzie młodzi, swym wyglądem wzbudzają litość. Siedzą na środku chodnika i wyciągają dłonie. Turyści, sami nie bardzo bogaci, wzruszeni tym widokiem dawali im drobne datki. O godzinie pierwszej w nocy można spotkać 8-letnie dzieci sprzedające na ulicy gumy do żucia. W rzeczywistości sprzedaż jest tylko pretekstem do żebrania. W kolorowych papierkach zapakowane są niejednokrotnie kamyczki. Poli-

cja może o tym nie chce wiedzieć, ludzie wiedzą i dają im drobne monety. Te dzieci patrzają takim wzrokiem, że trudno obok nich przejść obojętnie. O pierwszej godzinie w nocy widziałem w jednym z warsztatów samochodowych pracować 10-letnich chłopców. Zarabiali na życie.

NOC W ISTANBULU

Nocny Istanbul krzyczy mnóstwem neonów. Neony mówią w języku turekim i angielskim. Miasto ożywia się pod wieczór, lecz przed północą zamiera. Na głównych ulicach tyle prochu, że nieprzyjemnie oddychać. Nieczystości z ulic nie odwozi się, lecz zbiera na gromady i podpala. Takie ogniska tłą przez całą noc potęgując smród w mieście. Pracow-

nicy lokali nocnych wychodzą na ulice i zachęcają do odwiedzin ich lokalu. Dla turystów za drogo. O godzinie 22-giej zamyka się uliczki miłości.

ULICZKI, GDZIE MOŻNA SIĘ KOCHAĆ

Wstęp tylko dla mężczyzn. U wylotu uliczki stoi policjant. Byłem świadkiem tego jak jedną turystkę, chcącą wejść do takiej uliczki, o mało nie obrzucono kamieniami. Kto? Mężczyźni, którzy w tej uliczce byli. Chodzą tam mężczyźni od lat 15-tu do 60-ciu. Są uliczki droższe i tańsze. W jednej odwiedziny kosztują (przy wejściu już do lokalu) 5, w innej 10 a nawet 20 liber. Patrząc można za darmo. Kobiety mniej lub więcej ubrane siedzą za zakratowanymi oknami, można by powiedzieć oknami wystawowymi, bo tak to w rzeczywistości wygląda. Całość wygląda bardzo niesmacznie. Nasadziłem czapkę na bakier, policjanta minąłem jak najbardziej lekceważąco i wszedłem z kolegą do jednej z tych uliczek, tuż nad portem. Przed każdym oknem wystawowym kilku gapiów. Zupełnie jak w ogrodzie zoologicznym. Kobiety w wieku od lat 20 do 60 siedzą na tapczanach lub stołkach, palą papierosy, piją piwo lub jakieś inne napoje i nie zwracają uwagi na gapiów. Ubrane bardzo skromnie, biustonosz i majteczki albo tylko w halce. Patrząc można za darmo. Przy wejściu do środka kasa, przy której siedzi bardzo stara i brzydka właścicielka. Klient wybiera kobietę i gdzieś z nią odchodzi. Gdzie, tego nie wiem, bo w środku nie byłem.

Całość robi wstrząsające wrażenie. Po wyjściu z takiej uliczki chciałoby się napisać do Ligi Ochrony Praw Człowieka. Podobno w Turcji zamierza się zlikwidować tego rodzaju instytucje.

JANUSZ GAUDYN

Jan Amos Komenský w Polsce

Leszno — dziś około trzydziestotysięczne miasteczko powiatowe, nie wyróżniające się niczym poza barokowymi zabytkami i dużą ilością szkół, było w XVI i XVII wieku prawdziwą wyspą twórczej myśli czeskiej, która stąd promieniowała daleko poza granice Rzeczypospolitej Polskiej. Tu, począwszy od roku 1516, prześladowani przez Macieja Korwina Bracia Czescy, znaleźli nie tylko schronienie i gościnne przyjęcie, ale nawet tak daleko posunięte zrozumienie, że sam ówczesny władca Leszna Rafał III Leszczyński przyjmuje ich wiarę. W roku 1628 przybywa tu z nową falą uchodźstwa, spowodowaną klęską pod Białą Górą, Jan Amos Komenský. Trafia od razu do dobrze zorganizowanego środowiska posiadającego własny kościół, szkołę (założoną w roku 1555), dużo przyjaciół i współwyznawców. Nic więc dziwnego, że

w Lesznie szybko znajduje drugą ojczyznę. Spędza tu z niewielkimi przerwami około dwudziestu najpłodniejszych lat swego życia. Z zapałem poświęca się pracy pedagogicznej w leszczyńskiej szkole. Nowatorskie jego posunięcia budzą przychylne zainteresowanie polskich wielmożów. Dzięki ich poparciu ukazuje się w Lesznie, w drukarni Braci Czeskich, sprostowanej z Moraw, w r. 1631 „Janua linguarum reserata“ (Brána jazykův otevřená čili Semenisté). Szybko oceniono niezwykłą wartość dzieła, które po raz pierwszy w dziejach dawało możliwość łatwego nauczania się łaciny poprzez zapoznanie się bezpośrednio z łacińskimi nazwami przedmiotów i zjawisk spotykanych na codzień. Dotyczyły one roślin, zwierząt i wzajemnych stosunków ludzkich. Nudne dukanie bezdusznych reguł gramatycznych zastąpił Komenský po-

glądową nauką, co dawało żywy kontakt z językiem. Jedno z pierwszych tłumaczeń zostało dokonane na język polski przez Andrzeja Węgierskiego. Miarą sukcesu tej książki może być nadane jej przez nauczycieli określenie — złota, które stało się tak popularne, że z czasem weszło do podtytułu.

Jak wielką wagę przywiązywał autor do poglądowości nauki świadczą jego próby ilustrowania podręczników szkolnych, które znalazły swe ostateczne urzeczywistnienie w Orbis sensualium pictus.

Komenský jednak mimo pracy nad stworzeniem jak najlepszej metody nauczania łaciny, panującej tak bezwzględnie w ówczesnym świecie, pragnie równocześnie jak najwięcej miejsca pozostawić w szkole kulturom i językom ojczystym. Ostatecznym wyrazem tych dążeń jest wydana w 1649 r. w Lesznie książka pt. „Linguarum methodus novissima“.

Jako pierwszy z pedagogów poświęca

dzieło sprawom wychowania i nauczania dzieci w wieku przedszkolnym. W informatorium szkoły macierzystej znajdujemy uwagi aktualne po dziś dzień. Cóż bowiem zmieniło się z jego twierdzeń, że dziecko od początku jego istnienia należy uczyć porządku, czystości, opanowania, posłuszeństwa i prawdomówności. Ileż aktualności zawiera pouczenie, iż małe dzieci należy nastrajać do szkoły przychylnie, podnosić jej autorytet. Te prawdy dziś tak jasne i nie podlegające dyskusji były naówczas rewelacją. Dziś jego tezy wychowawcze opierające się na wierze w dziecko, na właściwym do niego podejściu, okazaniu mu zaufania i dopasowania wymagań do jego psychicznych i fizycznych możliwości realizowane są na całym świecie.

Ukoronowaniem pedagogicznej działalności Komenskigo jest „Wielka dydaktyka”. Dzieło to zostało wydane wprawdzie w 1657 r. już w Amsterdamie, jednak napisane zostało w Lesznie i jest oparte na jego tutejszych doświadczeniach. Znalazło zresztą wielkie zrozumienie wśród Polaków. Głównym założeniem autora było wskazanie, w jaki sposób nauczyć wszystkich — jak chłopców, tak i dziewczęta, jak najwięcej, w sposób jak najkrótszy i jak najbardziej atrakcyjny. Ostatecznym celem Komenskigo było doprowadzenie do tego, aby człowiek swoim rozumem umiał badać i obserwować świat. Zastosowanie w praktyce jego metod pedagogicznych pozwoliło skrócić naukę, w oparciu o stopniowe nauczanie.

Sława Komenskigo jako pedagoga daleko rozchodzi się po ówczesnej Rzeczypospolitej. Na prośbę Krzysztofa Opalińskiego opracowuje dla szkoły w Sierakowie nie tylko program, ale także specjalne dla niej dostosowane podręczniki.

Komenský jednak nie tylko pracuje

dla Polski. Potrafi także mądrze czerpać z jej kultury. Zna znakomicie język polski. Nie są mu obce dzieła Reja i Kochanowskiego. Tego ostatniego nawet tłumaczy. Zdaje sobie doskonale sprawę z pożytku i konieczności wzajemnego przenikania i uzupełniania się kultur — polskiej i czeskiej. Pragnie być ich propagatorem.

Z Leszna, do którego Komenský stale wraca, potrafił go wygnać na stałe dopiero pożar w 1656 r., który wybuchł przy odbijaniu miasta z rąk Szwedów. Niszczycielskie płomienie nie oszczędziły również domu Komenskigo. Komenský pomimo tego, że nie podpisał pisma hołdowniczego na cześć króla szwedzkiego, musiał ze Szwedami jako z protestantami sympatyzować. Jak i reszta jego współwyznawców — liczył na to, że ich zwycięstwo korzystnie odbije się na losach jego ojczyzny.

Mimo iż od śmierci Komenskigo (umarł w Amsterdamie) minęło blisko 300 lat, pamięć o nim w Lesznie jest nadal żywa. Pamiątki po tym, nie mającym i dziś sobie równych, pedagogu, spotykamy wszędzie. Wśród nich niepoślednie miejsce zajmuje pomnik Jana Amosa Komenskigo, dumnie królujący wśród zieleni na placu również jego imienia. Nie tylko jednak na cokole można tu oglądać podobiznę wielkiego myśliciela czeskiego, bowiem liczne jego portrety posiada muzeum w Lesznie, którego znaczna część ekspozycji związana jest z działalnością tego uczonego. Można tu znaleźć jego dzieła, prace (a tych jest bez liku) jemu poświęcone oraz przedmioty, których używał. Liceum Ogólnokształcące w Lesznie im. Jana Komenskigo już od 400 lat nieprzerwanie stara się propagować pedagogiczne założenia swego dawnego rektora.



Fragment starego Leszna.

Foto autorka.

Nic zresztą dziwnego, że małe miasteczko z pietyzmem pielęgnuje pamięć o tym uczonym, tak wielkim obdarzonym umysłem, skoro do dziś literatura o Komenskim jest ogromna. Dzieła jego tłumaczone na prawie wszystkie języki osiągnęły wielokrotne nakłady. Czasopisma wyłącznie jemu poświęcone wychodzą nie tylko w Czechosłowacji. Imię Komenskigo nosi Uniwersytet w Bratysławie. Jednak najwartościowsze jest chyba to, że jego wiedza i odkrycia pedagogiczne po dzień dzisiejszy mają pełne zastosowanie w praktyce pedagogicznej.

HELENA WAGNEROWA

Pionierska praca czeskiego językoznawcy

Nazwisko docenta Wydziału Pedagogicznego w Ostrawie, Alojzego Knopa, jest dobrze znane nie tylko studentom i pracownikom powyższej uczelni, ale wszystkim, którzy interesują się problematyką językową, dotyczącą zwłaszcza terenu Śląska. Niedawno pokazała się w praskim Państwowym Wydawnictwie Pedagogicznym praca tego uczonego pt.: „Czeski język literacki na Śląsku w wieku XVI”. Chodzi więc o okres wielkiego rozwoju tego języka, o okres, w którym język czeski wpływał na polszczyznę nie tylko na Śląsku, ale w całej Polsce. Stwierdza to m. in. Łukasz Górnicki w swoim „Dworzanie polskim”, podziwiając czystość i piękno języka czeskiego. Na Śląsku, ze względu na jego położenie geograficzne, wpływ ten musiał być o wiele intensywniejszy niż w Polsce centralnej. Autor w powyższej pracy szuka odpowiedzi na trzy zasadnicze pytania:

1. Czy pozycja czeskiego języka literackiego na Śląsku była taka sama w

Czechach i na Morawach.

2. Czy rozwijał się na Śląsku potoczny styl języka czeskiego, w czym zgadzał się z formą mówioną w Czechach i na Morawach, w jakich składnikach odzwierciedla się jego zabarwienie regionalne.

3. Do jakich funkcji społecznych angażowano język czeski.

Na podstawie analizy bogatego materiału śląskich zabytków językowych z 15 i 16 wieku daje autor odpowiedź na postawione pytania. Widzi, zresztą bardzo słusznie, problematykę rozwoju czeskiego języka literackiego na Śląsku w związku z rozwojem podłoża gospodarczo-politycznego tego okresu. Stwierdza, że do rozpowszechnienia czeskiego języka literackiego na tym terenie w ówczesnym czasie przyczyniło się i podobieństwo między językiem polskim a czeskim. Autor następnie analizuje zjawiska językowe według zasadniczych kategorii gramatycznych. W części poświęconej ortografii stwierdza stabiliza-

cję i jedność pisowni na Śląsku, analiza głosek wykazała jedność tego systemu między czeskim językiem literackim XVI w. a systemem nowoczesnym. Charakterystyczna jest mała ilość dialektyzmów i polonizmów, co świadczy o dokładnej znajomości języka czeskiego przez autorów badanych źródeł.

Z wszechstronnej stabilizacji czeskiego języka literackiego A. Knop wysuwa wniosek, że język ten na Śląsku w XVI wieku miał nie tylko funkcję urzędową, ale nawet potoczną. Odegrał też tutaj doniosłą rolę kulturalno-polityczną, podtrzymał tradycję używania słowiańskiego języka kulturalnego, przyspieszył rozwój kulturalny, zatrzymał falę germanizacji i ułatwił drogę językowi polskiemu.

Za tę pionierską pracę, za sposób opracowania tej problematyki i za rzetelne podejście do niej, zasługuje docent Alojzy Knop na słowa uznania.

DANIEL KADŁUBIEC

„Dyskurs” w atmosferze

(Praska korespondencja)

Ostatnio pisałem o Galerii czeskiej rzeźby. Obecnie nadarzyła się okazja uczestniczenia w rozmowie ze znanym czeskim prozaikiem Janem Otčenáškiem. Skorzystałem.

„Jan Otčenášek jest nowym, wybitnym nazwiskiem, które czeska proza otrzymała w okresie pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. Już jego pierwsza powieść „Plným krokem” (1952) udowodniła, że młody autor jest mocno związany z tradycją postępowej czeskiej prozy realistycznej.” (Cytat z książki J. Petrmišla „Piętnaście lat czeskiej literatury”.)

Spotkanie doszło do skutku pomimo pewnych trudności organizacyjnych. Jest to człowiek zaangażowany, pisarz, który zdaje sobie sprawę z tego, że naczelnym zadaniem literata jest twórczość, ale nie zaniedbuje również swego uczestnictwa w życiu kulturalno-oświatowym. Celowo nie przygotowaliśmy pytań, żeby spotkanie zaimprovizować. Rozmowa toczyła się wartko. Otčenášek ma specjalny dar wymowy. Mówi szybko, można by nawet powiedzieć nerwowo, ale jego głos jest melodyjny, zdania przemyślane stylistycznie, gładkie, dowcipne.

Właśnie wczoraj wrócił z posiedzenia Zarządu Głównego Związku Pisarzy Czechosłowacji, które odbyło się w Bratysławie.

Prosimy go, żeby podzielił się wrażeniami z Bratysławy. Tłumaczy, że nie ma sensu powtarzać tego, co i tak pojawi się w prasie codziennej... ale jedno zwierzenie zostało nam udostępnione: „Bratysławskie zebranie można by zgłosić do konkursu na najdłuższe swego rodzaju.”

Sondujemy więc zdanie Jana Otčenáška o tzw. „perspektywie powieści”. Dużo słyszy się w ostatnich czasach o tym, że

powieść nie ma racji bytu, że w przyszłości musi koniecznie odumrzeć, jako genre literacki. Otčenášek uśmiecha się. Mówi, że nie tylko w ostatnim czasie słyszy się te głosy. Już długo dyskutują teoretycy literatury o kryzysie powieści, ale powieści pisze się nadal. Pisze się powieści, pisze i drukuje. Dlaczego więc utyskiwać? Myślę — powiada — że póki ludzie będą odczuwali potrzebę czytania powieści, póty pisarze będą je pisać. Najzapałczywiej dyskutują o zmierzchu powieści w USA, a właśnie tam są wydawane cykliczne powieści (1.200 stronice nie są rzadkością). Dlaczego więc mamy martwić się na zapas. Jeśli coś ma odumrzeć... to odumrze bez proroków i przysłowiowych „płaczek”.

Pytam, dlaczego utwór „Romeo, Julie a tma” u nas jest określany jako nowela, a w tłumaczeniu np. niemieckim jest to „der Roman”, czyli powieść.

Sam nie wiem — mówi autor. — Również się z tym spotkałem i wiem, że rzeczywiście tak jest. Szczególnie na Zachodzie (o ile miałem możliwość śledzić recenzje z mojej książki) nazywano ją właśnie powieścią.

Jan Otčenášek wdał się we wnikliwą analizę. Tłumaczył kryteria teorii literatury, polemizował z niektórymi postulatami, ale w końcu przyznał, że to nie jest najistotniejsze. Jako dowód przytoczył powiedzonko Nezvala: „Jestem przekonany o tym, że Michał Anioł nie zdawał sobie sprawy z tego, że tworzy w renesansie.”

W toku dyskusji wyłonił się (a jakże!) również problem młodzieży. Kolega z Czechich Budziejowic przytoczył przykład z projekcji filmu „Úplně vyřízený chlap”... (wg noweli Bublíka). Pono na-

sza młodzież widząc zapal „tamtych młodzieżowców”, obserwując ich, jak z kilofami i łopatami na ramieniu idą na zmianę — wybuchają śmiechem. „A nas starszych to obrażało”, zakończył kolega.

Otčenášek uśmiechnął się. Powiedział kilka słów na temat, jak bardzo ceni sobie książkę Bublíka „Páter” i zakończył sentencją w tym sensie, że kiedy był jeszcze chłopcem — dziadek chwalił się przed nim swym mundurem oficerskim, co oczywiście wzbudzało śmiech

ORKA

**Ziemia garbata — pocięty pagór
Otwarty drzeworyt daleko od kory
W obręcze ust zamknięto
Wszystkie milczenia
Odmierzony cyrkłami urodzaj**

**Jest jeszcze jedna ścieżka
Z radłem mały spacer
W głodnych oczach
Które patrzą za szybko
Twarz rozpoczęta**

**I martwe ziola
Coraz głębiej
Wrastają w ziemię**

ALOJZY MAŃKA

chłopca. Dziadek był niepokojony. Niekiedy trudno nam zrozumieć, jak ktoś może szargać to, co dla nas stanowi świętość. To już są chyba problemy generacji.

Było jeszcze wiele frapujących spraw. Ciekawostki i spostrzeżenia ze współczesnego życia literackiego. Wiele ploteczek z praskiego parnasu, czarna kawa, śmiech i cudowna atmosfera.

Jan Otčenášek opowiadał jeszcze szczegóły z wywiadu, który przeprowadzał z J. P. Sartrem.

Czas upływał niemiłosiernie i trzeba się było pożegnać. Na odchodnym życzymy pisarzowi, żeby już wkrótce pojawiła się jego nowa powieść. Nie chce jednak zdradzić tajników i sekretów swej „twórczej kuchni”.

P. S.

Dotychczasowe książki Jana Otčenáška: „Plným krokem”, „Občan Brych”, „Romeo, Julie a tma”, „Kulhavý Orfeus”.

WILHELM PRZECZEK



Bronisław Liberda: Maszyna.

PIĘCSETNY NUMER „GŁOSU ZIEMI CIESZYŃSKIEJ“

Noworoczny numer tygodnika „Głos Ziemi Cieszyńskiej” jest podwójnie wart przypomnienia. Jest to bowiem pięćsetny numer tego sympatycznego pisma, a zarazem pierwszy numer wydany w nowym, dużym formacie i znacznie powiększonej objętości. Należy przy tym stwierdzić, że redakcji się ten, jakby nie było, prestiżowy i wzorcowy numer udał. Jest ciekawy jak treściowo, tak i graficznie.

Z przyjemnością gratulujemy zespołowi redakcyjnemu ich sukcesu. Czynimy to z tym większą przyjemnością, że redaktorowie Głosu są od dawna współpracownikami naszego pisma. Szczególnie nazwiska redaktorów Władysława Oszeldy (Most), Roberta Danela oraz fotoreportera Tadeusza Kopoczka nie są naszym czytelnikom obce.

MOCNE BRAWA DLA „PRZYJAŹNI“

Już w chwili, kiedy na scenie Domu Przyjaźni w Karwinie 1-Mieście pojawiła się ta duża grupa sumiennych śpiewaków, starszych, młodych i zupełnie młodych (a trzeba przyznać, że młodzież jest mocnym atutem „Przyjaźni”), serca obecnych na sali zabiły mocniej. Kiedy zaś zabrzmiały pierwsze akordy pieśni Hadyny o uroczej śląskiej ziemi czy też siarczystego mazura Moniuszki ze „Strasznego dworu”, to niejednemu łza pojawiła się w oku.

Pięknym urozmaicheniem „Jesiennej rewii” miejscowego Koła PZKO w Karwinie 1-Mieście były tańce w wykonaniu zespołu ZG PZKO „Olza” pod kierownictwem artystycznym p. Niny Ferdeckiej.

W pieśniach „Aka si mi krásná” E. Suchonia i „Ave verum” A. Mozarta „Przyjaźń” udowodniła, że i w śpiewie a capella potrafi wykazać swój wysoki poziom artystyczny. W samodzielnym utworze wykazała również dobry poziom i orkiestra pod kierownictwem Karola Dzierżawy.

Uroczę były też dziewczynki w septycie wokalnym. Zespołowi temu rokować należy jak najlepszą przyszłość. Bardzo miłe były również piosenki w wykonaniu tercetu żeńskiego do słów Wandy Pribulowej.

Na drugą część programu złożyły się pogodne melodie operetkowe J. Straussa (Zemsta nietoperza), F. Lehara (Paganini, Giuditta), C. Zeller (Ptasznik z Tyrolu) i R. Frimla (Rose Marie) w wykonaniu solistów O. Szebestówny, E. Masłowskiego i chóru.

Słowo wiążące Danusi Ondruchowej bardzo miłe i na dobrym poziomie.

Na zakończenie programu jeszcze jedna miła niespodzianka: na estradę wchodzi pionierzy miejscowej PDSP i razem z „Przyjaźnią” kończą ten uroczy wieczór „Wiosennym marszem” I. Dunajewskiego do słów H. Jasiczka.

W końcu nie można nie podkreślić, że ten wysoki poziom zespołu jest przede wszystkim zasługą prof. Józefa Wiergonia, który jest jego twórcą i kierownikiem.

KONCERT KRAKOWSKIEGO „ECHO“

W dniach od 3 do 5 grudnia 1965 gościł na naszym terenie Chór Akademicki „Echo” z Krakowa, założony przed prze-

Kalendarz śląski 1966

Wydawnictwo „Profil” w Ostrawie w połowie grudnia ubiegłego roku wydało piąty rocznik oczekiwanego i chętnie czytanego „Kalendarza śląskiego”. Obok ukazującego się w Białym-Białej „Kalendarza beskidzkiego” jest to jedyna publikacja tego rodzaju prześlągnięta tematyką Śląska Cieszyńskiego. Stąd popularność „Kalendarza śląskiego” jest nie tylko duża wśród polskich czytelników w Czechosłowacji, ale także w Polsce. Zdaje sobie z tego sprawę redaktor rocznika — Henryk Jasiczek i dlatego wraz z zespołem redakcyjnym przywiązuje dużą wagę, by „Kalendarz śląski” był godnym spadkobiercą bogatych tradycji kalendarzowych po obu stronach Olzy, zwłaszcza jego bezpośrednich poprzedników — „Kalendarza Głosu Ludu” i „Kalendarza Zwrotu”, wraz z którymi tworzy już zbiór 21 tomów, odzwierciedlających bogatą problematykę przeszłości i teraźniejszości Ziemi Cieszyńskiej. (Przypomina tę właśnie treść załączona do obecnego rocznika — jak zwykle bardzo starannie przygotowana przez Ludwika Brożka — bibliografia materiałów publicystycznych i literackich zawartych we wspomnianych kalendarzach na przestrzeni lat 1946—1965.)

Dla środowiska polskiego w Czechosłowacji „Kalendarz śląski” jest jednak czymś więcej niż tylko zbiorem artykułów i utworów literackich o bardziej lub mniej ciekawej treści, takich, jakie zwykle spotykamy w wydawnictwach kalendarzowych. Kalendarz urasta tu do swojej antologii prac zarówno literackich jak popularno-naukowych tych wszystkich ludzi pióra, którzy działają na naszym terenie. Stąd wartość wielu opublikowanych w różnych rocznikach „Kalendarza śląskiego” (i jego poprzedników) prac jest trwalsza, niż zwykle w kalendarzowych wydawnictwach. Wydaje się, że ktoś, kto chciałby omówić dorobek np. polskich pisarzy działających w Czechosłowacji, nie mógłby napisać pełnej i wnikliwej monografii bez uwzględnienia utworów zamieszczanych w „Kalendarzu śląskim”.

W tych dwu aspektach należy też rozpatrzeć bieżący rocznik kalendarza. Spotykamy w nim wielu znanych z poprzednich roczników autorów, zawartość zaś streszcza się w artykułach publicystycznych, przyczynkach historycznych, opowiadaniach, humoreskach, wierszach, tłumaczeniach. Wachlarz zagadnień także jest duży. Od spraw ogólnych, które omawiają np. Wł. Krumnikłowa (Trudny rok), G. Przeczek (Ruch oporu w obozie koncentracyjnym w Gusen), W. Semboł (Od hieroglifów do maszyny rotacyjnej), A. Waleczek (Notatnik z Wietnamu) i E. Rosner (Literatura polska w świecie),



wiedzie droga do tematyki śląskiej. Dzięki artykulom J. Chlebowczyka, R. Danela, K. Hławiczki, W. Iwanka, A. Kołorza, J. Ondrusza, K. Piegzy, G. Przeczka, J. Szymika, Fr. Zahradnika poznajemy różne strony życia w Cieszyńskim. Zwłaszcza sprawy kulturalne są naświetlane wielostronnie. Są więc przyczynki z zakresu duchowej kultury ludu (Podania — wiedza historyczna ludu, Świat roślinny w śląskich pieśniach ludowych, Pogoda a przysłowia ludowe), są artykuły dla miłośników historii (O pożarach, powodziach i zarazach na Śląsku, Początki ruchu zawodowego górników) i miłośników muzyki (Śląski polonez ludowy), są artykuły na tematy literackie (Książka, wierny przyjaciel, Humor i satyra w prasie śląskiej), zwłaszcza ciekawy, prowokujący do dyskusji szkic publicystyczny o różnych aspektach współczesnej kultury środowiska PZKO pt. „Niedosyt czy nadmiar kultury” Wł. Sikory. Szczególną wartość wśród tych materiałów posiada cenne wspomnienie L. Brożka o Gustawie Morcinku, które lepiej pozwala zrozumieć osobowość autora „Wyrąbanego chodnika” i docenić jego zasługi dla Śląska. Jest ono przecież napisane przez długoletniego przyjaciela i współpracownika pisarza.

Literaturę piękną także reprezentuje wiele znanych nazwisk. Henryk Jasiczek obok wiersza lirycznego „Skrzypce” ogłasza „Beskidzką Antygonę” nagrodzoną w ubiegłorocznym konkursie literackim PZKO, W. Berger daje się poznać jako interesujący nowelista, A. Mańka zamieszcza humoreskę i krótkie opowiadanie, podobnie jak czyni to B. Bielan. Utwory literackie dla kalendarza przeznaczyli też A. Wawrosz, T. Stolarz, G. Sajdok obok M. Wardasówny, L. Proroka i B. Cetyny. Całość dopełniają wiersze G. Przeczka, Wł. Sikory, J. Ruckiego (piewcy Beskidów ze Szwajcarii) i J. Pištora. Ciekawy to niewątpliwie zestaw autorów, chociaż w bieżącym roczniku zaznacza się chyba przewaga publicyst-

tyki i artykułów historycznych nad publikacjami literackimi.

Dla rozrywki znalazł się w kalendarzu wreszcie także wcale obszerny dział. Nie mówiąc już o wymienionych humoreskach A. Mańki, A. Wawrosza, T. Stolarza, zamieszczono fragment z J. Kubisza o utopcach i D. Kadłubca opowiadanie ludowe „Ło dwaności zbujuńkach”. Swymi fraszkami bawi Janusz Gaudyn. Nie zapomniano w końcu o poradach dla kobiet (Wł. Rajska) i licznych dowcipach.

Kalendarz na rok 1966 nie różni się wiele od poprzednich roczników. Nie jest to ani pochwała, ani nagana. Zespół redakcyjny całkiem zwyczajnie opracował publikację dla odbiorców przyzwyczajonych do charakteru kalendarza i

dlatego nie kwapił się o wprowadzenie nowości i zmian. Należy się spodziewać, że czytelnik z tego powodu nie będzie rozczarowany. Znajdzie w nim bowiem wszystko, czego się w „Kalendarzu śląskim” spodziewa, niezależnie od tego, jakie są jego upodobania i zainteresowania i czy na treść rocznika składają się prace znanych mu już autorów, czy też nowo dla wydawnictwa pozyskanych, jak np. W. Berger, A. Waleczek i J. Rucki. Stwierdzić trzeba też dbałość, by do tekstów nie wkładały się rzeczy żenująco słabe, grafomańskie. Jedynie strona graficzna wydaje mi się mniej urozmaicona niż w latach ubiegłych. Jest to jednak tylko drobiazg wobec udanej całości.

E. R.

Prus odczytany na nowo

Można się sprzeczać — zostawmy to historykom literatury — kiedy urodził się Bolesław Prus. Choć z dwu wymienianych dat rok 1845 i 1847, ta druga zdaje się być bliższa prawdy, przyjmijmy, że było to przed stu dwudziestu laty. Może warto byłoby z tej okazji przypomnieć tego największego, po Henryku Sienkiewiczu, pisarza i nowelistę polskiego z drugiej połowy XIX wieku. Ale nie po to, by wymieniać jego dzieła czy analizować ich wartość. W swym artykule chciałbym wskazać na niewygasającą wciąż aktualność wielkiego pisarza. Był on ponadto dziennikarzem o błyskotliwym refleksie, uczulonym na ludzkie sprawy, rozumiejącym dobrze czasy, w których przyszło mu żyć. Uważany przez jednych za radykała, przez innych za konserwatystę — pozostał przede wszystkim głosicielem nieskażonej prawdy o świecie, zachowując, obok trzeźwości sądu, zawsze serdeczny stosunek do każdej ludzkiej sprawy. Z odwagą mędrca głosił „urbi et orbi” swoje „herezje”, które jednały mu wprawdzie wielu przyjaciół, ale przysparzały też i wrogów. Z jakiegokolwiek perspektywy spojrzymy na życie i twórczość autora „Lalki”, jedna prawda zdaje się nieodmienna: Prus nie przestał być nauczycielem narodu po dziś dzień. Świadczy o tym nie tylko poczytność jego dzieł. Dowodzą tego wciąż żywe, wciąż przydatne dla potrzeb społeczeństwa, budującego socjalizm, jego myśli, które krojone na miarę pozytywistycznych potrzeb, przetrwały swoje czasy, by służyć czasem, wykraczającym już poza ramy działalności pisarza.

Chcę tu przypomnieć, że napisał on dziełko, mało stosunkowo znane, w którym w misterny sposób powiązał syntezę życia z analizą. To studium filozoficzne, pt. „Najogólniejsze ideały ludzkości” jest książką o wyjątkowej wartości. Odkrywa Prusa w jego postawie filozofa, ztros-

kanego rzetelnie o los przyszłych pokoleń. Wskazuje drogi wiodące do lepszych dni. Z wrodzoną ścisłością analizuje w niej nie tylko szkieletem uczonego, ale i sercem czującym. Z psychologa zamienia się w socjologa, pedagoga — waży, mierzy, wysnuwa wnioski. Porządkuje świat wartości etycznych z troskliwą drobiazgowością, starając się dać syntezę wiadomości o człowieku. Nie jest to dzieło naukowe. Jest publicystycznym zsumowaniem myśli filozofa, który przewidział jutro. Zrozumiał on dobrze, że kultury i sztuki nie da się zaszczepić w masach, dopóki tych mas nie podniesie się na pewien stopień dobrobytu materialnego. Czytamy: „dopóki na świecie ogół ludzi nie będzie nakarmiony, odziany, osadzony w wygodnych izbach, zabezpieczony na wypadek starości, dopóty sprawa pierwszego rzędu dla społeczeństwa będzie nie poezja, nie estetyka, ale — dobrobyt, dobrobyt i jeszcze raz dobrobyt...”

A teraz sięgnijmy jeszcze do jego artykułów prasowych, drukowanych w latach 1905—1908 na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”. W jednym z nich występuje żarliwie o działanie na rzecz pokoju: „nie ma tak zajadłej walki — pisze — której nie można by zakończyć układami i ustępstwami. W każdym razie walka jest nieszczęściem, jeżeli nie występkiem, ponieważ w gwałtowny sposób niszczy siły narodowe. Ciągłe odwoływanie się do niej jest symptomem dzikości”.

W innym artykule zastanawia się Prus nad charakterem człowieka, zagubionego w tłumie spraw dnia powszedniego. Gdzie szukać ratunku, jaki obrać program działania? Odpowiadając na to pytanie głosi potrzebę „poddania się pewnym prawdom, które nakazują działać: porządnie, uczciwie, celowo, solidarnie”. A działanie to winno wypływać z zgodnej współtwórczej pracy: umysłu, uczuć, woli.

KA-KRONIKA-KRONIKA-KRONI

szło 80 laty. Dyrygentem tego chóru był przez dziesiątki lat wybitny muzyk Bol. Wallek-Walewski, który postawił go na najwyższym piedestale artystycznym. Częste wyjazdy z koncertami poza granice Polski świadczą niechybnie o jego walorach artystycznych.

Chór przybył do Czechosłowacji z trzema koncertami (Jablonków, Frydek-Mistek i Ostrawa) wraz z solistami opery krakowskiej Karolem Lehnertem, Bolesławem Pawlusem i Tadeuszem Podsiadło oraz Lesławem Grzybem — pianistą. Dyrygował Zbigniew Toffel i Adam Palka. Słowo wiążące Władysław Horacek.

Koncert w Jablonkowie był chyba pierwszą tego rodzaju imprezą artystyczną od początku istnienia tego miasta. Szkoda, że na pięknej sali nowego Domu Kultury było podczas koncertu wiele krzeseł nie zajętych. Wartoło chyba słuchać 60-osobowego awangardowego chóru polskiego z jego bogatym repertuarem. Wartoło usłyszeć w jego wykonaniu choćby poloneza z opery „Halka” oraz prologu z opery „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki, oraz utworów Maklakiewicza, Lachmana, Kurpińskiego, Gorczyckiego, Wallka-Walewskiego, Smetany, Nowikowa, Brahmsa i wielu jeszcze innych. Bardzo piękne było powitanie dostojnego gościa przez chór „Gorol”, który odśpiewaniem „Hasła” dał wyraz hołdu wielkiemu „bratu śpiewaczemu”.

MALARZ BYTOMSKI ZAKOCHANY W CIESZYNIE

Jest nim J. Jarosiewicz, który od wielu lat specjalizuje się w tematyce, mającej na celu udowodnienie, na podstawie zabytków dawnej architektury, odwiecznych praw państw słowiańskich do terenów, które przez wieki były obiektem penetracji wpływów niemieckich. W swej pasji badacza i malarza dotarł Jarosiewicz również do Cieszyna, uwieczniając na płótnie



szereg zabytkowych obiektów miejscowej architektury. Na zdjęciu Studnia Trzech Braci wraz z uliczką do niej wiodącą.

FAFIKOWE GODY

Cieszymy się, że Dyskusyjny Klub Filmowy „Fafik” w Cieszynie przetrwał trudności startowe, i dziś po dwu latach pracy, chlubić się może setną projekcją. Utrzymuje on kontakt z Klubami Przyjaciół

Dobrych Filmów w Karwinie i Czeskim Cieszynie i życzyć by mu należało, aby kontakt ten w roku bieżącym utrwalił się na stałe.

Sądźmy, że i z naszej strony poczynione powinny być w tym kierunku odpowiednie kroki.

KWARTET SMYCZKOWY P. KALETY W BYSTRZYCY

W środę 15 grudnia 1965 odbyło się w Bystrzycy uroczyste otwarcie pawilonu szkolnego, wybudowanego w czynie społecznym przez miejscowych obywateli. Członkowie Koła PZKO odpracowali przy budowie tego obiektu wiele godzin brygadniczych. Po otwarciu pawilonu i zwiedzeniu obiektu przez licznych gości i miejscowych obywateli odbyła się wspólna herbata z programem artystycznym wykonanym przez znany kwartet smyczkowy trzynieckiego JOK-u pod kierownictwem Pawła Kalety.



JUBILEUSZ WYBITNEGO LITERATA I PUBLICYSTY

5 stycznia obchodził jubileusz 50-lecia urodzin wybitny literat, publicysta i działacz społeczny Śląska Wilhelm Szewczyk. Jeden z najwybitniejszych w Polsce niemcoznawców. Redaktor naczelny dwutygodnika „Poglądy”. Były poseł do Sejmu PRL.

Urodzony w Czuchowie koło Rybnika, syn górnik, pozostał wierny ziemi śląskiej, ale zarazem podobnie jak przed nim Gustaw Morcinek, wyszedł w swej twórczości z opłotków regionalizmu, zdobył sobie trwale i poczesne miejsce w polskiej literaturze współczesnej.

Niezwykle płodny — wydał szereg poematów i zbiorów (debiutował w r. 1938 poematem „Hany”), wierszy, powieści (m. in. „Kleszcze”, „Skarb Donnersmarcków”, „Czarne słońce”, „Pogodne noce”), zbiorów opowiadań, szkiców literackich i biograficznych, przełożył kilka powieści i sztuk; ogromne ilości opowiadań, wierszy i innych utworów literackich publikował w czasopiśmie, których samo wyciszenie (czasopismo), zajmuje całą szpalę „Słownika współczesnych pisarzy polskich”.

Niemniej imponujący jest jego dorobek publicystyczny i redakcyjny.

Spółeczeństwo województwa śląskiego zorganizowało jubilatowi gorące owacje. Specjalne spotkania z pisarzem odbyły się w KW PZPR w obecności czołowych przedstawicieli województwa, gdzie życzenia złożył jubilatowi pierwszy sekretarz KW Edward Gierek oraz w Czerwionce, miejscowości, w której jubilat wyrósł.

Górnicy kopalni „Dębieńsko” z Czerwionki z dyrektorem Oldrychem Łobodzińskim na czele (pochodzi z Lutyńi), przyjechali w dniu urodzin z orkiestrą już o godz. 6.30 rano zbudzić pisarza marszem na poranną dniówkę, a delegacja z dyrektorem wręczyła mu tradycyjne górnicze śniadanie — dwie kromki chleba ze smalcem i kawę w blaszance.



BOLESŁAW PRUS.

Prus wskazuje na konieczność spełniania nieustannie użytecznych czynów. Przez nie udoskonala się charakter, a „tylko dobre charaktery tworzą dobrą organizację”.

Chorobą ludzkości — zdaniem autora „Faraona” — jest słabość woli. Wzmocnia je i hartuje drobne zwycięstwo dnia codziennego. Prus daje praktyczne wskazówki: „wstań rano o kwadrans wcześniej”, „zjedz o jedną łyżkę mniej”.

Potrzebna nam jest karność. Lecz karność podbudowana ideałami dobra i sprawiedliwości. Inaczej — upomina pisarz — jeśli karność służyć będzie złu, wieść będzie na manowce. A wskazując na przykład Niemiec pisze: „dopóki Niemcy ulegały swoim filozofom i poetom, podziwiano szlachetność tego narodu. Lecz

gdy dostały się w ręce pruskich junkrów, miejsce szlachetności zajęły rozmaite kulturkampfy, antysemityzmy, hakatyzmy i im podobne dziedziny”.

Wiemy z własnych, okrutnych doświadczeń, że system ten kontynuowany przez Hitlera i jego towarzyszy dzikość tę doprowadził do obłędu.

Prus dopomina się też poszanowania drobnego czynu, wprowadzenia go do hierarchii zasług, nie wielkość bowiem czynu decyduje, ale jego stałość i użyteczność. Punktualność, skrupulatność i dokładność — oto cnoty, którymi nie zawsze możemy się chlubić. A wszak one znaczą postęp: dotyczy to zarówno pracy społecznej (wspólnej), jak i indywidualnej.

Podstawowym celem wystąpień publicystycznych i dziennikarskich Prusa było wskazanie społeczeństwu na wielką rolę wychowania. Temu wychowaniu służy wiele instytucji, m. in. literatura i prasa. Winna ona stanowić lekturę zrozumiałą dla szerokich rzesz społeczeństwa. Dziennik — pisze w jednym ze swych wystąpień — „winien być przewodnikiem ogółu, rola jego jest olbrzymia”. Oburza się, że prasa poświęca dużo miejsca opisom zbrodni, podczas gdy czyny dobre pomija się milczeniem. To stwarza złe nałogi w społeczeństwie.

Wiele lat minęło od czasu drukowania tych myśli z książki Prusowskiej mądrości. Czy ich aktualność nie jest wciąż żywa? Czy zmieniły się nasze tęsknoty za dobrem i sprawiedliwością? Choć program polityczny zmienił życie samo, nadając mu wielki sens naszych dni, przecież podstawowe dążenia pozostały te same: szczerym owiane optymizmem i wiarą w ostateczne zwycięstwo człowieka nad sobą.

WŁADYSŁAW MOST

ŻYWE TEKSTY, ŻYWE PIĘŚNI

Jako jedyn sprzedawcą krowym

Kiejsika był jedyn biedny chłop. Bieda była, zadłóżył był, jedno drugi, chałupinym małym miot, drzewiannóm. W połówce chałupy mieszkoł, w drugi była krowa łuwionzano. Już jóm chcieli sprzedać. No i co.

Roz pos tóć krowym. Jako to piyrwi masorze chodzili po dziedzinach, no i: „Nie wiedzielibyście tu co kany do sprzedaja? — jako to było piyrw, widzóm. — „Nale dyć wycie, dyć mie chcym sprzedawać. Tak mi żół tej krowy west, ale muszim jóm sprzedać, to by mi tóć chałupym sfantowali a sprzedali.” — „Nó co chcecie za tóć krowym?” Zjednali sie tam, co za tóć krowym. I doł dzie-sięć złotych zowdanku tyn masorz. Tu prziszeł drugi masorz, zaś zebroł dzie-sięć złotych na tóć krowym. A łód każ-dego se wymówił, że jeszcze chce mie-

s'ónc jóm mieć. Tu przidzie trzeci masorz. Też zebroł dziesięć złotych zowdanku. Przidzie sztworty, piónty i to. I tyn termin m'nył. Nó tóć tak jako tu lu Samca, masorz wloz, wypił se tam cosi i to. Za chwily przidzie drugi masorz: „Na ty każ jidziesz?” — „Na tam a tam jech krowym kupił.” — „No co. Na dyć jo tóć krowe kupił.” Już sie zaczęli żrać miyndzy sobóm. Prz'szeł trzeci: „Łaszi, jo wóm dóm krowy. To je mo a,” widzóm. Zaczęli sie już prać. Sztworty: „A wy chacharzi, jo wóm dóm krowy.” Aż potym tyn piónty masorz był takowy kapkym rozsónniejsz i powiada tak: „Na jo was ludzie postóćhóm, na jako widzím, że sie darmo p'erecie. Cożyście wiedzieli, jo też kupilech tóć krowyn.” Rozmówił jich. — „Kiej żeś ty doł zowdanek?” — „Wtedy a wtedy.” — „Kiej

żeś ty doł zowdanek?“ — „Wtedy a wtedy.“ — „Kiej żeś ty?“ — „Wtedy a wtedy.“ Tóż niejp'ywri sie poprali, a potom sie zaczyli godzić. Już do tego chłopo po tóm krowym nie szli. — „Poczkej ty łachu, my cie nauczymy, co to je na jednóm krowym piyńć zowdanków zebrać“

I poszli. Już tam do niego nie szli po tóm krowym, jyny wio do syndu, widzóm. Ja, tu psokrew jedna, tu chłop dostał sztelunki do syndu. No i wio do adwokata. Przidzie do adwokata — „No co chcecie?“ — „Nó ale pan'e doktorze, nó zrobilech tak a tak — piyńć zowdanków na jednóm krowym.“ Tyn adwokat mówi: „Kurcze pieczone, jo tu ni móm ani w zokónach jako was brónić.“ A chodzíl po tej kancnaryji a nie wiedziól se rady. A tyn chłop go zaczył pytać: „Nale

panie doktorze, dyć to zrobicie, paragrafy sóm krziwe a proste. Możecie abo wyprościć, abo bardzi skrzywić“ i to. — „Posłóchejcie. W zokónach was ni mogym brónić. Jyny to mi przisziło do głowy: musicie łudować głupigo, toście ani tak móndry nie sóm, dyście piyńć zowdanków zebrał na jednóm krowym. A jo was pujdym zastympować. A łodstowcie sie, to by was szandarzi przikludzili. A co sie was syndzia spyto, nic nie łodpowiadejcie, jyny — fit. Na każde słowo tak zrobić.“ No i dobre.

I tóż sie łodstawił. No tóż ci masorze już tam w tej syjni: „Nó poczkej bestyjo, my cie nauczymy piyńć zowdanków na jednóm krowym zebrać,“ widzóm. I potym do tego syndu. Syndzia sie go pyto: „Prziznajecie sie do winy, żeście piyńć

zowdanków na jednóm krowym zebrał?“ — „Fit.“ — „Mówcie krótko a wyraźnie, czyście zebrałi piyńć zowdanków na jednóm krowym.“ — „Fit.“ Zawrzeszczól po trzeci: „Jak nie bejecie łodpowiadać, jo was niechóm zaroz zawrzzić.“ — „Fit.“ A tyn adwokat prawi: „Nale panowie, dyć widzicie, że je gupi. Cóż ście mieli łod gupigo kupować. Dyć to widzicie, że to czisty waryjot jest“ i to. No i syndzia anulowól. Poszli.

I tyn adwokat jidzie ś nim i to nó. — „Podziwejcie s'e foter, tóż by was na dziady byli łuwidyli i to. Jo wóm dobrze poradził. A teraz pójcie do moji kancnaryje a zapłóćcie mi za zastępstwo.“ — „Fit.“ — „Na czy gupniecicie?“ — „Fit.“ Przez prawo, przez zokón poradził i — „Fit.“

Opowiadał Józef Jeżowicz z Koszarzysk 19 marca 1963 w obecności towarzystwa mieszanego, złożonego wyłącznie z ludzi dorosłych. Dla takiego audytorium opowiada najczęściej kawały i anegdoty. Do tego rodzaju opowieści należy nasz wątek (T 1585 = ²AaTh 1585), który jest znany w Polsce (tylko 3 wersje) i w Czechach. Na Śląsku dotąd zanotowany nie był. Wątek T 1585 należy do tego typu bardzo rozpowszechnionych opowieści, w których człowiek prosty góruje dowcipem nad panem.

Mistrzostwo gawędziarza przejawia się tu w kompozycji scen, dialogów, które niezwykle ozywiają akcję i nadają jej szybkie tempo. Nie jest jednak w mocy słowa drukowanego dać pełny obraz mistrzostwa interpretacyjnego, brakuje tutaj bowiem strona muzyczna słowa mówionego (melodia), a także mimika i gestykulacja.

DANIEL KADŁUBIEC



Ilustrował Bronisław Liberda.

POWSINOGA — TEATRZYK SATYRY, HUMORU I FRA'ZEK — Powsinoga — Teatrzyk satyry, humoru

Na balowo-minorowo

Sezon bali — wali“ jak pisał jeden z kolegów po piórze. Znów parkany zalepione są warstwami różnokolorowych afiszy, z białymi rękawiczkami jak z kozaczkami, a dederonek także samo jak na lekarstwo. Nieomyślnie to corocznie znak, iż hasło „panem et circenses“ nie tylko nie straciło nic na swej aktualności, ale dla odniani przybrało tylko na innych kolorach.

Według moich (jak najbardziej prywatnych) obliczeń — procent przypadających na głowę statystycznego obywatela w tym roku imprez karnawałowych jest wcale pokaźny i nie wiem, nie wiem czy uda nam się uratować przed klęską doszczętną nasze mocno po świętach nadwężone sakwy.

Z nami (znaczy się mężczyznami) pół biedy: Bierzesz z kołka pierwszy lepszy zeszłoroczny garnitur, szczołkujesz go, wyjmujesz z kieszeni gałeczki trucizny

na mole i wkładasz do tejże (znaczy się kieszeni) pięć patyków i nastrój na zabawie zapewniony — ale za to z kobietami, jak wado no, gorzej! Nie udało mi się bowiem do'ąd spotkać białogłowy, która na początku karnawału miałaby co na siebie włożyć. Nie wiem, czy ów ostatnie so'ie od gęby piwo odjąć skory, byle tylko mieć spokój pod strzechą. Nie żalimyż jednak niczego towarzyszkom nasze' doręczności, wydaje mi się bowiem i to mocno, że nawet ta forma życia 'omarzusk ego przeżywa swój okres zornie'szanej prosperity. Nie wiem dotychczas czy kosztem coraz popularniejszych prywatnych ubawów, kosztem telezarazy czy lichu w'e czego jeszcze — faktem jest, że tu i tam sale balowe zaczynają świecić pustkami. Rozłuskanie tego orzeszka pozostawiam nie tylko spero n od ekonomii i socjologom. W stosunku bowiem do czasów przedwo-

jennych nie ma już bali, na których trzeba było się z tych czy innych względów pokazać. Matka moja po dziś dzień wspomina, jak to na „šibřinkach“ pewnej wpływowej organizacji gospodarki przez tydzień karmił n'erogaciznę kartoflanymi placzkami, które balownicy pozostawili pod stołami. Do sfer legend z zamierzchłych czasów należą wspomnienia o elegantach w pożyczonych frakach z przymocowanymi na sznurkach mankietami. Po prostu nie te czasy panowie i już! Gwałtownie ubył także typów z tak zwanym gestem, czyli nie zrażonych niczym fundatorów i hulaków, którzy go'owi byli zdjąć z siebie ostatnią koszulę w imię hasła „jak się bawił to się bawił, portki sprzedał — frak zastawił“.

Nie mogę niestety powiedzieć jak to było przed wojną, ale pamiętam, jak to po wojnie ławiono się na przykład na balach szkolnych w Łąkach u Urbanka.

O wpół do dziewiątej rano co słabsi (na duchu) muzycyanci uciekali ze sceny przez tylne okno, albowiem żądny zabawy naród nie chciał ich puścić za nic na świecie. Kolega Zuczek może wam opowiedzieć o balach, które kończyły się na drugi dzień wieczorem, co było kiedyś tradycją nie tylko Koszarzysk.

— Cóż u licha — powie w tym miejscu niejeden z czytających, zdurniał ten Procner, czy co? Na samym początku jak nie zacznie wyliczać ilości balogodzin na obywatela od wieku niemowlęcego poczynszu, a już po paru rządkach posy-

puje sobie głowę niczym w środę popielcową?

Nie przejrzawszy moich zakamuflowanych intencji, jedni zostaną w sobotę przy swoich telewizorach (ci tak czy tak byliby zostali), podczas kiedy druzgocąca większość ruszy hurmem na swojskie imprezy, by zadokumentować, że jeśli o zabawę chodzi, to my jeszcze „ho, ho”. I dobrze zrobią, kiedyż bowiem chcesz się bawić narodie nieszczęsny, jeśli nie w karnawale — co?

BRONISŁAW PROCNER



Czytajmy naszych klasyków

W naszej Instytucji Uspokojonej do książki nikogo nie trzeba naganiać. Wiadomo — Miesiąc Oświaty, Książki i Prasy — zna się coś niecoś z tego PZKO. Wszyscy czytają, zwłaszcza kryminały. Tylko interesanci raz po raz przeszkadzają. I to w najbardziej interesujących miejscach. Już, już, detektyw wyjmuję z zupy utleniony włos, po którym rozpozna zbrodniarza, a tu przychodzi pan Moczygęba, żeby mu jakiegoś zaświadczenie wystawić stwierdzające wydatki pogrzebowe. Już, już dziewczyna omdlewa w ramionach kochanka i bóg jeden wie, co za chwilę może się

stać, a tu zjawia się pani Mydlarska i najbezzelniej w świecie domaga się wystawienia jej delegacji służbowej. Tak brak zrozumienia dla czytelnictwa ze strony petenta. Nawet pan kierownik coś tego — szura pod nosem. Nie wiem o co mu chodzi. Ale dzisiaj zemściłem się. Przylapałem go na lekturze „Ducha w czerwonym monoklu” — zaraz mu krzyknąłem na całe gardło do ucha, kto zamordował hrabinę. Od tego czasu zaczął mi się kłaniać i to na korytarzu, nawet trzy razy dziennie.

Zupełnie jak ten Mydełkiewicz. Tylko, że tamtemu pożyczyłem kiedyś niebacznie „Mrowisko” prowincjonalnych autorów. Czytał długo, gruntownie, miesiąc, dwa, trzy... Wreszcie skończył, ale nie oddał. Pół roku później pożyczyłem mu H. Jasieczka i też nie oddał. Pożyczył z kolei swemu znajomemu, ten zaś miał kilku serdecznych przyjaciół, którzy też chcieli przeczytać. Zaś siostra ostatniego z nich nie mogła odmówić tej grzeczności żonie znajomego. Początkowo Mydełkiewicz tłumaczył się, potem przeproszał, stopniowo zaczął mnie unikać, a wreszcie znienawidził widocznie, jako chodzący wyrzut sumienia i całkiem przestał zauważać moją osobę.

Ale ja mu tej książki Jasieczka i tak nie daruję. Bo ja kocham literaturę. Wielkie nieszczęście w tym, że zapomniałem jej tytuł. Bo ja tylko namiętnie kolekcjonuję książki. W mojej bibliotece są najciekawsze pozycje z wszystkich bibliotek, niektóre nawet są oznaczone „Exlibrisem” jako własność prywatna. Nie, nie ja sam... Mój kolega Wiktor jest nawet posiadaczem unikatów książki Piotra Bezrucza i ten tytuł zapomniałem. Pamiętam tylko, że jest w niej mowa o tych siedemdziesięciu tysiącach.

Mój kolega Wiktor też bardzo lubi literaturę. Z każdych wczasów przywozi chociaż jeden skromny tomik z dyskretną pieczątką Rady Zakładowej tych wczasów.

Jedynie książkę kucharską dla żony musiał kupić za własne pieniądze. Rozumiem, że na wczasach nie daje się ludziom takiej lektury, żeby nie rozdrażniać gości. Ale w innych bibliotekach taka książka powinna chyba być.

Brakuje mu też jeszcze dzieła „savoir-vivre'u”. Aż tak bardzo nie zależy mu na zasadach towarzyskich, żeby z własnej kieszeni wydawać 75 koron, ale gdyby udało mu się tę książkę zdobyć w jakiejś bibliotece, to skorzystałby chętnie. Tak powiedział mi w dyskrecji — słowo daję...

Bo ostatecznie intelektualście, kolekcjonerowi książek, nie zaszkodzi, jeśli będzie posiadaczem książki Savoir-vivre'u. No tak, u nas w Kocitapkach wszyscy kochają kryminalną lekturę. Czytamy w pracy, autobusie, ogonku przed domem towarowym, tylko w domu nie! Ostatecznie, wielkie rzeczy... inni mogą, a my nie? W domu, przy małej czarnej warto w skupieniu przeczytać klasyków, autorów naszego regionu, no i... Monografię PZKO, żeby długo pamiętano.

ALOJZY MAŃKA

Fraszki

Westchnienie

Oj, jadło by się, jadło,
Gdyby nie zwierciadło.

Gdyby

Gdyby tak padać od Amora strzał,
Leżałoby ciało!

Oskrupulatności

Niektórzy nawet w matnie
wpadają skrupulatnie.

JANUSZ GAUDYN



Ilustrował Bronisław Liberda.



Cena Kčs 1,—

ROK 18 — (Nr 195)

Czeski Cieszyn, luty 1966

W NUMERZE:

O kwestii narodowościowej ★ „Barrandov”
to nie tylko ateliery ★ Powrót ★ O szkol-
nictwie bez nauczyciela ★ Na marginesie
sejmików PZKO ★ Piękne wspomnienia ★

Czekamy na Gogota

Kulig zjeżdżał z Potomu. Konie szły
rażno i ciągnęły sznur sanek,
który na zakrętach przechylał się.
Wtedy właśnie wesołość wybuchała naj-
głośniej.

Wiatr rzucał na głowy drobniutki piach
śniegu. Wszystko wchłaniał las i mrok.
Księżyc wypłatywał się z gór poza Gtro-
wą śpiesząc na nocny karnawał. Pozo-
stawał sam...

Pamiętasz?

Sentymentalne to, nierealne, ponieważ
przychodzi poprzez wspomnienie, wykló-
ca się z tobą o — prawo do życia,
o trochę prywatnego czasu na za-
patrzenie się, na zapomnienie się wobec
śniegu, gór, wobec spraw pierwszych
i ostatnich.

Pamiętasz?

Ale tak niestety urządziliśmy życie, że
kogoś stać, a kogoś nie. Ktoś, kto zdo-
był się na samochód, dysponuje również
czasem, umie żyć. Ktoś inny przychodził
z pracy i znowu pracuje — dla społe-
czeństwa, dla tych wszystkich, których
stać na samochody, których stać na
smakowanie życia, ale którym egoizm
nie pozwala na uczciwy podział pracy
w społeczeństwie równych sobie ludzi,
w społeczeństwie socjalistycznym.

A potem, kiedy coś się nie udaje, do-
chodzi do dialogów. Mówią przede wszy-
stkim ci, których było stać. Oskarżają: —
Oni! Ci, którzy pracowali — jak praco-
wali?! Dlaczego?!

I ogólnie się czeka, co i jak załatwią
ci pracujący? Skąd wydobędą tro-
chę jeszcze potrzebnego dobrobytu —
przecież żyjemy w socjalizmie... Ogól-
nie się czeka — bez zakasywania ręką-
wów, bez własnej dobrej roboty, myśli,
wynalazczości. Czeką się w samocho-
dach, w komfortowych mieszkaniach, w
świetnie skrojonych garniturach i szpi-
lczkach — na to, co zrobią ci pra-
cujący, ci, których nie stać na bez-
myślny stosunek do życia. Ci, którzy nie
czekają na Godota.

—Saw—

Foto Rudolf Fierla.



A 80/94
25.000,-

O kwestii narodowościowej

OD REDAKCJI

Publikujemy pierwszy artykuł wybitnego teoretyka kwestii narodowościowej dr Pomaizla z Pragi. Autor zajmuje się w nim sprawami ogólnymi, teorią. W następnych poruszy kwestię narodowościową w naszym kraju oraz ustosunkuje się do publikowanych dotychczas w naszym piśmie materiałów, dotyczących tego zagadnienia.

Zostałem zaproszony do dyskusji o kwestii narodowościowej, prowadzonej na łamach „Zwrotu”. Czuję się niezwykle zaszczycony zaufaniem, jakie okazali mi przez swe zaproszenie polscy towarzysze i chcę im za nie szczerze podziękować. Chętnie korzystam z okazji, która — mam nadzieję — może przysłużyć się do lepszego wzajemnego zrozumienia Polaków i Czechów i do głębszego zrozumienia problematyki narodowościowej u nas.

Nie chciałbym owszem zawieść nadziei czytelników. Zwracam więc uwagę, że kwestią narodowościową zajmuję się przede wszystkim jako teoretyk. Nie znam szczegółów tej problematyki w okręgu ostrawskim. Trudno mi więc zajmować stanowisko do szczegółów, na które zwróciły uwagę poprzednie artykuły. Problemy te są jednak częścią składową kwestii narodowościowej w ogóle. Mają one obok zupełnie specyficznych, niepowtarzalnych, tylko miejscowych, albo związanych z konkretnymi ludźmi przejawów, również momenty ogólniejsze, wspólne szerszemu ogółowi zjawisk. Z tego więc ogólniejszego punktu widzenia postaram się do nich przystąpić.

Z moimi poglądami osobistymi można się oczywiście zgadzać, albo też nie — nie czynię sobie w ogóle prawa na ich nieomyślność.

Tyle na wstępie.

Kwestia narodowościowa jest na tyle złożona, a jej znaczenie oraz związki w ramach społeczeństwa i jego rozwoju są na tyle nieznane (albo się na nie — nawet i na najbardziej podstawowe — chętnie zapomina), że zawsze, kiedykolwiek o niej piszę, staram się wprowadzić ogólniejszy wstęp. Przyznaję, że nie oddziałuje to zbyt dobrze. Ludzie oczekują odpowiedzi na konkretne pytania, a zamiast tego podają im się uwagi ogólne. Ma to jednak swoje uzasadnienie. Proszę czytelnika o trochę cierpliwości. Bez wyjaśnienia bowiem tych podstawowych zagadnień, nie można właściwie pojmować zagadnień więcej szczegółowych, do których chcemy w końcu dotrzeć.

1. Kwestia narodowościowa jest tylko jednym przejawem rozwoju ogólnospołecznego, ważnym wprawdzie i niezwykle

delikatnym, ale jednak nie głównym ani decydującym. Jej rozwiązywanie uzależnione jest od ogólnych przemian społecznych, przede wszystkim od zmian ustroju socjalno-ekonomicznego i od podstawowych zmian systemu politycznego społeczeństwa.

Ta podstawowa teza marksizmu o kwestii narodowościowej nie jest dla kogoś, kogo palą problemy narodowościowe, na pierwszy rzut oka zbyt popularna. Dużo atrakcyjniejsze może się wydawać nacjonalistyczne podnoszenie postulatów narodowych ponad wszystko pozostałe. Pomimo tego powierzchownego wrażenia, jest pojęcie marksistowskie słuszne, odpowiada ono rzeczywistości stanowi rzeczy i rzeczywistym wzajemnym związkom kwestii narodowościowej w społeczeństwie i w jego rozwoju, a pojęcie nacjonalistyczne jest nieprawdziwe, sprzeczne z prawdziwym znaczeniem i rzeczywistą rolą postulatów narodowych.

Ten na pozór paradoks (jeśli walczę o interesy narodowe, to nie mogę je stawiać ponad wszystko pozostałe) nie zawiera nic tajemniczego. Wypływa tylko z rzeczywistego, obiektywnego zaszeregowania kwestii narodowościowej w społeczeństwie.

2. Jeśli podkreślamy częściowy, drugorzędny, podległy charakter kwestii narodowościowej, to jeszcze nie znaczy, żebyśmy ją chcieli bagatelizować. Kwestia narodowościowa jest ważnym przejawem szczególnie współczesnego rozwoju społeczeństwa. Jest wprawdzie uzależniona od pozostałych, przede wszystkim ekonomicznych, socjalnych i ogólnopolitycznych momentów rozwoju społeczeństwa, ale nie jest tylko jego pasywnym

odbiciem, wyrazem czy wynikiem. Jest relatywnie samodzielną dziedziną w ramach społeczeństwa. Ma swe specyficzne, odróżniające ją od innych dziedzin problemy i zadania. Ma i swe relatywnie samodzielne, specyficzne prawa, które wprawdzie mają łączność z prawami ekonomii, nie można jednak o nich powiedzieć, żeby się wzajemnie pokrywały. Relatywna samodzielność kwestii narodowościowej oznacza owszem jeszcze więcej. Aczkolwiek jest, jak ciągle podkreślamy, w zasadzie niesamodzielną, to oddziałuje jednak na rozwój ekonomiczny i polityczny społeczeństwa, a tym samym go do pewnego stopnia od siebie uzależnia.

Co to oznacza w praktyce? Przede wszystkim to, że o ile z jednej strony warunkiem pozytywnego rozwiązania problemów narodowościowych jest osiągnięcie socjalizmu i postępu w jego budowie, o tyle z drugiej strony nie można rozwiązać budownictwa socjalistycznego bez właściwego rozwiązania problemów narodowościowych.

3. Kwestia narodowościowa jest — ogólnie biorąc — kwestią uboczną i podporządkowaną. Istnieją jednak szczególne sytuacje, kiedy (nie tylko, że ludzie sobię tego życzyli, ale w wyniku obiektywnych warunków historycznych) dostaje się na czoło wszystkich problemów i zadań społecznych. Jeśli ogólnie przyjmujemy, że stawianie problemów i zadań narodowych ponad wszystko pozostałe jest nieprawdziwym, nacjonalistycznym powiększaniem ich rzeczywistej roli, które jest szczególnie szkodliwe dla walki rewolucyjnej ludzi pracy o socjalizm, to w tych szczególnych sytuacjach, (których owszem nie wolno mieszać i mylić z ogólnym „normalnym” stanem kwestii narodowościowej), wygląda to inaczej. Chodzi o to, że jeżeli problematyka narodowa czy narodowościowa wysunęła się w tym wypadku obiektywnie w rzeczywistości na czoło, jest nie tylko



Zima w Parku Sikory. Foto Br. Bielan.



Foto Bronisław Bielan.

możliwe lecz wprost konieczne, żeby na czoło zostały wysunięte i postulaty narodowe i żeby poprzez ich rozwiązanie zostały wywalczone problemy i postulaty pozostałe, nie wyłączając podstawowych socjalno-ekonomicznych i ogólnopolitycznych.

I przy takim, na swój sposób wyjątkowym zaszeregowaniu kwestii narodowościowej, pozostają stosunki socjalno-ekonomiczne i ogólnopolityczne podstawowymi. Ani owo wyjątkowe wysunięcie kwestii narodowościowej na czoło nie narusza jej ogólnego podporządkowania się wobec ekonomiki i podstawowych zmian politycznych.

Przykład:

Dla kraju kolonialnego jest osiągnięcie wolności narodowej i niepodległości warunkiem ich ekonomicznego, politycznego i kulturalnego rozwoju. Jeśli jednak przy osiągnięciu niepodległości w tych krajach nie dojdzie do głębokich, rewolucyjnych przemian ich struktury społecznej, to jest przede wszystkim przemian socjalno-ekonomicznych, wtedy osiągnięta wolność i niepodległość jest niepewna, często tylko złudna. Kraj staje się znowu zależnym, a czasem traci na nowo niepodległość.

Dlaczego zwracam uwagę na owo specyficzne znaczenie kwestii narodowościowej? Przecież i bez tego jest już dosyć skomplikowana! Piszę o tym dlatego, że do takiej specyficznej sytuacji dostała się w czasie drugiej wojny światowej kwestia narodowościowa krajów ujarzmionych przez faszyzm. Bez zrozumienia tych spraw nie można zrozumieć kwestii narodowościowej u nas. Zrozumieć właściwie ową specyficzność kwestii narodowościowej oznacza uświadomić sobie przede wszystkim jej odrębność i swego rodzaju wyjątkowość, jej zależność od szczególnych warunków, jej znaczenie tylko dla pewnych okresów historycznych itd.

Tego nie rozumie wielu ludzi, nawet i niektórzy teoretycy kwestii narodowościowej. Transponują to, co obowiązywało w okresie okupacji, ewentualnie od okresu, kiedy faszyzm zaczął zagrażać naszym narodom, na inne sytuacje historyczne, albo co gorsza, uważają zaszeregowanie kwestii narodowościowej nie za specyficzne (a związaną z tym politykę za wyjątkową), lecz za ogólne, zwyczajne, normalne ważne zawsze i w każdej sytuacji. Nie uświadamiają sobie przy tym, że schodzą z gruntu marksizmu, i popadają, aczkolwiek nieświadomie, w nacjonalizm z wszystkimi wypływającymi z tego konsekwencjami.

4. Od przesunięcia kwestii narodowościowej na naczelne miejsce pod wpływem obiektywnych warunków historycznych należy odróżnić jej ożywienie, zaktualizowanie, wysunięcie się na czoło w wyniku przyczyn subiektywnych, np. błędów, które przenikają do działania ludzi, do pewnych decyzji i przemieniają się tak w obiektywną rzeczywistość, której nie można ignorować i trzeba się z nią liczyć itd. Z pewnym uproszczeniem można powiedzieć, że jeśli w pierwszym wypadku chodzi o prawidłowe rozwinięcie kwestii narodowościowej, to w drugim wypadku chodzi o jej rozwinięcie przypadkowe.

Z wielu możliwych wariantów i z wielu rzeczywistych wypadków historycznych takiego „sztucznego” wysunięcia kwestii narodowościowej, niezgodnego z jej obiektywnym zaszeregowaniem, znaczeniem, potrzebami i możliwościami, zwrócę uwagę tylko na jeden, który ma bezpośredni związek z interesującymi nas problemami.

Socjalizm stwarza ogólnie korzystne warunki do zadowalającego rozwiązania kwestii narodowościowej. Ucisk narodowościowy jest jedną z form i jednym z wyników ucisku klasowego. Likwidacja ucisku kapitalistycznego oznacza likwidację podstaw również ucisku narodowościowego, wszystkich jego przejawów, sporów, nienawiści, braku zaufania itd. między narodami. To odpowiada podstawowej zależności i podporządkowaniu kwestii narodowościowej wobec zmian socjalno-ekonomicznych i politycznych. Z relatywnej samodzielności kwestii narodowościowej, z jej relatywnej niezależności od rozwoju socjalno-ekonomicznego i politycznego jednak wynika, że likwidacja starych stosunków między narodami i narodowościami opartych na nierównouprawieniu, nienawiści, braku zaufania... nie następuje automatycznie ze zmianą ustroju socjalno-ekonomicznego i politycznego. Te podstawowe zmiany stwarzają wprawdzie możliwość likwidacji starych warunków i wytworzenia nowych. Możliwość tę należy jednak urzeczywistnić odpowiednimi decyzjami w dziedzinie stosunków narodowościowych. A to — jak zresztą wszystko w społeczeństwie — jest uzależnione od działania ludzi, od ich uświadomienia, od ich zrozumienia czy też niezrozumie-

nia, od ich zdolności czy nieudolności itd.

Lenin, którego pryncypialności a równocześnie realizmu nie można nie podziwiać, był sobie świadom tych momentów i sytuacji. Bronił niezłomnie socjalizmu i jego ogromnych możliwości przed szkalowaniem i nieprzyjaciółmi. Nie upraszczał jednak nadzwyczajnej złożoności budowania nowego społeczeństwa. Liczył się z tym, że i po rewolucji socjalistycznej nie zanikną automatycznie stare wyobrażenia narodowościowe w myśleniu wielu ludzi. Dopuszczał też możliwość, że zwycięski proletariatus może i po rewolucji socjalistycznej — w wyniku złożoności kwestii narodowościowej, w wyniku jej niezrozumienia itd. — kontynuować starą, odziedziczoną po burżuazji politykę narodowościową. Wielkość Lenina była jednak w tym, że ta możliwość nie prowadziła u niego do niewiary w socjalizm. Na odwrót, był przekonany, że nauki wyciągnięte z błędów i niepowodzeń doprowadzą proletariatus na właściwą drogę, do polityki odpowiadającej charakterowi i możliwościom socjalizmu.

Dziś, po krytyce kultu jednostki, wiemy wszyscy, że dopuszczanie możliwości błędów w polityce narodowościowej przez Lenina i w ustroju socjalistycznym, nie było czczym filozofowaniem. Uprozczone rozumienie marksizmu i fałszywa idealizacja socjalizmu, jakim w przeszłości ulegliśmy, pomogły do tego (oczywiście z charakterem i zasięgiem błędów), że zdemaskowanie błędów oddziaływało tak szokująco. Niektórzy ludzie popadli w wyniku tego w histerię, przedstawiali ufać możliwościom socjalizmu, zaczęli uważać internacjonalizm za niezdolny do rozwiązania stosunków między narodami itd. Zamiast odróżnić deformacje od zasady, zamiast domagać się pełnego wprowadzenia zasad socjalizmu i internacjonalizmu, odeszli z pozycji marksistowskich i zaczęli zamiast internacjonalizmu polecać tylekroć już zbankrutowany i tylekroć w ruchu robotniczym zdyskredytowany nacjonalizm.

Odrzucając te defetystyczne poglądy i broniąc socjalizmu, nie zajmujemy równocześnie niekrytycznego stanowiska wobec niektórych konkretnych, a dotychczas niedoskonałych jego form. O ile ma być nasza ocena sprawiedliwa i słuszna, musimy mieć na pamięci szereg spraw. W żadnym z dzisiejszych krajów socjalistycznych nie istnieje jeszcze zupełnie „czysty” socjalizm, który by wyrastał już ze swej własnej bazy i był pozbawiony niedociągnięć, które odziedziczył z kapitalistycznej przeszłości. Nie można oczywiście zwać wszystkich niedociągnięć na kapitalistyczną przeszłość; szczególnie tych, które zawinił sam. Rzeczywistego dziedzictwa kapitalizmu jest owszem w każdym kraju socjalistycznym, a więc i u nas, jeszcze dosyć. Zobaczymy to później przy analizie kwestii narodowościowej u nas. Kiedy oceniamy politykę, to znaczą subiektywną działalność ludzi, partii, państwa

itd. — to musimy zważyć wszystkie obiektywne okoliczności, obiektywne przeszkody i obiektywne możliwości i konfrontować z nimi ową działalność subiektywną. Przy ocenie polityki z polityką narodowościową włącznie dochodzi do dwu niewłaściwości: do ignorowania obiektywnych warunków i do podawania subiektywnych błędów za obiektywne niedociągnięcia; z czego powstają iluzje, że te niedociągnięcia mogą być łatwo usunięte, że wystarczy subiektywna ochota i życzenie, że można przeskoczyć konieczne etapy rozwoju, dostać się nad obiektywnie dane możliwości itd.

Zupełnie odwrotnym błędem jest usprawiedliwianie i zakrywanie niedociągnięć i błędów wynikłych z nieznamośności, z niewłaściwej działalności, z niechęci i z niezdolności rozwiązywania sprawy, mówieniem o domniemanych przeszkodach obiektywnych. Trudno powiedzieć, który z obu błędów jest gorszy. Metodologicznie mają oba tę samą podstawę: ignorowanie rzeczywistości. Chociaż to bardzo trudno, musimy przy naszych rozważaniach o kwestii narodowościowej unikać obu tych błędów.

5. W ramach ogólnych uwag o kwestii narodowościowej muszę poruszyć jeszcze jedną, dotyczącą konieczności rozumienia tej kwestii w całym jej kompleksie. Kwestia narodowościowa ma wiele momentów — ekonomiczny, socjalny, polityczny, prawny, kulturalny, ideowy, organizacyjny, kadrowy, terenowy, językowy i szereg dalszych, a każdy z nich dzieli się znów na dalsze i dalsze przejawy, problemy, zadania itd. Oczywiście, że wszystkie te momenty nie są jednakowo ważne. W niektórych sytuacjach może wysunąć się na czoło raz ten, innym razem następny. To owszem nijak nie neguje konieczności widzieć i rozumieć kwestię narodowościową w całym jej kompleksie.

W praktyce dochodzi czasem z różnych przyczyn i pod wpływem różnych situa-

cji do zapomniania o tej zasadzie. Kwestia narodowościowa redukuje się tylko do niektórych przejawów, nie zawsze głównych i najważniejszych, a na pozostałe albo się zapomina, albo im się przyznaje mniejsze znaczenie. Lecz i zapominanie na choćby znaczeniowo drugorzędne, ale realnie istniejące momenty, problemy itd. w kwestii narodowościowej, jest niesłuszne. W każdej dziedzinie, o której się zapomina, gromadzą się problemy, powstają trudności, a jeśli to trwa długo, mogą wyrósć — albo obiektywnie, albo przynajmniej w świadomości ludzi — do takich rozmiarów, że — pomimo swej drugorzędności i małego znaczenia — mogą się stać poważną przeszkodą dalszego rozwoju. Konkretnie: nasza partia przy rozwiązywaniu kwestii narodowościowej kładzie słuszenie nacisk na ekonomikę. Niektórzy ludzie uważają, że jakoby zarządzenia ekonomiczne rozwiązywały w kwestii narodowościowej wszystko, i to automatycznie, bez odpowiednich politycznych, kulturalnych, ideowych, kadrowych itd. decyzji. Jednostronny ekonomizm i niedocenianie momentów politycznych w kwestii narodowościowej prowadzi czasem do tego, że o wydatkach materialnych na politykę narodowościową decyduje się z punktu widzenia ekonomicznej efektywności i rentowności, której wprawdzie nie można pomijać, ale nie może ona grać głównej roli. Inny przykład: Pomimo że uważamy się za materialistów i poglądy ludzi oceniamy według praktycznych czynów, chodzimy często z zawiązanymi oczyma wokół istniejących niedociągnięć i wyobrażamy sobie, że wystarczy piękne słowa. Warto by wyliczyć jakie praktyczne, a czasem wprost materialne szkody, ile zbytecznie nadużywanej ludzkiej energii kosztuje nieudolność albo niechęć przeprowadzenia niektórych zarządzeń, które są z ogólnego punktu widzenia wzięwszy — często bardzo drobne — jako np.

wprowadzenie dwujęzycznych napisów itd. Jak możemy się potem dziwić, że dla niektórych ludzi redukuje się kwestia narodowościowa do walki o napisy? Itd. itd.

Kwestia narodowościowa tworzy pewną całość i z tego punktu widzenia musimy do niej podchodzić, jeśli ją chcemy właściwie rozwiązywać, jeśli nie chcemy, by stała się przeszkodą w ogólnym rozwoju społeczeństwa.

Dr KAREL POMAIZL,

pracownik Instytutu Filozofii
Czł. Akademii Nauk, Praga



Agatka — tytułowa postać obecnie wystawiana przez zespół „Bajka” sztuki „Choinka Agatki”. Foto E. Mrózek.

W świecie robi się coraz głośniej wokół czeskiego i słowackiego filmu. To nie jest slogan, ani cytaty propagandy. Po prostu zapanowała koniunktura, filmy produkcji czechosłowackiej otrzymują wysokie odznaczenia na festiwalach międzynarodowych.

W przeddzień wyjazdu na „Barrandov” spotkaliśmy się z szefdramaturgiem barrandowskiej wytwórni filmowej tow. Fr. B. Kuncem.

„Nasz film rozwija się prawidłowo — mówił — tworzą reżyserzy różnych generacji, poglądów, i reżyserzy o różniowanym języku filmowym. Jeśli mam mówić o osiągnięciach minionego roku, to trzeba wymienić jak młodych reżyserów (Schorm „Každý den odvalu”, For-

man „Lásky jedné plavovlásky”, Maša i Čuřík „Bloudění”), tak również reżyserów średniej i starszej generacji. Nigdy nie zapomnę filmu Kadára i Klosa „Obchod na korze”. Według mego zdania jest to najwybitniejsze osiągnięcie naszego filmu w ostatnich latach. Dalej K. Kachyňa „Ať žije republika” i Brynych ze swoim filmem „A pátý jezdec je strach”. W rozwoju naszej kinematografii nie można nie zauważyć szerokiej palety tematów i środków wyrazu. Otrzymaliśmy właściwy kierunek rozwoju i udowodniliśmy jego słuszność i żywotność. Filmy te spełniają wymagania, jakie wysuwa się pod adresem filmu realistycznego i filmu socjalistycznego.”

Nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć,

gdzie znajduje się w Pradze Barrandov. Moje wyobrażenia o tej fabryce filmów były zupełnie inne niż rzeczywistość. Nie chcę jednak zanudzać swoimi wyobrażeniami. A rzeczywistość?

Wejście jak do zwykłego przedsiębiorstwa przemysłowego. Portier, kontrola dokumentów i udajemy się w towarzystwie p. I. Bystrova na błyskawiczną przechadzkę po Barrandowie.

Wchodzimy do ogromnych hal, które są atelierami. W każdej hali ruch, robotnicy przygotowują i demontują dekoracje. Hala nr 1: ekipa reżysera Jasný'ego kończy zdjęcia do filmu wg opowiadań I. Erenburga „Dýmky”. Dekoracje imponujące. W hali nr 6 zupełnie inny świat. Znajdujemy się na rynku miasteczka, zaraz obok monumentalny okręt, przed którym stoi balon powietrzny przygotowany do akcji. To właśnie atmosfera powieści J. Vernego. Reżyser Zeman dyskutuje ze swym asystentem. Za kilka dni rozpocz-

nie pracę nad zdjęciami do filmu „Dwa roky prazdnin”.

Przechodzimy przez dziedziniec, w hali nr 7 robotnicy demontują dekoracje, w których jeszcze wczoraj reżyser Krška robił zdjęcia do filmu „Poslední růže od Casanovy”.

Następna hala przypomina ciekawy mikroświat cyrkowców. Oglądamy marynetki z napisem „Cirkus international”. Jutro rozpoczyna tu pracę reżyser Frič. Będzie realizować film „Lidé z marinotek” wg powieści E. Bassa.

Trzeba świetnej organizacji pracy, żeby to wszystko z sobą pogodzić. Nie może być dłuższych przestojów, bo każdy dzień jest dosłownie drogi. Wynajęcie hali kosztuje od 6000 do 10.000 Kčs dziennie.

Przechodzimy koło tzw. montażowni (montaż filmów) i stajemy przed wspaniałym zamkiem. Tak, to zamek dla zachodnoniemieckiej wytwórni filmowej. Niedawno realizowali tu film „Robin Hood”. Poniżej zamku wioska. Wioska, która jest prawie zupełnie pod śniegiem. Znam ją z filmu „Daňbuján a Pandrhol”.

To na tych bezlistnych obecnie drzewach rozwieszano w filmie kielbasy. Kilkanaście metrów dalej świat westernów. Rynek miasteczka. Kręcono tu „Limonadowego Joego”.

Okropny mróz. Wszędzie pusto. Wchodzę do środka „kowbojskiej” karczmy, żeby się choć trochę ogrzać. Przypominam sobie to, co powiedział F. B. Kunc.

„Nie można twierdzić, że zbieraliśmy same laury. W naszej twórczości filmowej odnotowaliśmy naturalnie i niepowodzenia. Jest to logiczne (i ma się rozumieć nie do uniknięcia) w każdej gałęzi twórczości artystycznej. Nie mogę nawet obiecać, że owe niepowodzenia nie będą w przyszłości występowały. Musimy się jednak zatroszczyć o to, żeby przy eksperymentowaniu liczba niepowodzeń była logiczna i możliwa do udowodnienia.”

Wracamy do głównego budynku. Przyjemna atmosfera klubu, zapalamy papierosy. Dyskusja toczy się o tym, że z widzem coraz niewyraźniej.

Sprawa widza w kinach jest obecnie jednym z najpoważniejszych problemów

naszego filmu. W przeszłości udawało się zyskiwać widza filmami „Starci na chmelu”, „Kdyby tiś klarnet”, „Atentat” i inne. Na drugiej stronie film „Démanty noci”, „Obžalovaný” i in. były niewypalami w sensie uczestnictwa widza. Były to filmy eksperymentalne. Nie jest to spowodowane stanem kinematografii. Sedno spoczywa w tym, że nie wychowujemy widza. Dystrybucja filmów działa wręcz odwrotnie. Kroczy po najmniejszej drodze oporu. Klasycznymi przykładami są: „Vinnétou”, „Kapitán Fracasso”, „Syn kapitána Blooda”.

W drodze powrotnej szereguję fakty. Wydaje mi się, że resumé tego artykułu mogą stanowić słowa F. B. Kunca: „Po XII Zjeździe okazano artystom wielkie zaufanie. Tworzymy dziś w warunkach wolności twórczej. Myślę, że póki te sprzyjające warunki będą oddziaływały na dalszy rozwój — to można prawie z pewnością powiedzieć, iż źródło talentów będzie niewyczerpalne, a ciągłość pomysłu rozwoju nieprzerwana.”

WILHELM PRZECZEK

Szaro już było na świecie, kiedy Jano Lachulok, gazda z Sałajki, „osęką” podważył ostatnią belkę i zrzucił ją z sani na ziemię. Wyprostował się powoli, obtarł rękawem pot z czoła i rozejrzał się po świecie. Zima była już w całej pełni. Wszędzie biała i dziwnie uroczyście. Już drugi dzień sypał miękkie, puszysty śnieg i pokrył ziemię grubym całunem.

Z dała, przez gęsto padający śnieg, migotały żółte światełka lamp dworca nawsiańskiego, skąd dochodził otepiony gwizd lokomotywy. Nadjechał widocznie pociąg od Cieszyna, bo było widać sznur słabo oświetlonych okien i dochodził odgłos ludzkich głosów.

Jano Lachulok ściągnął z rąk grube wełniane rękawice, sięgnął do kieszeni po krótką fajkę, nasypał tytoniu, ubił kciukiem i zapalił. — Ulżało mu jakoś na sercu, kiedy pierwszy kłąb dymu wypuścił z ust. Dowiedział oto szczęśliwie drzewo do Nawsia i zarobił kilka koron, które w domu są tak potrzebne. Przecież wojna strasznie zrujnowała jego gospodarstwo. Cztery lata tułał się po świecie jako żołnierz. Poszedł w sierpniu 1914 roku a wrócił dopiero w listopadzie 1918 roku. Nie dalej jak przed miesiącem wracał z Włoch głodny, oberwany i schorowany. Ciężki to był powrót, bo już i zima dawała się dotkliwie we znaki. Zdało się niekiedy, że mu sił braknie, że się zgubi w tym ludzkim mrowiu i nigdy już nie wróci do domu. Ale wtedy odżywał w nim ten wrodzony upór góralski i ta tęsknota za stronami rodzinnymi. Zaciskał więc pięści i szeptał: Musisz! — Musisz wrócić!

I z tym upartym postanowieniem rwał się o każde miejsce na dachach wagonów i o każdy kawałek chleba, aż na-

(Fragment z przygotowanego zbioru „Opowiadania beskidzkie”.)

reszcie po trzytygodniowej wędrówce dojechał do domu. Powitał się z żoną i dziećmi, które go ledwie poznawały, odpoczął kilka dni i zabrał się do gospodarki. W polu pracy nie było, bo na Polomie, Skalce, Kozubowej i Girowej pojawił się już pierwszy śnieg. Ponaprawiał więc, co było trzeba koło domu, pozwoził z lasu „suszki” na opał, porąbał je i poukładał na przyzbie koło domu. Potem przygotował wóz i sanie, zaprzęgnął jedynego konia, który mu na szczęście jeszcze pozostał i pojechał za zarobkiem do pańskiego lasu. Skontraktowano go do zwózki drzewa. Zarobek był skromny, ale na początek i to wystarczyło, byle tylko żyć i tę pierwszą, powojenną zimę jakoś przetrwać. Prawda, że robota jest ciężka, szczególnie teraz, kiedy napadało tyle śniegu, ale Lachulok nie narzeka, jest rad, że jest w domu i że ma jakiś zarobek. I teraz, widząc odjeżdżający w stronę Mostów pociąg, przypomniał sobie, że i on przed miesiącem wrócił o tej samej porze, tylko że wtenczas padał zimny deszcz, a noc była strasznie ciemna. Z Nawsia musiał iść plechotą, aż do Sałajki i dopiero koło północy był w domu. E, szkoda wspominać! — Straszna była ta wojna i nikomu niepotrzebna. Bo po co ludzie nawzajem się mordują, kiedy jeden drugiego nie zna i jeden drugiemu nic złego nie zrobił!

Tak rozmyślając dopalił fajkę, wytrze-



Łomna. Foto autor.

pał popiół na ziemię i schował fajkę do kieszeni. Potem spał przednią i tylną część sani, osękę podłożył pod łańcuch, naciągnął rękawice, wziął bicz do ręki i usiadł bokiem na saniach. Już chciał zawołać na konia: „Wio mały!” — kiedy usłyszał za sobą niski głos męski:

— Nie jedziecie, gazdo, do Łómnej?

Odwrocił głowę i poprzez fujawicę zobaczył wysokiego mężczyznę w płaszczu, z dwoma walizkami w rękach. Poprawił baraniec na głowie i odpowiedział:

— Jadę!

— A nie przybralibyście mnie ku gminnej gospodzie?

— Czymu ni — sanie próznel Siednicie ło to ku mnie!

Posunął się więcej do przodu i zrobił miejsce. Nieznajomy ułożył walizki w tyle sani, podniósł kołnierz płaszcza i usiadł obok Lachuloka. Ten pociągnął za lejce, cmoknął na konia i sanie ruszyły z miejsca. Siedzieli tak milcząco obok siebie, ubieleni śniegiem, i żaden z nich nie chciał, lub też nie umiał rozpocząć rozmowy. Na radwanowskim moście Lachulok zaczął na nowo napychać fajkę i z boku zerkał na nieznajomego. Głupio mu było, że tak długo milczą. Toteż kiedy zapalił, chrząknął i niby od niechcienia zapytał:

— Z wojny jedziecie?

— Nil — odpowiedział po chwili nieznajomy. — Z Hameryki!

Lachulok wyjął fajkę z ust i z niedowierzaniem popatrzył na nieznajomego.

— Hm!... To z daleka!... — powiedział po chwili.

— Z daleka! — mruknął nieznajomy i znowu pogрузzył się w milczenie.

Rozmowa się jakoś nie kleiła. Widać było, że nieznajomy jest myślami gdzie indziej. Sanie ślizgały się po ujeżdżonym śniegu, a nad Jabłonkowem rozpostarła się już cicha, zimowa noc. Fajawica ustała, więc kiedy przejechali jabłonkowski rynek i wydostali się za miasto, śmignął Lachulok lekko konia i ten przyspieszył kroku. Po chwili znów pierwszy odezwał się Lachulok:

— A długoście byli w tej Hameryce?

Nieznajomy ocknął się z zamyślenia i odpowiedział:

— Siedem roków!

— Tóż długo!

— Długo! — przytaknął ze smutkiem. Potem wyjął z kieszeni pudełko z papierosami i podał Lachulokowi.

— Spróbujcie — są amerykański!

— Nale dyć prawie kurzym fajkym. — Chyba, że wezmę na pamiątkę babie pokozać! — Wyjął z pudełka papierosa i włożył go pod baranicę, potem szarpnął konia, a po chwili dodał:

— Dobrze jeszcze mówicie po naszymu!

— Tego się nigdy nie zapomni — i w Hameryce są nasi ludzie!

— A kupa ich tam je?

— Kupa — straszno kupa!

— Nie dziwota, dyć tam rokami jeżdżili za robotą!

— I jo pojechoł za zarobkym — z bratym my pojechali — w jedynostym roku!

— A brat zóstoł w Hameryce?

— Zóstoł... ale mortwyl!

— Umrził?

— Umrził... na szachcie go zabił!

To powiedziawszy umilkł na chwilę. Potem zaciągnął się papierosem i cicho dodał:

— Tam szwarnie naszych ludzi w ziemi leży!

Zapadło znowu dłuższe milczenie.

— A wy do łojców wracacie, abo do baby?

— Do łojców, bo baby jeszcze ni móm!

— A toście się jeszcze nie łożyni! —



Stare stodoły w Jabłonkowie koło drogi do Łomnej. Foto autor.

Dyć widać, że roków mocie dość! — Rodzina by już miała być... gazdowstwo! Nieznajomy gorzko się uśmiechnął:

— Gazdowstwo? — A nie wycie na

czym? — Na tym kónsku jałowizny, co łojcowie mają?... Dyć jeść nie było co!

— U gazdów my służyli, w lesie robili, a z bydy my sie wymotać ni mógli! —

Do Hameryki nas łojciec z bratym posłał, aby my co zarobili i siostry spłacili.

— I co — podarziło sie?

— Zoleży jak to myślicie z tym podarzyniym. — Mi sie podarziło, bo żywy wracóm do domu! — Podziwiejcie sie na mnie! — Szkoda, że jest ćma — tobyście widzieli jak wyglądom. Jeszcze ni móm trzicet roków a wyglądom na pięćdziesiąt!

— A coście robili w tej Hameryce?

— Wszecokol — potem zapalił nowego papierosa i ciągnął dalej:

— Tam sie nie do wybiyrać. Na początek człowiek musi brać każdą robotym. — Długo by to trwało, niżych to wszecoko łopowiedziół. Już ani nie rod spóminóm. Przewandrowołech pół Hameryki i chladoł szczęście, ale nigdzi żech go nie naszeł... ani też mój brat. Chcieli my wracać w sztyrnostym roku, ale zaczęła sie ta wojna i nie puścili nas. Musieli my siedzieć dali. A prawie wtedy my mieli dość dobrą robotym na szachcie i dało sie piękny grejcar zarobić. Cóż, kiedy jak nóm szło niejelepszy, prziszło to nieszczęście! — Zabiło mi brata, a mie ciężko ranił! Głowym mi potłótkło, nogi połómało — pół roku żech w szpitalu przeleżoł a potem mie puścili jako inwalidym. Ciężko robić nie szło, a łuszporowanych grejcarów łubywało. Na szczęście wojna sie skónczyła, wyrobilech papiry, spakowół kufry i ło to jadę do chatupy.

— A długoście jechali?

— Trzł tydzie były na wczora. Kónnym listopada żech wyjechoł.

— A wiedzą łojcowie, że przjedziecie?

— Ani nie wiedzą, bo jako? Łód szesnastego roku poczta nie dochodziła. Jeszcze na początku wojny było jako tako — a potym już nic!

— To sie zdziwióm, jak was tak naroz łuwidzóm!

— No nie wiym, czy jeszcze żyją?

— A każ tu mieszkajóm w Łomnej?

— Pod Kamiynitym!

Lachulok lepiej się przyjrzał nieznajomemu z boku a potem powiedział:

— A nie są wyście łód Sikorów z Gróńniczka?

— Jest!... Mojigo tate Koszutym wołał!

— E, to już wiym — taki wysoki, siwy, z długim nosym! Downi toch go każdą niedzielym widowoł w Sałajce w kościele.

— A nie słyszeliście, żeby mój łojciec łumrzil?

— Nic żech nie słyszół. — Myślę, że żyje!

— Dej Boże! — odmilczał się nieznajomy, ale po chwili zagadnął:

— Toście wy też byli na wojnie?

— Był — sztyry rok! — łód sztyrnostego do teraz.

— A zdrowiście wrócili?

— Hm! — Nie bardzo... trzi razy żech był ranny.

— No, toście dość zażyli! — przytaknął nieznajomy. — A na jakich fróntach żeście byli?

— E, tók sie człowiek po świecie jak Marek po piekle! — W Serbi żech był, w Rosji, Rumuni, a na kóniec i w Itali!

— Toście szwarnie świata łogładli?

— O, szwarnie! Do kónca życie wystarczył!

— Niejedno żeście widzieli?
— Szkoda spóminać — gor tej krzywdy ludzkij!

Śmignął konia biczem i splunął na bok. Potem dodał:

— Nie chciołbych już drugij takij wojny przeżyć!... Wiycie, wojna jest dobro, ale dło panów.

— Wierzę, bo na nią zarabiają!

— Prowdym mocie!

Obydwaj umilkli i zamyślili się. Nieznajomy zapalił nowego papierosa i rozejrzał się dokoła. Prawie podjechali pod most kolejowy, pod którym przepływa rzeczka Łomnianka i zobaczyli na prawo gęsto zalesione zbocze górskie, które ciągnie się aż na Nowinę. Widok był śliczny. Drzewa osypane puszystym śniegiem tworzyły wspaniałą panoramę.

— Pieknie! — wyszeptał po chwili nieznajomy i ręką obtarł łzę z oka.

— O, pięknie! — przytaknął Lachulok. — Wierzcie mi, żech kupa świata widziół przez wojnym, ale nigdzie nie było tak pięknie jak u nas.

— Świętą prowadym mówicie! — przerwał mu nieznajomy. — Jo to samo poznoł w tej Hameryce! W nocy sie mi łó tych naszych gróniach śniło, a rano żech płakoł jak dziecko. Drudzy sie mi śmioli, bo nie wiedzieli czymu płaczę, a jo sie gańbił powiedzieć. Z tesknoty żech łumyroł, jeść żech ni móg, chodzilech jak głupi. Tako nikiedy na mnie żałość przichodziła, żebych był po kolanach wracoł do domu. — Cóż, kiedy wrócić nie szło!

— Ja, to jest tak na świecie — przerwał Lachulok — z domu człowiek lahko wyleci, ale spatki sie dostać jest ciężko. Jo to wiem sóm po sobie!

Droga teraz skręciła w lewo na most przez Łomniankę, a potem znów na prawo brzegiem rzeczki. Nad Połomem, Kozubową i Miąszem przykucnęła już ciucha, spokojna, zimowa noc. Na drodze ludzi już nie było, tylko tu i ówdzie

minęły ich próżne, góralskie sanie, ciągnięte przez małego konia. Często w pobliskiej chacie zaszczekał chrapliwym głosem pies, albo też zaryczała głodna krowa. Niskie drewniane chaty opatulili się śniegiem i ukryte pod starymi drzewami mrugały na świat żółtymi światłami naftowych lamp.

Nieznajomy patrzył na to wszystko w cichej zadumie i nie mógł się napatrzeć. Wszystko takie same jak przed siedmiu laty — nic się nie zmieniło. W tym samym miejscu płynie Łomnianka, w tym samym miejscu stoją okoliczne góry. Takie same lasy, takie same chaty i taka sama zima. Tylko on się zmienił!... Nie jest to już ten dawny, wesoły Paweł — ale pół starzec, pół kaleka, schorowany i zniechęcony do życia!... Tak rozmyślając posmutniał, bo przypomniał sobie Budzoszową Marynkę z Zowodzio, którą tutaj przed siedmiu laty zostawił. Tak jej wtenczas przyrzekał, że za dwa, najwyżej za trzy lata wróci z Ameryki i przywiezie pieniądze. Przecież ojciec mu wtenczas wyraźnie powiedział, że dopóki nie zarobi tyle pieniędzy, aby mógł spłacić siostry, nie pozwoli mu się żenić i nie odda gazdowstwa. A jak się było wtedy żenić, kiedy obydwaj nic nie mieli, a rodzice im zabraniali, twierdząc, że nie mogą pozwolić, aby się żeniła bieda z biedą. Domówili się więc z Marynką, że on wyjedzie do Ameryki i przywiezie pieniądze, a ona na niego zaczeka. Ale wtenczas jeszcze nie przeczuwali, że rozłąka potrwa tak długo. Pisał jej listy, a ona mu też pisała. Potem przyszła wojna, listy przychodziły coraz rzadziej, aż przestały zupełnie przychodzić. Paweł jednak był pewny, że Marynka na niego czeka i jest mu wierna. Przecież znał swoją Marynkę i wierzył jej. I teraz jadąc na saniach cieszył się tą myślą, że zaraz jutro, jak tylko trochę odpocznie, pójdzie do niej i powie: — Marynko,

wróciłem do ciebie, mam pieniądze, nie już nie stoi na przeszkodzie, abyś była moja! — Na pewno się uraduje, rzuci mu się jak dawniej na szyję i powie: — Pawelku, tak mi było smutno bez ciebie!

Ale wtem jakaś kąśliwa myśl przeleciała mu przez głowę. — A może nie powie, kiedy go zobaczy takiego postarzałego i zmienionego? Czekala na pewno na tego dawnego, zdrowego i wesołego Pawła... Ale prędko odpędził od siebie te nieprzyjemne myśli. — Przecież Marynka za tych siedem lat też postarzała i już też z pewnością nie wygląda tak młodo jak dawniej.

Tak rozmyślając ani nie zauważył, że koń skręcił na prawo i stanął przed starą, drewnianą gospodą w Łomnej. Lachulok wyjął z ust fajkę, odwrócił się do Pawła i powiedział:

— Tak już my są na miejscu! — Jisto żeście spali?

Paweł się ocknął, podniósł głowę, rozejrzał się dookoła i wesoło odpowiedział:

— Ale nie społech, gazdo, jynych rozmyśloł! — To powiedziawszy, zeskoczył ze sani.

— To wierzę, bo jest łó czym rozmyślać! — Jo też tak rozmyśloł przed miściącym, jak żech wracoł do domu! — Człowiek nie wi, co go dóna czako, dobre czy złe! — A nie zapómnijcie łóto zebrać kufry!

— Nie zapómnę, dyć to je cały mój majątek! — Potem zładował z sani walizki, postawił w śniegu i odezwał się do Lachuloka:

— Nie wstąpicie na chwily do gospody się łógrzoć?

— Aniz ni, bo mróz zaczyno chytać, a kóniowi jest zima. Jutro zaś trzeba wczas rano jechać z drzewym i muszę sie wyspać!

— No, jak myślicie!... Nie bedym was namówioł, bo widzę, że i was du domu ciągnie!

— To prowad! — odpowiedział Lachulok i poprawił baranicę na głowie.

Paweł sięgnął do kieszeni, wyjął jakiś pieniądz i wsunął Lachulokowi do ręki.

— Ale nie musiało to być! — bronił się Lachulok.

— Jyny weście — przido sie wóm na święta dło dzieci!

— Tak wóm dziękuję! A jak bedziecie kiedy w Sałajce, wstąpcie do mnie! Mieszkóm za kościołym w tym brzegu. Pytejcie sie na Lachuloka! — Mie tam każdy znoł!

— Dobrze wstąpie!

Lachulok usiadł bokiem na sanie, śmignął konia i już jadąc, jeszcze zawołał: — A jak sie rozglądnicie po Łomnej, tak sie łóżyńcie, bo bez baby je chłopu złe!

Paweł przypomniał sobie w tej chwili Marynkę i wesoło odkrzyknął:

— Jisto, że sie łóżyńię!

Potem podniósł z ziemi walizki i skierował swe kroki do gminnej gospody.



Chaty w Łomnej. Foto autor.

Wydaje się, że redakcja „Zwrotu“ publikując artykuł na temat naszego szkolnictwa, kształcenia kadr nauczycielskich i w ogóle problemów związanych z zagadnieniem bytu i troski o polskie szkoły, przystąpiła tak celowo do poruszenia niektórych problemów nurtujących nasze społeczeństwo.

Nikt nie wątpi o tym, że są to sprawy wielkiej wagi i że wymagają dyskusji. Chodzi tylko o to, by nadać jej charakter właściwy i we właściwym tonie. W zainicjowanym swego czasu na łamach „Głosu Ludu“ artykule „Kontrowersje matur“ wskazałem na znaczne luki i braki w wiadomościach absolwentów dwunastolatki. Artykuł miał na celu ujawnienie przede wszystkim faktycznego stanu rzeczy, zwłaszcza zaś wywołanie dyskusji w kierunku poszukiwania właściwych przyczyn nikłych znajomości kandydata na wyższe studia. Nie chodziło w tym wypadku tylko o osobowość nauczyciela, stąd niepomahowany żal ze strony niektórych pedagogów wobec mojego „niepatriotycznego“ wystąpienia. „Głos Ludu“, kierowany nie wiadomo jakim powodem, postawił w sposób dyplomatyczny kropkę. Sprawa urwała się.

Trzy przyczynki w ostatnim numerze „Zwrotu“ na temat naszego szkolnictwa świadczą niewątpliwie o ważności sprawy i wielkim zainteresowaniu społeczeństwa. Poza wstępnymi artykułami K. Polaka i doc. Sivka, w dyskusji nie zabrał głosu najbardziej powołany — NAUCZYCIEL. A szkoda, bo właśnie nauczyciele, doświadczeni przez długie lata praktyki, obarczani ciągłymi zmianami planów nauczania, mieliby w wielu wypadkach du-

żo do powiedzenia. Nic dziwnego, że wskutek negatywnej postawy ze strony pedagogów, wypowiadali się inni, często niedostatecznie poinformowani o sednie sprawy. Wobec tego dochodzi do wypaczeń w ujmowaniu zagadnień, nadawaniu im charakteru „porywczej dyskusji“.

Oczywiście, że mój przyczynek nie pretenduje do właściwego rozwiązania i wysunięcia dyrektyw, według których powinny się kierować władze szkolne. Ma umożliwić tylko wglądnięcie do skomplikowanej problematyki, w jakiej niewątpliwie znajduje się polskie szkolnictwo u nas. Nie zamierzam też rozpatrywać poprzednich artykułów (kontrowersje miały zresztą różny charakter).

W sumie o co chodzi: przede wszystkim o nikły poziom języka polskiego, co z kolei pociąga za sobą potrzebę kształcenia kadr nauczycielskich, szczególnie polonistów, w Polsce. Jeśli chodzi o studentów innych kierunków, przede wszystkim sprawa terminologii i oczywiście, nazwijmy to „potrzebą wykąpania się we współczesnej polszczyźnie“. Nikły poziom języka polskiego warunkowany jest środowiskiem, niedostateczną ilością godzin, programem nauczania, podręcznikami, własnym podejściem do języka ojczystego, osobowością nauczyciela.

Niedostateczna troska o kulturę języka ojczystego, to sprawa bardzo poważna, poważniejsza, aniżeli by się na pozór wydawało. Znajomość języka ojczystego związana jest bowiem jak najbardziej z asymilacją jednostki w społeczeństwie. Jeżeli np. ztraca się poczucie języka ojczystego, tym bliżej danej jednostce do zupełnej asymilacji.

Wydźmy z obiektywnej rzeczywistości, jaka w tej chwili istnieje. Mamy w terenie szkoły dziesięcioletnie, zawodowe (przemysłowa, ekonomiczna, zdrowotna, rolnicza) oraz jedną dwunastolatkę. Do zdobycia potrzebnych kwalifikacji stoją do dyspozycji (chodzi o kadry nauczycielskie) uniwersytety oraz Fakultet Pedagogiczny w Ostrawie, jako jedyna placówka w Czechosłowacji, kształcąca naszych nauczycieli szkół dziesięcioletnich (włącznie z polonistyką). Oczywiście językiem wykładowym na wszystkich placówkach, z wyjątkiem FP w Ostrawie (polonistyka oraz niektóre inne zajęcia), jest język czeski. Nauczyciele dziesięcioletnich szkół węgierskich są kształceni w języku ojczystym; to oczywiście jest zależne od znacznie większej liczby obywateli narodowości węgierskiej. Również na Węgrzech istnieje (w Szeged) jedyna Katedra Słowakistyki, która wychowuje nauczycieli dla szkół powszechnych i gimnazjów ze słowackim językiem nauczania.

Student narodowości polskiej na którymkolwiek kierunku studiów słucha wykładów w języku czeskim (dotyczy to również polonistyki w Pradze, Olomuńcu, Bernie — słuszna uwaga K. Jaworskiego). Na uniwersytetach studiować można język polski tylko z językiem czeskim (być może w ostatnim czasie doszło do pewnych zmian). Natomiast FP w Ostrawie, uwzględniając potrzebę szkół dziesięcioletnich, umożliwia studium języka polskiego z innymi przedmiotami. Jest to jedyny wyjątek w Czechosłowacji. Zresztą do takiej sytuacji doszło w ostatnim czasie. W ogóle, uważam, że język polski powinien towarzyszyć wszystkim przedmiotom humanistycznym.

Wychodząc z prostego założenia, że na naszym terenie istnieje tylko jedna dwunastolatka oraz cztery szkoły zawodowe, potrzeba kształcenia kadr nauczycieli — polonistów jest tu minimalna. Z tym faktem absolwenci uniwersytetów powinni się oczywiście liczyć. Czy polonista powinien znaleźć się na studiach w Polsce? (Sądzę, że obecnie dwunastolatka i szkoły zawodowe mają do dyspozycji sporo młodych kandydatów.) Niewątpliwie tak, ale dopiero po trzecim, względnie czwartym roku studiów u nas. Przypuszczamy i wierzymy przecież, że w ciągu trzech (czterech) lat studiów u nas zyskuje ten sam zasób wiadomości, jak na uczelniach w Polsce. W latach następnych miałby oczywiście w Polsce możliwości owego tak potrzebnego „wykąpania się“ we współczesnej polszczyźnie. Tego u nas uniwersytety zapewnić nie mogą. Natomiast gwarantują dobre przygotowanie z języka czeskiego, czego oczywiście nie można osiągnąć w Polsce. Inna sprawa jeśli chodzi np. tylko o studium filologii polskiej.

Również potrzeba nauczycieli innych kierunków jest minimalna (dwunastolatka, szkoły zawodowe). I oni, moim zdaniem, powinni znaleźć się w Polsce na studiach wyższych (po trzecim, czwartym roku).



Ciekawość. Foto Br. Bielan.



Zamyślenie. Foto Br. Bielan.

Oczywiście będą komplikacje programów, egzaminów. System kształcenia nauczycieli w Polsce różni się częściowo od naszego. Przy dobrej woli można jednak podolać.

Najpoważniejszym zagadnieniem pozostaje nadal kształcenie nauczycieli szkół dziewięcioletnich. To dotyczy również nauczycieli szkół zawodowych. Inna rzecz już w tym, że absolwent szkół zawodowych powinien opanować terminologię tak czeską, jak i polską (wychodząc z założenia, że pracować będzie przede wszystkim u nas). W tego typu szkołach trzeba jednak bezwarunkowo podnieść ilość godzin języka polskiego.

Wreszcie program nauczania wychodzi z założeń polityki państwa i obowiązuje wszystkie szkoły bez względu na ich charakter i język wykładowy. Zresztą to samo dotyczy szkół czeskich i słowackich w Polsce. To znaczy, że program jest jednolity pod względem zakresu, treści i kierunku ideowego (z pewnymi zmianami w szkołach z innym językiem nauczania).

Program naszych szkół w klasach szkoły podstawowej i klasach wyższych różni się wobec tego od programów obowiązujących w Polsce. Ponadto musimy uwzględnić większą ilość przedmiotów w naszych szkołach (nawet w stosunku do szkół czeskich), co oczywiście pociąga za sobą redukcję godzin. Wobec tego nasuwa się wniosek, czy i w tym wypadku powinien kandydat (szkół dziewięcioletnich) nie tylko polonistyki odbywać studia w Polsce. Jeżeli po wstępnych studiach u nas będzie miał możliwość kontynuowania dalszych studiów w Polsce (chodzi tylko o wybór uczelni), okres ten może w znacznej mierze przyczynić się do podniesienia kultury językowej. O tego rodzaju studiach oczywiście decydować mogą tylko władze szkolne.

W ostatnim czasie, w trakcie poszuki-

wań wyjścia z dotychczasowej sytuacji, udało się w FP w Ostrawie zapewnić studentom polonistyki wykłady z historii Polski; studentom innych przedmiotów lektoraty języka polskiego, w ramach których omawiane są przede wszystkim zagadnienia fachowej terminologii i w ogóle zasadnicze problemy związane z kulturą języka. Co więcej, nawet niektóre zajęcia praktyczne (innych kierunków studia) odbywają się w języku polskim, zależnie od ilości studentów. To oczywiście nie może jeszcze w pełni gwarantować podniesienia kultury języka ojczystego, w każdym razie przy pomocy studenta w znacznej mierze sprawę ułatwi.

Edward Czaja w swoim artykule poruszył ważne zagadnienie: sprawę weryfikacji programów nauczania języka polskiego i historii. Niewątpliwie wymagają one rewizji. Zmianom w programach nauczania przedmiotów humanistycznych powinna towarzyszyć troska o zagadnienia z kultury narodowej. Należy dołożyć szczególnych starań do odpowiedniego opracowania nowych programów, które doprowadziłyby do pełnej zgodności zarówno z państwowością szkoły, jak i kulturą narodową.

Z tym związana jest oczywiście i ilość godzin. Zasadniczo trudno pogodzić się z tym, aby uczeń obciążony był nadmierną ilością godzin. Z punktu widzenia pedagogicznego nie można tego robić, wobec czego stoimy przed zagadnieniem, w którym przedmiocie należałoby dokonać redukcji na korzyść języka ojczystego. Sprawa ta jest ciągle aktualna i poruszana.

Podręczniki — dobór tekstów; to prawda, że dotychczasowe podręczniki (Czytanki) już nie odpowiadają. W najbliż-

szym czasie wyjdą nowe, które w znacznej mierze uwzględnią szereg zjawisk kulturalnych i historycznych, pomijanych dotychczas w praktyce szkolnej.

Trudno omówić w ramach jednego przyczynku całą problematykę związaną z zagadnieniami naszego szkolnictwa. Pozostaje cały szereg spraw do rozpatrzenia. Na pierwszym miejscu są to przede wszystkim kursy wakacyjne dla nauczycieli (organizowane przez dr Macurę kursy w czasie półroczna i w ciągu roku są tylko częściowym rozwiązaniem).

Jednym z głównych elementów efektywności pracy szkół jest bowiem stworzenie warunków do odpowiedniego dokształcania nauczycieli. I tu, moim zdaniem, władze szkolne, instytucje partyjne winne dołożyć wszelkich starań, aby umożliwić nauczycielom odnowienie dawnych kursów. Musimy wychodzić z tej sytuacji, jaka obecnie istnieje. Kilku kandydatów wysłanych na studia do Polski sytuacji nie uratuje. Oczywiście, że w dużej mierze decyduje własne podejście do sprawy, praca nad sobą, stosunek do szkoły itp.

Sprawa absurdalna, a jednak wydaje mi się, że poza szkołą, piśmem, książką — w praktyce życiowej rzadko kto posługuje się językiem literackim. Zresztą już wybitny językoznawca, prof. K. Nitsch stwierdził, że tylko u nas można spotkać się z jedynym zjawiskiem; tu nawet inteligencja posługuje się gwarą. W rzeczywistości tak jest. Kto więc może gwarantować, że student po powrocie z Polski po „wykąpaniu się”, nie powróci ponownie do gwary.

To dobrze, że społeczeństwo interesuje się sprawami szkolnictwa. Szkoda, że aktywnej postawy nie wykazuje sam nauczyciel.

JAN KORZENNY

Zima w górach

Nie ma w tym śniegu ni snu, ni wołania,
choć tędy biegaś, płacz w drzewie się ślaniał.

Teraz w Beskidach cień i zima wysoka
i skalny próg w mrozie i noc bosonoga.

Spoglądaj więc w wodę — źródlane echo,
śnieży się ptaka wołanie nad strzechą.

Spoglądaj w śnieżne podszycie wiatru.
Cień twój w kamieniu jak błysk nad wiatrą.

Szukasz miłości — pusty uśmiech dłoni.
Wołanie w smrekach zieleń roztrwoni.

W tym lesie cisza jest przepaścią stromą —
nasze oddechy słychać jak trzask gromu.

Gdy wiatr pod niebem kopytami dzwoni,
wracam do siebie, lecz ty nie wracasz do mnie.

BOLESŁAW LUBOSZ



Na marginesie sejmików PZKO

Za nami rok 1965. Styczeń, luty i marzec, to miesiące, w których odbywają się corocznie w naszych Kołach walne zebrania. Kiedy piszę te słowa, w 37 Kołach doroczne zebrania już się odbyły.

Zastanówmy się na ich marginesie nad problemami, które zebrania rozwiązywały, zapoznajmy się z tematami poruszanymi w dyskusjach, omówmy uchwały podjęte w celu dalszego ulepszenia, unowocześnienia i poszerzenia działalności związkowej.

Jak wynika ze sprawozdań członków Zarządu Głównego, którzy brali udział w zebraniach oraz na podstawie własnych obserwacji z 5 sejmików związkowych, zarządy Kół poświęciły przygotowaniu walnych zebrań wiele uwagi. Dobrze na ogół przedstawiał się udział członków w walnych zebraniach. W Kołach Bukowiec, Cierlicko-Kościelec, Sibica, Kocobędz II, Rychwałd, Skrzeczów, Trzanowice i Karwina II-Granice obecność przekraczała 50 % członków Koła. Poważny odsetek stanowili młodzi.

Z ogólnym bilansem osiągnięć Kół zapoznamy się po zakończeniu wszystkich zebrań. Dziś dla ilustracji tylko kilka danych, zaczerpniętych z referatów sprawozdawczych: przeciętna imprez organizowanych przez Koło wynosi dwie miesięcznie, przeciętna obecność na imprezach — 150 osób. Najczęściej organizowane imprezy to wieczory świetlicowe, urozmaicone występami zespołów czy odczytami, wycieczki krajoznawcze, bale, festyny. W referatach sprawozdawczych poświęcono też znaczną uwagę sprawom młodzieży.

Dosyć powszechnym mankamentem referatów wygłaszanych na walnych zebraniach jest brak wnikliwych analiz stosunków panujących w Kole, niedostateczna analiza z jednej strony potrzeb i zainteresowań członków w dziedzinie kulturalno-oświatowej, z drugiej strony trudności, na jakie napotyka Koło przy realizacji swych zadań. Sprawozdania roczne w większości wypadków wyliczały chronologicznie urządzane przez Koło imprezy, ale już bez dokładnej oceny ich treści. Większość uwagi poświęcano tylko cyfrowemu efektowi pracy.

Dużo lepiej pod tym względem przedstawiały się projekty uchwał czy planów pracy na przyszłość. Wynika z tego, że zarządy Kół poświęciły tej sprawie więcej uwagi. Wszystkie Koła w swych planach pracy przewidują mobilizowanie członków do realizacji uchwał XIII Zjazdu Partii, zaś obecnie w celu zaznajomienia z тезami Zjazdu włączają się do zebrań i akcji publicznych organizowanych w gminach. Przeglądając uchwały walnych zebrań czytamy m. in.:

...Będziemy ugruntowywali współpracę w zakresie kultury i oświaty z innymi organizacjami społecznymi poprzez organizowanie wspólnych imprez, zwłaszcza z okazji rocznic państwowych, będziemy mobilizowali członków do brania czynnego udziału w życiu politycznym i społecznym na terenie gminy, szczególnie obecnie w okresie przygotowań XIII Zjazdu Partii...

...Poszerzymy współpracę ze Stowarzyszeniem Rodziców i Przyjaciół Szkoły, otoczmy opieką Organizację Pioniera. Poprzez agitację wśród członków pozyskamy kierowników kółek zainteresowań.

...Powołamy do życia klub młodych...

...Celem podniesienia udziału w przedstawieniach Sceny Polskiej prowadzić będziemy stały werbunek abonentów. Przedstawienia Sceny Polskiej będzie Koło traktowało jako swoją własną imprezę...

...Wybudujemy do dwóch lat własny lokal świetlicowy w ramach akcji „20 świetlic na 20-lecie PZKO”...

...Zorganizujemy w I półroczu cykl odczytów...

Jak wynika z tych kilku przykładów (przytoczyliśmy tylko wyjątki najczęściej powtarzających się w takiej czy innej formie uchwał), w planach pracy Kół i uchwałach walnych zebrań znajduje odbicie cały szeroki wachlarz naszej pracy związkowej.

W niektórych Kołach (Sibica i inne) na walnych zebraniach bardzo uroczysto potraktowano sprawę wręczenia nowych legitymacji członkowskich. Było kilka słów przemówienia do młodych, znalazła się i książka z dedykacją dla upamiętnienia tej tak ważnej dla nowe-

go członka chwili wstąpienia w szeregi pezetkaowskie.

W dyskusjach poruszono wiele ciekawych spraw. M. in. omawiano nasz miesięcznik „Zwrot”, kwitowano z zadowoleniem starania ZG w celu poszerzenia objętości pisma, zmiany szaty graficznej i wprowadzenie nowych, ciekawych tematów. Na walnych zebraniach pozyskano kilkadziesiąt nowych, stałych abonentów „Zwrotu”. Omówiono najbliższe wydawnictwa SLA oraz wydanie Albumu 20-lecia PZKO. Kilkaset członków zgłosiło się na zebraniach do organizowanej subskrypcji na wydawnictwa SLA i albumu.

Wiele uwagi poświęcono w dyskusji sprawie uaktywnienia młodzieży, wytworzenia jej w ramach Koła odpowiednich warunków pracy. W niejednym wypadku nie szczędzono słów uznania pod adresem ofiarnych działaczy PZKO, oceniono pracę kierowników zespołów artystycznych, kwitowano z uznaniem dziesiątki występów zespołów jak na imprezach własnych Kół, tak na imprezach organizowanych przez inne bratnie organizacje Frontu Narodowego. W niektórych Kołach dyskutowano o konieczności lepszej współpracy z bibliotekami gminnymi, podkreślając znaczenie czytelnictwa w kształtowaniu języka macierzystego, krytykowano niedotrzymywanie przepisów o dwujęzyczności i wiele innych spraw.

Dodatkowo należy ocenić udział w wielkości walnych zebrań przedstawicieli władz gminnych, organizacji partyjnych czy innych organizacji Frontu Narodowego. Przedstawiciele KPC czy MRN pozdrawiając walne zebrania podkreślali duże osiągnięcia Kół w pracy społecznej, zaliczając PZKO do najaktywniejszych organizacji na terenie gminy.

Imponująco przedstawiają się zobowiązania Kół podjęte na cześć XIII Zjazdu Partii. Oto parę wyjątków:

Koło PZKO Cz. Cieszyn urządzi 30 wieczorów świetlicowych, 1 koncert, wianki, pozyska 50 nowych członków.



Zebranie na Sowińcu.

Koło w Szonichlu w porozumieniu z PGR odpracuje 5.000 godzin w rolnictwie. Nowy Bogumin w ramach akcji „Z” wybuduje urządzenia sanitarne przy kinie letnim w wartości 50.000 Kčs. Członkowie Koła w Karwinie-Centrum w akcji „Z” oraz w rolnictwie wg rozpisu odpracują 1.100 godzin. Koło PZKO w Śmiltowicach odpracuje przy budowie świetlicy, budynku szkolnego oraz pracach żniwnych 1.700 godzin.

Tak moglibyśmy cytować dziesiątki dalszych zobowiązań.

Jak więc wynika z tej fragmentarycznej oceny, możemy być zadowoleni z przebiegu dotychczasowych walnych zebrań. Okazuje się raz jeszcze, że aktyw zwią-

kowy oraz tysiące członków doceniają w pełni znaczenie pracy PZKO, że rozumieją zadania, jakie oczekuje nasz Związek obecnie i w przyszłości.

Na zakończenie walnych zebrań organizują Koła spotkania przy herbatce, zabawy czy występy zespołów. W zebraniach biorą również udział delegacje Organizacji Pioniera, wykonując niejednokrotnie piękny program artystyczny. Niestety z powodu braku miejsca nie możemy wyliczyć wszystkich „brygad dziecięcych”, które przyniosły miłe pozdrowienia swoim rodzicom i opiekunom z okazji ich święta związkowego, jakim jest bezsprzecznie walne zebranie. Należą się z tego miejsca słowa uznania

wszystkim nauczycielom, którzy przygotowali programy z działalnością szkolną.

Na wszystkich odbytych zebraniach odbyły się gładko wybory nowych władz Koła, co również świadczy o dobrym przemyśleniu projektów list kandydatów.

Reasumując możemy stwierdzić, że przebieg sejmików związkowych był przyjemny i optymistyczny. Jest to niewątpliwie zasługą działaczy terenowych naszego związku, którym należy się za to pełne uznanie. Zaś nowo wybranym członkom zarządów należy życzyć dużo energii i zadowolenia w realizacji przyjętych na walnych zebraniach obowiązków.

HENRYK SZMEJA

Piękne wspomnienia

Dawno a niedawno“ (Olsztyn 1965), wspomnienia Emilii Sukertowej-Biedrawiny, są książką rzadkiej piękności i ceny. Napisane z wyraźną troską o artystyczny efekt, są jednocześnie wiernym świadectwem kilkudziesięciu lat ofiarnej działalności społecznej polskiego mieszczaństwa i inteligencji i są także relacją o kapitalnych procesach narodowych oraz wyznaniowych, jakie dokonywały się w Polsce na przełomie obu stuleci i w wieku dwudziestym.

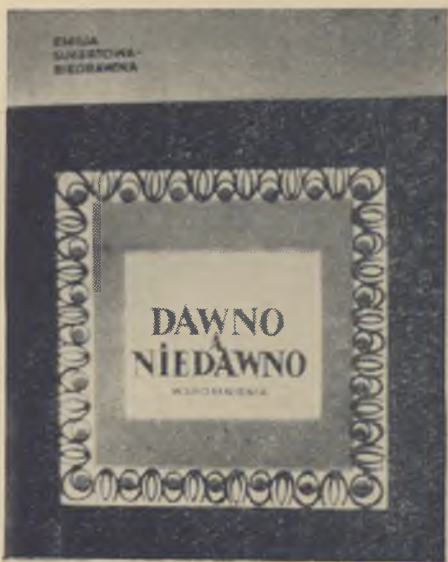
Autorka pamiętnika urodziła się w Reymontowskiej „Ziemii Obiecanej”, w Łodzi, w zamożnej rodzinie burżuazyjnej niemieckiego pochodzenia. Wyszła za mąż za równie zamożnego „epuzera”, Stanisława Sukerta, pochodzącego z tego samego świata, z tego samego kręgu społecznego. Kiedy w siódmym roku życia, w roku 1892 oddano ją na pensję pani Marii z Tukalskich-Nielubowiczów Berlachowej, mała Emilia wiedziała, że imię otrzymała dla pamięci „dziewicy-bohatera”, uwiecznionej w „Śmierci pułkownika” Mickiewicza, a kiedy po kilku latach opiekunka klasowa w warszawskim gimnazjum wpisała do rubryki określającej narodowości uczennicy: Niemka, młodzianka panna Zachert, stanowczo zaprotestowała. Odtąd chodziła do szkoły w demonstracyjnej konfederatce i oskarżyła przed sądem koleżeńskim jakąś Rosjanę o znieważenie narodu polskiego. Było to na krótko przed wybuchem rewolucji 1905 roku, dodajmy dla wyjaśnienia.

Powie ktoś — to kompleks pochodzenia, owo akcentowanie spraw narodowościowych. Sądzę, że coś więcej. W losach Emilii Sukertowej odbija się charakterystyczny proces polonizowania się zamożnych rodzin mieszczańskich niemieckiego pochodzenia w dawnej Warszawie i Łodzi. Nie tylko polonizowania, także bratania z polską szlachtą na bazie wspólnoty ekonomicznych i społecznych interesów. Ciuteczny dziadek autorki, Demetriusz Korab-Karpiński chodził jeszcze w kontuszu i przepasywał się

malowniczo słuckim pasem, natomiast kuzyn nazywa się już Zachert-Odrzanowski. Znamienne przemiany.

Emancypantka, społeczniczka, pani obracająca się w najlepszym warszawskim towarzystwie intelektualnym i artystycznym, próbująca sił w literackich zajęciach, nieco nudząca się w małżeńskich okowach i kieracie zajęć oświatowych pojętych w duchu jeszcze zdecydowanie pozytywistycznym, jesienią 1919 roku zetknęła się po raz pierwszy ze sprawą mazurską. Było to po pokoju wersalskim, rozpoczęły się plebiscytowe przygotowania. Jesiennym wieczorem wybrała się na pierwsze zebranie w sprawie mazurskiej, które urządził ówczesny superintendent generalny kościoła ewangelicko-augsburskiego, wielki patriota, ks. dr Juliusz Bursche. Odtąd zaciągnęła się pod znaki pospolitego ruszenia polskich ewangelików i oddała się sprawie mazurskiej bez reszty. Od pierwszej odezwy w sprawie mazurskiej, redagowanej w roku 1919, po dzień dzisiejszy Emilia Sukertowa słowem i piórem walczy o rozszerzenie znajomości i zrozumienie sprawy mazurskiej w Polsce.

Emilia Sukertowa-Biedrawina była kobietą zadziwiającą energią, jest zresztą dalej, mimo ukończonych osiemdziesięciu lat życia. Bez reszty oddana Mazuram i sprawom polskiego ruchu ewangelickiego, redagowała przez wiele lat „Gazetę Mazurską” i „Kalendarz dla Mazurów”, zajmowała się Mazurami na Działdowszczyźnie, w Łomżyńskim i na Suwalszczyźnie, orędownała w ich sprawach w Warszawie, starała się o dotacje pieniężne na aktywizowanie ruchu mazurskiego, pisała książki z przeszłości pruskiego Mazowsza, badała mazurski folklor, gromadziła zbiory etnograficzne, popularyzowała zagadnienie mazurskie w prasie polskiej i obcej (z Kurtem Wor-gitzkim, znanym mazurskim polakożercą, polemizowała nawet w tureckich gazetach). Była ambasadorem ruchu mazurskiego w Polsce i czołową reprezentantką interesów mazurskiej ludności w Niemczech.



Nie była to praca łatwa. Trzeba było przezwyciężyć nieufność mazurską wobec Polski, walczyć z niemiecką i separatystyczną propagandą, łagodzić różnice wyznaniowe między ewangelikami a katolikami, zacierać spory między gromadkarzami, przedstawicielami niemieckiego kościoła unijnego a polskim kościołem ewangelickim. Trzeba było starać się o polskie seminarium nauczycielskie, wychowujące nauczycieli dla wsi mazurskich, walczyć z endeckimi wycieczkami przeciw Mazurom ewangelikom itd. Miała Sukertowa-Biedrawina wielu sojuszników; najczęściej byli nimi urzędnicy, nauczyciele i pastory z Cieszyńskiego, światli, patriotyczni. To właśnie przy ich pomocy dokonywał się powoli proces zrastania mazurskiego ewangelicyzmu z patriotycznym zbohem cieszyńskim. Ciekawe: pomagali i niejednokrotnie patronowali ewangelicy pochodzenia niemieckiego, zresztą bez ograniczeń oddani Polsce.

Mazury są po dzień dzisiejszy wielką pasją Emilii Sukertowej-Biedrawiny; współzałożycielki Instytutu Mazurskiego, autorki licznych prac naukowych i popularizatorskich. Są wielką pasją i wielką miłością, może największą w tym pięknym, długim i pracowitym życiu.

Książkę starano się wydać starannie,

SPODZIEWAMY SIĘ WASZEJ POMOCY

Nie jest nowością stwierdzenie, że Śląsk Cieszyński jest skarbcem ludowej kultury materialnej i duchowej. Jej atrakcyjność jest w wielkiej mierze spowodowana geograficznym położeniem tego regionu. Przekonali się o tym już w ubiegłym wieku Lucjan Malinowski i Józef Lompa, na których Śląsk Cieszyński wraz z swoją sztuką ludową wywarł niezapomniane wrażenie. A dzisiaj? Rozwój przemysłu i cywilizacja w ogóle szybko likwiduje dziedzictwo naszych przodków. Znikają z chałup wiejskich stare meble, kołowrotki, krosna, warsztaty tkackie itd. Ludzie, żyjąc w dostatku, pragną stałe lepszych urządzeń, przyrządów itp. I to jest słuszne. Taka jest dyalektyka rozwoju społeczeństwa. Ale dlaczego mamy się wstydić za to, co niegdyś stanowiło o pięknie regionu? Mało znajdzie się takich, zwłaszcza wśród młodych, którzy by w razie potrzeby chętnie włożyli śliczny strój cieszyński. Czy jest uszczerbkiem godności dla współczesnego człowieka? Wydaje mi się, że na odwrót. Byłoby niedorzecznością żądać, żeby noszono go na codzień, ale co my robimy w celu jego ocalenia od bezpowszechnego zaniku? Akcje „Gorola” czy „Sibicy” — to za mało. Trzeba uświadamiać obywateli, żeby cieszyńskich sukni nie ciąć na szmaty do ścierania pyłu, kołowrotkami, malowanymi skrzyniami nie palić w piecach itd. Chodzi bowiem o historyczne elementy kultury cieszyńskiej, a jako takie zasługują na największą uwagę i opiekę. Podobnie przedstawia się sprawa z opowieściami ludowymi, z których jedne zanikają, drugie zaś zmieniają swą treść i formę. Nie mamy już okazji, które w przeszłości tyle sprzyjały rozpowszechnianiu się bajek i „śpiwów”. Tradycyjny kolektyw wiejski rozpadł się, zmieniła się jego struktura i zainteresowania. Nie spotykamy już tak często „szkubaczek”, „zabijaczek” czy hucznych wesel, w dodatku takich, na które dawniej zapraszano prawie ze całą wieś. Również i względy czasowe odgrywają tu swoją rolę. Co jednak pozostało z dawnego bogactwa cieszyńskiej kultury ludowej? Na pewno nie zniknęło wszystko. Świadczy o tym m. in. odkrycie jednego z największych współczesnych gawędziarzy, Józefa Jeżowicza z Kozarzysk, o którym niedawno w telewizji warszawskiej mówił znakomity historyk literatury i folklorysta, prof. dr Julian Krzyżanowski. Wiele innych bazarzy można jeszcze spotkać w terenie, gdzieś tam znajdziemy także elementy kultury materialnej, przytoczone powyżej.

Niedawno założona przy ZG PZKO Sekcja Folklorystyczna postanowiła w ramach swych skromniutkich możliwości przyczynić się do przekazania następnym pokoleniom naszej twórczości ludowej. Zadanie to niezmiernie trudne, dlatego chętni do współpracy będą bardzo mile witani. Będziemy też wdzięczni za informacje o ludziach, którzy umieją opowiadać i śpiewać, to samo dotyczy ciekawych okazów mebli, urządzeń, strojów ludowych itd. Najlepsze warunki ma obecnie Sekcja do zbierania kultury duchowej (opowieści, pieśni, przysłowia itp.), prosimy więc przede wszystkim o informacje w tym kierunku.

DANIEL KADŁUBIEC,
przewodn. Sekcji Folklorystycznej

ale dlaczego zapomniano o portrecie autorki, dlaczego jej nazwisko na obwolućcie i karcie tytułowej brzmi Sukertowa, a na okładce Sukiertowa; po co ten męczący półgruby garmond, dlaczego wmawia się w nas, że wrocławsko-wo-

łowskie Nowiny Śląskie wychodziły w Międzyborzu, dlaczego brak indeksu nazwisk, ilustracji itd. Szkoda, że niewielkie niedopatrzienia osłabiają wartość całości.

WITOLD NAWROCKI

Bolały go ręce, uniósł dlatego malca w górę, usadowił okrakiem na szyi. Będziesz jechał na koniu. Wio...! Heta...!

Malec jednak został poważny. Zauważył z góry lepiej dół, który spadał pod

malec korzystał z wygodniejszego lokum. — Przypomnił sobie czas sprzed dwu lat. Na samochód jeszcze ich nie stać. Ale gdyby prowadził takiego na przykład Trabanta, w dodatku w śniegu, zawsze recytowałby Gogola — „Ech, ptica trojka, kto ciebie wydumał...”

Malec zerkał z mostu. „Tata, dziula... Dziula...”

— Prawda, że duża...

Deszcz ślepił, pociemniało. Mężczyzna zauważył w bucie wilgoć. Jakies nie-

określone wspomnienie tkwi gdzieś poniżej myśli, ale nie podjął go. Przypomnił sobie jednak sprawę „face-ta”, tak nazwał owego bubka. Krytykował go na spotkaniu w miasteczku... Dzisiaj mocniej jeszcze jest przekonany o własnej racji. Tamten jednak uparcie bronił swego i uważał się za skrzywdzonego. Bronił zdania niesłusznego. Wróg... Również tego słowa nadużywa się... Reszta broniła swego ziomka, skoro on myślał za wszystkich. Taka umowa społeczna? Myślał błędnie, ale nie o to prawdopodobnie chodziło ludziom w miasteczku, skoro oni potrzebni byli tylko do odgłosowania, do potwierdzenia niesłusznej nawet, ale różnej myśli. Nie było można pozwać sobie na błąd. W końcu skorzystają, ale na razie logika miasteczka broni się... nie zgadza... ktoś przyszedł oszukać ich...

Ilustrował Bronisław Liberda.

drogą, mówił coś stale na jego temat: „Tata, dziula...”

— Nie zlecisz, trzymam cię.

Podeszli do skrzyżowania.

— Nie jedzie coś z tyłu? — zwrócił się do żony, która taszczyła torbę.

— Nie... Pamiętasz, chodziłam wtedy na piechotę do pracy, ponad godzinę.

— Nie znosiłaś autobusu. To jeszcze

Przybliżyły się pierwsze domy. Mężczyzna już wyobrażał sobie miasteczkowe spojrzenia. Na pewno zauważą go, takie jest prawo spojrzeń. Będą coś mówić na jego temat. Może na temat jego żony? W bucie wyraźnie chlupie woda.

Kiedy wyszli z miasteczka, mężczyzna usłyszał słabe pochrapywanie. Chłopak zasnął... Szyja zaczęła lekko boleć, ale



musi wytrwać, trzymać tak głowę na piersi, żeby malcowi było wygodnie. Stał się nagle bliższy, bo na wpół nieobecny. Myślał o nim: małe chucherkko ludzkie, wymagające opieki, czułości.

Rozmokła ścieżka idzie pod górę. Śliski mrok, każde stąpienie grozi upadkiem. Mężczyzna stawia kroki z uwagą, wczuwa się naciśnięciem w opór gruntu, chwytając wolną ręką rzadkie pędy łożyny. Gdyby w dodatku inne jeszcze niebezpieczeństwo — myśli... Żona pośliznęła się, oparła się w ostatnim momencie o płot. Synek poderwie się czasem przez sen. Są na górze, mężczyzna oddycha mocno, ale żona nie zauważa. Solidne blocko dopiero będzie; w bucie bagno... Poczucie zwycięstwa nie pozwala przewidzieć dalszych niebezpieczeństw. Ale gdyby pies? — można kopnąć go sprytne...

Wybrali miedze — trawiaste, ponieważ rzadko kto nimi chodzi. Potem zresztą i tak nie ominą drogi, pociągną nogi

w błocie. Miał być już śnieg. Żona decyduje się wziąć chłopca na ręce, ale mężczyzna postanowił wytrwać. Tak, wołałby śnieg od błota. Nawet głęboki śnieg, przez który trzeba ciągnąć się z takim chociażby małym ciężarem na bolących barkach. Chłopak leci rączkami w dół. Trzeba ogrzać ich delikatną gołiznę, ponieważ zrzucił rękawiczki. Aha — myśli mężczyzna — mógłby opowiedzieć kolegom o góralu, który znajduje w śniegu dziecko, taszczy je przez zaspę na Baginiec, śnieg na drzewach ścięty w potworne hałdy, wiatr omiata żywy węzełek i twarz powietrzem z piasku... Albo wojna... i trzeba, koniecznie trzeba brnąć przez las z ładunkiem, zdążyć przed świtem, a potem nawet umrzeć, ale nie można nie dojść...

Pies szczeka, a wydaje się, że to hałasują jasne okna tkwiące w mroku. Zabudowania wyszły naprzeciw. Wszyscy troje są w domu, chłopak budzi się.

WŁADYSŁAW SIKORA

KA KRONIKA KRONIKA. KRONI

WYRÓŻNIONE MATERIAŁY W „ZWROCIE” 1965

Zespół redakcyjny „Zwrotu” dokonał oceny publikowanych w r. 1965 na łamach pisma materiałów i postanowił wyróżnić następujące prace:

Artykuły problemowe: Henryk Jasiczek „Bądźmy sprawiedliwi” i „Kiedy głośno myśleć” oraz dr Tadeusz Siwek „Burza w szklance wody”.

Komentarze okolicznościowe: Henryk Jasiczek „Wydobywanie światła” i Wł. Sikora „Nauczyciel zjawisko społeczne”.

Opowiadania: Karol Piegza „Rozchodny dzień” i Wł. Sikora „Tryptyk”.

Recenzja: Pracownik „Z uwag na gorąco”.

Felieton: Bronisław Prochner „Stary stróż”.

Wiersz: H. Jasiczek „Kropla czasu”.

Teksty gwarowe: Daniel Kadłubiec „Żywe teksty” w nr 11, 12.

Powsinoga: Bronisław Liberda „Szopka specyficzna”.

Ilustracje: Bronisław Liberda — całokształt ilustracji w roczniku.

Zdjęcia: Władysław Wojnar — okładka w 3 i 10 nr oraz Tomasz Mićek — okładka nr 2 i 5.

NOWE WYSTAWY OBJAZDOWE

Ośrodek Kultury Polskiej w Pradze przekazał Zarządowi Głównemu PZKO na własność trzy wystawy objazdowe: „Początki Państwa Polskiego” (19 plasz o rozmiarach 100 × 60 cm), „Ziemie Zachodnie i Północne” (9 plasz 100 × 60 cm), „Stefan Żeromski” (4 komplety — 32 plasz 30 × 45 cm).

Pragniemy tą drogą podziękować kierownictwu Ośrodka Kultury Polskiej w Pradze, zaś zarządy Kół i dyrekcje szkół informujemy, iż wystawy można zamawiać w sekretariacie ZG PZKO.

KONKURS NA AFISZ PROPAGANDOWY

Przypominamy wszystkim zainteresowanym, że Zarząd Główny PZKO ogłosił w październiku ubiegłego roku anonimowy konkurs na:

- afisz z okazji 20-lecia PZKO,
- ulotkę propagandową z okazji Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy,
- exlibris PZKO,
- karty życzeń,
- medal 20-lecia PZKO.

W konkursie mogą wziąć udział z dowolną ilością prac tylko członkowie PZKO. Na nagrody przeznaczono w sumie 4.250 Kłs. Prace oznaczone godłem należy przysłać do ZG PZKO najpóźniej do 31. 3. 1966.

Szczegółowe dane otrzymali członkowie SLA oraz opublikowane zostały w Głosie Ludu.

SZACHIŚCI PZKO STARTUJĄ

Jedną z form pracy klubowo-swieclicowej, która w okresie zimowym oznacza się wzmożoną działalnością, są kółka szachowe. Chcąc umożliwić zmierzenie sił na szachownicy członkom poszczególnych Kół, ZG PZKO — dział świeclicowy — organizuje corocznie propagandowy turniej szachowy o tytuł „Najlepszego szachisty

Niezmienny ideał publiczności

V. Sardou „Madame Sans-Gêne”, komedia w 4 aktach. Przekład: K. Ehrenberg. Reżyseria A. Nowak, scenografia Władysław Cejnar; premiera 28.1.1966.

Zdecydowano się na faworyta publiczności, zręcznego mistrza, wiernego ucznia Scribe'a — Victorien'a Sardou i jego komedię „Madame Sans-Gêne”. Upłynęło 60 lat i nic nie zdołało zachwiać ugruntowaną pozycją i sławą „Madame Sans-Gêne” i jej autora, którego jedynym dążeniem było tworzenie sztuk, które miałyby powodzenie. Wyznawana teoria i stosowana praktyka Sardou'a zachowała nadal swoją aktualność. Romantyczno-historyczna i realistyczna tematyka, bogata akcja, pełne napięcie sytuacyjne, zdolność tworzenia sympatycznych postaci, teatralność znajdują do dziś niezmiennie wdzięczną publiczność. Sardou znał wszystkie tajniki tworzenia „dobrze skrojonej sztuki”. To pozwoliło mu stać się ideałem widowni, wymagającej od teatru przede wszystkim interesująco skonstruowanej historyjki. Wybór Sardou'a i jego słynnej komedii urasta w sytuacji Sceny Polskiej niemal do symbolu. Nie chcemy jednak zbyt pochopnie dopatrywać się w tej inauguracyjnej premierze nowego kierunku, dalszych skrajnych pociągów repertuarowych, których byliśmy ostatnio świadkami. Tak więc jeden z najwybitniejszych przedstawicieli mieszczańskiej komedii drugiej połowy XIX wieku nie zawiódł publiczności teatralnej wieku dwudziestego. Wartka akcja, efektowne sytuacje sceniczne, potoczny dialog i dobra zabawa zachowały dzięki bogu swoją prawdziwą wartość.



Napoleon w rozmowie z eksprawką (Wanda Spinka i Zb. Kornecki). Foto Wł. Wojnar.

Wszystkie te nieodżałowane wartości teatralne znajdują swój wyraz w „Madame Sans-Gêne”, jednej z największych „bomb” teatralnych ówczesnego Paryża. Komedia ta tkwi swoimi korzeniami w Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Postacie historyczne i sama historia tego okresu potraktowane są z wyraźnym przymrużeniem oka. W tym kierunku też poszli dalej adaptatorzy wersji grywanej w Polsce, J. Miniewicz i A. Marianowicz, eksploatując

PZKO" wraz z pucharem przechodnim. Zdobywcą tytułu i pucharu na rok 1965 jest członek Koła Trzyniec VI ob. Karol Mrózek. Tegoroczny turniej organizowano bezpośrednio na szczeblu centralnym, którego interesująco zapowiadające się rozgrywki i walka o tytuł najlepszych szachistów — członków PZKO, odbędą się w terminie od lutego do kwietnia br. w salce posiedzeń ZG PZKO w Czeskim Cieszyńcu.

BAL REPREZENTACYJNY W CZESKIM CIESZYŃCU

ZG PZKO urządza w sobotę 19 lutego br. we wszystkich lokalach hotelu „Piaś” w Czeskim Cieszyńcu Bal Reprezentacyjny. W programie przewidziany jest polonez oraz występy solistów. Początek o godz. 19. Przedprzedaż miejscówek w sekretariacie ZG PZKO.

PIĘĆ LAT KLUBU PROPOZYCJI

W dniu 26 lutego br. obchodzić będzie, popularny w całym województwie katowickim, cieszyński Klub Propozycji pięciolecie swego istnienia. Klub zorganizował w tym okresie (bez pieniędzy) ponad 220 imprez (w tym większość spotkań). Zainicjował nadto szereg pożytecznych akcji, dał impuls do powstania podobnego rodzaju klubów i w innych miejscowościach powiatu cieszyńskiego.

STAŁE WYSTAWY W KLUBIE SPÓŁDZIELCÓW

W halu Klubu Spółdzielców w Cieszyńcu (Polska) organizowane są stałe wystawy malarskie. Wystawiali tu już swe prace Kazimierz Stopkowicz, Bolesław Nitra, Jan Grabowski z Bielska i Karol Prymus.

Ostatnio eksponowano tu około stu obrazów dziecięcych z cieszyńskich szkół podstawowych.

WĘGIER — POLAK DWA BRATANKI...

W wyniku porozumienia pomiędzy działaczami kulturalnymi miasta Gyula a Cieszyńcem (Polskim), organizowane będą w obu miastach wieczory przyjaźni. Na Węgrzech wieczory te wypełnione zostaną pogadankami na temat Polski, natomiast w Cieszyńcu (w Klubie Propozycji) ich uczestnicy dowiadywać się będą o sprawach węgierskich. Planuje się ponadto poszerzenie tej akcji o niektóre zakłady pracy, utrzymujące kontakty z węgierskimi zakładami pracy.

OBCHODY 50-LECIA ŚMIERCI JANA ŁYSKA W ISTEBNIEJ

Istebniański Klub Literacki wspólnie z Radą Zakładową miejscowego nadleśnictwa urządziły w sobotę i niedzielę 22 i 23 stycznia piękną uroczystość z okazji 50-lecia śmierci nauczyciela, poety, żołnierza Jana Łyska z Jaworzynki.

W pierwszym dniu obchodów w szczelnie wypełnionej sali gimnastycznej miejscowej szkoły, w obecności wielu gości, m. in. Marii Wardasówny, Klemensa Matusiaka, delegaci Koła PZKO w Cz. Cieszyńcu, interesującą prelekcję wygłosił



Paryskie praczki (J. Buława, W. Spinka, H. Branna, Marta Gogołka). Foto Wł. Wojnar.

satyryczne momenty sztuki i tworząc z tej komedii farsę — wodewil. Oryginalna wersja autorska, którą wybrała Scena Polska, stawia twórcę spektaklu jakby na rozdrożu między poważnie potraktowanymi treściami a momentami komediowymi. Decyzja jest o tyle trudna, że sam Sardou nie skierował sztuki wyraźnie w stronę konfliktów ideowych, ani też momentów komediowych.

„Madame Sans-Gêne” odkryła nam na nowo jednego z aktorów SP. Zbigniew Kornecki ma zadziwiająco napoleoński wygląd: wzrost, figurę, profil, nawet gorące czarne oko. Impulsywność, żar, temperament stawiają go pomimo rangi cesarza w jednym szeregu z dziewczyną z ludu, praczką Katarzyną Hübschner. Kiedy rozmawiają razem w salonie zamku Compiègne wyczuwa się w nich jakąś niebywałą dynamikę, plebejskość. W przeciwieństwie do Madame Sans-Gêne Napoleon Korneckiego nie budzi sympatii, odznacza się wręcz brutalnością. Rozumiemy jednak, że to właśnie on mógł stać się pogromcą i uzurpatorem Europy. Obydwie postacie w zestawieniu z całym otoczeniem wykazują, że krew w ich żyłach krąży dwa razy szybciej niż w ludzich, których obok nich widzimy. Nie można tego jednak tak w zupełności stwierdzić w wypadku odtwórców oby-

dwu ról. Przydałoby się trochę więcej tchu i rozluźnienia, tak żeby czuło się powiew trójkolorowego sztandaru.

Katarzyna Wandy Spinki chwyta za serce, wzrusza rzetelnością i prawością, do której nie znajduje dostępu żadne kłamstwo, żaden fałsz, której nic nie zdoła sprowadzić z nieugiętej prostej drogi. Spinka wydobywa i podkreśla jedną z bardzo istotnych cech charakteru Katarzyny: wierność przyjaźniom. Przyjaźniom niewątpliwie trudno zawierającym, ale niewzruszonym i trwałym z jej strony. Jej Katarzyna jest uroczo pyskata, buńczuczna, odważna i bystra. Jedynie w sileniu się na jakąś chłopską twardość wyczuwa się udawanie, naśladowanie jakiejś prostej kobiety, coś, co pozostało z prywatnego „ja”. Na wysoką ocenę zasługuje jej naturalność i zdolność docierania do żywego nerwu postaci. Wandzie Spince zawdzięcza nasza publiczność zapoznanie się ze sztuką V. Sardou „Madame Sans-Gêne”.

Nie łudźmy się, że na skutek takich czy innych stwierdzeń publiczność walić będzie drzwiami i oknami do teatru. Nie powinna jednak zawieść autora, który wszystkie swoje starania skierował na dostarczenie scenie udanych rozrywek.

JAN WAJDA

ŻYWE TEKSTY, ŻYWE PIĘŚNI

Ło zbujnikach

Byli dwo ludzie, a cestów nie było, szteków nie było, chodniki były słabo wyszłapanie. Jak było cosika trzeba zrobić, tak nie było maszyn.

Wszystko sie musiało rynkami wyrobiac.

No i prziszedł takowy besztelunk z jednej wsi, rzeknomy Sibica, bo Sibica była kiejsi sama przez siebie, nie była z miastym połónczóno, bo tych chałup nie było tela. Tak prziszedł besztelunk do jednego stolorza na stół. A na dziedzinie

sie ci stolorze jeszcze pryndzej trzymali, ponieważ tam mieli materyjał — deski, wszystko, ty deski se rzeźali sami. To sie postawił tróm, a jedyn był na dole, a jedyn był na wyrchu, a tyn piłe cióńgnył do góry, a piła w dół już cióńgła sama, przibiyrała tyn materyjał, tak aż sie deska lurza.

Tak zrobili tyn stół na besztelunek i teraz go było trzeba dodać. Chodników nie było, furmanek nie było, bo po chodnikach n'e jidzie z wozym jeździć. Nó a tak tyn besztelunek musiał być dodany ryncznie. A tak sie zaś musieli zebrać takowi, kierzi mieli dobre nogi, aby to łodniysli. I tak tyn stół zebrawi, jedyn na jednym kóńcu, drugi na drugim i nysli do Sibice dlo gospodzkigo, bo młot sztelowane.

Nale jak wandrowali przez to pole, sie zećmiło, bo tak przez dziyń nie pozwolili jiszć, bo było trzeba w polu robić i tak sie jlm zećmiło w lesie. Chodniki były przez las, bo to przeważnie było tu lasami zarośnione, strómy hrube, źle sie przechodziło, stół jak był długi, to było trzeba stróm łobchodzić. I tak kroczeni. A gdo kroczoł? Dwo — z tym stołym. A jak prziszli do chrostu, zećmiło sie, mlesionczek nie świycił. Co było robić. Było trzeba przenocować, w trowie przeleżeć, aż sie rozwidni, a jiszć dali. I tak też zrobili. Wylyźli na jednego dymba, że tam beje dobrze przebyć. Ale stół zostawić na dole nie szło, bo możóm jiszć jacyskiej i łodniysć precz. I tak wylyźli na stróm stakómpak, z tym stołym. A jak stół wynysli na stróm, tak go musieli trzymać, bo to nie szło na niczym powiesić. No i jak trzymali tyn stół, tak tymu jednemu sie zachciało jiszć na stróne.

A tyn drugi mu prawi: „Ty, nie rób gałgaństwa, siedź tu, bo pod tyn stróm w nocy prziszło dwacet zbuńników.“ A ci zbuńnicy przinysli se cieloka czy barana. Kajs tam skutli w lesie i tam go łobcióńgli ze skóry, wode do kotła nalili, przykryli kocieł a warzili. Ale nie szło to łudzierzeć, tak to łucykło samo do nogawic, a z nogawic prosto na dół. Hm, zbuńnicy sie dziwajóm, prawióm se: „Niebieski kluseczki padajóm z niebieska.“ No za chwile już zaś se prawi: „No, jo by chciał wode łodłoć, bo mi beje wyzdradzili.“ — „Cicho bydź, bo by my sie wyzdradzili.“ No ale łucykło to samo do nogawice. A nogawicóm na zym. Tak zbuńnicy prawióm: „Niebiesko rosiczka padze z niebieska.“ I tak siedzieli, siedzieli, a pojodali, a popijali. Wypili beczke wina przii tym — ci zbuńnicy. Skónd go tam mieli, to żodyn n'e wly. Jak pojodali miynso, to kości chybali na trownik. Jak sie najedli, popili, tak tyn na tym strónie ni mół tego stoła łudzierzeć, prawi se: „Ty, jo już to nie łudzierzym, bo mi młóm rync.“ I puścił. Wyjechał mu tyn stół z rynki i jako leci z galyńzi na galyńż i buch, buch, tak jyną trzask sie robił. Zbuńnicy sie polynkali, ale jednako jednego przicięło i spod mu na głowe tyn stół. I tyn se

przigryz jynzika kóńszczek. Sie nie dało nic robić. Wołoł za tymi drugimi, co łuciekali: „Potlakej, potlakej, potlakej!“ bo jynzika młot pół precz. Nó i ci zbuńnicy łucykli, a ci zlyźli z tego stróma, bo było trzeba jakosika tyn stół łuretować. Ale za tyn czas ci zbuńnicy sie wrócili.

A jak nas tam dostali przii tym łogniu, że sie tam grzejemy, tak co nie zrobili. Tego zebrawi ze sobóm, a mie tóż styrczyli do tej beczki. A jak mie styrczyli do tej beczki, tak mie tam zabeklowali, zabymbnowali, jyny została ta dziura, kaj tyn sztoplik był. Ta prawie została wolno. A zebrawi sie, poszli. Tego jednego zebrawi ze sobóm, a jo został w tej beczce. Jak łodeszli, za chwile lasym prziszli wilcy. Ze dwacet jich było, bo jo jich tam nie rachował, kłela jich tam było, ale była jich cała grómad. A tóż grómpielni na tych kościach, a jedyn wilk sie jakosi łotoczył kole tej beczki i do tej beczki mu wloz tyn chwost, do tej dziury, kany tyn sztoplik był. Jak tam tyn chwost wloz, jo łap go za tyn chwost, a tóż go przicióńgnyl ku sobie fest, tak, że tyn wilk zaczął kwiczeć i ci drudzy sie wylynkali i do kit poźluciekali. A tyn wilk też za nimi. Ale ni mół tak łuciekać, bo tóm beczkóm chybało na wyszyski stróny. Jak tak chybało s nióm, tak jedyn roz jak hókło nióm do stróma, tak beczka sie rosula, a jo wilka puścił i wyloz z beczki. Tóż co teraz. Beczki nie bedym zblyroł ani nic, jynych sie zebrał, a szeł do chałupy i siedzym tu w tej chałupie aż do teraz.

Opowiadał Paweł Szlaur, ur. 9. 12. 1877, zamieszkały w Sibicy od r. 1907. Opowieści, które tworzą jego repertuar (około 10 pozycji) zasłyszal w dzieciństwie. Nie jest on wprawdzie rozległy, posiada wszak walory, które czynią z P. Szlaura prawdziwego gawędziarza. Jest to przede wszystkim niezwykła fantazja, dzięki której w twórczy sposób interpretuje poszczególne wątki. Nasza opowieść jest tego przykładem. Fantazja i emocjonalność, którą wkłada do opowiadania, poniosły go tak daleko, że w ostatnim motywie (T 1875) sam występuje jako jeden z bohaterów. Powyższy tekst jest kontaminacją wątków T 1653 + 1875. Ten drugi nie był, sądząc po systematyce J. Krzyżanowskiego, dotychczas na Śląsku zanotowany. Wątek T 1653, bardzo zresztą rozpowszechniony, jest podany tutaj fragmentarycznie. Widzimy tylko jego ostatni motyw. W stylistycznym opracowaniu można zauważyć pewną nieporadność, która jest jednakowoż wynikiem braku okazji, podczas których mógłby gawędziarz opowiadać. Wiadomo bowiem, że częsta interpretacja wątku ma dodatni wpływ na jego poziom artystyczny.

DANIEL KADŁUBIEC

KA-KRONIKA-KRONIKA-KRONI

mgr Bolesław Orszulik, podkreślając nieprzeciętny talent i gorący patriotyzm tego wybitnego górala.

W programie obchodów były dalej występy miejscowych zespołów ludowych oraz zwiedzanie miejsc związanych z życiem Jana Łyska. Uczestnicy obchodów odśpiewali kilkakrotnie pieśń Jana Łyska (muzyka Jerzego Hadyny) „Tam, gdzie Czan-toria się wznosi“ i w gospodzie „U ujc“ racyli się „kubusiem“, ulubioną potrawą poety.

DELEGACJA „HUTNIKA“ NA JUBILEUSZ „HARFY“ DO WARSZAWY

Trzyniecki „Hutnik“ utrzymuje od dłuższego czasu żywe kontakty z chórem „Harfa“ w Warszawie. Chór ten obchodzi w roku bieżącym 60-lecie swego istnienia.

Na swój jubileusz, który odbędzie się w marcu br., zaprosiła „Harfa“ delegację „Hutnika“ w celu wzięcia udziału w uroczystościach oraz omówienia dalszej współpracy.

W roku bieżącym dojdzie prawdopodobnie do wzajemnej wymiany koncertów między obu zespołami, tzn. warszawska „Harfa“ ma przyjechać do Trzyńca, a „Hutnik“ do Warszawy.

CHÓRY SZKOLNE W POLSKICH 9-LETNIACH SZKOLACH

W obu polskich dziewięcioletnich szkołach w Trzyńcu istnieją duże zespoły śpiewacze. Dyrygentami chórów szkolnych są w obu wypadkach nauczycielki ob. Bronisława Kubiszta i Irena Małysz. Zespoły te korzystają z pomocy i opieki trzynieckiego „Hutnika“, który przejął nad nimi swego rodzaju patronat.

Pomoc „Hutnika“ wyraża się głównie w postaci dostarczanych materiałów nutowych, porad fachowych, koncertów wychowawczych i wspólnych występów. Zespół śpiewaczy trzynieckiego JOK stara się w ten sposób o wychowanie odpowiedniego narybku.

Sądzymy, że podobne patronaty nad zespołami szkolnymi mogłyby przejąć znane zespoły naszego związku — i to chyba nie tylko śpiewacze.

„PRZYJAŹŃ“ PO RAZ PIERWSZY W CZ. CIESZYNIE

Na zaproszenie miejscowego Koła PZKO wystąpi po raz pierwszy w Cz. Cieszynie 120-osobowy zespół artystyczny „Przyjaźń“ z Karwiny. Występ odbędzie się w sobotę 12 marca br. o godz. 18.00 w Domu Kultury. W Cz. Cieszynie obchodzić będzie nasz największy polski zespół ambitny jubileusz — da swój 80 występ! Obok 90-osobowego chóru i orkiestry wystąpią małe zespoły wokalne (septet dziewczęcy, tercet żeński, kwartet męski, septyet mieszany) i soliści. Warto dodać, że z tym samym programem wyjeżdża „Przyjaźń“ w tydzień później do województwa opolskiego na uroczyste obchody 1000-lecia państwa polskiego.

Zapraszamy mieszkańców Cz. Cieszyna i okolicy na bogaty program naszego ambitnego zespołu, którego występy odbijają się tak mocnym echem i poza granicami naszego kraju.

Panna Gracja — spotkawszy Gibona Pasztecika, śpieszącego po siódmej do pracy, najpierw roześmiała się złościście, a potem oznajmiła:

— No proszę, proszę — powinszować panu, powinszować...

Tego dnia Gibon Pasztecik nie obchodził swojego jubileuszu, ani też urzędowego awansu. Zawarł z nią przyjaźń miesiąc temu, akurat w dzień przyjęcia wędrownego proporczyka i dyplomu BPS. Zanim zdążył coś odpowiedzieć, panna Gracja szepnęła mu na ucho:

— Dziś u pana kontrola z Centrali. Badają stosunek urzędnika do petenta. — I frunęła w obcisłym sweterku na zgrabnych nóżkach dalej korytarzem.

Gibon Pasztecik nieco się zafrasował. „Stosunek urzędnika“, o którym wspominała Gracja, w „Wydziale Skarg i Zażaleń“ pozostawiał wiele do życzenia.

— Albo się jest kierownikiem, albo się nie jest — rzekł do siebie Gibon Pasztecik. Lubił to zdanie powtarzać od czasu do czasu, zwłaszcza, kiedy był krytykowany przez podwładnych.

Teraz jednak ulubione zdanie nabrało nieoczekiwane charakteru ponurej wypowiedzi. Kontrola! — drapał się po głowie. — Jest się... i naraz się nie jest i kwita... Co za los urzędnika z awansu...

Po chwili otrząsnął się i rozejrzał wokół. Otworzył szeroko drzwi gabinetu. Interesanci czekali. Pomyślał:

— To są członkowie kontroli — bo inaczej, jakoś lepiej ubrani. Ale ja nie dam się złapać. Nie, nie! Chcecie badać! Proszę!...

W tym momencie przybrał ideologiczną twarz urzędnika na etacie. Wszedł do poczekalni:

— Dzień dobry wszystkim. Dzień dobry! Przepraszam za dziesięciominutowe spóźnienie, żona ma dzisiaj wielkie pranie. Musiałem nanosić wody, zapalić w kotle.

Referent Piegacz z sąsiedniego pokoju wychylił głowę przez otwarte drzwi i szeroko otworzył usta, szczerząc wytarte zęby. Miał się czemu dziwić, nikt dotąd nie słyszał tak ciepłych słów z ust Gibona Pasztecika.

— A teraz państwo pozwolą. Może najpierw pani — zwrócił się do staruszki, stojącej obok pieca. — Wszyscy wybaczą, staruszka nie może czekać! — Zamknął za nią drzwi gabinetu.

— Pan tu długo pracuje? — zapytała staruszka.

— Długo... bo dlaczego, łaskawa pani?...

— A interesanci pewnie bardzo dokuczliwi... prawda?...

— Bynajmniej, bynajmniej — zapewniał Gibon Pasztecik, myśląc jednocześnie: — A to chytre liśy, dranie, staruszkę do kontroli napuścili. — Przybrał jeszcze bardziej życzliwy wyraz twarzy.

— Pewnie ludziska są dokuczliwi! — załatwić ich sprawy trzeba — ciągnęła staruszka.

— Rzecz prosta, babciu — podał jej krzesło — siadajcie u nas — to nasze zadanie, za to nas płacą, by ludziom służyć — w tym momencie wyprostował się na baczność.

— A mnie mówili, że wy tygodniami ludziom każecie z jednym dokumentem przychodzić, że do każdej skargi życio-

ALOJZY MAŃKA

rys, metrykę urodzenia, zaświadczenie szczepienia psa trzeba dołączyć. To sobie tak i pomyślałam, pójdę ja, kierownikowi, co trzeba, do ucha powiem — dam mu nauczkę...

— Najwłaściwsza droga, babciu, najwłaściwsza — wyszeptał Gibon Pasztecik.

— Ale widzę, że to plotka, bo pan kierownik przyjemny człowiek, wygolony, pełno pachnideł, i starość uszanuje...

Pasztecik odetchnął z ulgą i uśmiechnął się szeroko.

...Toteż myślę, że szybko moją sprawę pan załatwi?...

Kierownik zerwał się z krzesła i pobił do drzwi:

— Panie Lizakiewicz, proszę, podanie naszej petentki... Droga babciu, za pięć minut wszystko będzie gotowe. Proszę jeszcze potem zażyć do mnie i wydać opinię o naszym stosunku do petenta. O, tam — wskazał palcem na boczną ścianę w poczekalni, gdzie wisiała „Książka skarg, życzeń i zażaleń“.

— Następny obywatel, proszę bardzo... proszę dalej, my nie biurokraci...

Załatwwszy piętnastu interesantów, Gibon Pasztecik poczuł się bardzo zmę-

czony. Zajrzał do poczekalni, gdzie siedział już tylko jedyny petent. I tego mrugnięciem oka załatwił. Zajrzał do pokoju Lizakiewicza. Referent w pocie czoła układał zleżające akta.

— Jak tam, towarzyszu Lizakiewicz, nasza staruszka?...

— Ano! Dostała przydział mieszkania na parterze w wieżowcu i poszła.

— Jak to? A swoje spostrzeżenia z przeprowadzonej kontroli wpisała do księgi?

— Co też obywatel kierownik wygaduje... to przecież stara Pieczarkowska z Kocilapek. Gdzie jej tam do kontroli?...

Gibon Pasztecik wycedził przez zęby ordynarne słowo przekleństwa. Zdenerwowanym ruchem ręki otarł pot z czoła.

— Wyjrzyjcie no, Lizakiewicz, przez okno. Stoi przed gmachem jakiś obcy służbowy samochód ze znakiem kontroli na szybie?...

— Nie ma i nie było. Już parę razy wyglądałem, bo mi się wydawało, że się obywatel kierownik jakiejś kontroli spodziewa. Dlatego też wywiesiłem książkę do poczekalni, aby było uroczyście i tak jakoś służbowo — bo nigdy nie wiadomo...

— Tak smarkuła zakpiła sobie ze mnie — pomyślał Gibon Pasztecik i zgrzytnął zębami na wspomnienie porannego spotkania się z Gracją. Wyjrzał do poczekalni:

— A wy, obywatelu, do kogo? — zwrócił się do interesanta. — Załączniki macie?

— Ja... — zaczął zapytany.

— Jeszcze nie skończyłem pytać... W gminnej radzie byliście? A w ogóle jak się nazywacie i gdzie mieszkacie?

— We wsi Grajdówek.

— To czego tu chcecie, to inny powiat!

— Ja...

— Zwrócić się do swojego powiatu, a oni załatwią z nami korespondencyjnie!

Otworzyły się drzwi. Wbiegł zdyszany sekretarz miejscowej organizacji partyjnej i wylewnie uścił dłoń skromnego mieszkańca wsi Grajdówek:

— Nasz radny — z wojewódzkiej kontroli — już tu jest! I oczywiście już po kontroli? I pomyśleć, że jeździ towarzyszył zwyczajnym rowerem?...

Gibon Pasztecik zbladł. Tym razem siedząc w fotelu szeptał: — było się z awansu... i naraz się nie jest. Oh! Cłężko...

Nie nadążając za mężem słynnym,
została w tyle...
z innym.

ALOJZY MAŃKA

cz. III/6 / 1966



Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

Cena Kęs 1,—

ROK 18 — (Nr 196)

3

Czeski Cieszyn, marzec 1966

W NUMERZE:

Dla nas czy nie dla nas ★ O problematyce
narodowościowej w Czechosłowacji ★ Żaba
★ Nie budujmy domu od dymu z komina ★
Józef Raszka — śląski Atget ★



Foto Józef Raszka.
Ze zbiorów K. Piegzy.

W 80/94
25.000/

Dla nas czy nie dla nas?

Walne zebranie dobiega końca. Kolej na podsumowanie. Siedzę za stołem prezydjalnym i patrzę na twarze przede mną. Jedno z tzw. średnich Kół — jakże typowy skład: pracownicy huty, rolnicy, inteligencja, przeważa wiek średni i wyższy, młodych mało, Troski podobne jak co roku, jak w innych Kołach. Jakie imprezy zarobkowe urządzić, jak wybudować czy odnowić lokal, jak utrzymać przy życiu (czyt. zaktywizować) zespoły. Narzekania na brak zainteresowania, miejscowe trudności, coś nie gra i we współpracy z innymi organizacjami.

Krąg zainteresowań jeszcze bardziej się zawęża. Czy prezes zgodzi się nadal pełnić funkcję? Kto będzie odpowiedzialny za pracę świetlicową? Albo też: kiedy się to skończy? Czy bufet już przygotowany? Kiedy pojedzie ostatni autobus?

W dniu poprzednim inne zebranie. Podsumowywał przedstawiciel z okręgowego sekczebla, ja słuchałem. Padły znane słowa: tezy, nowy system, ofensywność, musimy, powinniśmy, trzeba. Zdawałem sobie sprawę, że trzeba. Tylko jak? Z jednej strony obszernie tezy Komitetu Centralnego Partii z apelem do ogółu naszych obywateli o wypowiedzenie się na ten temat, dyrektywy i aplikacje władz okręgowych czy powiatowych, a tutaj drobne troski tzw. szarych członków PZKO, ludzi, którzy tyle już doświadczyli w swym życiu, tyle się nasłuchali, tyle razy wierzyli i tyle razy się rozczarowywali.

Czuję, że sformułowania w rodzaju „partia a reszta społeczeństwa” nie pomagają do wytworzenia potrzebnej jedności. Raczej na odwrót. Uświadamiam sobie, że przesyłanie suchych dyrektyw, bezbarwne lecz autorytatywne wystąpienia tzw. przedstawicieli, nie przekonują tej „reszty społeczeństwa”, nie udowodnią, że partia tym właśnie nieżywotnym metodom wypowiedziała walkę.

Zasadnicza problematyka naszego życia przekazywana w ten sposób, uważana jest jako pewnego rodzaju „nańszczyzna”, którą trzeba „odrobić”. Tak są traktowane w referatach sprawozdawczych na zebraniach PZKO sprawy międzynarodowe, tak wyglądają często problemy ekonomiczne (jesteśmy przecież organizacją kulturalno-oświatową, ale i zasadnicze założenia ideologiczne, jak na warunki danego Koła zbyt ogólne i, powiedzmy sobie prawdę, nie zawsze zrozumiałe).

Weźmy np. tezy dla przygotowania XIII Zjazdu. Pozornie wydaje się, że dotyczą one tylko życia partii, wielu nie widzi związku między ich sformułowaniami a życiem Kół PZKO. A przecież przyjmując nawet, że z obecnych

na walnym rzadko kto przestudiował dokładnie ich treść, uwzględniane są ich założenia. W trosce o młodzież, o nowe formy, w zadeklarowaniu czynu społecznego przy pracach w gminie, w omawianej współpracy ze szkołą, Sceną Polską, zastanawianiu się nad prelekcjami, wycieczkami, imprezami.

Posłuchajmy, co mówią tezy. Dla nas to czy nie dla nas?

„Rozwój socjalistycznego stylu życia rozumie partia jako ogół zjawisk obejmujących całe nasze otoczenie i środowisko, osobiste potrzeby materialne, wzajemne stosunki między ludźmi, pracą społeczną, właściwe i ekonomiczne wykorzystanie wolnego czasu oraz odpowiednia organizacja wszelkich potrzeb życia człowieka...”

Wszystkie te zagadnienia wymagają szukania przemysłanych rozwiązań zarówno w dalszej pracy społecznej, jak i w wyważeniu stosunków pomiędzy oddziaływaniem rodziny i nie zawsze należycie docenianym wpływem wychowawczym kolektywów roboczych, szkoły, instytucji i organizacji.”

Albo inne wyjątki z rozdziału mówiącego o rozwoju społeczeństwa socjalistycznego i państwa:

„Realizacja konkretnych zadań polityki narodowościowej partii w ekonomice, w dziedzinie życia społecznego i kulturalnego, przy pogłębianiu i poszerzaniu demokracji socjalistycznej nie oddziałuje automatycznie na świadomość naszych obywateli i dlatego jest rzeczą konieczną wyjaśnienie ich sensu i znaczenia ideowo-politycznego poprzez

skuteczną, ofensywną agitację i propagandę...”

KPC będzie się troszczyła o to, by obowiązujące uchwały partyjne dotyczące stosunków narodowościowych oraz ich realizacja zostały ujęte, o ile zajdzie tego potrzeba, w normach i przepisach prawnych oraz by respektowano skład narodowościowy w pracy kadrowej na wszystkich odcinkach naszego życia”.

Sformułowania ujmujące w wymownym skrócie obecną sytuację, zapowiedzi kierunku rozwojowego znajdziemy we wszystkich pięciu rozdziałach tez. Bo to właściwie wszystkie odcinki naszego obecnego życia, to próba konkluzji w sprawach, które nam są bliskie, z którymi spotykamy się na codzień, na które nie potrafimy nieraz znaleźć odpowiedzi. Każdy, kto nie stoi w pełnym odosobnieniu od wartkiego nurtu naszego socjalistycznego życia, znajdzie w tezach coś, co dotyczy jego osoby, rodziny, zakładu pracy, zagadnień, które go interesują.

A więc nie pańszczyzna, a życie. Nie frazesy, a dogłębna naukowa analiza. Nie oderwanie od życia, ale właśnie ujęcie tego życia w karby, pokazanie właściwej drogi.

Jesteśmy jakby na półmetku. Już przeszło dwa miesiące dyskutujemy na temat tez. Za kilka tygodni XIII Zjazd.

Nie patrzymy na to wydarzenie jako spotkanie „tych na górze”, którzy „między sobą” załatwią sobie te sprawy „po swojemu”. Już dziś tysiące uwag, propozycji i głosów w sprawie tez przedziażdowych świadczą, że tak nie jest. Wypowiadamy się wszyscy. Szczerze, otwarcie. Zabieramy głos w sprawach, które dotyczą partii, rad narodowych, PZKO, zakładów pracy.

I tak jest chyba słusznie. Bo chodzi o nas. O nas wszystkich...

TADEUSZ SIWEK



Korowód „kreacji” na balu dziecięcym polskiej dziewięciolatki w Domu Pioniera w Czeskim Cieszynie. Foto A. Sochorowa.

O problematyce narodowościowej w Czechosłowacji

Pragnąc uzyskać dostatecznie szeroką bazę do końcowego omówienia szczegółowych zagadnień, zajmę się obecnie niektórymi podstawowymi zagadnieniami kwestii narodowościowej w Czechosłowacji. W związku z tym musimy powrócić do historii. Aczkolwiek dziś stoimy już na zupełnie innym gruncie historycznym, nie można zrozumieć współczesnych stosunków bez znajomości historii, z której one wyrosły i która zostawiła na nich swe piętno.

Kwestia narodowościowa powstała u nas jako problematyka narodowościowa państwa czechosłowackiego równocześnie z jego utworzeniem w roku 1918. Korzenie zagadnienia sięgają głębiej. Przed rokiem 1918 żyły narody i narodowości Republiki w Austro-Węgrach. Narodem panującym i uprzywilejowanym w tym państwie byli Niemcy (Austriacy), od powstania unii — Austro-Węgier w roku 1866-7 w węgierskiej części również Węgrzy. Pozostałe narody i narodowości włącznie narodów słowiańskich, skupionych potem w CSR, nie posiadały praw narodowych. Logicznym następstwem tego stanu były tarcia narodowościowe, spory i walki, które w końcu doprowadziły do rozbicia Austro-Węgier, po ich porażce w pierwszej wojnie światowej i do utworzenia nowych państw, między nimi i CSR.

Pierwsza wojna światowa była typowym rezultatem głębokiego kryzysu kapitalizmu światowego. Wytworzyła ona sytuację rewolucyjną, która mogła być wykorzystana do jego porażki i do wytworzenia nowego, socjalistycznego ustroju społecznego, doprowadzającego nie tylko do wyzwolenia socjalnego ludzi pracy, lecz również i do likwidacji ucisku narodowościowego i załatwienia wzajemnych stosunków między narodami. Socjalizm doprowadziłby również do likwidacji wojen i zwrócił wysiłki ludzkości w kierunku twórczej pracy, rozwoju sił wytwórczych, kultury itd. — jak o tym marzyły stumilionowe masy zmęczone wojną.

Ruch robotniczy, osłabiony przez oportunizm, a rozbity przez nacjonalizm, nie wykorzystał tej ogromnej szansy. Rewolucja socjalistyczna zwyciężyła tylko w Rosji. W pozostałych częściach świata kapitalizm utrzymał się, co miało za następstwo nie tylko to, że nie doszło do socjalnego wyzwolenia ludzi pracy, lecz i to, że stosunki między narodami, krajami i państwami były załatwiane w dalszym ciągu w sposób burżuazyjny.

Tak było i w Europie środkowej. Ruch robotniczy nie był zdolny do wspólnej akcji rewolucyjnej, jak go do niej jeszcze pod koniec wojny wzywał Lenin. Nie był zdolny przeprowadzić rewolucji socjalistycznej, która już wówczas mogła się przenieść przez granice istniejących, względnie nowopowstających organiz-



Z baletu dziecięcego polskiej dziewięćlatki w Cz. Cieszynie. Foto A. Sochorowa.

mów państwowych, a która by wówczas prowadziła — w maksymalnym wypadku — do usunięcia granic państwowych, do bratniego zjednoczenia wszystkich wyzwolonych z kapitalizmu narodów w ramach Europejskiej Federacji Socjalistycznej, w której by nie było uprzywilejowanych i uciskanych, gdzie by wszystkie narody, małe i duże, rozwinięte i opóźnione w swym rozwoju, współpracowały i wspólnie sobie pomagały. Zagadnienie narodowościowe pozostało w rękach burżuazji, która je załatwiła po swojemu.

Stosunki między narodami w ustroju kapitalistycznym są uzależnione od władzy i siły. Kto posiada władzę — gospodarczą, wojskową — ma i prawo. W czasach Austro-Węgier była władza w rękach niemieckich i węgierskich klas rządzących, przez co usankcjonowano ich uprzywilejowaną pozycję w państwie. W wyniku wojny, a oczywiście i nacisku uciśnionych narodów, władza ta została obalona. Burżuazja czeska wykorzystała rozbicie Austrii i swego sojuszu z zwycięskimi mocarstwami koalicyjnymi do wytworzenia własnego państwa (wykorzystała nawet w swoisty sposób hasło samostanowienia narodów, wysunięte przez rewolucję w Rosji).

Koncepcja państwa czechosłowackiego powstała w czasie pierwszej wojny w kołach emigracyjnych, kierowanych przez

czeskich działaczy burżuazyjnych Masaryka i Beneša oraz Słowaka Štefánika. Ta koncepcja była dosyć skomplikowana. Z jednej strony nawiązywała do tradycyjnej walki o tak zwane prawo państwowe, to znaczy o wznowienie państwa czeskiego w granicach byłego królestwa czeskiego. Owo tak zwane prawo historyczne nie mogło być zastosowane wobec Słowacji, która — oprócz krótkiego okresu Państwa Wielkomorawskiego przed tysiącem lat — nigdy nie była połączona z Czechami i rozwijała się w ramach państwa węgierskiego. W odniesieniu do Słowacji użyto nowocześniejszej argumentacji burżuazyjno-demokratycznej, tak zwanego naturalnego prawa, postulującego usamodzielnienie, zjednoczenie itd. narodów. Było to ułatwione, bo czescy, a częściowo i słowaccy przedstawiciele burżuazji uważali wówczas Czechów i Słowaków za jeden naród oraz istniała wspólna umowa i porozumienie między przedstawicielami czeskiego i słowackiego narodu o utworzenie wspólnego państwa. Przyłączenie Rusi Podkarpackiej było „prawnie” uzasadnione, porozumieniem Masaryka z niektórymi emigracyjnymi przedstawicielami Rusi w USA.

Nie ma potrzeby ukrywać braków, przeciwnieństw i problemów już samej tej koncepcji, jak i jej praktycznego zastosowania. Wznowienie pierwotnych granic dawnego królestwa czeskiego z XVI wieku według prawa historycznego oznaczało przyłączenie do CSR znacznej ilości mieszkańców nie czeskiej narodowości, przede wszystkim Niemców, częściowo i Polaków. Było to niezgodne z tak zwanym prawem naturalnym, do którego się odwoływano, kiedy chodziło o wyzwolenie Czechów i Słowaków i o ich zjednoczenie (względnie o połączenie Słowacji z czeskimi krajami).

CSR powstała na gruzach Austro-Węgier. Poważna część dawnego terytorium królestwa czeskiego była však w roku 1918 poza granicami Austro-Węgier — konkretnie Śląsk, którego największą część straciła Maria Tereza w XVIII w. w wojnie z królem pruskim. Wznowienie pierwotnych granic królestwa czeskiego musiałoby pójść poza granice rozbitej Austrii na rachunek Niemiec. Śląsk Pruski, gdzie pierwotnie podstawowa większość mieszkańców nie posługiwała się językiem czeskim, lecz dialektami polskimi, był już w roku 1918 w znacznym stopniu zgermanizowany. Usiłowanie o przyłączenie całego Śląska (jak by to wynikało z ściśle historycznej argumentacji) prowadziło by nie tylko do dalszego skomplikowania już i tak złożonej sytuacji narodowościowej w CSR, lecz i do ewentualnego konfliktu z Niemcami,

Czas powrotu

dla Matki

**Pierwszym krzykiem na światło
otworzyłem swój świat —**

**Twoje ręce
zawiązywały mój sen u kołyski
z darowanych mi godzin miłości —
wszystkie ścieżki zasypały słońcem
bym się nie potknął na wybojach dni**

**budowałaś w głębi moich oczu królestwa
dobrotliwe i pełne
bym ich okruszyny przyniósł ci o zmierzchu
kiedy u skroni posiewie czas —**

**miłość była mi początkiem —
pierwszym słowem na światło
rozchylałem świat —**

**odtąd brodzę przez jego ptaki
i strumienie przepływającej ziemi
odtąd się wspinam pomiędzy tymi brzegami
ciągle wracając do ciebie —
rozpisanej na kolory piłki
ciężar kamyków i przebłyski szkiełek
dziecinnygo skarba
lampki miłości — Matko.**

ROBERT MRÓZEK

albo z Polską, która walczyła — nie tylko drogą dyplomatyczną lecz i zbrojną — o przyłączenie znacznej części Śląska (przy czym wysuwała argumenty tak z dziedziny prawa naturalnego — że chodzi o tereny zamieszkałe przez Polaków, jak i z dziedziny historyczno-prawnej — że tereny te były dawniej polskie, a potem siłą zgermanizowane itd.).

Konfliktu z Polską však ČSR nie uniknęła. Chodziło o Śląsk Cieszyński. Jest prawdą, że szło o część tego Śląska, który dawniej należał cały do królestwa czeskiego, a zwłaszcza o tę jego część, która została w ramach Austro-Węgier i po jej rozpadzie była „bezpańska”. Ale prawdą jest również, że mieszkańcy Śląska Cieszyńskiego byli w głównej części Polakami.

Rozwiązanie było typowo burżuazyjne — w zależności od stosunku sił, na co kto mógł sobie pozwolić, co potrafił wywalczyć siłą i w drodze dyplomatycznej. Austriacka burżuazja niemiecka była pokonana. Nie była zdolna trzymać i popierać burżuazji niemieckiej w krajach czeskich, która znalazła się w mniejszości. Burżuazja czeska przeformowała więc wznowienie państwa czeskiego w granicach historycznych. Oprócz Pruskiego

Śląska, z którego do ČSR przypadło nieduże terytorium Głubczyckiego, z językowo czeskimi tzw. Morawcami, oraz oprócz wschodniej części Cieszyńskiego, które przypadło do Polski.

Poza tym zostały przeprowadzone tylko nieznaczne retusze dawniejszych granic królestwa czeskiego (np. wobec Austrii), uzasadnione gospodarczo (komunikacja itd.).

Już zaznaczyliśmy, że argumentacja historyczna, zastosowana w zasadzie wobec krajów czeskich, nie nadawała się wobec Słowacji, gdzie by uzasadniała przyłączenie Słowacji do Węgier. Przy oddzieleniu Słowacji od Węgier dużą rolę grała rzeczywistość, że Słowacja była przez stulecia integralną częścią Węgier i że między Słowakami i Węgrami nie istniała na skutek tego jakaś granica historyczna. Przeciwnie granicy etnicznej można było przeciwstawić fakt, że jest ona wynikiem wynaradawiania, że w wyniku zacofania ludności jest w wielu miejscach niejasna, że poza tą granicą było na Słowacji wielu węgierskich urzędników, zwłaszcza w miastach, a po drugiej stronie

na Węgrzech dużo, szczególnie wiejskich, wysp słowackich. Granica została więc narysowana według wcześniejszych (założeniowych) stosunków etnicznych oraz według interesów strategicznych i gospodarczych zwycięzcy — była nim w tym wypadku burżuazja czechosłowacka — której udało się przeformować swoje stanowisko wobec pokonanych Węgrów na konferencji pokojowej.

W odróżnieniu od Galicji albo Śląska Cieszyńskiego, które przypadły po pierwszej wojnie do Polski, była polsko-słowacka granica historyczna stosunkowo jasna — zgodna z starą granicą Węgier, względnie węgierskiej i austriackiej części Monarchii Habsburskiej. Niemniej i tutaj wybuchły spory. Burżuazja polska przypominała sobie dawniejszą przynależność niektórych (przeważnie niemieckich) miast w słowackim Spiszu do królestwa polskiego i usiłowała o przyłączenie Spisza do Polski; mogła ją w tym popierać i pewna przejściowość dialektów językowych na tym terytorium. Burżuazja czeska i słowacka zwracała znowu uwagę na fakt, że po polskiej stronie za tą granicą jest szereg wsi słowackich.

Miała zadecydować siła wojskowa. Oba państwa: polskie i czechosłowackie miały wszak tyle kłopotów i problemów (a równocześnie obawiały się ingerencji mocarstw koalicyjnych, przy czym nie wiedziały, komu by one pomogły), że w końcu przystąpiły na kompromis. Ten jednak nie zadowolił szowinistów ani po jednej, ani po drugiej stronie.

Z tego wszystkiego powstała ČSR jako wielonarodowe i wielonarodowościowe państwo, gdzie obok narodu czeskiego i słowackiego żyły liczne mniejszości Niemców, Węgrów, Ukraińców i Polaków. Wskutek kierowniczej roli burżuazji czeskiej panującym narodem stał się naród czeski. Dla Słowaków oznaczało powstanie ČSR w porównaniu z stosunkami z czasów Austro-Węgier ogromny postęp, szczególnie pod względem narodowym; ustało wynaradawianie, zaczęła się swobodnie rozwijać słowacka kultura narodowa. Niemniej na skutek ogólnego zacofania Słowacji, istnienia kapitalizmu, a nawet imperialistycznego charakteru czeskiej burżuazji, znaleźli się Słowacy i w ČSR w sytuacji drugorzędnej, nierównoprawnej. Polityka oficjalna zaliczała ich wprawdzie do „państwowego” czechosłowackiego „narodu”, język słowacki był na Słowacji językiem urzędowym itd., to jednak nie decydowało i nie mogło zmienić głębokiej nierówności gospodarczej, socjalnej i kulturalnej między Czechami a Słowakami. Oprócz tego nawet oficjalne przyznawanie Słowakom „państwowotwórczej roli i funkcji” działało się poprzez ideologię „czechosłowackistyczną”, odmawiającą samodzielności narodowej Słowakom jako narodowi i charakteryzującą Słowaków tylko jako „gałąź” domniemanego narodu czechosłowackiego, a język słowacki bądź za dialekt czeskiego czy najwyższej za jedną z form domniemanego, a nie istniejącego języka czechosłowackiego.

W odróżnieniu od Słowaków jako współzałożycieli państwa czechosłowackiego, którzy mieli korzystniejszą pozycję, nie przyznawano państwu czechosłowackie równouprawnienia mniejszościom (jak zresztą wszystkie inne ówczesne kraje burżuazyjne z wyjątkiem Szwajcarii), szczególnie mniejszościom narodów dawniej panujących i uciskających Czechów i Słowaków, to znaczy Niemcom (na terenach przygranicznych w Czechach i w kilku narodowościowych wyspach w całej republice) oraz Węgom (na południu Słowacji i Rusi). Rusinom (czy raczej Rusi Podkarpackiej) obiecano wprawdzie przy tworzeniu państwa czechosłowackiego autonomię, ale ze względu na siłę partii komunistycznej na tym terenie otrzymała Ruś Podkarpacka zamiast autonomii czeskiego gubernatora. Polacy też byli wprawdzie „słowiańskimi braćmi”. Ale w konflikcie z Polską, szczególnie o bogatą część Ostrowskiego, chodziło o dużo i słowiańskość musiała ustąpić przed większym czy mniejszym nacjonalizmem czy szowinizmem (według grup politycznych) przejawiającego się — prawdę powiedziawszy — po obu stronach.

Powstanie ČSR w 1918 roku przyniosło więc wolność narodowi czeskiemu. Chodziło wszak o wolność narodowo-burżazyjną, która służyła przede wszystkim burżazji — do monopolistycznego ucisku pracujących własnego narodu oraz jako baza do ucisku drugich narodów i narodowości. Przyniosło niepełną wolność Słowakom. I przyniosło nierównoprawnienie dla licznych mniejszości narodowościowych.

Zanik jednych niesprawiedliwości w kwestii narodowościowej, jakie istniały w Austro-Węgrzech, oznaczał równocześnie powstanie nowych. W odróżnieniu od na wpół feudalnej Austrii, a szczególnie Węgier, nie realizowano owej nowej niesprawiedliwości formami brutalnymi lecz nowoczesnymi „kulturalnymi” metodami państwa burżazyjno-demokratycznego, jakim była Czechosłowacja. Pod tym względem różniła się Czechosłowacja i od okolicznych państw burżazyjnych (np. Niemiec, Polski), gdzie ucisk mniejszości miał nieporównanie

brutalniejsze formy i gdzie również polityka oficjalna więcej czy mniej otwarcie forsowała linię wynaradawiania mniejszości. To wszak nijak nie zmieniało istoty rzeczy, że i w burżazyjno-demokratycznej ČSR chodziło o panowanie jednego narodu nad drugimi, o ucisk narodowościowy, o nierównoprawnienie. Burżazja czeska, która jeszcze wczoraj, kiedy była sama w sytuacji uciśnionego i domagała się swobody narodowej, sprawiedliwości i równości, zapominała o tych żądaniach z chwilą przejęcia władzy. Znalazła do tego oczywiście i argumenty: że mniejszości tworzą tylko ułamki narodów, które posiadają swe własne państwa narodowe i mogą się państwowo i narodowo wyżywać, przy czym bez przyłączenia terenów przez nich zamieszkałych do ČSR, by państwo czechosłowackie — ze względów gospodarczych, komunikacyjnych, strategicznych — nie mogło istnieć, Czesi i Słowacy by nie mogli realizować swej wolności i państwowości; czyli że chodzi o mniejsze zło; że samookreślenia narodów nie można wprowadzić konsekwentnie (w kapitalizmie rzeczywiście trudno), że w trakcie załatwiania tych spraw po wojnie musiało dojść do pewnych błędów, bo robili to ludzie, że nowe stosunki są lepsze w porównaniu z poprzednimi (co było do pewnego stopnia prawdą) itd. itd.

Wybitny przedstawiciel czeskiego ruchu robotniczego B. Šmeral zdawał sobie już przed wojną sprawę ze złożoności problemu wyzwolenia narodu czeskiego, występował przeciwko forsowaniu historycznego prawa państwowego dlatego, że pochodziło z okresu feudalnego i uważał je za przestarzałe, a również dlatego, że jego forsowanie doprowadzi do nowych niesprawiedliwości. A przeciw niesprawiedliwości, nawet ze strony własnego narodu, wówczas jeszcze uciśnionego, występował nie tylko jako demokrat, ale również dlatego, że był przekonany o niemożliwości budowania wolności narodu w połączeniu z uciskiem narodów innych. Aplikował na czeskie stosunki hasło Marksa „Nie może

być wolnego narodu, który uciska inne narody”.

Jedynym rozwiązaniem demokratycznym przy całkowitym oddzieleniu narodu czeskiego mogło być rozwiązanie na podstawie granic etnicznych. Wystarczy wszak rzut oka na ówczesną mapę, byśmy zrozumieli to, co pojął wówczas i Šmeral: że tak powstałe państwo czeskie nie będzie zdolne do życia w zupełnym obłączeniu i zamknięciu przez żywioł niemiecki, któremu będzie wydane na łaskę i niełaskę (tak konkludował zresztą przedtem już Engels).

Šmeral ulegał wówczas również oportunizmowi socjal-demokracji, która uważała rewolucję socjalistyczną albo za nierealną, albo ją oddalała na późniejszy okres. Kiedy więc zastanawiał się nad kwestią narodowościową, wychodząc z długiego jeszcze okresu trwania kapitalizmu, nie widział Šmeral innego wyjścia, niż rozwiązanie czeskiego problemu w ramach Austrii na drodze jej demokratyzacji, osiągnięcie której wyobrażał sobie znów oportunistycznie — bez walki rewolucyjnej, drogą parlamentarną i konstytucyjną.

Powodzenie usiłowań Masaryka o wytworzenie państwa czechosłowackiego przy wykorzystaniu czeskiego prawa państwowego zaskoczyło i zdziwiło Šmerala. Z jego postawy na końcu wojny wynika, że i on sam uległ pewnym „czechosłowackim” iluzjom. Konflikty wybuchające przy powstawaniu ČSR z sąsiednimi krajami oraz wśród narodów i narodowości republiki, doprowadziły go wszak znowu do starych uzasadnionych obaw. Wspólnie z dalszymi działaczami powstającej partii komunistycznej zorientował się Šmeral szybko w słabościach nowego państwa, przede wszystkim w tym, że jego istnienie jest uzależnione od stosunku sił w świecie i w Europie, jaki wytworzył się przez porażkę Niemiec, a zwycięstwo koalicji, że w tym układzie samodzielność Czechosłowacji jest niepewna. W przyszłości znalazło to tragiczne potwierdzenie.

KAREL POMAIZL



Na targu w Jabłonkowie. Foto J. Raszka.

W jednej z klas szkoły fryszackiej jak zwykle podczas przerwy, było gwarno. Wyjątkowo gwarno, bo około sześćdziesięciu uczniów potrafi urządzić porządnym harmider — tym bardziej, że wiekowe różnice uczniów były duże. W tej niezwykle klasie byli bowiem uczniowie od pierwszej ludówki po trzecią wydziałówkę i uczyli się razem. Cóż to była za klasa? W każdym razie niezwykła. Pisał się bowiem ponury rok 1940.

W roku szkolnym 1939—1940 nie było wolno nam, Polakom, w ogóle uczęszczać do szkoły. Dopiero w następnym roku wepchano nas do jednej klasy. Nazywała się też ona „Übergangsklasse”.

Po tym, co działo się w naszych domach, na ulicy, na rynku — przyszliśmy do szkoły przestraszeni. Jednak w kupie było nam jakoś rażniej i w krótkim cza-

ŻABA

sie nie mały hałas urządzaliśmy podczas przerwy.

W pierwszych tygodniach uczył nas „szkopyrtok” Olejnik. Tłukł w nasze głowy jakieś der-die-dasy, które brzmiały jak zaklęcia. Wkuwanie szwabskiej gramatyki urozmaicił mi dopiero dziadek wierszykiem:

Der, die, das,
kupił bas.
Nie umiał na nim grać —
musiał go sprzedać.

Olejnik umiał po polsku — przed wojną był przecież polskim nauczycielem —

toteż dość często posługiwał się tym językiem, dla nas zrozumiałym. Po kilku tygodniach otrzymaliśmy nowego nauczyciela, a właściwie nauczycielkę. Frau Lehrerin Wentzell gadała wyłącznie po szwabsku. Jediną jej pomocą naukową była trzcinka oraz sentymentalny, starszawy obraz — landszafcik z chałupą.

Nauczala w ten sposób, że trzcinką pokazywała na obrazie dom i wielokrotnie powtarzała:

— Das ist ein Haus.

Następnie chóralnie wszyscy powtarzali: Das ist ein Haus — znów kilka razy i w końcu wywoływała do tablicy pojedynczo:

— Du, komm her.

Nazwisk bowiem jeszcze nie pamiętała.

Wywołany stawał na stopniu przed obrazem zawieszonym na tablicy i na pytanie: — Was ist das? — odpowiadał: — Das ist ein Haus. Albo tylko krótko: Haus. Wówczas trzcinka z obrazu przenosiła się na którąś część ciała pytającego i zaczęło się od nowa:

— Was ist das?

Lekcja za lekcją, dzień za dniem, tydzień po tygodniu: Trzcinka, landszafcik i to sakramentalne „was ist das”. Zналиśmy już pojęcia: Haus, Feld, Wald, Fluss i Frau Wentzell zaczęła przechodzić do szczegółów na obrazie, gdzie w potoku na kamieniu siedziała żaba, szkaradna ropucha. Kiedy odskandowaliśmy:

— Das ist ein Frosch — wywołała do tablicy Władka Górnygo.

Władek był roslým chłopakiem, dobrze zbudowanym i system kartkowy z dużym „POLE” w tym czasie nie zrobił jeszcze z niego szkieletu. Mieszkał przy ulicy Piotrowickiej w tak zwanej Jäcklowej kolonii. Wiekiem należał do trzeciej wydziałówki i dla nas, czwarto-piętoklasistów ludówki, był wyrocznią.

Stał na stopniu przed tablicą trochę wyzywająco, lecz Wentzellowa nie zwracając na to niby uwagi, poniekąd podrażnionym głosem, trzcinką wskazując na ropuchę, spytała:

— Was ist das?

— Żaba — usłyszała w odpowiedzi.

— Was ist das? — pytała, coraz bardziej podnosząc głos.

— Żaba!

Nie, nie trzcinką. Tę odłożyła na katedrę, podeszła do Władka i pięścią trzasnęła go w twarz. Raz i drugi. Po obu policzkach. Struchleliśmy. Jednak zanim zdążyła jeszcze raz spytać: Was ist das? Władek oddał. Frau Wentzell jak furia... opuściła klasę. Władek bledy, z rozciągniętą wargą, z której ciurkiem lała się krew, usiadł na swym miejscu w ławce. W klasie zapanowała grobowa cisza. Po chwili ktoś, chyba z pierwszoklasistów, zaczął, może ze strachu, pochlipywać. Spodziewaliśmy się przybycia rektora (tak bowiem tytułowano dyrektora szkoły) i już wyobrażaliśmy sobie straszne, nieludzkie bicie, kiedy drzwi do klasy otworzyły się i weszła... Frau Wentzell.



Ilustrował Bronisław Liberda.

Zarumieniona, upłakana, ręce jej drżały. Weszła na stopień i popatrzyła na klasę. Nie, to nie była Frau Lehrerin Wentzell, groźna, złośliwa, bijąca trzcinką po głowie, po twarzy, przez uszy... To była Wentzellowa — kobieta. I o dziwo! Czystym, wprawdzie drżącym, naszym, polskim językiem, spytała:

— Górny, dlaczego nie odpowiedziałeś mi na pytanie po niemiecku?

Władek wybałuszył oczy i powoli wstał z ławki.

— Bo, bo, ja, bo... bo jestem Polakiem i przepraszam panią...

Rozplakał się. Łzy jak grochy spadały na zielony blat ławki.

Wentzellowa podeszła do niego, położyła mu dłoń na ramieniu i cicho, załamującym się głosem powiedziała:

— Siądź sobie, ale pamiętaj, że zdania nigdy nie zaczynamy nieodmienną częścią mowy, jaką jest spójnik przyczynowy „bo”...

Do nas zwróciła się po polsku, że podczas przerwy mamy się ubrać i w dwójkach poczekać na podwórzu szkolnym.

Była wiosna 1941 roku.

Szliśmy do najdalszego zakątka parku, za budynek sądu, pod sam kamienny

parkan więzienia i tam posiadaliśmy na kłódach drzew.

— Gdzie pracuje twój ojciec? — spytała Wentzellowa Górnygo.

— Nigdzie, proszę pani.

— Jak to?

— KC-lager — Oświęcim.

— A matka?

— Też...

Władek siedział na pniu kryjąc twarz w brudnych dłoniach, opierając łokcie o kolana w wyświechtanych i połatanych spodniach...

— Dzieci! — jakoś miękko odezwała się Wentzellowa — niech wstaną ci, których rodzice są w obozach koncentracyjnych!

Wstała nas pokaźna gromada. Nie wstali tylko ci, których ojcowie byli w cieszyńskim lub fryszackim więzieniu, bo to nie były KC-lagry; o te nauczycielka przecież nie pytała.

Wentzellowa szeroko otworzyła oczy, stała tak chwilę bezradna i przybita.

Potem coś mówiła. Płatała słowa i pojęcia. Z przemowy nic nie zrozumieliśmy.

Uczyła nas jeszcze jakiś czas, ale to już nie była ta sama pani Wentzell. Po czasie przeniesiono ją do innej szkoły.

JAN SZYMIK

Nie budujmy domu od dymu z komina

„Jeżeli już wiedzą, że na cudzych skrzydłach nie polecą, to zjadą na swoich nogach.” (Przysłowie perskie.)

Od dłuższego czasu w naszej prasie regionalnej, na zebraniach Kół, Zarządu Głównego PZKO czy też przy różnych innych okolicznościach podnosi się postulat nowoczesności. Nic by w tym nie było złego, przeciwnie, należałoby przyklasnąć inicjatorom ożywienia

atmosfery kulturalnej i związkowej, gdyby dyskusja na temat nowoczesności rozgrywała się w właściwych wymiarach i proporcjach, gdyby nie grzęzła w wielosłowniu deklaracyjnego werbalizmu i swoistej bezradności. Bo co mamy rozumieć przez współczesność i nowoczesność? Oto jest pytanie, rzeczywiście godne odpowiedzi. Tymczasem dyskutanci w słowo współczesność i nowoczesność nie kładą żadnych konkretnych treści. Najwyżej słyszymy przy tej okazji

o małych formach pracy scenicznej czy świetlicowej. A co to są małe formy? Najczęściej rozumie się przez to coś w rodzaju kabaretów, skeczy, recytacji, piosenek, zgaduj-zgaduli, klubów dyskusyjnych itp.

Jestem jak najbardziej za małymi formami pracy kulturalnej tam, gdzie są do tego odpowiednie warunki, ale nie wylewajmy dziecka z kąpielą, nie przeszkadzajmy i nie marudźmy tam, gdzie tak zwane tradycyjne formy pracy związkowej dożywają, mając do tego odpowiednio zaplecze, zainteresowanie tego zaplecza, a przede wszystkim ludzi, którzy w tych formach pracy zdobyli pew-

ne doświadczenie, nie stracili zapału do pracy i mają jeszcze w tej dziedzinie zainteresowań coś do powiedzenia.

Często mylimy pojęcia: nowoczesność utożsamiamy z modą. To co modne, nie zawsze jest nowoczesne. Modne przemija, nowoczesne stabilizuje się, wrasta w codzienność, staje się powszechne i po czasie — bo takie już prawo życia — staje się tradycyjne, ustępując na bok nowej fali nowoczesności. Trzeba z żywymi naprzód iść — pisał nasz wieszcz. Nowe natrafia na niezrozumienie, niechęć i opór sił konserwatywnych. Ale takie jest prawo życia. Gdyby było inaczej, byłoby niedobrze. Bo nowe sprawdza swoją żywotność i przydatność tylko w starciu i w rywalizacji ze starym.

Zawsze w pewnym sensie istniał konflikt generacyjny w rozumieniu współczesności, ocenie przeszłości, a przede wszystkim zaś w podejściu do tak zwanego nowego. Nie zawsze nowe jest rzeczywiście nowe, często jest tylko inne, często jest czymś starym, tylko zmodyfikowanym. Przecież tak zwane małe formy znali już starożytni. Tak zwanym nowoczesnym wierszem pisali już Grecy i Rzymianie. Mówię o tym dlatego, by słowo nowoczesność nie stało się fetyszem, zaklęciem, które ma pokrywać naszą beznadzieję. Bowiem im bardziej zacinamy konkretyzować, tym zagadnienie nowoczesności staje się trudniejsze. Więc jaka to ma być nowoczesna piosenka: Big-beat, twist, letkis? A może muzyka elektronowa? Jakże wartości i gusta obowiązują w malarstwie, kiedy co rok nowy prorok obwieszcza światu jakiś nowy „op-art” czy „happening”?

Ostatnio wiele ludzi rozsądnych, myślicy, czujących pewną odpowiedzialność za losy naszego społeczeństwa, zadaje sobie niepokojące pytanie: O co

w tej oderwanej od konkretności i prowadzonej często wyłącznie w sferze teoretycznej dyskusji chodzi? Czy przypadkiem rozbierając stary dom stać nas na zbudowanie nowego, czy nie zostaniemy w próżni?

Bo to, co mamy, możemy zinventoryzować, określić, ocenić co dobre, a co złe, co przydatne, a co nieprzydatne; niestety o nowym mówimy tylko mgliście, ogólnikowo, najczęściej nerwowo z skłonnością do przesady i wytwarzania kompleksów wzajemnych uraz.

Lęk przed piętrem prowincjonalizmu nie zawsze jest dobrym doradcą, czasami prowadzi do zaufania nie liczenia się z rzeczywistością czy też do jej przekraczania.

W tym racja, że coś trzeba robić. Gotowej recepty nie wymyślił nikt ani w Zarządzie Głównym PZKO, ani też w redakcjach naszych pism. Nowe i lepsze może się zrodzić na podstawie analizy konkretnej sytuacji w poszczególnych Kołach. Inaczej trzeba podchodzić do pracy w Kole stonawskim, inaczej w cieszyńskim, a inaczej w Gutach czy w Sałajce. I to, co jest korzystne w Cz. Cieszyńskim, może całkowicie mijać się z celem w Sałajce. To wszyscy wiemy!

— powie ktoś. Jeśli wiemy, to dostosujmy naszą dyskusję do sytuacji wyjściowej, nie budujmy domu od dymu z kominą.

Walczyć z zaściankowalnością prowincjonalną, minimalizmem w rodzaju „twórczości dla naszego ludu”, która ma usprawiedliwić luki w talencie i warsztacie twórczym, nie gódźmy się z stereotypami i schematami, popierajmy wszelką inwencję twórczą, wszelkie śmiałość i wartość przemyślenia pomysłu, ale róbmy to z głową, na zasadzie zrozumienia i tolerancji do zastanych wartości, zdołajmy się na sprawiedliwe spojrzenie i ocenę tego wszystkiego, co czasami zbyt pochopnie określamy jako staroświeckie. Pamiętajmy, że nowe nie wyrosło z próżni, że czerpało z tradycji i że to nowe po kilku czy kilkunastu latach podzieli ten sam los, przejdzie do tradycji.

Nie zawsze jest ważne, czy używamy środków nowych, czy tradycyjnych. Ważne jest, żeby to były formy dobre, sugestywne, by w naszym działaniu widać było troskę o poziom, o skuteczność oddziaływania, by nasze wysiłki zapalały w myślach ludzkich tę iskrę, która skłania nas do działania zgodnie z rzeczywistością.

HENRYK JASICZEK

Józef Raszka - śląski Atget

Francuz Eugène Atget — dziś sławny, chociaż za życia mało znany i niedoceniany — skierował fotografię na nowe drogi.

Urodził się w Bordeaux w roku 1856. Bardzo wcześnie odumarli go rodzice, a wuj, który zajął się jego wychowaniem,

wybrał mu zawód marynarza. Przez jakiś czas był Eugène chłopcem okrętowym i zwiędził kawał świata. Widocznie marynarka nie przypadła mu do gustu, gdyż postanowił zostać aktorem. Występuje w mniejszych teatrach prowincjonalnych, a potem na małych scenach w Paryżu. Lecz ani teatr nie spełnił jego oczekiwań. Przydzielano mu tylko role podrzędniejsze, mało płatne, toteż widoki do przyszłości nie były zbyt różowe. Za namową swego przyjaciela przerzuca się jakiś czas na malarstwo. Ale i w tym zawodzie nie znajduje finansowego ratunku, brak mu bowiem wykształcenia i zdolności. Zresztą, w tym czasie żyje w Paryżu około 20.000 malarzy a większość z nich głoduje. Atget — wtedy już czterdziestoletni — jest zmuszony szukać innego zawodu, aby używić siebie i żonę. Kiedyś za młodszych lat zapoznał się trochę z sztuką fotografowania, która w owych czasach uchodziła za rzecz dosyć atrakcyjną i nową, więc postanawia zostać fotografem. Spodziewa się mieć klientów wśród znaniom malarzy, którzy do rysunku realistycznego często posługiwali się fotografią. Kupuje więc stary, ciężki aparat (18x24), drewniany statyw, kilka kaset, pakuje to wszystko do torby i rozpoczyna wędrówki za motywami po Paryżu. Pierwsze zdjęcia są raczej nie bardzo udane. Brak mu jeszcze dokładnej znajomości techniki fotograficznej, a zwłaszcza doświadczenia i praktyki. Nie zraża się jednak niepowodzeniem. Uparcie fotografuje dalej, cho-



Dawne domy w Jablonkowie. Foto Józef Raszka. Ze zbiorów K. Pigzy.



ciaż o jego fotografie nikt nie przejawia zainteresowania. Środki do życia wkrótce zaczynają topnieć i zdaje się, że Atget znowu będzie musiał zmienić zawód. W najkrytyczniejszej jednak chwili Luc-Olivier-Merson kupuje od niego za 15 franków kilka gotowych zdjęć i w ten sposób ratuje go w ciężkiej sytuacji. Atget kupuje nowy materiał fotograficzny i rozpoczyna dalsze mozolne wycieczki po Paryżu, obciążony nie tylko ciężkim sprzętem fotograficznym, lecz i podszłym już wiekiem. Wychodzi z domu wcześniej rano, a wraca często późnym wieczorem. W nocy, w prymitywnej komorze wywołuje i kopiuje swoje zdjęcia, których z dnia na dzień przybywa. Sporządza z nich albumy, aby móc je w estetyczniejszej formie zaprezentować klientom. Na drzwiach mieszkania umieszcza skromny napis: „Wzory dla artystów”. Klientów przybywa i życie rodziny Atgetów układa się dość znośnie. Podczas swoich wędrówek Atget poznaje Paryż jak rzadko kto. Nie zadawała się fotografowaniem centrum miasta, ale zaczyna szukać motywów na jego peryferiach. Wchodzi do najgorszych zaułków, do zapomnianych uliczek, tam, gdzie mieszka największa biedota Paryża. Na swoich kliszach fotograficznych (filmów wtenczas jeszcze nie używano) stara się utrwalić wszystkie osobliwości Paryża. Fotografuje ulice, parki, stare domy, kościoły, okna wystawowe, knajpy, speunki, wesołe miasteczka z maryngotkami, Sekwanę z charakterystycznymi mostami, stare portale, stare drzwi z oryginalnymi ozdobami i okuciami, zaśmiecone podwórka, a wśród tego wszystkiego swobodnie poruszających się ludzi, ale nie tych z sfer wyższych, lecz ludzi prostych, ciężko zarabiających na kawałek chleba. Są to przede wszystkim: służące, praczki, przekupki, kwiaciarki, szmacciarze, katarzyniarze, robotnicy uliczni, komedianci itp. Przedstawia ich bez upiększeń i bez retuszu. Stara się uchwycić prawdziwą twarz Paryża. Nie lubi fotografii sztucznej, naśladowącej obraz, wy-

reżysowanej w atelierze z malowanymi kulisami i dekoracjami. Dla niego atelierem jest cały Paryż, a kulisami ulice, stare przedmieścia, zaułki, podwórka, odrapane budynki, parki, a nawet pozamijskie śmietniska. Ludzie na jego fotografiach są żywi, naturalni, z twarzami wyrażającymi radość czy też kłopoty, bowiem Atget w gruncie rzeczy dalej pozostaje aktorem, chociaż zmienił swój zawód. Paryż jest dla niego ogromną sceną, a poruszający się w nim ludzie aktorami, którzy dnem i nocą odgrywają jakieś przedstawienie. Życie Paryża fascynuje jego wyobraźnię i daje mu dużo inspiracji, a przede wszystkim wiele zadowolenia życiowego. Do szczęścia wystarczają mu teraz dwie rzeczy: Paryż i fotografowanie. Toteż do końca życia włóczy się po Paryżu, ugięty pod ciężarem prymitywnego sprzętu fotograficznego i widzi wszystko to, czego inni nie zauważają i koło czego przechodzą obojętnie. Umiera w roku 1927, mając 71 lat, przez współczesnych nie rozumiany, ba wykiptowany za swe rzekome dziwactwo. Dopiero po śmierci został oceniony, a to dzięki Berenice Abbottovej, która zakupiła od spadkobiercy André Calmetta pozostałe negatywy. Kiedy zaczęła je publikować, świat otworzył oczy i musiał przyznać, że dzieło i zasługi Atgeta są ogromne. Był pierwszym, który wyprowadził fotografię z ścian atelierów i powiązał ją z prawdziwym życiem. Od tego czasu sztuka fotografowania posunęła się milowymi krokami naprzód i stała się niezbędną pomocą nowoczesnego człowieka. Dziś jest nam tak potrzebna, jak światło elektryczne, telefon, czy radio. Dlatego też nazwisko Eugène Atgeta zostanie zapisane złotymi literami w dziejach światowej fotografii.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, mniej więcej w tym samym czasie co w Paryżu Atget, żył na Śląsku człowiek o podobnych zamiłowaniach i zapatrywaniach artystycznych. Był nim Józef Raszka z Bystrzycy n. O., znany przede wszystkim jako malarz. Jego życiorys był już podany w broszurce pt. „Malarze śląscy”, wydanej przez Sekcję krajoznawczą Beskidu Śląskiego w r. 1937, a ostatnio w „Kalendarzu Śląskim” z r. 1965 na str. 119.

Podobnie jak Atget, miał Raszka młodość niewesołą. Jako cze-

ładnik malarski wędruje po świecie, w ciężkich warunkach musi poznawać świat i ludzi. Ma jednak aspiracje artystyczne — chce zostać sławnym i wielkim malarzem. Ale jego dobre zamiary i wzniosłe loty przekreśla nieodstępna bieda. Szczęśliwych chwil w swoim życiu ma mało, a jedyną jego ucieczką przed codziennością życia są wędrówki po ulubionych miejscach. Atget kocha Paryż — Raszka Beskidy! Obydwaj są urzeczeni pięknem ukochanych miejsc i starają się to piękno w jakiś sposób utrwalić. Atgetowi wystarcza fotografia — Raszce fotografia i obraz, który daje mu możliwość kolorowego uchwycenia piękna. Jest więc malarzem i fotografem.

Z sztuką fotografowania zapoznał się Raszka już podczas swoich wędrówek po świecie i obok malarstwa właśnie fotografia stała się pasją jego życia. Z zachowania dyplomu dowiadujemy się, że już w r. 1904 brał udział w „Powszechnej Wystawie Fotograficznej” w Krakowie i otrzymał honorowe odznaczenie za „artystycznie wykonane fotogramy”, co świadczy o tym, że mając 29 lat, osiągnął już na tym polu dosyć poważne sukcesy.

Tak Atget jak i Raszka nie oglądają się na korzyści materialne, ale zaślepieni swym zamiłowaniem nie zauważają nawet drwiących uśmiezków ze strony otaczających ich ludzi. A przyznać trzeba, że obserwować umieli bardzo spostrzegawczo i wnikliwie. Obydwu intere-



Z twórczości Eugène'a Atgeta.



JÓZEF RASZKA. Ze zbiorów K. Piegzy.

sowała za młodych lat scena, która potrafi przedstawić życie ludzkie w różnych jego formach i odmianach, a duszę ludzką obnażyć i pokazać ją z jej dobrymi i złymi cechami. Obydwaj widzą świat jako scenę, na której odgrywają się

dramaty, tragedie, a często i humorystyczne komedie. Nieświadomie wyczuwają, że to bogate i nadzwyczaj urozmaicone życie należy w jakiś sposób notować, utrzymywać i przekazać potomnym. Do tego celu właśnie nadaje się fotografia. Ale nie ta bezduszna, atelierowa, ale fotografia żywa, chwytająca życie na gorąco, bez wszelkich retuszy i upiększeń. Obydwaj szukają motywów do swoich zdjęć pomiędzy ludźmi prostymi, społecznie upośledzonymi, a naturalne otoczenie służy im jako kulisy. Ani jeden, ani drugi nie posiada doskonałego sprzętu fotograficznego — na to nie mogą sobie pozwolić — posługują się więc starymi aparatami fotograficznymi i tanim materiałem. Filtrów nie używają, a kopowanie przeprowadzają przy dziennym świetle w drewnianych ramkach.

Ciekawe jest również to, że obydwaj zapalają się do fotografii w tym samym mniej więcej czasie, a to pod koniec XIX stulecia, chociaż Atget ma już wtedy 40 lat, a Raszka dopiero 25. Ich daty śmierci wykazują różnicę zaledwie 2 lat

— Atget umiera w r. 1927, a Raszka w r. 1929. Z całą pewnością Raszka nigdy nie słyszał o Atgecie, a Atget o Raszce. Odległość z Paryża do Koszarzysk, czy też Bystrzycy, była dosyć duża, a Raszka w drugiej połowie swego życia nie utrzymywał prawie żadnego kontaktu z szerokim światem. Został wierny swoim Beskidom i tutaj też zakończył swoje życie. Odszedł tragicznie ten człowiek dziwny, o duszy artystycznej, rozmiłowany w prostym pięknie śląskich gór i jego mieszkańców. Odszedł nieszcześliwy, bo za życia niezrozumiany.

Nie jest moim zamiarem stawiać Raszkę na równi z Atgetem i przypisywać mu te same zasługi, jeżeli chodzi o nowe kierunki w fotografii. Stwierdzić jednak trzeba, że kierowały nim te same intencje i te same zapatrywania na posłannictwo fotografii. Trudno dzisiaj dołącznie ocenić zasługi Raszki jako fotografa, przecież od jego śmierci upłynęło już 37 lat, a zdjęć zachowało się niestety mało. Ale i z tych resztek, które po nim pozostały, możemy sądzić, że był on na owe czasy prawdziwym pionierem nowoczesnej fotografii na Śląsku i że wskazał swoim następcom nowe kierunki i perspektywy. W tym właśnie spoczywa jego wielka zasługa!

KAROL PIEGZA

Od redakcji:

Dowiadujemy się, że w okolicach podgórskich znajdują się jeszcze w niektórych domach oryginalne zdjęcia wykonane przez J. Raszkę. Prosimy uprzejmie o wypożyczenie nam tych zdjęć, celem opublikowania w następnych numerach. Zdjęcia należy przysyłać do redakcji „Zwrotu” (Cz. Cieszyn, ul. Lenina 28).

„...Gdzie śląskość jest polskością...”

(Uwagi o twórczości Wilhelma Szewczyka)

Blisko trzydziestoletnia twórczość pisarska Wilhelma Szewczyka jest tak obfita i różnorodna, że dla chociażby najbardziej pobieżnego jej przeglądu trzeba ją podzielić według rodzajów pisarskich. Znamienne jest i to, że jego twórczość, mimo różnorodności form, spłata się w jednolity kształt, od pierwszych prób literackich po dzień dzisiejszy. Recenzenci jego dzieł, krytycy i publicyści używają chętnie w odniesieniu do jego twórczości, a raczej osobowości twórczej, określenia: „pisarz śląski”. Na pewno słusznie, jeśli zwrócimy uwagę na fakt, że od urodzenia po dzień dzisiejszy, wyjąwszy lata okupacji, spędził na Śląsku. Ale nie tylko fakt zamieszkania i pochodzenia czyni go śląskim pisarzem przede wszystkim. Iluż to ludzi pióra przemieszcza w jakimś określonym regionie całe życie, a przecież nie mówi się o nich, jako o pisarzach związanych z danym

terytorialnym środowiskiem. Twórczość Szewczyka jest w swej treści, a częściowo i formie, wykwitem świadomości człowieka, który nigdy nie wyalienował się ze swej ziemi najbliższej; troski i radości ludzi, wśród których wzrastał, stają się jego troskami i radościami; daje im wyraz w swych utworach literackich.

Wilhelm Szewczyk urodził się 5 stycznia 1906 roku w Czuchowie koło Czerwionki w powiecie rybnickim. Niedawno obchodzono uroczystości jego 50-lecie (o czym poinformowano czytelników „Zwrotu” kronikarską wzmianką w numerze styczniowym z br.). Pochodzi z rodziny górniczej. Po ukończeniu szkoły powszechnej w Czerwionce wysłano go do gimnazjum w Rybniku, które ukończył w roku 1935. Nie miał środków na podjęcie studiów uniwersyteckich, nie znalazł także pracy. Wcześniej doświadczył na sobie krzywdy społecznej, której

nie brakowało w przedwrześniowej Polsce. Dopiero na kilka miesięcy przed wybuchem wojny otrzymał posadę referenta literackiego w katowickiej rozgłośni Polskiego Radia. Lata okupacji spędził w więzieniach Katowic i Wojerecy (Hoyerswerda) na Łużycach. Dzięki pomocy przyjaciół Łużyczan zwolniono go; natychmiast też opuścił Śląsk i zbiegł na teren tzw. Generalnej Gubernii, gdzie trudnił się tajnym nauczaniem w Opatowcu, Miechowie oraz w Rędzinach pod Częstochową.

Do Katowic powrócił w następnym dniu po wyzwoleniu miasta. Pracował w Wojewódzkim Urzędzie Informacji i Propagandy jako referent wydawnictw, współorganizował pracę katowickiej rozgłośni Polskiego Radia, następnie był kierownikiem artystycznym w Teatrze Satyry w Katowicach, kierował Studium Dramatycznym przy katowickim teatrze, był kierownikiem artystycznym Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego, ponadto, w latach 1945-50, był redaktorem naczelnym tygodnika społeczno-literackiego „Odra”. W latach 1948-50 redago-

wał pismo poświęcone sprawom teatru pn. „Wieczory Teatralne“, podjął współpracę z założonym w roku 1951 tygodnikiem literackim „Życie Literackie“ w Krakowie, w którym do dziś jest członkiem kolegium redakcyjnego, w latach 1956–57 redagował tygodnik społeczno-kulturalny „Przemiany“. Z kolei podjął pracę jako kierownik działu kulturalnego w „Trybunie Robotniczej“, zaś od roku 1962 po dziś jest redaktorem naczelnym dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Poglądy“.

Jego działalność charakteryzowała się silnym zaangażowaniem w pracę społeczną. Był jednym z organizatorów utworzonego w roku 1946 w Katowicach oddziału katowickiego Związku Literatów Polskich. Wielokrotnie, jak i obecnie, pełnił funkcję prezesa Oddziału. Przez dwie kadencje (1957–61 i 1961–65) był posłem na Sejm PRL, gdzie pracował w Komisji Kultury. Za prace społeczne został odznaczony w roku 1946 Złotym Krzyżem Zasługi, później — Krzyżem Kawalerskim, Orderem Odrodzenia Polski, Orderem Sztandaru Pracy II klasy, a w roku 1964 — Orderem Sztandaru Pracy I klasy. Posiada liczne odznaczenia nadane mu przez władze wojewódzkie województwa katowickiego, zielonogórskiego, olsztyńskiego i opolskiego.

Przypomniano dotychczasową biografię Wilhelma Szewczyka nie tylko z obowiązkowo kronikarskiego. Zaangażowanie się w problematykę społeczną stanowi klucz do zrozumienia jego bogatej twórczości pisarskiej, na którą składa się poezja, powieściopisarstwo, esejistyka, krytyka literacka, dzieła na tematy historii kultury oraz publicystyka i felietonistyka.

Zaczynał od wierszy, które publikował na łamach czasopism od roku 1936. Jakkolwiek już u początku swej kariery literackiej spróbował swego pióra w publicystyce, z czego w okresie przedwojennym najbardziej interesującym przykładem jest wydany w formie książkowej „List do Łużyczan“, zawierający refleksje utrzymane w szczerym choć nieco patetycznym tonie na temat losu najmniejszej społeczności słowiańskiej, wysuniętej najdalej na Zachód, a narażonej na eksterminacyjną politykę ówczesnych faszystowskich władców Niemiec, oraz w prozie opowiadaniowej, którą drukował na łamach katowickiej „Kuźnicy“, redagowanej przez Pawła Musioła, największym jego osiągnięciem literackim był wydany w roku 1937 poemat epicki pt. „Hanys“. To był właściwy debiut Szewczyka, debiut oparty o znaczne, jak na młodego człowieka, doświadczenie pisarskie. Poemat wyrósł z doświadczeń społecznych wyniesionych z domu i środowiska rodzinnego, pomnożonych doznańmi bezrobotnego inteligenta; nic zatem dziwnego, że dominuje w nim nuta buntu społecznego, czym zbliża się do rewolucyjnego nurtu poetyckiego Polski przedwrześniowej.

Rok debiutu Szewczyka staje się ważnym momentem w dziejach śląskiego

środowiska literackiego. Tkwiąc całkowicie w tradycyjnym podłożu, potrafił Szewczyk przezwyciężyć ciasny regionalizm, ba, uczynił to nawet dewizą swej ówczesnej działalności. Wokół niego zgrupowali się ideowo mu bliscy młodzi pisarze, jak np. Jan Baranowicz i stworzyli poetycką grupę Fantana, która przystąpiła do wydawania miesięcznika literackiego pod taką nazwą.

Na poemat Szewczyka zwrócili uwagę wybitni krytycy literacy, jak J. K. Weintraub w „Sygnałach“, Józef Czechowicz w „Ateneum“, K. W. Zawodziński w „Roczniku Literackim“ oraz śląski krytyk A. Jasionowski. W podobnej konwencji artystycznej utrzymane są również następne wiersze Szewczyka, powstałe jeszcze przed wojną lub w czasie wojny, oraz poemat stanowiący dalszy ciąg „Hanysa“ — „Noc“ (wydany jako druk konspiracyjny w roku 1941). W wierszach tych dominuje tematyka społeczna, zaś w tych, które powstały w czasie okupacji — narodowowyzwoleńcza. Po części wiersze z tego czasu ukazały się w zbiorze pt. „Posągi“, w którym zamieścił autor również tekst poematu „Noc“. Bohaterem jest syn tragicznie zmarłego Hanysa, Karlik, który puszcza w niepamięć krzywdy doznane w ojczyźnie i organizuje ruch oporu do walki z okupantem. Równocześnie jednak w tomiku tym znajdziemy lirykę bardziej osobistą, wypełnioną refleksją filozoficzną.

W roku 1948 ukazał się następny tom wierszy Szewczyka, w którym częściowo przypomniął utwory z „Posągów“ oraz dorzucił szereg nowszych. Rok 1951 wzbogacił poetycką twórczość o „Poemat górniczy“, ale tylko w sensie ilościowym. Dopiero w kilka lat później w 1957 roku ukazał się następny tom wierszy pt. „Zima boi się drzew“, który stanowi istotny postęp w tej dziedzinie twórczości. Wiersze tu zaprezentowane świadczyły o całkowitym zerwaniu z postawangardową poetyką, stały się bardziej osobiste, intymne niemal. Sprawy społeczne, polemiczne przyszedł prozie i publicystyce, wiersze tworzył z przemyśleń człowieka dojrzałego, który już ma za sobą swoją „godzinę myśli“. W tytułowym wierszu pisze o sobie:

... „Nie przeproszałem siebie ani za gorycz którą się trulem
ani tu pracowitość w której ćwiczyłem
ręce oczy i uszy
coż można robić między jedną i drugą
lżą
wibrującą w pokoju obcą i nienawistną...“

Wspólnym mianownikiem utworów zgromadzonych w tym tomie jest zaduma nad samym sobą, nad dotychczasowym życiem.

Jakkolwiek utwory poetyckie zajmują, objętościowo rzecz biorąc, najsłabsze miejsce w jego dotychczasowym dorobku, są, zarówno ze względu na osiągnięty w nich poziom artystyczny, jak i znaczenie w ogólnym obrazie jego twórczości, jednym z podstawowych elementów pisarstwa Szewczyka.



WILHELM SZEWCZYK

Twórczość powieściową Szewczyka otwiera wydana w roku 1951 historia ostatniego dnia przed wybuchem II wojny światowej, małej społeczności przygranicznej osady górniczej. Jakkolwiek domyślamy się, że pisarz eksploatuje przede wszystkim obserwacje zebrane w stronach rodzinnych, uczynił z „Kleszczy“, bo taki tytuł nosi powieść, wnikliwe studium postaw ludzkich w przełomowym momencie dziejowym.

Kontynuacją pomysłu „Kleszczy“ jest następna powieść Szewczyka pt. „Czarne słońce“ (1953). Już chociażby z tego względu zasługuje na baczniejszą uwagę, ponieważ jest pierwszą i bodaj jedyną powieścią o losach śląskiej klasy robotniczej w okresie okupacji. Pisarz przedstawia zdarzenia, które rozgrywały się na terenie Górnego Śląska, włączonym przez okupanta do swego państwa. Obie powieści, w których ujawniła się pełna dojrzałość stylistyczna Szewczyka, są jednak przede wszystkim powieściami politycznymi. I tu, podobnie jak w poezji, widoczne jest zaangażowanie pisarza w sprawy czasowo i terytorialnie bliskie.

Chęć przekazania spraw ważnych młodzieży podyktowała pisarzowi zamiysł napisania powieści „Pogodne noce“, których tłem historycznym są powstania śląskie. Zamiysł dydaktyczny sprawił, że namiętne tony publicystyczne niekorzystnie wpływają na kompozycję fabuły.

Po „Pogodnych nocach“ wydał Szew-

czyk tom opowiadań „Klara Krause i inne opowiadania” oraz powieściowo potraktowany reportaż historyczny „Skarb Donnersmacks”, oparty o bogaty materiał historyczny. Utwór ten jest wypadkową rozlicznych zainteresowań Szewczyka, a więc zarówno doświadczeń, jakie zebrał na polu niemcoznawstwa, oraz badań nad dziejami walki ludu śląskiego o społeczne i narodowe wyzwolenie. Dzieło to zostało przychylnie przyjęte przez czytelników, o czym m. in. świadczy drugie wydanie książki w roku 1964 oraz wysokie oceny krytyki.

Podobnie jak „Zima boi się drzew” stanowi postępowanie a równocześnie przełom w twórczości poetyckiej Szewczyka, tak „Wyprzedaż samotności” (1959) otwiera nowy etap w twórczości powieściopiskarskiej. Jest to powieść psychologiczno-obyczajowa, w której pisarz ukazuje oddziaływanie otoczenia (w tym wypadku małomiasteczkowej społeczności) na kształtowanie się psychiki człowieka, który za wszelką cenę chce się z tego środowiska wyalienować. Powieść tę cechuje wielka dojrzałość warsztatu pisarskiego oraz przemyśleń filozoficznych. Niewątpliwie powieść ta należy do szeregu najwybitniejszych w naszej literaturze w owym czasie.

Po pięcioletniej przerwie (w uprawianiu tego gatunku literackiego), ostatni okres przynosi znaczną w tej dziedzinie aktywność Szewczyka. W roku 1964 pojawia się powieść „Trzciny”, w której przedstawił zawiłe, tak w sensie przygodowym jak i psychologicznym, życie ludzi budujących nowe wartości na ziemiach odzyskanych; w ostatnich tygodniach ukazała się kolejna powieść Szewczyka pt. „Od wiosny do jesieni”. Obie te powieści stanowią jak gdyby wypadkową pomiędzy „Kleszczami” i „Czar-

nym słońcem” a „Wyprzedaną samotnością”. Autor nie rezygnuje w nich z podejmowania tematów mu bliskich, bliskich ze względu na teren (Śląsk) oraz na problematykę społeczną, jednocześnie jednak przypatruje się postaciom z dystansu, który pozwala mu dostrzec działania zawiłych mechanizmów ludzkiej psychiki.

Obok „Wyprzedaży samotności” powyżej postawiłbym ostatnią powieść Szewczyka. Osiągnął w niej niemal idealną konstrukcję, zespolił zagadnienie człowieczeństwa w ogóle z tryskającą bogactwem zdarzeń anegdotą, opowieścią o rzeczywistości pierwszych dni po wyzwoleniu Górnego Śląska. I jeszcze coś: znajdziemy w powieści mistrzowsko uchwycone relikty górnośląskiego, proletariackiego folkloru, który jest niełatwo zrozumieć, a chyba jeszcze trudniej udokumentować artystycznie.

Dotychczasowy dorobek powieściopiskarski Szewczyka, w którym dostrzega się konsekwentny rozwój, wyznacza mu miejsce wśród najwybitniejszych zjawisk literackich w naszej literaturze współczesnej.

Rozpisawszy się przydługo na temat twórczości poetyckiej i powieściowej Szewczyka, z konieczności trzeba będzie o innych rodzajach wspomnieć nieco pobieżnie. Przede wszystkim jest Szewczyk jednym z nielicznych pisarzy uprawiających eseistykę, i to tę najlepszego autoramentu. Z tej formy wypowiedzi pisarskiej korzysta zarówno w upowszechnianiu wiedzy o dziejach polskiej kultury i literatury na Śląsku, jak chociażby w „Trzynastu portretach śląskich”, w szkicu „Z kraju Lompy”, w swoich studiach na tematy niemcoznawcze, aby wspomnieć o dwu najważniejszych z tego zakresu — „Niemieckiej dramaturgii” oraz potężnym rozmiarami i znaczeniem

dziele na temat „Literatura niemiecka w XX wieku”.

Sporo czasu poświęcił Szewczyk zagadnieniom łożycim. Interesował się nimi już u początków swej działalności pisarskiej, czego dowodem wspomniany już „List do Łożyczan”. I znów spośród wielu prac przypomnijmy najważniejsze, jakimi są „Portret Łożyczanki” — studium o łożycim pisarce Ninie Witkojc, oraz „Antologię poezji łożycim”, starannie wydanej przez katowickie Wydawnictwo „Śląsk”, w której obok tekstów dał Szewczyk na wstępie obszerne studium o dziejach łożycim literatury; jedyne tego rodzaju w Polsce.

Jest wreszcie Wilhelm Szewczyk jedynym z najwybitniejszych współczesnych polskich publicystów. Przykładem, jednym z wielu, jest świetny i śmiały cykl artykułów, opracowanych wspólnie z Włodzimierzem Janurkiem pt. „O Śląsku i Ślązakach” oraz z tymże współautorem opracowany tom „Rozmowy o współczesności”. Cykle jego felietonów (np. w roku 1946 drukowane w „Dzienniku Zachodnim”) „Rozmowy o kulturze”, a obecnie np. publikowane w katowickiej „Trybunie Robotniczej”, „Notatki i utarczki” ujawniają jeszcze jedną pasję pisarską Szewczyka — felietonistykę.

Powiedziało się na wstępie, że różnorodność zainteresowań i form wypowiedzi pisarskiej nie jest w osobowości twórczej Szewczyka elementem rozpraszającym. Dowodzi ona z jednej strony wszechstronności talentu, z drugiej — określa jego postawę społeczną i ideową. Nie zamyka się w „pokoju bez okien”, nie izoluje się od życia, tkwi w nim całą swoją osobowością, stąd też wszystko to, co w sposób artystyczny przetwarza, skierowane jest ku żywemu człowiekowi.

STANISŁAW WILCZEK

Zasłużona rodzina nauczycielska

Wśród licznych, wielce dla naszego społeczeństwa zasłużonych rodzin nauczycielskich, na szczególną uwagę zasługuje rodzina Kubiszów z Kocobędza.

Oto kilka danych o tragicznych losach rodzeństwa Kubiszów (ojciec Jerzy Kubisz, ur. 15. 8. 1862, zmarł 5. 6. 1939, nauczyciel i inspektor szkolny):

Dr STANISŁAW KUBISZ
(18. 5. 1898 — 31. 12. 1940)

Do szkoły ludowej uczęszczał w rodzinnym Kocobędzu. Studia gimnazjalne ukończył w Cieszynie w roku 1916. Potem został powołany do wojska austriackiego. W dniu 31. 10. 1918 wziął udział w randze podporucznika w rewolucji cie-

szyńskiej, rozbijając pod dowództwem porucznika Klemensa Matysiaka oficerów niemieckich.

Od roku 1922 studiuje filologię i psychologię na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie w roku 1930 broni pracy doktorskiej pt. „Religijność Mickiewicza” i otrzymuje tytuł doktora filozofii. Następnie przez trzy lata uczy w Gimnazjum Osuchowskiego (w którym sam studiował) w Cieszynie. W r. 1933 wyjeżdża za granicę jako stypendysta



Rodzina Kubiszów. Od lewej inspektor Jerzy Kubisz (ojciec), Jerzy Kubisz wraz ze swym synem Władysławem, Ludwika Kubisz, dr Stanisław Kubisz. Zdjęcia z archiwum autora.

SPOTKANIE INTELIGENCJI

Zarząd Główny PZKO przygotowuje na początek kwietnia pierwsze spotkanie inteligencji. Celem spotkania jest zorientowanie się, jakie są zainteresowania oraz możliwości zaangażowania inteligencji w pracy związkowej, jak organizować współpracę z nią itd. Spotkanie będzie miało charakter klubowy.

DOBRE ZAPOCZĄTKOWANY ROK

Koło PZKO Czeski Cieszyń należy do bardzo ruchliwych. Prócz koncertu zespołu „Przyjaźń”, plan przewiduje w pierwszym kwartale całą serię imprez, jak prelekcje Henryka Jasickiego pt. „Włochy na codzień i pokaz”, świetlicę dziecięcą, uroczystość Międzynarodowego Dnia Kobiet, imprezę związaną z Dniem Nauczyciela, wieczór towarzyski organizowany przez Klub Kobiet itd. Należy z zadowoleniem podkreślić, że regularne spotkania czwartkowe nabierają charakteru klubowego.

AKADEMIA LUDOWA PZKO W STONAWIE

Przed miesiącem rozpoczęła działalność nowa instytucja PZKO-wska, akademii ludowa w Stonawie. Na inauguracyjnym spotkaniu dnia 15 lutego br. w Domu PZKO przedstawiciel Zarządu Głównego zaznajomił uczestników z zamierzeniami i celami akademii oraz uzgodnione zostały tematy z zakresu światopoglądu naukowego. Pierwszą prelekcję pt. „Budowa i rozwój wszechświata” wygłosił Jan Pribula. Następna prelekcja (1. 3. br. Maksymilian Rucki „Ziemia w układzie planetarnym”), cieszyła się również wielkim zainteresowaniem. Plan pracy akademii ludowej w Stonawie przewiduje w sumie 5 tematów oraz pogadankę końcową.

CIESZYŃIAK BADACZEM KULTUR AFRYKAŃSKICH

Mgr Władysław Filipowiak, dyrektor muzeum w Szczecinie, jest wybitnym afrykanistą, badaczem starej kultury państwa Mali. Podejmował już do tego odległego kraju dwie wyprawy, przy czym jedna z nich doprowadziła do potwierdzenia tezy o istnieniu w zamierzonych czasach wielkiej stolicy królestwa Mali.

Już w najbliższym czasie dyr. Filipowiak ma zamiar zorganizować trzecią, kolejną wyprawę w głąb Czarnego Łądu.



Na zdjęciu widzimy go w towarzystwie gwinejskiego historyka, D. T. Niani.

Ministerstwa Oświaty między innym i do Londynu. Po powrocie z zagranicy aż do wybuchu drugiej wojny światowej pracuje w wojewódzkim wydziale oświaty w Katowicach.

Po wybuchu wojny ewakuuje się ze swym urzędem do Lwowa, gdzie dołącza do setek uciekinierów z naszego terenu. Są tam m. in. Rudolf Budnik, Jarosław Waleczko, Ferdinand Pawlas, Józef Wilczek oraz jego brat Władysław Kubisz. Tutaj wraz z grupą nauczycieli organizuje nauczanie i dokształcanie dzieci i dorosłych.

Niestety po czterech miesiącach w marcu 1940 następuje, prawdopodobnie w wyniku jakichś uzgodnień władz radzieckich z Niemcami (był to okres istnienia umowy radziecko-niemieckiej), zmiana w dotychczas zadawalającym ustosunkowaniu się władz ukraińskich do inteligencji polskiej.

Ofiarą tych zmian pada i dr Kubisz. Zostaje aresztowany i wywieziony do Północnej Karelii. Pracuje tam z bratem Władysławem i Rudolfem Budnikiem przy ścinaniu drzew. W grudniu tegoż roku zachorował na zapalenie płuc i 31.12. 1940 roku zmarł.

WŁADYSŁAW KUBISZ
(1892—1941)

Starszy brat Stanisława urodził się w Wiśle-Czarnym, gdzie przed przeniesieniem do Kocobędza uczył ich ojciec. Kształcił się w szkole ludowej w Kocobędzu, w wydziałowej i Seminarium Nauczycielskim w Cieszyń, gdzie w r. 1914 maturował. W latach 1914—1918 uczył w Cierlicku i Ustroniu. Potem przeniósł się do Katowic, gdzie był referentem prasowym w urzędzie wojewódzkim i redaktorem Dziennika Zachodniego.

Oprócz pracy redaktorskiej zajmował się również pracą twórczą pisząc wiersze i inne utwory literackie. Napisał m. in. dwie sztuki teatralne, z których jedna pt. „Szczep piastowy” cieszyła się w okresie międzywojennym znacznym powodzeniem. Część jego utworów i rękopisów się zachowała i znajduje się w posiadaniu jego siostry Zofii, zamieszkałej w Cieszyń.

Krótko przed wojną przezuwając jej nadejście napisał wiersz pt. „Cisza przed burzą”, który pozwalamy sobie opublikować.

CISZA PRZED BURZĄ

*Czy znasz tę ciszę, co w powietrzu wisi,
Jak martwa bryła kamienia?
Czy znasz ten burzy skok piorunny, rysy,
Co gład ten w wrzątek zamienia?
Nie gnie się wówczas ni drzewo, ni trawa,
A ciszą twórcy cały dysze,
Świat jedną wówczas by zacisną nawą,
Duch zamieszkuje zacisze.
Cisza... lecz cisza to brzemienna burza,
Już się gdzieś w niej piorun czał,
Wnet się już nawy tej zgłiszczą zakurzą,
Świat się ruiną umi...
Tę ciszę znam... więc zawsze, gdy najgłośniejszej
I znikąd nie widać wroga —
Strach się i złe przecucie lęgną w duszy —
Gdzieś już nieszczęście u proga.*

Dalsze jego losy są takie same i równie tragiczne, jak losy brata Stanisława, którego przeżył tylko o miesiąc — ginąc 1.2.1941, rażony piorunem przy pracy, w dziewiczej tajdze Północnej Karelii.

LUDWIKA KUBISZ
(4. 7. 1904 — 4. 9. 1944)

Młodsza siostra Władysława i Stanisława. Była muzykiem. Po maturze w gimnazjum cieszyńskim w roku 1924 studiowała w Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie u prof. Stanisława Barcewicza. W roku 1928 kończy pomyślnie studia i rozpoczyna pracę pedagogiczną w średnich szkołach muzycznych w Warszawie i Stanisławowie. Była świetną wykonawczynią utworów skrzypcowych Henryka Wieniawskiego.

Okupację przeżyła w Warszawie, gdzie ginie jako jedna z tysięcy ofiar powstania warszawskiego.

JÓZEF MAZUREK



Imponujący dorobek

Wśród wielu walnych zebrań Kół na jedno z czołowych miejsc wybija się zebranie doroczne Koła PZKO w Wędryni, które odbyło się w ostatnią niedzielę stycznia (30.1.) br. w szczelnie wypełnionej (ponad 300 obecnych) sali „Czytelni”. Koło wędryńskie należy bowiem od wielu lat do ścisłej czołówki najlepszych Kół naszego Związku. Jego osiągnięcia i coroczna praca mogą być przykładem nie tylko dla Kół PZKO, lecz dla wszystkich organizacji społecznych.

Również dorobek Koła za ubiegły rok, jak wynikało z referatu sprawozdawczo-programowego przewodniczącego Koła Józefa Kaszpera, jest imponujący.

Członkowie odpracowali w rolnictwie około 8000 godzin, aktywnie uczestniczyli również w pracy na wszystkich odcinkach gospodarczych i politycznych wsi.

Zebrań członkowskie Koła odbywały się w połączeniu z świetlicą. Dobrze przygotowany program pociągał, dlatego też udział w zebraniach był dobry.



Foto Rudolf Pindur.

Należałoby sobie jedynie życzyć, by aktywność rejonowych w terenie się zlepiała.

W roku sprawozdawczym urządziło Koło 8 imprez. Warto wspomnieć o wiankach, które mają już swoją tradycję. Ruch czytelniczy rozwija się pomyślnie. Urządzono dwie wystawy książek. W pogadankach na temat książki wzięło udział 60 osób. Bibliotekarzowi ob. Karolowi Siedlaczkowi należy się uznanie za sumienne prowadzenie biblioteki.

Koło posiada kilka dobrze prosperujących sekcji. I tak zespół gimnastyczny pod kierownictwem Rudolfa Szűcsa upiększa swymi występami uroczystości w miejscu i w sąsiednich Kołach. Rudolf Pindur prowadzi sekcję fotograficzną. Dobrą tradycją cieszy się zespół śpiewaczy, który ma na swym koncie za ub. rok 18 występów z akompaniamentem akordeonistów. Chociaż poziom chóru jest dobry, to jednak nie można się zadowolić ilością śpiewaków. Wędrynię stać na jeszcze liczniejszy chór. Odczuwaliśmy również brak kwartetu męskiego. Pieśni i muzyce poświęca wiele czasu dyrygent Franciszek Hes.

Sekcja teatralna kierowana przez reżysera Jerzego Ciencialę, wystawiła w ubiegłym roku sztukę Karola Čapka pt. „Matka“, którą powtarzano dwa razy w miejscu, oraz w Bystrzycy i Karpętnej.

Dobrze prezentował się również zespół gitarzystów, zasługa to głównie Janusza Lasoty i Jerzego Macury. Oczekujemy od niego, że zainteresuje przede wszystkim młodzież w Klubie Młodych, jaki zaczyna się przy Kole rodzic.

Zespół taneczny pracował systematycznie. W jego pracy przejawia się zapał i wytrwałość, choć przejściowo został osłabiony przez odejście kilku tancerzy do wojska. Przeszło 30 występów mówią same za siebie. Zespołem kierował początkowo J. Kaszper, a obecnie ruchliwa nau-

czycielka Wanda Chodura. Plan zespołu tanecznego na rok 1966 jest również obiecujący.

Nie było w gminie uroczystości czy imprezy, w której by nasze zespoły nie wykonywały programu. Bardzo często wyjeżdżały też do terenu.

Chociaż praca układa nam się dobrze, to nie możemy jednak być zadowoleni z wszystkiego. Niedostateczny był udział członków Koła w przedstawieniach Sceny Polskiej. Zarząd wraz z rejonowymi powinien dołożyć starań, by artyści SP nie czuli z tej przyczyny do nas żalu.

Walne zebranie przyjęło 25 młodych członków. Koło się stale odmładza i ma realne szanse dobrze prosperować w przyszłych latach. Otwartą kwestią pozostaje nadal fakt, że jeszcze sporo miejscowej inteligencji stoi na uboczu.

Plan pracy na r. 1966 przewiduje odpracowanie 5000 godzin brygadniczych w czynnie społecznym, dwie imprezy czesko-polskie, dalszy werbunek członków, abonentów naszej prasy i cały szereg wartościowych wytycznych.

Można śmiało powiedzieć, że Koło w dużej mierze zawdzięcza swój poziom ofiarnemu prezesowi ob. Kaszperowi, który pracuje w tej funkcji już szereg lat, ma bogate doświadczenia i umiejętność podejścia do ludzi. Nowy zarząd musiał się jednak pogodzić z jego rezygnacją z prezesury. Ustupającemu prezesowi i całemu zarządowi należy się pełne uznanie i podziękowanie za pełną poświęcenia pracę.

Nowym prezesem wybrano wieloletniego i zasłużonego działacza Karola Lazara, którego doświadczenie i ofiarność jest gwarancją, że imponujące osiągnięcia Koła będą się dalej rozwijały.

Ocenę walnego zebrania przeprowadził członek ZG PZKO Jan Kowala, który w swym referacie wyjaśnił cały szereg dyskutowanych problemów.

—fk.—

A-KRONIKA KRONIKA-KRONI

ZOBOWIĄZANIA NA CZEŚĆ XIII ZJAZDU KPC

Koła PZKO podjęły ku uczczeniu XIII Zjazdu KPC 119 zobowiązań. Z ogólnej sumy 25 zobowiązań skierowano na pomoc rolnictwu przy pracach wiosennych, żniwach, pielęgnowaniu buraka cukrowego, prace inwestycyjne według potrzeb JSR i PGR na łączną sumę w przeliczeniu na godziny brygadnicze 17.120 godzin wartości 67.950 Kčs.

48 zobowiązań obejmuje pomoc radom narodowym w realizacji akcji „Z” — upiększanie gminy; budowa boisk sportowych, pielęgnacja parków, zieleńców miejskich, remonty szkół, budowa sklepów czy dróg. Łączna suma godzin brygadniczych 33.760, wartość 182.030 Kčs.

10 zobowiązań dotyczy prac przygotowawczych w związku z budową nowych lokali klubowych w ramach akcji „20 świetlic na 20-lecie” oraz remontu dotychczasowych lokali świetlicowych Kól. Prace w przeliczeniu na godziny obejmują 23.150 godzin, zaś ich wartość obliczono na 177.950 Kčs.

27 zobowiązań podjęły Koła w celu ulepszenia pracy kulturalno-oświatowej. Obejmują one werbunek nowych członków, powoływanie do życia klubów młodych, organizowanie cykli odczytów, werbunek stałych abonentów prasy i wiele innych zagadnień.

Ogólny bilans zobowiązań 74.030 godzin o wartości 427.000 Kčs. Wszystkie zobowiązania zostały uzgodnione z miejscowymi radami narodowymi.

PRZYJAŹŃ PRZEZ GRANICĘ

W środę i czwartek 2 i 3 marca br. bawiła w powiecie Frydek-Mistek delegacja władz kulturalnych z Cieszyna (Polska) w składzie Józef Gil, członek prezydium PRN w Cieszynie i kierownik wydziału kultury, przewodniczący komisji kultury MRN w Cieszynie Józef Powada, kierownik wydziału kultury MRN Robert Mrózek oraz redaktor „Głosu Ziemi Cieszyńskiej” Władysław Oszelda.

Zapoznali się z osiągnięciami instytucji kulturalnych powiatu oraz przeprowadzili szereg interesujących rozmów z działaczami kulturalnymi. Między innymi redaktor Oszelda odwiedził redakcję „Naprzodu”, gdzie omówiono dalsze kontakty — wymianę czasopism i informacji.

PRZED PREMIERĄ VII PROGRAMU „GÓRNIKA“

12 lat działalności karwińskiego zespołu pieśni i tańca „Górnika” to lata wyjątkowej pracy przeszło setki ofiarnych ludzi, lubiących śpiewać i tańczyć. Szereg całospektaklowych programów, które oglądało nie tylko społeczeństwo naszego terenu, ale również Pragi, Słowaczyny i Polski. W sumie zespół dał 128 występów, z czego 18 w Polsce. W uznaniu zasług położonych przez zespół na polu szerzenia kultury regionu, otrzymał akt uznania nadany przez Okręgową Radę Narodową w Ostrawie oraz srebrną odznakę II stopnia PZKO. Szereg dyplomów oraz przedmiotów pamiątkowych otrzymanych na występach w kraju i za granicą wzbogacają kronikę zespołu.

Obecnie zespół „Górnika” przygotował VII program, którego podanie widzowi

odbiega poniekąd od dotychczas używanej formy, stosując formę inną — ciekawszą, według scenariusza Franka Michalika.

Program obejmuje w swych pieśniach i tańcach oprócz regionu śląskiego, czeskiego i polskiego, również regiony kultury ludowej Związku Radzieckiego, Rumunii oraz folkloru cygańskiego.

Program ten przedstawia członkowie zespołu na premierowym przedstawieniu, które odbędzie się w sobotę 2 kwietnia br. w Domu Kultury w Karwinie-Novym Mieście.

DOBREGO STARTU

należy życzyć młodzieży Koła w Wędrzynie, która w sobotę, 26 lutego br., zainaugurowała uroczyste działanie Klubu Młodych. Własna orkiestra, ciastka, herbata i kawa, dużo młodych ludzi oraz miły nastrój panujący na sali, to gwarancja, iż następne spotkania tego młodego kolektywu cieszyć się będą równym powodzeniem. Pomimo tego, iż impreza miała charakter zabawy towarzyskiej, młodzi w pomysłowy sposób załatwili sprawy organizacyjne związane z utworzeniem Klubu. Ustalono członkostwo, zaakceptowano regulamin oraz plan działalności Klubu na przyszłość.

Plan bardzo ambitny, łączący aspekty wychowawcze z całokształtem zagadnień i problemów młodego człowieka. Oby przykład młodych PZKO-wców z Wędrzynie miał godnych naśladowców w terenie.

WALNE ZEBRANIE KOŁA W LIGOTCE KAMERALNEJ

W niedzielę 6 lutego odbyło się w naszej wiosce walne zebranie Koła PZKO. Jak wynika z referatu sprawozdawczego, mogliśmy się wykazać pewnymi osiągnięciami, m. in. odpracowano 1.700 godzin w czynnie społecznym, w tym w Jednolitej Spółdzielni Rolniczej 1.450 godzin. Koło ściśle współpracuje ze szkołą i przedszkolem, czego efektem był przygotowany przez dzieci szkolne program kulturalny na walnym zebraniu.

Z drugiej strony notujemy poważne luki w pracy świetlicowej. Słabe zainteresowanie książką, teatrem. Nikt nie interesuje się dorastającą młodzieżą, szwankuje współpraca ze szkołą dziewięcioletnią w Gnojniku. Przed nowowytbranym zarządem stoją więc ważne zadania, które wymagają zwiększonej aktywności wszystkich członków zarządu, odpowiedzialności społecznej i lepszej organizacji pracy. A może inteligencja, której jest sporo a w wiekszości stoi poza nawiasem życia społecznego lub pracuje wszędzie indziej, tylko nie u siebie, zrozumie potrzebę i przyłoży ręki do dzieła. Warto o tym pomyśleć.

WYSTAWA BIELSKICH PLASTYKÓW

W niedzielę 13 lutego br. odbyło się w foyer Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie uroczyste otwarcie wystawy prac (obrazów i grafiki) koła plastyków z Bielska. Wśród kilkudziesięciu prac, które wystawione były przedtem w Karwinie, znajdują się również grafiki nestora plastyków po drugiej stronie Olzy Jana Wałacha z Istebnej oraz Biszorskiego ze Skoczowa.

Pogłębiający się kryzys naszej prozy regionalnej wywołuje wśród zainteresowanych coraz częstsze dyskusje. I trzeba przyznać, że dyskusje uzasadnione, bo wypływające z troski o los naszej literatury.

Może nie zabierałbym w tej sprawie głosu, gdyby nie artykuł Artura Sandauera, który przeczytałem w jednym z ostatnich numerów „Współczesności”. Mimo że autor zastanawia się nad kryzysem polskiej literatury, warto przytoczyć tu jego wypowiedź:

„Czyż w atmosferze, gdzie każdy wyraz znaczy coś innego, niż znaczy, nie grozi nam śmierć — przez uduszenie? Pół biedy jeszcze ze starszymi, którzy potrafią odróżnić maskę od twarzy. Co jednak począć z młodymi, którzy — wychowani w aurze nieświadomości i niedomyśleń — nasiąkają od pierwszej chwili zasadą, że naturalnym przeznaczeniem pisanego słowa jest ukrywanie myśli? Niechże więc ci, na których spada odpowiedzialność za stworzenie tego impasu, zostawią po sobie, jeśli nie wiekopomne dzieła, to przynajmniej tę naukę, że budować życia na kłamstwie — niepodobna.”

Gdyby Sandauer napisał podobne stwierdzenie w naszych warunkach, trafiłby w sedno sprawy. Bo nie to jest istotne, że nie mamy dobrych prozaików, że nasi autorzy ograniczają się do miniaturowych opowiadań, nowel, lecz to, że nie mogą trafić w miąższ spraw współczesnych. Nie mogą, nie potrafią albo nie mają odwagi?

O tym można by dyskutować. Mimo wszystko wydaje się, że niebagatelną rolę odgrywa w naszych warunkach specyfika życia. Powstało na ten temat kilka niezłych opowiadań, publikowanych w „Głosie Ludu” i w „Zwrocie”. Lecz nie ma dotąd powieści. Luki tej nie wypełniły nawet konkursy literackie. Okazało się bowiem, że mamy dobrych poetów (śpiewających sobie i muzom), lecz powieści nie ma. Choć wszyscy zdajemy sobie sprawę, że właśnie na dobrą powieść byłby popyt na rynku czytelnicy.

Twierdzenie Sandauera, że „naturalnym przeznaczeniem pisanego słowa jest ukrywanie myśli”, mocno zapuściło korzenie w świadomości niejednego autora. To i fakt, że nie napisano jeszcze na naszym Śląsku dobrej powieści, może nas trochę usprawiedliwić, co nie oznacza, że powinniśmy rezygnować z poszukiwań tematycznych i formalnych. Prosty człowiek — jeśli można się tak wyrazić — chętnie przeczyta książkę o naszej przeszłości czy okupacji. Niekoniecznie musi to być powieść współczesna. Bo powiedzmy sobie szczerze — nie dojrzelśmy jeszcze, by móc oceniać teraźniejszość. Trzeba na to trochę dystansu, rzetelnego zamyślenia. Nie jest jednak wykluczone, że bardzo poczytną byłaby książka o okresie błędów i wypa-

czeń. Nasz Śląsk był bardzo żyzną glebą dla jego przejawów. Znając zainteresowania czytelników, można by sugerować szereg dalszych ciekawych tematów. Wiele znawców literatury twierdzi np., że każda powieść o naszych sprawach była by tragedią. To nie jest istotne. Ważne jest, by taka książka była przekonująca, prawdziwa.

Integralną częścią dzieła prozatorskiego jest forma. Z doświadczeń powojennych zdążyliśmy wywnioskować, że nie każda forma odpowiada smakowi czytelnika. Największym dotąd wzięciem cięszą się prozy, których język i styl cechuje prostota wypowiedzi. Każdy, czasem nawet ciekawy eksperyment, uważa się u nas za wygłup. Społeczeństwo sygnalizuje zatem powrót do klasycyzmu. Czy słusznie?

Chyba tak. Bo tylko dzieła zrozumiałe dotarły do serc całego narodu i zapewniły sobie trwałe miejsce w literaturze. Zważywszy, że na naszym terenie musimy liczyć się z każdym czytelnikiem, powinna być komunikatywność warunkiem prawie obowiązującym każdego pisarza. Musimy pamiętać, że kiedy nikt nie będzie kupować ani czytać naszych książek, to nie będziemy mogli je ani wydawać.

Bardzo ważną rolę w naszym środowisku mają kontakty literackie. Trzeba powiedzieć bez ogródek, że brak nam żywego kontaktu z Polską, z terenem, żywym słowem, które przechodzi nieustanne metamorfozy. Warto by więc pomyśleć o realizacji spotkań z czytelnikami i pisarzami w Polsce, o możliwościach wyjazdów do naszych najbliższych sąsiadów, o stypendiach literackich dla naszych autorów i innych formach współpracy. Gdyż jedynie w ten sposób będziemy mieli gwarancję ciągłego rozwoju. Te sprawy jednak nadal traktuje się po macoszemu. A szkoda. Bo to, że mamy możliwość spotykać się na zebraniach SLA, dyskutować o nowych pracach, publikować swoje utwory w naszej prasie lub edycji polskiej wydawnictwa Profil w Ostrawie, to zbyt mało, by wyjść poza region. Autorom trzeba dać większe możliwości poznania swego kraju i zagranicy. Żeby ich wiedza nie była powierzchowna lecz oparta na rzetelnej bazie



poznania człowieka współczesnego i stosunków międzyludzkich.

Chcemy pisać o naszych sprawach. Prosto, odważnie, szczerze, zrozumiale. Chcemy ślad naszego czasu utrwalić dla przyszłych pokoleń. Chcemy być rozu-

niani i czytani także przez pokolenie współczesne — bez względu na jego zainteresowania, wiek, wykształcenie. To byłoby na pewno krok naprzód, jeśli nie wyjście z impasu.

BRONISŁAW BIELAN

Mikroopowiadania

Lyżwiarka

Pod lampami wyczarowała uśmiech dla wszystkich. Ukłonem zaprosiła do przejażdżki w rytmie walca.

Niebieska spódniczka rozkręciła się w parasolkę, by wyrwać kawałek cienia dla zimnej tafl.

Od punktu rozpoczął się rysunek na płótnie lodu. Żaden artysta z takim wdziękiem nie maluje obrazu podwójną brzdą lini. Rittberger pozostawia ślad, który właściwie ocenią tylko znawcy.

Zostałem wplątany w ten zagmatwany obraz linii... będę czekał, aż stopnieje lód.

Upór zakochanych

Rozkołysane puszyste białe płaty śniegu dostojnie i powoli osiadały na dachach domów, ulicach, drzewach, przysypywały zakochanych w parku.

Pułap nieba obniżył się, by skrócić czas ich spadania i pogłębić ciszę. Para zakochanych zrozumiała, że to dla nich ta sceneria bajkowa. Postanowili pozostać.

Cała ta historia uporu i szlachetnego przywiązania do siebie zakończyłaby się na pewno tragicznie, gdyby w miejsce wy-

ciosanego z granitu pomnika zakochanych, postawić żywych bohaterów.

Grażyna

Uwielbiała zespół beatlesów — Czerwone Gitary —, a w szczególności rozbrajającego szerokim uśmiechem Zbyszka.

Gdy wychodzili na estradę dostawała dreszczy. Kiedy zaczęli się rozkręcać, wpadała w szal zachwytu i uwielbienia.

Po występie udało się jej pocałować Zbyszka. Ten się odwzajemnił i zaczęli z sobą bywać. Wkrótce stanęli przed ołtarzem.

Grażyna nadal uwielbia swego męża. Z jego grzywki dała sobie zrobić sztuczny kok.

Franciszka

Była typem dziewczyny nieśmiałej i nader delikatnej. Często siadywała na zielonej murawie, zrywała złocienie i bawiła się w wróżbę: — Kocha, lubi, szanuje... nie dba, nie chce, żartuje. —

Gdy pozostawał ostatni płatek, serce przyspieszało tętna.

Jak dotąd na zielonej murawie ukochany się nie zjawił. Spadł śnieg. Franciszka z utęsknieniem oczekuje wiosny.

GUSTAW SAJDOK

Upominek

Danuśka czekała na mnie na przystanku. Wyszła wprawdzie prędkiej ze szkoły, lecz do domu nie poszła. Z tej chyba prostej przyczyny, która czas od czasu „zdarza się“ ludziom dorosłym: potrzebowała podzielić się z kimś swoją tajemnicą. Biegne teraz obok balansując na krawężniku trotuaru, co nie przeszkadza jej gadać bez przerwy.

— Co pan myśli, na pewno chyba bardzo się ucieszy?!

Zwlekałem z odpowiedzią, udając, że nie wiem o co chodzi. Wtedy zdejmuję z pleców teczkę i z namaszczeniem wyjmuję trochę pognieciony tekturowy koszyczek. Dla odmiany udałem zachwyczonego, który nadal nic a nic nie rozumie. Mała podsuwa mi arcydzieło pod sam nos i dopiero wtedy dostrzegam pośledzi jaskrawo wykredekowanymi serduszkami krzywy napis „KOCHANIEJ MAMUSI Z OKAZJI DNIA KOBIET“.

— Wcale ładne — mówię. — Kto to robił?

Danuśka urasta, a w słówku „ja“ brzmi czysta nutka niepowtarzalnie prostej dziecięcej radości. Wspólnie układamy dalszy plan działania. Jeszcze chwilę powłóczymy się po mieście, zanim mama

Danusi wróci z pracy. Potem mała zadzwoni i bez słowa poda koszyk. Tak będzie najlepiej.

Po mniej więcej kwadransie, kiedy wiem już ze wszystkimi szczegółami ile to wysiłku kosztowało 8-letniego brzdąca sklepanie takiego upominka, stwierdzam, że czas już iść do domu. Cichutko skradamy się po schodach. Już jest. Za drzwiami mieszkania słychać radio i brzęk naczyń. Konspiracyjnie się uśmiechając, gładzę małą po głowie i szybko pędzę na swoje piętro, żeby nie przeszkadzać. Zatrzymuję się dopiero za zakrętem schodów. Czerwone z przejęcia dziecko dzwoni uporczywie. Radio cichnie, a za drzwiami rozlega się podenerwowany głos:

— Pali się czy co, u diabła?!

Stuknęła klamka i Danuśka podaje bez słowa swój koszyczek. A nim z trzaskiem zamkną się drzwi mieszkania usłyszę jeszcze:

— Cóż to znów za rupiecie znośisz do chałupy!

Wchodzę teraz bardzo już powoli na swoje piętro, a z każdym schodem jest mi coraz ciężiej.

BRONISŁAW PROCNER



JUBILEUSZ ANNY GODULOWEJ

W dniu 4 marca br. obchodziła 50-lecie swych urodzin znana w Suchej Górnej zasłużona działaczka społeczna Anna Godulowa.

Już w okresie międzywojennym zwraca na siebie uwagę swą aktywną pracą jako czynna członkini miejscowego chóru mieszanego od r. 1933.

W czasie okupacji spotkał ją los tysięcy polskich kobiet. Wśród ofiar okupacji znajduje się bowiem mąż naszej Jubilatki Jan Żurek, który zginął w obozie w Gusen, zaś ona zostaje przeznaczona do robót przymusowych w miejscowym gospodarstwie rolnym.

Po wyzwoleniu wstępuje jako jedna z pierwszych w szeregi tworzącego się Koła PZKO. Jest członkinią zarządu Koła od jego założenia w r. 1947, gdzie wspólnie z obecnym mężem, znanym społecznikiem dr Wilhelmem Godulą, pracuje aktywnie do dnia dzisiejszego. Jako ofiarna kierowniczka zespołu kobiet Koła, organizuje kursy szycia i różne kursy sztuki kulinarnej, połączone z wystawami, oraz odczyty o rodzinie, higienie, gospodarstwie domowym. Przygotowuje ze swoim zespołem bufety na zabawy, bale, festyny, uroczys-



ANNA GODULOWA

tości jubileuszowe i inne imprezy. Jest również jedną z założycielek chóru żeńskiego „Tęcza“ w r. 1963. W chórze tym należy do grona najbardziej aktywnych członkiń.

W dowód uznania za wieloletnią i ofiarną pracę społeczną zostaje kilkakrotnie wyróżniona z okazji MDK, zaś w ramach 15-letniego Jubileuszu PZKO jest odznaczona przez ZG PZKO brązową odznaką PZKO „Za zasługi“.

Zarząd Koła PZKO składa tą drogą zaniej Jubilatce w imieniu własnym i w imieniu zespołów wyrazy uznania i podziękowania za dotychczasową ofiarną pracę oraz serdeczne życzenia długich, pogodnych, radosnych lat życia i dużo sił do dalszej pracy społecznej.



FRASZKI

OLZA — OLŠA

Ile gorczy
wywołać potrafi
zmiana w geografii.

M Y

Należymy do pokoleń,
które liznęły szkoleń.

N A R Ó D

Nasz naród oprócz masła
lubi hasła...

KALENDARZ ŚLĄSKI

Kupcie kalendarz! Rozłapcie!
Nie zgorszą się wam babcie.

ŚRODKI ANTYKONCEPCYJNE

Nieuzycie...
Grozi życiem.

NIE JEDEN

Marząc o pomniku,
legł na śmietniku.

ALOJZY MAŃKA

Mój sąsiad wypadł wczoraj z 10 piętra.
To jest nieodpowiedzialność, na pewno
uszkodził nowy asfalt.

*

Mówiono mi, że agent D. dał się prze-
jechać walcem.

Podejrzewam, że on coś kombinuje. Już
dawniej chętnie się wszędzie wciskał.

*

Pisano w gazecie, że urzędnik F. połknął
publicznie w ubiegłym tygodniu kilogram
gwoździ.

Mówił mi, że go stale coś swędzi w żo-
łądku. Chciał się widocznie podrapać.

*

Spotkałem wczoraj na ulicy nagą żonę
inżyniera S.

A ten sknera jej jeszcze stale wymawia,
że się drogo ubiera.

*

Słyszałeś, że L. zabił się wczoraj w sa-
mochodzie razem ze swą kochanką?

No, tego to mu nie daruję. Dziś wie-
czorem mieli nas odwiedzić. Żona już przy-
gotowała kanapki.

*

Słyszałeś, że R. zastrzelił wczoraj swą
teściową?

Tak, mówił mi coś, że musi wypróbować
swój nowy rewolwer.

*

Adwokat Z. umarł podobno wczoraj na
zawał serca.

Cholerny kłamczuch, a mnie zawsze mó-
wił, że się powiesi!

JANUSZ GAUDYN

Dziwny współlokator

Trudno było dociec przyczyny ta-
kiego właśnie postępowania na-
szego sąsiada. Codziennie rano,
idąc do pracy, z wszystkich pięter zjeżdżał po poręczy. Wracając do domu szedł normalnie po schodach. Tak czynił od czasu, gdy tylko wprowadził się do naszego domu. Dociekając przyczyny jego postępowania, sprawdziliśmy, gdzie mieszkał przedtem. Podobno w parterowym domku, gdzie poręczy ani schodów nie było. Trudno było posądzać go o jakieś zamiłowanie do sportu, bo nie chodził nawet na mecze piłki nożnej.

Niektórzy dopatrywali się w jego postępowaniu wyładowywania niewyeksplloatowanych możliwości lat dziecięcych, inni zaś zamiłowania do jakoby jazdy konnej.

Sąsiad zjeżdżał po poręczy zawsze głową w dół i wierzył nogami jakby kłut rumaka ostrogami. Nic przy tym nie mówił. Gdyby chociaż raz wyrwał mu się z ust jakieś do niewyraźne heta lub wio, sprawa byłaby jasna. Ale tak?

Nagabywany o przyczynę i sens swego postępowania, dawał wymijające odpowiedzi.

Wariat? Maniak? Niedoszły dżokej? Dzieciak? — zachodzili w głowę lokatorzy domu. W rzeczywistości był urzędnikiem pocztowym.

Najgorsze ale było to, że zjeżdżając po poręczy pozdrawiał sąsiadów spotkanych na schodach lub odpowiadał na pozdrowienie, a niekiedy zamieniał z nimi i kilka słów. Takich o niczym.

Po jakimś czasie jeden z współlokatorów nie wytrzymał i przy asyście kilku innych również zjechał po poręczy kilka pięter.

— Niezłe — rzekł, kiedy na parterze w ostatniej chwili skoczył na równe nogi.

— Niezłe? — zapytał inny i zjechał również.

Po kolei zjechali wszyscy. Pokiwali głowami i rozeszli się do mieszkań.

Od tego dnia coraz częściej współlokatorzy zjeżdżali po poręczy. Jeżeli jeden może, to dlaczego oni by nie mogli? Przecież wcale nie gorsi. W dodatku dwaj z nich są inżynierami, a jeden artystą.

Jechali prawie że wszyscy i wszystko



Ilustrował Bronisław Liberda.

byłoby w porządku, gdyby nasz dziwny współlokator pewnego dnia z niczego nic nie zaczął schodzić normalnie po schodach.

— Dziwny — orzekli zgodnie sąsiedzi. Sytuacja była trochę kłopotliwa. Obecnie już nie wypadało go małpować.

JANUSZ GAUDYN

Anketa czytelników „Zwrotu“

W redakcji oraz Zarządzie Głównym PZKO, którego „Zwrot“ jest organem, czynimy starania w kierunku poszerzenia i udoskonalenia pisma oraz warunków jego wydawania. Odpowiednie czynniki przyrzekły zaakceptować w ciągu bieżącego roku nasze postulaty (poszerzenie objętości z 16 do 32 stron, plus 4 strony półtwardej trzykolorowej ewentualnie lakowej okładki, przy równoczesnym zmniejszeniu formatu, podniesienie ceny pisma z 1 Kęs na 2 Kęsy itd.).

Te poważne zmiany natury technicznej muszą znaleźć równocześnie należne odbicie w ogólnym udoskonaleniu pisma, w unowocześnieniu również jego treści.

Redakcja przygotowuje więc ogólną koncepcję nowego „Zwrotu“. Uważamy za nasz obowiązek poinformować o tym czytelników oraz poradzić się z Wami. Prosimy więc o odpowiedź na poniższe pytania i odesłanie nam wypełnionej ankiety do 31. 3. 1966.

1. Jak oceniasz ogólny poziom „Zwrotu“?

.....

.....

.....

2. Czy odpowiada Ci jego profil pisma kulturalno-społecznego, z przewagą publicystyki nad materiałami literackimi i skromny tylko dział informacyjny?

.....

.....

.....

3. Jakie jest Twoje zdanie o stronie (poprawności) językowej „Zwrotu“?

.....

.....

.....

4. Które artykuły Ci się w ostatnich numerach najwięcej podobały?

.....

.....

.....

5. Które istotne sprawy należy Twoim zdaniem w naszym piśmie poruszać?

.....

.....

.....

6. Jak oceniasz poziom prac literackich (opowiadania, wiersze) w „Zwrocie“?

.....

.....

.....

7. Których autorów najchętniej czytasz?

8. Które z działów – ogólny, literacki, Piórem i obiektywem, Czy tak, Nasza kolumna, Teatr i sztuka, Godki i pogwarki, Żywe teksty, Kronika, Sylwetki, Powsinoga – są według Ciebie na lepszym poziomie, a które uważasz za słabe, względnie za traktowane przez redakcję po macoszemu?

9. Które z istniejących działów uważasz za niepotrzebne?

10. Które należy poszerzyć, względnie podzielić?

11. Jakie nowe działy należy według Ciebie wprowadzić w naszym piśmie (Notatki i noty, Młodzi o sobie, Oстрым piórem, Milenium przyjaźni, Sylwetki naszych działaczy itd.)?

12. Czy odpowiada Ci szata graficzna „Zwrotu” (poziom zdjęć i ilustracji oraz ich ilość i układ w numerze)?

13. Co proponujesz w celu ulepszenia szaty graficznej?

14. Inne uwagi:

M a r z e c 1 9 6 6

.....
podpis i ew. adres (można i bez podpisu)

Można odpowiedzieć tylko na niektóre pytania i odesłać ankietę niepełną. Można też, co szczególnie polecamy, dołączyć do naszego druku opinię o „Zwrocie”, sprecyzowaną szczegółowiej na osobnym arkuszu. Redakcja będzie wdzięczna za każdą szczerą opinię i radę. Najtrafniejsze wypowiedzi będą publikowane.

Redakcja „Zwrotu”, Czeski Cieszyn, ul. Lenina 28



Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

Cena Kęs 1,—

ROK 18 — (Nr 197)

Czeski Cieszn, kwiecień 1966

W NUMERZE:

Milenium ★ O problematyce narodowościowej w Czechosłowacji ★ Jeden dzień na Bagińcu ★ Radzieckie zrzuły dla partyzantów pod Ostrym ★



Foto Gabriel Palowski.

W 80/94
25.000

Początki państwowości polskiej toną w pomroce dziejów.

Pierwsze wzmianki o Polakach czy Lechitach, jakbyśmy ich nazwali, związane są z najstarszymi adnotacjami dotyczącymi Słowian. W zaraniu dziejów słowiańszczyzny charakter odmienności szczepowej różnił się bardzo od dzisiejszej struktury podziałów narodów słowiańskich.

Starożytni Grecy — bo oni chyba pierwsi zwrócili uwagę na dziwne plemiona żyjące w krainie zachodzącego słońca, czyli Europy — odnotowali spotkania swoich kupców i żołnierzy, którzy wracając z długich podróży, opowiadali dziwne historie o ludziach z długimi granatowymi włosami i o błękitnych oczach.

Hekaitos z Miletu, jak również ojciec historiografii greckiej Herodot z Hali-karnasu wspominają Scytów — oraczy żyjących w kraju gęsto porośniętym wszelkim lasem.

Prasłowian nazywano Sauromatami (stąd może Sarmaci), Neuryczykami — Budynami.

Im śmielsze hipotezy, tym bardziej dyskusyjne. Wielu uczonych dopatruje się początków słowiańszczyzny jeszcze przed kulturą łużycką około 3000 lat p.n.e. Wykopaliska biskupińskie, tj. odkrycie największych grodów łużyckich, przynoszą dowody łączności tych grodów z krajami śródziemnomorskimi. Zresztą szlaki bursztynowe, jakie łączyły starożytnych Greków i Rzymian z Bałtykiem, prowadziły przez kraje obcych plemion. Infiltracji kultury rzymskiej ulegały mocno plemiona celtyckie, które umiały już stosować koło garncarskie, wyrabiać czyste, mocne żelazo, kuć miecze i bić monety.

Rzymianie, mocno zainteresowani zasięgiem terenowym władzy napastliwych Germanów, próbowali również rozeznac się w ilości i w sile wschodnich sąsiadów Germanii. Pliniusz Starszy pisze o Wenedach żyjących nad Bałtykiem u ujścia Wisuli czyli Wisły. O Wenedach

wspomina już wcześniej, bo w IV. wieku p.n.e. Grek Skylaks, umieszczając ich siedziby tam, gdzie znajduje się bursztyn.

Były to czasy, kiedy burzliwy Bałtyk wyrzucał na brzeg grudy bursztynu ważące do 5 kg.

Ptolomeusz, wielki historyk rzymski, którego mapa sporządzona w drugim wieku n. e. służyła jeszcze uczonym średniowiecza, wspomina wiele miast na szlaku bursztynowym, m. in. Calissię —

MILENIUM

czyli Kalisz. Zresztą oddziały kohort rzymskich dotarły aż do słowackiego Trenczyna, stamtąd zapuszczając się między ludy Wenedów czy Sklawenów.

Trochę więcej światła wnieśli historycy do epoki powstania Państwa Wielkomorawskiego, założonego przez kupca frankońskiego Sama. Niemniej i te czasy pozostawiają jeszcze wiele białych plam.

Pisane dzieje Polski liczą około tysiąca lat. Nie ulega wątpliwości, że nie pisane dzieje powstania państwowości polskiej sięgają chyba o dwa tysiące lat wcześniej.

Kronikarze polscy i europejscy odnoszą, że w roku 960 Mieszko I z rodu Piastów obejmuje rządy jako pierwszy historyczny władca Polski. Nie ulega wątpliwości, że zanim to nastąpiło, musiał istnieć długotrwały proces scalania plemion i szczepów lechickich w jeden organizm państwowy, że do tego celu nie wystarczała broń, kusze, miecze i lance, że zaistnieć i dojrzeć musiało wśród poszczególnych stanów, rodów i wśród rodzącego się ziemiaństwa i mieszczaństwa poczucie wspólnoty rodowej

i narodowej w sensie feudalnym, że do zjednoczenia mogło dojść tylko przy odpowiednim poziomie cywilizacyjnym i kulturalnym ludności, przede wszystkim zaś warstwy oświeconej, za pośrednictwem której król mógł sprawować władzę. Warstwa ta musiała przez długie wieki doświadczeń osiągnąć tę niezbędną wiedzę, którą określamy rozumieniem państwowej racji stanu. Inaczej można to nazwać umiejętnością politycznego myślenia i działania.

Takim właśnie aktem politycznego myślenia i działania był akt chrztu Mieszka I w roku 966, mocą którego Polska przyjęła chrześcijaństwo.

Mieszko okazał się godnym władcą swojego kraju, władcą, który odwagę i dumę łączy z przezornością i mądrością męża stanu. Mieszko i jego najbliżsi doradcy, warstwy oświecone, miały rozpoznanie w sytuacji jaka zaistniała w ówczesnym świecie. Najpotężniejsze kraje zachodu przyjęły religię chrześcijańską. Do niedawna jeszcze dzikie plemiona germańskie, podbiwszy Rzym, przyswajają sobie jego cywilizację, odwracają swoje miecze na wschód, by pod pretekstem nawracania pogan rozpocząć odwieczny „Drang nach Osten“.

Błogosławił im na drogę papież, królowie frankońscy, brytyjscy, hiszpańscy, cały ówczesny tak zwany chrześcijański świat.

Władca polski zorientował się w niebezpieczeństwie. Postanowił ratować kraj. Poszedł śladem swego sąsiada pobratymca krwi, księcia czeskiego, który pragnąc uniknąć miecza Teutonów, przyjął chrześcijaństwo, ale z rąk wschodu. Cyryl i Metody, słowiańscy wysłannicy cesarza bizantyjskiego chrzcząc władcę Czech, przekreślili szansę rycerzy niemieckich, którzy za pośrednictwem ognia i miecza podbijali obce ziemie.

Mieszko I wysłał swaty do księcia czeskiego Bolesława I i sprowadził do Gniezna jego córkę księżnę Dąbrówkę. Nie należy się łudzić, że Mieszko I zdecydował się na ten czyn wyłącznie z po-



Gniezno. Tak wygląda obecnie panorama pierwszej historycznej stolicy Polski. Foto CAF.

budek religijnych. Z doświadczenia wiemy, że człowiek dojrzaje nie tak łatwo i szybko rezygnuje z wyobrażeń religijnych, jakie wszczepiono mu w dzieciństwie. Akt chrztu nie mógł zmienić świadomości, nawyków, przyzwyczajzeń i więzów obyczajowych władcy i jego dworu. Nic dziwnego, że kronikarze niemieccy, którzy dobrze rozumieli posunięcia Mieszka, długo zżymali się na niego i jego następców, głosząc o nich, że na zewnątrz są chrześcijanami, lecz w duszy pozostali poganami.

Jeszcze czterysta lat później agresywny i zaborczy zakon o jagnięcej nazwie: Braci Szpitala Niemieckiego im. Najświętszej Marii Panny, a krótko mówiąc Krzyżacy, atakowali Polskę Jagiełły, która według słów ówczesnego krzyżackiego apologety Falkenberga była „obrazą Boga, cała splugawiona herezją, zbrodniczą wobec kościoła i wiary i jako taka istnieć nie powinna. Zatem każdy, kto powstanie na zgubę Polaków, zasłuży na żywot wieczny”.

Hitler nic by do tych słów dodawać ani też ujmować nie musiał.

Mieszko I wiedział co robi, przyjmując chrzest z rąk księży czeskich. Był mądry i rozumiał potrzeby polskiej racji stanu, nie łudził się, że tym aktem raz na zawsze odwróci niebezpieczeństwo niemieckie, ale był pewny, że wobec ówczesnego świata wytrąci argument niemiecki o potrzebie nawracania pogańskich Polaków, co równałoby się z zaborem i uciemiężeniem ziem polskich.

Tej orientacji zabrakło bałtyckim Prusakom, którzy rozbili plemienne, nie mając skoordynowanego kierownictwa ideowego i militarne, nie doceniając niebezpieczeństwa, jakie sprowadzają na siebie — broniąc do upadłego wiary swoich ojców — ułatwili tak misję Krzyżakom, którzy nawracając ich na chrześcijaństwo ogniem i mieczem, przypieczętowali ich los. Po bałtyckich Prusakach pozostała tylko nazwa, która później — dla ironii losu — stała się synonimem wojującej Niemczyzny.

Małżeństwo Mieszka I z księżniczką czeską Dąbrówką i przyjęcie chrześcijaństwa z rąk pobratymców było aktem



Foto B. Bielan.

rozsądku i przewidywań obu stron. Zastępy czeskich księży i uczonych podłożyły podwaliny pod rozwój kultury polskiego średniowiecza.

Ta mądra, świadoma, przemyślana droga współdziałania nie wypływała tyle z więzów krwi, co z instynktu zachowawczego i doświadczenia patriotycznie myślących warstw obu krajów.

Droga ta została zwichnięta, kiedy korony obu królestw nosiły głowy panujących obcych dynastii, którzy kraje, w których panowali, traktowali jako swoje folwarki.

Jakkolwiek różnie układały się później stosunki polsko-czeskie zależnie od krzyżujących się wpływów interesów obcych magnaterii, zawsze najświetlejsze, najbardziej postępowe i patriotyczne odłamy obu narodów dążyły do zrozumienia i wzajemnego współdziałania.

Za wiek Dąbrówki, za czeskie Postylice,

splacił naród polski swój dług, niosąc narodowi czeskiemu w wieku ciężkiego ujarzmienia wielką literaturę romantyków polskich, która tak bardzo pomagała mu w dziele odrodzenia narodu.

Obchodząc Milenium Polski nie można pominąć związków, jakie łączą oba bratnie narody, związków jakże żywotnych i owocnych.

Więc też kiedy w dniach 14 i 15 maja br. po obu stronach Olzy uroczyste obchodzić będziemy tysiąclecie Polski, kiedy nad Wieżą Piastowską zakwitną bukiety ogni sztucznych, pomyślimy o tych kwiatach przyjaźni, które w Hradcu koło Opawy darowali Dąbrówce wysłannicy księcia polskiego; pomyślimy o tej przyjaźni, która wystawiona na ciężkie próby, zdała jednak egzamin czasu.

HENRYK JASICZEK

O problematyce narodowościowej w Czechosłowacji

III

Z powstaniem burżuazyjnej Czechosłowacji w roku 1918 zagadnienie narodowościowe traktowano w duchu kapitalistycznym, a więc antagonizującym, tym więcej, że było to w czasie, kiedy kapitalistyczny ustrój społeczny w skali ogólnoswiatowej dawno już przestał mieć charakter relatywnie postępowy i kiedy zatracił już swą historyczną rację bytu. Antagonizmy i sprzeczności takiego załatwienia kwestii narodowościowej rozwinęły się dalej w okresie międzywojennym.

W końcu odbiły się one tragicznie nie

tylko na losach burżuazyjnej Czechosłowacji, lecz i na losach narodów i narodowości republiki. Sprzeczności miały podwójny charakter: wewnętrzny i zewnętrzny. Wewnątrz republiki były to antagonizmy między narodem czeskim jako panującym, a narodem słowackim i narodowościami pozostałymi.

Najistotniejszym był antagonizm między Czechami a Słowakami. Czesi i Słowacy tworzyli większość mieszkańców CSR. Oba narody były założycielami CSR.

Był państwowy zależny był od ich jedności. Ale nie tylko to. Jak wynika z dalszych doświadczeń, w warunkach historycznych imperialistycznego świata, z problemem tej jedności związane było również zagadnienie wolności Czechów i Słowaków. O wiele większe narody załamały się pod naporem imperializmu niemieckiego. Jak mogli utrzymać się Czesi i Słowacy — narody relatywnie małe — nie przestrzegając jedności?

Nieporozumienia między Czechami i

Ucieczka

Choć kurczą się okna wśród zimnych ścian
Wiatr żagle napiął w brwi południowe
Zawiesił w uszach dzwonki sań
I psią ugładził na kolanach głowę

Choć deszcz bez nieba przez śliski dmie dzień
Wąsami świerków wiewiórki się toczą
I wiatr ukręca nad ogniskiem dym
Żeby rumiane łyzy wygniatać z oczu

Lecz żagle rzędną świerki głuszy mrok
Wśród ścian ochrypłych i szorstkich nikogo
Łamie się skrzypi długo wolny krok
i tylko szczypcę błędą podłogą

W ciszy oczu

W ciszy oczu z światłem po brzegi żrenic
W cieniu dłoni od pieszczoł różowym
Nie ma ognia żelaza kamieni
Wysychają piaski pustych dróg

Wtedy jestem obłokiem porannym
Wiklinowym wiatrem kołysany
Rośnie cisza bezwietrznego śniegu
Dal zielona południowych mór

TADEUSZ KIJONKA

Słowakami były podstawowym antagonizmem burżuazyjnej CSR również dlatego, że oba narody posiadały w republice swą bazę narodo-państwową, że Czechosłowacja była ich narodowym państwem. Chodziło w zasadzie o sprzeczność wewnętrzną. Problem dalszych narodowości w Czechosłowacji — które były częścią składową ościennych narodów, posiadających w sąsiedztwie swe państwa, a które były typowymi mniejszościami w „klasycznym” tego słowa znaczeniu — był więc i problemem międzynarodowym, co się przejawiało szczególnie wyraźnie w latach trzydziestych w związku z zanikiem CSR.

Pod tym względem decydujący był problem niemiecki w czeskich krajach — zarówno pod względem ilości Niemców w CSR, jak i pod względem siły burżuazji niemieckiej i samych Niemiec jako silnego sąsiada CSR. Kwestia niemiecka w CSR miała swój specyficzny charakter — chodziło o mniejszość, która przedtem była częścią składową narodu panującego, przeciw któremu prowadził naród czeski wielowiekową walkę o wolność narodową. Jedynie faktowi, że w pierwszej wojnie światowej zostały oba państwa niemieckie — Niemcy i Austria —

pokonane, możemy zawdzięczać utworzenie samodzielnej CSR.

Tak jak imperializm niemiecki nigdy się z tą porażką nie pogodził i czekał na właściwą okazję do odwetu, tak samo nie pogodziła się ze swą porażką i z utratą uprzywilejowanej pozycji burżuazja niemiecka w Czechosłowacji. W swych dążeniach liczyła na pomoc imperializmowi niemieckiego, a zarówno usiłowała wykorzystywać tarcia narodowościowe wewnątrz Czechosłowacji. Należy przy tym zaznaczyć, że ani imperializmowi niemieckiemu, ani burżuazji niemieckiej w CSR nie chodziło o sprawiedliwość narodową, lecz o dalekosiężne wielkomocarstwowe cele, w których mniejszość niemiecka miała odgrywać, a zresztą i odgrywała, rolę tylko pomocniczą. Kwestia węgierska w CSR czy raczej na Słowacji i Rusi Zakarpackiej posiadała niektóre podobne aspekty (Węgrzy panowali bowiem nad Słowacją i Rusią Zakarpacką właściwie zawsze aż do roku 1918). W porównaniu z Niemcami były jednak Węgry państwem słabszym, które w swych aspiracjach musiało przede wszystkim liczyć na pomoc sąsiadów — w efekcie na poparcie Niemiec, które

nia węgierskie popierały tylko o tyle, o ile to odpowiadało ich własnym celom.

Kwestia polska w CSR posiadała historycznie odrębny charakter. Polacy tak samo jak Czesi, Słowacy i Ukraińcy byli w Austro-Węgrzech narodem uciskanym, którego państwo odrodziło się podobnie jak państwo Czechów i Słowaków również między innymi w związku z porażką Niemiec i Austrii w pierwszej wojnie światowej. Nie licząc niektórych spóźnionych i przejrzystych manewrów w trakcie pierwszej wojny światowej, był imperializm niemiecki równie wrogi tak do wyzwoleńczych dążeń Polaków, jak Czechów i Słowaków. I państwo polskie znalazło się zaraz w swych początkach w konflikcie z Niemcami i to — w odróżnieniu od CSR — w otwartym konflikcie zbrojnym z głównym państwem niemieckim, z Rzeszą. Zresztą w drugiej wojnie światowej byliśmy świadkami tego, że imperializm niemiecki stanowił śmiertelne niebezpieczeństwo zarówno dla Czechów i Słowaków, jak zwłaszcza zaś dla narodu polskiego.

Te momenty powinny być prowadzić burżuazyjne państwa czechosłowackie i polskie do wzajemnego zrozumienia i zbliżenia. Zamiast tego jednak utworzyły się między nimi stosunki wrogości, napięcia, a w najlepszym wypadku chłodu.

Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy był spór graniczny przede wszystkim na terenie Śląska Cieszyńskiego. Najdemokratyczniejszym rozwiązaniem spornych kwestii jest urzeczywistnienie prawa do samostanowienia, kiedy mieszkańcy zdecydują o swej przynależności państwowej. Burżuazja czeska, która sama upominała się o prawo samostanowienia dla swego narodu, nie miała ani zdolności, ani chęci przyznać je dla innych. W wypadku Śląska Cieszyńskiego argumentowała prawem historycznym, z którego w końcu zrezygnowała, ale tylko częściowo, nie dla urzeczywistnienia zasady samostanowienia, lecz tylko na skutek okoliczności, które ją do tego zmusiły. Zatrzymała część terytorium z polskimi mieszkańcami — co oczywiście podniecało polski nacjonalizm zarówno w Polsce samej, jak i wśród utworzonej w ten sposób mniejszości u nas. To rozwiązanie nie zadowalało nawet czeskich nacjonalistów i szowinistów, którzy domagali się granic historycznych.

Konstatowanie faktu, że burżuazja czeska naruszyła wobec Polaków zasadę samostanowienia, nie oznacza oczywiście idealizowania polskich kół rządzących, które wprawdzie domagały się energicznie prawa samostanowienia dla Polaków w Cieszyńsku i na Śląsku zajętych przez Niemców, ale w żaden sposób nie chciały respektować tego prawa przy zajmowaniu ukraińskich, białoruskich czy też litewskich terenów na wschodzie. Koła rządzące polskiej burżuazji i szlachty nie chciały się też zgodzić na korektury granic z Czechosłowacją na terenie Słowacji, chociaż po polskiej stronie zostało szereg wsi słowackich.

Nawet przy najdemokratyczniejszym zastosowaniu zasady samostanowienia,

powstają niektóre problemy, spowodowane wzajemnym przemieszaniem narodowościowym mieszkańców, szczególnie w okręgach przemysłowych. Czysto narodowych granic nie można w takim wypadku przeprowadzić w ogóle, bo nie istnieją. Wówczas zależy od porozumienia i wzajemnych ustępstw, które w tych warunkach nie będą ani ciężkie, ani nie honorowe, nie będą obrażały honoru narodowego itd. — tym niemniej mogą one być zawsze obiektem napaści ze strony zaciętrzewionego nacjonalizmu. Z tymi zagadnieniami miał do czynienia nawet Związek Radziecki przy wzajemnym rozgraniczaniu narodów republik, obwodów autonomicznych itd., pomimo że postępował pryncypialnie według zasad leninowskiej polityki narodowościowej i chociaż chodziło o rozwiązanie w ramach jednego, socjalistycznego przy tym państwa. Nie dziwota więc, że wybuchały tego rodzaju spory przy plebiscytowym ustalaniu granic między państwami burżuazyjnymi. Plebiscyt wykorzystywali silniejsi wobec słabszych, używano nacisku, dochodziło do oszustw, wykorzystywano zacofanie itd. Nie można więc mieć iluzji: demokratyczne załatwienie w Cieszyńskiem przy pomocy plebiscytu byłoby w roku 1918 wprawdzie na pewno skorygowało granice na korzyść Polski, ale spory — w reżymach burżuazyjnych i przy pewnym przemieszaniu mieszkańców — na pewno by nie zostały zlikwidowane. To — owszem nie znaczy — bym chciał pominąć podstawowego faktu, który już konstatowałem, że nawet do takiego zmniejszenia możliwych sporów nie doszło, bo burżuazja czeska po prostu się na plebiscyt nie zgodziła.

Spór o Śląsk Cieszyński był zresztą tylko jedną z przyczyn rozdźwięków między Czechosłowacją a Polską, może nawet nie główną. Oziębłe stosunki czesko-polskie wynikały również z różnic polityki wewnętrznej obu krajów oraz ich różnych koncepcji w polityce zagranicznej. Była to różnica między demokracją burżuazyjną a reżymem Polski sanacyjnej; różnice w polityce religijnej, różnice wynikające z tradycji historycznych itd. W stosunkach międzynarodowych orientowała się Czechosłowacja na Francję ew. Anglię, i od połowy lat trzydziestych również częściowo na sojusz ze Związkiem Radzieckim. Podstawowym zagadnieniem czechosłowackiej polityki zagranicznej była zawsze potrzeba obrony przed Niemcami.

Polska, jako reakcyjne państwo burżuazyjno-szlacheckie, orientowała całą swą politykę przeciw Związkowi Radzieckiemu, którego sąsiedztwo groziło ewentualnością socjalistycznego przewrotu. Zresztą w Polsce działały również tradycje antyrosyjskie, jeszcze z czasów carskich, chęć zabezpieczenia zaanektowanych terenów ukraińskich i białoruskich, pretensje wielkomocarstwowe... Chociaż burżuazja czeska była w istocie rzeczy nastawiona antyradziecko, to między nią a burżuazją polską była w tej dziedzinie poważna różnica.

W tej sytuacji było bardzo trudno o

znalezienie wspólnego języka i wspólnego stanowiska między tymi dwoma państwami. A na Śląsku Cieszyńskim było trudno o zgodne współżycie narodowościowe. Naruszenie prawa samostanowienia było faktem. Polska mniejszość narodowa nie mogła się pogodzić z przyłączeniem do CSR i ze swą sytuacją, szczególnie kiedy była obiektem ataków czeskich żywiołów szowinistycznych, na które jej przedstawiciele odpowiadali podobną formą, szukając — za przykładem innych mniejszości, było to zresztą zupełnie logiczne — poparcia za granicą

w polskich sferach rządzących. Międzypaństwowe konflikty czesko-polskie znajdowały odbicie w stosunkach Śląska Cieszyńskiego, przy czym stosunki te wpływały znów niekorzystnie na współżycie obu państw, pogłębiały istniejące antagonizmy.

Konflikt polsko-czeski doszedł do punktu kulminacyjnego w tragicznym roku 1938, kiedy Polska skorzystała z nacisku hitlerowskiego na CSR w Monachium, wymuszając od CSR odstąpienie Śląska Cieszyńskiego (i Jaworiny). (cdn)

KAREL POMAIZL

Jeden dzień na Bagińcu

Kto nie był na Bagińcu, ten nie potrafi sobie wyobrazić, ile trudu kosztuje sforsowanie jego strome go stoku. Prowadzą tu dwie drogi: jedna z Piosecznej, druga z Piosku. Piechotą trzeba iść przeszło godzinę, zanim zobaczy się malownicze wzgórze z rozsiyanymi drewnianymi chałupami. Tu i ówdzie można zobaczyć jeszcze szynidzioly. W osadzie należącej katastralnie do Piosku, jest obecnie 23 domostw, w których mieszka 74 ludzi. Pracują oni głównie w lesie oraz w hucie trzynieckiej. Każdy gospodarz ma w dodatku skromne po-

letko, które skrzętnie uprawia. Mimo, że osada nie jest dotychczas zelektryfikowana, jej mieszkańcy za żadne skarby nie wyprowadziliby się stamtąd. Mowa oczywiście o starszej generacji, bo młodzież jest już trochę innego zdania, bardziej wygodna i mniej zżyta ze swoją osadą.

Jedynym przybytkiem nauki, oświaty i kultury jest szkoła, do której uczęszcza obecnie 17 dzieci. Nie trzeba podkreślać, że praca z dziewięciu rocznikami wymaga od wychowawcy wielkiego poświęcenia, dużej erudycji i praktyki pedago-



Szkoła na Bagińcu. Foto B. Bielan.

gicznej. Bo dyrektor szkoły Karol Skupień pracuje tu sam. Można bez przesady powiedzieć, że już zadomowił się na Bagińcu — uczy tu 14 lat. Codziennie godzina drogi do szkoły, godzina z powrotem. Chociaż zdrowie już nie dopisuje, Karol Skupień nie skarży się, bo wie, że właśnie na Bagińcu potrzeba jego umiejętności, jego miłości do dziecka, dobrego serca dla rodziców.

Skoro już mowa o szkole, nie można pominąć faktu, że dożywa się ona setnych urodzin. Wprawdzie dopiero za kilka lat, lecz przy tej okazji warto prześwietlać stronicę kroniki szkolnej.

TROCHE HISTORII

Szkoła na Bagińcu istnieje co prawda od roku 1873, lecz nie można sądzić, że przedtem nikt nie pielęgnował tu nauki. W czasopiśmie „Nasz Kraj” z 21 lipca 1933 roku Paweł Lipka m. in. pisze: „Znamiennym jest fakt, że jeszcze przed powstaniem drogi kolejowej z Cieszyna do Jabłonkowa ludność góralska przez wiek XVIII ilościowo powiększona o połowę, z własnego popędu stwarzała dla swych potrzeb wychowawczych uczelnie... W tyle nie pozostali ani groniorze z Bagińca. Zrazu nie stać ich było na budynek szkolny, ale są dowody świadczące, że naukowy znicz ogników swoistej wiedzy tlił się po domach.”

Również dwa pisma szwabachowe z roku 1818 i 1821 świadczą, że już wtedy jakiś nieznanemu nauczyciel nauczał prywatnie dzieci mieszkańców tej osady. Wielu było jednak trzeba zabiegów ze

strony obywateli i władz szkolnym, zanim wybudowano tu szkołę. Rok przed jej otwarciem mieszkało na Bagińcu 200 obywateli, zaś dzieci w wieku szkolnym było około 50. Do nowootwartej szkoły uczęszczały dzieci z Bagińca, Bystrego i Istebnej. I tak dzięki wielkiemu poświęceniu mieszkańców osady została w niej otwarta szkoła o rok wcześniej niż w Piosku. Pierwszym nauczycielem był Antoni Poloczek, który uczył na Bagińcu 39 lat. Jego następcami byli: Leon Jaworski, Franciszek Krzystek, Władysław Faja, Jan Kula, Wiktor Kubica i Józef Macura.

W czasie okupacji szkołę zamknięto. Część dzieci uczęszczała do szkoły niemieckiej w Piosku, a ci, których rodzice nie podpisali Volkslisty, zostali w domu. Dwaj nauczyciele z Bagińca — Jan Kula i Józef Macura nie powrócili z obozu koncentracyjnego.

Pierwszym nauczycielem po skończeniu drugiej wojny światowej był Alojzy Klus, który uczył 26 dzieci. W latach 1946—48 szkołę ponownie zamknięto z powodu braku nauczycieli. W tym czasie sprowadza się do budynku polskiej szkoły szkoła czeska, która była dotychczas ulokowana w domu prywatnym. Dopiero po wydarzeniach lutowych ponownie otwarto polską szkołę, której kierownictwo objął Karol Skupień. W tym roku zaczyna się szerzyć oświata i wśród młodzieży. 11 listopada 1948 roku założono Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej. Młodzi schodzą się co tydzień na zbiórkach i początkiem 1949 roku wystawiają sztukę A. Wawrosza „Co po nogle...”

Wiele można by pisać o dalszych akcjach, które spowodowały renesans Bagińca. Podnosi się poziom nauczania, dzieci zyskują podstawy nauki, chodzą na ekskursję, wycieczki, wystawiają sztuki dla rodziców, którzy coraz żywiej interesują się szkołą. Nic dziwnego, że obowiązek szkolny kończy wielu uczniów z odznaczeniem i pracuje dzisiaj na odpowiedzialnych placówkach roboczych. Dochodzi również do okresowych zmian w kadrze nauczycielskiej. Dwa lata uczy tu Jan Bocek, potem zastępują nauczyciele W. Matuszek i Gustaw Pysko oraz W. Czudek. Następnie, tj. w roku 1954 wraca ponownie Karol Skupień, który pracuje tu do dnia dzisiejszego.

A PRZYSZŁOŚĆ?

Nic raczej nie wskazuje na to, by Baginiec zdany był na łaskę i niełaskę losu. Wręcz odwrotnie. Nasz ustrój zapewnia rozwój również mieszkańcom Bagińca. Już w tym roku zostanie osada zelektryfikowana. Prace pochłoną ćwierć miliona koron, lecz nowe życie tej osady warte jest chyba tej sumy. Bo pomyślcie — że oto w najodleglejszej osadzie rozpalają się lampy elektryczne (w niejednym oku na pewno zakręci się łza), a potem będą lodówki, telewizory, radia, pralki, motory elektryczne, słowem wszystko, co potrzebuje człowiek cywilizowany. Powiedzenie, że Baginiec jest „końcem wody a początkiem chleba” niedługo zatrać swą aktualność. Bo świat nie kończy się na Bagińcu.

BRONISŁAW BIELAN

Radzieckie zrzućy dla partyzantów pod Ostrem

(Ze wspomnień byłych partyzantów z Koszarzysk)

W miesiącu wrześniu 1944 r. osadziła się w Koszarzyskach grupa partyzancka majora Nadziożnego (pseud. Gruby Misza). Część oddziału zamieszkała w bunkrze na „Przykrej”, a reszta wraz z dowództwem i radiostacją u Józefa Jeżowicza na „Łabajce” nr 28.

Wyżywienie tylu ludzi stanowiło problem nielada. Wprawdzie rodzina Jeżowiczów i kilka dalszych rodzin nie skąpiły chleba i ziemniaków, lecz mięsa musiał dostarczyć las. Zresztą trudność była nie tylko z wyżywieniem. „Leśni ludzie” potrzebowali jeszcze wielu innych rzeczy. Chodziło o broń, amunicję, materiał wybuchowy, lekarstwa, akumulatory do radiostacji, ubrania, buty itp. Kiedy brak tych rzeczy dawał się coraz dotkliwiej we znaki, zwrócił się major Nadziożny drogą radiową do sztabu partyzanckiego I Frontu Ukraińskiego z prośbą o przysłanie zrzućy. Odpowiedź nadeszła niebawem: „W oznaczonym dniu, jakoś początkiem października 1944 — o godz. 23.30 na dużej polanie leśnej „Kopytnicy” pod Ostrem zostanie



Gospodarstwo Jeżowiczów w Koszarzyskach na „Łabajce”. Oznaczone miejsce wejścia do ziemianki, w której była zainstalowana radiostacja.



Grupa partyzancka z Koszarzysk (w środku, oznaczony, major Nadziożny).

dokonany zrzut i należy się przygotować do jego przyjęcia."

W wyznaczonym dniu o zmroku wybrali się radzieccy partyzanci pod dowództwem „Grubego Miszy”, w towarzystwie kilku tutejszych partyzantów, pod Ostry. Tam rozstawili strażę, nazbierali suchych gałęzi i ułożyli z nich trzy duże stosy rozstawione w formie trójkąta. Noc była jasna, księżycowa, toteż szybko uporali się z przygotowaniami i ukryli w pobliskim lesie, oczekując przybycia samolotu. Można sobie wyobrazić ich podniecenie, skoro każdy odgłos zbliżającego się od Bystrzycy pociągu można było uważać za warkot samolotu. Im bliżej było do wyznaczonej godziny, tym częściej „Gruby Misza” spoglądał na zegarek i na gwiazdziste niebo. Jedna i ta sama myśl zaprzętała wszystkich:

— Przyleci? — Nie przyleci?

Kilka minut po 23.30 któryś z partyzantów zawołał: — Leci!

— Cicho! — syknął niecierpliwie „Gruby Misza”.

Nastała krótka cisza. Wszyscy zwrócili głowy do góry i zamienili się w słuch. Z dala zbliżał się powoli szmer podobny do brzęczenia muchy i z sekundy na

sekundę przybierał na sile. Nie było już wątpliwości, nadlatywał samolot!

— Zapalić ognie! — krzyknął „Gruby Misza” i razem z innymi wypadł na polanę. W jednej chwili buchnęły pełnym płomieniem trzy ogniska i oświetliły teren. „Gruby Misza” nie dowierzał jednak Niemcom, a bojąc się zasadzki wydał rozkaz ponownego ukrycia się w lesie. Za ledwie rozkaz został wykonany, przeleciał nad ich głowami samolot z bladoniebieskawym światłem u dołu. Nie zrzucając niczego, poleciał dalej. Niektórym niedoświadczonym partyzantom zrzędyły miny. Po kilku jednak sekundach samolot zawrócił i skierował się ponownie nad polanę. Lecił o wiele niżej, okrążył polanę i zrzucił jakieś dwa czarne przedmioty przyłączone do małych spadochronów. Potem pilot jeszcze raz zakrążył nad ogniskami, zakołysał skrzydłami na pożegnanie i zaczął się oddalać. Był to znak, że zadanie zostało wykonane.

Teraz „Gruby Misza” podzielił ludzi na dwie grupy. Jedna miała szukać zrzuconych worków, a druga gasić ogniska. Rozkaz został w mig wykonany. Po chwili na polanie leżały dwa duże podłużne worki i zwinięte spadochrony. Worki

mogły mieć po 2 m długości, a 50—60 cm szerokości. „Gruby Misza” bardzo się dziwił, że zostały zrzucone tylko dwa worki, kiedy przez radio zapowiedziano trzy. Sprawa ta wyjaśniła się dopiero następnego dnia. Lecz i dwa worki były dużą pomocą. Rozpruto je na miejscu, a zawartość podzielono między partyzantów, aby przetransportować to wszystko do bezpiecznego miejsca. Były to automaty, amunicja, materiał wybuchowy, ręczne granaty, tytoń i lekarstwa. Zabrano to wszystko, nie zostawiając po sobie najmniejszego śladu. Przydała się i dobra materia ze spadochronów koloru jasnoniebieskiego z tłoczonymi punkcikami w formie małych kwadracików. Również sznury od spadochronów okazały się przydatne. Przed odejściem zakryto i zamaskowano jeszcze wygasłe ogniska i ruszono w drogę powrotną, ubezpieczając się na wszystkie strony. Niemcy mogli przecież zauważyć z daleka ogień i urządzić zasadzkę! Wrócili jednak szczęśliwie. Jeszcze przed świtem zdobyty materiał został podzielony i ukryty w kilku miejscach. Najwięcej radości wywołały nowe automaty i amunicja, o którą w ostatnich czasach była wielka bieda. Jakaś otucha wstąpiła w

serca partyzantów. Przecież rzrzt był oczywistym dowodem, że ktoś o nich pamięta i w razie potrzeby przyjdzie im z pomocą.

Cała akcja nie uszła jednak uwagi Niemców. Dostał się do ich rąk trzeci worek zrzucony aż w Łomnej D. pod lasem i z łatwością się domyślili, że nie został zrzucony tylko jeden. Rozpoczęto więc gorączkowe poszukiwania, przeczesywano lasy i pola, urządzano rewizje po domach. Na szczęście myliło ich miejsce! Myśleli, że rzrzt został wykonany w Łomnej Dolnej i tam też skierowano wszelkie poszukiwania. Po kilku dniach wszystko ucichło. Niemcy niczego nie znaleźli, ani też niczego się nie dowiedzieli.

Po kilkunastu dniach w tym samym miejscu i o tej samej godzinie nastąpił drugi rzrzt. Tym razem wszystkie trzy worki znalazły się w rękach partyzantów. Lecz w drodze powrotnej nie obeszło się już bez strzelaniny. Niemcy widocznie coś zauważyli, ale zanim zdążyli zebrać większe siły i uderzyć na oddział Miszy, partyzantom udało się zniknąć w okolicznych lasach i szczęśliwie wrócić do swych kryjówek.

Na drugi dzień rozpoczęły się w Koszarzyskach i Milikowie nowe rewizje i przesłuchania. Miejscowa ludność jednak milczała. Nikt niczego nie widział ani też o niczym nie wiedział!

Niemcy zdwoili czujność. Od owej nocy jeszcze wzmocnili posterunki i patrole w podgórskich wioskach, a zwłaszcza w lasach na Kiczerze i Smreczynie — pomiędzy Ostrem i Sławiczem. Wskutek tego dochodziło teraz częściej do starć pomiędzy partyzantami i niemieckimi patrolami. Do poważniejszego spotkania doszło na bocznej drodze prowadzącej koło „Przykrej” na Osty, a uży-

wanej przez gazdów z „Milyrza”. Była wtedy ciemna, deszczowa noc i partyzanci nie przeczuwając niczego, wpadli w zasadzkę. Zostali nagle gęsto ostrzelani, a o wycofaniu się nie było mowy, ponieważ za sobą mieli urwisty brzeg. Nie było innego wyjścia jak tylko przebić się przy pomocy ręcznych granatów. Echo eksplodujących granatów, odbite wielokrotnie od okolicznych gór, potęgowało efekt i myliło nieprzyjaciela. Niemcy, przeceniając siły partyzantów, woleli zawczasu czmychnąć. Jeden z nich przybiegł potem do gospody Samca w Koszarzyskach w oberwanym płaszczu i zalił się na „verfluchte Banditen”.

Dla partyzantów nastały teraz czasy bardzo ciężkie. Nadszedł grudzień i góry pokryły się grubą warstwą śniegu. Niemcy ściągnęli w okolice podgórskie jeszcze więcej wojska i policji. Dlatego „Gruby Misza” prosił drogą radiową o zrzućenie posiłków. Partyzancki sztab uznał żądanie za słuszne i zawiadomił, że za 5 dni o godz. 24 zostanie zrzucony nowy desant składający się z dziesięciu ludzi.

Już o godz. 23 był „Gruby Misza” ze swoimi ludźmi na miejscu, aby zabezpieczyć spadochroniarzy. Ponieważ nie można było liczyć na znalezienie suchego drewna w lesie, zabrano ze sobą od Jeżowicza kilka wiązek słomy, dobrze zawiniętych, aby nie zostawiać po sobie śladów. Nadeszła północ, a samolotu nie było. Przeszło jeszcze kilka długich minut, zanim dał się słyszeć daleki warkot motoru. „Gruby Misza” nie kazał jednak zapalić ognia, ponieważ u dołu samolotu zamiast niebieskiego, zaczęło pobłyskiwać światło czerwone. Samolot przeleciał dosyć nisko nad polaną, skręcił nad Jaworowy i zniknął partyzantom z oczu. „Gruby Misza” przeczuwając, że

Ballada o silikozie

**Stara Bartkula wróży z garnca:
Nie pociągniesz, synku, jak do marca.**

**Było ci trzeba bogatego życia —
Wziął się trznadel, do ciepłie poleciał...!**

**Znowu przez okno marudzisz?
Dość żeś, synku, świata użył.**

**Ojciec kręcił puste żarna,
Ale dłużej marniał.**

**Pomodlij się, wypowiadaj,
To ci się jeszcze nada,
Trzeba pogodzić się z Bogiem,
Aby ci ludzie wybaczyli na drogę.**

**Stara Bartkula wróży z garnca:
Co raz było — nie wraca.**

**Spod płotu sący się ogień rdzówki,
Inni już chodzą do Cingrówki.**

**Zwijaj tłumoczek, nie gderaj,
Pod lasem rozpoczął się wyraj.**

**Płuca dusi, skrobie,
A tam przylaszczki, podbiał.**

**Pomodlij się, wypowiadaj,
To ci się, synku, nada,
Trzeba pogodzić się z Bogiem,
Aby ci ludzie wybaczyli na drogę.**

**W ścianie fedrują robaki-kamraci.
W Orłowej pono śmierć chodzi inaczej.**

**Idź, synku, pojednaj się z polem...
Inni wydolą, gdy ja nie wydolę.**

**Za stodołą będzie proso,
Skoro sieją, wiedzą po co.**

**Stara Bartkula je z garnca:
Co raz było — nie wraca.**

WŁADYSŁAW SIKORA



Jożef Raszka: Pogrzeb pod groniami.

coś nie jest w porządku, kazał wrócić do lasu i czekać dalej cierpliwie. Tliła w nim może iskierka nadziei, że samolot powróci i sprawa się wyjaśni. Ale nic podobnego. Mijała minuta za minutą, a samolotu nie było. „Gruby Misza” zarządził prędko odwrót. Po drodze łamał sobie głowę, co by to wszystko mogło znaczyć. Wtem boczne ubezpieczenie doniosło, że z góry od Ostrego zbliżają się jacyś ludzie. „Gruby Misza” z kilku partyzantami podczołgał się w tym kierunku, a kiedy zauważył sylwetki skradających się ludzi, zaczął na nich wołać po rosyjsku. (Może miał nadzieję, że to są zrzućeni spadochroniarze.) Ale zamiast odpowiedzi odezwała się krótka seria z pistoletu maszynowego. Sytuacja stała się



od razu jasna — partyzanci mają przed sobą Niemców. Kryją się prędko za kupą kamieni w polu (niedaleko domu gazdy Klimka) i otwierają ogień. Po krótkiej wymianie strzałów nastała cisza. Heczek „Kikulok” chce zbadać sytuację i wychyla powoli głowę spoza kamieni. Ale w tej chwili celny strzał zrzucił mu na ziemię czapkę, a drugi szarpie rękaw. Jest to sygnał do zagajenia nowej strzelaniny. Po kilku minutach partyzanci zauważają, że Niemcom nadchodzą z dołu posiłki i że grozi im okrążenie. Padł rozkaz wycofania się w kierunku lasu z pomiędzy dwu linii nieprzyjacielskich. Manewr udał się znakomicie. Partyzanci wycofują się niepostrzeżenie, a pomiędzy nieprzyjacielskimi tyralierami powstaje próżnia. Tymczasem Niemcy, nie wiedząc o tym, zaczynają do siebie zaciekle prażyć. Zanim zdolali spostrzec swoją pomyłkę, przepadli już partyzanci w pobliskim lasku, nie ponosząc żadnych strat.

Sprawa z przelatującym samolotem wkrótce się wyjaśniła. Był to samolot niemiecki, który przypadkowo leciał w stronę Morawki. Pilot, zobaczywszy na zaśnieżonej polanie trzy przygotowane

Józef Raszka: Ślęczaczka.

stosy i biegające sylwetki, od razu się domyślił o co chodzi i drogą radiową zawiadomił o tym oddział niemiecki kwaterujący na Ostrym. Ten natychmiast ruszył w stronę polany, ale przyszedł za późno, bo partyzanci byli już w drodze powrotnej i nie dali się zaskoczyć. Sprytnie potrafili się wyśliznąć z pułapki. Straty ponieśli Niemcy.

Na drugi dzień przyszła ze sztabu partyzanckiego wiadomość, że samolot z dziesięciu spadochroniarzami, który wystartował z Lublina, dostał się na linię frontu do silnego ognia nieprzyjacielskiego i musiał zawrócić.

W tych czasach front przesunął się już znacznie na zachód i sztab odstąpił od dalszych rzutów w tych okolicach, ponieważ oddział majora Nadziożnego (Grubego Miszy) miał w najbliższych dniach przejść na Morawkę i połączyć się z oddziałem na Trawnym.

Zanotował ZA

DO ABONENTÓW „ZWROTU”

Do niniejszego numeru załączamy cze-ki i prosimy o przekazanie rocznej pre-numeraty w kwocie Kcs 12,—.

Brakuje kropki nad i ...

(względnie „Burzy w szklance wody” ciąg dalszy)

W listopadowym numerze „Zwrotu”, w artykule „Czy rzeczywiście burza w szklance wody” poruszył dr Tadeusz Siwek kilka zagadnień stosowania dwujęzyczności na naszym terenie.

Słusznie, zaraz na początku artykułu nazwał autor stosowaną w praktyce zasadę czesko-polskich napisów, do których ogranicza się najczęściej realizację zasad o dwujęzyczności na naszym terenie, „dwujęzycznością firmową”.

Wprowadzenie w życie z górą 10-letniego, a często już zapomnianego rozporządzenia Okręgowej Rady Narodowej w Ostrawie, ograniczyło się w ubiegłych latach (a stan ten trwa w zasadzie do dnia dzisiejszego) do napisów na tablicach szyldów sklepowych i innych przedsiębiorstw usługowych.

W niektórych wypadkach stosowane są zasady dwujęzyczności także na ogłoszeniach publicznych, afiszach i — bardzo rzadko — na dokumentach urzędowych (np. świadectwach szkolnych). Myślę jednak, że na dwujęzyczność w tym ostatnim wypadku nie miało nawet wpływu wspomniane rozporządzenie.

Tylko w znikomych wypadkach natomiast spotykamy się z dwujęzycznością na drukach, tablicach ogłoszeń, napisach

oznaczających instytucje publiczne i państwowe. Białym krukiem są tutaj tablice firmowe bibliotek ludowych i kilka (naprawdę niewiele) napisów na budynkach MRN oraz tablice na... polskich szkołach i przedszkolach. A gdzie reszta naszych urzędów i instytucji użyteczności publicznej? Gdzie poczta, kolej, szpitale, ośrodki zdrowia, kasy oszczędności, przedsiębiorstwa państwowe, komunalne i spółdzielcze, a nawet POMy czy JSR.

Nie chciałbym wskazywać na dwujęzyczność z okresu republiki przedmonachijskiej. Porównanie takie byłoby w obecnych czasach co najmniej niestosowne. Wiele obywateli wskazuje jednak na ten fakt i ma słuszne często uwagi i zażyczenia. Na tle tych wspomnień stosowane obecnie zasady nie wytrzymują próby życia i nie zadowalają obywateli narodowości polskiej mieszkających w naszej Republice.

Nie pamiętam już dokładnie tekstu wspomnianego rozporządzenia ORN. Podobnie jak nie pamiętają go już prawdopodobnie w wielu urzędach, drukarniach, przedsiębiorstwach czy innych instytucjach. Myślę jednak, że miało ono obowiązywać wszystkich jednakowo. Jeżeli nie zdało egzaminu — co do tego za- chybą nie ma żadnych wątpliwości — to

należałoby je zastąpić czymś nowym, skuteczniejszym, łatwiejszym do przeprowadzenia i skontrolowania.

Chodzi bowiem o zasadę. Albo jest dwujęzyczność respektowana przez wszystkich — przy czym urzędy i instytucje użyteczności publicznej powinny iść przykładem, albo bawimy się... w napisy na szyldach sklepowych.

Wiem, że istnieją przy powiatowych i okręgowych „władzach” tzw. komisje narodowościowe. Schodzą się rzadko. Nie mają pono spraw, które należałoby na takim forum omawiać i... załatwiać. A może i dla nich byłaby aktualna sprawa dwujęzyczności?

Wracam do tego tematu celowo i świadomie. W tezach przygotowawczych na XIII Zjazd KPC jest bowiem uwzględniony również punkt, mówiący o sprawach narodowościowych w naszej Republice. W rozdziale II „Rozwój społeczeństwa socjalistycznego i państwa” jest sprawa ta poruszana w kilku punktach. Jednym z nich chcę zakończyć mój dzisiejszy głos w tej sprawie:

„KPC będzie dbała, by. obowiązujące uchwały partyjne w zakresie stosunków narodowościowych oraz ich praktyczna realizacja, były objęte, o ile to jest wskazane, normami prawnymi i żeby problematyka narodowościowa była respektowana na wszystkich odcinkach polityki Kadrowej.”

JÓZEF WANTULA

W czasie mego pobytu w Szwajcarii w wrześniu i październiku ub. roku znalazłem się także w cudownym zakątku tej niezwykle piękną obdarzonej ziemi — w *Beatenberg*, miejscowości położonej na przepaścistym zboczu górskim, wznoszącym się około 500 metrów nad błękitną powierzchnią jezioro *Thun* z fantastycznym widokiem na okryte wiecznym śniegiem czterotysięczniki *Jungfrau*, *Mönch* i *Eiger* (szczyt znany z najtrudniejszej do zdobycia prostopadłej ściany czterystumetrowej).

Kiedy napawałem się wspaniałym widokiem z balkonu mego pokoju, usłyszałem zbliżające się z oddali dźwięki jakiejś dziwnej i szczególnej orkiestry. Słychać było dzwonienie głośnie i donośne, jakby kilkuset dzwonów i dzwonek najróżniejszej wysokości i różnorodnej barwy. Spodziewałem się zobaczyć przynajmniej kilkadziesiąt krów o rdzawej barwie, które wracały z pastwiska — bo to była ta dziwna orkiestra — tymczasem zobaczyłem tylko osiem sztuk pędzonych przez dwu pasterzy po asfaltowej szosie. Każda z krów miała mniejszy lub większy dzwonek: większe były podobne do dużego garnka, który zdawał się nawet przeszkadzać zwierzęciu w poruszaniu głową. Dźwięki tej wielogłosowej muzyki dzwonów i dzwonek towarzyszą krowom w czasie wypasu na niezwykle stromych pastwiskach, po których poruszają się prawie ze zwinnością kozic.

— Czy każda krowa posiada dzwonek o innej barwie dźwięku? — zapytałem jednego z gospodarzy, patrzącego na krowy pasące się na hali.

— Tak, według dźwięku dzwonek rozpoznajemy krowy, gdyż z wyglądu są zbyt do siebie podobne, wszystkie jednej maści. A jeżeli któraś z nich zabłąka się wśród skał, często tylko głos dzwonek naprowadza pasterza na zgubę.

Dzwonki także znajdują się na dachach niektórych chat wiejskich w górach w specjalnych małych dzwonnicach drewnianych, oznajmiając siłę wiatru.

Szwajcaria znana jest ze swoich krów w całym świecie dzięki niezrównanym serom (im większe otwory, tym ser lepszy — mówi się, ale jak zrobić te dziury w serze, to tajemnica górali szwajcarskich) i wspaniałej czekoladzie. Toteż nie ma się co dziwić, że dźwięki pasterskie cechują muzykę szwajcarską. Nie może więc zabraknąć i znanej u nas trombity (*Alphorn*), której głos roznosi się daleko ponad urwiskami, przepaściami, otchłaniami dzikich gór szwajcarskich, nad spadzistymi halami, wznosząc się ku samym niebosiężnym szczytom śnieżnym



Widok Alp berneńskich z *Beatenbergu*. Od prawej szczyty: *Jungfrau*, *Mönch*, *Eiger*. W dole jezioro *Thun*.

o urwistych konturach, najchętniej nazywanych przez Szwajcarów jako „róg” (*horn*), a więc *Matterhorn*, *Breithorn*, *Windhorn*, *Schreckhorn* itp. Jej głos współzawodniczy z hukiem wodospadów, siklaw, które większe lub mniejsze, cienszą strugą lub olbrzymią masą wód spadają z wysokich skalnych zboczy.

Szwajcaria od dawna jest siedliskiem kultury muzycznej, co prawda niejednolitej. W kraju tym ścierają się trzy nurty kulturalne zgodnie z trzema językami używanymi tutaj, a mianowicie niemieckimi, francuskimi i włoskimi. Na kolejach napisy widnieją w czterech językach, w trzech krajowych i angielskim.

72,6 % ludności Szwajcarii używa języka niemieckiego, 20,7 % francuskiego, 5,2 % włoskiego, a 1,1 % retoromańskiego.

Najdawniejsze wzmianki o kulturze muzycznej Szwajcarii sięgają VII wieku w związku z zachowanymi źródłami klasztoru Benedyktynów w St. Gallen nad Jeziorem Zuryjskim. W klasztorze tym zachowały się jedne z najdawniejszych zapisów chorału gregoriańskiego neumami, pismem nutowym, które tylko ogólnikowo zaznacza kontury linii melodycznej. Tutaj powstają wczesne sekwencje i dawne traktaty teoretyczno-muzyczne związane z nazwiskiem mnicha *Notkera*, z przydomkiem *Balbulus*, to znaczy „jakała”. Jakał się, ale pisał uczone rozprawy.

W wieku XVI, w okresie Reformacji, kwitnie tu żywa twórczość i działalność

chóralna oraz powstaje zwyczaj śpiewania psalmów czterogłosowo. Tutaj działa i tworzy L. Senfl, a Glareanus pisze swoje dzieło teoretyczne o skalach kościelnych *Dodekachordon*. W w. XIX rozwija się na terenie miast szwajcarskich żywy ruch śpiewaczy na wzór niemieckich *Liedertafel*, a o ile chodzi o chóry męskie, Szwajcaria za czasów swego twórcy i promotora *Naegeli* daje pionierskie pobudki. Toteż w Szwajcarii mnożą się twórcy na chóry męskie jak *Abt*, *Hegar* i inni. W pierwszej połowie XX wieku działają na terenie Szwajcarii tacy znani muzycy i kompozytorowie jak *A. Honegger*, *O. Barblan* (teść muzykologa *Henryka Opieńskiego*), znany twórca systemu pedagogiczno-muzycznego opartego na rytmice *E. Jaques-Dalcroze*. Tutaj nad Jeziorem Genewskim w Morges osiadł także nasz wielki pianista i muzyk *Ignacy Paderewski*.

(Kiedy przebywałem w Locarno nad Lago Maggiore, przeczytałem w gazetach wiadomość o rozbiórce willi Paderewskiego, która groziła zawaleniem. Niesumienności sekretarza Paderewskiego tak niecznie postąpił wobec swego mocodawcy, że nie odważył się po śmierci mistrza zjawić w Szwajcarii z powodu oburzenia, jakie wywołał swoim postępowaniem w tym kraju i na całym świecie.)

Obecnie najsłynniejszym kompozytorem współczesnym Szwajcarii o światowej sławie jest Frank Martin, urodzony w 1890 r. w Genewie.

O zamiłowaniu Szwajcarów do muzyki

miałem wielokrotnie sposobność przekonać się osobiście. W czasie pobytu we Fryburgu u znanego muzykologa prof. *L. Bronarskiego*, redaktora wydawnictwa „Chopin, dzieła wszystkie, redakcja Paderewski“, słyszałem późnym wieczorem dolatujące z dołu dźwięki śpiewu towarzyskiego, jakiegoś chyba ostatniego śladu dawnej Liedertafel, w czasie którego improwizowano wielogłos. To śpiewanie na głosy jest powszechne. Kiedy zwiedzałem katedrę kościoła reformowanego (Münster) w Bazylei i usiadłem w ławce, znalazłem przed sobą śpiewnik kościelny wielogłosowy. Mój sąsiad z prawej strony śpiewał partię basową, pani siedząca obok śpiewała altę, a dziewczyny przed nami sopranem. Wobec tego dołączyłem się tenorem. Każdy śpiewak chóralny wie, że nie łatwą rzeczą jest śpiewać wielogłosowo, kiedy głosy są pomieszane. Dyrygent porządkuje zawsze śpiewaków według głosów, aby poszczególne głosy wzajemnie się podtrzymywały. Tutaj śpiewał każdy swoim głosem na swoim miejscu.

— Czy w innych kościołach także obecni śpiewają czterogłosowo? — zapytałem mego gospodarza.

— Taki zwyczaj panuje we wszystkich kościołach Szwajcarii, przynajmniej o ile chodzi o miasta.

Gospodarz mój w Bazylei, kierownik wielkiego zakładu dla diakonów, który w swym obrębie miał duży szpital i dom dla umysłowo chorych, zaprodukował mi szereg ciekawych płyt, m. in. wykonanie kolęd w sześciu językach śpiewanych na terenie Szwajcarii. Znany profesor uniwersytetu bazylejskiego światowej sławy *Karol Barth* posiada w swej bibliotece płyt gramofonowych nagranie wszystkich dostępnych utworów *Mozarta*, swego nad wszystkich innych twórców ulubionego kompozytora.

Przegląd ludowego muzykowania w

Szwajcarii miałem także możność obserwowania w czasie uroczystości winobrania w Lugano, najpiękniejszej miejscowości klimatycznej w południowym kantonie Tessin, znanego ze wspaniałych winnic i wybornych winogron. Uroczystość ta zorganizowana na najokazalszą skalę, a konkurująca z korsem kwiatowym w Nicei, daje w barwnym, z prawdziwym luksusem urządzonym pochodzie, przegląd większości kantonów szwajcarskich (jest ich 25) oraz krajów sąsiednich — Włoch, Francji i Austrii.

Kilkukilometrowy pochód składał się z około 30 grup kantonalnych z własną muzyką skupiających się koło samochodu z figurami alegorycznymi. Każda grupa posiadała inne stroje, każda orkiestra inne mundury. Jeden z wozów przedstawiał olbrzymiego łabędzia dziesięciometrowej długości ze śnieżnobiałych kwiatów, inny olbrzymią winnicę, a chłopcy i dziewczynki rozrzucali pomiędzy gęsto po obu stronach ulicy tłoczącą się publiczność winogrona z dużych koszy, inny wreszcie z *Valle Verzasca*, ubogiej zapomnianej doliny o kurnych chatkach z kamienia, przedstawiał dom góralski bez komina. Przed domem stała maślnica, w której góral przerabiał kozie mleko. Za domem siedział ubogi pasterz i pasterka, obraz biedy i ubóstwa na tle wprost karygodnego przepychu. Orkiestry poprzedzające wozy alegoryczne dawały znakomity obraz najróżnorodniejszego muzykowania na ziemi szwajcarskiej. Skrzypce, cymbały, flety podłużne, cytry, bębny i dzwonki oraz inne instrumenty w najróżnorodniejszych składach trochę traciły na blasku w tym olbrzymim rozgwarze. Za to różne kapele dęte o najfantastyczniejszych instrumentach poza zwykłymi (oboje, fagoty, ofikleidy, saksofony, wszelkiego rodzaju bębny i dzwonki) nieraz liczące 80, 100, 120 instrumentalistów, w paradnych stro-

ZAPIS

**Spragnieni siebie
obojętni
z tobołami kłopotów
z portfelikami radości
odnajdujemy się
w kluczu pod wycieraczką**

JANUSZ KONIUSZ

jach fantastycznych z najróżniejszych zamierzchłych epok (z czasów napoleońskich, rokokowych), przypominających najprzeróżniejsze mundury wojskowe (ulańskie, husarskie, gwardii cesarskich, dworskich i królewskich), prezentowały się w tym pochodzie niezwykle okazale.

Na koniec tego wspomnienia ze Szwajcarii pod kątem widzenia muzyki należy jeszcze stwierdzić, że jest tu wiele miejscowości i pamiątek związanych z Polakami. W *Raperswill* nad Jeziorem Zuryskim znajduje się muzeum pamiątek polskich z czasów emigracji (wiele odnosiło się do Kościuszki). Najcenniejsze eksponaty tego muzeum narodowego zostały w r. 1927 sprowadzone po wielu staraniach do Polski i spłonęły w czasie oblężenia Warszawy w 1939 r.

W *Vevey* nad Jeziorem Genewskim zmarł *Sienkiewicz*, w Morges nad tym jeziorem skupiało się w willi Paderewskiego życie najwybitniejszych artystów i twórców. W katedrze w *Fribourg* witraże wykonane są przez znanego malarza polskiego *Mehoffera*, którego freski i witraże są również w Kościele Mariackim w Krakowie, ale kapitalne dzieło jego życia, tworzone w ciągu wielu dziesiętności lat, znajduje się właśnie tu na obczyźnie i sprawia radość swą niezrównaną kolorystyką i pomysłowością tego szczególnego malunku na szkło.

Polskie napisy rozsiane są po całej Szwajcarii szczególnie po ostatniej wojnie, kiedy cały pułk polski, nie chcąc wpaść w ręce wojsk hitlerowskich, przekroczył granicę szwajcarską prosząc o azyl i ze śpiewem „Jeszcze Polska nie zginęła“ złożył broń w ręce wojsk szwajcarskich.

Pani *Rosenmund* miała bardzo miłe wspomnienia ze swej młodości ze spotkania się z dwoma młodymi żołnierzami polskimi, których układność i charakter tak przypadł do gustu młodej dziewczynie chłopskiej, że nie tylko uczyła się języka polskiego, ale do dziś dnia przez sympatię do tych dwóch przedstawicieli narodu polskiego zachowała ciepłe miejsce w swym sercu dla tego, co od nas. Temu też zawdzięcza fakt, że lekarz, profesor uniwersytetu, będący na tropie wielkiego odkrycia leku przeciwrakowego, pod swym dachem ugościł także i autora niniejszych wspomnień.

KAROL HŁAWICZKA



Matternhorn koło Zermatt uchodzi za jeden z najpiękniejszych szczytów alpejskich.

OBCHODY TYSIĄCLECIA POLSKI

W dniach 14 i 15 maja będzie Cieszyń (po obu stronach Olzy) widownią uroczystych obchodów tysiąclecia państwa polskiego. Wojewódzkie i miejskie władze polskie i czeskosłowackie przygotowują na te dwa dni do obu miast cykl oficjalnych uroczystości i imprez kulturalnych. Będzie uroczysta wspólna sesja katowickiej WRN, ostrawskiej ORN i władz miejskich obu Cieszyń, występy „Śląska” i szeregu dalszych zespołów w różnych punktach obu miast, w tym 6 orkiestr z obu województw, przedstawienia w teatrach, wielkie ognie sztuczne w sobotę i niedzielę, ogniska na pogranicznych szczytach itd.

W całym Okręgu Północnomorawskim będą się w tym okresie odbywały uroczyste akademie i inne imprezy z okazji Milenium. Tak uczci nasz Okręg Północnomorawski i bliźniacze miasto Czeski Cieszyń wspólnie ze swymi przyjaciółmi po drugiej stronie Olzy wielkie święto narodu i państwa polskiego.

SPOTKANIE INTELIGENCJI

W piątek 1 kwietnia (to nie był prima aprilis) odbyło się w siedzibie ZG PZKO spotkanie inteligencji. Z kilkutyśiecznej rzeszy inteligencji polskiej na naszym terenie przybyło na spotkanie około 50 osób. Nie można było oczywiście zaprosić na pierwsze tego rodzaju spotkanie w ogóle w historii PZKO wszystkich. Wypytowanie kogo zaprosić, było więc bodajże najtrudniejszym problemem. Organizatorzy zapraszając po kilka osób z różnych zawodów i o różnej aktywności w pracy związkowej z każdego obwodu, wyszli z tego zadania obronną ręką.

Uczestnicy spotkania przejawili duże zainteresowanie pracą związkową i w ogóle sprawami naszego społeczeństwa oraz domagali się kontynuowania tej inicjatywy, poprzez organizowanie spotkań w obwodach, względnie według reprezentowanych zawodów.

Nie ulega wątpliwości, że inicjatywa ta jest jak najbardziej godna poparcia, bo szczególnie w pracy kulturalno-oświatowej, która jest podstawowym zadaniem PZKO, odgrywa inteligencja czołową, bodajże decydującą rolę.

PREMIERA VII PROGRAMU
„GÓRNIKA”

W Karwinie VI w pięknym Domu Kultury odbyła się 2 kwietnia br., z ciekawością oczekiwaną premiera VII programu zespołu pieśni i tańca „Górnika”. Zainteresowanie nowym programem tego zespołu zgromadziło komplet na widowni. Dużo zainteresowanych z braku miejsc musiało odejść od kas bez biletów.

Zespół zaprezentował się programem, którego scenariusz opracowała p. Zofia Lwanek w reżyserii Franka Michalika, opracowanie muzyczne Eugeniusza Fierli. Całość programu, składająca się z dwóch części, jest umiejętnie powiązana konferansjerką bez słów. Bardzo dodatnio trzeba ocenić zlikwidowanie do minimum przerw między poszczególnymi punktami programu. Do szczegółowego omówienia VII programu powróćmy w następnym numerze.

Konfrontacja myśli

Wszystkich naszych Kołach odbyły się walne zebrania i można by, jak co roku, przystąpić do ich podsumowania. Wypadałoby napisać, że udział członków był znów bardzo wysoki, bo uczestniczyło w nich 8.021 członków, czyli przeciętnie 90 osób na jedno zebranie, że było dużo ciekawych myśli, rzeczowych propozycji, dokonano ocen, nakreślono perspektywy działania na rok bieżący... Że w większości Kół było wiadać młodzież, był ciekawy program kulturalny.

Coś jednak skłania, by nie poprzestać tylko na tych stereotypowych, aczkolwiek prawdziwych, stwierdzeniach. Wydaje mi się bowiem, że niedostatecznie wykorzystujemy taką okazję konfrontacji naszej pracy związkowej, z poglądami, życzeniami i potrzebami licznie zebranych członków, jaką są walne zebrania. Przychodzi na nie bowiem z reguły wielokrotnie więcej członków niż na jakiegokolwiek inne zebranie członkowskie czy prelekcję, ba nawet więcej niż na niektóre imprezy w rodzaju przedstawień, koncertów czy zabaw. A wydaje mi się, że my nie wykorzystujemy tej w pewnym sensie wyjątkowej okazji do rzeczywiste dogłębnego, zaangażowanego, szczerzego porozmawiania z tą masą członkowską oraz nie zadajemy sobie dosyć trudu, by walne zebranie było rzeczywiście wielką, podniosłą uroczystością.

Nie chodzi mi oczywiście o przygotowanie i zorganizowanie walnych zebrań przez zarządy Kół. Bo zarządy wywiązują się z swych zadań na ogół dobrze —

świadczy o tym tylokrrotnie wspomniany duży udział członków, rzeczowe referaty sprawozdawcze, programy kulturalne, przygotowanie sal, tak zwana herbatka.

Ale chodzi o to, że licznie zebrani członkowie Koła oczekują, powinni oczekiwać, czegoś więcej niż informacji o swym Kole i pozdrowień oraz pochwał wyrażanych przez przedstawicieli ZG i czynników miejscowych.

Oni powinni oczekiwać solidnej, obszernej informacji o osiągnięciach PZKO jako całości, o pracy związkowej na poszczególnych odcinkach, rozmowy o zasadniczych problemach tej pracy, o koncepcjach Zarządu Głównego, o jego polityce, informacji o rozwoju wszystkich instytucji polskich (takich jak szkolnictwo, Scena Polska, prasa, radio, biblioteki, księgarnie itd.) na naszym terenie... czyli informacji o perspektywach i rozwoju całej naszej grupy narodowej.

Będzie to wymagało opracowania w Zarządzie Głównym źródłowego materiału (czegoś na kształt referatu sprawozdawczo-programowego na Zjazd PZKO), który otrzymają do dyspozycji działacze delegowani na walne zebrania przez ZG. Przemówienie przedstawiciela ZG zawierające oprócz obszernej informacji również krzepiące, optymistyczne stwierdzenia, by miało być głównym, obok referatu sprawozdawczego zarządu, punktem programu walnych zebrań. Należałoby też uświetnić zebrania poprzez występy najlepszych zespołów kameralnych w rodzaju Kwartetu Kalety, Kwartetu Piechaczka, Wesołej Siódemki, solistów — śpiewaków, piosenkarzy, recytatorów itd.

Chodzi tu bowiem o to, że dla samego dokonania wyboru nowych władz Koła i wysłuchania oraz omówienia sprawozdania zarządu i zdawkowych nieraz życzeń i pochwał, nie warto zwoływać walnych zebrań corocznie. (Zarządy Kół informują przecież o swej pracy członków Koła na bieżąco z okazji zebrań członkowskich, świetlicowych itd.)

Słusznie nam to zresztą sugerowały w czasie uzgadniania projektu nowego statutu związkowego przed IX Zjazdem czynniki nadrzędne. Myśmy jednak nie poszli na propozycję przedłużenia kadencji zarządów Kół do dwu czy więcej lat, wychodząc z założenia, że walne zebrania spełniają w naszym związku bardzo istotną rolę aktywizacji mas członkowskich. Stosunek członków i zarządów Kół do tej imprezy jest tego i w tym roku dowodem.

Tym niemniej musimy zrobić wszystko, by ten stosunek, ta okazja rozmowy Zarządu Głównego z członkami w tak szerokim zakresie została lepiej, dużo lepiej niż dotychczas, wykorzystana.

JAN RUSNOK



Foto Zb. Kubeczka.



Jedna z dramatycznych scen sztuki R. Thomasa. Na pierwszym planie odwrócona tyłem M. Malicka w roli Gaby. Foto Wł. Wojnar.

TEATR: SZTUKA

Odzyskana ranga

U płynęło sporo czasu zanim kryminałowi przywrócono jego pozycję w literaturze, przyznano mu oczywiście walory i rangę dydaktycznej wymowy. W repertuarze Sceny Polskiej również jak gdyby nie istniał. Gdybyśmy chcieli wspomnieć, to tylko spektakl sztuki Galena „Śledztwo trwa”. Ze względu na rodzaj dramatis personae i obsadę (same kobiety), „Osiem kobiet” R. Thomasa stanowi oryginalną i ponętą pozycję dla każdego teatru i skusiło już niejednego dyrektora czy kierownika.

W repertuarze „Sceny Polskiej” nie znalazła się też ta pozycja z jakichś innych powodów. Powyżej wymienione i znane powody uzasadniają w pełni ten wybór. Rzecz trafia do widza, trzyma go w napięciu i przemawia do jego wyobraźni. Zaskoczeniem dla widza jest na pewno nieoczekiwany morał kryminału, ujawnienie aż w tak drastyczny sposób zepsucia moralnego małymieśczańskiego świata, jego intryg, podłości i bezwzględności. Do takiego bowiem celu zmierza gładko tocząca się akcja tego zręcznie zbudowanego utworu. Rozwiązanie jest nieoczekiwane, zaskakujące, zwłaszcza zaś jego wymowa. Nie przywykliśmy do tego, żeby w kryminale sprawy traktowano tak poważnie. Zaczynamy jednak podejrzewać, że coś tu dodano, czy też zmieniono w imię tego, aby sprawa nie okazała się zbyt banalna i nieprawdopodobna, tudzież spełniała postulat społeczny.

Podejrzanie to rodzi się chyba z zamiany rodzaju humoru zawartego w tym utworze. Jesteśmy gdzieś w pobliżu humoru absurdu i makabrycznego, który w ujęciu reżyserskim przeobraził się w rodzaj sztuki realistycznej o zabarwieniu komediowym. Ogólnie biorąc — tego rodzaju sztuka wymaga innej stylistyki, reżyserskiej i aktorskiej.

Przedstawienie ma jednakowoż dobre tempo, chociaż ekspozycja i akt pierwszy jest dramaturgicznie nie rozwiązany, chwilami nużący. Bardziej zwarte i dramatycznie jednolite są akty drugi i trzeci. W przedstawieniu tym jesteśmy świadkami zadziwiającej płynności dialogów i dobrej dykcji, co spotkać się musi z bardzo wysoką oceną. Reżyser przedstawienia pani Maria Malicka odkryła wykonawczyemu możliwości aktorskie dialogu i to jest najcenniejszym atutem tego przedstawienia.

„Osiem kobiet” było jakby przeglądem kobiecego zespołu aktorskiego Sceny Polskiej. Trzeba przyznać, że aktorki spektaklu radziły sobie nienajgorzej. Prawie każda z nich potrafiła stworzyć odrębną sylwetkę, pokazać własny charakter i ożywić go prawdą przeżycia. Był to niewątpliwie wynik pracy reżysera z aktorem oraz własnego sumiennego wkładu pracy aktorek. Emilia Bobkova, St. Dzidowa, M. Gogółkova, Wanda Łysek, Ida Kocur, Wanda Spinka przedstawiły się widzom w niczym nieznanym dobrym świetle. Po raz pierwszy zobaczyli-

KA-KRONIKA-KRONIKA-KRONI

KONKURS RECYTACJI I PROZY ARTYSTYCZNEJ

W marcu br. odbyły się w ramach KTMiP obwodowe i powiatowe eliminacje konkursu recytacji i prozy artystycznej, którego organizatorem jest ZG PZKO. Ogółem w eliminacjach obwodowych w pionie szkolnym z 26 szkół wzięło udział 300 uczestników, którzy w zależności od wieku (6—18 lat) zaszeregowani zostali do pięciu kategorii.

W eliminacjach powiatowych ogółem wzięło udział 96 uczestników i zwycięzców poszczególnych eliminacji obwodowych. Dla powiatu Frydek-Mistek eliminacje powiatowe odbyły się w Bystrzycy „Na Szukalni” dnia 30. 3. br. z udziałem 36 uczestników w czterech kategoriach, zaś dla powiatu karwińskiego w Domu Kultury w Karwinie VI, dnia 31. 3. br. w pięciu kategoriach.

W tegorocznym konkursie dodatkowo ocenić należy odkrywczość i społeczne zaangażowanie w doborze repertuaru, zaś o ile chodzi o wykonawców, to w porównaniu z poprzednimi konkursami poziom (z małymi odchyleniami) utrzymuje się na równi. Szkoda tylko, że do tegorocznego konkursu więcej szkół nie wysłało swoich przedstawicieli, a zwłaszcza OSS Orłowa II i PDSP Lutynia Dolna, których wychowankowie stoją na wysokim poziomie. Organizatorzy konkursu przygotowują centralny przegląd zwycięzców w poszczególnych kategoriach, który odbędzie się pod koniec kwietnia w teatrze TD w Czeskim Cieszynie.

MIESIĄC W CZESKOCIESZYŃSKIM KOLE PZKO

Wiosenna dynamika przejawiała się w miesiącu marcu niezwykłym bogactwem treści i form w działalności miejscowego Kola. Wiadomo, że regularne spotkania czwartkowe w świetlicy ściągają stale więcej uczestników, a tematyka tych wieczorów budzi zainteresowanie nawet u nieczłonków PZKO i osób spoza Czeskiego Cieszyna. Dwa wieczory do siebie nawiązywały: wiceprzewodniczący Miejskiej Rady Narodowej Paweł Josiek zaznajomił uczestników z perspektywicznym planem rozbudowy miasta do r. 1970. Jeśli zaś miasto upiększa się zewnątrz, to równocześnie powinna się podnosić także kultura mieszkanka. I o tym Kolo pomyślało. Zaprosiło inż. arch. Witibalda Siwka z referatem „O estetyce wnętrza mieszkalnych”. Bez suchego teoretyzowania, ale na pokazie pięknych kolorowych zdjęć prelegent przedstawił piękno, harmonię i funkcję użytkową wnętrz mieszkalnych z pomysłowych segmentów. Poglądowo pokazał także, w jaki sposób można unowocześnić wnętrza mieszkalne z tradycyjnymi meblami, co również słuchaczy bardzo interesowało. Na szczególne wyróżnienie zasłużyły także dwa inne wieczory. Specjalnym programem z udziałem przedszkolaków złożono życzenia członkiniom z okazji MDK, a „Dzień Nauczyciela” uczczono w prawdziwie swojskim klimacie; o roli nauczyciela w regionie śląskim rozmawiał Henryk Jasieczek, po czym uczestnicy delektowali się muzyką kameralną w wykonaniu sławnego kwartetu smyczkowego Pawła Kalety z niezrównanymi objaśnieniami Józefa Stebla.

Największą jednak imprezą Kola w wio-

śmy też absolwentki szkół teatralnych Halinę Branną i Janinę Buławiankę w rolach na miarę aktorów.

Przedstawienie reżyserowała gościnnie pani Maria Malicka i zagrała również rolę Gaby. Za tego rodzaju spotkania z wybitnymi artystami polskimi publiczność nasza szczerze wdzięczna jest teatrowi i z entuzjazmem gotowa jest podziwiać ich sztukę i talent. Życzyć sobie należy, żeby okazy takie zdarzały się jak najczęściej.

Jan Sztwiertnia i „Sałasznicy”

10 i 13 marca br. w teatrze im Adama Mickiewicza w Cieszynie odbyły się prapremierowe przedstawienia opery ludowej „Sałasznicy” Jana Sztwiertni. Młody syn ludu śląskiego, rokujący wielkie nadzieje, pisze to dzieło do libretta Ferdynanda Dyrny, będąc na swej pierwszej placówce pracy zawodowej w szkole jednoklasowej w Wiśle-Równym. W tym też czasie powstają inne utwory natchnione pięknem kraju beskidzkiego.

Trudne lata dziecięce, którym brakowało ciepła rodzinnego, bo wychowywany od dziesiątego roku życia w Domu Sierot w Ustroniu, nie sprzyjały naturalnemu rozwojowi talentu muzycznego młodego chłopca. Kierownictwo Domu Sierot postanowiło po ukończeniu przez młodego Sztwiertni szkoły podstawowej skierować go do Seminarium Nauczycielskiego w Cieszynie. Po pięciu latach wyężonej pracy zdaje maturę i obejmuje posadę nauczyciela. Samodzielnie uczy się muzyki. Największym pragnieniem jego to fachowe studia muzyczne. Od roku 1935 uczęszcza do cieszyńskiej szkoły muzycznej, po czym kontynuuje swoje studia w Śląskim Konserwatorium Muzycznym w Katowicach, gdzie w roku 1939 kończy wydział pedagogiczny. W uznaniu nieprzeciętnego talentu władze wojewódzkie przyznały Janowi Sztwiertni

Dobrze się stało, że kryminal odzyskał swoje miejsce również w repertuarze Sceny Polskiej, zwłaszcza teraz, kiedy kierownictwo szuka publiczności i repertuaru dla niego. Na takie urozmaicenie i różnorodność można się zgodzić. Pozostałe jednak „skomercjonalizowane” posunięcia repertuarowe SP (Lumpacivagabundus, „Mój sąsiad Romeo”) muszą budzić zastrzeżenia i kosztują nas wszystkich drogę w sensie dosłownym i przełożnym.

JAN WAJDA

stypendium na studia zagraniczne. Niestety spełnieniu się najżarliwszych tęsknot przeszkodził wybuch drugiej wojny. Jan Sztwiertnia zamiast wzbogacać dorobek kultury narodowej czy nawet ogólnoludzkiej — boć fachowcy twierdzili o nim, że „ten nie zmieści się w Europie” — wędruje do obozu koncentracyjnego w Gusen, gdzie maltretowany fizycznie i moralnie, ginie w roku 1940, mając zaledwie 29 lat.

Twórczość Jana Sztwiertni, chociaż nie bogata, świadczy o wielkim talencie. „Sałasznicy” to dzieło sceniczne ze śpiewami, tańcami i muzyką. Treścią mniej doskonałego libretta jest życie ludzi spod Beskidów. Tę operę ludową wystawiła Państwowa Szkoła Muzyczna w Cieszynie przy współudziale zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej oraz Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia”. Dyrygował Władysław Rakowski, reżyseria Franek Michalik, choreografia Janina Marcinek, scenografia Władysław Cejnar. Kierownictwo artystyczne spoczywało w rękach Jerzego Drozda.

Chyba w ramach współpracy obu miast będzie mogło nasze społeczeństwo z lewego brzegu Olzy również zobaczyć w teatrze czeskokocieszyńskim lub innym to dzieło Jana Sztwiertni.

—ef—

Epitafium

17 marca br. opuścił nas na zawsze znany i ceniony działacz społeczny i kulturalny, Edward Czaja, długoletni członek PZKO, korektor drukarni czeskokocieszyńskiej, współpracownik „Zwrotu” i „Głosu Ludu”. Nagła i niespodziewana śmierć przerwała życie tego młodego jeszcze człowieka, który całe swe życie niemal poświęcił idei najwznioślejszej — sprawie narodowej i krzewienia współpracy czesko-polskiej. Znany był Edward Czaja ze swych patriotycznych zapamiętań i pełnej poświęceń społecznej działalności nie tylko w Suchej Górnej, gdzie spędził ostatnie lata swojego życia, ale i w innych środowiskach, m. in. w Nowym Boguminie, gdzie się urodził i uczył do szkoły podstawowej.

Wychowany w rodzinie robotniczej już

we wczesnym dzieciństwie zetknął się z problemami bardzo trudnymi, których rozwiązanie nastąpić miało dopiero po drugiej wojnie światowej, w warunkach nowego ustroju. Po ukończeniu szkoły wydziałowej w Niemieckiej Lutyni, po okresie trudnej dla niego okupacji — został wywieziony do Niemiec — po wojnie kończy w Polsce średnią szkołę i otrzymuje dyplom dojrzałości. Wracając do swego rodzinnego Bogumina i od razu włącza się w nurt życia społecznego. Jest aktywnym członkiem SMP i przez jakiś okres czasu pełni odpowiedzialną funkcję SMP w Ostrawie, a następnie działacza PKS „Ruch” w Nowym Boguminie. Po rozwiązaniu SMP znajduje pracę w czeskokocieszyńskiej drukarni, gdzie pełni niemal do końca życia funkcję korektora dla wydawnictw polskich. Nadal mocno angażuje się w życie społeczne w swym nowym miejscu zamieszka-

KA-KRONIKA-KRONIKA-KRONI

sennym kwartale był gościnny występ karwińskiej „Przyjaźni” w sali teatralnej. To już nie na miarę Koła, ale dla swoich walorów artystycznych imprezę tę zaliczyć można do najbardziej udanych imprez kulturalnych sezonu w naszym mieście.

JUBILEUSZ CHÓRÓW W STONAWIE

W roku bieżącym obchodzić będzie chór męski „Siła” w Stonawie 45-lecie, zaś chór żeński „Halka” 15-lecie swego istnienia. Z tej okazji w dniu 8 maja odbędzie się w Domu PZKO uroczysta akademicka, której program przygotowują zespoły Koła.

ZESPÓŁ Z JUGOSŁAWII GOŚCIEM W TRZYŃCU

Jugosławia jest obecnie bardzo modna, szczególnie jako obiekt turystyczny. Warto jednak poznać i jej dorobek kulturalny. Trzyńceński JOK gościł w roku ubiegłym — po raz pierwszy na naszym terenie — jugosłowiański chór męski „Winko Jedut” z Zagrzebia. W roku bieżącym gościem Trzyńca będzie dalszy zespół ze słonecznej Jugosławii. W piątek 6 czerwca wystąpi w sali Domu Ludowego w Trzyńcu Państwowy Zespół Pieśni i Tańca Banja Luka z jugosłowiańskiego miasta o tej samej nazwie. Organizatorem koncertu będzie JOK hut trzyńceńskich.

ŻYWA DZIAŁALNOŚĆ BYSTRZYCKIEGO KOŁA

W Kole PZKO w Bystrzycy stale się w bieżącym roku coś dzieje. Po walnym zebraniu i balu urządzono tam już kilka dalszych udanych imprez. W marcu 15. 3. i początkiem kwietnia odbyły się dwie udane imprezy kulturalne. Na deskach sceny Domu Robotniczego gościł najpierw zespół Koła PZKO z Sibiry z „Weselem śląskim”. Następnie zaś ChNP urządził dwa koncerty, z tego jeden popołudniowy dla młodzieży szkolnej. Obie imprezy cieszyły się dużym zainteresowaniem publiczności.

W świetlicy Koła odbywają się każdą sobotę popołudniowe spotkania młodzieży. Spotkania emerytów są zaplanowane na poniedziałki. Na pierwszym w obecności dr W. Goduli było obecnych przeszło 40 miejscowych emerytów. Rozgrywki szachowe odbywają się każdą niedzielę przed południem. Regularne zebrania zarządu co trzy tygodnie w poniedziałki. Bolączką Koła jest na razie czynność zespołów. Oprócz grupy muzycznej i chóru męskiego, nic się na tym odcinku nie dzieje. A warunki pracy dla zespołu teatralnego czy tanecznego są naprawdę dobre. Na tym odcinku zarząd Koła powinien rozwinąć większą aktywność.

KOŁO PZKO W NOWYM BOGUMINIE W NOWYM LOKALU

Koło PZKO w Nowym Boguminie przeprowadziło się przed dwoma miesiącami do nowego lokalu. Członkowie Koła oglądali lokal po raz pierwszy na walnym zebraniu w starej szacie, w jakiej go Koło przejęło, a na świetlicy urządzonej z okazji MDK był już urządzony — nowe stołki, bufet itp. Ale dlaczego nowy lokal? Przecież Koło ma swój własny lokal świetlicowy, który znajduje się w przybudówce przy polskiej szkole w Nowym Bogu-



nia — Suchej Górnej, przez pewien czas jest członkiem Zarządu Powiatowego PZKO, członkiem chóru i wielu innych sekcji. Nawet w okresie bardzo niebezpiecznej choroby stara się być jeszcze

WINNETOU...?

Któż z nas dorosłych nie lubił w szkolnym wieku literatury przygodowej, krajoznawczej czy też popularnych na owe czasy westernów? Zachwycaliśmy się zgrabną i zawsze zrównoważoną sylwetką Apacza Winnetou. Potrafiłmy z napięciem śledzić każdy jego krok zmierzający do pojednania się dwóch obok siebie żyjących ras. Jak widać nie wykoleiliśmy się jakoś i charaktery nasze nie zostały wypaczone ku ogólnemu zmartwieniu wszystkich przeciwników tzw. literatury przygodowej. No cóż, Karol May, Coorwod, Jack London i inni potrafili zdobyć młodego czytelnika trącając w jego najczulszą stronę romantyzmu, tego romantyzmu, z którego życie współczesne wyzuło naszą młodzież. A wiemy przecież, że właśnie romantyzm w życiu dziecka odgrywa decydujące znaczenie. Jest on po prostu motorem jego samodzielnego działania, inspiratorem wszelkich zabaw dziecięcych.

Nie tak dawno temu wszedł na ekrany naszych kin film zachodnoniemiecki będący adaptacją filmową głośnej ongiś powieści Karola Maya „Winnetou”. Film ten całkowicie podbił serca naszej młodzieży i rozniecił iskrę czystej fantazji dziecięcej. Ten, kto widział owe bójkę staczane przez naszych maluchów i młodzież przed kasami biletowymi o uzyskanie miejsca na widowni, musiał przyznać, że głód przygód wśród naszej młodzieży jest o wiele większy, niż przypuszczamy. Cóż powiedzieć o takim fakcie, kiedy kilkunastoletni chłopcy udają się o zmierzchu na cmentarz, by tam przy blasku księżyca złożyć ślubowanie wierności dla nowozałożonego szczerpu „Milczących twarzy”, albo, kiedy kilkunastoletni chłopiec zamienia drogocenną zabawkę na fotografię wodza Apaczów?

Wiele dziś mówimy o nowym podejściu do spraw młodzieżowych. Z dorastającą

społecznie potrzebnym — prowadzi jedno z kółek zainteresowań w polskiej szkole w Suchej Górnej.

Dobrze znając zagadnienia młodzieży, wychowania socjalistycznego i patriotycznego, złożoność problemu narodowościowego, drukuje w „Zwrocie” materiały publicystyczne, których wydźwięk społeczno-polityczny znany jest naszemu społeczeństwu.

Uroczystości żałobne odbyły się w Suchej Górnej w dniu 20 marca br. Wzięły w nich udział liczne delegacje i przedstawiciele organizacji, ZG PZKO, nauczycielstwa, młodzieży, a także bardzo liczne grono przyjaciół i znajomych Zmarłego. Sucha Górna pożegnała na zawsze znanego i cenionego obywatela.

*

Poniżej drukujemy ostatni jego artykuł, którego opublikowania nie było mu już sądzone doczekać.

młodzieżą o ich problemach życiowych rozmawiają czynniki oficjalne. Kto porozmawia z młodzieżą szkolną o ich „bohaterach” z wędrowek po dalekich preriach? Tu trzeba postawić pytanie, czy naprawdę w życiu pozaszkolnym naszych dzieci jest wszystko w porządku. Czy czasem obecne formy pracy pozaszkolnej z dziećmi nie pozbawiają naszej młodzieży owego romantyzmu dziecięcego i nie stwarzają z naszych milusińskich przedwczesnych staruszków? Wydaje mi się, że formalistyczne podejście do spraw młodzieży szkolnej pokutuje nadal w naszych szkołach i organizacjach młodzieżowych. Nie widzą tego jakoś ani nasi wychowawcy, ani działacze młodzieżowi. Nie bójmy się ponownie przywrócić naszym dzieciom dzieciństwa, nie bójmy się wprowadzić do bibliotek szkolnych więcej literatury przygodowej i omawiającej ją z naszą młodzieżą. Jest przecież w niej zawarty kawał twardego życia ludzi z innego kontynentu, tragedia rasy, która uległa zachłanności ludzkiej. Wprawdzie znaleźli się i tacy „przygodni” publicyści, którzy twierdzą, że literatura przygodowa deprawuje młodzież. Takie twierdzenie nie jest niczym innym jak tylko sprowadzeniem problemu do czczego sloganu politycznego. Nie można przecież mierzyć wartości dzieła literackiego czy też filmu wyłącznie jego użytkowością wychowawczą. Byłoby to nierozumne. Walory wychowawcze każdego bohatera literackiego wzoru zależne są przede wszystkim od warunków, w jakich jego oddziaływanie się znajduje. Czasem pod tym względem dochodzi do niewiarygodnych absurdów.

Zgodzą się chyba wszyscy, że przyjemnie się czyta literaturę przygodową. Człowiek niepostrzeżenie przespaceruje się na czystym, świeżym powietrzu po dalekich preriach, czasem zgładzi jakiegoś drania, który dawno już na to zasłużył. Po prostu z człowiekiem staje się bohater. I w ogóle, jeśli chodzi o naszych chłopców, to nawet nie uświada-

KA. KRONIKA KRONIKA. KRONI

minie. Koło miało tam swoją siedzibę od roku 1947. Niestety poważne pęknięcia ścian tej przybudówki nie pozwalają na dalsze korzystanie z niej. Obecnie toczą się pertraktacje z MRN — chodzi o to, czy przybudówkę zlikwidować, rozebrać, albo też przeprowadzić potrzebną przebudowę i remont. Ostatnie wspólne zebranie zarządów SRPS i PZKO orzekło, że w przybudówce należy przeprowadzić remont, żeby nadal służyła pracy kulturalno-oświatowej. Społeczeństwo polskie Nowego Bogumina dało już tego dowody, że w takich wypadkach nie odmówi swej pomocy.

MŁODZI MŁODYM

Rojno i gwaro było dnia 16 marca br. w jabłńkowskim Domu Kultury. Pomimo paskudnej pogody setki młodzieży zapełniły salę do ostatniego miejsca. Rozpoczął się występ dziecięcego zespołu ZG PZKO oraz JOK Sucha Górna. Były piękne tańce i śpiewy oraz występy zwycięzców konkursu recytacji. Młoda widownia z zapartym tchem oglądała i słuchała. Obserwując szeroko otwarte oczy i buzie maluchów siedzących w pierwszych rzędach, podziwialiśmy my starsi ich reakcję na słowa poezji płynącej ze sceny. Wszyscy zgodnie stwierdzili, iż dla takich słuchaczy warto się poświęcić. Chyba po tym koncercie byli bardzo zadowoleni i wykonawcy i słuchacze. Słowa uznania należą się organizatorom — dyrekcji oraz gronu nauczycielskiemu 9-latk w Jabłńkowie za wzorowe przygotowanie imprezy.

KOŁO PZKO W ZABŁOCIU ZAKUPIŁO BUDYNEK

Koło PZKO w Zabłociu jest już drugim w obwodzie bogumińskim, które posiada własny budynek. W akcji „20 świec” zakupiło budynek, w którym miało dotychczas swoje pomieszczenie. Budynek znajduje się w centrum wioski. Życzymy Kołu szybkiego ubrania obiektu w nową szatę i pełnego rozmachu w pracy kulturalno-oświatowej w nowych lokalach.

miamy sobie, z jaką ochotą przekształcają się oni w Apacza Winnetou. Czynią to między innymi dlatego, że Apaczowie zawsze byli wolni, że nie musieli chodzić do szkoły, ani do Pioniera, że nikt nimi biurokratycznie czy też w inny sposób nie manipulował. Czasem nasz Winnetou zapomni odrobić jakąś lekcję szkolną. To prawda. Ale nie możemy także żądać, aby szlachetność wzoru literackiego była tak ściśle związana z realizmem życia. W takim wypadku byłoby wszystko na świecie aż nazbyt proste, a że wszystko nie jest takie proste, jak nam się wydaje, więc powstał problem „Winnetou”, sprawa fali, która prędzej czy później opadnie. Fala ta miałaby jednak przepłukać i oczyścić myślenie tych wszystkich, co tak zawzięcie trzymali dotychczas palec na źródle literatury przygodowej dla naszych dzieci i młodzieży.

EDWARD CZAJA



O godzinach nadliczbowych...

Fraszki

EWIE

Bóg z dobrej ulepił cię gliny.
Niestety dla innych.

*

Chciałaś mi dać wszystko na świecie.
Cóż kiedy właśnie byłem na diecie.

RÓŻNICA

Żona i kochanka
tak różne niestety.
Pierwsza widzi wady,
a druga zalety.

JANUSZ GAUDYN

O KOBIETACH POWAŻNIE

Mądrości życiowej
otacza ją nimb,
bo wie, po co żyje
(choć nie wie już z kim).

*

Może w kosmosie ktoś
nakreślił plany,
że kobiety będą
zdalnie kierowane.

MĘŻCZYZNA

Stuprocentowy?
Poniżej głowy!

PO ŚLUBIE /

Kasa!
I napis na kasie:
Reklamacji nie uwzględnia się.

JEDEN TAKI...

Wysoko te ocenia
które przynajmniej coś...
mają do stracenia.

JA

Jeśli kiedyś upadnę
To tylko wtedy...
Jeśli będą... ładne!

ALOJZY MAŃKA

EGOCENTRYK

Każdej osobie
mówił o sobie.

JÓZEF TADRALA

U nas w Kociłapkach, obok kina, na ławce siedziało czworo dzieci. Przykucałem i proponowałem im bajkę o czarodziejskim dźwigu:

— Pewnego razu — zacząłem — żyła pewna rodzina. Mama pieściła córeczkę i szyla śliczne sukienki dla laleczki, a ojciec...

— Czy to była matka pracująca? — zapytała jedna przedszkolaczka.

— Pracująca. A ojciec zmajstrował synowi dźwig. Bardzo wielki dźwig.

— Jeśli mama była pracująca — upierała się dziewczynka — to kiedy miała czas szyć śliczne sukienki dla laleczki?

— Szyla po powrocie z pracy. A dźwig, który zrobił ojciec, nie był zwykłym dźwigiem...

— Nie lubię takich bajek — przerwał mi chłopiec — w którym rodzice mają czas dla dzieci. Każde dziecko o tym wie, że rodzice po pracy siedzą na zebraniach.

— To prawda — poparła go dziewczynka. — Moja mama mówi, że ma ciągle zebrania, godziny nadliczbowe i się nie rozerwie.

— Tata ma aktyw, szkolenie ideologiczne, jakieś seminaria, wyjazdy zagraniczne — dodało trzecie dziecko.

— Zebrania to jest prawdziwa plaga — dodało czwarte. — Tak mówi mój tatuś, kiedy wraca po takim zebraniu za trzy dni.

Po ostrej krytyce mojej bajki postanowiłem wymyślić jakiś sposób, żeby rodzice mieli czas dla dzieci.

Poszedłem poradzić się sekretarza do spraw agitacji i zebraniomani. Natychmiast zadecydował zwołanie nadzwyczajnego aktywu w tej sprawie. Przyjechaliśmy wszyscy do ośrodka szkoleniowego w górach. Podpisaliśmy listę obecności. Zajęliśmy ostatnie rzędy krzeseł — pierwsze zostawiliśmy dla czołowych figur naszego przedsiębiorstwa. Sekretarz zapowiedział 10-minutowe zagajenie. Mówił dwie godziny. Tłumaczył się nawet, że sprawę próbował zreferować krótko. Nie udało mu się to jednak ze względu na złożoność zagadnienia i jego społeczną doniosłość. Wybrałem z tego cztery bajki — jak skrócić czas dzie-

Później była żywa dyskusja. Jak zwykle — padły z góry przygotowane głosy. Jedni mówili, że zebrania są niewątpliwym osiągnięciem, uzupełnieniem wykształcenia, wdrażają do pracy kolektywnej. Jednym słowem — walczą z ciemnotą i zacofaniem. Tylko jednostki wczuwały się w psychikę współczesnego

dziecka. Po sześciu godzinach ożywionej dyskusji i dalszych ośmiu „zakrapianych“, poprosił o głos Mydełkiewicz i powiedział, że u nas w Kociłapkach nawet dzieci są gadatliwe i skwapliwie korzystają z każdej okazji do zbiorowego wodolejstwa. Pan Wódkiewicz podniósł toast na cześć pomyślnej konferencji i rzeczowej dyskusji „na linii i na bazie“.

Sekretarz z powiatu dokonał podsumowania. Stwierdził, że była owocna, nasławiła zagadnienie pozytywnie, wskazała na szereg mankamentów czyli aspektów ciężkiej wagi i determinujących pojęć w wychowaniu dziecka oraz kolektywnego współżycia miasta ze wsią. Wnioski z dyskusji ze względu na spóźnioną porę odłożono do następnego półroczia.

Wróciłem do domu. Wszystkie dzieci w osiedlu już spały. Za późno, a raczej za wcześnie było na opowiadanie bajek.

Nazajutrz wezwał mnie naczelny sekretarz do spraw agitacji i zebraniomani.

— Agitatorze — powiada — mam nowinę, która cię ucieszy. Generalny sekretarz wydał specjalne pismo okólnie celem ograniczenia liczby zebrań, konferencji, narad i skrócenia czasu ich trwania. Również ilość osób, biorących w nich udział należy ograniczyć do niezbędniejszych. Obszerniejsze referaty powinny być powielane i rozsyłane uczestnikom, aby uniknąć ich odczytywania i tym samym skrócić czas obrad. Konferencje powinny być przygotowane tak, aby nie było już potrzeby organizowania dodatkowych zebrań na ten sam temat. Zaś wydatki z tym związane należy pokrywać z funduszu kulturalnego, budżetu socjalnego i BHP.

Zobaczyłem kres zebraniomani i klasnąłem w ręce z uznania i radości — oczywiście zachowując wszelkie środki ostrożności.

— Podzielimy twój entuzjazm — ciągnął sekretarz od spraw agitacji i zebraniomani. — O nowych zaleceniach musimy natychmiast powiadomić wszystkich naszych członków podstawowego aktywu. Natychmiast zwołam dwudniową konferencję. Trzeba wspólnie przedyskutować, zastanowić się, wyciągnąć wnioski, jak położyć tamę panującemu u nas gadulstwu. Oczywiście, ty zajmiesz się przedszkolakami i podlotkami.

Jutro mamy dodatkowe zebranie w sprawie przygotowania konferencji. Oczywiście w godzinach nadliczbowych.

ALOJZY MAŃKA



Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

Cena Kčs 1,--

ROK 18 — (Nr 198)

5

Czeski Cieszyn, maj 1966

W NUMERZE:

Polska ★ W naszym imieniu ★ Odszu-
kane drogi ★ O problematyce narodowoś-
ciowej w CSRS ★ Pierwsze spostrzeżenia ★
Teatr bez snobów ★ O SLA bez przykazań

Polska wiosna

Myślałem, że to Szekspir wymyślił słowiki,
by sny szalone jątrzyły Ofelii,
a tu czas stanął w zamieci kląskania,
myśmy zasluchani w tę noc oniemieli.

Dotąd słyszałem je tylko w starych poematach:
Chłodna rękojeść klingi, powstańcy i konie —
Noce biorą kolor od wnętrz starych skrzypiec,
damy schodzą z obrazów w pluszowe salony.

Sypie się popiół świtu w gniazda, w ciernie głogu,
już niedługo ta noc, my w niej zagubieni,
gdzieś tu furtka cmentarna, ucichło kląskanie,
tylko rośnie milczenie kości i kamieni.

HENRYK JASICZEK



Wrocław — prastare miasto polskie nad Odrą. Obecnie półmilionowa stolica Dolnego Śląska.

Foto CAF.

POLSKA

Ile treści zawiera w sobie to słowo, oznaczające kraj w dorzeczu Wisły i Odry, zamieszkały przez naród, z którym historia się nie cackała. Różne były bowiem losy narodu polskiego. Górne i chmurne, ale nigdy łatwe. Były zwycięstwa i klęski, cierpienia i radości, ale nie było ogólnonarodowego upodlenia, rezygnacji i kapitulacji. W chwilach zagrożenia stawał naród do walki przeciw jakimukolwiek wrogowi i albo zwyciężał, albo chwilowo pokonany przygotowywał się do nowego zrywu.

Tysiącletnia historia Polski (nawiasem mówiąc według najnowszych badań państwo Piastów tworzyło się na wiele wieków przed Mieszkem I i za jego panowania było już potężnym, wykrystalizowanym organizmem i jako takie rozpoczęło swój historyczny byt), to dzieje wielu takich zrywów i zmagañ.

Najpierw w dziesiątym wieku była walka o zatamowanie ówczesnego „Drang nach Osten” chrześcijańskich wojów germańskich, potem wieloletnie wysiłki o scalenie ciągle rozdrabnianych ziem, następnie okres wielkiej świetności zapoczątkowany złamaniem nawały krzyżackiej pod Grunwaldem, dalej okres upadku i wreszcie półtora wiekowa walka o byt narodowy i państwowy, uwieńczona w końcu wywalczeniem wolności nie tylko narodowej, lecz i społecznej.

Polska Ludowa nawiązała do chlubnych tradycji narodu. Państwo zrodzone z ciężkich doświadczeń wielu pokoleń walczących o sprawiedliwość społeczną, o byt narodowy, znalazło właściwego, godnego swej epoki sternika w klasie robotniczej i jej partii, skupiającej najszlachetniejsze i najpatriotyczniejsze siły narodu.

Kraj tak straszliwie zniszczony, który stracił $\frac{1}{5}$ ludności (trudno znaleźć w historii świata przykład podobnie ciężkich przeżyć, jakie były udziałem Polaków w drugiej wojnie światowej), potrafił w ciągu dwudziestu lat nie tylko odbudować zniszczenia, lecz jeszcze dwięciokrotnie zwiększyć swój potencjał przemysłowy w stosunku do okresu przedwojennego. Dzisiejsza Polska to silne gospodarczo państwo, które liczy się i z którym się liczą, państwo, zajmujące swe prastare ziemie, stanowiące jego kolebkę narodową.

Wielki wkład do skarbca kultury ogólnoludzkiej, jaki wnieśli Polacy poczynając od Jana Długosza, Mikołaja Kopernika, Jana Kochanowskiego, poprzez Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Hugo Kołłątaja, Andrzeja Staszica, Joachima Lelewela, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Fryderyka Chopina, Stanisława Moniuszkę, Henryka Sienkiewicza, Stefana Żeromskiego, Marię Curie-Skłodowską, aż po całe zastępy wybitnych uczonych i artystów najnowszych okre-



Foto: T. Kopoczek.

su, jest obecnie pomnażany przez cały naród, który pomny nauk przeszłości, buduje swą pracę, swym intelektem, wielkie dzieło odrodzonej Ojczyzny.

Cały kraj, od Bałtyku po Tatry i od Bugu po Odrę, tętni wzmożoną pracą. Powstają wielkie fabryki, całe okręgi przemysłowe. Odrodzone z gruzów miasta rozrastają się, młodsze i piękniejsze. W kraju, który przed wojną należał do gospodarczo zacofanych, produkuje się reaktory atomowe, mózgi elektronowe, trawlerzy-przetwórnice (pływające fabryki przetworów rybnych), olbrzymie turbiny i dziesiątki innych wyrobów, produkowanych tylko w najbardziej rozwiniętych gospodarczo krajach świata.

Polska nauka reprezentowana przez polskie szkoły matematyczną, socjologiczną, archeologiczną, ekonomiczną itd. należy do przodujących w świecie. Duże są osiągnięcia całej polskiej kultury i sztuki, polskiego sportu. Nie ma wprost poważniejszej dziedziny życia współ-

czesnego społeczeństwa, w której by Polacy nie odnosili sukcesów międzynarodowych, w której by się nie liczyli.

Bardzo mocna jest pozycja Polski na arenie politycznej świata. Polskie inicjatywy w postaci Planu Rapackiego czy Planu Gomułki, to dzięki swej realności i rzeczowości najwięcej rozpowszechnione, najatrakcyjniejsze dla większości państw świata propozycje, które z biegiem lat zamiast zanikać, zyskują coraz większy rozgłos, coraz to nowych zwolenników.

Obchodzimy więc tysiąclecie państwa polskiego w okresie narastającej nowej świetności kraju nad Wisłą. Świetności, osiągniętej dzięki rozumnej polityce i ofiarnej pracy postępowych sił narodu. Nas, Polaków w Czechosłowacji, w kraju tak blisko zaprzyjaźnionym z Polską, to szczególnie cieszy. Napawa nas to uzasadnioną dumą i pogłębia nasze uczucia narodowe.

JAN RUSNOK

W NASZYM IMIENIU

Wysokie, marmurowe kolumny, wzo-
rzyste kotary, intensywne świa-
tło jarzeniówek. Mozaika głów;
wśród znajomych — siwizna (rzuca się
w oczy czupryna członka KO KPC, inż.
Janeczka i „język“ przewodniczącego
ZG PZKO), jasno blond włosy — tow.
Kluzowa z Trzyńca. Obok zasłużeni dzia-
łacze partyjni. Uśmiecha się tow. Kaleta.
Wszyscy uroczyści, poważni. Na klapach
ciemnych marynarek nierzadko różno-
kolorowe wstążki odznaczeń. Jednak
sporo młodych. Jeden z członków prezy-
dium idzie z kwiatami i słodyczkami do
samochodu. Odwiedzają tych, którzy nie
mogli przyjść, są w szpitalu, w domu.

Ponad 600 delegatów reprezentuje
dziesiątki tysięcy członków. Konferencja
okręgowa — uwertura do XIII Zjazdu
Partii.

*

— Czy dr Stanisław Nemeth?

— Tu Renatka — odzywa się rezolut-
ny głosik w słuchawce — tatusia nie ma
w domu.

To już trzecia generacja karwińskich
Nemethów. Dziadek, jeden z nielicznych,
stojących u kolebki partii, która obcho-
dzi w tych dniach właśnie swoje czter-
dziestopięciolecie.

Pamiętam, kiedy przed kilku laty w
ich kole miałem prelekcję, padały z ust
słuchaczy słowa o klasie robotniczej, za-
angażowaniu, komunizmie, bez cienia fra-
zesu. Ci ludzie rośli razem z partią, pi-
sali jej historię na naszym terenie, gorz-
ko doświadczali prawdy walki klasowej.

Teraz siedzi naprzeciwko mnie w płó-
cie czołowych przedstawicieli KPC okrę-
gu. Jako kierownik wydziału Komitetu
Okręgowego informuje nas o złożonej
problematyce zaprowadzania nowego
modelu ekonomicznego. Mówi o deni-
welizacji, o zastosowaniu najnowszych
osiągnięć cybernetyki, o sytuacji ekono-
micznej w okręgu. Dziennikarze stawiają
pytania, dyskusja trwa.

Renatka dzisiaj nie doczeka się chyba
tatusia...

*

Siedzimy na pierwszym piętrze, lecz
jakby to było w suterrenach. Dosłownie
o kilka kroków od biurka dyrektora jeź-
dzą samochody, śpieszą przechodnie. Po
długich wzajemnych przekonywaniach
zrezygnowano z demolycji zabudowania
stojącego w drodze nowemu bogumiń-
skiemu mostowi ponad torami kolejowy-
mi.

Tu jest główna kwatery dowództwa
PGR. Mówią cyfry: 11 ferm (od Szo-
nychla poprzez Lutynię do Piersnej),
blisko 4 tysiące hektarów, ponad 700
pracowników. Od deficytowości przed
kilku laty do 3/4 miliona zysku w roku
ub. Tow. Józef Czapek, to inżynier agro-
nom, rolnik i hodowca, organizator —
społecznik. Zapoznałem się z nim na od-
prawie korespondentów rolniczych Głosu
Ludu, niedawno byliśmy razem na spot-
kaniu inteligencji PZKO, jutro czeka nas

wywiadówka i zebranie SRPS polskiej
dziewięćlatki w Łazach.

Dziś omawiamy zobowiązania gospo-
darstwa z okazji Zjazdu, dyskutujemy
o problemach związanych ze stabilizacją
kadr, pracą wychowawczą, ulepszeniem
warunków pracowników.

Dyrektor dwoi się i troi. Tu udaje się
utargować cenę przy zamawianiu ziem-
niaków, tam trzeba zabezpieczyć ludzi,
wypisać meldunek, zestawienie. Przy
jednym z telefonów twarz się rozjaśnia.
Wszystko zasiane, zasadzone. Gospodar-
stwo świętuje Dzień Pracy z czystym
kontem. Gratulujemy!

*

Członkowie wyższych organów partyj-
nych i organizacji społecznych sledzą
na zebraniach w porządku alfabetycz-
nym. Na jednym z takich zebrań w his-
torycznej sali hiszpańskiej na Hradczy-
nie, siedząc razem z tow. Suchankiem
stosunkowo w tyle (a jakże: „Si — Su“),
poszedłem w czasie przerwy popatrzeć
na wizytówki „alfabetycznych przodow-
ników“.

Jeden z pierwszych to Bruno Bobrek,
jeden z członków Komitetu Centralnego
narodowości polskiej. Na konferencji
okręgowej w Ostrawie siedział za sto-
łem prezydialnym. W dyskusji zabrał
głos, przedstawiając problematykę pracy
swojego zakładu pracy — Kopalni Armii
Czechosłowackiej w Karwinie. Tow. Bob-
rek — przewodniczący Ogólnozakłado-
wego Komitetu KPC, to energiczny i
wszechstronny działacz polityczny, ma-
jący rozeznanie w złożonej sytuacji eko-
nomicznej, problematyce narodowości-
owej i pracy z ludźmi.

Za oknami foyer hotelu, ruch i gwar
praskich ulic. Rozmawiamy o tym i
owym. Podchodzą znajomi z Ostrawy.

Od razu widać jaką sympatią i uznaniem
cieszy się tutaj tow. Bobrek. To dobrze.
Ciekawi jesteśmy, jak zadecyduje Zjazd,
czy znów na czele spisu członków KC
pojawili się nazwisko sympatycznego kar-
winiaka?

*

Jest słoneczne popołudnie, które tyle
uroku dodaje majowej Pradze. Leniwie
przesuwają się pod filarami mostów wo-
dy Wełtawy. Omijają skały Wyszehradu,
rozdzielają się spotykając Wyspę Sło-
wiańską, odbijają sylwetkę Hradczan,
przepływają koło Nabrzeża Brygady Ki-
jowskiej. Tu szczególny ruch. Przyjeż-
dżają samochody, wchodzą, wychodzą
ludzie. Budynek Centralnego Komitetu
KPC tętni życiem.

Wełtawa zatacza łuk, obejmując teren
Parku Kultury i Wypoczynku. Bawią się
dzieci, zakochani spacerują, starsi sie-
dzą na ławeczkach.

Za kilkanaście dni Pałac Zjazdowy za-
pełni delegaci z całego kraju. Wśród
nich blisko dwieście z naszego okręgu.
Między nimi ci, których nazwiska wy-
mieniał przed chwilą. Zajmą swoje
miejsca, XIII Zjazd rozpocznie obrady.
Obrady, które w jakiś sposób będą
kształtowały życie każdego z nas, które
wywrą wpływ i na dalszy rozwój pracy
naszego PZKO.

W okresie pozjazdowym rozpocznie
nasz Związek jubileuszowy 20 rok ist-
nienia. Pokażmy w tym roku, że te dwie
dziesiątki lat nie poszły na marne, że
mamy się czym pochwalić, o co oprzeć.
A równocześnie udowodnimy, że jeste-
śmy organizacją młodą, nadążającą za
życiem, stojącą mocno na gruncie zasad,
które wytyczył XIII Zjazd.

Życmy więc sobie nawzajem powo-
dzenia, twórczych pomysłów, odkryw-
czych posunięć, optymizmu i zapału...

TADEUSZ SIWEK

Foto Eugeniusz Mleczko.



Odszukane drogi

(Fragment powieści)

Wciskałem się w rozgwarzony tłum. Piskliwe głosy opolskich handlarzy przesywały uszy, słońce zlewało się z rozgotowanym powietrzem, wyrzynając cieniste bruźdy między straganami. Cuchnęło niemytymi ciałami i ostrą końską uryną. Niemcy, czekający na repatriację, sprzedawali starzyzną, czasem zdarzała się okazja i można było nabyć za bezcen porządną koszulę, jakieś dobre ubranie. Osadnicy weszli za butami i wysokimi cholewami, milicjanci przepychali się przez zbity tłum, oglądali towary, patrzyli ludziom w oczy.

Jakiś jegomość sprzedawał farby artystyczne, miał pełną walizkę ołowianych tubek i nie wszystkie były nowe, nie wszystkie pełne. Między jego nogami stał szklany słoć, pędzle wyrastały ponad szkło niczym przejrzałe osty. Z pewnością miał to wszystko do spieniężenia, ale stał sam i nikt do niego nie podchodził, nikt o nic nie pytał.

Zagadnąłem go o cenę tubki. Popatrzył wyniośle na mój mundur jak by od mojego munduru zależała odpowiedź. W końcu wymienił jakąś sumę.

— To drogo, człowieku — powiedziałem zdumiony.

— Nie jestem człowiekiem — odparł niedbale. — Jestem artystą. Kunstmalers.

Nie dałem się zbić z tropu. Widocznie chciał mi zaimponować, zapewne byłby gotów potroić cenę, żeby zaimponować człowiekowi w mundurze zwyczajnego strażnika, żeby pokazać swoją wyższość nade mną. Patrzyła mu z oczu egzaltowana godność, tłumowi przyglądał się z zarożumiałą wyższością, a powieka nad lewym okiem co chwila drgała wzdargliwie.

— To nie zmienia postaci rzeczy — wypaliłem. — Nie chcę kupić pana. Reflektuję na farby, no, ile tak naprawdę kosztuje jedna tubka?

— Pan chce malować jedną tubką! — odparł ze sztuczną wesołością. — To brzmi wspaniale. Wunderbar!

Najtańsze były ugry, potem szły zielone. Nie miałem pojęcia o istnieniu tyłu zielonych odcieni! Napełniał dłonie połyskującymi słońcem tubkami i podsuwał je pod mój nos, pozwalał wachać zapach pokostu, po czym niedbale, z wysokości jednego metra opuszczał je do walizki. Powiedziałem mu, że w ten sposób nie sprzeda ani jednej tubki.

— Ależ ja wcale nie chcę sprzedać — bąknął pod nosem. — Życie, panie wachman, jest teatrem i ja gram tutaj swoją rolę. Epizod, drogi człowieku.

— Czy zamierza pan stać tutaj z farbami do końca świata? — spytałem żartobliwie, nie zmieniając pozycji. Ponieważ milczał, powtórzyłem pytanie.

— Nie mam zwyczaju prowadzić z dupą konwersacji — odezwał się wyniośle.

Wyprostowałem się. Tego było za wiele,

le, zarozumiałość tego typu przekroczyła granicę przyzwoitości.

— Coś ty powiedział? — wycodziłem półprzymkniętymi.

Lewa powieka na moment zastygła w bezruchu. Niemiec uśmiechnął się blade.

— Verzeihen Sie. Wypinał pan do mnie pewną część ciała, a ja improwizuję tu swój szlachetny epizod. Teraz, skoro widzę pańską twarz, odpowiadam na pytanie: to zależy od tego, jak długo jeszcze świat potrwa.

Machnąłem ręką. Nie po to przyszedłem, aby kupić farby, albo próbować języka z jakimś dziwakiem; uświadomiłem to sobie w samą porę.

— Dziwak jesteś, nie artysta, rozumiesz? Sucha tyka!

Byłem rad, że nie zdążył odpowiedzieć.

Wyszukałem dla siebie kwadrat przestrzeni, na którym ustawiłem tekturowe pudło. Odwiązałem konopny sznur i otwierałem je. Pot ściekał po twarzy. Wytarłem się chusteczką.

To nie dlatego się pocilem, że było gorąco. Przyszedłem tutaj spieniężyć serwis do kawy z miśnieńskiej porcelany oraz piękny kryształowy wazon.

Słońce piekło nemiłosiernie i niebo było czyste jak kawał nowiutkiego jedwabiu. Stałem nie mówiąc nic, tłum następował na mnie kolorową falą, to znowu rozbiła się i wtedy występowały z niego pojedyncze twarze i dłonie łapczywie dotykające oferowanych towarów. Czekałem na klienta, czekałem na pierwszy w moim życiu moment, w którym przerodzę się w handlarza. Pocieszałem się, że nikt mnie nie zna, nikt nie zapyta o moje nazwisko, bo stałem się częścią tego hałaśliwego tłumy, w którym tylko towar i pieniądź posiadają znaczenie. Nie zamierzałem grać tutaj takiej roli, jaką wybrał dla siebie zdziwaczka malarz, o — byłem znacznie sprytniejszy od niego! Oto wydobyłem z pudła piękny kryształ i pokazywałem go tłumowi. Słońce rozszczępiało się w nim na tęcze kolory, z rżniętych załomów wypryskiwały srebrne błysnięcia, wazon doprawdy wyglądał wspaniale, pełny czystego powietrza — samo patrzenie sprawiało radość, coś dopiero dotyk.

Kilkakrotnie wyciągałem szyję, by ucieść się ponad tłum i zobaczyć dzwaczego człowieka, który przyszedł ośmieszać siebie i farby. Dostrzegłem go, stał w tym samym miejscu na brzegu ludzkiego skupiska, nie mogłem go przeoczyć, gdyż ciągle stał sam. Piekło mnie podniebienie, żaden papieros już nie smakował, byłem spragniony picia, najlepiej smakowałoby mi piwo, ale i woda byłaby miła, gdyby mnie o to poproszono. Był to przecież mój dzień!

Nikt nie prosił, nikt żadnego płynu

nie oferował. Ramiona bolały od ciężkiego kryształu. Włożyłem go z powrotem do pudła.

O godzinie czternastej podniosłem pudło i przepychałem się do ulicy. Przede mną był kawał drogi, z targu na plac, gdzie powinienem oczekiwać Eberta. Kupiłem po drodze papierosy, o mało nie byłbym kupił papierosów — pieniądze się skończyły. Wlokłem się powoli krętymi ulicami, idąc po tej stronie, na którą padał stromy cień domów.

Wyczerpany dowlokłem się do ławek na placu. Miałem jeszcze trochę czasu, można było posiedzieć, wypocząć — poseregować wrażenia przedpołudnia. Lipy pachniały zielono, gałęzie pełne liści przeglądały się w szkle tamtych drzwi wieńczących szerokie, kamienne schody, na których o godzinie piętnastej zero zero — co dzień o tej porze — pojawiał się feldgrau Eberta. Nie udało mi się spieniężyć kryształu. Nie sprzedałem porcelany. Nikt ani razu nie spytał mnie o cenę.

Wydobyłem z kieszeni lusterko, przeglądałem w nim twarz, włosy wciąż bujne, albo dopiero co wybujałe. Naprawdę wyglądałem na tyle, ile liczyłem — dwadzieścia cztery lata, ani dnia więcej. Mój debiut targowy wypadł w dniu urodzin, tłum oczywiście o tym nie wiedział, nikomu nie przyszło na myśl, że człowiek czasem ma swój dzień, w którym najdrobniejsza przysługa, najdrobniejszy przyjazny gest sprawiają radość,



Bronisław Firla: Świątek.

ciche, niemal egoistyczne zadowolenie z własnego istnienia. Nie sprzedawałem niczego, nie kupiłem sobie kwiatów, nie miałem nawet na jeden kieliszek wódki...

Ebert opuścił budynek równocześnie ze swoimi kompanami. Przez chwilę stali na schodach w słońcu, a ja mocowałem się z tekturowym pudłem, które nagle zrobiło się nieprzyzwoicie ciężkie. Nie pomyślałem o tym, że będę musiał wędrować przez miasto z tak ciężkim pudłem.

Ebert i jego ludzie przeszli przez ulicę i zatrzymali się koło mnie. Nie miałem odwagi poprosić któregoś z nich o pomoc, mogłem co prawda kazać im zabrać pudło i nieść do obozu, nie wiedzieli przecież, że należało do mnie, mogli przypuszczać, że znajdowały się w nim rzeczy obozowe. Ale nie uczyniłem tego.

— Mein lieber Wolski — oświadczył Ebert miłym głosem. — Nie sądzi pan, że dzisiejszy upał jest niemożliwy? Ja i moi przyjaciele spociliśmy się dzisiaj za wszystkie czasy. Mam do pana osobistą prośbę, mój drogi.

Przestałem sapać. Usiadłem zrezygowany obok pudła i zacząłem przypatrywać się moim sześciu jeńcom. Gdyby zmieniali się drogą — pomyślałem — nie miałoby żadnych kłopotów z niesieniem pudła.

— Niech pan mówi, Ebert — powiedziałem zachęcająco.

Wpierw usiadł obok mnie i osuszył wilgotne czoło. Tamci stali i obserwowali nas.

— Tuż za miastem, słyszałem, znajduje się leśne kąpielisko. Myśleliśmy także o rzece, lecz wody jej nie są przeźroczyste. Pan mnie rozumie, Wolski?

— Doskonale — odparłem.

— Czy byłby pan w stanie popełnić jeden — nazwijmy to — nietakt wobec obozowego regulaminu? Jak pan sądzi?

— Chcielibyście się wykąpać — stwierdziłem po dłuższym milczeniu i z wyrachowaną naiwnością. Jeńcy, z wyjątkiem Eberta, śmiali się z mojego odkrycia. — Tak, tak — przytakiwał Ebert dobrodusznie, widocznie ogromnie mu zależało na kąpaniu. — No i co, jak pan myśli?

— Lubię pana, Ebert — odparłem. — Sądzę, że może mi pan wiele wybaczyć. Toteż odmawiam, nie pójdziemy się kąpać do stawu. Za to opowiem wam prześmiętą anegdotkę z moich wiedeńskich czasów.

— Ależ Wolski — wyszeptał Ebert — dwa lata nie pływałem, czy pan tego nie rozumie?

Opowiedziałem im o moim przyjacielu, który utonął w Dunaju. Opowiedziałem dokładnie, fakt po fakcie. Kiedy się to stało i dlaczego. Dlaczego musiał utonąć. Oni mnie chyba nieźle zrozumieli.

— Dziękuję za aluzję — odparł Ebert. — Interesująco to pan opowiedział. Byłby z pana znakomity Andersen albo Grimm. Doprawdy, czuję się jak po kąpielu.

— Ja, das stimmt — odpowiedział któryś jeńiec.



Ilustrował Bronisław Liberda.

Wracaliśmy tą samą drogą. Nie było innej, ta zresztą była najkrótsza z wszystkich możliwych. Pod ciężarem tekturowego pudła przechylałem się na bok i potrącałem przechodniów. Jeńcy szli zadziwiająco prędko, co kilkadziesiąt kroków musiałem ich dopędzać. Nie przemówiliśmy do siebie ani słowem, z początku miałem żal do siebie, że opowiedziałem im o tragedii z portu wiedeńskiego, potem znów pomyślałem, że winę za wszystko ponosi słońce, od którego kręciło się w głowie i które podsunęło Ebertowi pomysł kąpeli; wreszcie dałem spokój myśleniu i uważałem tylko na pudło.

Kiedy przechodziliśmy most rzeczny, Ebert przystanął i czekał na mnie. Istotnie, nasz nieliczny korowód wyglądał albo śmiesznie, albo podejrzanie. Ludzie oglądali się za nami, kiwali ze zdumienia głowami, widząc znowu od dawna nie oglądane mundury i nawet ludzi w tych mundurach. Pudło odebrało mi znaczenie strażnika, pudło uczyniło mnie tragarzem i nikomu z przechodniów nie przyszło zapewne do głowy, że to jestem konwojentem śpieszących dokądś jeńców. Ebert obawiał się takich dwuznacznych sytuacji. Poczekał na mnie.

— Pomogę panu, Wolski.

Tarmosiliśmy pudło na środku trotuaru, wreszcie Ebert przejął je i od razu cicho zaklął.

— Bardzo dziękuję — wydusiłem z wyschniętego gardła. — I niech pan się na mnie nie bocz, nie mogłem inaczej.

— Nie do wiary, jakie to ciężkie — odparł wymijająco.

Przesadzał. Ileż mogła ważyć porcelana na sześć osób i jeden kryształ! To tylko ja byłem zmęczony przenoszeniem i usiłowaniem pozbycia się tego za pieniądze, on natomiast — inżynier elektryk z Berlina — był po prostu słaby. Słabutki. Po kilku minutach oddał pudło innemu jeńcowi, tamten następemu.

Tuż przed obozem, gdy szliśmy w cień topoli, Ebert zapytał:

— Co zawiera to pudło?

Nie odpowiedziałem.

LEON WANTUŁA

BESKIDZKIE WIERSZE

B a l l a d a

Górą las zbójnicki kroczy.
Chłopak spłynął cieniem zboczy.

Dołem woda jak wiklina —
zmroku kosodrzewina.

Matka w płacz luty spowita,
gdy świergot nieba przekwitał.

„Ty pójdiesz górą-swobodą,
ja doliną niepogodą.”

Pod ognia i gniewu toporem
partyzancki Beskid gore.

Chłopak, gdy rozstał się z gunią,
w niebo milczące runął.

Stoi matka przy drodze świerkiem,
stoi gruda, kamienia cierniem.

Opuściły oczy ptaki.
Ręce spłotła kora w drzazgi.

Kamień polny rosą ścieka —
to matka swego syna czeka.

BOLESŁAW LUBOSZ

O problematyce narodowościowej w Czechosłowacji IV

Jak oceniać stanowisko Polski wobec dyktatu monachijskiego? Pozostaje faktem, że burżuazyjna CSR naruszyła w roku 1918 wobec Polski zasadę samostanowienia na Śląsku Cieszyńskim. Zasada ta była naruszona i ze strony polskiej wobec Słowaków na Orawie i Spiszu. Tak jak burżuazja czeska nie była zdolna do respektowania tej zasady i to nie tylko wobec Polaków, tak samo nie respektowały jej również władze polskie i to nie tylko wobec Słowaków, lecz i wobec Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Wzajemne obwinienia czechosłowackiej i polskiej burżuazji były więc tylko demagogią — prawo samostanowienia oraz interesy mniejszości były tylko pretekstem w wielkiej polityce obu państw.

Komunistyczne Partie Czechosłowacji i Polski, które, aczkolwiek dopiero po czasie, stanęły na gruncie właściwego leninowskiego stanowiska w kwestii narodowościowej, systematycznie demaskowały fałszywe oblicze sfer rządzących obu państw na tym odcinku. Jedynie słusznym stanowiskiem byłoby przyznanie wszystkim narodom i narodowościom prawa do samostanowienia oraz do swobody decyzji o swej przynależności państwowej. Burżuazja imperialistyczna nie była już do tego zdolna. Dlatego KPC i KPP łączyły sprawę ostatecznego rozwiązania problemów narodowościowych z rewolucją socjalistyczną, walcząc równocześnie o wprowadzenie demokratycznej zasady samostanowienia już w kapitalizmie. VI Zjazd KPC w roku 1930 postulował (w ówczesnej sytuacji zupełnie słuszenie) prawo samostanowienia dla wszystkich narodów i narodowości Czechosłowacji, nie wyłączając Polaków. Ponieważ partia uświadamiała sobie znaczenie demagogii burżuazyjnej w tej dziedzinie, więc równocześnie ostrzegała narody mniejszościowe przed iluzjami irredentystycznymi; podkreślała, że ostateczne właściwe demokratyczne rozwiązanie może przynieść tylko rewolucja socjalistyczna, o którą należy wspólnie usiłować.

Było to w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego i w ogóle kryzysu światowego systemu kapitalistycznego. Jedną z realnych możliwości rozwiązania kryzysu była rewolucja socjalistyczna w Europie. Z tego zdawała sobie sprawę i burżuazja, cały światowy system kapitalistyczny, który włożył wszystkie wysiłki do sparaliżowania takiego rozwiązania. Decydującym krajem w Europie były Niemcy. Brak jedności ludzi pracy w Niemczech umożliwił kapitalizmowi niemieckiemu i światowemu skierować rozwój w tym kraju w innym kierunku.

Zwycięstwo faszyzmu w Niemczech wytworzyło zupełnie nową sytuację. Faszyzm, a szczególnie faszyzm niemiecki, stał się główną groźbą nie tylko dla ludzi pracy, komunistów, dla Związku Ra-

dzieckiego, lecz dla wszystkich demokratów i narodów Europy i świata, jak zresztą potwierdził to dalszy rozwój. W nowej sytuacji musiały partie komunistyczne zrewidować swoją politykę z polityką narodowościową włącznie.

Kwestia narodowościowa, jak staraliśmy się podkreślić na wstępie, jest bowiem podporządkowana podstawowym zagadnieniom ekonomicznym i ogólnopolitycznym w rozwoju społeczeństwa. Faszyzm usiłował o wykorzystanie nie-

dociągnięć i błędów rozwiązania z roku 1918 do forsowania swych celów. Partie komunistyczne należycie oceniły nową sytuację, zdając sobie sprawę jaką groźbą jest faszyzm. Stanęły więc w obronie rozwiązania z roku 1918, aczkolwiek były świadome jego niedociągnięć i niesprawiedliwości. Głównym celem była obecnie obrona i tej niedoskonałej demokracji burżuazyjnej przed faszyzmem, który oznaczał nie tylko terrorystyczne pogwałcenie sił rewolucyjnych i demo-



Cieszyn — prastary gród piastowski — jest miejscem podniosłych uroczystości milenijnych. Na zdjęciu T. Kopoczka rotunda romańska, jeden z nielicznych zabytków tego typu w Polsce, oraz charakterystyczna dla Cieszyna wieża zamkowa.

kratycznych, lecz również niebezpieczeństwo wojny, ujarzmienie i wyniszczenie całych narodów.

W nowej sytuacji domagała się partia obrony Czechosłowacji w jej granicach z roku 1938 oraz demokratycznego załatwienia słusznym prawom narodów Czechosłowacji (w współpracy z siłami antyfaszystowskimi tych narodowości) w jej ramach. W konkretnej sytuacji odstąpiła od ogólnego hasła samostanowienia, które stało się narzędziem faszystowskiej demagogii, nie rezygnując z niego na przyszłość. Z punktu widzenia głównego zadania walki z faszyzmem niemieckim, było to słuszne.

Monachium i oderwanie polskich terenów od CSR w danej sytuacji było torowaniem drogi faszyzmowi, konkretnie faszyzmowi niemieckiemu, jak tego byliśmy potem świadkami. Akcja reżymu Becka przeciwko CSR, chociaż kryła się za prawem samostanowienia, była ciosem w plecy światowego ruchu antyfaszystowskiego. Jeśli chodziłoby o sprawiedliwość narodową, to należało żądać prawa samostanowienia i dla Polaków żyjących w Niemczech, a przyznać prawo samostanowienia Ukraińcom, Białorusinom, Litwinom uciskany przez ówczesną Polskę.

Była to krótkowzroczna polityka. Monachium i tak zwany arbitraż wiedeński wyeliminowały CSR jako przeszkodę niemieckiego „Drang nach Osten”. Za niecały rok zebrała Polska i mieszkańcy Cieszyńskiego plony tej krótkowzrocznej polityki. „Zwycięstwo” przemieniło się w najstraszniejszą katastrofę w historii Polski. Przy tym nie tylko że nie usunęło rozdzźwięków między narodami czeskim a polskim, lecz jeszcze je pogłębiło. Polska sanacyjna, operująca narodową sprawiedliwością, zaszeregowała się w ten sposób między tych, którzy torowali drogę do najstraszniejszej niesprawiedliwości narodowej. Czy sprawa Śląska Cieszyńskiego była warta aż tak wysokiej ceny?

Dla tego, kto pojmuje sprawę z wąsko pojętego narodowościowego punktu widzenia, kto żyje tylko problemami swej mniejszości, mogą te sądy wydawać się twarde i niesprawiedliwe. Ale pozostaje bez dyskusji faktem, że akcja Polski z roku 1938 miała taki charakter przyczyniając się do napaści faszyzmu niemieckiego również na Polskę. A co trzeba szczególnie podkreślić w naszych rozważaniach, których celem jest zrozumienie dzisiejszej sytuacji, uwarunkowała także rozwiązanie kwestii Śląska Cieszyńskiego, jakie znamy z roku 1945.

Artykuł tow. W. Rabana z 9 nr „Zwrotu” 1965 r. zwraca uwagę, że tak oceniali sytuację nie tylko komuniści, lecz że podobnego zdania byli również polskie koła demokratyczne, reprezentowane np. przez Witosa. Witos na pewno uświadamiał sobie niesprawiedliwość, jaką było przyłączenie Polaków cieszyńskich do CSR w roku 1918. Ale wobec bezpośredniej groźby faszyzmu niemieckiego odsuwał to zagadnienie, zupełnie słusznie, na margines w



Foto E. Mleczko.

interesie czegoś o wiele większego: w interesie wspólnej obrony przed śmiertelnym niebezpieczeństwem niemieckiego faszyzmu. Witos był uświadomionym patriotą polskim. Rozumiał głębiej rzeczywiste interesy narodu polskiego, niż ówczesni władcy Polski. W. Raban słusznie podkreśla, że polityka Becka [którą motywuje tylko, czy raczej przede wszystkim, sporami osobistymi z Benešem] była sprzeczna z interesami narodu polskiego. Błędem Becka nie było wszak tylko to, że użył siły dla przeformowania polskich żądań wobec CSR. Jego błędem dziejowym było wystąpienie przeciw CSR w ogóle, w momencie kiedy należało usunąć wszystkie sprzeczności w interesie walki przeciw faszyzmowi niemieckiemu, tym więcej, że sprzeczności te były nieznaczne w porównaniu z tym, o co chodziło.

Nie mówiliśmy dotychczas o kwestii ukraińskiej w CSR. Również ona miała szereg specyfik, które przejawiały się tak w okresie republiki burżuazyjnej, jak przy jej rozpadzie oraz w czasie drugiej wojny światowej i wpłynęły na rozwiązanie problemu w roku 1945.

Antagonizmy wewnętrzne Czechosłowacji, szczególnie w aspekcie międzynarodowym i między państwowym, wpłynęły na jej zanik w r. 1938—39. Olbrzymie zostrzenie tych sprzeczności pod koniec lat trzydziestych nie wynikało wszak z przyczyn wewnętrznych. Antagonizmy były sztucznie, celowo, planowo rozdmuchiwane z zewnątrz, przede wszystkim z faszystowskich Niemiec. Zaś podstawowy antagonizm, który spowodował upadek republiki, spoczywał w tym, że Czechosłowacja stanowiła przeszkodę dla faszyzmu niemieckiego w jego agresji na wschód przeciw Związkowi Radzieckiemu. Z tych powodów sojusznicy zachodni poświęcili Czechosłowację.

Przy ocenie zaniku burżuazyjnej Cze-

chosłowacji w roku 1938—39 zwraca się często uwagę tylko na konkretne wypadki i bezpośrednie przyczyny. Zapomina się, że wszyscy ci Hitlerowie, Mussolini, Chamberlainowie, Daladierowie, wszyscy ci Benešowie, Beckowie, Henleinowie itd. pomimo wszelkich różnic i wzajemnych antagonizmów między sobą, byli przedstawicielami burżuazji, kapitału. Że druga wojna światowa i wszystko co ją poprzedzało, była efektem olbrzymiego kryzysu, olbrzymiego krachu światowego systemu kapitalistycznego, była nowym potwierdzeniem faktu, że ten system oznacza wojnę i wrogość między narodami.

Jeśli nie damy się zmylić powierzchownymi przejawami i zagłębimy głębiej, wtedy łatwo zrozumiemy, że wypadki z lat 1938—39 — zanik CSR (lecz i porażka państwa polskiego, a później ujarzmienie większości narodów Europy) — sięgają swymi korzeniami do początków systemu wytworzonego po pierwszej wojnie światowej. I to nie tylko w formie powstałej w Wersalu (u nas w konkretnej postaci burżuazyjnego państwa czechosłowackiego), lecz przede wszystkim w tym, że została zaprzepaszczona ogromna szansa, jaką była wojna i kryzys ustroju kapitalistycznego do jego likwidacji. Koniec pierwszej wojny światowej nosił w sobie zarodek nowej wojny.

Przed wszystkim tę naukę należy wyciągnąć z doświadczeń niedawnej przeszłości.

KAREL POMAIZL

SPOTKANIE INTELIGENCJI W KOSZARZYSKACH.

W niedzielę 29 maja br. o godz. 9.00 odbędzie się w ośrodku wczasowo-szkoleniowym PZKO w Koszarzyskach kolejne spotkanie inteligencji.

Zaproszeń osobnych, oprócz informacji w prasie, nie będzie.

Pierwsze spostrzeżenia

Przenoszę się znów do ciepłych krajów. Tym razem na półkulę zachodnią, na wyspę panującego wiecznie lata, na Kubę. Niepozorny na zewnątrz turbośmigłowiec Bristol Britania bezpiecznie mknie w ciemnościach nad Atlantykiem i tylko tylne światło kontrolne daje systematycznie krótkie sygnały świetlne. Lot jest spokojny, towarzyszy mi mieszana, są Cześci, Rosjanie, Polacy, Niemcy i kilku Koreańczyków. Stewardki roznoszą pierwszy posiłek, po czym większość pasażerów układa się do snu.

Właściwie to podróż na Kubę jest długa, męcząca i nieciekawa. Odległość z Pragi do Hawany wynosi około 9.400 km, leci się tylko w ciemnościach, ląduje się w Irlandii (Shannon) i w Kanadzie (Gander), a czasem przy pomyślnych wiatrach północnych tylko w Kanadzie. Noc tu trwa około 18 godzin i pasażerowie przeważnie śpią. Czasem jakaś grupa narodowościowa dodaje sobie odwagi nad Atlantykiem jakąś tam wodą ognistą, ale pierwsze większe wstrząsy samolotu, a takie zawsze są i na tych wysokościach, uspokajają ich szybko.

Nad wyspami Bahama, których kontury lekko zarysowują się na sieniej powierzchni oceanu, większość pasażerów budzi się. Pierwsze światła pod nami powodują jakąś nerwowość pasażerów, tworzą się kolejki przed ustępem. Lądujemy gładko na „aeropuerto La Habana”.

Staram się na gorąco uchwycić pierwsze zasadnicze różnice dwu miejsc na kuli ziemskiej, które leżą prawie że na tej samej szerokości geograficznej, a długością geograficzną różnią się ogromnie. Miejsc, odległych od siebie przeszło 20 tysięcy kilometrów, a dzisiaj tak bliskich, miast, o których mówi cały świat — Hanoi i Hawana. W okolicach Hanoi pracowałem w dżunglach w roku 1963 jako geolog, dziś po niespełna 2 latach przenoszę się służbowo do innego zakątka świata, na Kubę, jako wykładowca na „Universidad de Oriente” w Santiago de Cuba.

Na pierwszy rzut oka na samym lotnisku różnic niedużo. Budynek dworca lotniczego jest znacznie większy, okazałszy, ale otaczająca go przyroda jest bardzo podobna, a może nawet taka sama, jak w Wietnamie. Jest jeszcze wprowadzanie szaro — godzina szósta rano (u nas 12 w południe), ale wyraźnie zarysowują się kontury palm królewskich i szerokich, postrzępionych liści bananowca. Ciepło i dosyć duszno, ale przyjemnie, więc tak samo jak w Hanoi. Jestem znów w swoim żywiole. Na razie różnica jest tylko w tym, że formalności na lotnisku załatwia się w języku hiszpańskim zamiast francuskiego. Na lotnisku czeka

urzędnik ambasady. Po odprawie celnej bagażowi rozchwytyują nam walizy, żeby je odwieźć na wózkach kilka kroków do taksówki i otrzymać za to suty napiwek. Taki tu zwyczaj. Z usług utrzymywała się duża grupa ludzi w miastach, a napiwki były zawsze wysokie. W Hanoi panna wtedy na lotnisku jakiś dziwny spokój, wypełniłem w milczeniu formularz w języku francuskim, urzędnik zapytał się o stan cywilny i ilość dzieci, a walizy znalazłem w pokoju mego tymczasowego hotelu. Lotnisko było prawie że puste. Tu w Hawanie ludzi na lotnisku dużo, wszystko jest rozkrzyczane, żywo gestykuluje, ich normalna rozmowa przypomina raczej kłótnie. Dużo Murzynów i mulatów. Widać kilku oryginalnych „cowboyów” w wysokich butach, ogromnych ostrogach, z lassem i coltem u pasa, z szerokim rondem sombrero.

Z każdą minutą pobytu różnic jednak przybywa. Robi się zupełnie jasno. Ładuję się do taksówki z całym swoim bagażem i tu dopiero zauważam zasadniczą różnicę tych dwu miast. Ogromne mnóstwo samochodów, przeważnie szerokich oskrzydłonych limuzyn, mknie po idealnych drogach jednokierunkowych, ponumerowanych liczbami parzystymi, przecinających się pod kątem prostym z ulicami o numeracji nieparzystej. Na skrzyżowaniach wszędzie sygnały świetlne, po-

dobne jak u nas, tylko zawsze czynne.

W Hawanie zatrzymuję się krótko, bo tylko dwa dni. Mieszkam na ósmym piętrze w hotelu „Riomar” nad samym morzem. Piękny basen w podwórzu w kształcie jakiegoś liścia z idealnie czystą morską wodą kusi mnie niesamowicie. Nie wytrzymuję. Stosuję więc te same metody jak w Wietnamie — najpierw woda i kąpiel, a później wszystko inne.

Załatwiam później formalności służbowe w różnych urzędach i okazuje się, że trzeba jak najprędzej odlecieć na drugi koniec Kuby do Santiaga. Przedmioty, które mam wykładać na uniwersytecie są bez wykładowcy, a semestr już się rozpoczął. Zanim otrzymałem bilet na samolot do Santiaga, zdążyłem zorientować się w Hawanie.

Zasadniczo miasto ma trzy charakterem i wyglądem odrębne całości: starą Hawanę, pełną wąskich uliczek, małych sklepików, miniaturowych kawiarni, kościółków i pamiątek historycznych, dzielnicę willową z pięknymi strzyżonymi ogrodami i willami, które swą lekkością stylu, fantazją i pomysłowością idealnie harmonizują z całą otaczającą przyrodą, tworząc czasem bajkowe obrazy. Każda willa jest inna, każda jest dla siebie całością, a wszystko razem tworzy przyjemną dla oka panoramę. Trzecia dzielnica to „Vedado”, dzielnica nowoczesna,



HAWANA. Foto Fr. Krasl.



*Zeby i tym malcom było lepiej na świecie
Foto H. Jasiczek.*

przypominająca raczej wielkie miasta amerykańskie. Pełno tu drapaczy chmur, różnokolorowych hoteli posiadających po kilka pięter pod ziemią, które służą jako garaże, a kilkadziesiąt nad ziemią. Na niektórych piętrach są baseny kąpielowe z morską albo słodką wodą i domki campingowe z całym wyposażeniem. Wokół domków rosną palmy.

Wszystko było obliczone na turystów amerykańskich, którzy w ciągu 20 minut przylatywali tu z Florydy na niedzielne hulanki i zabawy. A że „peso” kubańskie miało tę samą wartość jak dolar, panie z bogatych domów willowej dzielnicy hawańskiej w zamian za to latały sobie na tygodniowe zakupy na Florydę.

Dziś w hotelach hawańskich ceny są niższe, ale została ogromna ilość służby, która czeka na jakąś walizę, na jakiś samochód, aby go odwieźć do podziemi hotelu, oczyścić szkła samochodu i otrzymać kilka peso.

Każdy obcokrajowiec określa Hawanę po pierwszych dniach pobytu jako miasto kontrastów. Zauważam to już w pierwszym dniu. Zaraz obok ogromnych drapaczy chmur pasie się na skwerze krowa i kilka kóz, na wąskiej ulicy starej Hawany zatrzymuje się kilkadziesiąt najnowocześniejszych limuzyn, by mógł przejechać stary dwukołowy wóz hiszpański ciągniony przez straszliwie wysuszoną szkapę. Każde koło wozu ma inne rozmiary, a podczas jazdy wskazuje wszystkie strony świata. Kawałek dalej na innej szerszej ulicy stary niezniszczalny „jepp” rozpycha oskrzydloną limuzynę, która z braku części zamiennych nie potrafi startować. Nikomu to nie przeszkadza, życie płynie szybkim tempem dalej. Samochodów wprawdzie ubywa, ale te co są, chociaż mają powyginane przednie i tylne zderzaki, kursują szybko i sprawnie. Samochód nieuszkodzony jest tu dziś niemodny. Swego rodzaju kontrastem jest i to, że starszy biały człowiek czyści na ulicy buty młodemu Mu-

rzynowi, albo czarny chłopak żołnierzo-
wi, mulatka czy Murzynka idzie z kil-
korgiem dzieci różnego koloru, albo mło-
dy Murzyn spaceruje przytulony do bia-
łej dziewczyny. Wszystko to jest możli-
we w kraju, który jest mieszaniną wszy-
stkich ras, kultur i religii świata, gdzie
nie trudno zobaczyć mulata o włosach
krętych, ale jasnych i oczach niebies-
kich, albo białego o rysach twarzy typ-
owo murzyńskich; w kraju, gdzie w do-
mach obok obrazów i figur świętych ka-
toliczkich przechowuje się drewniane pry-
mitywnie rzeźbione figurki bożków po-
gańskich jako relikwie przywiezione
przez pradiada, który tyle zdążył za-
brać, kiedy go siłą wyrwano w nocy
z wioski afrykańskiej i sprowadzono tu
do pracy na plantacjach trzciny cukro-
wej.

Prawowici właściciele Kuby, pierwotni
Idianie, usunęli się od elementu napły-
wowego wysoko w góry prowincji Orien-
te i żyją w odizolowanych grupkach w
okolicy Guatanamo. Przyjęli tylko język
hiszpański, żyją bardzo prymitywnie, nie
mieszając się z nikim, powoli degene-
rują się. Przeciętna wysokość dorosłej
osoby wynosi około 130 cm.

W Hawanie przeważa element biały.
Dużo jest dobrze ubranej i dobrze wy-
glądającej młodzieży. Zajmuje czasem w
dzielnicy willowej kilka przepięknych
will i uczy się, często na dwie zmiany.
Ogromny brak nauczycieli i profesorów.
Studenti otrzymują pełne utrzymanie,
mieszkanie, ubranie i kilka peso kie-
szonkowego. Pęd do nauki to zjawisko
znane z wszystkich krajów, które uzys-
kały wolność.

Tyle spostrzeżeń na gorąco z pierw-
szych dni pobytu. Obowiązki służbowe
nie pozwalają obserwować dłużej. Na
trzeci dzień wcześniej rano przenoszę się
samolotem Il-18 na drugi koniec Kuby,
do prowincji Oriente. Nie ma tam
wprawdzie w miastach nowoczesnych
dzielnic, ale jest pod wieloma względa-
mi ciekawiej. Prowincja posiada dużo
bogactw naturalnych, ciekawych pamią-
tek, wiele folkloru, dużo Murzynów,
pięknych mulatek i przepiękne pasmo
górskie Sierra Maestra, które ciągnie
się wzdłuż południowych wybrzeży Kuby.
Do Hawany wrócę znowu za trzy mie-
siące.

Doc. dr ANTONI WALECZEK

Dwadzieścia lat współpracy

*Literatura czeska i słowacka w Polsce
Ludowej. 1945—1964* — taki nosi tytuł
nowa książka Zdzisława Hierowskiego,
znanego tłumacza i historyka literatury
śląskiej. Jest to książka bardzo ciekawa
i bardzo potrzebna. Ciekawa, bo jest
pierwszym tak generalnym i pracowitym
podsumowaniem dziejów polskich zainte-
resowań czeską i słowacką literaturą,
zainteresowań coraz żywszych i coraz
trwalszych; potrzebna, bo dzięki swej
zwartej konstrukcji stanowić może rolę
pożytecznego informatora, w którym każ-
dy zajmujący się stykami dwu, czy wła-
ściwie trzech (polskiej, czeskiej i słowac-
kiej) literatur, odnajdzie bogaty materiał
bibliograficzny, zarejestrowany sumien-
nie i dokładnie.

Jest to przede wszystkim jednak książ-
ka bardzo pouczająca. Styki tak bliskie,
jak między Polakami, Czechami i Słow-
akami, nie zawsze rodziły przyjaźnie, nie
zawsze ułatwiały harmonijną współpra-
cę. Kolizje polityczne, uwarunkowane
sprzecznymi interesami grup rządzących
w tych krajach, wynikające z odrębności
ekonomicznych czy innych powiązań
międzynarodowych na ogół przecież ha-
mują czy nawet niwelują współpracę
kulturalną. Tak też było ze związkami
polsko-czesko-słowackimi, które odradza-
jąc się w nowej formie u progu dzie-
wijnastego stulecia, niejednokrotnie na-
rażone były na niwelujący wpływ sprzecz-
nych koncepcji politycznych, przemie-
niając przyjaźń w niechęć lub też we
wrogość. Tak więc okresy zbliżenia i
zrozumienia przeplatają się z okresami
wzajemnej wrogości czy niechęci. Wy-
raźne to staje się, gdy weźmiemy pod

uwagę stosunek Słowaków do Polaków
w okresie 1848 roku, czy stosunek Cze-
chów do powstańców styczniowych i póź-
niejsze znamienne fluktuacje tych zwią-
zków, zależne każdorazowo od innych
konstelacji politycznych.

Dopiero więc nowa sytuacja polityczna
Czechosłowacji i Polski, myślę o tej sy-
tuacji, która w obu państwach ukształto-
wała się w wyniku zwycięstwa socjalis-
tycznej rewolucji, stworzyła właściwe
warunki współpracy, umożliwiła budowę
a właściwie umocnienie tych mostów
przyjaźni i wzajemnego zainteresowania,
które przerzucać zaczęli ponad granica-
mi Samuel Jerzy Linde i Józef Dobrovský,
Joachim Leleweł i Šafařík, Wacław Ale-
ksander Maciejowski i Franciszek Čela-
kovský, Jan Paweł Woronicz czy Kazi-
mierz Brodziński i Wacław Hanka czy
Karol J. Erben. Związki te stale posze-
rzane i pogłębiane zarówno ze strony
polskiej jak i czeskiej czy słowackiej
przybrały na sile w drugiej połowie dzie-
wijnastego stulecia, kontynuowane były
w początkach naszego wieku, by przy-
pomnieć działalność Zenona Miriama
Przesmyckiego czy Stanisława Przyby-
szewskiego, niszczących silne związki
między polską a praską moderną.

Współpraca ta, kontynuowana mimo
spornych różnic politycznych i sporów
terytorialnych w okresie międzywojen-
nego dwudziestolecia, przygotowała wła-
ściwy grunt dla rozwoju powojennych
zainteresowań literaturą czeską i sło-
wacką. Od roku 1946 współpraca między
naszymi narodami zyskała prawne i pań-
stwowe oparcie, co ułatwiło wielu tłu-
maczom wzajemne kontakty a wydaw-

com opublikowanie kilkuset tłumaczonych z języka słowackiego i czeskiego książek. Trzeba tu dodać, że w okresie powojennym, w czasie planowanego i przemyślanego przyswajania polszczyźnie najznakomitszych utworów literatur słowackiej i czeskiej, poważnie wzrósł autorytet piśmiennictwa czechosłowackiego w świadomości polskiego czytelnika. Wielką karierę w Polsce zrobiły książki Fučíka, Drdy, Pujmanowej, Rezáčá, Jilemnického w okresie bezpośrednio powojennym, ustępując później popularności Jiráskowi, Nerudzie, Nĕmcowej, Haškowi, Capkowi, Olbrachtowi, Majerowej, Neffowi. Vančurze, Bassowi, a z młodszych pisarzy Aškenazemu, Lustigowi i Otčenáškowi. Z pisarzy słowackich, którzy zdobyli swoją twórczością wielką popularność w Polsce, wymienić należy przede wszystkim Jesenskigo, Karvaša, Jilemnického, Mňačkę, w ostatnich czasach do tej niewielkiej grupy doszedł jeszcze Jašík, którego trylogia niedokończona *Mrtvi ne spivajú* uznana została za jedno z wydarzeń czytelnich.

Są jednak w tym bilansie sporządzonym przez Hierowskiego łatwo zauważalne braki i przeoczenia polskiej polityki kulturalnej i wydawniczej. Szczególnie drastyczne są one w odniesieniu do literatury słowackiej, która przez dwa-

dziesiąta lat wymiany kulturalnej nie zyskała sobie w naszym ruchu tłumaczeniowym szczególnego uznania, choć jest to przecież piśmiennictwo od wielu lat dotrzymujące kroku literaturze czeskiej. Starczy tu dla przykładu powiedzieć, że najpopularniejszy pisarz słowacki i niewątpliwie jeden z najbardziej uzdolnionych, Dominik Tatarka, reprezentowany jest w Polsce tylko jedną powieścią, Wiklinowymi fotelami, które ukazały się niedawno w tłumaczeniu Zdzisława Hierowskiego. Sądzę, że takich przeoczeń można by sporo wyszukać także w odniesieniu do literatury czeskiej. Są to jednak kwestie, które do naszego sprawozdania nie wchodzą; przypominamy je na marginesie książki, która wielu ludziom zajmującym się polityką kulturalną w Polsce uświadomi istotne potrzeby dalszych tłumaczeń z języka czeskiego i słowackiego, natomiast naszym przyjaciołom z Czechosłowacji przybliży i uświadomi wielkość polskiego dorobku w dziedzinie budowy pomostu kulturalnego, łączącego nasze trzy narody coraz silniej i pełniej.

WITOLD NAWROCKI

Zdzisław Hierowski: Literatura czeska i słowacka w Polsce Ludowej. 1945—1964. Wydawnictwo Śląsk. Katowice 1966, s. 146.

Sprawdzian zaufania i troski

Redakcji nie wystarczy podnoszenie nakładu, rozszerzanie abonamentu — choć i te faktory odgrywają wybitną rolę w egzystencji każdego pisma — redakcji zależy, i to jeszcze w większym stopniu, by gazeta była czytana, komentowana, by wywoływała dyskusję, organizowała świadomość, kształtowała postawę obywatelską i społeczną czytelnika.

Z drugiej strony czytelnicy wymagają od swego pisma — zależnie od jego charakteru — rzetelnej informacji, wiedzy, oceny zjawisk i faktorów, pomocy w rozumieniu otaczających ich spraw i problemów.

Jeśli redakcja chce trafić do czytelników, musi znać ich poglądy, zainteresowania, gusty. — W naszym wypadku podnosząc wyżej wspomniane postulaty do czytelników „Zwrotu” czy „Głosu Ludu”, musimy pamiętać, że pisma te adresowane są do pewnej specyficznej zbiorowości ludzkiej, grupy narodowościowej, którą łączy świadomość wspólnoty losów.

Tak, jak czyni to od czasu do czasu wiele pism, tak samo miesięcznik „Zwrot” zorganizował ankietę, która pomaga redakcji zorientować się w stanie współczesnej opinii czytelniczej. Co prawda do redakcji napływają listy, reagujące na treść poszczególnych artykułów, zwłaszcza drażliwych, niemniej tego rodzaju reakcje czytelników są raczej przypadkowe i sporadyczne.

Zresztą nawet wyniki ankiety trakto-

wane zbyt dosłownie mogą prowadzić do fałszywych lub w błąd wprowadzających wniosków lub uogólnień.

Czytelnik potrafi być przekorny, nie zawsze wypowiada to, co myśli; czasami ulega podświadomie jakimś utartym nurtom i stereotypom. W większości wypadków wypowiada się jednak szczerze i to w miarę swych gustów i zainteresowań.

Ankieta pomaga w pewnym stopniu zorientować się w przeciętnej poziomie kultury czytelniczej, w wyrobieniu kulturalnym czytelników „Zwrotu”.

134 odpowiedzi na 4.500 czytelników, to wcale nie tak mało, jak mogłoby się na pozór wydawać. Wiemy, że pisma ogólnopanstwowe o wysokim nakładzie nie osiągają w podobnych ankietach procentowo takiej przeciętnej. Wypowiedzi, jak zresztą oczekiwaliśmy — są kontrwersyjne. Świadczą one o niezmiernej różnorodności ludzkich temperamentów, zainteresowań, potrzeb uczuciowych, świadczą o różnej skali uczulenia na sprawy żywotne, zwłaszcza dotyczące specyfiki życia narodowego Polaków w Czechosłowacji.

Nie jest rzeczą przypadku, że większość uczestników ankiety uderza w tę właśnie strunę, że wyraża aprobatę tym materiałom i argumentom zamieszczonym w „Zwrocie”, które cechuje rzetelność, sumienna troska o właściwy układ naszego bytu narodowego w nowych, tak dynamicznie kształtujących się warunkach.

Zdecydowana większość uczestników

ankiety z sfer robotniczych i inteligentkich domaga się rzeczowości w rozpatrywaniu spraw żywotnych, obiektywnego spojrzenia, rzutowania perspektyw, a przede wszystkim odwagi i bezkompromisowości w dociekaniu prawdy o naszej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, domaga się prostowania fałszywych legend, obalania mitów, usuwania krzywdzących zarzutów czy nieudomówień.

Dopiero na dalszym planie znajdują się wypowiedzi dotyczące poziomu pisma, układu graficznego, doboru autorów itp.

W sprawach doboru, układu, proporcji i poziomu prac zdania są podzielone.

Starsi czytelnicy wolą dobrą publicystykę, prace z zakresu historii naszego regionu, rozwoju szkolnictwa, ponad to żywe teksty, a czasem i opowiadania gwarowe. Młodszy inklinują ku tematyce literackiej, reportażom, Powsinodze.

Bardzo kontrowersyjne są wypowiedzi na temat fraszek i wierszyków w Powsinodze. Niektórzy potępiają je w gromkich słowach, młodszy zaś lubią ten dział i od niego rozpoczynają lekturę „Zwrotu”.

Zdecydowana większość czytelników zarówno z generacji starszej jak i młodszej bardzo ostro potępia niezrozumiałość i nijakość utworów poetyckich, domaga się nowoczesności klarownej, zrozumiałej, przemawiającej do uczuć i do intelektu.

Młodzi upominają się o większą uwagę w traktowaniu jej problemu, o prawdziwe spojrzenie na jej inność, odmienną, w aspekcie formującej się nowej generacji. Większość wypowiedzi akceptuje, poza drobnymi zmianami czy innowacjami, dotychczasowy profil pisma, natomiast są zastrzeżenia — z czego redakcja zdaje sobie sprawę — do dotychczasowej szaty graficznej pisma, która wymaga nowej, atrakcyjniejszej, bardziej współczesnej formy.

Siłą rzeczy do redakcji wpłynęły również wypowiedzi z mniej lub więcej ukrytymi żalami i intencjami osobistymi, zwierzenia obrażonych ambicji i niezaspokojonych aspiracji. Nieliczni uczepili się również błędu drukarskiego w tytule ankiety, nic więcej poza tym nie mając do powiedzenia.

W sumie jednak ankieta spełniła swoje zadanie. Pomoże redakcji zorientować się w poglądach i zapatrywaniach czytelników, daje materiał do przemyślenia, zastanowienia się nad ogólnym zamierzeniem i koncepcją pisma, skłoni do przeprowadzenia tych zmian, których domaga się większość czytelników.

Redakcja stanie przed trudnym zadaniem zharmonizowania różnych postaw i zainteresowań czytelniczych. Żywe zainteresowanie i pełen dobrej woli i życzliwości ton wypowiedzi czytelników pozwalają żywić nadzieję, że „Zwrot” — razem z swoimi współpracownikami będzie mógł coraz lepiej oddziaływać w kierunku nadania właściwego tętna, zwłaszcza tym sprawom, które otaczamy zbiorową troską.

WIKTOR RABAN

Teatr bez snobów...

(Praska korespondencja)



W Teatrze Muzyki.

Pisałem już w swych praskich korespondencjach o rzeźbie, literaturze, filmie. Nie było jeszcze tego, co jest dla Pragi szczególnie charakterystyczne: teatru i muzyki. Połączyłem oba pojęcia i zapraszam do praskiego Teatru Muzyki.

Praski Teatr Muzyki jest czymś wyjątkowym. Nie znaczy to jednak, że jest wokół niego rozpostarty nimb sensacji. W odróżnieniu od niektórych teatrów aureola wyjątkowości trwa tu od samego zarania — to znaczy pełnych 17 lat.

Teatr Muzyki nie jest ani teatrem, nie jest też tylko teatrem. Nie ma charakteru sali koncertowej, brak tu symptomów wyłącznie poznawczych, nie specjalizuje się tylko w dziedzinie rozrywki, nie ogranicza się tylko do opery czy poezji — krótko mówiąc: jest instytucją tętniącą przeszłością i zagadnieniami współczesnymi.

Zwiedziłem teatr w towarzystwie jego pierwszego dyrektora p. Karola Bouška.

Do teatru schodzi się po schodach, jakby się schodziło do głębi własnej duszy. Człowiek wyzwala siebie ze zgiełku ulic, wielkomiejskiego ruchu, z mieszaniny najróżniejszych dźwięków i krzyków, rzępolenia ulicznych megafonów, ucieka przed lawiną mechanizacji. Przechodzi do Teatru Muzyki, żeby słuchać i przeżywać.

Słuchać. Tak, w teatrzyku tym dochodzi do swego rodzaju infiltracji muzyki.

Muzyka jest w pierwszym rzędzie oczyszczana od snobistycznej publiczności. Od tej publiczności, która jest nieodłączną częścią wszystkich wielkich sal koncertowych i scen operowych. Tu, do Teatru Muzyki chodzą ci, którzy nie potrzebują się przechwalać, że byli na koncercie Rubinsteina, widzieli dyrygować

Stokowskiego, mieli możliwość zobaczyć na estradzie Dawida Olstracha, zdobyli bilet na „Carmen” dyrygowaną przez Benzlego. Trudno wprowadzać w podziw przyjaciół, jeśli nie można opisać ani gestów, ani ubrania, ani sylwetki wykonawcy. Do Teatru Muzyki chodzą ludzie, żeby słuchać. Niestety nie jest to zupełnie naturalne w naszym stuleciu, stanowi to nawet w pewnym sensie czynność pionierską, ponieważ wielu ludzi nauczyło się obserwować muzykę atrakcyjną. Ci ludzie nie przychodzą do podziemia Teatru Muzyki.

Teatr Muzyki wyzwala słuchacza od przypadkowości galowych koncertów, jest manifestacją jakości, jest sceną mistrzów całego świata. Nie trzeba ich poznawać tylko dla zaspokojenia ciekawości. Najważniejsze jest wgłębić się do wyników ich twórczości po to, żebyśmy nie gubili mierników, żeby szara przeciętność nie otepiała naszej wrażliwości. Dopiero poznawanie szczytów może być drogą do określania wartości, uczy nas być wymagającymi.

Muzyka jest tu odtwarzana w różnych kontekstach. Koncerty niearanżowanej muzyki, cykle obrazów, filmów, baletu podmalowane muzyką. Pojawiają się różne powiązania, których sama fantazja nie jest w stanie wytworzyć na normalnym koncercie. Krok za krokiem pokazują nam impulsy, żeby przeżyć było wszechstronniejsze, barwniejsze. Wzrok, słuch, wrażliwość, pobudzone oddziałują jednocześnie. Jest to niezmiernie cenne, ponieważ odkrywamy wyjątkową sztukę: przewyciężanie ograniczeń.

Wszystko to można przeżyć w małej salce, która jest okolona (nie zdajemy sobie z tego sprawy) doskonałą techniką. Stereofonia, reflektory, mikrofony, szeroka i normalna projekcja zatracą

swą wyjątkowość, stać się organiczną częścią spektaklu. Doskonałość sprawia wrażenie naturalności.

Poprzez Teatr Muzyki przewinęło się za 17 sezonów 1,500.000 słuchaczy. Kiedy uświadomimy sobie, że na sali jest 140 miejsc, można sobie wyobrazić ilość przedstawień i imprez.

Repertuar bardzo różnicowany. Płyto-tekta posiada 50.000 nagrań. Wertuję program za ostatnie dwa miesiące zeszłego roku. Przytoczę kilka wyjątków na chybił-trafił: Dzieło Antona Webera, Gala koncert Marii Callas, „Pod strzechami Paryża” — piosenki Aznavoure, Patachon, Montand, Chevalier. Jan Strauss „Noc w Wenecji”, Mozart „Msza c-moll”. Koncerty Igora Strawińskiego, Chopin „Mazurki”, „Gra Claudio Arru”, Muzyka fortepianowa J. S. Bacha, Recital Edit Piaf, Bela Bartok, „Gra Duke Ellington”, „Liryka Beethovena”, „Kiedy słońce układa się do snu” — profil światowej „country and western music”, Kwartety Haydna, To jest big-beat: śpiewa Paul Anka, Bill Hailey i Elvis Presley. Sonaty Szymanowskiego, Smetana „Má vlast”, Czajkowskiej „Eugeniusz Oniegin”, Gershwin „Song book I” — śpiewa Ella Fitzgerald, Händel „Koncerty organowe”, Janáček „Taras Bulba”, Dvořák, Ravell i inni.

Program jak najbardziej różnorodny. Każdy może tu znaleźć coś dla siebie. W Teatrze Muzyki odbywają się również pogadanki o sztuce, poezji, malarstwie. Jest specjalna sala wystaw. Teatr troszczy się o młodzież.

Dr Jiří Pilka, stały współpracownik Teatru Muzyki, powiedział: „Dzieci mogą sobie w tym miejscu bez peszącego poczucia geometrycznie wyrównanych ław szkolnych rozmawiać o muzyce, oglądać panele z obrazami, bez żenady zadawać poważne i niepoważne pytania. W ten sposób oczy i uszy uczą się patrzeć i słuchać. Otwieramy tu drogę i uczymy dzieci patrzeć i słuchać — słuchać muzyki i n a c z e j...”

Na zakończenie chciałbym przypomnieć, że praski Teatr Muzyki ma swego bliźniaka w Ostrawie. Ten ostrawski jest w jakimś sensie „filią” praskiego.

WILHELM PRZECZEK

Musza

W głębinie czasu
jak w magmie
żywego wnętrza
opiętego ciasną skorupą
instynktu bycia
jatrzy się ból

W bólu
rodzi się
człowiek
perła
i wiersz

GABRIEL PAŁOWSKI

WYNIKI KONKURSU

W październiku ub. roku ogłosił ZG PZKO konkurs na propagandowy afisz 20-lecia PZKO, ulotkę propagandową na Miesiąc Oświaty, Książki i Prasy, exlibris PZKO, karty życzeń oraz medal 20-lecia PZKO. Ocenę prac nadesłanych na konkurs przeprowadziła komisja w składzie: dr T. Siwek — przewodniczący, członkowie: V. Beranek, J. Rusek (członkowie Związku Plastyków Czeskosłowackich), Eugeniusz Suchanek (przewodniczący ZG PZKO), Henryk Szmeja — jako sekretarz komisji.

Na konkurs wpłynęło 12 projektów plakatu, 5 projektów ulotki na MOKiP, 7 projektów exlibrisu, 13 projektów kart życzeń oraz 4 projekty na medal 20-lecia.

Komisja przyznała następujące nagrody: Plakat jubileuszowy: 1 nagroda — godło 231 (Bronisław Liberda), 2 nagroda — godło „Płomień” (Władysław Cejnar), 3 nagroda — godło „Grażyna” (Oskar Pawlas).

Ulotka na MOKiP — jedna nagroda — A 4 (Bronisław Liberda).

Nagrody za exlibris nie przyznano.

Karty życzeń: pierwszej nagrody nie przyznano. 2 nagroda — godło „Trójkąt” (Bronisław Firla).

Medal 20-lecia — nie przyznano nagrody. Komisja proponuje do realizacji po poprawkach pracę godło „Grażyna” (Oskar Pawlas).

DWIE EWY W LIGOTCE

Zespół teatralny Koła PZKO w Ligotce Kameralnej wystawił w niedzielę 24 kwietnia br. komedię Michała Rusinka „Dwie Ewy”. Przedstawienie pod kierownictwem reżyserki Szczepańskiej było oceniane dodatnio.

Zespół odegrałby z ochotą i w innych Kołach PZKO tę wesołą komedię, jeśli byłoby zainteresowanie.

POWITANIE WIOSNY W NYDKU

W Nydku odbyła się rewia zespołów PZKO pt. „Powitanie wiosny”, na którą złożyły się popisy chóru, zespołu tanecznego, przepłatanie monologami i skeczami. Logicznie powiązana całość była zakończona jednoaktową komedią „Zolyty”, która miała duże powodzenie.

Reżyserem rewii była pani Aniela Kupiec, która przy współudziale zespołów bardzo starannie i z wyczuciem opracowała i zharmonizowała całość.

„ŚCIEŻKA PRZEZ POLE”

Zespół teatralny PZKO w Tyrze wystawił sztukę Haliny Auderskiej „Ścieżka przez pole” w reżyserii ob. Leona Miczki. Początkiem kwietnia sztuka ta została powtórzona na gościnnym wyjeździe w Kojkowicach. Sztukę wyreżyserowano bardzo starannie i jak na miejscowe warunki odmlodzony zespół aktorski wywiązał się ze swego zadania ambitnie.

REWIA WIOSENNA W BYSTRZYCY

We wtorek 17 maja odbędzie się w sali Domu Robotniczego w Bystrzycy dalsza

O SLA bez przykazań

(Artykuł dyskusyjny)

Nie wiem czy jesteśmy w trakcie albo na początku dyskusji na tematy twórczości regionalnej, prezentowanej przez SLA. Jeśli naprawdę chodzi o dyskusję, to winna ona być niezawężona, dotyczyć podstaw i dalszych losów owej twórczości. Początkiem było jabłonkowskie seminarium (listopad ub. r.), które spowodowało poza referatem Milana Rusinskiego kilka artykułów i notatek w prasie ostrawskiej i polskiej.

Wspólną troską głosów o spotkaniu jabłonkowskim jest bodajże problem podniesienia rangi literatury powstającej w regionie. Po raz pierwszy chyba prasa obca zainteresowała się szerzej tymi kwestiami. A u nas — tradycyjnie jakoś — brak podsumowania i troski o to, „jak nas widzą i jak nas piszą”.

Zaistniało pewne poruszenie wśród literatów SLA, niemniej niejedną gorzką pigułkę wypadnie połknąć. Przecież od lat już nie umiemy ożywić działalności i nadać tętna sprawom, które przede wszystkim będą — środowisko — świadczą o nas. Od lat nie jesteśmy w stanie stworzyć środowiska skupiającego niebawem kolektywne i indywidualne próby zmiany sytuacji. Sytuacji, która jeśli się zmieniała, to mało wyraźnie, niemrawo, bez sukcesów pozwalających obalić niechęć w stosunku do twórczości regionalnej, brak zaufania wobec niej [ostatnie zmiany organizacyjne pozwalają żywić pewne nadzieje].

Z punktu widzenia koncepcji ZG PZKO można było dotąd uważać twórczość za przyczepkę tylko regionalnego pojazdu, tak mało zresztą sprecyzowanego, karwiącego się ambicjami skierowanymi wszędzie, ale nie do szybkiego odrobienia bądź co bądź poważnych zaległości. Skazujemy twórczość na nienadążanie, akceptując jej hobbystyczny wyłącznie charakter.

Nie czynię próby objęcia całego problemu SLA, to zadanie wspólne — pod warunkiem oczywiście, że naprawdę chodzi nam o wyrugowanie sytuacji mało zaszczytnej. Terenowe wyłącznie, a więc mniejsze dobro, jest bowiem prowincjonalizmem [w sensie nie wyglądu poza opłotki]. Nie czynię wreszcie próby objęcia całości, ponieważ nie wiem, czy jesteśmy w stanie, a raczej czy jesteśmy uprawnieni — wobec braku wyraźnych dowodów twórczych — ocenić te kwestie niemałej wagi od strony niedomówień, u nas niemal programowych.

*

V. Hons (Červený květ, grudzień 1965) mówi z pewną niechęcią o naszej literaturze. Nie wierzy, że językowo tworzy-

my pewną „rezerwację”. Nie wiem, co miał na myśli, mówiąc o cieplarnianych warunkach, stwarzanych dla takich jak członkowie SLA, regionalnych twórców.

Prawdopodobnie racja, ale niezupełna, gdy warunki, w jakich tworzymy, są skomplikowane i specyficzne. O tym jednak na razie nikt nie zechciał się przekonać i konfrontuje się nas automatycznie z warunkami czeskimi czy polskimi. Może tak właśnie trzeba, nikt z nas nie powinien spodziewać się innych ocen. Ale chodzi o co innego. Jak dotąd, historia rzadko nam, grupie narodowościowej, sprzyjała, nie pozwalała wyzbyć się kompleksów, zakazywała mówić o sprawach najbardziej istotnych w kontekście szerszym. A ustawiane bariery choć zostały obalone, pozostawiły jakieś ślady. Poza tym zaangażowanie kulturalno-oświatowe, będące w regionie swoistym nakazem społecznym, stworzyło odwrotną hierarchię obowiązków, zapędzając tworzenie w sfery prywatne jakby, drugoplanowe. Nie będziemy wreszcie prawdopodobnie nigdy posiadali zawodów „twórczych”, np. dla plastyków (takie istnieją w Ostrawie czy Olomuńcu).

Jeśli już mowa o plastykach, zastanawia np. sprawa ostatniej wystawy. Jury złożone z trzech plastyków ostrawskich i jednego z Katowic (nie licząc przedstawicieli ZG PZKO), wytypowało obrazy czterech malarzy do zakupu przez Zarząd Główny (forma konkursu). Następnie ostrawska komisja „Fondu” zmieniła propozycje jury, niektóre odrzuciła. Można było przewidzieć? Pewien niesmak jest może formą „pomocy”, „przekazywania” doświadczeń. O innej pomocy dotąd nie słyszałem. Nie wiem czy kiedykolwiek zapraszano malarzy SLA na niektóre przynajmniej akcje Związku Plastyków, jeśli już poziom nie odpowiada wymaganiom kandydatury czy członkostwa w Związku (jeśli zważyliśmy, że niektórzy plastyki ukończyli akademie, sprawa bądź co bądź zastanawia).

Sztuka musi oczywiście zdobywać, przebijać się, wtedy rośnie i krzepnie. Ale liczą się również kontakty, pomoc, dobra koleżeńska rada. Tu prawdopodobnie chodzi o ochronę „tajemnic warsztatu”. Lecz konkurencja w socjalizmie winna przynosić wyniki, obustronny, powleczaliby, zysk. Egoizm środowiskowy i monopolizacja nie zachęcają do szczerych rozmów.

*

Wracając do niektórych kwestii... Słusznie stosunkowo głośno mówi się o zagrażającym nam prowincjonalizmie, szczególnie w sytuacji „niewyleczonych

do końca tendencji archaicznie pojętego regionalizmu”.

Na pewno trzeba zmodyfikować kształt artystyczny powstającej tutaj literatury, unowocześnić i udoskonalić formy artystyczne, odnosić je porównawczo i krytycznie do głównych nurtów polskiego i czeskiego życia literackiego, jak sugeruje Witold Nawrocki. Musimy pogodzić się ze zdaniem: „Jednym bowiem z głównych niebezpieczeństw, jakie grożą powstającej tam literaturze, jest zamknięcie się w opłotkach ciasno pojętego regionalizmu i czynienie z układu narodowej i językowej odrębności punktu wyjścia dla stworzenia systemu ulgowych ocen estetycznych, rozgrzeszających nieudolności artystyczne i brak szerszych ambicji intelektualnych”.

Ale tym samym znowu stoimy wobec spraw, o które ostatnio z takim impetem kruszy się kopie. Czujemy się odpowiedzialni wobec społeczeństwa, którego model kulturalny, intelektualny czy upodobania nie odpowiadają stosunkom ośrodków umysłowych polskich czy czeskich. Sami wywodzimy się z tego społeczeństwa i nie mamy wiele okazji, a nawet uprawnień „wyodrębnić się”. Te alternatywy utrudniają decyzje i drogi.

„Wyjście z impasu?” Bronisława Biełana w marcowym numerze naświetla pewne sprawy z naszego punktu widzenia, próbuje zbudować pomost — i raczej nie zgadza się z modyfikacją sugerowaną przez W. Nawrockiego. Rozdźwięk między „wzorami” a sytuacją terenową jest dosyć wyraźny. Komu uda się w tej sytuacji zadowolić obie strony? Ano, geniusze nie rodzą się na kamieniu.

Wypada postawić kilka pytań: Czy układ sił w PZKO sprzyja eksperymentowi? Jak powinniśmy rozumieć w naszych warunkach nawiązywanie do tradycji? Jakle tradycje mamy wziąć pod uwagę, czy wszystkie? Okazuje się bowiem, że nie czas jeszcze stać na mówienie całej, szczególnie tej bolącej prawdy o społeczeństwie polskim. Czy tworzyć sztukę o szerszym oddechu albo załatwiać, o ile to możliwe, szybko potrzeby doraźne? Czy istnieje świadomy system propaga-



Scena zbiorowa z widowiska kabaretowego Agnieszki Osieckiej pt. „Niech no tylko zakwitną jabłonie”, z którym przyjeżdża do nas pod koniec maja Teatr Zagłębia z Sosnowca.

cji sztuki, jaka w ogóle jest sytuacja, jeśli chodzi o zdolności konsumpcji sztuki?

Może nie obejmuję całej tej problematyki, ale tutaj gdzieś tkwią krawędzie ostatnich polemik.

Krótko jeszcze do spraw organizacyjnych: Co SLA łączy z ZG PZKO, to najwyższej szczyplutkie zresztą możliwości finansowe. Z jakąkolwiek instytucją byśmy powiązali sekcję, nic właściwie się nie zmieni, najwyżej mogłaby zyskać niespodzianie, jak widzieliśmy to w wypadku Grupy Literackiej 63 w Trzynie, która nie była przecież propozycją programową, a nawet nie środowiskową.

Chciałem powiedzieć dużo, powiedziałem niewiele. Ale jeśli te kwestie jakoś nas dotyczą, proszę o uzupełnienie albo sprostowanie.

WŁADYSŁAW SIKORA

KA-KRONIKA-KRONIKA-KRONI

impreza kulturalna miejsc. Koła. Będzie nią „Rewia wiosenna” w wykonaniu zespołu bratniego Koła PZKO z Nydku przy współpracy z zespołem muzycznym gospodarzy.

„NIECH NO TYLKO ZAKWITNĄ JABŁONIE”

Po dłuższej przerwie przyjeżdża do Cz. Cieszyńska Państwowy Teatr Zagłębia z Sosnowca. Těšínské divadlo i Państwowy Teatr Zagłębia z Sosnowca współpracują już od szeregu lat. Niedawno bawił w Polsce zespół Sceny Czeskiej ze sztuką „Děvčátko z kolonie”. Teatr z Sosnowca przyjeżdża natomiast z pierwszym polskim musicaliem „Niech no tylko zakwitną jabłonie” Agnieszki Osieckiej. Jest to historia dwóch dwudziestolec, Polski przedwojennej i powojennej w piosence autentycznej i spreparowanej przez Osiecką. Są więc piosenki przedwojenne od Rebeki, ballad podwórkowych, Zuzanny, „Baby, oj te baby” i wiele innych — po „Czerwone maki”, „Walczyk Warszawy”, „Siekiera, motyka”, „Na prawo most”, „Budujemy nowy dom”, „Walentyna twist”, „Niech no tylko zakwitną jabłonie” itp.

W piosence jak w krzywym lustrze odbija się życie przedwojennej elity i szumowin społecznych, pobrzękują złowrogie echa przyszłej wojny, a po wojnie — gruzy i odbudowa, pierwsi entuzjaści i szabrownicy, ZMP-owcy i bikiniarze, okres błędów i wypaczeń i obecne sięganie po rozum do głowy.

Historia Polski układa się w piosence w logiczny ciąg, pokazuje przywary społeczeństwa, barwę i klimat tych lat.

„Niech no tylko zakwitną jabłonie” należy do niezwykle udanych i rzadko spotykanych pozycji rozrywkowych, zrobionych z dużym gestem, polotem i wer-

Śladami dobrej roboty

W okresie, kiedy przygotowujemy 20-lecie PZKO, obchodzi jedno z Kół jubileusz 10-lecia swego istnienia. Chodzi jednak o istnienie tak intensywne i można powiedzieć przykładowe, wypełnione systematyczną, niezwykle efektywną pracą, że osiągnięcia małego podgórskiego Koła w Nawsiu-Jasieniu (bo o nim mowa), zmuszają do refleksji.

W okresie 10-lecia wystawiono w Kole 9 całowieczorowych i tyleż jednoaktowych sztuk teatralnych, 3 rewie, sympatyczny zespół „Podlotki” miał 30 występów, w tym 12 poza własną gminą (120 prób). Corocznie urządza Koło szereg

wycieczek, wieczorów świetlicowych, bali, festynów itd. Członkowie odpracowali 15.000 godzin w czynie społecznym, przede wszystkim przy przebudowie strażnicy na Dom Kultury i przy remoncie szkoły, zakupili za przeszło 8.000 Kz książek na tradycyjnych imprezach MOKiP i biorą corocznie bardzo aktywny udział w Święcie Góralskim, przygotowując zawsze jeden z najoryginalniejszych wozów alegorycznych.

Koło, które rozpoczynało od zera, gospodaruje obecnie w pięknym, dobrze urządzonym Domu Kultury, posiada telewizor, magnetofon, radio itp.

Można by tak jeszcze długo wyliczać.

wą. Wspaniała oprawa, jaką teatr dał temu widowisku, dobra i lekka muzyka zadowala najwybredniejszego widza. Przedstawienie reżyserował gościnnie Jerzy Ukleja, choreografię opracował Mikołaj Kopiński, muzykę Stanisław Radwan. Przedstawienia odbędą się 27 i 28 maja br. o godz. 19 w teatrze w Cz. Cieszyń, przedsprzedaż biletów w teatrze.

PROPAGANDOWY TURNIEJ PING-PONGOWY

W niedzielę 24. 4. br. odbył się w Dąrkowie organizowany przez ZG PZKO oraz Koło miejscowe propagandowy turniej ping-ponga dla drużyn PZKO. W turnieju wzięło udział 13 drużyn z 9 Kół. Po zaciętych walkach, które trwały od godz. 9.30 do 17.00 pierwsze trzy zwycięskie miejsca zdobyły następujące drużyny: I miejsce drużyna PZKO Dąrków A, II — PZKO Gródek, III — PZKO Trzciniec-Kanada B.

Dalsze drużyny, które w turnieju wzięły udział (bez podania uzyskanych miejsc) to: PZKO Nowy Bogumin, Dąrków B, Trzciniec-Kanada A, Karwina II Henryk, Karwina 4-Raj, Łąki n./O., Skrzeczkoń A i B, Stonawa A i B.

KOKTAJL W SKRZECZONIU

Rokrocznie organizowana przez Koło PZKO impreza pod nazwą „Koktajl skrzeczkoński”, cieszy się wśród członków i sympatyków dużym powodzeniem.

Tym razem program artystyczny wypełniły następujące zespoły: chór mieszany „Hasło” Skrzeczkoń, który z towarzyszeniem orkiestry zakładów chemicznych w Boguminie odśpiewał kilka pieśni z swego bogatego repertuaru. Dalej występowały małe zespoły wokalne oraz solista Wł. Ogóń, jak również młodzieżowy zespół tańca towarzyskiego.

Gwóździem programu był gościnny występ znanego i sympatycznego zespołu żeńskiego „Melodia” z Suchej Gór. wraz z świetnym humorystą ob. Urbasiem. Występ tego zespołu był miłą niespodzianką i swym wysokim poziomem artystycznym oczarował obecnych na sali skrzeczkońców oraz licznych przedstawicieli okolicznych Kół. Dobry program artystyczny, humor, taniec oraz oryginalny koktajl przyczynił się do wytworzenia przyjemnego nastroju i zabawy, pod znakiem której upłynął cały wieczór.

„ŚLĄSK” PRZYJĄŁ ZAPROSZENIE TRZYŃCA

Tak — chodzi naprawdę o Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Śląsk” pod kierownictwem prof. St. Hadyny.

Prowadzone od dłuższego czasu rozmowy między kierownictwem „Śląska” a Jedynolitym Ośrodkiem Kulturalnym huty trzynieckiej są już w „stadium końcowym”. Kierownictwo „Śląska” podało terminy występów (koniec sierpnia — początek września) i zaproponowało wysłanie do Trzyńca pracowników organizacyjnych, którzy na miejscu zbadają warunki występu tego wspaniałego zespołu.

Nie to jest jednak istotne. Wiele, chyba zdecydowana większość Kół, może się pochwalić przecież czymś podobnym.

Do refleksji natomiast zmuszają takie fakty jak to, że corocznie uczestniczy w walnych zebraniach więcej uczestników, niż Koło posiada członków (na tegorocznym walnym było na 102 członków 112 obecnych). — Członkowie przychodzą w komplecie, a oprócz nich jeszcze sympatycy czy też nowi, młodzi kandydaci na członków. Na ostatnim walnym zebraniu przyjęto też kilku z nich. Jest więc rzeczą zupełnie zrozumiałą, że w roku bieżącym, podobnie jak w poprzednich, Koło zwyciężyło w ogłoszonym przez ZG PZKO współzawodnictwie o najlepsze przygotowanie walnego zebrania.

W ramach Koła jest organizowana swego rodzaju pomoc sąsiedzka (do finansowej — w postaci pożyczek — włącznie) przy budowaniu domków rodzinnych, czy też przy wykonywaniu innych poważnych czynów o charakterze prywatnym.

Czegoś podobnego już nie ma w innych Kółach, w każdym razie nie w tym stopniu. To specyfikum Jasienia wynika z szczególnej atmosfery, jaka panuje w Kole i z szczególnej jego rangi w ramach osady. 10-letnia praca takich działaczy jak Paweł Kluz (który w r. 1956 jako kierownik miejscowej szkoły założył Koło, potem przeniósł się do Bocołowic), Jan Chodura (pierwszy przewodniczący), Emil Pawłus, Józef Chraścina (drugi przewodniczący), Adam Bocek (obecny przewodniczący Koła), Władysław Rucki, Stanisław Recmanik, Jan Ka-

psia, Jerzy Sikora, Ewa Sikorzanka, Jan Szkandera. Józef Krzyżanek, a szczególnie obecny kierownik szkoły Jan Cieślarski, sprawiła, że Koło PZKO jest dla Polaków w tej osadzie czymś w rodzaju wielkiej rodziny. Gratulacje i upominki dla jubilatów oraz młodych par, to tylko drobny wycinek tego, co się na tę rodzinną atmosferę składa.

Koło jest w ramach osady prawdziwym potentatem. Organizacją, która wywiera zdecydowany wpływ na życie Jasienia, szczególnie kulturalno-społeczne, ale też i na pozostałe dziedziny. Jest ono uważane przez MRN w Jabłonkowie za najaktywniejszą organizację społeczną na terenie gminy. Dwukrotnie zdobyło I miejsce w współzawodnictwie PZKO w swej kategorii.

Trudno zresztą sprecyzować tę specyficzną atmosferę, która tam panuje. Jest ona dziełem przede wszystkim sternika i duszy Koła Jana Cieślarskiego, sekretarza, reżysera, dyrygenta (kiedy trzeba to i kierownika zespołu tanecznego) w jednej osobie. On to swym rozsądnym podejściem, taktem, stanowczością i swym niezwykłym na stosunkowo młody wiek mirem, wybudował taką pozycję Koła i takie warunki jego działalności. Swym zapałem pociągnął wdzięcznych i ofiarnych mieszkańców wschodnich stoków Kozubowej.

Nie ma bowiem wielkich osiągnięć bez wielkiego zaangażowania czyjegoś talentu, intelektu i serca. A radny PRN, wzorowy nauczyciel Jan Cieślarski wszystkie te walory włącznie z dużą ambicją wkłada do swej pracy w Jasieniu.

GUSTAW SAJDOK

W takt wiosny

Koło PZKO w Nawsiu urządziło dnia 1 maja br. przy współudziale nauczycieli miejscowych i z najbliższej okolicy dobrze przygotowaną i niezwykle udaną rewiew wiosenną pod hasłem „300 taktów wiosny”. Nastrój był rzeczywiście wiosenny, a wiosna przywołała na scenę wszystkie muzy, zaś na salę sporo publiczności, która z zadowoleniem oglądała bogaty program.

Kilkakrotnie wystąpił chór żeński (35 śpiewaczek) pod batutą popularnego dyrygenta naucz. Władysława Winklera, który dużo się napracował, zanim chór i mniejsze zespoły wokalne mogły wystąpić. Opracował całą oprawę muzyczną rewii i dyrygował orkiestrą. Nawiejski chór żeński stanął na wysokim poziomie, prezentuje się doskonale, także i zewnętrznie, w nowych gustownych i jednolitych sukienkach zielono-wiosennych. Mniejsze zespoły w najróżniejszym składzie od duetu po kwintet mieszany zaśpiewały również dobrze, szczególnie obiecująco zapowiada się młody śpiewak Paweł Niedoba. Orkiestra nauczycieli oraz orkiestra początkujących muzyków grała brawurowo. Na wyróżnienie zasługuje młodzież akordeonista Kazio Cieślarski z Nawias-Jasienia,

Słowo wiążące, w ujmującym wykonaniu rodzeństwa Anny i Władysława Pyszków, w opracowaniu dyrektora Br. Procznera z Łomnej Dolnej, który oprócz tego ubawił widzów dwoma doskonałymi monologami w gwarze śląskiej, wypadło jak najlepiej i to tym więcej, że autor przewidział dla wrokołowców rzecz zgoła nową, a mianowicie: w trakcie wykonywania punktów wokalnych, dobry rysownik Karol Pyszek na dużych kartonach, rozpiętych na staludze, rysował z miejsca to, o czym śpiewano: Noc na Kubie, Arlekina, Dzikie gęsi, Kowboja, miłe wioskowe bociany... Brawa były naturalnie mocne, bo podwójne, a Karol Pyszek w pełni na to zasługiwał, ponieważ nie tylko do tej imprezy, ale już od lat do wszystkich imprez Koła rysuje i maluje afisze i przeróżne akcesoria dekoracyjne.

Była także mała scenka o niepoprawnym „bumelancie”, którego trzeba było kijem uczyć rozumu. Ponieważ rzecz działała się w obecności wielu świadków, został na pewno z choroby swojej na zawsze wyleczony.

Nawet Terpsychora nie dała się zawstydić i wydelegowała na scenę najpierw młodzieżką parę w takt skocznej

polki, a potem dwie pary do wyfraczonogo i długosukienkowego walca, któremu przygrywała orkiestra i śpiewał chór żeński wiosenne melodie Straussa.

Uznanie i podziękowanie należy się zarządowi Koła i tym, którzy przy zorganizowaniu imprezy uczestniczyli, wykonawcom programu, dyrygentowi Winklerowi i reżyserce Helenie Janiczkowej, nauczycielowi Karolowi Heczce (opraco-

wanie niektórych piosenek) i całemu zespołowi naszych nauczycieli.

Rewia w takt wiosny (rusza na gościnne występy) będzie zachętą dla wszystkich członków Koła PZKO w Nawsiu do wzmożonej pracy, zwłaszcza teraz, kiedy Koło przystąpiło do budowy własnego lokalu świetlicowego.

W. GÓRNY

KA-KRONIKA-KRONIKA-KRONI

MOŻNA KORZYSTAĆ Z OŚRODKA SZKOLENIOWEGO

ZG PZKO postanowił udostępnić Kołom i szkołom ośrodek szkoleniowy w Koszarzyskach. Do dyspozycji są trzy salki noclegowe — łączna ilość łóżek 40, świetlica, jadalnia, kuchnia oraz salka zebrań. W ośrodku czynny będzie zimny bufet. Do dyspozycji boisko siatkówki. Bliższe dane otrzymają zainteresowani na żądanie w sekretariacie ZG.

wierzone, to wtynczas tak sie wóm to lukoże, jako to kiejsi było. Teraz to ludzie nie lumióm, ale piyrwej ci zdbójnicy, albo łoto ci wandrowni to strasznie wiedzieli. Łóni to wóm wiedzieli zakłóń ty pinióndze. To sóm wszecko zaklynte pinióndze. Tak w tych Rostóczkach sóm też tam ty pinióndze zaklynte. Jyny je jedla wielko, a na tóm jedle trzeba hore zadkym wylyźć, a tam je kufer z pinióndzami. A ta starka to mieli powierzone. A jako tóm płachetkym wysziwajóm, szel ku nim taki mały gojneczek. Powiadali starka: „Taki mały gojneczek szel ku mnie. Jo sie go zlynkla i łucykla żech.“ Gdyby go byli doczkali, to by może byli coś łodziedziczyli. A tóż wiycie, taki mały gojneczek, to sie zlynknie każdy. Aji wy, dybyście sie w lesie zebrawi z takim, to sie sami zlynkniecie i łucieczecie. Nó i łóni łucykli i wiynceji nic nie widzieli.

Ty pinióndze sie wóm lukożóm tak, jak to kiejsi było. A potym jyny trzeja ze siebie coś schynić: czy tam szatkym baba, czy tam chłop kabot, czy miech. Jyny chynić do tego miejsca, a łustómpić, a hónym łuskoczyć. Jak byście nie łuskoczyli, to was zabije. To muscie w tym mómyncie chynić, a w tym mómyncie łuskoczyć. Ty pinióndze wóm zaros wychynie, a zatoczył wóm to do takiej czistej szatki, czy do czegoś. To mocie tóm powierem. To tyn diabeł łotacuje, a potym wychynie. Na wszeckich pinióndzach diabeł siedzi.

Jedyn łojciec miał trzech synów, a jedyn tyn syn sie dziwoł przez łokno, jako łojciec zakłinoł pinióndze. W zogradzie pod gruszkóm. Nó i piyrwi tych ludzi chytali na porwóz, a potym na wojnie aji dwanoście roków musieli słóżyć. Nó i powiadał tyn jedyn tymu drugimu bratowi: „No wiycie, dy jo jidym na wojnym, tóż dowecie pozór. Jak tata łumrół, to jich nie pochowujcie, aż jo przidym.“ Nó i potym poszeł na tóm wojnym i tata łumrzył. Nó i tóż go nie chowali, aż tyn prziszeł. Czi tam telegram posłali, bo to piyrwej tak nie szło. Nó jak prziszeł, tóż zebroł tego łojca i capnył trzi razy jego zadkym na to miejsce, kany łón zakopoł ty pinióndze, a powiadał, że jakóm pieczyńcióm sóm zapieczyntowane, takóm niech sóm łopieczyntowane. Trzi razy ciapnył i powiedziało mu, że ani sie tu na nich nie zagrzoł.

C. d. n.

DANIEL KADŁUBIEC

ŻYWE LĘKSTY, ŻYWE PIĘŚNI

Zakłęte pieniądze w repertuarze Elżbiety Sikorowej

Kiejsi moja starka paśli krowy. Jyny nie wiem, czy to było na Smółkowie, czy to było w Mióńszu. Paśli tam ty krowy, a płachetkym wysziwali. Nó i krowy sie jim straciły. Łóni mieli dwa razy powierzone ty pinióndze. Nó i szli i chlądali tych krow. Prziszeł ku jednemu takim pnióm dwiyma, a tam była straszno kupa tych ptoćców, łapek, a kany czego, a powiadali: „Tak żech grzebała w tych łapkach, dziwóm sie tymu i zasiech zaczęła rozmyślać ło krowach i w tym zakłopotaniu nie wiem, jakoch wziyna jedyn kurziniec ze sobóm.“ Nó i potym już poszeł za tymi krowami, naszeł jich i zaś zaczęli płachetkym wysziwać. Tu sie dztwajóm, tu naszeł dukot. Z tego kurzińca był dukot.

A roz niebogi stary fojt też szli na zolyty. To był stary Kantór z Milikowa. Jeszcze byli pachotkym i szli na zolyty. Tak to wyklódóm, jako tymu było. Nó i prziszeł do Brzezio i fajkym kurzili, a widzieli tam wielkucnóm kupym wóńglo — łognia. Myśleli, że to pastyrze i szli ku tymu, że se tóm fajkym zapołołóm. I chycili tyn wóńgliczek. I zamiast jich spolić, to jich załoziołmbało. A ani nie widzieli, jako jim jedyn wóńgliczek do rynkowa wpod. Cofli sie, a przez tóm watrym tego łognia widzieli, jak w tym łogniu leżoł chłop, a koński kopyta młoł. Nó i zwyrtli sie i już na zolyty nie szli, ale łucykli do domu, wybili dwiyrze. A powiadali, że jim aże włosy stoły. Dyć wiedzóm, jak sie człowiek zlynknie, to włosy stanóm. Nó i jak prziszeł do domu, tyn kabot sewlykli, jak go sewlykajóm ze siebie, cupnył jim dukot z tego rynkowa.

Zaś ło tego fojta to było. Był pachotek, a leżoł na ławie. A pastyrza mieli, leżoł na piecu, a źle mówił. W nocy sie łobudził i widzioł watrym łognia pod piecem. I wołoł: „Uła, uła, pod nolepóm gołe. Uła, uła, pod nolepóm gołe.“ Pachotek stanął, ale już nic nie widzioł.

Mój nieboszczyk też roz pos na polanie



krowy. A jeszcze jedna też tam paśla. Nó i blisko tam był las i zaszeł sie tam podziwać. I widzioł, jako bykło, a zaś po drugi bykło, a jeszcze zaś po trzeci bykło. Taki płómynek modry byknył, a łón wołoł: „Maryna, Maryna, pój, bo diabeł pinióndze susził.“ I powiadał: „Tak żech to czuł, jako to wszecko zeszcziżczało na dół.“

Wiycie panowie, sóm pinióndze, ale teraz sie już to tak nie łukazuje. Jyny piyrwej to sie strasznie moc łukazowało. To już łoto aji mój tata łopowiadali, że tu pod Kozubowóm sie strasznie moc łukazowało. Ale teraz sie już nie łukazuje.

Starka mieli powierzone pinióndze aji w Rostóczkach. Też tam wysziwali tóm płachetkym. A tam trzeba po jedli lyźć, jyny hore zadkym. A jak to mocie po-

ANKETA



Wśród uczestników ankiety znalazło się również kilku dowcipnisiów, którzy (prawdopodobnie oprócz poważnego potraktowania wypowiedzi na innym blankiecie), przysłali

nam szereg dowcipnych odpowiedzi. Najciekawsze z nich z przyjemnością publikujemy.

Drukujemy je w oryginalnym brzmieniu.

1. Jak oceniasz ogólny poziom „Zwrotu“?

W ogóle mi się nie podoba, bo nie ma nic o Wietnamie. Dlatego córka dostała niedostatecznie za brak zadania.

„Zwrot“ jako gazetka jest dosyć dużo pod poziomem, a jeżeli chce zdrożyć, musi dużo przidać.

2. Czy odpowiada ci jego profil pisma kulturalno-społecznego, z przewagą publicystyki nad materiałami literackimi i skromny tylko dział informacyjny?

Czy ma jakiś PROFIL?

Profil jest skrzywiony, lepszy będzie en fas.

3. Jakie jest twoje zdanie o stronie językowej „Zwrotu“?

Nie przejdzie do następnej klasy.

Mojem zdaniem by było dobre też coś po staroświecku napisać... Jak Jura spod gronia... Aż je sranda.

4. Które artykuły ci się w ostatnich numerach najwięcej podobały?

Artykuły codziennej potrzeby — wórszt i gorzółka.

O hodowli pomidorów.

...Aby roześmiać czytelników raz w miesiącu... aby udzielić odbieracielu.

5. Które sprawy należy twoim zdaniem w naszym piśmie poruszać?

Należy poruszyć tego, co się rzadko rusza. (Przytyk raczej do tuszy, niż ruchliwości redaktora).

6. Jak oceniasz poziom prac literackich w „Zwrocie“?

Poziom jest poziomkowy.

Poziom literacki mi odpowiada, nie odpowiada mi literatura.

7. Których autorów najchętniej czytasz?

Prus, Żeromski, Gałczyński.

8. Które z działów oceniasz jako lepsze, a które uważasz za traktowane przez redakcję po macoszemu?

Wicherek zaolziański.

9. Które z istniejących działów uważasz za niepotrzebne?

„Zwrot“.

10. Które działy należy poszerzyć względnie podzielić?

Podzielić to, co jest poszerzone, a poszerzyć to, co podzielone.

Z baterii mistrzów pióra.

11. Jakie nowe działy wprowadzić?

Dział seksuologii w powiązaniu z po-mologią analogiczno-striptisową.

Dział matrymonialny.

Oстрыm piórem po dupie.
Bez mydła i wazeliny.

12. Czy odpowiada ci szata graficzna?

Za dużo „szaty“ — brak aktów i innych aktówek.

Zamiast szaty lepsza byłaby suknia.

13. Co proponujesz w celu jej ulepszenia?

Nic.

Uzewnętrznić się, czyli zdjąć szaty plugawe.

Rysować ładniej.

14. Inne uwagi:

Jeżeli chcecie podróżować, to coby się tak nie stało jak to bywa, że się cena zwyszy a nic się nie zlepszy. Jestem ciekawy jak to wyfajczycie.

Płacić czytelnikom za abonament.

Wprowadzić kącik „podrywaczy“.

Fraszki

POŻEGNANIE KOCHANKA

Panta rei,
Panta rei,

ONA

Ona cyrk wielbiła i słonie,
dlatego pogromcy wciąż chodzili do niej.

KOCHANCE NA POŻEGNANIE

Spójrz na mą twarz zalaną łzami
i zrujnowaną wydatkami.

PEWNEJ DAMIE

Kochanką drogą byłaś, lecz wspaniałą,
wspomnienie z pustą kieszenią zostało.

JANUSZ GAUDYN

„ZWROT“, miesięcznik. — Wydawca: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Czechosłowacji, Zarząd Główny, Český Těšín, ul. Lenina, nr 28, tel. 393. — Redaguje zespół. — Redaktor naczelny Jan Rusnok. — Český Těšín, 15 maja 1966. — Cena egzemplarza 1,— Kčs. — Redakcja i administracja Český Těšín, ul. Lenina 28, tel. 564. — Prenumerata: kwartalnie 3 Kčs, półrocznie 6 Kčs, rocznie 12 Kčs. — Tłoczono w drukarni TISK, n. p., Brno, provoz 3, Český Těšín, ul. Revoluční 1, tel. 6032. — Pozwolenie na używanie znaczków pocztowych wydała Okresní správa spojů Karviná, 20. 8. 1963, zn. 1268/63. — T-03*60701



Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

Cena Kęs 1,—

ROK 18 — (Nr 199)

6

Czeski Cieszyn, czerwiec 1966

W NUMERZE:

Wszystko zależy od nas samych ★ Różce
★ Podsumowanie ankiety ★ Można cieszyć się w Cieszynie ★ Sylwetki naszych działaczy ★ Kto ma rację ★ Olza czy Olsza?



Foto Henryk Minol.

Wszystko zależy od nas samych

Jesteśmy świadkami najpoważniejszego wydarzenia w codziennym życiu naszego kraju — kolejnego XIII Zjazdu Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Wertujemy gazety, słuchamy radia, oglądamy obrady w telewizji, interesując się jak przedstawiciele ponad półtora milionowej rzeszy członków partii radzą nad naszym życiem. Nad tym, by życie to było coraz dostatniejsze, spokojniejsze i ciekawsze.

Zastanawiamy się ile spraw, ile problemów omawiają nasi reprezentanci. Bo łatwo powiedzieć „żeby życie było dostatniejsze, spokojniejsze i ciekawsze“, ale na to składa się przecież tyle rzeczy! Dalsze podniesienie produkcji w przemyśle, podniesienie jej jakości, zapewnienie surowców, importu, sił roboczych (i ich kwalifikacji), inwestycji, wzajemnej harmonii i równowagi rozwoju poszczególnych gałęzi przemysłu i całej gospodarki... Ruszenie z miejsca rozwoju rolnictwa, gdzie szczególnie dały się odczuć trudności ostatnich pięciu lat, pogłębione przez trudne warunki atmosferyczne i klęski żywiołowe.

Rozwinięcie tempa wzrostu wydajności pracy w wszystkich dziedzinach gospodarki państwowej. To szczególnie trudna sprawa, bo o ile w ostatnich dwu latach, po zastoju w roku 1963, zaczęła produkcja przemysłowa coraz szybciej wzrastać (w pierwszych miesiącach br. o 8 % w stosunku do odpowiedniego okresu roku ubiegłego), to wydajność pracy warunkująca wzrost stopy życiowej nie wykazuje ciągle należytych tendencji wzrostowych. Tutaj ośrodkiem zainteresowania Zjazdu i całego społeczeństwa jest nowy, ulepszony model ekonomiczny.

Nowy, częściowo już wprowadzony system zarządzania i wskaźników ekonomicznych, powinien stopniowo eliminować zakorzenione, niezdrowe przejawy w naszym życiu gospodarczym, wprowadzając bodźce ekonomiczne, których aplikacja, tak wewnątrz zakładów, jak w stosunkach międzyzakładowych i międzybranżowych, powinna przyspieszyć wzrost wydajności pracy i podniesienia jakości produkcji.

Niemniej istotne sprawy to handel, gospodarka komunalna, komunikacja, służba zdrowia, szkolnictwo, kultura, wychowanie fizyczne itd. itp.

Zatrzymajmy się jeszcze przy zagadnieniach społeczno-wychowawczych i kulturalno-oświatowych. Przy ogromie zadań na odcinku gospodarczym (a są przecież jeszcze sprawy międzynarodowe, międzynarodowego ruchu robotniczego, bezpieczeństwa kraju itd.), w materiałach zjazdowych można było poświęcić tym szczególnie interesującym nas sprawom skromny wycinek miejsca. Tym niemniej zostało dobitnie podkreślone znaczenie ideologii, uświadczenia, wykształcenia, a co za tym idzie, świadomej ofiarności i kwalifikacji ludzi pracy dla sprawnego realizacji niełatwych zadań omawianych i ustalanych na Zjeździe. Bo od nas wszystkich, od naszej świadomej woli, inwencji, a nierzadko i ofiarności będzie uzależnione tempo rozwoju całego naszego społeczeństwa.

JAN RUSNOK

W owych czasach cmentarz fryszacki — ten nowy, bo był i stary — leżał o niespełna pół godziny drogi od centrum miasta. Właściwie znajdował się już w polach. Od wschodu ocieniała go Dębina. Uroczy, niewielki las. Na zachodnim horyzoncie dymiły kominy karwińskich kopalń. Na południowej stronie falowały zboża. Z północy otaczał cmentarz potok, w którym, będąc jeszcze chłopcami, łowiliśmy ryby i raki. A ile ich tam było! Lubiliśmy to zaciszne miejsce zwane potocznie „Przy Dębinie“. Ale żeby tam do-

RÓŻE

trzeć, musiałem powolutku — tempem pasienia się krów — obchodzić najpierw miedze wśród pól. Wprawdzie „przechadzkę“ tę można było skrócić ominięciem którejs miedzy i ciągłym przynaganiem krów za pomocą bicia, lecz kiedy nie paśli ze mną żadni kamraci,

wolałem nieco dłużej pokręcić się za płotem koszar, około których musiałem wypasać i gdzie zawsze coś się działo.

A ruch koszarowy w tych czasach był niemały. Były to bowiem lata ponurej okupacji — drugiej wojny światowej.

Pewnego dnia koszary zmieniły się nie do poznania, po prostu zniknęły z nich żołnierze.

Moje zainteresowanie koszarą ponownie wzrosło, gdy zaczęto za płotem wbić do ziemi z cztery metry wysokie, drewniane pale i przedziwnie je wyplatać kolczastym drutem. Na każdym rogu,



1 czerwca Międzynarodowy Dzień Dziecka. Foto R. Fierlą.

między płotem i zasiekami wznoszono wieże. Wokół płotu, gęsto, rozmieszczono czarne tabliczki z białą wymalowaną trupią czaszką na pieszczelach i napisem:

ACHTUNG!

Lebensgefahr!

Bei annähern wird ohne Herausforderung
GESCHOSSEN!

Ostrzeżenia tego nie bardzo potrafiłem przeczytać, bo pisane było szwabachem, a ja nie umiałem wtedy jeszcze wiele po niemiecku. Może i dlatego nie przejmowałem się zbytnio tymi groźnie wyglądającymi tabliczkami i pasłem sobie krówki spokojnie dalej pod płotem byłych koszar, kręcąc się wkoło dłużej niż zwykle, bo działały się tam coraz prz dziwniejsze rzeczy.

Cały areal koszarowy obwarowywano gruntownie. Na wieżach pojawiły się daszki i reflektory. Robotników poczęli wymieniać żołnierze z czarnymi wyłogami, na których widniały srebrne znaki SS. Oni to zajmowali również miejsca na wieżach i zmieniali się na nich prawidłowo, co dwie godziny, i to nieparzyste.

Strach mnie zaczął jako oblatywać. Koszary wyglądały teraz groźnie i ponuro. Dziwny chłód i surowość unosiły się nad nimi... Ciekawość jednak zmuszała wracać codziennie pod ten, jakże teraz złowrogi, płot.

Pewnego dnia, pasąc krowy i zbierając mleczko dla królików do ziemniaczanego kosza, wolno zbliżałem się miedzą do koszar. Z dala już spostrzegłem, że z przestronnego placu koszarowego, późniejszego Appelplatzu, obserwuje mnie jakiś oficer. Powoluśku zbliżałem się do strzeżonego płotu, mocno zaciskałem w dłoniach łańcuchy, i choć lato było w pełni, poczułem, że mi jakoś naskakują gęsia skóra. Przytuliłem się do jednej krowy skubiącej równymi, odmierzonymi ruchami soczystą trawę. Kiedy wypasałem już pod płotem, oficer zdążył wstać poza koszarę i zbliżał się do mnie. W końcu podszedł.

Na rękach miał czarne, skórzane rękawiczki i trzymał w nich krótką szpicrutę. Przyjrzał mi się. Wzrok jego prześliznął się po łańcuchach i spoczął na pasących się czerwionkach. Ręce założył w tył, lekko uderzając szpicrutą w cholewy wysokich butów. Popatrzył jeszcze raz na mnie i zapytał, czyje to są krowy. Odpowiedziałem.

— Wie alt bist du? — pytał dalej SS-mann.

Nie rozumiałem. Wzruszyłem tylko ramionami i przelotnie spojrzałem na niego. Widocznie oczy moje musiały odzwierciedlać przerażenie, bo SS-mann zbliżył się do mnie — cofnąć się nie mogłem, bo i tak opierałem się już plecami o krowę — chwycił mnie za ramię i niby lekceważąco wycedził przez zęby:



Ilustrował Bronisław Liberda.

— Keine Angst! — i powoli powtarzał pytanie.

— Wieviel Jahre hast du?

Aha, Jahre — lat, pomyślałem i skłamałem:

— Zwölf.

Puścił mnie, choć pytał jeszcze od kiedy tu pasę.

— No, zawsze. Zawsze tu pasłem! Pasę już od pierwszej klasy.

Widocznie coś go uspokoiło, bo jakoś rozbawionym nagle głosem — tak mi się zdawało — powiedział tylko:

— Ach, so... — i dość szybko odszedł ode mnie.

Naraz pojawili się w koszarach ludzie. Kilka starych mężczyzn i wiele, bardzo wiele kobiet, a nawet dzieci. Jakoś po cichu, powoli i tajemniczo dotarło do mej świadomości pojęcie: Lagier!

Nie trwało długo, kiedy coraz częściej widywałem, jak z baraków tego właśnie lagru wynoszono wąskie, podłużne, charakterystyczne skrzynki z niepolakowanych desek i ładowano je na chłopski wóz. Odwożono je pod wieczór znanym kierunkiem na niedaleki cmentarz. Ciekawość kazała mi wtedy szybciej popędzać krowy ku Dębini. Tam, spoza żywopłotu okalającego cmentarz, obserwowałem dziwny, jak na tamte czasy, rytuał grzebania zwłok bez księdza, modlitw, śpiewów i płaczu. Kopczyków żółtej, ilastej gliny przybywało z każdym dniem. Nikt nie składał na nich kwiatów, nie zapalał świec, nie umieszczał tabliczek z tradycyjnym, zwłęczym, ale wiele mówiącym napisem.

Aż raz pewnego, w środku lata, na tych smutnych mogiłach nieznanymi mężczyznami, pojawiły się białe-czerwone róże.

SS-mann, eskortujący w tym dniu jeden z tych cichych, dziwnych karawa-

nów, z zaskoczeniem patrzył na zwiednięte od żaru letniego słońca róże i niecierpliwie rozglądał się po cmentarzu. Tym razem jeszcze szybciej niż zwykle pochowano nieznane zwłoki i w pośpiechu opuszczono cmentarz.

Nazajutrz pojawili się na nim i kręcili się wokół niego jacyś dziwni ludzie. Najpierw tylko mężczyźni w tyrolskich kapeluszach ze spuszczonej rondami, którzy polecili grabarzowi usunąć i tak zwiednięte już róże. Podczas następnych dni przybyły i jakieś kobiety, potem wyrostcy w krótkich, czarnych spodniach, a nawet puberteczne dziewczęta.

W kilka dni później, po pojawieniu się róż na grobach zakatowanych Polaków, tuż przed samym zmierzchem, gnałem krowy od Dębiny do wieczornego doju. Gnałem je rzadko uczęszczaną ścieżką, którą było bliżej. Ściemniało się już na dobre, kiedy ujrzałem idącą naprzeciw kobietę. Krowy, opasione, stąpały powoli, przechylając się z boku na bok niby kaczki. Kobieta, przechodząc obok, dziwnie błyszczącym wzrokiem popatrzyła na mnie. Zauważyłem, że niesie kwiaty zawinięte w „Kattowitzer Zeitung“, bo wlnięta, jakby umyślnie, rzucała się w oczy w blasku wschodzącego księżyca. Tknęło mnie coś i szybko, ścisząc głos, rzuciłem jej:

— Nie idźcie tam! Tam pilnują!

Nie odpowiedziała. Szybko odwróciła głowę i jeszcze szybciej oddalała się ode mnie, zdążając w kierunku Dębiny.

Nagle ciszę letniego wieczoru przesyły chaotyczne wystrzały pistoletowe...

Pogrzebano ją rano, a po południu złożyłem na jej grobie bukiet biało-czerwonych róż.

Przeniósłem go w koszu ziemniaczanym.

JAN SZYMIK

FESTYN GÓRSKI — Koszarzyska 9—10. 7. 66

Podsumowanie ankiety

W poprzednim numerze omówiliśmy w artykule W. Rabana ogólne wyniki ankiety, ogłoszonej w marcowym numerze naszego pisma. Obecnie pora zająć się tymi wynikami bardziej szczegółowo, spróbować je jakoś podsumować.

Ankieta zawierała jak wiadomo 14 pytań. Zatrzymajmy się kolejno przy każdym z nich.

I Jak czytelnicy oceniają ogólny poziom pisma.

W odróżnieniu od większości punktów ankiety można było tutaj dokonać stosunkowo dokładnych podsumowań liczbowych, których wynik jest następujący: z ogólnej ilości 136 uczestników ankiety 84 uważa, że poziom pisma jest wysoki, 38 oceniło poziom jako średni, 10 się nie wypowiedziało w tym punkcie, a 4 oceniło pismo zdecydowanie negatywnie.

Najciekawsze wypowiedzi:

Od niedawna czytuję pismo regularnie, tym niemniej zauważam stałą wyższą poziom redakcyjny i zawartości pisma. Jest coraz ciekawsze, coraz bardziej zmusza do obcowania. (Witold Nawrocki — krytyk literacki, wicedyrektor wyd. „Śląsk” w Katowicach.)

Od IX Zjazdu PZKO poziom prac naszych autorów się poprawił. Pisali normalnie to co czuli i myśleli, bez lęku. (Józef Pasz, Orłowa.)

„Zwrot” wyróżnia dodatnio bogactwo treści poznawczej oraz wielokierunkowość problematyki, obrazującej wszechstronnie różne objawy tak życia politycznego, jak zwłaszcza kulturalnego polskiego społeczeństwa na naszym terenie. Redakcja okazuje przy tym, zwłaszcza w ostatnim czasie, chlubną odwagę poruszania tematów drażliwych, a bardzo żywotnych, jak np. bolączki polskiego szkolnictwa na Śląsku, problem asymilacji narodowej, czy kwestia rehabilitacji Śliwk. (Prof. Józef Niemiec, Orłowa.)

Przeciętny, mało atrakcyjny. Jakiś taki „archiwalny”. Unowocześnić tak, aby był bardziej reprezentacyjny i dzisiejszy. (Gabriel Palowski, Trzyniec V.)

W ostatnim roku w stosunku do lat poprzednich zaznaczyło się poważne podniesienie poziomu pisma. Jedynie „Powsinoga” kłopski. (Stanisław Wilczek, sekret. red. „Poglądów”, Katowice.)

Jest zbyt „lepiony”, mało jednolity. Nie posiada jakiejś wyraźnej koncepcji, reprezentuje różne punkty widzenia. Stąd trudno zdecydować się co do poziomu. Nie uważam go za zadawalający. (Władysław Sikora, red. „Głosu Ludu”.)

Od roku widać swoje ożywienie, które uwarunkowane jest ogólną sytuacją polityczną i inicjatywą naczelnego, starającego się nadążyć za rytmem życia. (Henryk Jasiczek.)

Staralem się wybrać odpowiedzi najbardziej reprezentatywne oraz nie pomijać zdania wybitnych znawców przedmiotu jak krytyków literackich, literatów, polonistów, redaktorów itp. Z tego samego punktu widzenia będą cytowane wypowiedzi i na dalsze pytania ankiety.

II Czy odpowiada czytelnikom obecny poziom pisma z przewagą publicystyki.

Tutaj były zdania uczestników więcej zróżnicowane: 47 uczestnikom odpowiada, 21 domaga się poszerzenia działu literackiego, 11 żąda poszerzenia publicystyki, 27 poszerzenia informacji, a 13 działu o PZKO (Nasza kolumna), 16 uczestników nie odpowiedziało na to pytanie, a 11 ocenia istniejący profil zdecydowanie negatywnie.

A oto niektóre wypowiedzi:

Raczej tak. Dział informacyjny mógłby jednak być obszerniejszy. Oprócz kroniki uważam za potrzebne krytyczne artykuły z terenu, przynajmniej z ważniejszych imprez. (Józef Wantuła, Bystrzyca.)

Raczej tak! Chyba że dział literacki będzie bardziej ambitny. (Bolesław Lubosz, literat, Katowice.)

„Zwrot” powinien być bezwarunkowo pismem naszych pisarzy (to znaczy trybunę SLA) i tak trochę dla nich. Materiały literackie powinny przeważać. Wszystko można pisać po literacku. Dobra publicystyka czy reportaże, to też w pewnym sensie literatura, i jaka! (Wiesław Adam Berger, Orłowa.)

Przewaga publicystyki w „Zwrocie” wydaje mi się właściwa. Miesięcznik ten nie powinien w żadnym wypadku stać się periodykiem literackim. Moim zdaniem publicystyka przewyższa poziom prac literackich. (Bronisław Bielan, Cz. Cieszyn.)

Tak, podział jest właściwy. Pismo dzia-



Co powiesz babciu?



Pożycz mi jej na chwilę.

łające na pograniczu powinno moim zdaniem sięgać również po tematykę z drugiej strony Olzy, wiążąc ją z tematyką własnego środowiska, tym bardziej, że tworzymy przecież niemalże identyczny region. (Władysław Czaja, red. nacz. „Kroniki Beskidzkiej”, Bielsko.)

Pismo powinno zachować przewagę publicystyki nad literaturą z dwóch powodów: 1. publicystyka jest nam w tej chwili bardzo potrzebna dla rozładowania warstw przemilczanych kompleksów. 2. Literatura jest o wiele słabsza. (Henryk Jasiczek.)

III Jakie jest zdanie czytelników o poprawności językowej „Zwrotu”.

55 czytelników ocenia stronę językową pisma jednoznacznie dodatnio, 26 zwraca uwagę na drobne usterki, 12 odpowiedzi jest nijakich, 6 czytelników ma poważne zastrzeżenia, a 37 nie wypowiedziało się z tej materii.

Niektóre wypowiedzi:

„Zwrot” odznacza się dużą troską o poprawność językową. W trosce tej nie należy ustawać i bezlitośnie plenić pojawiające się jeszcze na łamach pisma takie obce naleciałości jak np. „za wyjątkiem”, „za pierwsze”, „za drugie”, „za a”, „za b”, „usiłować o co”, „artykuł jest napisany jak mało obecnie” itp. (Józef Niemiec.)

Wydaje się, że język uległ pogorszeniu. Bywa ciężki, zdałoby mu się więcej polotu, lekkości, chwytliwości. Zdarzają się nawet błędy gramatyczne. (Władysław Sikora.)

Uważam, że utrzymana jest w normie. (Tadeusz Kijonka, poeta, Katowice.)

Język na ogół poprawny z uwzględnieniem wszelkich trudności wynikających

z specyfiki regionu. Na ogół mało błędów gramatycznych (fleksyjnych). O wiele więcej interpunkcyjnych i składniowych. Najbardziej rzuca się jednak w oczy nieporadność stylistyczna wynikająca z ubóstwa leksykalnego, jak i z braku dobrej chęci podnoszenia poziomu językowego w tym kierunku. (Daniel Kadiubiec, asystent FP Ostrawa.)

Na ogół poprawna, chociaż jeszcze przemycają się wyrazy i konstrukcje synkretyczno-gwarowe. (Stan. Wilczek.)

Przy doborze wypowiedzi na ten temat odstąpiliśmy od zasady reprezentatywności. Dałszy słowo wyłącznie fachowcom oraz nielicznym głosom krytycznym.

IV Które artykuły w ostatnich numerach podobały się najwięcej.

71 uczestników ankiety (na 118, którzy odpowiedzieli na to pytanie), uważa

skiej, a tak właśnie robi „Zwrot”. (Władysław Czaja.)

V Które sprawy należy w „Zwrocie” poruszać.

Również tutaj zdecydowana większość czytelników, bo 63 ze 115 odpowiadających na to pytanie domaga się dalszego poruszania spraw naszego bytu narodowego, problemów drażliwych i dotychczas przemilczanych. Te postulaty figurują też w większości pozostałych wypowiedzi, w których na pierwsze miejsce wysuwane są sprawy młodzieży (12 odpowiedzi), PZKO, SLA, historia regionu, krytyka, sylwetki działaczy itp.

Kilka przykładów:

Wszystkie dyskusyjne i palące. (Problemy szkolnictwa, asymilacji.) Nie prze-milać istotnych faktów. (Bez podpisu.)

Dalej poruszać sprawy naszego szkolnictwa oraz Sceny Polskiej. Więcej uwa-

w ankiecie przeważają, chwalą teksty gwarowe, proste, nieprzeintelektualizowane opowiadania, felietony i wiersze. Ci, którzy mają najwięcej do powiedzenia — literaci, dziennikarze, krytycy — podkreślają zgodnie raczej znacznie niższy poziom prac literackich od wysoko ocenianej w „Zwrocie” publicystyki, szczególnie zaś krytykują poziom prac zamieszczanych w „Powsinodze”. Wreszcie nieliczni chwalą nowoczesne wiersze i prozę:

Wiersze nowoczesne niezrozumiałe. Ograniczyć niektóre fraszki. (Zarząd Koła PZKO Łazy.)

Opowiadania dobre — kilka przepoetyzowanych — Sikora! Wiersze słabutkie — niezrozumiałe dla ogółu. Selekcjonować surowo, bo inaczej „Zwrot” będzie żyzną glebą dla grafomanów. (Jan Bochenek, Bogumin.)

Utwory literackie są na ogół na dobrym poziomie, szczególnie wiersze Henryka Jasiczka. Na wyróżnienie zasługują też prace Władysława Sikory. (Stanisław Czeranowicz, red. „Głosu Ziemi Cieszyńskiej“.)

VII Których autorów najczęściej lubią czytelnicy.

Najwyżej ocenili czytelnicy materiały Henryka Jasiczka, którego nazwisko zostało w tej rubryce wymienione 67 razy, przy czym wielokrotnie z szczególnym podkreśleniem. W dalszej kolejności idą autorzy: Janusz Gaudyn 27 razy (były też wypowiedzi negatywne), Bronisław Procnier 25 razy, Władysław Sikora 22 razy (również i negatywne wypowiedzi), Karol Piegza 20 razy, Ałoyz Mańka — 16, Tadeusz Siwek — 13, Jan Rusnok — 13, Adam Wawrosz — 12, Bronisław Bielan — 10 razy itd. 58 czytelników nie wymieniło nikogo. Na zdanie czytelników wpłynęła niewątpliwie częstotliwość publikowania prac poszczególnych autorów w ostatnim czasie. Świadczy o tym fakt, że wybitni autorzy piszący w „Zwrocie” dawniej byli wymieniani rzadko (Paweł Kubisz 4 razy, Ludwik Brożek 3 razy), względnie w ogóle pominięci. (Leon Derlich — Andrzej Sowa itp.).



Literaci olsztyńscy w Salajce. Z Bronisławem Procnierem i A. Wawroszem siedzą od lewej: Leon Turkowski, Wład. Ogrodziński (stoi), Henryk Panas i Jerzy Sokołowski. Foto K. Piegza.

za najpotrzebniejsze i za najlepsze materiały publicystyczne dotyczące zagadnień narodowościowych, szczególnie szkolnictwa. Reszta odpowiedzi jest tak zróżnicowana, że nie można jej ująć w żadne dane liczbowe.

A oto niektóre wypowiedzi:

Odwagne, otwarte, dotyczące naszych spraw i naszego terenu. Trzeba tylko, by ktoś z odpowiednich organów partyjnych zabrał również głos. (Wł. Krumnikłowa, red. „Głosu Ludu“.)

Najbardziej odpowiedź Henryka Jasiczka „Bądźmy sprawiedliwi” w 2 nr 1965. (Rudolf Ochman, Lutynia Dolna.)

Czytam „Zwrot” od deski do deski. Bardzo ciekawa i społecznie uzasadniona jest tematyka dotycząca kwestii narodowościowej. Żadne pismo nie może być posądzane o nacjonalizm, jeśli porusza sprawy patriotycznego wychowania w duchu nauki marksistowsko-leninow-

gi poświęcić młodzieży. (Adolf Josiek, Śmiłowice.)

Podkreślić poczucie i godność przynależności narodowej. Przykłady współpracy czesko-polskiej na naszym terenie. (Jan Pszczółka, red. „Głosu Ludu“.)

Sprawy szkolnictwa, uświadczenia narodowego, problemy uaktywnienia mas członkowskich. (Wilhelm Sembol, Dąbów.)

VI Ocena poziomu prac literackich w „Zwrocie”.

Odpowiedzi są do tego stopnia zróżnicowane, że nie sposób dokonać podsumowań liczbowych. Zdecydowanie przeważają wprawdzie odpowiedzi pozytywne, lecz istnieje między nimi wyraźne rozgraniczenie w zależności od wieku i zaawansowania kulturalnego czytelników. Ludzie prości, których odpowiedzi

Nasz czas

Drzewo tu w koronę wzbiera
— samo ziemią szumi

kołują tu bez korony ludzie
w ciągłej ucieczce
pod swoją obronę —

a myśl przebiega
coraz bliżej światła —
czy utonie Ikar — —

ROBERT MRÓZEK

Pytanie VIII dotyczące oceny poszczególnych działów „Zwrotu” wzbudziło już mniejsze zainteresowanie czytelników. Za najslabszą uważają „Naszą kolumnę”, „Powsinogę” i „Kronikę”.

W kolejnym IX pytaniu sugerującym propozycję ewentualnego usunięcia niektórych działów opowiedzieli się prawie wszyscy uczestnicy za ich utrzymaniem. Tylko kilku uczestników ankiety było innego zdania:

Dział informacji zlikwidować, to dla „Głosu Ludu”. (Podpis nieczytelny.)

„Powsinoga” niepotrzebny. (Gustaw Flerla, Orłowa.)

Niektóre utraciły z winy chyba redakcji swoje posłannictwo. Przemyśleć, inaczej je nazwać. (Wł. Sikora.)

Pytanie X — Które działy poszerzyć, albo podzielić.

Najwięcej propozycji jest, by poszerzyć „Kronikę” oraz „Naszą kolumnę”.

Na pytanie XI, które nowe działy wprowadzić, wysunęli czytelnicy takie propozycje: „Nasze miasta i wsie”, „Z pracy naszych zespołów”, „Zasłużeni działacze”, „Sprawy młodych”, „Młodzi o sobie”, „Oстрым piórem”, „Milenium przyjaźni”, „Z historii Śląska”, „Rozrywki, krzyżówki, zagadki”, „Notatki i noty”, „Klub młodych przyjaciół „Zwrotu””, „Co nowego w Kołach”, „Poradnik pracy PZKO-wskiej” itd. Zdecydowanie przewa-

żają głosy za wprowadzeniem rubryki młodzieżowej, a w dalszej kolejności działu krytyki oraz sylwetek działaczy.

W sprawie szaty graficznej wypowiedziało się tylko około połowy uczestników. I tutaj przeważają wypowiedzi pozytywne, aczkolwiek w mniejszym stopniu niż w pozostałych częściach ankiety.

W odpowiedzi na pytanie XIII jak należy udoskonalić szatę graficzną „Zwrotu”, postulują czytelnicy wykorzystanie różnych wielkości pisma (druku), wprowadzenie więcej przerywników, kresek, po prostu grafiki i w ogóle unowocześnienie strony formalnej pisma oraz ograniczenie ilustrowania zdjęciami poszczególnych artykułów na rzecz fotografii artystycznej.

Tyle o poszczególnych odpowiedziach ankiety. Dała ona redakcji bardzo wiele. Na 136 wypełnionych po obu stronach blankietach i 51 dodatkowych stronach maszynopisu i rękopisu posiadamy wiele cennych rad, uwag i wskazówek, których nie sposób cytować. Pękata teczka zawierająca wypowiedzi czytelników będzie stanowiła długo wartościowy materiał do studiów przy podejmowaniu ważnych decyzji dotyczących treści i formy naszego miesięcznika.

Należy za to wszystkim uczestnikom serdecznie podziękować, co z przyjemnością czynimy.

Uczestnicy ankiety poparli jednoznacznie dążenia redakcji do szczerego, otwar-

tego i śmiałego poruszania wszystkich istotnych spraw naszego społeczeństwa, naszego bytu narodowego; spraw nie rzadko przemilczanych, albo niewłaściwie naświetlanych w przeszłości. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że pozytywna ocena działalności redakcji na tym odcinku przeżyła w ogólnej ocenie „Zwrotu”. Bo zdajemy sobie sprawę z wielu jeszcze niedociągnięć, na które zresztą wskazali respondenci, ale te nam zostały jakoś łatwiej wybaczone przy niewątpliwych osiągnięciach publicystyki społeczno-politycznej w ostatnich rocznikach „Zwrotu”.

Ankieta wykazała czy raczej potwierdziła znane w pewnym stopniu redakcji słabe strony pisma — stosunkowo niski poziom części materiałów literackich, szczególnie publikowanych w „Powsinodzie”, luki w części publicystycznej, zwłaszcza w odniesieniu do spraw młodzieży i zagadnień modernizacji życia kulturalnego w ramach PZKO oraz pewną archaiczność pisma przejawiającą się zresztą w jego szacie zewnętrznej.

Pragniemy zapewnić, że skoncentrujemy wysiłki w kierunku stopniowego usuwania tych mankamentów. Jesteśmy przekonani, że czytelnicy będą nam w tym pomagali, gdyż podsumowanie ankiety nie oznacza zakończenia dyskusji i będziemy wdzięczni za każde dalsze uwagi, rady i wskazówki.

JAN RUSNOK

O problematyce narodowościowej w Czechosłowacji

(c. d. V)

Rekapitulacja historii kapitalizmu wykazuje niezbicie, że burżuazja, która weszła do historii z wzniosłymi hasłami wolności, równości i braterstwa, nie tylko nie potrafiła unormować stosunków między narodami, ale jeszcze więcej je skomplikowała. Pomijając dawne państwa narodowe Zachodu, które zmieniły się potem w wielonarodowe państwa kolonialne, i pozostając wyłącznie przy problemach Europy Środkowej, zauważamy, że na wół feudalny ucisk narodowy w ramach Austro-Węgier, kaiserowskich Niemiec i carskiej Rosji został zastąpiony po pierwszej wojnie światowej przez nowocześniejsze formy ucisku narodowego w mniej czy więcej burżuazyjno-demokratycznych państwach. Zaś wszystkie doświadczenia przeszłości zostały zwielokrotnione w barbarzyńskich metodach ucisku i likwidacji narodów w okresie faszyzmu.

Omawiając przedsocjalistyczny okres stosunków między narodami w Europie Środkowej w celu zrozumienia rozwiązywania tych problemów po drugiej wojnie światowej, nie wystarczy samo konstatawanie faszystowskiego barbarzyństwa, które poprzedziło powstanie stosunków socjalistycznych u nas, lecz musimy wziąć pod uwagę konkretne, wyracho-

wane komplikacje, jakie do kwestii narodowościowej wniósł faszyzm, szczególnie niemiecki.

W celu przeforsowania idei panowania nad światem zmieniał faszyzm taktykę i korzystał z znanej polityki imperialistycznej rozdzielania swych przeciwników oraz ich dyferencjacji. Najpierw dowoływał się demagogicznie sprawiedliwości narodowej i prawa do samostanowienia narodów, następnie przeszedł bezpośrednio do opanowania i ujarzmnienia innych narodów. Gdziekolwiek musiał uciec się do siły wojskowej, bezpośredniego ujarzmnienia całych państw i form brutalnego ucisku i wymordowania narodów. Równocześnie zaś tworzył nowe państwa marionetkowe, formalnie samodzielne, w rzeczywistości jednak całkowicie zależne i podporządkowane sobie. W dalszych krajach zadawał się najpierw sojuszem nawiązywanym przy pomocy faszyzacji tych państw. Tych sojuszników (którzy mieli być jego kolejnymi ofiarami w czasie późniejszym) utrzymywał w szachu nie tylko dzięki wielkiej przewadze wojskowej, lecz i poprzez wyrafinowane wykorzystanie

sprzeczności narodowościowych. Zmieniał samowolnie granice państw niby to zgodnie z wymaganiami narodowymi, bez względu na rzeczywiste stosunki narodowościowe, co było jasnym dowodem demagogii w sprawach kwestii narodowościowej. „Sojusznicy” byli utrzymywani w stałej niepewności, że w wypadku nieposłuszeństwa zostaną pozbawieni wszystkiego, co przy jego pomocy zyskali, albo że mogą stać się obiektem jego dalszej samowoli. Wspólnym mianownikiem tej wyrafinowanej polityki był wojujący antykomunizm, wykorzystywanie strachu warstw reakcyjnych — i to nawet narodów ujarzmlonych — z socjalizmu i komunizmu oraz mas ludowych. Jako przykład można przytoczyć „sojusz” faszystowskiej Rzeszy Niemieckiej z faszystowskimi Węgrami, Rumunią, Bułgarią, Słowacją, Chorwacją, a nawet i sojusz z Włochami, który w najmniejszym stopniu nie był pozbawiony takich momentów, pomimo że chodziło o jednego z głównych partnerów faszystowskich Niemiec. Rzeczywisty stosunek faszystowskich Niemiec wobec sojusznicznych Włoch ujawnił się pod koniec wojny.

W tych intencjach zostały przyłączone południowa i wschodnia Słowacja, Ruś Podkarpacka, Siedmiogród i część Jugosławii do faszystowskich Węgier, Besarabia do Rumunii, część Jugosławii, Grecji i Rumunii do Bułgarii, dalsza część Jugosławii do Włoch, część terytorium polskiego do faszystowskiej Słowacji, obwód odeski do Rumunii oraz zostały utworzone Protektorat Czech i Moraw, Generalna Gubernia z częścią rozbitej i okaleczonej Polski (z wyrafinowanym włączeniem do jej terytorium obwodu lwowskiego), utworzenie quislingsowskiego „rządu” w okupowanej Serbii, bezpośrednie włączenie rozległych terytoriów byłej Czechosłowacji, Polski, Litwy i Jugosławii do Rzeszy Niemieckiej itd. itd.

Na terenie byłej Czechosłowacji powstały w ten sposób szczególnie skomplikowane stosunki. Najpierw zostały oderwane tereny przygraniczne krajów czeskich i włączone do Rzeszy. Następnie zostały włączone południowe rejony Słowacji i Rusi Zakarpackiej do Węgier oraz Śląsk Cieszyński i Jaworina do Polski. Wreszcie została Czechosłowacja rozbita zupełnie. Z krajów czeskich powstało coś w rodzaju kolonii — Protektorat, Słowacja stała się formalnie samodzielną, w rzeczywistości zaś zupełnie zależną od rzeszy marionetką. (Ten wariant uzyskał pierwszeństwo przed roszczeniami Węgier do opanowania całej Słowacji.) W zamian za to otrzymały Węgry oprócz południowej Słowacji całą Ruś Podkarpacką.

Narody słowiańskie byłej Czechosłowacji znalazły się tak pod panowaniem obcego faszyzmu — Czesi, Słowacy i Polacy niemieckiego, Rusini (i część Słowaków) węgierskiego, który zresztą był tylko satelitą faszyzmu niemieckiego. Los tych narodów słowiańskich w Czechosłowacji był różny. Słowacja była formalnie samodzielnym państwem. Protektorat był kolonią niemiecką z formalnym pozostawieniem „rządu” i „prezydenta”. Polacy na Śląsku Cieszyńskim i Ukraińcy na Rusi oraz wschodniej Słowacji nie mieli ani tych fikcyjnych „praw”. Droga histo-

ryczna, która do tego systemu doprowadziła, była przyczyną waśni i rozbiła tych narodów. Owa niezmierna złożoność stosunków między poszczególnymi narodami i narodowościami byłej Czechosłowacji komplikowała ich walkę narodowo-wyzwoleńczą przeciw wspólnemu wrogowi chociażby tylko dlatego, że musiały ją one prowadzić w różnych warunkach. Te — w odniesieniu do byłej CSR „wewnętrzne” — komplikacje były jeszcze pogębiane przez ogólne okoliczności drugiej wojny światowej, które możemy nazwać jedynie w skrócie.

Wojna zaczęła się bez udziału Związku Radzieckiego, który na skutek intryg mocarstw zachodnich nie był w stanie utworzyć koalicji przeciwfaszystowskiej w Europie, która mogłaby zatrzymać agresję faszyzmu i zmusić go do oddania zrabowanego łupu. Prowadziłoby to bowiem do krachu faszyzmu w Niemczech, a do tego nie mogły dopuścić koła reakcyjne Zachodu, usiłujące o zwrócenie ostrza agresji hitlerowskiej przeciwko ZSRR. Związek Radziecki został wymalowany z Europy Środkowej, a w obliczu ataku faszystowskich Niemiec musiał się przed nim zabezpieczyć. Pakt o nieagresji podpisany między Związkiem Radzieckim a Niemcami zdeorientował wielu ludzi w całym świecie. Umożliwił np. reakcyjnemu kołom emigracji czechosłowackiej i polskiej kontynuowanie polityki antyradzieckiej, która była przecież jedną z głównych przyczyn porażki tak Czechosłowacji, jak w jeszcze większym stopniu Polski. W takich warunkach mogły powstać koncepcje konfederacji polsko-czechosłowackiej, przewyższające na oko stare sprzeczności czechosłowacko-polskie na bazie wspólnej orientacji tych kół na Zachód, a przeciw Związkowi Radzieckiemu. Kiedy polskie koła szowinistyczne mogły wobec społeczeństwa swoje antyradzieckie stanowisko tłumaczyć przyłączeniem do ZSRR białoruskich, ukraińskich i litewskich terenów, które po pierwszej wojnie światowej zostały zaanektowane przez Polskę (krok ten — pomimo że mógł przypominać dawne dzielenie Pol-

Wełtawa

Przypłynęła z muzyki Smetany
Niosąc Szumawę w taktach.
Most Karola. Święci w męczarni
Nie mogą płakać.

Rzeźbiarz wyznaczył zimne maski,
Nakazał rozmiar gestów.
Lzy świętych umie rozpalić
Praga kropłami deszczu.

Zagrał rozśpiewany kamień,
Fale piszą wiersze:
Kamienne rozśpiewanie
Granitu w koncercie.

WILHELM PRZECZEK

ski i pomimo niektórych niesprawiedliwości wobec Polski ze strony czynników radzieckich — był w danej sytuacji, a zwłaszcza z punktu widzenia wojskowego wobec groźby niemieckiego ataku słuszny), nastawienie antyradzieckie czechosłowackiej emigracji londyńskiej nie posiadało ani takiego pretekstu. Związek Radziecki był przecież jedynym mocarstwem, które wyraziło chęć spełnienia obowiązków sojuszniczych wobec Czechosłowacji w roku 1938, ale jego gotowość została odrzucona, pomimo że nie wziął udziału w Monachium i ostro przeciw temu dyktatowi protestował, tak samo jak później przeciw likwidacji CSR.

Siłły rewolucyjne na terenie byłej Czechosłowacji nie dały się tym paktem okłamać. O ile pakt radziecko-niemiecki utrudnił częściowo sytuację komunistów czeskich, którzy słusznie uważali go za wymuszony i tymczasowy, na wschodzie kraju oddziaływał on zupełnie inaczej. Szczególnie Ukraińcy odczuli bliskość Związku Radzieckiego i ich nadzieje na wyzwolenie wzrosły. Na Słowacji przyłączenie ukraińskich, białoruskich i litewskich terenów byłej Polski do Związku Radzieckiego, a zwłaszcza wstąpienie republik bałtyckich do ZSRR, przyczyniło się do powstania koncepcji radzieckiej Słowacji, to znaczy postulowanie przyłączenia Słowacji do ZSRR tym bardziej, że emigracja czechosłowacka w Londynie, reprezentowana przez koła benesowskie, nie zamierzała odstąpić od fałszywej i zgubnej polityki tak zw. czechosłowackizmu. W dalszych fazach wojny i walk narodowowyzwoleńczych zmieniły się warunki, ale wizje i nadzieje powstałe na wschodzie republiki w pierwszej fazie wojny trwały jeszcze długo, ożywione upartym trzymaniem się Benesa na pozycjach czechosłowackizmu.



Przyroda płata figle. Foto Henryk Minol.

KAREL POMAIZL

Można cieszyć się w Cieszynie

Nie tylko trudno zostać, lecz i działać prorokowi w własnym kraju. Łatwo o przyjaźń deklarowaną od święta, o wiele trudniej pielęgnować ten cenny kwiat w sercach ludzkich na co dzień, w tak zwanej szarzyźnie dnia, kiedy zmęczeni jesteśmy troskami, kłopotami; kiedy ktoś zrobił nam krzywdę, kiedy boli nas ząb... czy też po prostu, kiedy jesteśmy bez humoru.

A jednak przyjaźń jest solą życia, bez niej nie unieśliśmyby ciężaru samotności.

*

Przyjaźń nad Olzą — to brzmi deklaratywnie, programowo, nawet propagandowo. A przecież ona była i trwała jak iskra w popiele wzajemnych uraz i nieporozumień. Kiedy nie było dla niej miejsca w układach dyplomatów, poszła do więzień razem z tymi, którzy walczyli pod robotniczymi sztandarami o wolność naszą i waszą.

*

Nie obeszło się bez głosów sceptycznych: czy oby ludzie nie nadużyją dwudniowego rozluźnienia granicy? Czy przy tej okazji nie dadzą upustu swoim kompleksom i animozjom ludzie o niewykryształizowanych jeszcze poglądach narodowościowych, czy nieprzejednani nie będą próbowali zagrać na starych strunach nacjonalistycznego dysonansu?

Może wśród tych dziesiątek tysięcy ludzi ktoś tam odezwał się szczerze, co jeszcze nie oznacza, że słusznie. Ale ktoś pochwyliłby ten ton na serlo? Wystarczyło patrzeć na twarze ludzi, spojrzenia, uścisł ręk, rzeczowe gospodarskie uwagi.

A stary gród Cieszyn wypiękniał w tej prześlicznej majowej pogodzie. Płynęła Olza dostojnie i tłumy cieszyńniaków z czeskiej strony wędrowały na górę zamkową, by popatrzeć na panoramę obu brzegów.

— Piękne jest to nasze miasto — mówili, zwłaszcza wtedy, kiedy zapomina się, czy nie odczuwa jego granic.

Nasze miasto! — Chyba tak, miasto tych, którzy ufają w treść i szanse przeobrażeń, jakich dokonuje i jeszcze dokonają przyjaźń.

*

Porośnie drzewo przyjaźni, lipa srebrnolistna, w której zamieszka brzęk pszczoł, skrzydlaci lokatorzy, a w skwarze dni pachnący cień.

I usiądą pod drzewem staruszkowie, którzy dzisiaj noszą jeszcze chusty pionierskie i będą wspominać: A pamiętasz, mój drogi, jak kiedyś musieliśmy chodzić na przepustki?

*

Przy Studni Trzech Braci czeka Franciszek B. z Golezowa. Czeka na Józefa B. z Trzyńca i Karola B. z Olbrachcic.

Po prostu czeka na swoich dwóch braci. I jakże tu nie wierzyć legendzie, legendzie wciąż aktualnej.

*

A poza tym krótko i węzłowo:
Przecież z tego miasto słynie,
Trzeba cieszyć się w Cieszynie.

(h)

*

Wielotysięczny pochód do Cieszyna kręcił również na wąskotaśmowy film Janusz Gaudyn. Można się spodziewać, że po wyczerpaniu zasobu wrażeń z podróży do Egiptu i Syrii znany fraszkopisarz wyjedzie do Kół z pogadanką o wspomnianym pochodzie.

*

„Ať žije ČSSR!“ „Niech žiją narody bratniej Czechosłowacji!“ — wiele podobnych haseł czytało się w Cieszynie, którzy naprawdę godnie przyjął masę gości czechosłowackich.

*

Przez rynek przeszedł w pewnym momencie ksiądz w czarnej sutannie i ogłądał ciekawie, jakby nieobecny, „zbitego wisko“. Nie wiadomo, o czym myślał.



Czy nas też wpuszczają do Polski? Foto Stanisław Suchanek.

„Museli jsme se vrátit, tam je frontaa...!“ Skąd musieli zawrócić, niełatwo było się zorientować, ponieważ kolejki były wszędzie i po wszystko. Ale w końcu zdążono obsłużyć wszystkich. Każdy niemal sklep stał się stoiskiem. Stawiało się w drzwiach stół i już siedział interes: szybko, sprawnie.

*

Trudno rozpoznać się, kto z Polski, a kto z Czechosłowacji, tymbardziej, że była masa Polaków z naszego terenu i kryterium językowe wysiadało. Stąd też żołnierze polscy szukali przede wszystkim dziewcząt w bluzkach CZM-owskich. Co tu się dziwić? — przecież już Mieszko i Dąbrówka...

(ws)



Ogólny widok części rynku cieszyńskiego podczas Wiecu Przyjaźni. Foto T. Kopoczek.

Z uroczystości milenijnych w Cieszynie. Na zdjęciach od góry:

1. Sadzenie drzewka przyjaźni przed gmachem teatru w Czeskim Cieszynie.
2. Po uroczystym powitaniu delegacji polskiej na Moście Przyjaźni. Od lewej: Oldrich Volek (I sekretarz KO KPC w Ostrawie), Edward Gierk (członek Biura Politycznego KC PZPR i I sekretarz KW PZPR w Katowicach), płk. Jerzy Ziętek (członek Rady Państwa PRL i przewodniczący Prezydium WRN w Katowicach) oraz Jan Muś (przewodniczący ORN w Ostrawie).
3. Uroczysta sesja ORN w czeskieściszynskim teatrze. Płk. Ziętek wręcza J. Muśowi dar WRN dla ORN w postaci pięknie wykonanego godła PRL.
4. Prezydium Wiecu Przyjaźni w Cieszynie.
5. Występuje Centralny Zespół Wojska Pol.
6. Na ulicach Cieszyna w drugim dniu obchodów. Zdjęcia T. Kopoczek.

Spotkań była cała masa — ze znajomymi, z Polską, z Cieszynem, z pieśnią i tańcem na estradzie, ale także z pisarzami.

Na Kiermaszu Książki, jaki zorganizowało Przedsiębiorstwo Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch” z okazji Milenium, spotkać można było Jana Brzozę i Andrzeja Wydrzyńskiego. Wielu naszych obywateli zna ich dzieła, niektórzy znają ich osobiście, toteż nic dziwnego, że koło obu mistrzów pióra stale gromadzili się tówcy autografów.

Kiermasz Książki oferował na kilku stoiskach całą masę najróżniejszych pozycji beletrystycznych, naukowych, podróżniczych, a nawet kryminalów. Oferował także wszystkie tytuły pism oraz — a jakże oblegane stoisko — płyty z polskimi nagraniami.

Przez granicę często niesiono właśnie pamiątkową płytę, czy też książkę z podpisem autora...

(wk)

List w sprawie szkolnictwa

Na łamach „Zwrotu” była przed niedawnym prowadzona dyskusja o sprawach naszego szkolnictwa. Po opublikowaniu wszystkich materiałów, które wnosili do zagadnienia coś istotnego, zwróciła się redakcja do Ministerstwa Szkolnictwa o zajęcie stanowiska w tej sprawie. W odpowiedzi otrzymaliśmy z ministerstwa dwa listy. W pierwszym, z 9. 3. br., informowała nas wiceminister tow. M. Jungmannowa, że ministerstwo prowadzi analizę sytuacji w polskim szkolnictwie i przy tej okazji zostaną rozpatrzone nasze propozycje.

Obecnie otrzymaliśmy, zgodnie z obietnicą, drugi list, którego treść świadczy o poważnym i rzeczowym traktowaniu naszych postulatów przez centralny resort oświaty, aczkolwiek nie zapowiada jeszcze pełnego ich zrealizowania. Z uznaniem Ministerstwu Szkolnictwa i Kultury dziękujemy, list zaś publikujemy w całości:

Szanowni Towarzysze!

Nawiązuję do listu, który przesłało Ministerstwo Szkolnictwa i Kultury 9 marca 1966 Waszej redakcji. W związku z omawianiem stanu szkół z polskim językiem wykładowym w CSRS, były załatwiane również problemy, które poruszacie w swym liście z dnia 23. 2. 1966.

W ramach ulepszenia nauki języka polskiego zostanie zapewnione doskonałe przygotowanie nauczycieli studiujących język polski na wyższych uczelniach w CSRS poprzez organizowanie stażów wakacyjnych w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Dla nauczycieli języka polskiego zostanie umożliwiony udział w kursach wakacyjnych języka polskiego w Polsce, które będzie organizował gabinet dla szkół z polskim języ-

kiem wykładowym przy Okręgowym Instytucie Pedagogicznym Okręgu Północnomorawskiego. Poziom języka polskiego na średnich szkołach zawodowych podniesie się przez zwiększenie ilości godzin języka polskiego w pierwszych klasach z 2 do 3 godzin.

Podstawowym założeniem pracy wychowawczo-oświatowej we wszystkich szkołach w CSRS jest jej niepodzielna jedność ideologiczna. Od tej zasady dopuszczalne są odchylenia w przedmiotach o charakterze estetyczno-wychowawczym, w których przejawia się specyficzność grup narodowościowych, nie jednak w przedmiotach, w których formuje się profil ideowo-polityczny przyszłych obywateli CSRS. Żądanie uwzględnienia specyficzności w programach nauki historii w polskich szkołach może być zrealizowane w ramach istniejących programów w ten sposób, że nauczyciele wykorzystają możliwości wpływające z wstępnych uwag do programów historii i uwzględnią w wykładzie narodowościowe i regionalne potrzeby szkół z polskim językiem wykładowym. Ministerstwo Szkolnictwa i Kultury czyni w obecnym okresie starania, by niezbędną pomoc merytoryczną i metodyczną zapewnił tym nauczycielom gabinet dla szkół z polskim językiem wykładowym przy Okręgowym Instytucie Pedagogicznym w Ostrawie.

Jeśli chodzi o literaturę, to nauka literatury polskiej jest częścią składową nauki języka polskiego i uczniowie zaznajamiają się zarówno z literaturą starszą, jak i współczesną.

W Pradze, dnia 31. 5. 1966.

Kierownik Wydziału I:
ZEMAN m. p.

GOŚCIE Z KRAINY JEZIOR

W połowie maja gościła u nas delegacja olsztyńskiego oddziału Związku Literatów Polskich w ramach współpracy z oddziałem CSSS w Ostrawie. Goście w osobach Władysława Ogrodzińskiego, dyr. Instytutu Mazurskiego „Pojezierza” i prozaika, Haliny Kurowskiej, prozaiczki, Henryka Panasa, naczelnego redaktora czasopisma „Warmia i Mazury”, Leona Turkowskiego, prozaika, Jerzego Sokołowskiego, poety i Zofii Kicińskiej, kierowniczkę Wydziału Kultury WRN w Olsztynie, zwiedzili Ostrawę, Nową Hutę w Końcyczach i morawskie Beskidy.

Pisarze olsztyńscy zatrzymali się również na Żwirkowisku w Cierlicku i byli serdecznie przyjmowani przez redakcję „Trzynieckiego Hutnika” w trakcie zwiedzania huty trzynieckiej. W Sałajce odbyło się spotkanie z członkami SLA, w którym wziął również udział utalentowany prozaik śląski, autor kilku znanych powieści Leon Wantuła z Katowic.

Współpraca „Pojezierza” z ZG PZKO i oddziału ZLP w Olsztynie z oddziałem pisarzy oddziału ostrawskiego datuje się już od kilku lat. Przyniosła ona konkretne rezultaty, m. in. w formie wydania ostrawskiego numeru Warmii i Mazur (m. in. z wierszami Jasiczka, Przeczka i Sikory). Lipcowy „Červený květ” poświęcony zostanie twórczości autorów olsztyńskich.

ZJAZD PISARZY ZIEM ZACHODNICH I PÓŁNOCNYCH W BYDGOSZCZY

W IX Zjeździe Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych, który w tym roku odbył się w Bydgoszczy, wzięła — jak weszło to już w tradycję — również udział delegacja czsl., oprócz radzieckiej, niemieckiej i jugosłowiańskiej. Związek Pisarzy CSRS reprezentowali: doc. Alois Sivek, dziekan Fakultetu Pedagogicznego w Ostrawie, Erich Sojka, poeta i tłumacz literatury polskiej z Pragi, Jan Stacho, młody utalentowany poeta słowacki i Henryk Jasiczek. Delegacja ta zaskoczyła zjazdowców tym, że wszyscy jej uczestnicy, oprócz Jana Stacho, przemawiali... w języku polskim.

Obszerniejsze spostrzeżenia zjazdowe umieścił na łamach „Głosu Ludu” jego uczestnik Henryk Jasiczek.

EFEKTY KONKURSU

Ogłoszony przez Zarząd Główny PZKO „Młodzieżowy konkurs czytelniczy” został w dniu 21 maja br. zakończony. W sumie wzięło w nim udział 1.702 młodzieży szkolnej (tj. o 475 więcej w porównaniu do roku ubiegłego). Z tego w powiecie frydecko-misteckim 856, w karwińskim 346. W eliminacjach obwodowych zanotowano 708 uczestników. Ufundowane nagrody książkowe przekazane zostały tym, którzy okazali największą znajomość treści wytypowanej książki.

Aktyw Czytelniczo-Bibliotekarski, wychodząc z pozytywnych wyników całego konkursu, postanowił w przyszłym roku posunąć się dalej, organizując eliminacje na szczeblu powiatowym.

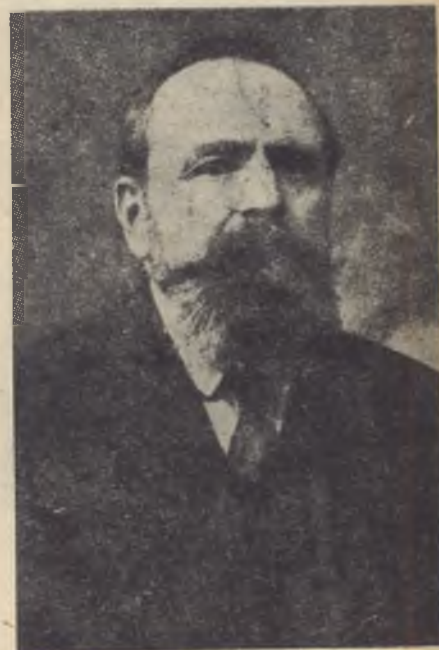
Alojzy Bonczek (1865-1937)

Otwieramy nową stałą rubrykę poświęconą sylwetkom zmarłych już działaczy, zasłużonych w rozwoju różnych dziedzin życia społecznego na terenie Śląska Cieszyńskiego począwszy od połowy ub. wieku. Kolejność omawianych postaci będzie najzupełniej przypadkowa; nie wynika ona z jakiejś świadomej hierarchizacji charakteryzowanych osób, nie stać nas na razie nawet na dokonanie takiego doboru życiorysów, który by uwzględnił w pełni w sposób reprezentatywny cały szeroki wachlarz różnych przejawów życia na naszym terenie na przestrzeni ostatnich kilku dziesięcioleci. Publikować będziemy, zrazu przynajmniej, te biografie, których opracowanie leży obecnie w zasięgu możliwości naszych współpracowników, stawiając sobie jako cel długofalową likwidację najistotniejszych białych plam istniejących w tym zakresie. Zwracamy się z kolei do naszych czytelników o pomoc i współpracę w postaci nadsyłania uwag krytycznych i uzupełnień do opublikowanych już opracowań, jak również udostępniania (przynajmniej do wglądu) posiadanych materiałów, które mogą wzbogacić warsztat badawczy naszej biografistyki (korespondencji, notatek, zdjęć, egzemplarzy prasy i wydawnictw okolicznościowych, różnych pamiątek osobistych etc.).

REDAKCJA

Bogate tradycje ruchu robotniczego i w ogóle przejawów życia społecznego na naszym terenie związane są z działalnością całej plejady zasłużonych postaci. Chodzi o osoby, w lwiej części pochodzenia miejscowego, które dzięki uporczywej pracy nad sobą, rozwijającej posiadane zdolności i horyzonty myślowe oraz zamiłowanie do pracy społecznej, odegrały w przeszłości rolę działaczy publicznych. Ich zasługi dla całości kształtu dorobku społecznego regionu są bezsporne; warto jednakże równocześnie podkreślić, że ofiarowane społeczeństwu zapał, energia i oddanie sprawie, przyniosły im samym niewątpliwie korzyści. Wraz z rozwojem ich dzieła życiowego rośli oni sami, osiągając wyniki, które w innych warunkach pozostałyby poza zasięgiem ich możliwości. Jedną z tego rodzaju postaci, to osoba stonawianina Alojzego Bonczka, działacza górniczego i samorządowego oraz pioniera ruchu spółdzielczego na Śląsku Cieszyńskim.

A. Bonczek urodził się 14. 6. 1865 w Suchej Górnej w rodzinie niewykwalifikowanego robotnika miejscowej cukrowni. Po ukończeniu szkoły ludowej jako czternastoletni chłopak poszedł śladem wielu swych rówieśników do górnictwa i rozpoczął pracę jako taczkarz na kopalni „Handwerk” (późniejsza „Gabriela”) w Karwinie. Na kształtowanie się osobowości młodego górnika poważny wpływ wywarła czteroletnia służba wojskowa; odbył ją w garnizonach Galicji i ukończył w r. 1889 w stopniu podoficera artylerii. W tym czasie Bonczek opanował język niemiecki; kontakty z miejscowym społeczeństwem pogłębiły jego znajomość rodzinnego języka literackiego oraz spraw polskich. Zwolniony do cywila, przeniósł się niebawem już jako rębacz na szyb „Jan-Karol” w Karwinie, gdzie



ALOJZY BONCZEK

pozostał do momentu przedwczesnego spensjonowania w maju 1905 r.

W środowisku górniczym zajął Bonczek już od wczesnej młodości czynną postawę. Mając 16 lat, był jednym z inspiatorów zorganizowanego na kopalni w kwietniu 1881 strajku taczowników. Od momentu ukończenia się w październiku 1893 „Stowarzyszenia Górniczo-Hutniczego „Prókop” należał do członków tego pierwszego w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim klasowego zrzeszenia robotniczego. Wybrany w r. 1898 jako jeden z 6 delegatów kopalni do powołanej na mocy ustawy z r. 1896 przymusowej organizacji pracowników i pracodawców przemysłu węglowego monar-

chli, został w r. 1899 przewodniczącym grupy kopalnianej; w r. 1902 wszedł do zarządu rewirowego grupy II (pracobiorców) tej organizacji. W r. 1904 wybrano Bonczka w skład zarządu kasy brackiej karwińskich kopalń hr. Larischa. W okresie trwającego od stycznia do marca 1900 największego w dziejach Zagłębia i historii górnictwa monarchii strajku powszechnego, należał Bonczek do komitetu strajkowego. Nie brakowało Bonczka również wśród grupy działaczy, którzy w czerwcu 1901 powołali do życia nową jednolitą organizację rewirową „Unię Górników dla Moraw, Śląska i Galicji” wchodzącą, począwszy od maja 1903, w skład ogólnopanstwowej „Unii Górników w Austrii”. W ramach tego związku został Bonczek członkiem pierwszego jego komitetu rewirowego, a w r. 1904 przewodniczącym koła miejscowego w Stonawie.

Po przejściu na emeryturę Bonczek poświęcił się zawodowej działalności publicznej; w r. 1905 został sekretarzem rewirowym w Mor. Ostrawie dla polskich członków Unii, od 1. 1. 1906 objął kierownictwo wyodrębnianego właśnie wtedy sekretariatu Unii dla Zagłębia Karwińskiego z siedzibą w Orłowej. Tę ostatnią funkcję pełnił bez przerwy aż do upadku monarchii. W czerwcu 1910 wszedł do nowoutworzonej Komisyj Związków Zawodowych dla Śląska Wschodniego w Cieszynie, będącej nadrzędną organizacją całego cieszyńskiego ruchu zawodowego. W r. 1911 został członkiem sądu rozjemczego kas brackich Zagłębia. Sporo uwagi poświęcał już w tym czasie publicystyce na łamach miejscowych organów robotniczych; „Górnika” oraz „Robotnika Śląskiego”; z tego okresu pochodzą także pierwsze jego broszury publicystyczne. W latach pierwszej wojny pełnił dodatkowo czynność redaktora odpowiedzialnego wychodzącego podówczas w Mor. Ostrawie, a z kolei w Orłowej „Górnika”, organu Unii Górników w Austrii.

Obok pracy w ruchu zawodowym, stanowiącym zasadniczy odcinek aktywności społecznej Bonczka do r. 1919, był on czynnie zaangażowany w samorządzie gminnym oraz w spółdzielczości robotniczej. Należał do inicjatorów najstarszej na Śląsku Cieszyńskim spółdzielni spożywców, założonej w listopadzie 1897, od r. 1900 noszącej nazwę „Stowarzyszenia Spożywczego dla robotników i rolników w Stonawie”. W r. 1908 objął Bonczek funkcję przewodniczącego sądu polubownego zastępców stowarzyszeń spożywczych na Śląsku Cieszyńskim.

Szczególnie wszechstronną aktywność publiczną wykazywał Bonczek w miejscu swego zamieszkania, w Stonawie. W roku 1905 wybrano go do Rady Nadzorczej miejscowej Kasy Gminnej Reiffelsena; wielkie zasługi położył wokół zrealizowanej w r. 1905 budowy w Stonawie Domu Robotniczego, odgrywającego od tamtej roli ośrodka żywo pulsującego dzięki właśnie inicjatywie Bonczka ruchu robotniczego na terenie wsi. W r. 1906 wszedł do zastępstwa gminnego, a z kolei do zastępstwa powiatowego w Frysz-

tacie. Jako radca gminny walczył zacięcie o laicyzację życia publicznego. Po ukonstytuowaniu się latem 1908 r. polskiego stowarzyszenia kulturalno-oświatowego „Siła”, stanął na czele jej Koła Miejscowego w Stonawie.

Ożywioną działalność rozwijał Bonczek także w politycznym ruchu robotniczym; działał początkowo w szeregach jednolitej, wspólnej partyjnej organizacji socjal-demokratycznej, a następnie w powstałej w kwietniu 1906 PPSD Śląska. W pierwszych wyborach powszechnych do parlamentu austriackiego w maju 1907 r., kandydując w XIV wiejskim okręgu wyborczym Śląska Austriackiego, obejmującym powiaty sądowe bielski, skoczowski i strumieński, zyskał 19 % oddanych ogółem głosów. W powstałej samorządnie w październiku 1918 r. w związku z rozkładem Austro-Węgier Radzie Narodowej Księstwa Cieszyńskiego, kierował Bonczek agendami „Wydziału socjalno-politycznego”. Oplek nad ofiarami terroru plebiscytowego kontynuował dalej od marca 1920 do lipca 1921 jako referent od spraw zapomogowych w nowoutworzonym konsulacie polskim w Boguminie.

Bonczek był jednym z założycieli powstałej w lutym 1921 po podziale Śląska Cieszyńskiego, Polskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej w Czechosłowacji; do połowy lat 30-tych wchodził w skład Zarządu Głównego PSPR, w latach 1923 do 1925 wykonywał funkcję zastępcy przewodniczącego Komitetu Wykonawczego PSPR, kierowniczej komórki partii. W okresie późniejszym reprezentował PSPR w zastępstwie powiatowym w Frysz-

W grudniu 1918 Bonczek wycofał się z czynnej działalności w ruchu zawodowym górników Zagłębia, utrzymywał jednakże nadal z nim kontakt jako współpracownik i publicysta jego organu „Gazety Górniczej”. Na przestrzeni całego okresu międzywojennego nadal pełnił szereg funkcji społecznych na terenie Stonawy, m. in. jako czołowy działacz miejscowego Stowarzyszenia Spożywczego.

W r. 1935 Bonczek opowiedział się po stronie utworzonej z inspiracji Konsulatu Generalnego RP w Mor. Ostrawie, rozłamowej Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej. W wyborach do Zgromadzenia Narodowego CSR w maju 1935 stanął na czele listy wyborczej do Senatu Stronnictw Polskich w Czechosłowacji, występujących w wspólnym Bloku Autonomicznym z opozycyjną słowacką partią ludową A. Hlinki (po raz pierwszy do Senatu kandydował w r. 1925 z ramienia ówczesnego „Polskiego Związku Ludowo-Robotniczego”); w obydwu wypadkach mandat senatora nie uzyskał. Zrywając więzy z PSPR, pozostał Bonczek mimo wszystko do zgonu członkiem Sekcji Polskiej Związku Górników w Czechosłowacji oraz Polskiego Stowarzyszenia Robotniczego Oświatowo-Gimnastycznego „Siła”. Zmarł w Stonawie 29 kwietnia 1937.

Doc. dr JÓZEF CHLEBOWCZYK

A. KRONIKA · KRONIKA · KRONIKA

KONCERT W CIESZYŃSKIEJ ROTUNDZIE Z XI WIEKU

Jedną z najciekawszych imprez tegorocznej „Cieszyńskiej Wiosny Artystycznej” był koncert muzyki staropolskiej w Rotundzie z XI wieku na Górze Zamkowej w Cieszynie, który odbył się 18 maja br. Słowo wstępne wygłosił mgr Jerzy Drozd, dyr. Szkoły Muzycznej w Cieszynie, jeden z inicjatorów i organizatorów koncertu, zaś prelekcję o dawnej muzyce polskiej i zabytkowej Rotundzie w Cieszynie wygłosił mgr Witold Iwanek z Muzeum w Cieszynie. Na program koncertu, którego wykonawcami były zespoły chórne, instrumentalne i soliści Państwowej Szkoły Muzycznej w Cieszynie oraz Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach, Wydział Wychowania Muzycznego, złożyło się kilkanaście utworów najdawniejszych kompozytorów polskich, m. in. Staromiejskiego, Pękiela, Gomółki, Wacława z Szamotuł. Wysoki poziom artystyczny oraz atmosfera jaką stwarzają mury jednego z najstarszych i najcenniejszych zabytków architektonicznych w Polsce, wywołały u licznie zgromadzonych słuchaczy niezapomniane wrażenie. Życzyć sobie należy, by podobne koncerty odbywały się w Rotundzie stale, by nie była to jedyna tylko taka impreza w ramach „Cieszyńskiej Wiosny Artystycznej” i to dzięki tegorocznym obchodom Tysiąclecia Państwa Polskiego.

WYNIKI ZAWODÓW SPIEWACZYCH CHORÓW PZKO 4.6.1966 w Dawkowie

Chóry mieszane:

- KAT. I — 1. miejsce „Lira” Dawków (dyr. Władysław Winkler);
2. miejsce chór mieszany Karwina-Solca (dyr. inż. Józef Foltyn);
KAT. II — 1. miejsce chór mieszany Olbrachcice (dyr. Wład. Molenda);
2. miejsce „Hasło” Skrzeczów (dyr. Rudolf Wójcik);
3. miejsce „Dźwięk” Karwina-Granice (dyr. Józef Matros).

Chóry męskie:

- KAT. I — 1. miejsce „Hasło” Orłowa (dyr. Bruno Rygiel);
2. miejsce Chór Nauczycieli Polskich (dyr. Emanuel Guziur);
KAT. II — 1. miejsce „Hejnał-Echo” Karwina I (dyr. inż. Józef Foltyn);
2. miejsce chór męski Czeski Cieszyn (dyr. Edward Kaim);
3. miejsce „Siła” Stonawa (dyr. Józef Kazik).

Chóry żeńskie:

- KAT. I — 1. miejsce chór żeński Czeski Cieszyn (dyr. inż. Alojzy Kaleta);
2. miejsce „Halka” Stonawa (dyr. Józef Firla);
3. miejsce chór żeński Nawsie (dyr. Władysław Winkler);
4. miejsce „Tęcza” Sucha Górna (dyr. Otokar Matuszek).
KAT. II — 1. miejsce chór żeński Nydek (dyr. Jan Kupiec).

W komisji sędziowskiej zasiadali: prof. Karol Hławiczka, prof. Alojzy Tiahian, Paweł Kaleta oraz Karol Gąsior w funkcji sekretarza.

MICHALIK I JEGO NOWA PRAPREMIERA

Od pięciu miesięcy Franciszek Michalik reżyseruje w Państwowym Teatrze Ziemi Opolskiej w Opolu. Teatr ten wystawił w jego reżyserii 22 maja prapremierę niezwykle ciekawego dramatu Andrzeja Dołęgowskiego pt. „Wieczór królowej”.

Sztuka, traktująca o problemie zbrodni hitlerowskich, umiejscowiona jest w NRF, w rodzinie ministerialnego pracownika, który w niczym nie przypomina obecnie byłego zbrodniarza hitlerowskiego, mającego na sumieniu zamordowanie kilku niewinnych jeńców i swej kochanki Żydówki. Dramat spoczywa w tym, że jego własne dzieci potępiają zbrodniarzy, nie znając rodzinnej tajemnicy.

W rozmowach z autorem sztuki, aktorami i kierownictwem artystycznym oraz widzami można było stwierdzić, że Fr. Michalik wywiązał się z realizacji tej trzeciej reżyserowanej w Opolu sztuki dobrze. Interpretacja sztuki jest tak sugestywna, że zmusza widza do zaangażowania, myślenia i wyciągania wniosków.

Warto zasymalizować, że teatr opolski nawiązał kontakty z Cieszyńskiem (polskim) i będzie tutaj wystawiał niektóre swe pozycje. Z pewnością również wystawi „Wieczór królowej”, sztukę, którą warto polecić do obejrzenia.

UROCZYSTOŚĆ MILENIJNA W SUCHEJ GÓRNEJ

PZKO wraz z PDSP w Suchej Górnjej uczciły w sobotę 21 maja br. na uroczystej akademii w sali Domu Robotniczego Milenium Państwa Polskiego. Uroczystość zaszczepił swoją obecnością wicekonsul PRL tow. Janiszewski.

Wicekonsul w treściwym referacie o 1000-letnich dziejach państwa polskiego podkreślił przede wszystkim te momenty z dziejów bratnich narodów polskiego i czeskiego, które odznaczały się wzajemnym zrozumieniem, bratnią pomocą w niebezpieczeństwach narodowych, wspólnym bojem wysiłkiem o wolność i niepodległość, współpracą gospodarczą i kulturalną. Licznie zebrani słuchacze, między którymi byli i przedstawiciele MRN, KPC oraz przedstawiciele organizacji społecznych, w dalszym ciągu programu uroczystości milenijnej oklaskiwali bogaty program kulturalny w wykonaniu chóru męskiego, żeńskiego „Tęcza”, „Melodii” i „Gamy”, zespołu tanecznego, zespołów szkolnych i solistów.

W ramach uroczystości zorganizowano również loterię książkową, w której 20 z obecnych na sali słuchaczy wylosowało wartościowe książki o Polsce. Wystawa dużych kolorowych reprodukcji „Pocztu królów polskich” J. Matejki godnie uzupełniła całość podniosłej uroczystości.

KARWINA IV-RAJ

Obyła się tu premiera komedii „Złoto nie dziewczyna” w wykonaniu miejscowego Koła PZKO. Pomimo trudności niektórych początkujących aktorów i dosyć trudnych warunków technicznych, zespół pod kierownictwem reżyserki Elżbiety Bajgerowej zadowolił publiczność, wystawiając wesołą i lekką komedię.

Warszawskie spotkanie z książką

(Refleksje z Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie)

Gdzie księgi są, tam nie ma miecza, gdzie miecz, tam nie ma książki — mówi stary aforyzm żydowski. Przysłowie to świetnie oddaje atmosferę Międzynarodowych Targów Książki, które w dniach od 15 do 22 maja br. odbyły się w Warszawie. Poza doraźnym, handlowym celem, warszawskie targi, zorganizowane w roku bieżącym po raz pierwszy, spełniają bowiem ważną rolę w upowszechnieniu myśli ludzkiej, w przenikaniu osiągnięć kulturalnych różnych narodów.

Podobnie jak w latach poprzednich, Targi Książki odbyły się jako jedna z centralnych imprez odbywających się w Polsce w maju Dni Oświaty, Prasy i Książki. Miejszem ekspozycji stał się Pałac Kultury i Nauki. Na czterech kondygnacjach rozlokowały się stoiska 280 najważniejszych firm wydawniczych z całego świata. Aby zwiedzić całość nadzwyczaj ciekawej wystawy, trzeba było przejść aż ... 5 km, zaś wszystkich wystawionych książek, map, płyt, reprodukcji obrazów nie zliczyli chyba do kłódnicy nawet sami organizatorzy. W stosunku do lat ubiegłych, targi warszawskie rozrosły się i nie ma chyba poważnego wydawnictwa, co najmniej europejskiego, które nie byłoby reprezentowane w Warszawie. Po raz pierwszy otworzyła swoje stoisko Chińska Republika Ludowa, a wzorem lat ubiegłych, na targach znalazły się książki i inne publikacje ze Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Jugosławii, z Czechosłowacji, krajów niemieckiego obszaru językowego, z Włoch, Francji, Finlandii, Węgier i wielu innych krajów.

Pod względem tematycznym ekspozycja rozbiła się na kilka działów. Wydawnictwa naukowe, popularnonaukowe, techniczne i fachowe prezentowały książki z prawie wszystkich dziedzin wiedzy. Specjaliści z zakresu matematyki, fizyki, astronautyki, ekonomii, chemii, rolnictwa, medycyny i in. znaleźli tu najnowsze publikacje, nierzadko omawiające ostatnie doświadczenia i osiągnięcia naukowe. Nie brakło tu znakomitych wydawnictw encyklopedycznych jak Encyclopaedia Britannica, Librairie Larousse, Izdatelstvo „Sovetskaja Enciklopedija”, Grolier International ze swymi encyklopediami, leksykonami, słownikami i bibliografiami.

Swym bogactwem różnych publikacji z zakresu sztuki zwracały uwagę liczne wydawnictwa prezentujące albumy, dzieła z historii sztuki i architektury, barwne reprodukcje, karty pocztowe, plakaty i inne. Poziom światowy z roku na rok stale wzrasta i barwne reprodukcje zbliżają się już dzisiaj do oryginału. Mają tu nadal dużo do powiedzenia wydawnictwa włoskie, francuskie i niemieckie.

Interesująco przedstawiał się też dział literatury pięknej i książek dla dzieci i młodzieży. Wystawiono tu nie tylko

pięknie oprawione dzieła klasyków, ale też coraz bardziej powszechne na świecie wydania masowe tzw. „paperbacks” i najróżniejsze serie książek kieszonkowych. W popularnych tych seriach znajdujemy nie tylko beletrystykę z krytyką kryminalną i przygodową włącznie, ale też poważne rozprawy naukowe i filozoficzne, monografie, słowniki i opracowania o charakterze encyklopedycznym.

Wcale pokaźnie wreszcie prezentował się też dział wydawnictw muzycznych z opracowaniami z zakresu historii i teorii muzyki, nutami i płytami. Powodzeniem oczywiście cieszyły się nie tylko nagrania muzyki lekkiej i tanecznej, ale też operowej i symfonicznej. Pod względem technicznym chyba coraz większe prawo obywatelstwa zyskuje sobie stereofonia oraz taśmy magnetofonowe.

Z wydawnictw czechosłowackich wystawiało swe książki 20 firm (m. in. Akademia, Artia, Mladá léta, Naše vojsko, Slovenské vydavateľstvo krásnej literatury, Slovenský spisovateľ i in.). Nie zauważono natomiast publikacji ostrawskiego „Profilu”. Z uwagi na polską edycję tego wydawnictwa byłoby wskazane, by i ono w przyszłości brało udział w warszawskich targach. Byłaby to duża szansa dla zdobycia polskiego rynku księgarskiego przez autorów SLA.

W szkicu „Konwokacja książek” ubiegłoroczny laureat nagrody polskiego PEN-Clubu — Karol Dedecius powiada, że „literaturę można porównać do okna, przez które jeden naród patrzy drugiemu w oczy”. Takim oknem, dzięki któremu poznajemy kulturę, zwłaszcza wydawniczą świata, są Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie, jedna z najpoważniejszych dzisiaj imprez tego typu na świecie.

—ER—



„Dziewczynka z zapalkami” — tytułowa postać wystawianej obecnie przez „Bajkę” sztuki. Foto E. Mrózek.

A jednak optymizm

NIECH NO TYLKO ZAKWITNĄ JABŁONIE, powiada Agnieszka Osiecka, a zobaczycie inny świat i proponuje widowisko śpiewane o tym, „jak się obywatele polscy przed wojną i po wojnie nosili, na jaką melodię tańczyli, co w gazetach czytali i czym mieli głowę zaprzątą.”

Ten retrospektywny przegląd wydarzeń dwóch dwudziestolecia, pomimo i wbrew faktom oczywistym, budzi optymizm, każe wierzyć „w naszą dobrą gwiazdę”, entuzjastycznie bisować piosenkę, której zaczepna gorycz jest czymś więcej, aniżeli tylko sensem tego wszystkiego.

„Niech no tylko zakwitną jabłonie” nazywano już różnie. Rewiów, widowiskiem, ba nawet pierwszym polskim musicaliem. Sprawiała to jego barwność, liżebska obsada, ruch i taniec, melodia i piosenka. Z pozornego chaosu kolorów i rytmów wyłania się myśl widowiska, dość jednoznaczna: konfrontacja dwóch dwudziestolecia. Nie ma tu jednak wnikliwych analiz struktury społecznej, stosunków ekonomicznych, sytuacji politycznej. Jest natomiast wierny styl obydwu epok. Osiecka porównuje. Część pierwszą buduje na kontrastach. Lambeth-walk'i i charlestony przeplatane są ogłoszeniami ludzi poszukujących pracy, piosenka o ułanach smętnym monologiem chłopca, piosenka bogatej pani Lu opowieścią ubogiego chłopca. Takie obrazy lat przedwojennych uzupełniają piosenki żydowskie Rebeka i Majne jidisze mame. Część pierwsza kończy się świetnie przez reżysera rozwiązana sceną. „Bedziemy mieli wojnę. Tańczymy. Piemy.” Odpowiednik sceny z „Wesela” Wyspiańskiego, przykrojony oczywiście na miarę wi-

dowskiego typu „Jabłoni”. Korowód postaci sunie w zadzierzwytem polonezie „Zdrowie nam”, by zastępnąć w monotonnym rytmie walca „za rok, za dzień, za chwilę, nie będzie może nas, żyjemy jak motyle...” Znamienna mieszkanka.

Nie ma w widowisku Osieckiej jakiejś fabuły: w różnych scenkach występują te same osoby, co łączy poszczególne numery i robi wrażenie całości. Zmienione po wojnie warunki narzucają nowy styl życia. Osoby przyjmują inne wcielenia, zmieniają zawód, inna jest ich pozycja społeczna. „Szukamy swoich bliskich. Urządzamy się na nowo. Odbudowujemy się. Niektórzy kradną. Jedziemy do Nowej Huty. Idziemy na zabawę 1-Majową. Czasem robimy błędy. Zaczynamy rozumieć błędy. Stabilizujemy się.” To już historia, którą przeżyliśmy i przeżywamy. Konfrontacja odbywa się na odmiennych zasadach. Między tym co przedstawia się na scenie, a tym czego sami doświadczyliśmy. Pozycja uczestnika i współtwórcy łądzi jednak satyrę, wręcz wzrusza. W widowisku zginął gdzieś rok 1956, zasygnalizowany tylko jedną piosenką. A szkoda.

Teatr z Zagłębia z Sosnowca przywoził już do nas wodewile i „śpiewogry”. Tym razem jednak przeszedł sam siebie. Obronił postulat lekkiego, rozrywkowego repertuaru, przygotowując widowisko odznaczające się wysokim poziomem artystycznym, kulturą i dobrym smakiem. A to nie jest sprawą łatwą. W reżyserii Jerzego Ukłei powstało przedstawienie barwne, pełne uroku, wdzięku i płynności. Sosnowiec sprawił nam dużą niespodziankę i przyjemność. Największą tym, że sobie niczego, ale to absolutnie niczego nie ułatwił.

Kto ma rację

Ktoś nowy” Marka Domańskiego odnosi się do naszej najwspółczesniejszej współczesności. Jest sztuką opartą na realiach życia codziennego, wyrastającą z aktualnej sytuacji ekonomicznej i socjalnej, sztuką „użytkową” o publicystycznym zacięciu. I dlatego często nieco pogardliwie nazywaną przez widzów „produkcyniakiem”. Widzowie nie dostrzegają tego, że produkcyniak ten jest nieschematyczny, że przedstawiany konflikt jest żywy, że sztuka stawia przed widzami aktualne problemy, niczego nie rozwiązuje, nie rozstrzyga, niczego mu nie narzuca. Przeciwnie. Znalezienie odpowiedzi na pytania postawione w sztuce pozostawia właśnie widzom. Jeszcze stale teatr poku-

tuje za grzechy czarno-białej dramaturgii, jeszcze stale współczesność budzi nieufność szerokiej rzeszy publiczności.

„Ktoś nowy” zajął szczególne miejsce w polskim repertuarze teatralnym ubiegłych sezonów. Sztuka Domańskiego cieszyła się dużym powodzeniem. Publiczność podchwytowała aktualne powiedzonka, dowcipy i sytuacje. Reakcja naszej publiczności była więcej niż chłodna. Przyczyn takiego przyjęcia można dopatrywać się w dość nikłej kanwie literackiej utworu, albo też, a raczej w obojętnej postawie przyjętej przez społeczeństwo wobec tego rodzaju konfliktów i problemów. Nie po raz pierwszy spotyka się teatr, i nie tylko teatr, z taką postawą i stosunkiem ogółu do aktu-

MŁODZI CZECHOSŁOWACCY ARTYŚCI NA POLSKIM PODBESKIDZIU

Ta współpraca rozpoczęła się stosunkowo niedawno. Dwóch czy trzech przedstawicieli Krnowa, znalazłszy się w Polsce, zupełnie przypadkowo trafiło do Wydziału Kultury Prez. PRN (zamiast MRN) w Bielsku-Białej i właściwie tak się zaczęło — od przyjacielskich rozmów. Wkrótce gości czzechosłowackich rewidytowali w Krnowie przedstawiciele Bielska-Białej. Przyjechał też znakomity zespół dziecięcy Domu Kultury Włóknarzy — „Stokrotki”, który podobno zrobił w Krnowie prawdziwą furorę.

Tak samo zresztą gorąco przyjęli bielskie młodych czzechosłowackich artystów, przybyłych do miasta włóknarzy na uroczyste Dni Bielska. Orkiestra symfoniczna szkoły muzycznej z Krnowa, złożona z 42 uczniów w wieku od 10 do 18 lat, która szczyty się II miejscem w CSRS w swej kategorii, dała w pięknym nowoutwartym Domu Kultury czzechowickich górników dwugodzinny koncert pod dyktando Karola Dospłwy.

Zespół z Krnowa przyjmowany był również w bielskim Domu Kultury Włóknarzy.

Miasto Bielsko-Biała, jak również piękna okolica górską, wywarły na delegacji czzechosłowackiej, której przewodniczył kierownik Wydziału Oświaty i Kultury z Bruntala, duże wrażenie. Prężność życia kulturalnego na Podbeskidziu, a także nowoczesne urządzenia turystyczne w polskich Beskidach, były dla nich prawdziwą niespodzianką.

„NOWI LUDZIE” W STANISŁOWICACH

W sobotę 21 maja wystawił zespół teatralny przy Kole PZKO w Stanisławicach widowisko ze śpiewami i tańcami pt. „Nowi ludzie” Adama Wawroza. Przedstawienie odbyło się przy wypełnionej sali nowego Domu Kultury.

Reżyser Gustaw Słowik zaangażował do przedstawienia w większej mierze młodzież szkolną, nie pomijając niektórych dobrych i rutynowanych amatorów. Sposób interpretacji niektórych ról był bardzo zróżnicowany. Piękne melodie ludowe i piosenki nadawały przedstawieniu lekkości.

Pomijając niektóre niedociągnięcia początkujących amatorów, trzeba dodatnio ocenić usilną i owocną pracę całego zespołu, który ma za sobą długoletnią tradycję.

KONCERT „HUTNIKA”

28 maja br. odbył się w sali Domu Ludowego w Trzyńcu pałowy koncert „Hutnika”, który uświetnił swym występem solista opery ostrawskiej Oswald Bugel.

Sympatyczny chór huty trzynieckiej pod batutą Karola Wronki potwierdził w tym występie swój wysoki poziom i ambicje nowatorskie. Szczególnie należy podkreślić wykonanie przez chór żeński pieśni P. Kalety do słów H. Jasiczka pt. „Pragnienie” oraz występ połączonych chórów szkolnych wraz z „Hutnikiem”.



Ida Kocur w roli Hanki oraz Zbigniew Starski w roli Kukuły.



JUBILEUSZ JANA PSZCZÓŁKI

25 czerwca będzie obchodził jubileusz 50-lecia urodzin red. Jan Pszczółka, długoletni działacz partyjny, członek władz PZKO — był przewodniczącym ZP PZKO w Cz. Cieszynie, obecnie jest członkiem ZG PZKO — działacz rad narodowych i innych organizacji społecznych.

Pochodzi z rodziny hutniczej z Trzycńca. W hucie też stawiał pierwsze kroki jako pracownik na odpowiedzialnym stanowisku roboczym oraz działacz polityczno-społeczny.

Obecnie jest sekretarzem Redakcji „Głosu Ludu”.

Za swe zasługi otrzymał niedawno wysokie odznaczenie „Za vynikającą pracę”. Posiada też srebrną odznakę „Za zasługi nadaną przez ZG PZKO”.

Z okazji zbliżających się urodzin życzymy zacnemu jubilatowi wszystkiego najlepszego w pracy i życiu osobistym.



JAN PSZCZÓŁKA

alnego i żywego problemu. Lepiej udawać głupiego i nie wtrącać się. Zobaczymy co z tego wyniknie. Nie poczuwać się do żadnej odpowiedzialności, nie dać się wciągnąć. Wynalazczość, aktywność, zdolności i pasja mogą nas narazić tylko na miano wariata i frajera. I wtedy pomimo wszystkich tak zwanych racji ludzkich diabli nas biorą i zdecydowanie opowiadamy się po stronie bohatera sztuki Domańskiego, wicedyrektora Kukuły. Wynalazcy, fanatyka techniki, wydajnego pracownika oddanego sprawie, a równocześnie despoty, historyka, aroganta nie umiejącego współżyć z ludźmi. I oto konflikt, z którym spotykamy się na codzień — problem racji ekonomicznych i racji ludzkich, maksymalizmu technicznego i dewaluacji starych wartości, rosnącego kultu „fachowości” i przekreślenia starych wartości i dawnych zasług. Wszystko to dzieje się w imię polepszenia ludzkiego życia i po to, żeby wreszcie postęp i socjalizm ruszyły z kopyta. Już dość było zabawy w filan-

tropię. A jednak obydwie racje pozostają nadal sumą sprzeczności, które w praktyce trzeba stale na nowo rozwiązywać. I to właśnie daje sztuce ową publicystyczną ostrość i świeżość.

Zadaniem teatru jest przekazanie argumentów obu racji i nie przyznanie racji żadnemu z partnerów. Reżyser Nowak tak też właśnie rozwiązał główny problem sztuki. Racje są po obydwu stronach. Jednak nie dość mocno i zdecydowanie podkreślił argumenty obydwu stron, skoro widz zadaje sobie po przedstawieniu dalsze pytania: czego oni ode mnie właściwie chcieli.

Sama sztuka nie jest zbyt efektowna. Akcja zamknięta w 4 ścianach biurowego pokoju, nieustanne techniczno-ekonomiczne dysputy obciążają ją na tyle, że przedstawienie jest szare, bezbarwne, choć poprawne. Racje przechylają się częściej na stronę Filipczaka, starego, zasłużonego robotnika, którego w oczach Kukuły dyskwalifikuje brak kwalifikacji technicznych i poważna awaria, którą z tych przyczyn spowodował. Filipczak Janusza Bobka jest postacią bardzo typową, „wziętą z życia”, na swój sposób wzruszającą. Zbigniew Starski zaś w roli Kukuły dodał postaci ponad tekst sztuki szorstkości i ostrości, zwłaszcza w akcie drugim, w scenach z Hanką i jej starym ojcem. Ta konsekwencja poczyzna, prowokacyjny antyhumanizm, konstruktywność, brak oporów i zawahań, nawet w sprawach tak bardzo osobistych i uczuciowych, budzi przy pierwszym zetknięciu się z nimi odruch niechęci i niesmaku. I dlatego też szale przechylają się częściej na stronę Filipczaka. Dopiero w akcie trzecim na zebraniu z przedstawicielami rady zakładowej i fabryki Kukuła obronił skutecznie swoje racje. Udowodnił swoim oponentom, że są ludźmi małymi i niemądrymi. Samo zakończenie sztuki rozplynęło się jednak dość mgliście w nledomówieniach, miast zdecydowanego ustawienia przeciwnych sobie racji.

Zaletą sztuki Domańskiego jest jej sens publicystyczny i dyskusyjność. Publiczność jednak nie chciała podjąć dyskusji. Dlaczego?!!

JAN WAJDA

Karpaccy górale w Gnojniku

Ciekawe zjawisko. Prawie wszędzie narzeka się na telewizory, że to kultura „papuciowa” zjada wszelkie imprezy, że brak widza, że to, że owo, utyskuje się na młodzież, że obojętna do pracy społecznej, że bez twarzy itd., a tu Gnojnik stawia wszystko na głowie.

Wystawienie „Karpaccich górali” w Gnojniku i Trzanowicach nie tylko zdemontowało twierdzenia o obojętności społeczeństwa, lecz udowodniło, że teren jest wprost głodny tego rodzaju kultury. Rosło serce, kiedy sala pęczniała do ostatniego wolnego kąta, aż wreszcie nie była w stanie pomieścić tych ostatnich. Brawo wam, obywatele Gnojnika i

okolicy! Udowodniliście organizatorom spektaklu, że warto poświęcić setki godzin.

Komu zatem przypisać na konto ten sukces. Niewątpliwie zasługi tutaj ponosi cały aktyw dramatyczny, który liczy około 25 ludzi. Już sama liczba coś mówi, a dodać trzeba z uznaniem, że jest wśród nich wielu, którzy po raz pierwszy w życiu stanęli na scenie. Okazuje się zatem, że młodzi są, tylko trzeba ich było znaleźć, zachęcić, porwać. Tutaj należy podkreślić inicjatywę dyrektora, a równocześnie reżysera przedstawienia — Jana Pyszki, który wraz z panią Szkutową z Trzycieża skompletował ten zespół, można powiedzieć, z niczego. Chodzili,

przekonywali, „wyciągali” ludzi z okolicznych wiosek, z Trzycieża, Wielopola, Śmiłowic, Trzanowic, no i oczywiście Gnojnika. Niejeden zląkł by się tych trudności, ale dla takiego aktywisty społecznego, jakim jest Pyszko, nie były one niepokonalne. Chociaż pracuje w Gnojniku pierwszy rok, umiał porwać za sobą chętnych i wypracować widowisko do najmniejszych szczegółów.



Scena z „Karpackich górali”.

Trudno zanalizować całe przedstawienie, nie sposób jednak pominąć niektórych postaci, które nadały przedstawieniu wiele blasku, są to: Maksym (Wojaček), matka (Szkutowa), arendarz (Kowalczyk), mandatariusz (A. Kubisz), Prokop (Mrózek), feldfelbel (Pieknik), Antoś (Pawera) i inni.

W sumie miła rzecz. Z jednej strony sami młodzi, z drugiej ludzie poważni, znaleźli wspólny język.

Żeby tylko nie wygasł ten twórczy zapal i zespół scementował się, a można rokować mu jak najlepsze nadzieje. Z przyjemnością należy jeszcze podkreślić, że nasza praca nie jest obojętna Miejscowej Radzie Narodowej, o czym w słowach podziękowania zapewnił nas przewodniczący MRN w Gnojniku tow. Zajíc.

Także ze strony zarządu Kola w Gnojniku są zapewnione wszelkie dane, by zespół dramatyczny rozwijał się jak najlepiej. No, powiedzcie sami, które Koło może się pochwalić takim prezesem, jakim jest Zbigniew Kowalczyk, który poświęcił tydzień urlopu na przygotowanie przedstawienia. Znając bliżej reżysera Pyszkę można przypuszczać, że nie będzie to przysłowiowy „słomiany zapal”, lecz solidna kilkuletnia praca, czego całemu zespołowi z serca życzymy.

—ar—

Olza czy Olsza?

Olza. Słowo to ma już prawie że znaczenie symboliczne. Wymawiając je mamy bowiem na myśli Śląsk Cieszyński, region, z którym Olza łączy się nierozdzielnie. Z Olzą lub Olszą spotykamy się codziennie — w prasie, w radio, w bezpośrednich rozmowach itd. Olza jest w dodatku rzeką graniczną między dwoma bratnimi państwami socjalistycznymi. Z tego też powodu można by ją nazwać rzeką pokoju. Szkoda tylko, że dotychczas nie ma zgodności w poglądach na rzecz najważniejszą w tym wypadku, tzn. na jej nazwę. Jedni uważają, że forma poprawna powinna brzmieć Olza, drudzy zaś, że Olsza, wzgl. Olsze. Kto jednak ma rację? Dla językoznawców sprawa ta jest całkowicie i jednoznacznie wyjaśniona. Sądzę jednak, że i szerszy ogół społeczeństwa jest zainteresowany tym problemem (który właściwie problemem z punktu widzenia językowego nie jest). Z tego też powodu przytoczę tutaj kilka informacji na ten temat, oczywiście w formie znacznie uproszczonej.

Rozpatrzmy najpierw formę Olsza (Olsze). Stwierdzić należy, że mogła powstać w wyniku dwóch procesów. Pierwszym z nich jest tzw. etymologia ludowa, która absolutnie nie opiera się na podstawach naukowych i w sposób dyletancki tłumaczy pochodzenie wyrazu. W naszym wypadku rzeka Olsza od drzew (olszy) rosnących pono na jej brzegu. Drugim czynnikiem torującym drogę for-

mie Olsza było przypuszczenie, że wyraz Olza jest postacią zniemczoną (a może i spolszczoną?). Dlaczegoż by jednak Niemcy zmieniali Olszę na Olzę, skoro ich alfabet ma wszystkie cztery głoski wyrazu Olsza? Więc i ten argument pada.

O tym, że jedynie Olza jest formą poprawną, świadczy i jej dopływ Olecka (z pierwotnego Oledzka, gdzie grupa „dz” zmieniła się w „c” na skutek procesu upodobnienia wstecznego, tzw. antycypacji), bo od Olszy musiałby się nazywać Olszka. Zasadniczym argumentem, jednoznacznie przemawiającym za formą Olza, jest etymologia tej nazwy. Pierwotna forma Olza tkwi już w języku indoeuropejskim i brzmiała wtedy Oliga, następnie zaś Oldza. Obecność spółgłosek g | dz w wyrazach Oliga — Oldza spotykamy i w imieniu, które brzmi bardzo podobnie: Olga — Oldze lub w rzeczowniku noga — nodze. Chodzi tutaj o tzw. palatalizację prasłowiańską, w wyniku której uległy zmiękczeniu spółgłoski tylnojęzykowe: k, g, ch. Interesująca nas spółgłoska „g” zmieniła się w określonych warunkach w „dz”. I w dialekcie śląskim spotykamy wyraz „nie ldza”, wymawiany „nie lza” (tzn. nie można). Z Oldzy zaś powstała dzisiejsza forma Olza, ponieważ prasłowiańskie „dz” po spółgłoskach r, l zamieniło się w „z”. Niektórzy powołują się na kronikarza Jana Długosza, który pisał Olsza. U niego było to jednak spowodowane błędną

ZMARŁ RUDOLF PINKAS

26 kwietnia br. zmarł Rudolf Pinkas, nauczyciel z Karwiny. Pochodził z rodziny robotniczej, ojciec był kolejarzem. Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Ostrawie, dał się poznać nie tylko jako dobry nauczyciel i wychowawca, lecz również jako ofiarny pracownik w chórach, organizacjach sportowych i kulturalnych. Ciężka praca fizyczna w latach okupacji hitlerowskiej (nie przyjął Volkslisty), nie załamała jego przekonań narodowych i wiary w sprawiedliwość oraz lepsze życie. Po odzyskaniu wolności wrócił od razu do zawodu nauczycielskiego.

Znany był jako znakomity turysta i przewodnik wycieczek młodzieży i dorosłych, organizator imprez sportowych i narciarskich.

Od r. 1948 włączył się do pracy politycznej w KPC. Czynn timer pracował w podstawowych organizacjach partyjnych w Karwinie II i VI. Szanowany był jako lektor wychowania partyjnego, członek zarządu szkolnej organizacji partyjnej w Karwinie VI i przewodniczący OP KPC w PDSP w Karwinie VI.

Ciężka i nieuleczalna choroba już w grudniu 1965 r. oderwała go od wszelkiej pracy. Ona także przedwcześnie prze-



RUDOLF PINKAS

rwała jego życie. Odszedł od nas ceniony nauczyciel, ofiarny działacz, rzetelny pracownik, kryształowy, szlachetny charakter. Cześć jego pamięci!

transkrypcją, którą możemy zauważyć w wielu innych wyrazach przez niego zapisanych. Być może, że właśnie od J. Długosza przejął „Olszę” H. Sienkiewicz („Potop”).

Sławny lingwista polski Jan Rozwadowski tak pisał o Olzie: „Olza jest prastarą indoeuropejską nazwą wodną, która po prostu pierwotnie znaczyła wodę, ciecz, jak np. Wilga [dzisiejsza Wołga], od pierwiastka zawartego w wyrazie wilgoć.”

Widzimy więc, że jedynie forma Olza jest poprawna z punktu widzenia językowego. Jest to wyraz bardzo stary, sięgający korzeniami, jak już powiedzieliśmy, do okresu języka indoeuropejskiego, kiedy to języki: polski, czeski czy niemiecki w ogóle nie istniały. Forma Olsza nie da się naukowo udowodnić, opiera się bowiem na dowodach czysto nefachowych. I jako taka nie powinna być tolerowana.

DANIEL KADLUBIEC

STANISŁAW JERZY LEC

Niedawno zmarł w Warszawie jeden z największych aforystów świata, Stanisław Jerzy Lec.

Mniej więcej równocześnie z śmiercią satyryka ukazała się jego ostatnią książka „Myśli nieuczesane nowe“, z której prezentujemy kilka aforyzmów.

Dużo rzeczy nie powstało z niemożności ich nazwania.

Strzeżcie się, gdy pozbawieni skrzydeł je rozwijają.

Rewolucja Francuska pokazała na przykładach, że przegrywają ci, co tracą głowy.

Nie budujmy przytułków dla nędzy umysłowej.

Są sztuki tak słabe, że nie mogą zejść ze sceny.

CZAS pozostanie ludożercą.

Gdyby zwierzę zabiło z premedytacją, byłby to ludzki odruch.

Diabeł nie śpi. Z byle kim.

Moralność upada na coraz wygodniejsze posłania.

Widziałem latające klatki, były w nich orły.

Najkrwawsza to tragedia, gdy krew zalewa widzów.

Władza częściej przechodziła z rąk do rąk, niż z głowy do głowy.

Szekspir może nie był SZEKSPIREM, X nie jest nim na pewno.

Czy jest obowiązkiem człowieka, gdy znajdzie w sobie coś wartościowego, donieść o tym do najbliższego posterunku milicji?

Pegazowi dano skrzydła, by trudniej mu było wierzczać.

Gdy nie ma się z czego śmiać, rodzą się satyrycy.

Samowystarczalni umysłowo są jedynie geniusze i głupcy.

Naturalizm w niektórych teatrach niezwykły! Nawet onuce czuć ze scen. Jedynie ludzie są nieprawdziwi.

SZTUKA aktorska dopiero żąbkuje. Kiedyż zbliży się do naszego codziennego aktorstwa?

Tragizm epoki oddaje jej śmiech.

Gdy racje są kruche, usztynnia się stanowisko.

Zbliżając się do prawdy, oddalamy się od rzeczywistości.

Z tchórzostwa przechowywał swoje myśli w cudzych głowach.

Czy można na siłę tworzyć genialne rzeczy? Tak, trzeba tylko mieć tę siłę.

Brak talentu nadrabia brakiem charakteru.

Poeci są jak dzieci; gdy sledzą przy biurku, nogami nie sięgają ziemi.

Są tacy, co sięgają głębi, by stamtąd puszczać małe bańki.

Myślicie, że ten autor mało dokonał? Obniżył poziom ogólny!

Jego myśl jest czystą rozkoszą. Nikogo nie zapładnia.

Zaniósł Głupstwo do majstra: „Czy da się przerobić na Mądrość?“ Rzekł mistrz: „Jeszcze reszta zostanie.“

To był człowiek postępowo-religijny, zgadzał się, że człowiek pochodzi od małp, ale tych z arki Noego.

W krajach, których obywatele nie czują się pewni w więzieniach, nie czują się również pewni na wolności.

Na ludzką pamięć nie można liczyć. Niestety, również na niepamięć.

Nikt nie jest taki głupi, żeby od czasu do czasu takiego nie udawać.

I świnię chrząkają urągliwie pod adresem pasterza: „świniołas!“

I ludożercy ratują ludzi z paszczy rekina.

W niebezpiecznych czasach nie wchodzić w siebie, tam cię najłatwiej znajdą.

Nareszcie się porozumieli. Doszli do zgodnego wniosku, że są wrogami.

Któż nie jest po stronie człowieka? Ale nie wszyscy po wewnętrznej.

UWAGA na niewypały literackie! Ich autorzy niebezpieczni są jeszcze po latach.

Zawsze byłem przeciw rozpuszczaniu haremu. Damskie włączają się w życie społeczne, ale eunuchy uzyskują zbyt wielki wpływ na to życie.

Czasem łatwiej przyznać nagrodę, niż rację.

Tam, gdzie spadają głowy, kręcą się ci, co chcą sobie przynajmniej oblicza przywłaszczyć.



Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

Cena Kęs 1,-

ROK 18 — (Nr 200)

7

Czeski Cieszyń, lipiec 1996

W NUMERZE:

To Polska ★ Roz zabójnicki dachy wstają
★ Ludzie, którzy drukuje „Zwrot” ★
Marginalia o kulturze i sztuce ★ Zawody
chórów w Darkowcu ★ Panie Profesorze!

STO LAT
I TYSIĄC
NUMERÓW



Foto Rudolf Fierla. Ilustrował Br. Liberda.



W 20/94

25 000,-

TOPOLSKA

Motorowy statek, dygocąc, opisał parabolę, przekreślając drogę na pełne morze. Przypomniłem sobie, jakby to było dziś. Motorówka kursująca tu z Gdyni opisała łuk w odwrotnym kierunku. Przewodnik podniósł do ust tubę:

— Na lewo, to Westerplatte. Wydzielony teren wojskowy. To kawałek Polski. A na prawo Gdańsk. Niestety na teren „wolnego miasta” nie wolno nam wysiąść. Te ceglasto-ziemiste mundury, to „oni”.

— Już blisko dwadzieścia lat prowadzę tutaj wycieczki — ciągnął dalej — i chyba doczekam chwili, kiedy wskazując w tę stronę będę mógł powiedzieć: tu, proszę państwa, polski Gdańsk...

Czy doczekał?

Przybijamy do brzegu. Brodzimy w piasku, szukamy jakiegoś pomnika, tablicy informacyjnej, ścieżki.

To tu. Dookoła, wszędzie. W konwulsjach spięte grzyby koszar, kupy rumowisk, strzaskane konstrukcje budynków. Wreszcie czołg-pomnik. Niepozorny, małeńki polski czołg. Pierwsze chwile grozy, pierwsze minuty drugiej wojny. Było tu wszystko: zdradziecki napad, nierówna walka, piąta kolumna, bohaterstwo polskiego września.

Wzburzone morze z wściekłością pienia się, rozbijając grzbiety swych fal o skalisty brzeg. Nieopodal młody żołnierz, żołnierz w nowym mundurze, strzeże wejścia do nowych koszar, nowego Gdańska, nowej Polski.

Przeszedłem wiele ulic, zanim odnalazłem w centrum miasta ruiny. Jedynie z Pałacu Kultury widać w środku niektórych bloków ślady z tamtych lat.

Pytałem znajomego z Anglii, który

ćwierć wieku nie widział swego rodzinnego miasta. „Warszawa jest cudowna, ale to już nie ta.”

Tak, to nie ta. Zmienił się nie tylko jej wygląd, ale i ludzie. Nowe życie pulsuje szybkim rytmem.

Idę przez Plac Bohaterów Warszawy. Na tle Teatru Wielkiego symboliczna Nike jakby przygotowywała się do ciosu. Czy rzeczywiście nigdy już nie będzie musiała użyć swego miecza?

Stoimy na brzegu lasu sosnowego. Przed nami jedno z tysiąca jezior mazurskich. Zielono-brązowe drzewa i żółtawy piasek odbijają się w przeźroczystej wodzie. Cisza, jaką trudno sobie wyobrazić. Opowiadał mi kiedyś pewien znajomy z Warszawy, że jego urlop to kajak i wędrówka w nieznane, naturalnie z jednego jeziora do drugiego. Pożywienie: ryby, grzyby, owoce, mieszkanie namiot lub chaty wiejskie. Chyba muszę pozazdrościć ci wszyscy, którzy nie mogą się pomieścić na zagranicznych plażach.

Mazury zaczynają ściągać coraz więcej turystów. Morze, zwłaszcza Bałtyk, przestaje być atrakcyjne, góry à la Tatry są i w innych krajach, ale takiego kraju jak „ziemia tysiąca jezior”, poza Finlandią, która jest chłodniejsza, nie ma. To magnes dla dzisiejszego nerwowego człowieka, żyjącego w ciągłym pośpiechu.

Oświęcim — brak słów... Zatrzymamy się lepiej w milczeniu, uczcijmy pamięć tych, którzy nie doczekali.

Przed bramą obozu młodzi chłopcy puszczają modele samolotów. Oby zawsze były to tylko zabawki...



Statek „Lidice” w porcie szczecińskim. Ile skojarzeń nasuwa to zdjęcie CAF-u. — Czechosłowacki statek noszący nazwę zgładzonej przez hitlerowców wioski, w polskim porcie...

Płyniemy z prądem Dunajca. Fantastyczne masywy skał, malownicze zbocza, kręta wstęga rzeki. Z prawej strony Słowacja. Małe dzieciaki na brzegu machają do nas na powitanie. ... „Płynie nasza pieśń po wodzie...” odpowiadamy fliśkającą piosenką.

W myśli przesuwają się obrazy, poznane miasta, znajome twarze. Historyczne zabytki, miejsca bitew, zamki i muzea. Fabryki, nowe osiedla, teatry, ośrodki wczasowe.

To wszystko Polska. Polska, która ma 1000 lat. Nowa Polska, która dwudziestego drugiego obchodzi dwudzieste drugie urodziny. Hucznie świętowaliśmy polskie Milenium. Nie tylko jako polską rocznicę. Jako okazję do zamianifestowania, że 1000 lat liczy czesko-polska przyjaźń. Przyjaźń, która trwa właśnie od samego początku istnienia naszych krajów.

TADEUSZ SIWEK

200 numerów „Zwrotu”

Jubileusz skłaniają do refleksji. Przed dwoma laty obchodziliśmy 15 rocznicę powstania „Zwrotu”, tym razem przypada nam odnotować 200 numer tego miesięcznika; wydarzenie raczej skromne, nie upoważniające do wielkich podsumowań i uogólnień.

Zresztą swoistego podsumowania dokonali sami czytelnicy w ogłoszonej przez redakcję ankiecie. Czytelnicy starali się sformułować nie tylko swój pogląd na dotychczasową treść „Zwrotu”, ale próbowali również przekazać redakcji swoje życzenia, poglądy, wnioski zmierzające — według ich zdania — do

wzbogacenia i uatrakcyjnienia pisma.

Warto podkreślić, że od samego początku powstania „Zwrotu” czytelnicy pragnęli w piśmie widzieć komentatora i przewodnika w problematyce, która jest nam najbliższa, dotyczy naszego bytu narodowego, kulturalnego i społecznego, naszej roli w procesie wielkich przemian i przeobrażeń ustrojowych i obyczajowych; szuka w nim odpowiedzi na te nurtujące pytania, na które gdzie indziej odpowiedzi znaleźć nie może, już choćby z tej prostej przyczyny, że „Zwrot” jest jedynym periodykiem polskim o profilu kulturalno-społeczno-lite-

rackim, pomijając „Głos Ludu”, który charakterem zbliża się raczej do dziennika z przewagą materiałów informacyjnych i doraźnych.

Już w pierwszym numerze miesięcznika w artykule wstępnym redakcja postulowała swój program, pisząc m. in.: „Na łamach »Zwrotu« winniśmy znajdować odpowiedzi na wszystkie skomplikowane pytania. Słuszną na nie odpowiedź nie będzie wymyślona przez tego lub innego redaktora... ale będzie wypadkową różniących się częstokroć od siebie zdań i sądów znacznej ilości aktywistów kulturalnych.”

Postulat niewątpliwie słuszny, ustalający rolę „Zwrotu” jako trybuny dyskusyjnej, wymagający równocześnie od redakcji inicjatywy w podsumowaniu tej dyskusji, wyciągania z niej wniosków

Kiedyś, dla doraźnych celów, owszem nie w interesie PZKO, ukuto sformułowanie, że PZKO w zaraniu swego istnienia był organizacją apolityczną, odznaczającą się od zdeklarowania jasnej postawy ideowej. Zarzut ten był bezpodstawny, urojony i krzywdzący. To prawda, że w pierwszym projekcie statutu

A przecież było publiczną tajemnicą,

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że w tym szlachetnym zapędzie i zapale posuwano się często za daleko, wulgaryzując i upraszczając pewne procesy z pozycji lewackiego radykalizmu. To lewactwo, ten radykalizm polityczny, nie liczący się z społeczeństwem, z takim, jakie ono wtedy było, zniechęcał zdeorientowanych ludzi do aktywnego współdziałania, za co zbyt pochopnie posądzano ich o apolityczność, reakcyjność czy nacjonalizm.

Żeby nie być gołosłownym przypomnę tylko, jak z tej gorliwości ideowej zrodziły się poglądy, przychylające się do zwalczania obchodów dożynkowych, śmigtu, wianków, bo co to daje socjalizmowi, zwalczano bajki w teatrze kukielkowym, bo po co zawracać głowy maluchom królem i krasnoludkami, kiedy można im mówić o Miczurinie, nawet czepiano się Szekspira, bo co te jego duchy pomogą nam w współdziałaniu wsi.

Wspominam o tym dlatego, bo czas zaciera ślady, a nam trzeba pewne rzeczy zapamiętać po to, by w przyszłości ustrzec się błędów i wypaczeń.

Bądźmy krytyczni ale i sprawiedliwi. Cudów nie ma. Chociaż nie zawsze robimy to, na co nas stać, to nawet przy największych wysiłkach poziom „Zwrotu” uzależniony będzie i ograniczony ograniczonością regionu i jego specyfiki.

Świadomość celu i pasja, której towarzyszy mądra gotowość i cierpliwość wyzyskania dla dobra sprawy każdej chwili, może być siłą, która pokona największe trudności.

Z okazji jubileuszu 200-nego numeru drukujemy wiersz ze zbioru „Przednówek“ współtwórcy i pierwszego redaktora „Zwrotu“, Pawła Kubisza, wybitnego poety śląskiego.

Roz zbujnicki duchy wstały...

Od złota wszyscy kapali —
Światło sie straszeczne stało,
I po gróniach zadudniało;
Bo zbujnicy tańcowali,
A było jich kupa, hók,
Ryp... rymkoci tupot nóg!

Po dziedzinach psy harwoszóm,
Dziwki tęgi rżóm w pościeli —
Krew im w piersiach mlyko bieli,
Zbujnicy sie szumnie noszóm...
...A tańczy ich hrómsko moc,
Tańczy ś nimi czorno noc!

Tańczy ś nimi każde drzewo,
Śmierć po trómach pogwizduje:
— He... Z Ondraszkym tańczóm
zbuje —
Jedna jedla z drugóm śpiwo...
A tańczy jich wielko moc,
I rogato tańczy noc!

**W gałęziskach śmiał się wieszko,
Drzędzą czkani przez potoki.
W gróniach mamrzą stare roki,
Zbują w tańcu iskry krzeszą –
Łysom Góróm dyrbie strach,
Łu-pu... cupu, gruch, buch, ciach!**

**Na złamanym łobreczysku
Siedzi kudłate dioblisko,
Na palczykach gwizdzie, pisko –
Żle mu świący prosto z pysku!
Wszystki drzewa w pas sie gnóm,
Tęgi dziwki w chcyniu rżóm...**

**Do miesiöncka na mietlisku –
Jeżdżóm sagi czarownicy...
– Tańczóm dziwki krasawice,
Pelno w gróniach łómu, pisku!
Tańczy radość, tańczy smiyh;
Całowani... wszystek grzyh!**

Śmierć się zgibo, szurzy boki —
Po grzebiyniu gymbóm smyko
Z jakimś dziwnóm muzykóm...
...W drzewach zarżoł śmich
dziwoki —

**Tańczy zbuji wiera, moc,
i czartowsko tańczy noc!**

W boru siadła blade cicho,
Nic sie nigdzie nie wieruszy...
Wygnało precz zbuji lichu –
...I bór zostół jak bez duszy!
– A było jich srogo moc
Kiej sie w czornóm zesziłi noc!



Ludzie, którzy drukują „Zwrot”



Józef Urbańczyk przy swej maszynie.
Foto Wł. Wojnar.

Wszystkich 200 numerów „Zwrotu” włącznie z obecnym, jubileuszowym, zostało wydrukowanych w czeskosieczyńskiej drukarni przy współudziale pracowni chemigraficznej w Ostrowie, kierowanej przez J. Horkiego, która wykonuje klisze. Wydanie 200-nego numeru jest okazją do zaznajomienia czytelników z grupą pracowników drukarni, którzy zamieniają 40—45 stron maszynopisu (tzw. rękopisy) i kilkanaście zdjęć, włącznie z ilustracjami, w gotową gazetę.

Zacznijmy kolejno.

Najpierw przekazuje redakcja około 15—25 zdjęć i ilustracji do pracowni chemigraficznej w Ostrowie, gdzie sporządzane są klisze.

Mniej więcej równocześnie otrzymuje zecer maszynowy Józef Urbańczyk wspomniane kilkadziesiąt stron maszynopisu i odlewa (składa) je na maszynie linotypowej (coś jak olbrzymia maszyna do pisania z równoczesną wytwórnią czcionek czy raczej gotowych rzędów) do szpalt o różnej szerokości i rodzaju pisma.

Potem następuje najważniejsza czynność — łamanie. Po przeprowadzeniu korekty odbitych szpalt przez korektorów drukarni, przystępuje do pracy zecer-metrampaż, który według wykonanej przez redakcję z odbitek szpalt i klisz makiety, układa odlane szpalty do odpowiednich form (matryc) jako poszczególne strony pisma, wykonując równocześnie z luźnych dużych czcionek ręcznie tytuły artykułów. Przy tej czynności uczestniczy zawsze redaktor, jako że tutaj realizuje się jego koncepcja układu graficznego numeru.

Na odbitkach złamanych stron przeprowadza redakcja ostateczną korektę (tzw. autorską) oraz wyznacza, które ich elementy mają być wydrukowane w kolorze.

W korekcie zecer na nowo składa te rzędkie, w których znaleziono błąd, a metrampaż wkłada je do matryc w miejsce niewłaściwych oraz układa dalszych

8 stron z tekstem, który będzie drukowany w kolorze.

Z kolei 24 matryc przechodzi do maszynowni, gdzie formuje się je do trzech dużych płyt po 8 stron i w ten sposób „Zwrot” przygotowany jest do druku. Przed ostatecznym zamontowaniem poszczególnych płyt do maszyny drukarskiej, przeprowadza się jeszcze rewizję korekty.

Po wydrukowaniu wędruje stos podrukowanego papieru do introligatorni, gdzie specjalne maszyny nadają mu kształt gotowych egzemplarzy pisma. Zakończeniem całego procesu produkcyjnego pisma, który od chwili złożenia rękopisów trwa około 10 dni, jest ekspedycja, to jest nalepianie adresów i pakowanie przesyłek wprost do worków pocztowych. Pracę tę od wielu lat wykonuje ofiarnie Helena Dulawowa oraz Karol Heczko.

Wszystkie wymienione czynności oraz wiele dalszych (jak podkładanie klisz, transport wewnątrz zakładu, wielokrotne odbijanie na różnych maszynach szpalt i stronic, przygotowanie papieru itd.) wykonują co miesiąc z reguły ci sami pracownicy drukarni. Jest to około 30 ludzi, którzy są w jakiś sposób zaangażowani przy produkcji każdego numeru. Dla niektórych stanowi to tylko drobny wycinek w całodziennym gonitwie raz w miesiącu. Kilku jednak poświęca naszemu piśmu więcej czasu i jest ono dla nich czymś dużo więcej niż dla przeciętnego czytelnika.

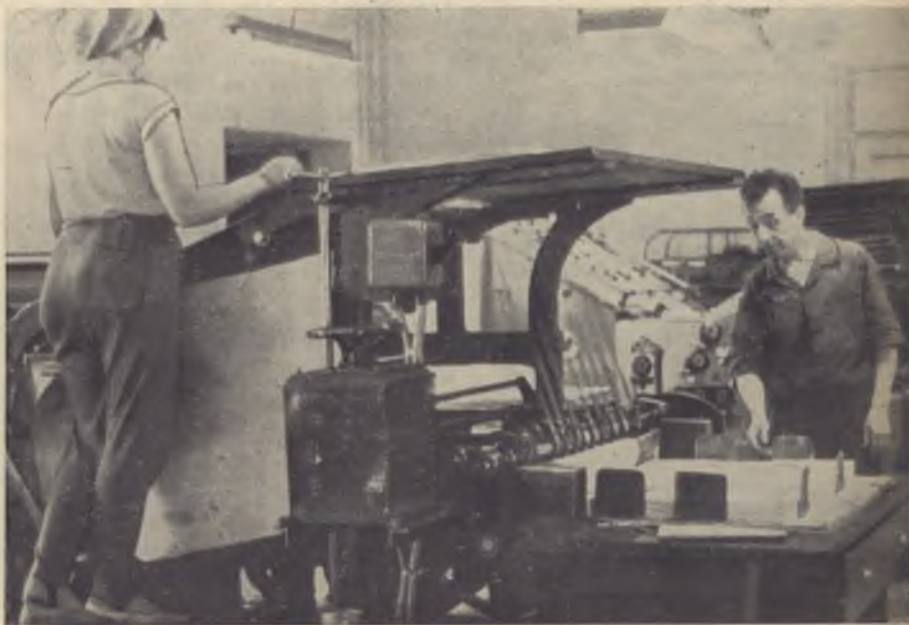
Są to Józef Urbańczyk, zecer maszynowy, który od roku 1960 co miesiąc „napisze” cały „Zwrot” litera po literze na

swej maszynie linotypowej (przed nim od czasu powstania pisma w grudniu 1949 r. składał „Zwrot” Emil Nowak), Wiktor Semboł, który również od r. 1960 łamie co miesiąc „Zwrot” (przedtem J. Pachlopník) oraz dwójka drukarzy Walter Kocurek i Robert Pfeffer, którzy na „swoich” maszynach najczęściej go drukują.

Tych czterech pracowników drukarni zaprosiliśmy do redakcji na rozmowę. Oprócz wielu innych, ciekawych rzeczy, dowiedzieliśmy się z niej, że:

Zecer maszynowy Józef Urbańczyk pracuje w swym zawodzie, oprócz przewspowodowanych przed wojną czteroletnim bezrobociem oraz w czasie okupacji przeniesieniem do robót przeznaczonych dla Polaków, od ukończenia szkoły. Najpierw w drukarni frysztańskiej, a od roku 1945 w drukarni czeskosieczyńskiej.

Jest pierwszym, bardzo wnikliwym czytelnikiem „Zwrotu” i jednym z niewielu, którym za to „czytanie” płacą (oprócz korektorów). Czyni to zresztą z przyjemnością. Jako członek i działacz PZKO od założenia Związku w roku 1947 (m. in. członek orkiestry „Górnika” i „Przyjaźni”) bardzo interesuje się sprawami publikowanymi w naszym miesięczniku. Tym bardziej, że jak twierdzi, redakcja „Zwrotu” dostarcza najlepsze rękopisy (chodzi o czystość i poprawność maszynopisu — jest to zasługa naszej sekretarki), z wszystkich, jakie otrzymuje do składania, czego nie możemy nie podkreślić. Jako czytelnik proponuje wprowadzić więcej informacji kronikarskich, zamiast niezrozumiałych wierszy i słabych materiałów satyrycznych.



W. Kocurek podczas drukowania czerwcowego „Zwrotu”. Foto Wł. Wojnar.

Metrampaż *Wiktor Sembol* wyuczył się rzemiosła drukarskiego od swego ojca w drukarni frysztackiej. W Cz. Cieszynie pracuje od siedmiu lat. Obecnie od pół roku jest zastępcą mistrza zecerni, ale pracy przy „Zwrocie” nie zaniechał. Bardzo nas to cieszy, jako że jest cenionym fachowcem w swym zawodzie, co znajduje swój wyraz tak w układzie graficznym pisma, jak i w precyzyjnym przygotowaniu matryc do druku. [Najlepiej oceniają to drukarze.]

Drukarze *Walter Kocurek* i *Robert Pfeffer* są wychowankami (jeśli tak można powiedzieć) drukarni czeskokocieszyńskiej. Starszy Kocurek rozpoczął pracę „u Prochazki” w roku 1932. Pfeffer w r. 1943. Robert Pfeffer drukował pierwszy numer „Zwrotu” w 1949 r. W dawniejszych latach drukowali również „Głos Ludu”.

Podobnie jak pracownicy zecerni obaj starają się jak najlepiej współpracować z redakcją. Świadczy o tym przykład z kwietnia br., kiedy W. Kocurek drukował bezinteresownie większą część nakładu „Zwrotu” po raz drugi w kolorze, zauważywszy poważny brak w gotowych egzemplarzach pisma.

Ta dobra współpraca redakcji z zecerami i drukarzami, to w dużej mierze również efekt przychylnego nastawienia do pisma kierownictwa drukarni z dyr. *Karolem Grimem* na czele, a szczególnie mistrzów — zecerni *Pawła Szejka*, działacza PZKO, przewodniczącego Koła w Wędryni-Zaolziu, sympatycznego i solidnego mistrza maszynowni *Józefa Pindura* oraz mistrza introligatorni *Rich. Bruka*.

Rozmowa przy redakcyjnym biurku, do której oprócz zecerów i drukarzy dołączył również *Józef Pindur*, toczyła się zresztą na różne tematy. Wszyscy zgodnie podkreślali słusność i potrzebę unowocześnienia, zmianę formatu i układu graficznego pisma, stwierdzając, iż w drukarni są wszelkie warunki po temu, aby postulaty te zrealizować.



Józef Horký w swej pracowni.

Mowa była i o tym, jak to kiedyś wydrukowano na odwrot ilustrację (bo to ci malarze dzisiaj tak malują, że nie wiadomo jak to postawić), albo jak wydrukowano jeden grudniowy „Zwrot” z listopadowym numerem (co spowodowało reklamację niektórych instytucji domagających się dwunastego numeru), przy czym z wypowiedzi zecerów wynikało, że to „zafazolili” drukarze, zaś dla drukarzy nie ulegało wątpliwości, że wszystkim winni zecerzy.

Wyszło też na jaw, że wszyscy nasi rozmówcy są nie tylko cenionymi fachowcami swego zawodu, ale niemniej znają się również na pracach domowych — zwłaszcza Robert Pfeffer. Tak się przy tym składa, że oprócz W. Kocurka, który ma syna i córkę, wszyscy pozostali są ojcami córek, czyli podwójnymi „pantoflarzami”.

Rozmowa upłynęła, jak mówią dyplomaci, w serdecznej atmosferze, a jej doraźnymi wynikami było ustalenie wielu spraw technicznych, których wprowadzenie w czyn powinno jeszcze więcej usprawnić obopólną współpracę, tak potrzebną szczególnie w związku z planami unowocześnienia pisma.

JAN RUSNOK

Wielkie dni Bielska-Białej

To był prawdziwy maraton kulturalny — imprezy sypały się jedna po drugiej jak z rogu obfitości; bielszczanie dosłownie nie mieli chwili wytchnienia, jeśli nie liczyć oczywiście przyjemnych wrażeń, jakich doznaje uczestnik imprezy artystycznej. „Dni Bielska-Białej” — impreza-mamut, o jakiej dawno marzyło się działaczom kulturalnym i wszystkim miłośnikom sztuk pięknych, przybrała realne kształty — wielki festiwal teatralny, pieśni i tańca trwał przez bite dwa tygodnie. Impreza-olbrzym, jak na warunki stutysięcznego miasta, bardzo zróżnicowana w swym charakterze, zaspakajająca najszybsze marzenia niejednego bielszczanina, swoją formą, poziomem artystycznym i zdumiewającą treścią, olśniła dosłownie wszystkich.

Po raz pierwszy w tym roku organizowane Dni uświetniły na Podbeskidziu ogólnopolskie obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego i odtąd organizowane będą co roku. Nie jest to impreza par excellence regionalna — zaproszono do Bielska wielu artystów i całych zespołów z głębi kraju, a nawet z zagranicy, a jednak w swej ideowej treści opiewa region i folklor beskidzki, podkreśla znaczenie Bielska-Białej jako wielkiego skupiska kulturo-twórczego. Swym charakterem odbiega od wiślańskiego Tygodnia Kultury Beskidzkiej, a mimo wszystko jak najbardziej nawiązuje do pięknych ludowych tradycji Podbeskidzia, do jego bogatych treści kulturalnych.

Można by Dni Bielska-Białej, które

trwały od 15 do 29 maja, podzielić na dwa zasadnicze plony imprez — na występy zespołów amatorskich i na imprezy zespołów zawodowych. W bielskim Domu Muzyki, będącym już od dawna przybytkiem wszystkich miłośników Euterpe, trwał przez cały tydzień wielki festiwal pieśni i tańca. Tutaj przedstawiły swój bogaty dorobek artystyczny liczne zespoły amatorskie z Bielska-Białej, powiatu bielskiego, chóry i zespoły taneczne, wśród których wysoką ocenę zdobył sobie świetny zespół regionalny „Beskid” z Bielska-Białej. Na tej samej scenie wystąpił także węgierski zespół ludowy oraz chóry PZKO z Czeskiego Cieszyna z solistą Oswaldem Buglem. Oba te zespoły zaskarbiły sobie wielką sympatię publiczności bielskiej, która przyjęła je wręcz owacyjnie. Tutaj również popisywały się zespoły cieszyńskie, wśród nich znany w CSRS Zespół Ziemi Cieszyńskiej.

Prawdziwą ucztą duchową dla wszystkich miłośników Melpomeny była wielka rewia teatralna w Teatrze Polskim. Dużym wydarzeniem był przyjazd Teatru Narodowego z Warszawy ze sztuką S. Żeromskiego „Przepioreczka”, w której tytułową rolę kreował znakomity artysta polski Gustaw Holoubek. Prawdziwym ewenementem było również „Tango” Sławomira Mrożka, wystawione w najlepszej obsadzie przez teatr krakowski. Bielski teatr natomiast przygotował na Dni Bielska-Białej klasyczną sztukę polską wg Mikołaja Reja pt. „Żywot Józefa”. W teatrze bielszczanie oglądali jeszcze dra-



Wiktor Sembol przy pracy. Foto W. Wojnar.

mat pt. „Sułkowski” w wykonaniu artystów katowickiego teatru oraz operę G. Verdiego pt. „Otello” w wykonaniu Opery Śląskiej. W tym samym czasie w bielskim teatrze lalek „Banaluka” trwał festiwal sztuk lałkowych. Prezentowały się zespoły z Bielska, Katowic, Ostrawy, Łodzi, Opola i Warszawy.

Dużym wydarzeniem były dwie sesje naukowe, poświęcone dziejom regionu cieszyńskiego ze szczególnym uwzględnieniem historii Bielska-Białej. Sesje zorganizował Śląski Instytut Naukowy, Towarzystwo Miłośników Bielska-Białej i ZMS.

Przy dużej frekwencji odbyły się rów-

nież wieczory autorskie kilku wybitnych pisarzy i publicystów polskich, m. in. Wilhelma Szewczyka, Jerzego Lovella i Janusza Meissnera. W ramach spotkań z bielską publicznością odbyły się także dwie wieczornice z udziałem literatów i publicystów z czeskiego Śląska Cieszyńskiego — Henryka Jasiczka, Jana Rusnoka i dr Tadeusza Siwka.

W mieście czynne były dwie wystawy malarskie: w pawilonie wystawowym znajdowała się ekspozycja malarzy bielskich i obcych, a w muzeum — wystawa prac Juliana Fałata.

Trudno tu wymienić wszystkie imprezy, zorganizowane w Dniach Bielska-

Białej. Był w tym czasie w Bielsku „Śląsk”, był reprezentacyjny zespół Wojska Polskiego, byli zagraniczni pianiści, były zagraniczne drużyny sportowe, m. in. z Węgier i CSRS. Słowem przez dwa tygodnie Bielsko-Biała przeżywało swe Wielkie Dni, które szerokim echem odbiły się w całym kraju.

Ranga tych imprez pozwala przypuszczać, że w przyszłości Dni Bielska-Białej zainteresują nie tylko szerokie rzesze mieszkańców Podbeskidzia, ale że do Bielska przyjadą na te uroczystości liczni goście z całej Polski, a kto wie czy nie również przedstawiciele społeczeństwa okręgu ostrawskiego.

(*wiać*)

O problematyce narodowościowej w Czechosłowacji

(c. d. VI)

Jakie to były warunki, które nadały ostateczny charakter walce narodowowyzwoleńczej w całej Europie, i które zaważyły także na rozwiązywaniu problemu narodowościowego u nas w r. 1945?

Nadzieje Hitlera na zawarcie pokoju z Zachodem i na wsparcie agresji przeciw ZSRR jego reakcyjnymi kołami nie urzeczywistniły się. Napaść na Związek Radziecki przyczyniła się natomiast do powstania koalicji antyhitlerowskiej, w której obok ZSRR znajdowały się także zachodnie państwa burżuazyjno-demokratyczne. Odpowiednikiem tej koalicji w krajach ujarzmionych był ruch oporu, w którym uczestniczyli nie tylko komuniści, ale i część burżuazji — oczywiście z pewnymi wariantami, które odpowiadały warunkom danego kraju. Np. w Jugosławii reakcyjna polityka rodzimej burżuazji doprowadziła do jej wykluczenia z walki narodowowyzwoleńczej, która stosunkowo szybko nabrała charakteru walki o socjalizm. Antyradzieckie tendencje ośrodków reakcyjnych doprowadziły w Polsce do rozszczepienia przeciwfaszystowskiego ruchu oporu. Fakt ten skomplikował tak walkę narodowowyzwoleńczą, jak i przejście do stosunków powojennych.

Powstanie światowej koalicji przeciwfaszystowskiej i narodowowyzwoleńczych ruchów oporu w krajach podbitych w sytuacji, kiedy faszyzmowi niemieckiemu udało się w zupełności złamać opór niemieckiej klasy robotniczej czy też pozyskać jej część dla swojej polityki lub uczynić z nich istoty biernie, było koniecznością. Pokonanie faszyzmu było pierwszym zadaniem, któremu należało podporządkować wszystko. Koalicja przeciwfaszystowska była narzędziem do osiągnięcia tego celu.

Koalicja ta bywa z reguły oceniana tylko według jej udziału w ostatecznym rozgromieniu faszyzmu, a także według tego, w jaki sposób przyczyniła się do rozwoju socjalizmu w krajach Europy

środkowej. Mniej uwagi poświęca się zagadnieniu, w jaki sposób koalicja ograniczała siły socjalistyczne, zmuszała je do zadowolenia się minimalnymi osiągnięciami i wpłynęła na dzisiejszy nasz rozwój. Rozważanie nad tymi problemami nie jest równoznaczne z zapomnieniem o historycznej konieczności koalicji przeciwfaszystowskiej. Należy więc zwracać uwagę także na jej wewnętrzne sprzeczności i na następstwa, jakie wynikły ze współpracy zaangażowanych w niej sił antagonistycznych.

Antagonizmy wewnętrzne koalicji przeciwfaszystowskiej (z jednej strony ZSRR i komuniści, z drugiej zaś zachodnie państwa imperialistyczne i burżuazyjni uczestnicy walki z faszyzmem niemieckim) spowodowały, że żadna z powyższych sił nie mogła osiągnąć (nie miała

nawet realnych szans) rozwiązania, które by odpowiadało jej charakterowi, a także jej zainteresowaniom i wyobrażeniom. Główny cel, który stał przed nią (porażka państw faszystowskich), wymagał wzajemnych ustępstw, takich samych kompromisów, których piętno zauważamy tak na powojennym uregulowaniu najróżniejszych spraw, jak i na rozwoju dzisiejszym. Dotyczy to także problematyki narodowościowej, o którą nam tu szczególnie chodzi.

W wypadku zwycięstwa nad faszyzmem tylko zachodnich mocarstw imperialistycznych, a równocześnie osłabienia (w wyniku wojny) ZSRR, jak oczekiwano na Zachodzie, i jego wykluczenia z uczestnictwa w decyzjach powojennych — odpowiadałoby temu powojenne ugrupowanie. O tym, jak by wyglądało,



Żniwa w pełni. Foto R. Fierla.



Z rewii dziecięcej w Cz. Cieszyńskie. Małe baletnice z Suchoj Górnjej. Foto Wł. Wojnar.

świadczą plany najbardziej reakcyjnych kół Zachodu, propagowane od czasu do czasu podczas wojny. Jeżeli chodzi specjalnie o nas, wiadomo, że Zachód długo zwlekał z odwołaniem Monachium. Powstawały tam także rozmaite fantastyczne koncepcje utworzenia różnych form państwowych, włącznie wariantów odnowienia habsburskiej monarchii naddunajskiej. Chciano w ten sposób wykorzystać antagonizmy narodowościowe, hegemonię jednych nad drugimi w celu zapewnienia panowania imperializmu zachodniego nad krajami Europy środkowej oraz osłabić siły ludowe, uczynić z Europy środkowej przedmurze, które miałyby chronić Zachód przed wpływami ZSRR i socjalizmu. Chodziło o plany bardzo niebezpieczne, skierowane nie tylko przeciw interesom socjalnym mas pracujących, ale także przeciw najistotniejszym interesom całych narodów. Taki wynik wojny oznaczałby tylko odnowienie starych sporów narodowościowych i starych stosunków burżuazyjnych między narodami, aczkolwiek w nowej formie i na innej płaszczyźnie.

ZSRR i komuniści wspólnie z siłami ludowymi uniemożliwili zrealizowanie tych planów. Ponieważ w naszych krajach zwyciężył socjalizm i partie komunistyczne, a powojenny podział trwa do dziś, jest to rozwiązanie uważane często za adekwatne socjalizmowi i „definitywne”. Zapomina się jednak, że postępowanie ZSRR i komunistów w r. 1945 musiało odpowiadać ówczesnej sytuacji, że chodziło o kompromis, a więc o coś, co nie w zupełności odpowiada socjalizmowi, co posiada obok pierwiastków socjalistycznych także pierwiastki stare, niesocjalistyczne, które, prędzej czy później, będzie trzeba przezwyciężyć i zastąpić rozwiązaniem pełniej odpowiadającym charakterowi, potrzebom i metodom socjalizmu.

Kompromis ten był w owym czasie

niezbędny. Nie można go więc uważać za błąd. Innej możliwości wówczas nie było. Także dzisiaj musimy pozostać przy niektórych formach wtedy wytworzonych, warunki bowiem (chodzi nie tylko o warunki wewnętrzne w CSRS, w obozie socjalizmu, ale i o ogólnoswiatowe) nie dojrzały na tyle, byśmy mogli pójść dalej.

Te niezbędne kompromisy historyczne zasłaniały i zasłaniają wielu ludziom wyobrażenie o socjalizmie właściwym, normalnym. Rozwiązanie kwestii narodowościowej będzie w przyszłości uzależnione od warunków związanych z tym problemem. Z przeszłego stadium pozostanie tylko to, co będzie odpowiadało wyższemu etapowi rozwoju socjalizmu i stosunkom międzynarodowym, pozostaną także te aspekty, których zmiana byłaby nie celowa względnie niemożliwa itd. Wyższe formy rozwiązania kwestii narodowościowej zastąpią to, co było w niej tymczasowe, uwarunkowane sytuacją, wymuszone istnieniem świata i warunków niesocjalistycznych.

Nie chodzi tutaj tylko o kwestię narodowościową, lecz o cały kompleks konkretnych form, konkretnych dróg rozwojowych socjalizmu, o samą jego istotę. Stosunek tych konkretnych form socjalizmu do jego istoty (zwłaszcza jeżeli chodzi o socjalizm rozwijający się, tzn. kiedy społeczeństwo przechodzi od etapu przedsocjalistycznego do pełnego socjalizmu) jest podwójny: z jednej strony istota socjalizmu w jego konkretnych warunkach zdobywa coraz to mocniejsze pozycje, z drugiej zaś te konkretne formy socjalizmu, zwłaszcza na początku jego rozwoju, mają dużo pierwiastków (wprawdzie niezbędnych w danym okresie), które jednak nie odpowiadają istocie socjalizmu, są z nim sprzeczne. Nie można więc ich uważać za socjalistyczne. Pierwiastki pierwszego typu należy w miarę rozwoju socjalizmu umacniać,

drugie zaś muszą ulec przekształceniu, należy je stopniowo eliminować, a w ich miejsce wprowadzać pierwiastki właściwe socjalizmowi. Dotyczy to zarówno spraw ogólnych, jak i specjalnej dziedziny stosunków narodowościowych.

W celu przybliżenia tego, co w kwestii narodowościowej odpowiada istocie socjalizmu, i w celu skonkretyzowania tego wyobrażenia, które by umożliwiło w stosunkach narodowościowych lepiej odróżnić warstwę tymczasową od trwałej, wskażemy na plany Lenina z końca pierwszej wojny światowej. I one były wprawdzie uwarunkowane danym okresem, ale w odniesieniu do ówczesnej sytuacji jasno i poglądowo wskazywały na podstawę socjalistycznego rozwiązywania kwestii narodowościowej.

Lenin pod koniec pierwszej wojny światowej żądał: zupełnego odgródzenia się od polityki burżuazyjnej w kwestii narodowościowej — tak pod względem treści, jak i form; zupełnego zlikwidowania jakiegokolwiek ucisku narodowościowego, jakiegokolwiek niesprawiedliwości w tym względzie; wyzwolenia wszystkich narodów bez wyjątku; wyrzeczenia się rekryminacji jednych narodów względem drugich; zlikwidowania wszelkich przywilejów narodowościowych; konsekwentnego zrealizowania prawa narodów do samostanowienia aż po utworzenie samodzielnego państwa, tzn., że należy narodom stworzyć takie warunki, by mogły same, bez obcej interwencji z zewnątrz, decydować o swoim przyszłym życiu; wytworzenia na tej podstawie nowych stosunków między narodami, które cechowałaby równość, poszanowanie praw, nie mieszanie się do obcych interesów, wzajemna współpraca i pomoc. Oznaczałoby to najczystsze rozwiązanie tego problemu na podstawie istniejących stosunków etnicznych, utworzenie możliwie czystych państw pod względem etnicznym (oczywiście pod warunkiem zgody ludności. Zastrzeżenie to jest konieczne. Wystarczy tylko przytoczyć przykład Alzatzyków, którzy pod względem etnicznym i z pochodzenia są Niemcami, zawsze jednak inklinowali do Francji). Państwa te mogłyby być zupełnie samodzielne. Można przypuszczać, że z likwidacją starych stosunków zanikałaby wzajemna nieufność, a zaczynałyby się przejawiać tak niedociągnięcia wynikające z wzajemnej izolacji, jak i korzyści z współpracy i zjednoczenia, potrzebne zwłaszcza z punktu widzenia ekonomiki. Konsekwentne wprowadzenie demokracji w stosunkach między narodami nie ma bowiem na celu ich izolacji — wręcz na odwrót, jest warunkiem dobrowolnego, obopólnego korzystnego i trwałego zjednoczenia się wszystkich państw socjalistycznych w jedną całość. Historycznym przejawem tej decydującej tendencji socjalizmu stało się po WSRP połączenie wyzwolonych narodów Rosji w ZSRR. Dzisiejszy obóz socjalizmu pozostaje przy systemie państw samodzielnych. Nie można tego jednak uważać za rozwiązanie definitywne i dla socjalizmu typowe. Stan ten jako efekt

Konkretnego rozwoju po drugiej wojnie światowej, ma dotychczas pewne podstawy. Przyszły rozwój będzie wymagał jego zmiany, zastąpienia dotychczasowych form innymi, odpowiadającymi wyższemu stopniowi rozwoju socjalizmu, a także jego potrzebom, tzn. i potrzebom narodów i stosunków między nimi na danym stopniu rozwoju.

Jest chyba jasne, że w r. 1945 nie było

warunków do urzeczywistnienia takiego rozwiązania kwestii narodowościowej, które by ściśle odpowiadało istocie socjalizmu. Socjalistycznym państwem był wtedy tylko Związek Radziecki (który takie rozwiązanie wprowadził w obrębie swych granic). Dzisiejsze państwa socjalistyczne były wtedy państwami ludowodemokratycznymi. O powojennym podziale świata decydowały obok ZSRR

także zachodnie mocarstwa kapitalistyczne. W rządach krajów ludowodemokratycznych uczestniczyli także przedstawiciele burżuazji. Rozwiązanie musiało więc być przystępne dla wszystkich, musiało być zrozumiałe szerokim masom, musiało odpowiadać ich doświadczeniom i poziomowi ich uświadczenia.

KAREL POMAIZL

Marginalia o kulturze i sztuce

Początkowo zamierzałem ograniczyć swoje uwagi do poezji i prozy, którą „Zwrot” drukował w roku 1965; kiedy jednak zgromadziłem pewne materiały doszedłem do przekonania, że zawężenie problematyki do tych dwóch działów, bez dostrzeżenia sztuki i kultury w ogóle, jaka prezentuje się na stronicach tego miesięcznika — oznaczałoby rezygnację z okazji konfrontacji, porównania jednego z drugim, rezygnację z podsumowań ogólniejszych, a prawdopodobnie również pożyteczniejszych.

Rola „Zwrotu” jest szczególna, czasopismo ma swoje specyficzne posłannictwo; pełniąc funkcję miesięcznika kulturalno-społecznego, podejmuje również żywotną problematykę regionu, któremu służy. Nic więc dziwnego, że poświęca sporo uwagi pożytecznej działalności Kół PZKO, organizacji i ciągłości życia kulturalnego Polaków w CSRS, problematyce układów stosunków polsko-czeskich itp. „Zwrot” kładzie nacisk na zagadnienie politycznego zaangażowania, nie widzi go w zwężonych ramach regionu, tylko stara się je rozpatrywać w skali ogólnopolskiej czy też w zgodzie z nurtami ogólnoswiatowymi. Redakcja wie do kogo adresuje swoje pismo, respektuje wymagania czytelników; wie, że komunikatywność jest podstawowym warunkiem zjednania ich przychylności i w przyszłości będzie trzeba niejednokrotnie upraszczać pewną problematykę po to, by wyrażać ją jaśniej i pełniej.

Wierszy i utworów literackich drukuje „Zwrot” proporcjonalnie dość dużo. Czasami wydaje mi się, że mniej oznaczałoby więcej. 24 wierszy w roczniku 1965 i szereg wierszy w pierwszych numerach 1966... Czy trzeba drukować tyle poezji? Nie jestem przeciwnikiem poezji jako takiej, ale jestem przeciwko poezji złej, marnej, użytkowej i doczesnej. Redakcja na pewno nie ma kłopotu z napływem wierszy (taka sama lawina zalewa również inne redakcje), ale wydaje mi się, że dążenie do drukowania wierszy autorów polskich z Czechosłowacji równa się niekiedy próbom swoistego kompromisu, zbyt daleko idącej taryfy ulgowej. Kompromisy w sztuce prędkiej czy później trafiają w samą szturkę. Wielkoduszna selekcja nie pomaga ani „Zwrotowi”, ani też publikowanym autorom. Są przecież inne jeszcze możli-

wości druku, gdzie mają szanse doraźne potrzeby twórcze, dyktowane potrzebą chwili („Głos Ludu”, gazety powiatowe, radio). Tymczasem w „Zwrocie” należałoby drukować wiersze o większych ambicjach. Jeśli „Zwrot” drukuje swoistą poezję ludową o nucie beskidzkiej czy krajobrazowej, jeśli to tak można nazwać, to należałoby w notatce redakcyjnej odnotować sylwetkę autora, społecznika i regionalne znaczenie jego twórczości. Takie podejście nie byłoby dyskryminacją, tylko próbą oznaczenia faktu, że poezja jest różna i że różność tę „Zwrot” z tych czy innych przyczyn chce akceptować. Rozumiem, że nazwiska Jasiczek, Sikora, nie mogą pokazywać się w każdym numerze (i tak pojawiają się najczęściej) i dlatego z zadowoleniem akceptowałem nowe nazwiska sąsiedniego regionu Katowic — T. Kijonka, B. Lubosz, R. Mrózek, A. Żak i inni. Z zadowoleniem pokwitowałem, że przy chronicznym braku krytyków i teoretyków sztuki „Zwrot” drukuje czasami prace W. Nawrockiego czy St. Wilczka, czy też prozę W. Ogrodzińskiego, H. Panasa, L. Proroka, J. Wantuły. Te głosy z polskiej strony są potrzebne, przynoszą one to, czego „Zwrotowi” często brakuje, dążenie do połączenia szerszych kontekstów z sytuacją ograniczonego regionu, a tym samym i życiową konieczność powiązania potrzeb lokalnych z sensem ogólniejszym.

Tu jesteśmy u poważnego problemu: w jakiej mierze wciągnąć sąsiednią kulturę i literaturę polską do kontekstu życia kulturalnego i literackiego naszego regionu? Jeśli można się oprzeć o autorów środowiska katowickiego, należałoby ich poprosić o systematyczną uwagę i śledzenie tego wszystkiego, co dzieje się wśród naszych polskich autorów z uwzględnieniem wymagań tutejszych czytelników. Nowych poetów, prozaików, krytyków, należy wprowadzać z umiarem, z rozważą, proporcjonalnie do zweryfikowanych treści. Redakcji o wiele łatwiej drukuje się prace autorów z Polski, których pióro się liczy, warto pomyśleć, by od czasu do czasu umieścić ich literackie portrety dla bliższej orientacji czytelników. Redakcja, pragnąc zadowolić czytelników, drukuje również sporo opowiadań. I tu należałoby się zastanowić co drukować. Jest dosyć

duże rozpięcie między autorem początkującym, czy też ustawicznie początkującym, a znanym pisarzem o randze ogólnonarodowej. Korzystniej będzie dla tekstu i dla autora jeśli podniesiemy wymagania. Poza wytrwałymi próbami prozatorskimi Sikory, nie odnalazłem w roczniku 1965 żadnego opowiadania, które przeczytałbym z zainteresowaniem. Wielu autorów ulega literackości, naśladuje obce wzory, niewiele mając od siebie do powiedzenia. Kształt literacki tych utworów jest anemiczny i nieprzekonywujący. Dział Powsinogi traktując w „Zwrocie” jako rubrykę reagującą na żywo, szukającą podniet w aktualnych potrzebach i problematyce dnia. Sporo tu żartów, sporo gry słów, taniego dowcipkowania. Tu i tam uda się fraszka Gaudynowi, Mańce.

Za bardzo potrzebne dla „Zwrotu” uważam pogadanki o sztuce. „Zwrot” ma swoją stałą rubrykę „Teatr i sztuka”, materiały teatralne wykazują jednak niekiedy wahania w poziomie teoretycznym. O problematyce Polaków w Cze-



Nadworny fotograf „Zwrotu” Wład. Wojnar w akcji. Foto R. Fierla.

chosłowacji mieliby pisać autorzy tutejsi, ci, którzy znają dokładnie problematykę i orientują się w jej rozwojowej i koncepcyjnej złożoności.

„Zwrot” miałby przede wszystkim dążyć do pełnej, prawdziwej i rzetelnej konfrontacji stanu sztuki polskich twórców w Czechosłowacji z stanem ogólnokrajowym i ogólnonarodowym. Wiem, że chodzi tu o postulat maksymalistyczny, ale czasami trzeba postulować maksimum by zmobilizować siły do realizacji najbardziej aktualnych i żywotnych zadań.

Życiem Polaków w Czechosłowacji, zwłaszcza jego życiem kulturalnym, interesują się ostatnio dość żywo w bratniej Polsce. Katowickie „Poglądy” przedrukowują czasami ze „Zwrotu” niektóre materiały polemiczne. Informują o tym, co dzieje się u nas ciekawego. Odnoto-

wuje ciekawe wydarzenia kulturalne z życia Polaków w CSRS „Życie Literackie”, nie mówiąc o „Trybunie Robotniczej”. Nawet w warszawskiej „Kulturze” komentowane są książki wydawane przez polskich autorów w ostrawskim wydawnictwie Profil. Tu i tam czytamy w polskiej prasie literackiej wiersze, fragmenty prozy, a nawet próby literacko-krytyczne. To wszystko zobowiązuje. Za interesowanie to musi być poparte wyraźną twórczością polskich autorów żyjących w Czechosłowacji. Ta twórczość musi być *spiritus agens*, ona ma być inspiratorem i treścią zainteresowania. Według tego jak „Zwrot” będzie pomagał tej twórczości, wzrastać będzie również jego autorytet i jego znaczenie. Wzajemna zależność jest nieunikniona, a pierwszeństwo sztuki wyraźne.

Redakcja pisma wykazuje duże zrozumienie dla dzieła pogłębiania i poszerzania wzajemnego zrozumienia Czechów, Słowaków i Polaków w naszym kraju, próbując wyjaśnić pewne niedomówienia w wzajemnym układzie stosunków, czyniąc to dla wspólnego dobra. Redakcja uda się coraz lepiej realizować swoje zamiary, jeśli będzie stawiała sobie coraz wyższe wymagania, podnosząc wymagania wobec drukowanych przyczynków. Bowiem poziom kultury i literatury, jak również ogólnospołecznego życia Polaków w Czechosłowacji, nie jest i nie może być dla nas rzeczą obojętną.

OLDŘICH RAFAJ,
redaktor wydawnictwa
„Čs. spisovatel”, Praga

Jadąc na zawody chórów PZKO do Darkowa w towarzystwie pozostałych jurorów Alojzego Tahana, znakomitego dyrygenta z Frydlantu i znanego kompozytora Pawła Kalety, zastanawiałem się nad dyskusją na temat zawodów śpiewaczych i konkursów w ogóle, która rozgorzała w Warszawie z powodu tzw. Świąt Pieśni. Takie święta dzieci szkolnych wyglądały w ten sposób, że najpierw połączone chóry (czasem dochodzące do dwóch tysięcy dzieci) wykonywały na rynku miasteczka pieśni wspólne, przede wszystkim jednogłosowe, a potem w jakimś ogrodzie lub sali odbywał się konkurs poszczególnych chórów szkolnych.

Wrogowie zawodów twierdzili, że zawody śpiewacze zamiast łączyć i jednaczyć, wytwarzają niezdrowe antagonizmy, że zniechęcają śpiewaków w chórach, które nie zdobyły pierwszego miejsca, że ocena tych występów jest w wielu wypadkach z różnych względów krzywdząca, że w takich zawodach istnieje możliwość zdobywania pierwszych miejsc środkami nieuczciwymi itd. itd. Mimo że w tych zarzutach tkwi czasem żdźbło prawdy, zawody cieszą się powodzeniem, gdyż jest to właściwie jedna z najskuteczniejszych form podniesienia poziomu chórów, wprowadzenia wartościowego repertuaru i najlepsza szkoła dla śpiewaków i dyrygentów.

Pragnąłbym jednak popatrzeć na ten problem z zupełnie innego punktu widzenia, a mianowicie czy ocena sędziów jest zawsze sprawiedliwa. Stawiam tezę, że fachowi i bezstronni sędziowie będą na ogół zawsze zgodni w ogólnych zarysach co do poziomu danego chóru, natomiast w szczegółach mogą w punktowaniu wykazywać duże rozbieżności. Poza tym jeden sędzia może mieć surowszy sposób oceny, inny nie będzie szczydził piątek. Nie mamy jeszcze maszyny, która obliczałaby bez pomyłki poziom wykonawczy poszczególnych chórów w punktach.

Spróbuję to wyjaśnić na praktycznych przykładach. W dużej i pięknej sali „Sity” ustawiono dla sędziów w samym tyle

Zawody chórów w Darkowie od strony stolika sędziowskiego



Komisja sędziowska w Darkowie. Od lewej Paweł Kaleta, Alojzy Tahan, Karol Hławiczka i sekretarz komisji Karol Gąsior. Foto R. Fierla.

na przeciwko sceny stolik. Otrzymaliśmy arkusze, zawierające dane co do miejsca działalności chóru, rodzaju i nazwy chóru, kategorii, ilości członków i dyrygenta. Potem podane były utwory wykonywane z nazwiskiem kompozytora, jedna obowiązkowa, a dwie lub trzy dowolne pieśni oraz tabela dla ocen.

Sędzia zobowiązany jest przy każdym utworze napisać sześć cyfr od 1 do 5, a więc w najlepszym wypadku chór może uzyskać 30 punktów, w najgorszym sześć. Cyframi tymi ocenia on następująco: 1 — intonacja, 2 — tempo i rytm, 3 — dynamika i frazowanie,

4 — emisja i dykcja, 5 — dobór repertuaru, 6 — ogólne wrażenie i ocena dyrygenta. Sędzia wpisuje przy każdym utworze cyfry do sześciu okienek, a potem sumuje razem dla każdej pieśni. Sumy uzyskane dla trzech pieśni dawały ocenę ogólną danego chóru. Sekretarz zawodów p. Karol Gąsior odbierał więc od trzech sędziów trzy arkusze, sumował uzyskane cyfry razem, dzielił przez trzy i uzyskiwał decydującą punktację co do lokacji danego chóru.

Proszę się jednak wstawić w położenie sędziego. Czy sędzia może postawić przy każdej pieśni sześć takich cyfr, które by bezapelacyjnie odzwierciedliły

wykon chóru? Pomijając możliwość pomylki — a *errare humanum est* — to postawienie właściwej cyfry nie jest takie proste, jak to zaraz wykażę.

Intonacja — już tu następuje się problem czy jednak oceniać chóry śpiewające *à capella* (bez towarzyszenia) i chóry śpiewające *con capella* (z towarzyszeniem, w Darkowie fortepianu): wszak trudniejszą rzeczą jest utrzymanie wysokości bez podparcia instrumentu niż z nim.

W trzech następnych okienkach sędzia jest w kłopotcie, bo ma ocenić jedną cyfrą dwie rzeczy, co prawda podobne, ale jednak mogące się w wykonaniu rozbiegać, a mianowicie tempo i rytm, dynamika i frazowanie, emisja i dykcja. Przecież rytm może być wykonany bez zarzutu, a tempo rozwlekłe spowoduje utratę charakteru pieśni, za szybkie zaś często zakrywa niedociągnięcia wykonawcze.

Dynamika i frazowanie. Frazowanie — czyli należyte rozgraniczanie poszczególnych myśli muzycznych przez wspólny oddech, a czasem lekkie zwolnienie, nie zawsze w tekście nutowym zaznaczone, może być niedbale wykonane lub zignorowane, natomiast dynamika wyczulowana od *pianissimo* delikatnego jak echo do *fortissimo* w crescendo mocnego jak grom. Sędzia stoi przed dylematem.

Emisja i dykcja — dwie całkiem różne rzeczy. Zazwyczaj idą one w parze, ale materiał głosowy śpiewaków może być wyszkolony, głosy wszystkie wyrównane, nie ma surowych barw ani też dysproporcji poszczególnych głosów (jeden z chórów męskich pod tym względem nie domagał, gdyż pierwsze basy najwięcej się wybiły) — natomiast dykcja, która daje nie tylko zrozumiały tekst, ale wrażenie dokładnego wykonania — może być zaniedbana.

Najłatwiejsze do wypełnienia jest naturalnie okienko ostatnie — ogólne wrażenie i ocena dyrygenta i ten ogólny punkt patrzenia i słuchania towarzyszy także przy ocenie innych pozycji wątpliwych.

W czasie konkursu w Darkowie w dwóch wypadkach sędziowie byli zaskoczeni wynikiem własnej punktacji, ponieważ pierwsze i drugie miejsca otrzymały chóry pod względem poziomu bardzo do siebie zbliżone i gdzie właśnie przypadkowość zadecydowała może o ostatecznym wyniku. Mam na myśli dwa znakomite chóry męskie „Hasło” z Orłowej pod dykcją B. Rygla i chór nauczycieli pod batutą E. Guziura. Chór orłowski wykonał wyjątkowo pięknie Kompozycję z XVI wieku Orlando di Lasso, natomiast wykonanie „Alarmu” Kołaczковского przez chór nauczycielski należało do punktów szczytowych zawodów. Ostatni jednak chór nie wykonał pieśni obowiązkowej i utracił 9 punktów, po trzy od każdego sędziego. Podobnie bardzo wysoki był poziom chóru żeńskiego z Cz. Cieszyńska pod kierownictwem inż. A. Kalety i chóru „Halka” ze Stonawy pod dykcją J. Firli. Pierwszy chór wykonał bardzo przyjemnie walc



Zwycięski chór żeński z Cz. Cieszyńska, dyr. inż. A. Kaleta, foto R. Fierla.

Schuberta, a chór stonawski posiadający już swe tradycje i bardzo dobrą solistkę nadającą barwę chórowi, jak zawsze stał na wysokim poziomie. Wątpliwość nasunęła się wskutek tego, że jeden z tych chórów śpiewał wszystko *à capella*, a drugi *con capella*.

Dlatego też sędziowie jadąc po wszystkim do Cz. Cieszyńska, zastanawiali się, czy w podobnych wypadkach nie należałoby w przyszłości tworzyć dwóch pierwszych miejsc, jeżeli różnica w punktacji jest minimalna.

Po tych rozważaniach od strony stołki sędziowskiego powróćmy jeszcze na salę. Należy pochwalić dużą sprawność organizacyjną zawodów, co należy zapisać na konto ich organizatora Eugeniusza Fierli.

Obraz kolejno wchodzących na scenę śpiewaków na ustawione tam stopnie i składających się w pięknie obmyśloną całość przykuwał uwagę wszystkich. Karne wchodzący śpiewacy, panie zazwyczaj w jednakowych sukienkach tak co do koloru, kroju, jak i ozdób, jedni z wdziękiem, inni może trochę niedbale, zawsze interesował, ponieważ dawał wrażenie wielkości chóru oraz dawał możliwość zorientowania się, ile w nim jest

młodzieży. Po występie każdy chór nie-ruchomiał do wspólnej fotografii.

Byłoby dobrze po tym bardzo dobrze udanym konkursie darkowskim zastanowić się, czy nie należałoby może wziąć pod uwagę trzech rzeczy, zróżniczkować wykonania *à capella* i *con capella*, zróżniczkować występ chóru, który przedstawia normalną pracę, od chóru, który specjalnie trenuje na występ czasami i dużą liczbą dodatkowych prób (jeden z chórów zbierał się na próby codziennie przed samym występem), oraz wrócić do śpiewu zbiorowego wszystkich chórów na początku i na końcu, by rozśpiewać nie tylko wielogłosowo, ale także pieśnią jednogłosową, ludową, względnie skomponowaną przez takich kompozytorów jak Moniuszko lub ktoś inny. Mam wrażenie, że nie bardzo szczęśliwy dobór właśnie tych pieśni na dawniejszych zawodach spowodował, że ten moment scalający, łączący, został tym razem pominięty. A jednak! Jadąc z Warszawy, miałem sposobność słyszeć wycieczkę sowiecką w sąsiednim przedziale, śpiewającą prawie bez przerwy od Warszawy aż do Zebrzydowic. Czy nie należałoby się od nich czegoś nauczyć?

KAROL HŁAWICZKA

TEATR: SZTUKA

Niefrasobliwie i pogodnie

Więc pojawił się jednak w repertuarze Sceny Polskiej Bałucki. W charakterze małej dygresji repertuarowej, niezbyt wartościowego klejnotu, który zabłysnął na zmiernie bieżącego sezonu teatralnego. Taki a nie

inny wybór sztuki i autora naraził teatr na pewną opozycję publiczności, której zdaniem — nie wiadomo skąd i z czego się wywodzącym — teatrowi naszemu nie wolno grać tych sztuk i wybierać takich autorów, którzy stanowią jakoby

udzielną własność teatru amatorskiego. Bałuckiego uważa się za jednego z nich. Teatr miał to szczęście, że zaopatrzył Bałuckiego w bogatą i gustowną oprawę, wskutek czego wszystkie wręcz wrogo nastawione „dusze abonamentowe” musiały skapitulować i ulec niezawodnym urokom i wdziękowi komediopisarstwa pana Michała.

Od chwili, kiedy rozpoczął się Bałuckiego flirt z Melpomeną, krytyka nie przestała się wybrzydzać na jego twórczość. Prawdą jest, że próżno szukać u Bałuckiego głębszych zainteresowań społecznych, jako też tego, by przedstawianym przez siebie ludziom ograniczonym i o wąskich horyzontach brał ten fakt za złe. Przyznać jednak trzeba, że w swoich komediach uwiecznił autentyczną galerię środowiska mieszczańskiego z drugiej połowy ubiegłego wieku. Uwiecznił to z wdziękiem i werwą, stwarzając własny, oryginalny, stylowy światek komediowy. Krytyka jednak bezlitośnie atakowała Bałuckiego i dezawuowała jego twórczość z małymi wyjątkami do współczesnych włącznie.

Najwierniejszą Bałuckiemu okazała się publiczność. Już za życia autora jego komedie cieszyły się dużym powodzeniem nie tylko w Krakowie i Galicji. Podbiły również Pragę i Wiedeń. [Szczególnie bliskie były stosunki z Czechami. W jubileuszu autora w r. 1884 brali udział czescy literaci. Na ulicach Krakowa czescy „Sokole” wznosili okrzyk „Slava Bałuckému.”] Żywiołowe oklaski i śmiech na premierze „Klubu kawalerów” w Cz. Cieszyźnie dowiodły, że literatura ta ma nadal prawo do życia i sceny.

Najlichniesze oklaski zebrał reżyser, a zarazem scenograf przedstawienia, Jerzy Ukleja. Za styl przedstawienia, za przekazanie specyficznie krakowskiej atmosfery, za dekorację i kostiumy. Te ostatnie (dekoracja i kostiumy) były naprawdę niezwykle udane i czarujące (altanka w trzecim akcie może ciut, ciut za

słodką). Z tymi walorami pracy reżyserskiej Jerzego Uklei zapoznaliśmy się już przy okazji gościnnych występów teatru sosnowieckiego z musicallem „Niech no tylko zakwitną jabłonie”. Premiera „Klubu kawalerów” potwierdziła tylko tę opinię.

Ze zanachronizowanego zespołu środków stosowanego przez Bałuckiego w komedii obyczajowej Ukleja wydobył ów niefrasobliwy humor, który tworzy styl Bałuckiego. A z humorem nie ma żartów. Tutaj na nic zdadzą się wszystkie eksperymenty i innowacje. W przedstawieniu „Klubu kawalerów” zaoszczędzono nam takich rozczerowań i zachowano humor w jego prawdziwej, niewymyślnej postaci. Szkoda, że reżyser nie użył śmieiej ołówka. Niektóre sceny były bowiem puste i niepotrzebnie wstrzymywały tempo całego przedstawienia (np. dialogi kawalerów w akcie pierwszym). Raził też brak jednolitego stylu gry aktorskiej. Niektórzy aktorzy grali z „dys-tansem”, inni znowu traktowali całą sprawę „na serio”. Odtwórczyniom ról kobiecych przypało szczególnie trudne zadanie w wyborze środków i stylu gry.

Aktorzy lubią Bałuckiego. Bo też kapitałnie umiał stawiać role, a tym samym pomnażać ich sukcesy. Szczерze zabawni byli też panowie Starski, Kornecki, Gogółka, Suszka i Mokrowiecki w rolach zatwardziały kawalerów. Choć i na zestawie tych panów najbardziej widoczna była niejednorodność stylu gry aktorskiej. Panie też nie mogły narzekać na role i obsada ról kobiecych była na pewno trafniejsza od obsady ról męskich. Na marginesie roli Marysi w wykonaniu Wandy Spinki. Jej łezki, minki, kaprysyki powtarzają się z roli na rolę. Choćby jednak po raz setny słyszało się perełki jej śmiechu, naiwny szczebiot i paplaninę, niech by się ją widziało nie wiem po raz który promyczkowato uśmiechniętą i płochliwie zerkającą, zawsze jest się gotowym zapomnieć, że to

stereotyp. Tyle jest uroku i bezpośredności w jej grze. Świetnie prezentowała się Ida Kocur w roli sprytniej i zalotnej Jadwigi, która najpierw zawróciła głowę, a potem skruszyła wszystkich kawalerów.

I w ten sposób skończyły się starokawalerskie tarapaty i kłopoty teatru z repertuarem i publicznością w sezonie bieżącym. Nie było w nim żadnych wzlotów, nie było też zdecydowanych upadków. Było kilka przedstawień udanych, parę dobrze zagranych ról, tam solidna robota reżyserska, tu ciekawe czy też efektowne spojrzenie scenografa. Wyjeżdżamy na wakacje. Nie ma żadnych sporów i dyskusji. Czekamy na nowe propozycje.

JAN WAJDA

Skazany na życie

Wiedziałem, że to znów przyjdzie. Zawsze się tego obawiałem, ilekroć wspomniano o tamtych latach, o obozie.

Pytanie zawisło jak miecz.

Machinalnie popchnąłem wózek z zaprawą murarską do rusztowania windy i patrzyłem jak poleciał w górę i zniknął. Od trzeciej kondygnacji szkielet wieżowca rozciągał się w mgle.

Dlaczego właśnie ja muszę żyć? Tysiąc razy próbowałem dać sobie samemu odpowiedź. Nie potrafiłem. I teraz też nie potrafię.

Stoję oparty o szybik windy i patrzę na krzyże rusztowania. Jest ich dużo. Tak, to są ich krzyże. Byłem z nimi, cierpiałem z nimi, a mojego krzyża brakuje... Józka z Michasiem zagrzebałem pod murem więziennym Rawicza, Jankowi przymknąłem powieki w dżdżysty poranek podczas transportu gdzieś w Turynii... Geniek z Frankiem i Wieskiem nie podnieśli się z buchenwaldzkiego błota. Jurka, Gustawa, Zenka połkną kamieniołom... Potem imiona zaczęły się plątać z czarnymi dymami krematorium. Dlaczego ja musiałem pozostać? Czy byłem gorszy od was? Powiedźcie mi i im. Ja nie potrafię się tłumaczyć. Nawet przed sobą... I po co ja się tak cieszyłem, kiedy zagrały dzwony? Po co?

Nie mam żalu do żyjących. Są nieufni, pytają. Nie wiedzą, że pytania oskarżają...

Tkwię tu w bezbrzeżnym chaosie pytania. Nade mną, na rusztowaniu zawisła uśmiechnięta śmierć. Oczekuje z rozpiętymi ramionami. Podchodzę ku pełni ciszy...

Wyrzywa mnie brutalna ręka ludzka.

Winda uderzyła z hukiem o posadzkę. Ktoś mnie przeklina i podejrzewa.

Znów zostałem skazany na życie. A tak chciałem kroczyć schodami zapomnienia do mlecznej mgły...

GABRIEL PALOWSKI



Pierwszy stopień wtajemniczenia już nie tak zdecydowanych kawalerów. Foto Wł. Wojnar.

DZIECI SWOJEJ POETCE

Przed 6 laty dzieci w Kaliszu na spotkaniu z redaktorami „Płomyczka” rzuciły myśl ufundowania pomnika dla swej ulubionej poetki Marii Konopnickiej. Skierowały apel do wszystkich czytelników „Płomyczka” w Polsce i zapaliły ich do podejmowania różnych akcji (akademie, poranki, konkursy), które miały na celu bliższe poznanie twórczości poetki, a zwłaszcza uczczenie jej pamięci przez ufundowanie pomnika.

Redakcja „Płomyczka” podjęła się pośrednictwa całej akcji. Z całej Polski zaczęły napływać listy od dzieci (często bardzo wzruszające) z deklaracjami i meldunkami o włączeniu się do akcji budowy pomnika. Równocześnie napływały fundusze.

I oto stanął wśród zieleni Ogrodu Saskiego w stolicy Polski pomnik poetki, jako wyraz wdzięczności najmłodszych czytelników. W dniu 22 maja br. tysiące dzieci z kwiatami, wieńcami i sztandarami uczestniczyły w radosnej dla nich uroczystości odsłonięcia „ich pomnika”, ucieleśnienia kilkuletniej akcji.

Redakcja „Płomyczka” z nieustraszoną organizatorem, red. nac. St. Aleksandrakiem na czele, zorganizowała przy tej okazji międzynarodowe spotkanie redaktorów czasopism dziecięcych, którzy obradowali nad możliwościami bliższej, wzajemnej współpracy.

Nasze czasopisma „Jutrzenkę” i „Pracę Szkolną” reprezentował na spotkaniu Jan Kotas.

PIĘCSET NUMERÓW „KRONIKI BESKIDZKIEJ”

Podobnie jak nasz „Zwrot” również tygodnik powiatowy w Bielsku „Kronika Beskidzka” obchodzi w lipcu jubileusz. 2. 7. 1966 ukazał się bowiem 500. numer tej jednej z najlepszych „powiatówek” województwa katowickiego. O popularności pisma świadczy nakład 25.000 egz., w jakim się ono ukazuje.

„Kronika”, której redaktorem naczelnym jest były znany działacz społeczny naszego terenu Władysław Czaja, z sympatią, zrozumieniem i znajomością rzeczy odnotowuje ważniejsze wydarzenia z naszego terenu, a jej redakcja utrzymuje serdeczne stosunki z nami.

Z okazji jubileuszu składamy więc ze społowi „Kroniki” braterskie gratulacje i życzenia dalszego rozmachu oraz wielu sukcesów w ich trudnej i odpowiedzialnej pracy.

MŁODZIEŻOWY KONKURS FOTOGRAFICZNY

W ramach letniej działalności młodzieży, komisja szkolna wspólnie z Sekcją Literacko-Artystyczną ogłosiła „Młodzieżowy konkurs fotograficzny na temat „Moje wakacje” oraz „Moja klasa”. W konkursie mogą brać udział wszyscy uczniowie do 18 lat, przesyłając do 15 października 1966 r. do ZG PZKO własnoręcznie wykonane zdjęcia. Regulamin zezwala na nadsyłanie dowolnej ilości prac (mogą być łączone w cykle), przy czym

Panie Profesorze...



Prof. Józef Niemiec na tle „swego” (orłowskiego) gimnazjum. Foto T. Wratny.

Mam tyle do napisania, a boję się dotknąć papieru. Czynie to z lękiem i miłością w sercu — z lękiem, by nie być poczytaną za pochlebę — o tym przekonać jest bliźnich trudno; z miłością — gdyż Profesora na ogół wszyscy kochają. Choć bynajmniej o to nie zabiegał, a raczej — dlatego, że o to nie zabiegał. Taka jest bowiem zasada i prawo zdobywania sympatii nie tylko przez bohaterów filmowych i powieściowych.

Ma więc jasne oczy, które patrzą na świat i ludzi serdecznie i pobłażliwie. Kipią nieustanną ciekawością ludzi i życia, napierają pytaniami. Charakterystyczny układ rąk i chrząkanie towarzyszą jego wypowiedziom. Zawarta w nich jest kultura, inteligencja, doświadczenie i wiedza. O, jakże ogromna i onieśmielająca, Panie Profesorze! Do dziś drżą przed nią, a zarazem chciwie jej pragną wszyscy Twoi wychowankowie. Ileż to pokoleń — dwa, trzy, może nawet więcej? A wszyscy — i ci z dwójkami (taka była najwyższa ocena) i ci z piątkami (także była najwyższą oceną) i ci z piątkami zasłuchani we wspaniałą polszczyznę, wypowiedzaną z takim umiłowaniem i wyczuleniem na jej ton, barwę i smak, że lekcje języka polskiego przypominały świetne wieczory literackie. Mickiewicz i Słowacki, oto fundamenty, na których budowałeś nasze umiłowanie literatury polskiej i języka. A rękę — trzeba powiedzieć — miałeś szczęśliwą. Pod jej opieką wychowało się kilkanaście nienajgorszych roczników.

W Polskim Gimnazjum Realnym im. Juliusza Słowackiego w Orłowej upły-

nęło bezmała 40 lat Twojej pracy wychowawczej. Pięć lat wydarła z nich wojna. Uczyleś w zakładzie, który powstał w setną rocznicę urodzin wieszczki polskiego, przyjmując jednocześnie jako własne wyznaczenie i program działania wskazanie narodowe wieszczki wyrażone w jego „Testamencie”:

„Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei

I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec!...”

Taki program działania kojarzący się z Twoją osobą budzi szacunek, przywraca potrzebną równowagę, sens działania i ciągłość tradycji, bez której nie ma trwałych i żywotnych wartości. Uświadamiamy to sobie dotkliwie i boleśnie wtedy, kiedy rozwój cywilizacji technicznej, zafascynowanie nowymi źródłami informowania i przekazu rozrywką kulturalnej odbierają kulturze jej głębię. Humanści rodzą się dziś rzadko!

Alma Mater Cracoviensis, dokąd szczególnie trafiłeś, była źródłem wszystkich natchnień i uniesień, które zgodnie ze społecznym poczuciem posłannictwa pedagoga, ugruntowaną latami pracy postawą humanisty i wykładowcy, przekazałeś wszystkim pragnącym Cię słuchać.

Jakże odmienne w nastrojach i odczuciach musiały być lata okupacji spędzone również w tym Krakowie. Sceptycyzm, niechęć i niewiara w trwałość i celowość wysiłków, zrodziły się wtedy w niejednym umyśle.

Tuż po wyzwoleniu i uzyskaniu niepodległości, w okresie bujnej radości, Profesor trafia wprost do gimnazjum orłowskiego. Potwierdzają się pogłoski i wieści, które dochodziły do okupowanego Krakowa. Straty w gronie profesorskim, brak wypróbowanych przyjaciół, trudności w nawiązaniu kontaktu z ludźmi, którzy nie potrafili brać przeszkód i sprawdzać na własnej skórze dół i niedół faszystowskiego porządku. Młodzież była jednak pełna uznania dla Twojej postawy. Byłeś gwarancją tego, że każda z Twoich ocen będzie oceną sprawiedliwą, że można ufać i wierzyć Twoim słowom.

Z taką nauką wyniesioną z ławy szkolnej można przeżyć niejedną przygodę życiową, określić swój stosunek do życia. Stosunek jednoznaczny.

Poznaliśmy i pokochaliśmy literaturę. Odkryłeś nam wszystkie jej uroki i tajemnice. Nauczyłeś ją kochać i rozumieć. W tajemnicy jeździliśmy w czasie wakacji uniwersyteckich na Twoje prelekcje o języku, literaturze i sztuce, które wygłaszałeś w Kołach PZKO. Słuchacze byli tak samo zafascynowani i zasłuchani

jak za naszych — o, czasie — dawnych lat.

Żyjesz skromnie i cicho. Wśród regałów książek, reprodukcji i własnych rozważań, które — a o to Cię wszyscy podejrzewają — skrzętnie zapisane muszą gdzieś leżeć w szufladach. Szperacze bibliofilscy, miłośnicy literatury, wykładowcy, gdy zawiodą ich wszystkie księgarnie, biblioteki, antykwaria, wcześniej czy później pukają do drzwi Twojego mieszkania. Tutaj na ciasno ubitych książkami regałach znajdują zawsze to, czego szukają. A nabierało się tego przez lata skrzętnego kolekcjonerstwa!

Obszerny pokój, miękkie fotele, sterty książek i gazet, na ścianach obrazy, na stole flakon z kwiatami. Półmrok i przyjemny zapach kwiatów ciągnący przez otwarte drzwi werandy z ogrodu. Za krzewami zdobitymi furtkę i płot — gimnazjum orłowskie. Jesteśmy, proszę państwa, w mieszkaniu Profesora Józefa

Niemca. I oto Profesorowi wybiła 75 rocznica urodzin. Ustawiamy się w kolejce jubileuszowej, jakże długiej i nieskończonej, i życzymy Ci, Profesorze, wiele zdrowia i humoru, który nigdy Cię nie opuszczał. Sobie zaś życzymy wielu Twoich słów mówionych czy pisanych, które pozwolą nam dojrzeć piękno i szlachetność. Piękny wiek i piękna starość. Życie zwielokrotnione w Twoich wychowankach i słuchaczach.

Życzymy Ci więc zdrowia i żądamy stuletniego Profesora. Oj, Panie Profesorze, wypijemy jeszcze czarkę miodu za Pańskie urodziny w roku 1991!

WANDA CEJNAR

P. S.

Odpuść błędy, Profesorze. Prawa języka polskiego obowiązują nie tylko w szkole. Oj, obowiązują, Panie Profesorze! Jakież to jednak trudne.

O malarzu kwiatów

Ten jubileusz nie jest sprawą jednego człowieka. Prof. Gustaw Fierla, święcący swoje 70 urodziny 18 lipca br., jest jednym z tych Ślązaków, którym należy się uznanie i to nie tylko w naszym kraiku koło Cieszyna. Z okazji 70-lecia Profesora będzie trzeba nie tylko docenić jego dorobek, ale uczynić zeń rzeczywistą wartość i własność społeczną, stale się dziejącą, bo żywą.

Gustaw Fierla urodził się w Lutyni Górnej. Wcześniej zdradza swój talent; to on właśnie prowadzi go do rodzącego się wówczas gimnazjum orłowskiego.

Osobowość prof. Gryglewskiego potrafiła rozpalić w Fierli iskrę, z której potem wyniknie to wszystko, co nazywamy dzisiaj malarstwem śląskim.

Po perypetiach wojny i krótkiej pracy pedagogicznej w Karwinie i Cleszynie, udaje mu się wejść w mury Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Jeszcze w czasie studiów urządza Fierla razem z Karolem Pięgzą (rok 1923) pierwszą u nas wystawę malarską. Wtedy to wchodzi w nasze społeczeństwo nowe zjawisko, wzbogacające je i uzasadniające — sztuka.



Gustaw Fierla w pracowni.

KA · KRONIKA · KRONIKA · KRONI

wykonane muszą być na papierze błyszczącym (dopuszczalny najmniejszy format 13×18 cm). Ta dobra myśl znajdzie na pewno poparcie u przewodników Pioniera, zaś u uczniów zainteresowanie, tym bardziej, iż najlepsze prace publikowane będą w naszej prasie. Dla zwycięzców przygotowane są nagrody rzeczowe.

SIBICA W GOMBASEKU

W ramach Festiwalu kulturalnego Węgierskiego Związku Kulturalnego (Csémadok), który odbywał się w dniach 2 i 3 lipca w Gombaseku, występował gościnnie zespół taneczny PZKO z Sibicy.

Zespół ten spotkał się z serdecznym przyjęciem gospodarzy, którzy swój dorobek kulturalny prezentowali w „Dniach Kultury Węgierskiej”.

Zespół sibicki wraz z ukraińskim i czeskim urozmaiciły uroczystości, w których wzięło udział przeszło 30 zespołów oraz solistów teatru z Bratysławy i Budapesztu. Uroczystości odbywały się w przepięknym amfiteatrze, który pomieścił przeszło 60 tysięcy widzów.

O tym, że nasze śląskie tańce ludowe podobały się, świadczyły brawa podczas samego występu oraz owacje po programie. Sibica dobrze więc reprezentowała nasz Związek u węgierskich przyjaciół.

„NAWRÓCONY” W MISTRZOWICACH

Na żądanie mieszkańców Mistrzowic zespół teatralny miejscowego Koła PZKO powtórzył przedstawienie K. Bergera pt. „Nawrócony”.

Reżyser widowiska H. Faja wykorzystał i zastosował w tym przedstawieniu swe długoletnie doświadczenia na scenach amatorskich, pracując z bardzo młodym zespołem. Wynikiem tej współpracy było poprawne przedstawienie, starannie opracowane i wykonane.

Wielką zasługą reżysera jest pozyskanie młodych amatorów, prowadzenie ich i umożliwienie im dalszego rozwoju.



OCALA PRZED ZAPOMNIENIEM

Powiedział ktoś, że młodości trzeba się nauczyć. Nie każdego stać na młodość, nie każdy umie bronić się napierającej starości. Dobrem młodości jest uroda i siła, starość zdobi zaduma — pisał staruszek Demokryt. Ludzie żyjący jakąś wielką pasją nie dają się tak szybko zaważować starości.

Dr Józef Mazurek należy do tych społeczników, którzy nie mają czasu się zestarzeć. Żyje wielką pasją ratowania przed zapomnieniem i zbieraniem dokumentów z czasów wielkiej zagłady.

Nie podajemy bliższego życiorysu solenizanta, bo zrobiliśmy to przed pięciu laty z okazji jubileuszu 70-lecia. Dzisiaj chcemy tylko przypomnieć, że dr J. Mazurek 5 lipca obchodził swoje 75-lecie.

Dr Mazurka pamięta chyba każdy, kto zetknął się z nim jako lekarzem, społecznikiem, filatelistą, a przede wszystkim skrzętnym szperaczem po śladach martyrologii ofiar hitlerowskich.



Cierpliwie i nieustraszenie zbiera zdjęcia, notuje życiorysy, gromadzi materiały o losach, przeżyciach i egzekucjach tych wszystkich, których pamięć nakazuje nam ocalić obowiązek społeczny.

Dr Józef Mazurek poświęca swój wolny czas wielkiej pasji życia, ratowaniu heroicznym śladów zmagania z wrogiem dla przyszłych generacji. Życzymy mu długich lat zdrowia, długiej jeszcze młodości serca i myśli, by mógł nadal pracować dla tej wielkiej i słusznej sprawy.

Człowiek, który ocala pamięć drugich przed zapomnieniem, sam zasługuje i wpisuje się w wieczną pamięć społeczeństwa, któremu służy.

70-LECIE RUDOLFA GRACY

Dnia 11 lipca obchodził 70-letni jubileusz urodzin Rudolf Graca. Przed wojną był znanym działaczem w Rodzinie Opiekuńczej i Macierzy Szkolnej. Ciężkie czasy okupacyjne przeżywał w hitlerowskim obozie koncentracyjnym.

Po wyzwoleniu z tym większym zapałem oddaje się pracy społecznej. Był długoletnim prezesem Koła miejscowego



PZKO w Karwinie-Granicach, członkiem ZG PZKO, będąc równocześnie bardzo aktywnym członkiem zespołów. Poza tym nie szczędzi swych rad doświadczonemu społecznikowi i w innych organizacjach, jak SPB, Grono Górnicze i SRPS, gdzie jeszcze dziś zajmuje kierownicze funkcje. Pomimo odejścia na zasłużony odpoczynek z pracy zawodowej, nie ubył mu sił i entuzjazmu. Życzymy drogiemu jubilatowi powodzenia w życiu osobistym, by jeszcze długo cieszył się dobrym zdrowiem i poważaniem, służąc nam nadal radą i pomocą.

Potem przychodzą lata pracy pedagogicznej w gimnazjum, pasji ludoznawczych, muzeum Macierzy Szkolnej, ale przede wszystkim malowania, wystaw...

Nie ma dziś muzeum, któremu prof. Fierla poświęcił wiele lat i sił. Zbiory zostały rozproszone bądź zniszczone przez okupantów, a resztki tylko znajdują się w Cieszynie, Wiśle, Frydku.

Ale 70-letni Fierla uparł się, że wyda pracę etnograficzną o stroju laskim, ma na warsztacie dalsze prace na ten temat. Przed 10 laty istniała praca popularna o czterech strojach śląskich (laskim, cieszyńskim, jabłonkowskim, góralskim), niestety nie umieliśmy jej wydać drukiem. Dlatego uparty etnograf zdobył się na pracę nad siły, starając się wydać w Polsce już nie popularny szkic, ale naukową monografię (w serii Atlas polskich strojów ludowych Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu).

Jest taki artykuł prof. Fierli, zagubiony w „Jednodniówce” „Siły” z kwietnia 1947 roku, nazywa się „Sztuka ludowa i twórczość artystyczna”. A więc dwie sprawy, którym artysta poświęcił całe życie.

Zwracam uwagę na tę niedużą pracę z dwóch przynajmniej względów. Po pierwsze, lata poświęcone tym kwestiom pozwoliły malarzowi nagle spojrzeć z dystansu, obiektywnie. Niełatwo chyba zdobył się on na wiwisekcję własnych pasji. Ale bez takich „samopogromów” bolących nie ma drogi naprzód. Było trzeba — to po drugie — rozpoczynać po raz drugi. Pierwszy początek dokonał się przed połową lat dwudziestych; obecnie, po latach drugiej wojny, było trzeba zrewidować niejedną pogląd, a przede wszystkim, wydaje mi się, wyjść z młodych

porywów i zdecydować się na trudy wieku męskiego.

„Wszelkie naśladownictwo jest dla twórczości zabójcze; naśladownictwo twórczości ludowej czasów minionych wyłącza z góry możliwość stworzenia dzieła sztuki. Cechą charakterystyczną dzieła sztuki jest to, że wyprzedza ono współczesność — i dlatego często napotyka na niezrozumienie ze strony społeczeństwa, stąd tak częste konflikty między społeczeństwem a artystami... Stagnując przed dziełem artysty, nie patrzmy na nie z uprzedzeniem, nie odma-wiajmy mu z góry wszelkiej wartości, ale starajmy się poddać jego wpływowi na nasze oko i — serce. Pozwólmy mu choć na chwilę oddziaływać na siebie. Wtedy porozumienie między artystą i widzem dojść może do skutku.”

Ów nie zauważony „program” zrodził się na trzy, cztery lata przed naszym rodzimym soc-realizmem z jego błędnymi założeniami. Zasypano źródła, które zaczęły bić w okresie „burzy i naporu” w naszej kulturze i życiu lat powojennych. Na pewno byłibyśmy dzisiaj na Śląsku znacznie dalej. Wnioskuje tak na tej podstawie, że „Sztuka ludowa i twórczość artystyczna” Fierli jak najbardziej jasno i logicznie mówi o tych problemach, o które do dziś prowadzi się polemiki.

*

Wypada życzyć Profesorowi, owemu malarzowi kwiatów, pejzaży śląskich, śląskiego człowieka, martwych natur, który, nie bojąc się swej siedemdziesiątki, podejmuje nowe poszukiwania, nowe trudy — dalszych lat pracy. Jego wystawa jubileuszowa we wrześniu będzie tego wyrazem.

WLADYSŁAW SIKORA

POWSINOGA - TEATRZYK SATYRY, HUMORU I FRASZEK - POWSINOGA

Raz jeszcze poankietowo

Zacny Redaktorze!

Jak się dowiaduję, setnie kwaśnegoś piwska nawarzył z tą ankietą, że brrr... Albo też to pomysł w dzisiejszych czasach kogoś o opinię molestować! Wiadomo jak odpowie. — „Do kitu — i tyle!” Trzeba było od razu mnie się zapytać i tyleż samo się dowiedziawszy, i papieru byś zaoszczędził, i nerwów, i czasu, któreś nadzwyczaj pożytecznie w „Centralnej” albo „Pod Jeleniem” spędzić mogliśmy, pomilenijnych ploteczek słuchając, że nie wspomnę o ćwiartce, którą u progu dalszego tysiąclecia na dalszą pomyślność ludowej i demokratycznej wysączyć też by nie zaszkodziło.

A Ty jak durny guza się dopraszasz, nie mogąc potem po nocach zasnąć, w dzień zaś łzami gorzkimi dederonki przyjaciół serdecznych moczysz. W wyniku tej całej ankiety okazuje się bowiem, że: naród czytelniczy mocno się zmanieryzował (co twierdzić jako czytelnik) i tzw. „masy” mają tzw. „wachlarz” pretensji

pod adresem pisma tak szeroki, iż w tzw. „zespołe redakcyjnym” trzeba by zatrudnić co najmniej półtora setki różnego rodzaju tzw. speców od wszystkiego, bo inaczej tzw. „klapa” (z czego w pełni zdaję sobie sprawę jako członek redakcji). Podczas bowiem kiedy jedni domagają się pisma o objętości co najmniej przedwojennego sennika, innym do szczęścia wystarczyłaby broszurka formatu kieszonkowego. Na okładce tejże (okładki: tektura, papier kredowy, plastik), powinno rzucać się w oczy zdjęcie albo sielankowego ułana z lancą pod okienkiem (wg jednych), lub też ładnej klatki pierśowej z należnościami (wg drugich).

Zgodzimy się, że zdolny fotograf mógłby (w godzinach nadliczbowych) zrobić fotomontaż ułanów i piersi, ale co dalej? Podczas bowiem, kiedy jedni czytają nawet artykuły wstępne (ależ mają nerwy!), drudzy niedwuznacznie dają znać, że jeśli o haselka chodzi, to żdziebko już się osłuchali i mają gdzieś hamletowskie

rozważania. Przyznasz chyba, że tu z montażem (dla dogodzenia jednym i drugim) byłoby trudniej i chociaż (między nami) znam szanujące się pisma, które i to potrafią (chyba dlatego mają większy nakład).

Jeśli o prozę chodzi, to zachwycając się faktem, iż niespodziewanie wielu domaga się nowego (forma i temat), nie można pominąć roszczeń niewiele mniejszej grupy tych, którzy (dzięki za to) potrafią po raz nie wiem który zasięgnąć do lektury „Latarnika”.

A problem graficzny: „Więcej nowoczesności — może by kolorowe reprodukcje współczesnego malarstwa...” (student z Orłowej).

„Idźcież do diabła z tymi gębami o jednym oku i innymi pikasami” (czytelnik z Końskiej).

Wozony Redaktorze!

Przy przyleżyłości wydania dwusetnego numeru „Zwrotu” byłoby dobrze zhodnocić Waszom zasłódnóm prace i rzyc se od serca co było dobre, w czym sie polewiło i w czym nutnie trzeba zjednać naprawę. Myślę se, że ze „Zwrotu”, aż na język, możecie być pylnie spokojni.

Jak żech sie już wyraził na tks schuzach, trzeba porząd pisać czystym językiem, tak jak jo sie to snozym robić. Móm jednacze żoł, i to wielki, do Was Redaktorze, żeście mi do teraz jeszcze nie wydrukowali mojej baśniczki, kieróm żech przed 16 rokami Wóm posłoł.

Już stodzieżyndziesiondziewiętny „Zwrotów” kupilech z tóm wiaróm i napięćm, że se przeczytóm swojóm składbe, to swoji skrómnne dziełko, a tu fót nic. (Isto nimóm protekcje.) A to ni-mocie robić, obywatelu Redaktorze. Nieśmiycie być pohodylni, ale jak widziecie wielki talynta, to mocie im wynść wstrzić. Nikierzi nie lepi piszóm ody mnie, a zwerzejniłecie ich wiecy. Mój poemat mówi do dusze i jezech isty, że z takimi wierszami byłby „Zwrot” na rozrargani i przibyloby wóm zajmcoś i dżwigłaby sie wóm wydajność.

Nagrobki jubileuszowe

HENRYKA JASICZKA

Urlop „płatniczy” ci wymawiali, choć sami raczej kiepsko pisali.

WLADYSŁAWA SIKORY

Nad Progiem, którego nie przeszedł, męczą się, ślęczą czytelników rzesze.

BRONISŁAWA LIBERDY

Plamy przedziwne na płótnach nakładał, szczęściem dla „Zwrotu”, że piórem nie władał.

Albo poezja:

„Współczesne pismo powinno drukować współczesne wiersze. Tym, którzy nie rozumieją, polecam „Jutrzenkę” (Babetka z 12-latki).

„...a te wierszydła! Ludzie zlitujcie się!” (jeden z pierwszych abonentów.)

Pluj sobie w brodę kochany, za ten pomysł z ankietą, albowiem jeśli z tej opresji uda Ci się wybrnąć, gotowym zainicjować ogólnopozetkaowską zbiórkę na pomnik (niemodne) i raczej tablicę (koniecznie czarny marmur) uznania, którą ku pamięci potomnych wmontowałyby się na Fasalówce, w miejscu, gdzie przed wojną widniał kapitalistyczny slogan „Pijcie piwo karwińskie”.

Tym kończąc, przyjaźnej kanikuły życzy

BRONISŁAW PROCNER

Na przykład tako zwrotka, czy to nima piękne, poczytajcie:

Pluje miesięczek, pluje po niebie
jo cestóm po dyrci lecym do ciebie
w ręce niesym ci kwiteczka
boś ty Zwrocie ma praseczka.

Moja poleżyja każdego dojmie, bo ją każdy pochopi. Tóż snażnie Was proszym, jako czytelnik i pisarz słóński, byście w przyszłości więcej wtynowali pozorności kulturze języka i preferowali na stróńkach cisku takich ludzi, kierzi to myślóm ważnie.

Na zawier życzę do dalszych 200 Zwrotów godnie zdaru. Jo zaś zawięzujęm sie przynść na proze i prawidłnie roz w miesiącu z bogacac i spestrzac Zwrot wywodami, kiere prziniesóm naszymu społeczeństwu godnie prośpiechu.

Niech więc dziś w dniu jubileuszu rżnie rżźnie huđba przed Waszóm redakcyjóm. Wypłjmy wspólnie achtliczek czystej na cześć cisku i jego buducności, na jego siłę, kiero beje burcować nasz noród.

Z okrzykym: Niech żyje i kwiatu nasz Zwrot.

ADAM HWUZD

ALOJZEGO MAŃKI

Żył i umarł z nadzieją, że go zrozumieją.

PANI BRONKI

Ona do zwierzeń nie była skora, a tyle wiedziała o redaktorach!

TADEUSZA SIWKA

Poprzez zwrot doszedł do głosu.

JANUSZ GAUDYN

● KRONIKA JUBILEUSZOWA ●

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

W czwartek 21 lipca br. o godz. 19 w lokalu Klubu Propozycji „Pod Mętym Okiem” znany szerszym kręgom działacz antyalkoholowy Ignacy Popijawa podzielił się z zebranymi wrażeniami ze swej ostatniej podróży do Izby Wyrzeźwień.

Wstęp tylko dla zaproszonych.

ODCZYT

W środę 27 lipca w sali odczytowej Domu Kultury w Jałowicach profesor Aureliusz Wiertarka z Instytutu Naukowej Organizacji Pracy wygłosi prelekcję pt. „Solidarność i punktualność na co dzień”.

W razie niestawienia się prelegenta zostanie wyświetlony film fabularny.

Początek o godzinie 17.

CIEKAWA INICJATYWA

W Kociłapkach Górnych miejscowe Związki Zawodowe postanowiły objąć patronat nad zacnymi i cenionymi pisarzami i plastykami naszego regionu.

Zw. Zaw. „Kominarzy” objął patronat nad grafikami.

Zw. Zaw. Prac. Sądowych nad fraszko-pisarzami i satyrykami.

Zw. Zaw. Uspołecznionego Handlu nad powieściopisarzami i reporterami.

Zw. Zaw. Prac. Gastronomicznych nad redaktorami.

Ponadto sekcja bokserska objęła patronat nad poetami, kompozytorami i aktywnym śpiewaczo-muzycznym.

W ostatniej chwili donoszą, że zauważono już pewną stabilizację twórczą i ruch w interesie.

NASTROJE I SNY

Lato nastraja ludzi sennie. Zaczynają leniuchować nawet ci, którzy przez cały rok pracują bez wytchnienia, jak np. kierownicy Klubów Młodych — szczególnie na wsi i w osiedlach.

Komisja badająca stan klubowiczów odkryła pewnego kierownika, który spał w lokalu świetlicowym. Kierownik otrzymał natychmiastowe wypowiedzenie z funkcji.

Czy jednak ślusznie? Czy zbadano, co śniło się kierownikowi w czasie drzemki? A może był to sen o nowych formach pracy klubowej?

SPROSTOWANIE

Nieprawdą jest, jakoby sąd dla nieletnich orzekł, że Barbarze K. nie wolno publicznie mordować piosenek. Prawdą jest, że Barbara K. niebawem rozszerzy swoją działalność! Zaproponowano jej bowiem objęcie roli w filmie dla dorosłych.

Autentyczne fakty zebrał i opracował:

ALOJZY MAŃKA

„ZWROT”, miesięcznik. — Wydawca: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Czechosłowacji, Zarząd Główny, Český Těšín, ul. Lenina, nr 28, tel. 393. — Redaguje zespół. — Redaktor naczelny Jan Rusnok. — Český Těšín, 15 lipca 1966. — Cena egzemplarza 1.— Kčs. — Redakcja i administracja Český Těšín, ul. Lenina 28, tel. 564. — Prenumerata: kwartalnie 3 Kčs, półrocznie 6 Kčs, rocznie 12 Kčs. — Tłoczono w drukarni TISK, n. p., Brno, provoz 3, Český Těšín, ul. Revoluční 1, tel. 6032. — Pozwolenie na używanie znaczków pocztowych wydała Okresní správa spojů Karviná, 20. 8. 1963, zn. 1268/63. — T-03*62485



WYJAŚNIENIA:

POEZJĄ DO MAS — hasło, które ma służyć poecie H. Jasiczkowi do zwiększenia nakładu polskich publikacji w wydawnictwie Profil.

SZKUTA SZTUCZKA — oznacza według B. Liberdy stosowanie wszelkich sztuczek w celu pozyskania delikwentów na wystawę obrazów SLA.

KULTURA I OŚWIATA DOBRZE SIĘ OPLACA — zrozumiałe, przecież tak



FRASZKOPISARZE

mało kojarzący, Hasło trzyma E. Suchanek, przewodniczący ZG PZKO.

WSZYSTKO DLA LUDU — czytaj Głosu Ludu, którego dzielny chorząy tego hasła, dr T. Siwek, jest redaktorem naczelnym.

ACH, JAKA ŚLICZNA INTERPRETACJA STU LAT — to westchnienie redaktora B. Duławy nad niepowtarzalnym wykonaniem „stu lat” przez kol. Wandę Cejnar.

ROZKAZ. — Tutaj nie wiadomo, bo B. Babilon, sekretarka redakcji, umie nie

BRAWO! WIĘCEJ! HAŃBA! WSTYD!



TEREN

tylko wypełniać polecenia, ale też i nie-
żle je wydawać.

200 — cyfra ta nie oznacza wieku redaktora Jana Rusnoka, ani nawet jego wagi. Chodzi o 200tny numer „Zwrotu”.

P. S.

Szkoda, że na tym epokowym zdjęciu brak pozostałych członków komitetu redakcyjnego „Zwrotu” Władysława Sikory, Bronisława Procnera i Daniela Kadłubca, którym inne obowiązki nie pozwoliły uczestniczyć w tym pozowaniu.

Całą stronę, z wykorzystaniem zdjęcia Wł. Wojnara, wykonał Br. Liberda.

Trzaskalik Henryk
Kor. Sucha 462

Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

Cena Kęs 1,-

ROK 18 — (Nr 201)

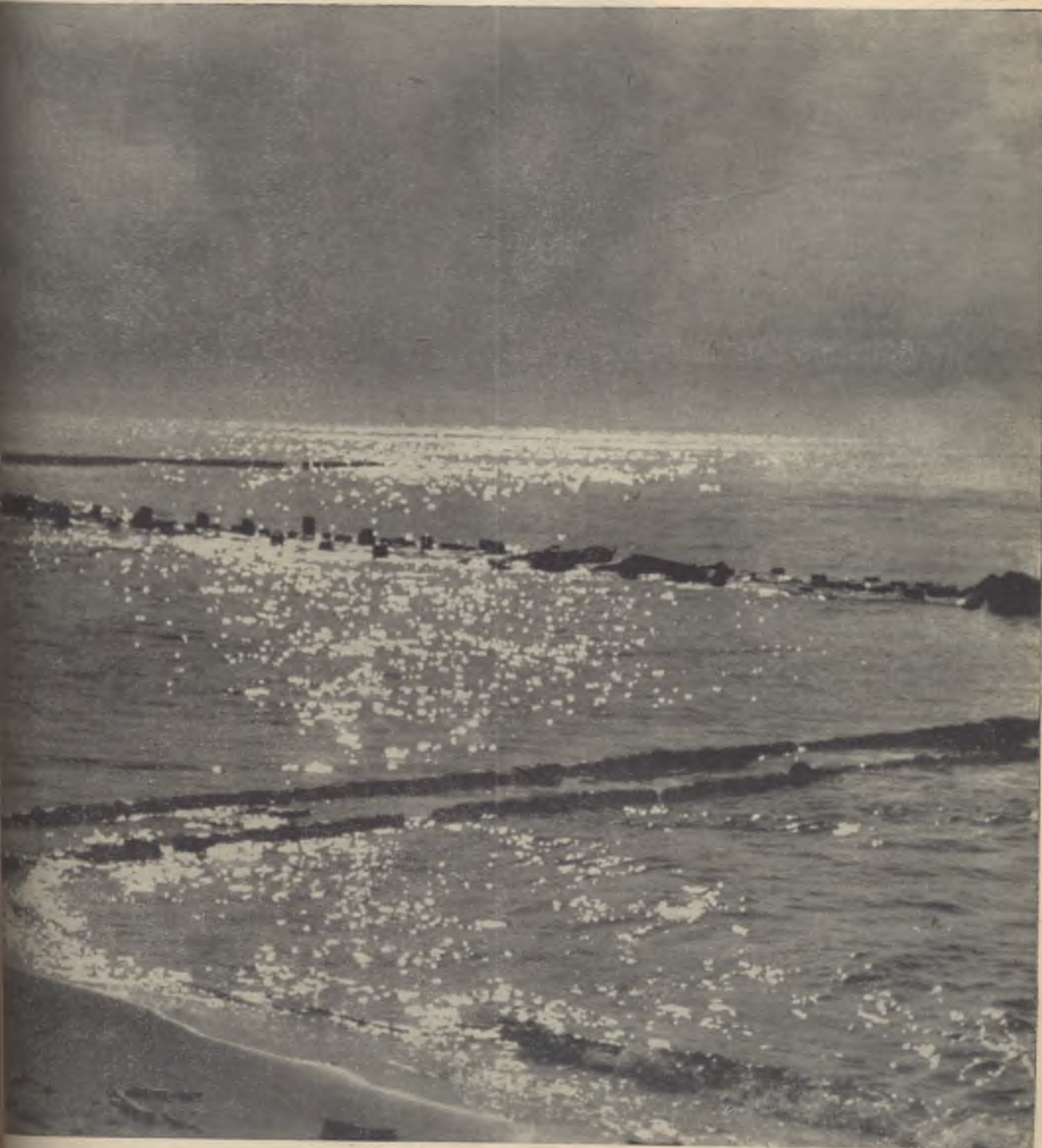
8

Czeski Cieszyn, sierpień 1966

W NUMERZE:

Rewolucja czy zmiana firmy ★ Pokłosie
jubileuszu ★ O problematyce narodowościowej w CSRS ★ Tragiczna noc ★
Ludwik Klucki ★

Foto Wł. Wojnar.



Rewolucja czy zmiana firmy

Coraz szersze kręgi zatacza ostatnio dyskusja o klubach. Nie omija ona oczywiście prasy, ale najwięcej dyskutuje się na zebraniach i w kularach ZG PZKO.

Szczególnie modne są ostatnio kluby propozycji, wzorowane na znanym już prototypie cieszyńskim, kierowanym przez redaktora Wł. Oszełdę. Są to zebrania dyskusyjne na określony temat, poprzedzone prelekcją czy wprowadzeniem, albo spotkania z interesującymi ludźmi, którzy prowadzą rozmowę z uczestnikami. Kluby propozycji to w pewnym sensie instytucja — równocześnie nazwa lokalu oraz większości imprez, które się w nim odbywają. W gruncie rzeczy nie tak bardzo różnią się od nich inne kluby pezetkaowskie z klubami młodych włącznie. W klubach młodzieżowych jest oczywiście więcej muzyki i tańca, a mniej mówienia.

W zasadzie każdy klub jest w pewnym sensie klubem propozycji — miejscem mniej czy więcej interesujących rozmów i wymiany poglądów.

Można by też zgodzić się z tymi, którzy uważają, że chodzi tylko o zmianę firmy, że to, co dawniej nosiło nazwę świetlicy, wieczoru świetlicowego, nazywamy obecnie globalnie klubem. Bo przecież w świetlicach odbywały się również prelekcje, wieczory pytań i odpowiedzi, prowadzono gry towarzyskie, spotkania...

Piszę „można by“, bo sprawa nie jest tak jednoznacznie prosta. A sama nazwa nie jest wcale istotna.

Jeśli przyjmiemy, że świetlice to rodzaj klubu (klub jest ogólniejszą i uniwersalniejszą nazwą), to czym uzasadnić bezsporny fakt znacznej aktywizacji życia klubowego w ostatnich miesiącach w szeregu miejscowościach (Czeski Cieszyń, Hawierzów, Trzynieć-Osiedle, Nowy Bogumin...), gdzie ta intensyfikacja związana jest z nową nazwą (klub) dawnej świetlicy?

Jaką rolę na pewno odgrywa tutaj pewne przesycenie telewizją, która dawniej trzymała rodziny w domu, a obecnie uczymy się już korzystać z niej więcej umiarkowanie, bo człowiek jest przecież stworzeniem wybitnie towarzyskim i prędzej czy później do towarzystwa powraca.

Również unowocześnienie i praktyczniejsze urządzenie lokali klubowych, stworzenie w nich więcej familijnej atmosfery, z przyrządzaniem kawy itp. włącznie, odgrywa swą rolę.

Ale zasadnicza przyczyna spoczywa chyba w samej treści życia klubowego, którą równolegle ze zmianą firmy staramy się wprowadzać. Polega ona w odróżnieniu od dawnej formy wieczoru świetlicowego, złożonego z występów



W bogumińskim klubie. Foto Jan Michalik.

wszystkim znanych zespołów i solistów Koła oraz wysłuchania prelekcji, na swobodnym wykorzystaniu wolnego czasu w pogawędce z jakimś ciekawym przyjezdnym, rozwijaniem różnorodnych hobby, nie wyłączając gier towarzyskich itp.

Życie w klubach rozwija się też, zgodnie z tymi założeniami — dużej swobody kolektywnej i indywidualnej — różnie w zależności od charakteru Koła, od zainteresowań ludzi, którzy w danym środowisku działalność tę inicjują. W Czeskim Cieszyń i Hawierzowie przeważa forma dyskusji — prelekcji, w Boguminie spotkania towarzyskich.

Rozwój życia klubowego wiąże się dość ściśle ze zmianą zainteresowań nie tylko oświatowych (w miejsce suchej prelekcji interesująca rozmowa), ale też i kulturalnych. Dotychczasowe, że tak powiem, klasyczne formy wielogłosowego śpiewu chóralnego, całowieczorowego spektaklu amatorskiego, ludowego tańca, aczkolwiek tak jak przetrwały tysiąclecia, przetrwały jeszcze wiele, wiele pokoleń po nas, muszą, jako bardzo pracochłonne i mało efektywne w dzisiejszym tempie upowszechnienia Kultury przez duże K za pośrednictwem telewizji itp., ustępować miejsca tańszym (jeśli chodzi o nakład pracy i efekty) formom kameralnym. Widoczne to jest szczególnie u młodzieży próbującej masowo sił w popisach piosenkarskich, w różnych zespolicach estradowo-kabaretowych i w różnych formach upowszechniania żywego słowa z recytacją na czele.

Można więc z znacznym uproszczeniem i z nieuniknioną niedokładnością

podsumować, że jako dla życia świetlicowego charakterystyczna była prelekcja i wieczór złożony z występów własnych zespołów Koła, tak dla tego co przemawiało na życie klubowe zaczyna być charakterystyczna kulturalna i niemniej, od prelekcji efektywna rozmowa przy kawie oraz estradowo-piosenkarskie popisy głównie młodych.

Na zakończenie uważam jeszcze za wskazane przestrzec przed pojawiającymi się tu i ówdzie poglądami, jakoby forma klubowa stanowiła jakąś rewolucyjną zmianę w treści i formach naszego życia kulturalnego oraz przed wynikającymi z nich (z tych poglądów) tendencjami skierowania wszelkiej inicjatywy i energii w kierunku rozwijania tej formy. Nic zupełnie nowego nie dzieje się bowiem pod słońcem w upowszechnianiu kultury. Podstawowymi formami pozostaną chyba zawsze słowo mówione i śpiewane, muzyka i taniec do tej muzyki dostosowany... Dobre chóry, zespoły amatorskie czy taneczne będą zawsze stanowiły swego rodzaju klasyczny przejaw tych form. Inna już sprawa, to rozsądne rozeznanie potrzeb i nakładu wysiłków w stosunku do efektów oraz nadążanie za zmieniającymi się coraz doskonalszymi środkami przekazywania tych dóbr kulturalnych szerokim rzeszom społeczeństwa.

I tutaj rola klubów, jako ośrodków skupiających konsumentów kultury, ośrodków dostosowujących się do coraz różnorodniejszych wymagań tych konsumentów, jest bardzo poważna.

JAN RUŚNIO

Pokłosie jubileuszu

Nasz skromny jubileusz wydania dwusetnego numeru „Zwrotu” znalazł odbicie i w prasie polskiej.

W cotygodniowej rubryce „Notatki i utarczki”, prowadzonej przez Wilhelma Szewczyka w katowickiej „Trybunie Robotniczej”, ukazał się 23. 7. br. artykuł pt. „Dwusetny Zwrot”, w którym m. in. czytamy:

„Dwieście numerów miesięcznika — to osiągnięcie szczególnego rodzaju. Dodajmy jeszcze od razu, że chodzi o miesięcznik, ukazujący się za granicą, dla Polaków z Zaolzia o ich sprawach, ale także o sprawach całej społeczności polskiej, o wspólnych sprawach czesko-polskich, o przyjaźni i o wzajemnych troskach. „Zwrot” jest pismem interesującym przede wszystkim jednak dlatego, że stanowi on żywe, barwne, płynne zwierciadło życia polskiego za Olzą. Płynne, gdyż również i „Zwrot” podlegał w ciągu swego istnienia różnym naciskom, odtwarzał załamania okresu lub sam był ich ofiarą. To samo zresztą można powiedzieć o wszystkich długowiecznych pismach, zarówno czeskich i polskich.

Henryk Jasiczek pisze w jubileuszowym numerze „Zwrotu”: „Świadomość celu i pasja, której towarzyszy mądra gotowość i cierpliwość wykorzystania dla dobra sprawy każdej chwili, może być siłą, która pokona największe trudności.” Dodajmy, że chwila bieżąca szczególnie sprzyja tworzeniu tych wartości, które, jeżeli nawet w swej pierwszej fazie rozwoju dyskusyjne, mogą i powinny być wspólne dla wszystkich nas, po obu stronach granicy państwowej, dla Polaków i dla Czechów.

Można tylko życzyć redaktorom „Zwrotu”, by nadal mądrze i rozważnie dokumentowali życie polskie na Zaolziu i by — jak to czynią dotychczas — z młodzieńczą pasją usuwali przeszkody na drodze do pełnego współmiłowania i współmyślenia dwóch bratnich narodów. „Zwrot” ma w tej dziedzinie bardzo wiele do zrobienia, jest tym ważnym ogniwem, bez którego nie można sobie wyobrazić dalszych dobrych kontaktów. Młecznie świętowaliśmy polskie Milenium — pisze Tadeusz Siwek w omawianym numerze „Zwrotu”. — Nie tylko jako polską rocznicę. Jako okazję do zamianowania, że 1000 lat liczy czesko-polska przyjaźń. I to bowiem należy do programu pisma.

Dokumentalistom polskiej prasy zagranicznej przyda się zdjęcie familijne, które oglądamy na ostatniej stronie „Zwrotu”. W zespole redakcyjnym widzimy dwie panie i sześciu panów. Dodajmy jeszcze trzech nieobecnych, a będziemy mieli konfekt miłego nam zespołu, któremu życzymy dalszych kilkuset numerów.

Również w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej” 10. 7. 1966 napisał przy tej okazji bar-

dzo pochlebnie o naszym piśmie Robert Danel. Oto wyjątki z jego artykułu:

Pismo to wyróżnia się wysokim poziomem publikowanych prac, celnością i odwagą w podejmowaniu trudnej nieraz tematyki, rzetelnością publicystycznego widzenia spraw współczesnych, odkrywczością i bogactwem materiału. Oprócz publicystyki, która dominuje obecnie na łamach czasopisma, drukuje „Zwrot” prace literackie, naukowe i popularno-naukowe, chroniąc od zapomnienia to, co tylko chwila obecna może utrwalić.

Wysokie walory publikowanych materiałów powodują, że „Zwrot” jest czytany nie tylko przez ludność polską zaolziańskiej części Śląska Cieszyńskiego, ale także przez licznych jego sympaty-

ków w Polsce, w tej liczbie naukowców, którzy sięgają po miesięcznik jako po źródło, do którego można mieć pełne zaufanie.

Warto jeszcze wspomnieć, że „Zwrot” ma poważny wkład w dzieło krzewienia przyjaźni polsko-czechosłowackiej, że ideę przyjaźni realizuje na co dzień, zamieszczając prace autorów czeskich, sięgając po współpracę piór z różnych regionów naszego kraju, głównie ze Śląska Cieszyńskiego.

Oprócz tego otrzymała redakcja życzenia od bratnich pism i współpracowników, za które serdecznie dziękujemy.

Szczególnie cenimy sobie życzenia, przekazane telefonicznie, towarzysza Jerzego Bartaka z KC KPC w Pradze, który ma dużą zasługę w tym, że od początku 1967 r. będzie nasz miesięcznik wychodził w poszerzonej objętości.



Foto T. Kopoczek.

Z historii parku i jego twórcy

Do spraw, które powinny zostać właściwie, zgodnie z historyczną prawdą i sprawiedliwością dziejową potraktowane i o których należy poinformować młodsze warstwy społeczeństwa, należy sprawa fundacji parku Adama Sikory, zwanego obecnie Parkiem Pokoju w Czeskim Cieszynie.

Wytworzyła się bowiem swego czasu teoria (nie poparta żadnymi realiami), że Adam Sikora, którego nazwisko figurowało do niedawna w nazwie czesko-cieszyńskiego parku, był człowiekiem z dzisiejszego punktu widzenia nie godnym tego zaszczytu. Tymczasem wszyscy starsi działacze bez względu na przekonania polityczne wiedzą, że to był aktywny i ofiarny działacz narodowy, walczący z naciskiem germanizacyjnym na terenie Cieszyna w końcu ubiegłego i początkach bieżącego stulecia, który całe swe oszczędności urzędnicze przeznaczył na dar dla mieszkańców naszego grodu w postaci parku.

Urodził się 21.12.1846 w Górnym Żukowie. Po ukończeniu gimnazjum w Cieszynie pracował jako urzędnik w różnych miastach polskich. W roku 1875 — był w tym czasie zatrudniony w księgarni Gebethnera i Wolfa w Warszawie — został jako wybitny znawca buchalterii powołany na członka Zarządu Głównego powstającego Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie, w której to instytucji pozostał czołowym pracownikiem aż do końca życia. Aktywną działalność społeczną rozwijał poza tym prawie we wszystkich istniejących wówczas polskich organizacjach kulturalno-oświatowych i sportowych — w Towarzystwie Domu Narodowego, Macierzy Szkolnej, Sokole, Polskim Towarzystwie Wydawniczym, Polskiej Czytelni Ludowej i jej sekcji teatralnej, Towarzystwie Pomocy Naukowej. Zmarł 26. 7. 1910 w Budapeszcie, dokąd wyjechał leczyć chorobę nerwową.

Do zrealizowania wspaniałomyślnego daru skłoniły go, obok jakichś ogólnohumanitarnych względów, trudności, na jakie napotykały organizacje polskie w Cieszynie przy organizowaniu takich imprez jak festyny, zloty itp. Lasek w Grabinie, znajdujący się pod zarządem miejskim, był dla Polaków prawie że niedostępny, a oprócz tego niemieckie władze miejskie, włącznie z policją, dopuszczały do nagonki na uczestników uroczystości polskich towarzystw. Np. uczestnicy dorocznego festynu towarzystwa gimnastycznego Sokół w czerwcu 1908 roku zostali podczas pochodu przez miasto napadnięci przez rozwyzdronych szowinistów niemieckich. Padły strzały, rzucano bomby, petardy, zgniłe jaja — było 20 rannych, w tym pięciu ciężko.

Sikora zakupił więc za 15 tysięcy koron austriackich około 3 ha gruntu poza

ówczesnymi granicami miasta — w Sibiicy na lewym brzegu Olzy i ofiarował go Macierzy Szkolnej z przeznaczeniem na „ogród zabaw i ćwiczeń” dla młodzieży. Następnie na apel umieszczony we wszystkich gazetach polskich płynęły dary pieniężne z całego kraju. Równocześnie przystąpiono do wyrównania gruntu, wykopania stawu, sadzenia drzew, krzewów, budowania urządzeń parkowych i ogrodu. W krótkim czasie wyboisty teren zmienił się w piękny park, nazwany z wdzięczności dla fundatora jego imieniem.

Wydaje mi się, że mieszkańcy Cieskiego Cieszyna winni i dzisiaj pamiętać o tym szlachetnym człowieku, który cały swój majątek (jako kawaler nie posiadał oprócz oszczędności innych posiadłości), przeznaczył dla wspólnego dobra.

Władze miejskie w Czeskim Cieszynie miałyby się nad tym zastanowić i podjąć jakieś rozsądne decyzje (choćby z okazji 120 rocznicy urodzin A. Sikory, przypadającej na grudzień br.). Przywrócenie dawnej nazwy parku było by tutaj szczerym gestem tak wobec pokrzywdzonego fundatora, jak wobec odczuwających tę niesprawiedliwość nas Polaków. Przyczyniłoby się to na pewno do dalszego zbliżenia i wzajemnego zrozumienia.

LEON SZMEJA



Foto B. Bielek

Nie tylko Quentin...

(Bratysławska korespondencja)

Odległość Praga—Bratysława przebyliśmy autokarem w niespełna 8 godzin. Trzeba jednak odliczyć godziną przerwę w Bernie.

Bratysława sprawiła, w porównaniu z praskim gwarem, zgiełkiem i ruchem, wrażenie znacznie spokojniejszego miasta. Tak może się wydawać jednak tylko przygodnemu turyście.

Nam chodziło bowiem o inny „ruch”. Przyjechaliśmy zaznajomić się z bratysławskim życiem kulturalnym. Dużo mówi się ostatnio o słowackiej „eksplozji kulturalnej”. Chcieliśmy się choćby powierzchownie zaznajomić z formą polityki kulturalnej na Słowacji.

Pierwszy dzień spędziliśmy bardzo pracowicie: zwiedziliśmy wszystko i to w takim tempie, że nie można było w żaden sposób spokojnie absorbować wrażeń. Rozpoczynając od atelierów „Na Kolibe”, przez zamki, galerię, kościoły, wybrzeże Dunaju — po teatr i nowoczesne budownictwo. Tu właśnie miałem możliwość zwiedzić tzw. „domek z atrium” [ten, o którym pisał inż. Br. Firla w „Głosie Ludu”]. Muszę przyznać, że porównując ten bratysławski wzór z fotografiami typu budownictwa prątkowskiego, byłem wyraźnie zawiedziony.

Głównym symptomem tego rodzaju budownictwa jest izolacja od otoczenia, stworzenie choćby pozorów intymności. To, co widzieliśmy w Bratysławie, przypominało raczej bryłę z cegły i cementu, zamkniętą hermetycznie i niekształtą. Z całą satysfakcją przyznaję, że wolę nasze rozkrzyczane osiedla — człowieka przynajmniej pewność, że nie żyje na tym świecie sam. Przyznaję, że w tym kawał subiektywizmu — ale to już inna sprawa. Osiedla są tu kolorowe, ciekawie rozwiązane architektonicznie (kompleks budynków na Tiehelnom Polu). Nie o tym chciałem jednak pisać.

Wielkie wrażenie zrobiło na nas spotkanie w „Klubie Aktora” obok Teatru Pavla Országha Hviezdoslava.

Pogadanka przebiegała w bardzo sudecznej atmosferze. Byli obecni między innymi: Slivko (sekretarz zrzeszenia aktorów), Rossenbaum (słowackie wydawnictwo), Stevček (krytyk i teoretyk literatury), L. Chudík (aktor i szef teatru dramatycznego), L. Tažky (pisarz) i inni.

Rozmawiano dużo, szczerze i bardzo szeroko. W pierwszym rzędzie podlegała się bezpośrednio prowadzonych rozmów. Przyjemne wrażenie można stwierdzić: kierunek rozwoju i formy, jakimi się

ten rozwój dzieje, mogą nas napawać optymizmem.

Niezapomnianym przeżyciem zostanie wieczorny spektakl w Teatrze Narodowym. Arthur Miller „Po upadku”. Reżyseria Pavol Haspra, w roli Quentina wyśmienity Ladislav Chudík, Maggie Zdena Grubnerová. Widziałem to przedstawienie w praskim Teatrze Tyla z K. Högerem i J. Hlaváčową w reżyserii Vejražky.

Muszę stwierdzić, że bratysławska wersja musi się znacznie więcej podobać. Wielka w tym zasługa L. Chudíka.

W przyszłym dniu gościliśmy w KC KPS. W dyskusji z tow. Soltysem wyjaśniono sobie wiele spraw, a w pierwszym rzędzie podstawową: „eksplozja kulturalna” nie jest właściwie eksplozją w dosłownym tego słowa znaczeniu. To żmudna i umiejętna kontynuacja trady-

cji narodowych. Jak powiedział pisarz Ladislav Tažky („Amen Maria”, „Krdiel andielov”) „uświadomienie sobie swojej przynależności narodowej i vitalność narodu przejawiają się w sztuce. Pod różnymi postaciami”.

Ruch uliczny nie może być miernikiem wielkości miasta.

WILHELM PRZECZEK

O problematyce narodowościowej w Czechosłowacji

(VII)

Konkretnie rozwiązanie kwestii narodowościowej po drugiej wojnie światowej — w świecie, Europie, Europie środkowej, u nas — wynikało, nie mogło nie wynikać z warunków tej wojny, z porażki mocarstw faszystowskich i z zwycięstwa światowej koalicji antyfaszystowskiej. Zostały przywrócone do pierwotnego stanu w większości wypadków granice zmienione przez hitlerowców i ich sojuszników.

Zanikła okupacja państw, krajów i narodów — Albanii, Etiopii, Austrii, Czechosłowacji, Polski, Danii, Norwegii, Belgii, Holandii, Luksemburga, Jugosławii, Grecji, Indochin, Sjamu, Filipin, Indonezji, Malajów, Burmy; Tunisu. Zanikła okupacja rozległych terenów Chin, Indii, wysp Pacyfiku; Francji, Związku Radzieckiego; Egiptu. Zostały anulowane aneksje Austrii i terenów przygranicznych Czechosłowacji przez Niemcy, Węgry i Polskę; aneksje i zabór przez Rzeszę krajów czeskich (tzw. Protektorat Czechi i Morawa) i Rusi Podkarpackiej oraz wschodniej Słowacji przez Węgry; przyłączenie Kłajpedy, Gdańska i rozległych terenów państwa pol. do Rzeszy niem., włączenie reszty Polski (Generalnej Gubernii) do Rzeszy; aneksja Alzacji i Lotaryngii, terenu Eupen-Malmedy, Luksemburga przez Niemcy; aneksje Włoch wobec Jugosławii, Węgier wobec Jugosławii i Rumunii oraz faktyczna aneksja Mandżurii przez Japonię.

Zlikwidowano państwa marionetkowe wytworzone przez mocarstwa faszystowskie dla poparcia ich agresywnych planów — faszystowską Słowację i Chorwację.

Zwycięstwo nad mocarstwami faszystowskimi i ich satelitami umożliwiło likwidację również dawniejszych zaborów tych państw: Południowego Sachalinu i Wysp Kurylskich przez Japonię w roku 1905, Tajwanu przez Japonię, Libii, Albanii, Etiopii, Półwyspu Istryjskiego oraz niektórych dalszych terytoriów adriatyckich przez Włochy.

Zostały przywrócone stosunki polityczno-państwowe istniejące przed wojną — przywrócenie państwowości Etiopii, Albanii, Austrii, Czechosłowacji, Polski...

Przywrócone zostały też przedwojenne granice między państwami z wyjątkiem

1. zmian wobec pokonanych państw faszystowskich, służących do zapewnienia bezpieczeństwa na wypadek ewen-

tualnego nowego ataku w przyszłości [granice Polski na Odrze i Nysie; likwidacji Prus Wschodnich i ich podział między Polskę i Związek Radziecki; korekta granicy radziecko-fińskiej w okolicy Leningradu i na północy Finlandii; ponowne przyłączenie południowego Sachalinu i Wysp Kurylskich do Związku Radzieckiego; przekazanie Dodekanazu Grecji]. Z podobnych względów zlikwidowano niektóre terytoria kolonialne Japonii w Azji i Włoch w Afryce.

2. Zmiany granic na korzyść Związku Radzieckiego, który ponosił główny ciężar walki przeciw mocarstwu faszystowskiemu, oznaczające a) naprawienie krzywd dokonanych na słabym jeszcze państwie radzieckim po pierwszej wojnie światowej (linia Kurzona jako granica między ZSRR i Polską; przyłączenie Besarabii i Mołdawii do ZSRR — które oprócz tego posiadało do pewnego stopnia podobny charakter jako zmiana polsko-niemieckich, względnie radziecko-fińskich granic, ponieważ Rumunia była sojusznikiem hitlerowskich Niemiec i z ich pomocą okupowała w czasie wojny obwód odeski; do pewnego stopnia należy tutaj też połączenie republik bałtyckich z ZSRR); b) zmianę granic ZSRR z Czechosłowacją i Rumunią (włączenie Rusi Podkarpackiej i Bukowiny do ZSRR, którego celem było połączenie wszystkich terytoriów ukraińskich w jedną całość).

3. Zmian wynikających z potrzeby naprawienia starszych krzywd wyrządzonych przez państwa faszystowskie.

Ponieważ w związku z przywróceniem przedwojennych granic Czechosłowacji oraz z wytworzeniem nowych granic Polski z Niemcami i z likwidacją Prus Wschodnich pozostały w Czechosłowacji, Polsce i Związku Radzieckim mniejszości niemieckie, które w przeszłości stały się narzędziem niemieckiej agresji faszystowskiej i były przesiąknięte faszyzmem, doszło do wysiedlenia Niemców z tych terenów oraz z dalszych terytoriów środkowej i południowo-wschodniej Europy (o ile sami przed końcem wojny nie uciekli) do Niemiec. Pozostawienie mniejszości niemieckich byłoby sprzeczne z doświadczeniami historycznymi z wynikami wojny i z celami związanymi z przywróceniem przedwojennych granic Czechosłowacji oraz z ustanowieniem nowych granic Polski i ZSRR wobec Niemiec.

Ponieważ jednak faszyzm wykorzystywał do swych agresji, do rozbicia czy osłabienia innych państw nie tylko mniejszości niemieckich, lecz mniejszości w ogóle i ponieważ po doświadczeniach z ubiegłych lat uważano kwestię mniejszości narodowych za źródło komplikacji tak dla życia wewnętrznego państwa, jak i dla wzajemnych stosunków między państwami, powstała po drugiej wojnie, szczególnie w krajach, które miały problemy mniejszościowe, chęć całkowitego pozbawienia się mniejszości i wytworzenia w miarę możliwości państw czysto narodowych. Czechosłowacja np. usiłowała o wysiedlenie, wzgl. o wymianę na Słowaków w Węgier mniejszości węgierskiej, między ZSRR z jednej, a Polską i CSR z drugiej strony, prowadzone było wzajemne przesiedlanie mieszkańców oraz umożliwiono przez pewien czas dowolny wybór przynależności do danego państwa itd. O ile mniejszości pozostały, nie było ich istnienie przyznawane i uznawane oficjalnie; istniała obawa przed powrotem do poprzedniego statutu narodowościowego



Foto T. Miśka.

narzuconego po roku 1918 szeregowi państw europejskich przez koalicję zwyciężczych państw sojuszników, a nadużytego potem, szczególnie przez Niemcy, do ingerowania w wewnętrzne sprawy innych krajów.

Decyzje dotyczące kwestii narodowościowej, posiadające bezpośredni związek z porażką faszyzmu, można rozdzielić do kilku grup:

1. postanowienia wobec pokonanych, zwłaszcza przeciw Niemcom (przesunięcie granic, wysiedlenie);

2. zasadnicze przywrócenie przedwojennych granic państwowych (z uwzględnieniem już wyjątkami) i związanych z nimi do pewnego stopnia wewnętrznych stosunków narodowościowych poszczególnych państw (o ile nie doszło do zmian spowodowanych przez wysiedlenie, wymianę, optację itp.);

3. postanowienia dotyczące wewnętrznej polityki narodowościowej (nowe ułożenie stosunków między narodami i narodowościami uzależnione od wojny).

Podział ten jest oczywiście częściowo sztuczny.

Zwróciliśmy już uwagę na podstawowy charakter tych decyzji. Pomimo udziału elementów socjalistycznych (ZSRR, partie komunistyczne) w ich wytworze-

niu, nie chodziło, nie mogło chodzić o decyzje socjalistycznego, lecz tylko demokratycznego, burżuazyjnie-demokratycznego charakteru. Ta ich ograniczoność była wyrazem kompromisu między komunistycznymi i burżuazyjnymi uczestnikami koalicji antyfaszystowskiej. Oprócz tego były te decyzje w zależności od charakteru i wyników drugiej wojny zróznicowane wobec poszczególnych grup narodowościowych. Prawo do samostanowienia nie było i nie mogło być stosowane powszechnie, lecz tylko i przede wszystkim wobec ujarzmionych przez faszyzm narodów, krajów i państw. Wobec pokonanych państw faszystowskich oraz ich sojuszników było słuszne, nawet konieczne, ograniczenie tego prawa (okupacja ich ziemi, ingerencja w ich życie wewnętrzne w celu likwidacji faszyzmu i demokratyzacji stosunków, względnie zmiany granic, wysiedlenie mniejszości itd.).

Krytyka tych decyzji z punktu widzenia abstrakcyjnej, powszechnej demokracji, nie uwzględniająca czasu i miejsca, jak ją demagogicznie usiłują prowadzić rewanżyści niemieccy (i jak tu i tam spotykamy się z nią wśród niektórych komunistów, odwołujących się do ogólnych zasad marksizmu i do stanowiska komunistów po pierwszej wojnie

światowej) jest bezpodstawna. Pokonanie i zniszczenie faszyzmu było demokratyczne, pomimo, że musiało być dokonane siłą. Zmiany granic Niemiec i wysiedlenie Niemców były w danej sytuacji zarządzeniami demokratycznymi, służącymi nie tylko bezpieczeństwu ich sąsiadów przed ewentualnością nowego ataku, lecz miały również na celu otrząśnięcie się mas narodu niemieckiego z odurzenia faszystowskiego. Że do tego w pełni nie doszło nie jest winą tych decyzji, lecz wynikiem niedostatecznie przeprowadzonej likwidacji faszyzmu i niedostatecznej demokratyzacji w Niemczech Zachodnich.

Usiłowałem przynajmniej w grubych rysach nakreślić podstawową problematykę narodowościową drugiej wojny światowej (albo lepiej: zmagania antyfaszystowskich w czasie tej wojny — ponieważ istniały jeszcze inne problemy narodowościowe, które przekraczały ramy i granice tych zmagania). Razem z poprzednim zarysem rozwoju historycznego kwestii narodowościowej u nas od pierwszej wojny światowej stanowi to już pewną bazę, na podstawie której możemy przystąpić do omówienia problematyki narodowościowej Czechosłowacji po drugiej wojnie światowej.

KAREL POMAŹIL

W połowie sierpnia 1944 r. został spuszczonego w Beskidach desant radziecki. Część spadochroniarzy lądowała w „Dziurawym” pod Kozubową, zaś druga w Mostach koło Jabł., niedaleko toru kolejowego u stóp Girowej, w miejscu nazwanym „Mikówką”. Skakało sześciu, ale tylko pięciu wylądowało szczęśliwie. Szóstemu nie otworzył się spadochron i znalazł śmierć w miejscowym „łomie” (dawnym kamieniołomie). Pozostała piątka prędko się odszukała, a nie mogąc doczekać się szós-

kiej grupy byli spadochroniarzami radzieckimi. Jeden nazywał się Szymon, a dwóch było Nikolajów. Młodszy z nich pochodził podobno z Brześcia Litewskiego, a drugi, starszy, miał z wszystkich spadochroniarzy największe doświadczenie, ponieważ już trzeci raz skakał poza linią frontu. Wszyscy byli bardzo młodzi. Najstarszy z nich „Nikolaj” mógł liczyć najwyżej 22—23 lata, a najmłodszy, tzn. Marusia i Szymon nie mieli jeszcze dwudziestu lat. Także ten szósty spadochroniarz, zabity w „łomie”, był młodym

gdzie idzie, skąd jest, jak się nazywa, co robi, gdzie mieszka, no i wiele innych rzeczy.

Janka w pierwszej chwili obleciał strach, ale prędko się domyślił co to mogą być za ludzie i zaczął śmiało odpowiadać. Oczywiście nie zapomniał nadmienić, że jest w Niemczech na przymusowych pracach, musi ciężko pracować i że już nieraz miał zamiar uciec. Widać,

TRAGICZNA NOC

(Ze wspomnień byłego partyzanta Józefa Kluza z Mostów k. Jabł.)

tęgo, ruszyła w stronę Girowej, aby przed wschodem słońca znaleźć odpowiednią kryjówkę. Młoda radystka, jedyna kobieta w grupie, podczas lądowania zwichnęła sobie nogę i trzeba ją było nieść. Toteż gdy słońce zaczęło wychylać się spoza Zielonej, musieli spadochroniarze ukryć się tymczasowo w zbożu, ponieważ do lasu było jeszcze dosyć daleko, a widoczność była już dobra. Tutaj mogli trochę odsapnąć i zastanowić się nad dalszym planem działania. Dowódcą grupy był por. Władysław Bajan (spadochroniarze nazywali go „lejtant Wołodźka”). Pochodził z Krakowa i był bratem znanego pilota wojskowego Jerzego Bajana, zwycięzcy Challenge-u 1934 r.

Radystka „Marusia”, młoda studentka, znała język polski. Pozostali trzej człon-

chłopcem, a według opowiadań spadochroniarzy miał być jakoby narzeczonym Marusi.

Ukryci w zbożu zastanawiali się, co dalej czynić. W pierwszym rzędzie należało szukać lepszego ukrycia i kontaktów z miejscową ludnością. Pomógł im tutaj prosty przypadek.

Właśnie owego poranku równo ze świtem wybrał się na grzyby do lasu młody Janek Kluz z Mostów, którzy przyjechał do rodziców na krótki urlop z przymusowych prac w Niemczech. Dzień zapowiadał się pogodny, więc kroczył rażno i wesoło. Naraz ze zboża wyskoczyło czterech uzbrojonych mężczyzn w ciemnogranatowych mundurach i wysokich butach, a jeden z nich (na pewno por. Bajan) zaczął go wypytywać po polsku:



JÓZEF KLUZ



Foto J. Zabkowan

Jeśli spadochroniarze nabrali do niego zaufania, bo opuścili automaty i zaprowadzili do kryjówki w zbożu. Tutaj por. Baján rozłożył na ziemi mapę i zaczął pytać Janka o nazwy pobliskich gór i wzgórz, a kiedy zapytał o miejsce najczęściej zalesione, wymienił Janek „Głębiec” pod Girową. Po krótkim namyśle postanowił por. Baján udać się tam ze swoją grupą. Zwrócił się do Janka z prośbą aby był ich przewodnikiem. Ten zgodził się chętnie, bo ci młodzi ludzie jakoś od pierwszej chwili przykleili mu do serca. Do domu już nie wrócił — został przy spadochroniarzach. Jego obecność była dla nich bardzo cenna, bo znał dobrze nie tylko okolicę, ale i ludzi.

Tymczasem w domu daremnie czekali na Janka. Nikt nie wiedział co się z nim stało. Dopiero po jakimś czasie skontaktował się przez kolegę Kohutę z Mostach ze starszym bratem Józefem i prosił go, aby przyszedł wieczorem do lasu na „Wyrszczkach”. O umówionej godzinie wybrał się Józef w tajemnicy przed rodzicami z zaufanymi kolegami Kohutą i Niedobą na „Wyrszczki”, niosąc przy sobie coś do jedzenia. Kiedy dochodziła do lasu odezwał się gwizd, a spoza drzew wychyliła się głowa Janka. Wtedy skoczyli do lasu, gdzie znaleźli Janka w towarzystwie jednego spadochroniarza. Powitanie braci było bardzo ciepłe. Janek zasypywał brata pytaniami, ponieważ był ciekawy co w domu nowego, co mówią rodzice, a co ludzie w Mostach. Spadochroniarz siedział obok, śmiechał się i częstował przybyłych słodkimi. Kiedy już mieli wracać, wyjęł z kieszeni niemieckie pieniądze i prosił, by zakupili trochę prowiantu dla spadochroniarzy, żądając zarazem dostrzeżenia ścisłej tajemnicy. Spotkać się mieli drugiego dnia w tym samym miejscu. Późną nocą pożegnali się i cichaczem wracali do domów.

Na drugi dzień, mniej więcej o tej samej porze, skradali się znowu w stronę „Wyrszczków” i nieśli ze sobą zakupiony (czy też w inny sposób zdobyty) prowiant. Janek ze spadochroniarzem już na nich czekali. I znowu odbyły się długie, ciche rozmowy do późnej nocy.

Po kilku takich wieczorach zmienili taktykę. Janek z jednym albo z dwoma spadochroniarzami zaczęli przychodzić nocą w pobliże domu rodzinnego. Tam już za stodołą czekał na nich brat Józef z przygotowanym jedzeniem lub innymi niezbędnymi rzeczami.

Te wzajemne odwiedziny trwały 10 dni. Po 10 dniach przenieśli się spadochroniarze z Głębca na drugą stronę toru kolejowego — na Skałkę — i tam pod „Glejtokym” zapadli w gęstych lasach. Ponieważ pogoda dopisywała, więc biwakowali pod gołym niebem, a częściowo tylko pod namiotami. Bracia Kluzowie byli nadal z sobą w ciągłym kontakcie. Dla grupy nastąpiły spokojniejsze czasy. Marusia już nogę wyleczyła, a radiostacja zaczęła normalnie funkcjonować. Jedno co niepokoiło por. Bajana, to brak wiadomości o drugiej grupie, która według jego przypuszczeń musiała spać gdzieś niedaleko, a która miała radiostację i nie mogła się z nim kontaktować.

Posyłał więc codziennie nocą po kilku spadochroniarzy na Zieloną i kazał im chodzić po lesie i cicho wołać „Filipok”. Musiał to być jakiś umówiony znak czy też hasło. Ale kiedy to okazało się bezskuteczne, postanowili przerzucić się na drugą stronę doliny Łomnej, to znaczy na Kamienity i tam kontynuować swoje poszukiwania.

Troskliwie więc studiował mapę i przy pomocy Janka Kluzę wyznaczał najdogodniejszą trasę. Wymarsz miał nastąpić w najbliższych dniach. Trzeba było pomyśleć o rozłące z Mostami i rodziną. Janek zaczął namawiać starszego brata

aby z nimi poszedł, że razem będzie im łatwiej i weselej. Nie potrzebował go długo przekonywać. Chodziło tylko o to, aby rodziców przedwcześnie nie martwić. Umówili się więc, że ucieczka nastąpi nocą.

I tak się też stało. W nocy z 24 na 25 sierpnia 1944 r., kiedy wszyscy w domu zasnęli, spakował Józef trochę niezbędnych rzeczy i cichaczem wymknął się z domu. Niedaleko za kopką siana czekał już na niego brat Janek i razem ruszyli w stronę Skałki. W dole za nimi pozostał dom rodzinny. Szli cicho, bez słowa, bo smutek osiadł w ich sercach. Obaj myśleli o tym, czy jeszcze kiedy wrócą do domu i czy zobaczą swoich najbliższych.

Kiedy przybyli na miejsce, zgłosił się Józef u por. Bajana i prosił o przyjęcie do grupy. Ten jednak zaczął mu zwracać uwagę na niebezpieczeństwo i na niewygody, które go czekają i radził mu wracać do domu. Józef jednak obstawał przy swoim i oświadczył, że on młodszego brata nie opuści. Widząc taki upór i zapał musiał ostatecznie por. Baján ustąpić. Nie miał jednak dla niego broni i kazał czekać na jakąś zdobycz. Tymczasem przydzielił mu krótki pistolet. Dla Józefa zaczęło się nowe życie pełne przygód i wydarzeń.

Jakoś początkiem września 1944 roku zdecydował por. Baján dokonać przejścia nocą na Kamienity. Przygotowania trwały cały dzień. Pakowano rzeczy, czyszczono broń, palono i zakopywano niepotrzebny balast. Dzień przed tym por. Baján napisał list do swojej matki w Krakowie, doręczając go nocą siostrze Kluzów — Hance, z prośbą, aby w wypadku, gdyby się coś złego stało, przesyłała go jego matce do Krakowa. (Tak się też po wojnie stało.) Przed odejściem na Kamienity chodził por. Baján cały dzień jakiś smutny i przygnębiony.

(c. d. n.)

LUDWIK KLUCKI (1801—1877)

Początki ruchu narodowego na naszym terenie związane są nierozłącznie z postacią adwokata i długoletniego burmistrza Cieszyna dr Ludwika Kluckiego. Z wielu względów, które uzasadniają zajęcie się osobowością i drogą życiową L. Kluckiego, zwróćmy uwagę na dwa. Jego biografia stanowi cenny przyczynek do badań nad wyjątkową wprost rolę, jaką odegrała inteligencja w procesie kształtowania się nowoczesnej świadomości społecznej, zwłaszcza narodowej. Nie oznacza to bynajmniej, by można mówić o jakiejś biernej postawie w tym czasie szerokich mas ludowych. Właśnie koleje życia inteligenta Morawianina Kluckiego, szybko polonizującego się w chłopskim środowisku cieszyńskim, są jednym z wielu zresztą przykładów, świadczących o żywotności i sile oddziaływania miejscowej autochtonicznej społeczności, asymilującej obcych przybyszów z pokrewnych językowo krajów czeskich i słowackich, osiadłych na stałe na Śląsku Cieszyńskim.

L. Klucki urodził się 16 stycznia 1801 w Hranicach w północnych Morawach w rodzinie lekarza obwodowego; ukończył gimnazjum w Bernie, liceum w Klagenfurcie i Lublanie oraz uniwersytet w Pawii w Lombardii. Studia wyższe, zakończone uzyskaniem stopnia doktora praw, związały Kluckiego z rewolucyjnym włoskim ruchem narodowo-wyzwoleńczym oraz z ideami wspólnoty słowiańskiej. Aresztowany za udział w konspiracyjnej działalności antyaustriackiej, spędził dwa lata w areszcie śledczym w Mediolanie; skazany na śmierć, został ułaskawiony, a wyrok śmierci zamieniono na dwuletnie więzienie. Po uzyskaniu wolności odbył praktykę prawniczą w Wiedniu, z kolei pełnił obowiązki księdza-biskupskiego justycjariusza w Hukwaldach w północnych Morawach. W roku 1831 osiedlił się w Cieszynie, gdzie uzyskał adwokaturę; wykonywał ją bez przerwy do r. 1864.

Jako adwokat Klucki zyskał sobie z racji swych walorów osobistych oraz demokratycznych przekonań, znaczną popularność zarówno wśród miejscowego chłopstwa (zwano go „adwokatem chłopskim”), jak i w środowisku mieszczańskim; odgrywał on wybitną rolę w życiu towarzyskim Cieszyna i okolicznych miast.

W Cieszynie pozostał wierny swym dawnym sympatiom słowiańskim; utrzymywał kontakt z naukowcami i działaczami narodowymi krajów czeskich, abonował pisma słowiańskie, posiadał bogatą, jak na owe czasy, bibliotekę sławistyczną. Etniczno-językowe oblicze jego nowego otoczenia zbliżyło go i związało z elementem polskim. Pomimo iż nie

opanował dobrze języka polskiego, stał się jego gorącym zwolennikiem i propagatorem. Jego dom prywatny, a później także i kancelaria adwokacka były pierwszymi ośrodkami krzewienia idei słowiańskiej oraz polskiej świadomości narodowej na Śląsku Cieszyńskim. Zachęcał do studiowania języka polskiego, literatury polskiej i słowiańskiej, spieszył z różnorodną pomocą miejscowej młodzieży chłopskiej, pobierającej naukę w cieszyńskich szkołach średnich. Występował z inicjatywą walki z naleciałościami niemieckimi w mowie potocznej, rozpoczął akcję przywracania polskiego brzmienia nazwiskom, okolicznym nazwom geograficznym; w okresie Wiosny Ludów Klucki podjął starania o równouprawnienie języka polskiego w sądownictwie i w stosunkach z władzami administracyjno-politycznymi.

Z biegiem czasu wokół Kluckiego zgrupowała się garstka cieszyńskiej młodzieży gimnazjalnej, napływowej czeskiej oraz rodzimej polskiej, która z wydatną jego pomocą przystąpiła poczynając od r. 1842 do organizowania pierwszych zrzeszeń narodowych; najbardziej aktywną rolę odegrali w nich uczniowie gimnazjalni Paweł Stalmach i Andrzej Cinciała, ten ostatni pracował przez pewien czas, przed podjęciem studiów uniwersyteckich, w kancelarii adwokackiej Kluckiego. W tym też środowisku zrodziła się w połowie lat 40-tych myśl założenia pisma polskiego; jej realizację umożliwiła jednakże dopiero rewolucja 1848 roku. W dniu 6 maja 1848 pojawił się dzięki m. in. wydatnej pomocy finansowej Kluckiego, pierwszy numer „Tygodnika Cieszyńskiego”, przekształconego w maju 1851 w „Gwiazdkę Cieszyńską”. Klucki należał do trzyosobowego składu redakcyjnego pisma, podpisywał je do marca 1849 jako wydawca; nie brał jednakże w jego redagowaniu, z uwagi na niedostateczny stopień znajomości języka polskiego, bezpośredniego udziału.

W rewolucyjnych miesiącach 1848 r. został Klucki komendantem utworzonej w maju w Cieszynie Gwardii Narodowej. Na tym stanowisku, jak w ogóle w ówczesnym życiu społeczno-politycznym ziemi cieszyńskiej, opowiedział się zdecydowanie po stronie krystalizującej się stopniowo słowiańsko-polskiej orientacji narodowej. Klucki walczył przyczynił się do powstania w październiku—listopadzie 1848 r. „Czytelnia Polskiej”, głównego organizacyjnego ośrodka tworzącego się na Śląsku Cieszyńskim polskiego ruchu narodowego. Z chwilą założenia Czytelnia w lokalu oddanym bezpłatnie przez Kluckiego do jej dyspozycji, wszedł w skład jej trzyosobowego Wydziału; w kwietniu 1849 został prezesem Czytelnia.



LUDWIK KLUCKI

Miarą popularności Kluckiego stał się jego wybór na stanowisko burmistrza Cieszyna; funkcję tę sprawował przez lat dziesięć, do r. 1861. Jako burmistrz Cieszyna przyczynił się w znacznym stopniu do rozwoju miasta; z jego inicjatywy zbudowano dom sierot i utworzono w maju 1859 Cieszyńską Kaspę Oszczędności. Po rozwiązaniu Gwardii Narodowej był Klucki przez wiele lat komendantem towarzystwa strzelców miejskich. Poparcie i mecenat Kluckiego umożliwiły rozwiniecie w Cieszynie w latach 50-ych polskiego teatru amatorskiego; jego działalność stanowiła w okresie reakcji po zdławieniu rewolucji 1848—49 jeden z głównych przejawów życia polskiego na Śląsku Cieszyńskim.

Wraz z nastaniem ery konstytucyjnej wziął Klucki aktywny udział w dalszym rozwoju cieszyńskiego ruchu narodowego. Jako członek Komitetu Tymczasowego uczestniczył od sierpnia 1861 w przygotowaniach do reaktywowania zamkniętej w r. 1854 Czytelnia; w grudniu 1861 z chwilą jej ponownego otwarcia, został prezesem Czytelnia. Z początkiem 1862 włączył się Klucki również do prac przygotowawczych, podjętych celem powołania do życia narodowego Towarzystwa Rolniczego; inicjatywa ta nie przyniosła jednakże na razie wyników.

Na skutek pogarszającego się stanu zdrowia (stopniowa utrata wzroku) Klucki zrezygnował w r. 1864 z praktyki adwokackiej na rzecz syna Sobiesława oraz zaniechał działalności publicznej. Zmarł w Cieszynie 5 marca 1877, pozostawiając dwu synów (Sobiesława oraz Stanisława, właściciela dóbr ziemskich w Kozach w powiecie bielskim) i pięć (6—?) córek; żona Kluckiego Alojza, córka adiunkta registratury czeskiej kancelarii dworskiej, zmarła 18. 11. 1860.

Doc. dr JÓZEF CHLEBOWCZYK

JAK WYTŁUMACZYĆ...

Stoją przed bramą,
królowie z gestami aktorów,
aktorzy z gestami królów,
kardynałowie pachnący mirrą,
heretycy pachnący spalenizną.

Stoją przed bramą,
a święty Piotr wciąż nie wie
jak im wytłumaczyć,
że już tu byli,
powiedzieli: Gott mit uns
i zabrali Go
do gazu.

HENRYK JASICZEK

JESIEŃ

Spójrz przez okno i zapytaj słońca,
dokąd idzie.
Zapytałem się, a słońce mi powie-
działo:
Idę liczyć ptaki.
Zapytaj więc ptaków, wysokich pta-
ków
dokąd lecą!
Zapytałem się, a ptaki mi rzekły:
Lecimy liczyć spadające liście,
Popatrz jeszcze i zapytaj liścia
dokąd spada.
Zapytałem się, a liście mi rzekło:
Spadam
tak tylko
około twojego okna spadam,
aby ci było rzewnie żal,
że liście pada.

JIRI PIŠTORA

przekład Henryk Jasiczek

ZIMOWIT

Kwiat zimowitu, nagusek bez liści:
Cho by tam drżał anemicznie?
Jeszcze jest lato tak blisko
tylko fioletowy nieboskłon nas dzieli.

Nagusek skłania kielich za słońcem,
nagusek tańczy na jednej nodze,
kwiat zamienia się w gwiazdę,
a w kielich miłości sący się trucizna.

Ž RÓDŁO

Jesteś zwierciadłem
łączącym ziemię z niebem.

W tobie rodzi się pieśń,
kiedy na zboczach zbierasz siły,
anim wyjdiesz z koła,
podobneś do piersi poety

do ramion kochanków,
wody w szeptach rodzi się życie.

Jesteś dzieckiem biegnącym po łąkach
za motylami i morzem.

FRANTIŠEK GOTTLIEB

przekład Henryk Jasiczek

Zespół regionalny PZKO Jabłonek „Gorol”, to bliski choć uboższy i nie tak sławny krewny zespołu „Śląsk”. Dyrektor i kierownik artystyczny tego zespołu Stanisław Hadyna, serdeczny przyjaciel naszego Jury spod grónia, pochodzi zresztą z naszej Karpętnej, nic dziwnego, że w występach „Śląska” nie brak starych pieśni i tańców cieszyńskich. Zobaczymy je na Święcie Góralskim, 20 i 21 sierpnia br. w Jabłonkowie. Atrakcją tego Święta będzie w tym roku przede wszystkim występ „Śląska”.

W Londynie żyje nasz orłowski rodak, poeta Adolf Fierla. Urzeczony występem zespołu z Koszęcina dedykował mu wiersz, z którego dwa fragmenty drukujemy:

POD BESKIDEM TAŃCZĄCA

Ziemia dokoła jak wiersz.
Strumień jak harfa dźwięczy.
Słońce upina liście olch
w strofy, jak w złote tęcze.

Gra w jodłach skrzypiec
zgiełk jak deszcz —
rozhulaj wierzbę-cyganicę!
Dmie w ożóg buka dęty róg —
szumiący las i wicher.

Lipami lipce i melodie
a grab w rozkołys, takt i dzwon —
w trąbony dęby, w okarynę jesion,
a jawor w rozchwiej, płas i kłon.

*

Więc z tych jodeł powstaje
każdym świtem od nowa,
więc z tych rytmów wyrastam
rozdzwoniona, szumiasta
czerwcem, kwietniem i majem,
i w tych graniach skroś jestem
rozśpiewana, majowa
i szumiąco-jodłowa.

*

Tańczę łąką i miedzą i polem.
Chabry, maki i goździki płyną mi
przez ręce,
sad wiśniowy mnie w różowe opasuje
wieńce
i skwieconą burzą szumię nad topole.

Hops i hopsa dolinami,
jaworami, beskidami!

A ty mi tam, jabłoneczko, w sadzie
graj,
a ty wierzbo-cyganico mi się maj,
złote konie grzmią po moście,
w złote konie mnie ponoście,
bo śpiewaniu mostem prościej.

Szust skrętami-zakrętami,
zbójnickimi, trojakami
i młodością łać się w rozśpiewaną
wiosnę —
popod Beskid, ponad Beskid,
pod słoneczny strop niebieski
z jednej łąki skwieconej w drugą
łąkę hopsną.

A wy w lesie się dziwujcie,
a wy w lesie się cudujcie
miłe moje siostry-sosny!

ADOLF FIERLA



20 i 21 sierpnia 1966 wszyscy na

ŚWIĘTO GÓRALSKIE

Konferencja folklorystyki słowiańskiej

Była to pierwsza tego rodzaju impreza w historii folklorystyki polskiej. Zainicjowana i zorganizowana przez Pracownię Literatury Ludowej Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk przy współudziale Ministerstwa Kultury i Sztuki, odbyła się w dniach od 5 do 7 maja br. w Pałacu Staszica w Warszawie. Oprócz przedstawicieli polskich ośrodków badawczych w konferencji wzięli udział folklorysty ze Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, Łużyc, Bułgarii i Jugosławii.

Program spotkania był bogaty i niezwykle interesujący. Konferencję zagał dyrektor Instytutu Badań Literackich PAN — prof. Kazimierz Wyka. Następnie pierwszy i trzeci dzień obrad wypełnili prelekcjami naukowcy polscy (prof. J. Krzyżanowski, Cz. Hernas, R. Wojciechowski, H. Kapelański, St. Świrko, Cz. Kałużny, M. Znamierowska-Prüfferowa, J. Ligęza, R. Górski, A. Obrebska-Jabłońska i J. Burszta). W drugim dniu wystąpili prelegenci zagraniczni (prof. W. Gusiew, W. Juzwienko, P. Dinekow, P. Nedo, J. Jech, V. Gašpariková i M. Maticetow).

Prelegenci polscy omawiali stan badań i potrzeby folklorystyki polskiej, problematykę badań polskich pieśni ludowych od XVI do XX w., badania nad bajką i podaniem w Polsce, badania terenowe nad współczesnym folklorem polskim, znaczenie folkloru w działalności kulturalno-oświatowej, zagadnienia folkloru rybackiego, przeobrażenia współczesnej twórczości ludowej, tekstologię folklorystyczną, edycję pieśni białoruskich, reedycję i nowe tomy Kolberga oraz edycję „Nowej księgi przysłów polskich”. Folklorysty zagraniczni poruszali przede wszystkim problemy folklorystyki oraz stan badań folklorystycznych w krajach przez nich reprezentowanych. W toku codziennych i niezmiernie ciekawych dyskusji wyłoniło się mnóstwo zagadnień, np. czy folklor jest zjawiskiem żywym, albo tylko reliktem przeszłości, celowo tylko różnymi zabiegami utrzymywanym przy życiu? Wypowiedzi dyskusyjantów stanowczo zaprzeczały temu, jakoby folklor odumierał. Młode pokolenie nadal przejmując od starszych wierzenia, zwyczaje, pieśni, legendy, bajki i wszelkie przejawy folkloru. Często jednak tradycyjne formy folkloru wypełnione zostają nową treścią, nowoczesnymi realiami. Badaczka folkloru z województwa opolskiego opowiada np. jak razem ze studentami nagrała na taśmę magnetofonową niezwykle ciekawe i oryginalne opowiadanie starego gawędziarza, które dopiero w kilka dni później zidentyfikowała, jako misternie sfolkloryzowaną „Kobrę” telewizyjną.

Dzięki folklorowi powstają w Polsce (a niewątpliwie i za granicą) ciągle nowe amatorskie zespoły artystyczne, powstają regionalne towarzystwa miłośników folkloru ziemi rodzimej, których celem jest nie tylko skrzętnie zbieranie wszelkich przejawów folkloru, ale i chęć

pokazania go w możliwie najpiękniejszej formie i jak najdalej w świecie.

Folklorysty zagraniczni podkreślali konieczność stałego zacieśniania współpracy naukowej pomiędzy krajami słowiańskimi. Celem ułatwiania międzynarodowej wymiany informacji i wiedzy naukowej z dziedziny folklorystyki postanowiono — na pisemny wniosek nieobecnego na konferencji warszawskiej prof. Karola Horálka z Pragi — założyć na wzór „Literatury Ludowej” ogólnosłowiańskie wydawnictwo periodyczne, poświęcone folklorystyce słowiańskiej. Poinstalowano również organizować częściej podobne spotkania folklorystów słowiańskich. Folklorysta radziecki prof. W. Gusiew z Leningradu wystąpił z propozycją wspólnego zebrania i wydania antologii słowiańskich pieśni partyzanckich z czasów II wojny światowej.

Poza prelekcjami i dyskusjami odbyły się jeszcze dalsze wspólne spotkania uczestników konferencji. Wieczorem drugiego dnia organizatorzy konferencji urządzili dla zaproszonych uczestników zebranie towarzyskie. Zebraniu temu przewodniczył prof. Julian Krzyżanowski.

Trzeciego dnia, po zamknięciu konferencji, uczestnicy jej wyjechali do Żelazowej Woli. W bramie parku Dworku Chopina powitała ich skoczna muzyka kapela ludowa z Łowicza. Następnie wszyscy udali się do Dworku, gdzie w skupieniu wysłuchali recitalu chopinowskiego w wykonaniu warszawskiej pianistki Elżbiety Sobkowicz.

W niedzielę 8. 5. uczestnicy wyjechali na całodzienną wycieczkę do kurpiowskiej wsi — Kadzidła. Przejazdem zatrzymano się w Pułtusk, gdzie zwiedzono bogatą bibliotekę powiatową.



Jan Kawulok z Istebnej gra na trąbce
Foto T. Kopczek.

W Kadzidle uczestnicy wycieczki zwiedzili spółdzielnię „Krupianka”, produkującą na ręcznych warsztatach z lnu, wlny i konopi bajecznie kolorowe samodziały i chodniki. „Krupianka” posiada również własny zespół regionalny pieśni i tańca. Zespół ten wystawił dla uczestników konferencji „Wesele kurpioweńskie”.

Potem pożegnano serdecznie miłych kadzidlaków i wracano do Warszawy. Każdy trzymał w ręku kolorową wycinankę i „nowe latko”, czyli kurpiowskie ciasto obrzędowe, otrzymane na pamiątkę.

W Warszawie przed Pałacem Staszica wymieniono wzajemnie ostatnie uściski.

JÓZEF ONDRUŻ

Wędrujące dzieci

Cały wiek 18 na Śląsku Cieszyńskim można nazwać wiekiem narodzin szkół. Wcześniej powstawały szkoły w miastach (w Cieszynie 1331), dopiero później również na wsi ale tylko tam, gdzie istniały już kościoły. Były to szkoły wyznaniowe, katolickie. Szkoły ewangelickie powstają dopiero po ogłoszeniu przez cesarza Józefa II patentu tolerancyjnego z 1781 r. Budowano tzw. domy modlitwy, a przy nich szkoły. Tylko na terenie zboru bystrzyckiego powstało w latach 1782—1800 11 szkół. Bystrzyca, Nydek, Łyżbice, Wędrzyna, Oldrzychowice, Karpętna, Koszarzyska, Równia, Głuchowa, Zaolzie otrzymały „szkolne izby” prawie że w jednym czasie.

Szkoły katolickie poczęły też zaraz intensywniej pracować, bo chodziło o współzawodnictwo. Lecz z tym współzawodnictwem rośnie wielki antagonizm wyznaniowy. Katolicy nie posyłałby za nic w świecie dziecka do szkoły ewangelickiej, a ewangelicy stronili z daleka od

szkół katolickiej. Przy kościele katolickim w Lesznej Górnej, gdzie od 1335 roku była parafia, już przez setki lat istniała katolicka szkoła. Ale ewangelicy posyłałi raczej swe dzieci do oddalonej o 6 km „swojej” szkoły w Ciesownicy. Katolickie dzieci z Tyry chodziły do oddalonej o 11 km szkoły w Trzyciezu.

Tak więc wędrują dzieci po włoskach, szukając swojej szkoły wyznaniowej w mroźne zimy. Oczywiście mogły tak czynić tylko dzieci starsze.

Dopiero w latach 1875—95 nowe minowy szkolne stawiają kres tej wędrówce. Powstają szkoły publiczne, wspólne. Dzieci z jednej wsi spotykają się we wspólnej szkole. Przyczynia się to do stopniowego zaniku zacietrzewienia religijnego.

A nauczyciel?

Ten zaledwie umiał czytać i pisać. Był to z reguły wysłużony żołnierz, którego oprócz dyscypliny wojskowej nauczono też czytać i pisać. Uczyli więc laicy w

szkołach wiejskich, otrzymywali za pracę 100 fl rocznej pensji i kilka chlebów na miesiąc. Nauka zaś odbywała się w izbach chłopskich.

Tak więc w ciemnej chłopskiej izbie rodziła się cieszyńska kultura. Uczniowie przynosili w zimie na plecach kłoc

drzewa na opał swej „klasy“, a rectorowi do kuchni bochen chleba razowego, to fasoli czy grochu w worku, albo maśla czy też słoniny, a na święta tuczoną gęś. Rector był też duszą całej wioski i mówiło się, że jaki rector, taka gmina.

—jt—

Jak to dawniej wybierano

N owoczesna zdobycz polityczna szere-
rokich mas na całym świecie —
demokratyczne wybory — nie mia-
ły na naszym terenie zawsze takiego
gładkiego przebiegu, jak to obserwujemy
dziś. Dawniej przy wyborach panowała
zażarta walka między licznymi stronnict-
wami politycznymi o każdy głos, w agi-
tacji przedwyborczej uruchamiano gigan-
tyczną reklamę, wymyślano różne chwyt-
ty, nie przebiegano w środkach, byleby
tylko przekonać wyborcę, że głosuje na
najlepszego z kandydatów.

Oto jak takie wybory wyglądały na
naszym terenie w okresie międzywojen-
nym.

Odbywały się wtedy u nas w różnych
odstępach czasu wybory do zastępstwa
gminnego, powiatowego, do sejmiku kra-
jowego oraz wybory do parlamentu i
senatu. Przebieg i atmosferę wyborczą
w owych czasach pokażemy na przykła-
dzie wyborców do parlamentu w 1929 r.
Na wstępie należy zaznaczyć, że walka
wyborcza, agitacja i cały przebieg wy-
borów miały na Śląsku Cieszyńskim
szczególnie zażarty charakter, bowiem
oprócz normalnej walki między partiami
politycznymi, grały tu poważną rolę kwe-
stia narodowościowa i przekonania reli-
gijne.

Były to drugie z kolei wybory do pa-
rlamentu w Republice Czechosłowackiej
(pierwsze były w r. 1925), odbywające
się zresztą przedwcześnie. Już 25. 9. 1929
dekretom prezydenta republiki rozwią-
zane zostały obie izby zgromadzenia na-
rodowego, a wkrótce rozpisano nowe
wybory do parlamentu i senatu na nie-
dzielę 27 października 1929 r. Przed-
wczesne rozwiązanie parlamentu zostało
spowodowane ostrą, choć tajną walką
o władzę między najsilniejszymi stron-
nictwami burżuazyjnymi — agrarników
i klerykałów.

Stosunkowo krótki okres czasu do wy-
borów starały się poszczególne stronnict-
wa polityczne jak najintensywniej wy-
korzystać do należytego przygotowania
się i zyskania możliwie największej ilośći
głosów. W celu uzyskania dalszych
mandatów w drugim i trzecim skru-
tylnium dochodzi do wytwarzania,
zwłaszcza u słabszych partii, bloków
i porozumień wyborczych, przy czym
dochodzi dość często do paradoksal-
nej sytuacji — łączą się nieprze-
jednani wrogowie polityczni: katolicy
z ewangelikami, socjaliści z kleryka-
łami, Polacy z Żydami itp. Względnie ideo-
logiczne, narodowościowe i religijne u-
stępowały, jeśli chodziło o uzyskanie
maksymalnej ilości głosów.

Ostatecznie zgłoszono w republice do
wyborów 19 list kandydatów, z tego
6 czeskich, 6 niemieckich, 2 słowackie,
2 węgierskie, 1 komunistyczna i 1 bez-
partyjna. Na Śląsku Cieszyńskim, który
należał do XIV okręgu wyborczego z
siedzibą w Ostrawie, kandydowało tylko
15 list.

Komuniści nie tworzyli żadnego bloku
wyborczego, występowali samodzielnie.
Ich głównymi kandydatami byli V. Hruš-
ka i Karol Śliwka. Tak zwane stronnict-
wa narodowe ludności polskiej na Śląs-
ku Cieszyńskim — Związek Śląskich Ka-
tolików i Polskie Stronnictwo Ludowe
połączyły się w PSPR (Polska Socjalis-
tyczna Partia Robotnicza) i wysunęły na
czoło swej kandydatki Em. Chobota
(PSPR), dr Jana Buzka (PSL) i dr Leona
Wolfa (Zw. Śl. Kat.) do parlamentu, a
do senatu Karola Jungę (Zw. Śl. Kat.),
Piotra Kornutę (PSPR) i Karola Jasia
(PSL). Tak więc dotychczasowy poseł
polski — dr Leon Wolf, wybrany w 1925
roku, ustąpił miejsca socjaliście Chobo-
towi. W celu uzyskania dalszego posła
w drugim i trzecim skrutynium zawarły
stronnictwa polskie porozumienie wybor-
cze z Żydami w Czechosłowacji i tak
powstał blok wyborczy polsko-żydowski.
Faktu tego nie omieszczały wykorzystać
na agitacji przedwyborczej inne ugrupo-

wania i stronnictwa polityczne. W jed-
nej z ulotek czeskiej socjalnej demokra-
cji (pisanej po polsku) czytamy m. in.
(cytujemy dosłownie):

„W naszym kraju będą Was kusić
o głosy też i strony polsko-żydowskie.
Nowy polsko-żydowski naród wynalazł
były komunistę Chobot! Ludu Śląski!
Skieruj dokładną uwagę do tejże kan-
dydatki. Znajdziecie tam nazwisko bez-
wierca Chobota, który był do niedawna
komunistą. Wedle niego w najlepszym
wrażeniu kandyduje lekarz Dr. Buzek,
który jest dobrym ewangelikiem, a za-
raz za nim znajdziecie nazwisko ogólnie
znanego zdrajcy ludu Śląskiego adwo-
kata Dr. Wolfa z Frysztatu, który jest
katolikiem. Tato podarżona trojica bez-
wierca, ewangelika a katolika złączyła
się ze Żydami z Podkarpackiej Rusi.“

Ciekawe stanowisko zajęła wobec wy-
borów Śląska Partia Ludowa (tzw. Śl-
zakowcy lub Koźdoniowcy), która w wy-
borach 1925 r. szła razem ze stronnict-
wami polskimi. Na konferencji mężów
zaufania, po burzliwej dyskusji, polecono
niemieckim członkom stronnictwa głoso-
wać na listę nr 3 — Deutsche Wahl-
gemeinschaft, zaś członkom narodowości
polskiej albo na listę polską nr 5, ewen-
tualnie również na listę nr 3.

Najsilniejszym stronnictwem w repu-
blice w tych wyborach okazała się par-
tia agrarników, na drugim miejscu była
czeska socjalna demokracja, na trzecim
czescy narodowi socjaliści, a na czwar-
tym komuniści, którzy jednakowoż po-
nieśli znaczne straty w stosunku do wy-
borów w 1925 roku (o 188.961 głosów
mniej). Na Śląsku Cieszyńskim w po-
szczególnych powiatach sądowych wy-
niki wyborów do parlamentu przedsta-
wiała się następująco:

Lista kandydatów	P o w i a t s ą d o w y				
	Bo- gumin	Frysz- tat	Czeski Cieszyn	Jabłon- ków	Razem
Komuniści	4.635	11.900	5.221	3.180	24.936
Deutsche Wahlgemeinschaft	295	268	1.458	205	2.226
Niemiecka socjalna demokracja	1.467	691	587	32	2.777
Polacy — Żydzi	3.041	10.509	6.886	6.051	26.487
Niemieccy nacjonaliści	430	207	578	90	1.305
Czescy narodowi socjaliści	3.060	3.893	1.391	935	8.279
Czeska socjalna demokracja	3.838	5.659	2.461	1.017	12.985
Liga — faszyci	130	169	72	11	382
Czeska narodowa demokracja	2.415	4.276	817	309	7.814
Czeskie stronnictwo ludowe. (kleryk.)	1.160	1.427	751	123	3.561
Czeskie stronnictwo republ. (agrarn.)	525	1.094	1.628	1.060	4.307
Czescy drobni przemysłowcy	490	931	713	114	2.248
Niemieckie stronnictwo chrześc. soc. i niem. przemysłowcy	580	760	890	51	2.381
Słowackie stronnictwo ludowe	197	204	148	51	600
Niemieccy narodowi socjaliści	1.855	1.418	985	78	4.336

Sytuacja polityczna na Śląsku Cieszyń-
skim, jak wykazują wyniki wyborów,
kształtowała się odmiennie i nie pokry-
wała się z sytuacją ogólnopolską.
Największą ilość głosów otrzymał tutaj
blok stronnictw polskich, a na drugim
miejscu z niewielką różnicą byli komu-
niści — w olbrzymiej większości też
głosy polskie i na trzecim już z wiel-

kim odstępem — czeska socjalna de-
mokracja. Wbrew gwałtownej i nieprze-
bierającej w środkach agitacji ze strony
czeskich partii nacjonalistycznych prze-
ciwko liście polsko-żydowskiej, zdołali
Polacy na ogół utrzymać swój stan po-
siadania z 1925 roku. Również i komu-
niści na naszym terenie mieli tylko nie-
znaczny ubytek głosów, chociaż był to

ROLNICY POTRZEBUJĄ POMOCY

Wybitnie niesprzyjające warunki atmosferyczne w pierwszej połowie lata spowodowały alarmującą sytuację przy sprzęcie zbóż. Przedsiębiorstwa rolne potrzebują natychmiastowej, doraźnej pomocy całego społeczeństwa. Chodzi przecież o nasze wspólne dobro.

Zwracamy się więc z gorącym apelem do wszystkich czytelników, do zarządców Kół, by w miarę swych możliwości pomogli w najbliższych PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych przy sprzęcie i omlotach bogatych w tym roku plonów.

7000 „TRYBUN ROBOTNICZYCH”

We wtorek 2. 8. br. ukazał się siedmioletni numer katowickiej „Trybuny Robotniczej”. Pismo to uważane za najlepszy dziennik wojewódzki w Polsce — organ Wojewódzkiego Komitetu PZPR w Katowicach — redagowane do końca lipca przez obecnego ambasadora PRL w Pradze Włodzimierza Janiurka, wychodzi od pierwszych dni po wyzwoleniu Śląska w zimie 1945 roku. O jego poziomie i popularności świadczy ogromny nakład, który przed kilku tygodniami osiągnął 800 tysięcy egzemplarzy wydania niedzielnego.

Z okazji pięknego jubileuszu składamy zespołowi „Trybuny” serdeczne gratulacje.

MUZEUM WSI ŚLĄSKIEJ

Szybko postępujący proces urbanizacji Śląska ogarnia w coraz szerszym zakresie nawet odległe regiony wiejskie, pełne jeszcze obiektów zabytkowego budownictwa wiejskiego. Celem zabezpieczenia tych cennych relikwów przeszłości, w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku w Katowicach powstaje oryginalne muzeum wsi śląskiej. Usytuowane na obszarze 20 ha będzie jednym z największych tego typu obiektów w Polsce, trzecim po Olsztynku i Sanoku. W wyniku przeprowadzonych prac inwentaryzacyjnych zdecydowano o umieszczeniu w chorzowskim WPKiW aż 80 obiektów. Dotychczas sprowadzono już na teren przyszłego skansenu jedyny ocalały na Śląsku wiatrak, spichlerz, wozownię i inne obiekty, zbudowane w XVIII i XIX wieku.

FESTYN GÓRSKI

W dniach 9 i 10 lipca br. odbył się na terenie ośrodka szkoleniowego ZG PZKO w Koszarzyskach tradycyjny już „Festyn górski”. Impreza ta, pomyślana jako młodo-dziecizna (wszyscy przecież czujemy się młodo), zaczyna już wytwarzać sobie specyficzny klimat — namioty, turniej siatkówki, bufety Kół z najróżniejszych zakątków terenu (nawet z Górnego Żukowa przywieźli świetne specjały wędliniarskie domowej roboty) i wypoczynek na tak zwanym łonie przyrody.

Szkoda, że nie zupełnie dopisała aura — po długotrwałych deszczach do soboty włącznie, w niedzielę się wprawdzie wypogodziło, ale zaważyło to na ilości uczestników, których w sobotę było około 300, a w niedzielę ponad półtora tysiąca.

W odróżnieniu od zeszłego roku, kiedy nie mogliśmy być zadowoleni z programu, tegoroczny program, którego czołowymi wykonawcami były „Aspiryn-

rok dla partii komunistycznej nader ciężki ze względu na dopiero co rozpoczętą konsolidację po usunięciu szkodliwej grupy Jilka—Bolena.

Dzięki porozumieniu wyborczemu z Żydami zyskały stronnictwa polskie dwóch posłów do parlamentu — E. Chobotą (PSPR) i dr. Jana Buzka (PSL). Dalszym polskim posłem był Karol Śliwka z ramienia Komunistycznej Partii Czecho-

słowacji. Tak więc w wyborach tych pańskie społeczeństwo na Śląsku Cieszyńskim zyskało trzech posłów do parlamentu, którzy bądź to z pozycji klasowej (K. Śliwka), bądź też z pozycji narodowej (Chobot i dr. Buzek) walczą o całkowite równouprawnienie ludności polskiej w Czechosłowacji.

STANISŁAW ZAHRAJNY



NASZA KOLUMNA

Dwadzieścia świetlic

Dwadzieścia nowych świetlic na Dwudziestolecie — taką dewizę przyjęli delegaci IX Zjazdu PZKO, omawiając przygotowania do obchodów Dwudziestolecia Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.

A oto wyniki tej akcji po pierwszym roku:

23. 4. br. został uroczystie otwarty pierwszy Klub PZKO. Dzięki ofiarnej pracy działaczy związkowych w Olbrachcicach przebudowano w ramach czynu społecznego strychy Domu Robotniczego na gustowny i piękny lokal. Zarząd Główny pomógł dotacją na materiał, inwentarz Koło zakupiło z własnych funduszy — setki godzin brygadniczych i pierwszy, z akcji dwudziestu, stoi otworem dla miłośników pracy kulturalno-oświatowej.

W przeddzień Pierwszego Maja otwarto drugi Klub PZKO. Tym razem w Nowym Boguminie. Historia podobna jak w Olbrachcicach. Miejskowa Rada Narodowa przydzieliła Kołu lokal posklepowy. I znów kilku zapaleńców zakasało rękawy, lokal wymalowano, sporządzono obicia ścian, zrobiono kilkanaście maleńkich stolików i specjalny stół barowy. W rekordowo krótkim czasie — bo nie-

spełna w trzy miesiące — pracę zakończono.

Trzecią z kolei świetlicę dokonało Koło Kocobędz I. Kilku ofiarnych działaczy w stosunkowo krótkim czasie zmieniło stary lokal byleż gospodyni miłą klubo-sświetlicę. Uroczystego otwarcia dokonano 11 czerwca br. Przyjemną niespodziankę sprawili darkowianie, którzy dzięki poparciu karwiskiej rady narodowej i dzięki dużej inicjatywie zarządu Koła wyremontowali uzyskane od Rady lokale i urządzili w nich estetyczny klub, otwarty uroczystie jako świetlica z kolei 2. 7. br.

W jakiej kolejności będą gotowe dalsze Kluby PZKO, na razie nie wiemy. Prace przygotowawcze rozpoczęło Koło w Zabłociu i Nawsiu. Koło w Zabłociu zakupiło od Jednoty-Jedność część materiału i obecnie przygotowuje materiał do adaptacji lokalu na nowoczesny klub. Koło w Nawsiu zamówiło montowany domek drewniany, którego wnętrza dostosowane będą do potrzeb pracy kulturalno-oświatowej. Obiekt bardzo estetyczny już stoi. Obecnie jest z wyjątkiem nakładem pracy i poświęceniem miejscowych działaczy Koła wykańczany.



Jeszcze raz z cieszyńskiej rewii dziecięcej. Musimy bowiem sprostować, że te małe baleriny nie są z Suchoj Górnjej, jak sugerowaliśmy w poprzednim numerze, lecz z Cz. Cieszyńskiej. Przepraszamy. Foto Wł. Wojnar.

Bardzo pilnie pracują członkowie Koła Błędowice Dolne. Rozpoczęli pracę nad poszerzeniem już istniejącej świetlicy.

W Mostach przy Jabłonkowie przeprowadzają członkowie częściowy remont Domu PZKO i na pewno znajdzie się w nim lokal klubowy.

Jak przedstawia się sytuacja w dalszych 15 Kołach?

Przygotowania do budowy w pełnym toku są w Gródku, Trzanowicach, Śmiłowicach, Oldrzychowicach i Bystrzycy. Szkoda, że czynniki PRN w Frydku-Mistku zbyt opieszale załatwiały do niedawna formalności związane z zezwoleniem na podjęcie budowy. Gdyby nie zwłoka — już niejedne fundamenty, a może i ściany byłyby gotowe jeszcze przed pracami wiosennymi. No cóż — szkoda.

Inne Koła, jak np. Sucha Górna, Nie-

bory, Stanisławice, Boconowice — przygotowują plany, względnie szukają odpowiednich obiektów, które po adaptacji nadawałyby się na lokale związkowe.

Akcję dwadzieścia świetlic na Dwudziestolecie poszerzono z inicjatywy Koła Nowy Bogumin. Koło to zwróciło się z odeszłą do wszystkich Kół — i do tych co posiadają lokale świetlicowe — by na cześć Dwudziestolecia Związku unowocześniły swe lokale.

Do obchodów Dwudziestolecia pozostało jeszcze sporo czasu. Jak wiadomo odbędą się w przyszłym roku, zaś zakończone zostaną w roku 1968.

Jesteśmy przekonani, że wszystkie Koła przedyskutują apel boguminiaków i poczynią odpowiednie starania, by oprócz dwudziestu nowych Klubów i te stare lokale świetlicowe przyjęły nową, piękną szatę.

H. S.

GODKI I POGWARKI ♦ GODKI I POGWARKI ♦ GODKI I POGWARKI

Z aprylým

U gazdy Ślimoka był taki zwyk, że dycki na piąrszygo kwietnia rod se gazda strugnył z czeladzi hece i posyłał ją z aprylým.

Już pore roków służył u nich Jurek Wygryzek, o którym mówili, że je ma-słok synek. Od dziecka poniewiżył się po słózbie. Ojca nie znoł, bo był synym zowitki, kiero już downo umrzyła. Do szkoły go gazdowie nie posyłałi, bo na co pastyrzowi nauka i zabijani drogogo czasu we szkole. Grunt, że synek był silny jak koń, robotny i cichy jak ryba. Wygryzek nic nimioł, a że sie i kapke zajękował, nimioł ani porwiska u dzie-uch, tak sie do tej trzicatki ani nie oży-nił.

Roz rano prawi mu Ślimok:

— Skocz Jurek do Wierteliczki i po-wydyz, by nóm wróciła ty bróny bez zym-bów, kiere se na jesiń pojechała.

Przed chałupóm Wierteliczki psisko jak byk szkuboł sie na lańcuchu. Baba wy-zdrziła przez okno i odrygowała dwi-yrze. Było widać, że niedowno wylażała spod pierziny, bo rozczochrane włosy uli-zowała przed zardząłým.

Była to wdowa w nejlepszych rokach. Chłopa straciła na rakuskiej wojnie, o kie-rego ani wiela nie banowała. Wiertelik, niech mu już tam zymeczka lekho beje, był bisaga chłop. Pore kóni, dwie kro-wiczki przepił i przełotoł w karty. Tóz nieharaśny przy nim miała tyn żywot. Chociaż chłopiska sie za nią kręcili, i niejedyn miolł szmak na jejóm zgrode, i kónsek dobrego pola, prawiła se w du-chu: — Nigdy więcej chłopą w chałupie.

— Mie też tu gazdoszek postali po ty bróny, kiere wóm łónskiego roku pojechali — powiedział Jurek pomalutku, aby sie nie jakać.

Wierteliczka na chwile rozmyślała, a potym puściła se gebe na szpacyr:

— Powydydzcie gazdowi, że jo żodnych jego brón nimóm. To ón wydrził od nie-boszczyka bróny, z kóniým i płógým.

Jyny mu powydydzcie, że choć mi nie nad-bywo, ale pojczek nie robiým.

Kiedy Jurek wrócił z takóm rzeczóm, zamierzało to Ślimoka i napisoł ji kar-teczke.

— Idź tam Jureczku jeszcze roz. Dej ji pismo, a łóna se na jisto spómni...

Synek szeł. Rozpajedzóno baba prze-czytała:

„Nie gniywejcie sie sósniadko, alech do was posół Jure z aprylým.”

Wierteliczka podziwiała sie nóm jakosi smutno. Kozala se siednyć za stół i przy-niósta fłaszke „Wojkowski”.

— Wyicie Jurku — zaczyna słósznie — dzisio je apryla i wasz gazda zrobił se z nas błóna. Ale to nima pięknie od niego. Jo mieć takigo drzika do roboty, to bych se go inaczy wożyła. To już tak. Jak sie gdosi bydny ulągnie, to sie z nim pomiato. Nól, to musi być grądol tyn wasz gazda — ciągnła dali. — Tak zech go py-tała, aż mi zlorze tyn kónsek zógóna nad uwracióm, ale wysmolił sie na mie. Na bydnóm wdowe to sie każdy wykuc-ko — polutowała sie ze żolým.

Jurek miolł serce jak z masła. Po dru-giej półce oczyska sie mu zaświyciły jak kocurowi i obiecoł, że w niedziele, kiedy gazdowie bedóm u ciotki w Dzingielo-wie, przyjedzie na godzinke z płógým i do ji to do porządku.

Jak obiecoł, tak zrobił. Baba nachwolił sie go nimógła. Ugościła synka i kozala przyść na wieczere. Po odfutrowaniu kóni przilecioł jak na skrzydłach. Pojed se i było mu jakosi dobrze na sercu. Wierteliczka polutowała sie, że ji kole kumina zacyko, koszor dło gąsiacek trzeba ubić, jak ji to bez chłopskich rąk wszystko ciężko idzie.

*

Ślimokowie zmiarkowali, że sie Jurek każdy wieczór kansi wytraco z chałupy. Kąderlino drzeżdżała po dziedzinie, że widziwała Jurka u Wierteliczki na dachu cosi pimplorzić.

ki” z Cieszyzna i „Podlotki” z Nawisia-Jasienia, musiał zadowolić każdego. Sym-patyczne „Podlotki” z ich kierownikiem J. Cieślarem i jego synem Kaziem już znany. Prawdziwą rewelacją był zespół pracowników służby zdrowia z Cieszyzna (Polska) „Aspirynki”. Świetne kuplety, skecze, piosenki, wspaniała konferansjerka kierownika artystycznego i głównego wy-konawcy Konrada Doktora pozostawiły jak najlepsze wrażenie.

Z kronikarskiego obowiązku należy jeszcze podać, że zwycięzcą atrakcyjnego, stojącego na niezłym poziomie turnieju siatkówki została tradycyjnie już drużyna Bystrzycy oraz że wkładki judo były rów-nież na bardzo wysokim poziomie.

Ogólnie można więc stwierdzić, że tego-roczny festyn był imprezą ze wszech miar udaną.

INTERNATOWE KURSY W KOSZARZYSKACH

Prawie przez cały lipiec trwały w o-środku szkoleniowym ZG PZKO w Ko-szarzyskach kursy aktywistów pracy kul-turalnej. W okresie od 2.-7. 7. odbywał się kurs dla kierowników pracy z dziec-kiem od 11.-16. 7. mieli swe zgrupowa-nie uczestnicy dwuletniego studium ta-necznego; w dniach od 17.-22. 7. pogłę-biali swe kwalifikacje kierownicy pracy świetlicowo-klubowej oraz kierownicy ze-społów estradowo-kabaretowych i wreszcie w terminie od 23.-28. 7. szkolili się pio-senkarze.

Kursy, na których wykładali i prowa-dzili zajęcia najlepsi nasi i pozazwiązko-wi fachowcy, spełniły swe zadania. Naj-ważniejsze będzie obecnie, podobnie jak w latach poprzednich, maksymalne wyko-rzystanie absolwentów w pracy Kół.

PIĘCSETLECIE PIOSKU

W roku bieżącym obchodzi pięćsetlecie swego istnienia malownicza wioska pod-górska Piosek. Z tej okazji odbyły się tam w dniach 12-19 czerwca uroczyste obchody jubileuszowe.

Między innymi została urządzona wy-stawa obrazująca przeszłość i terażniej-szość gminy, uroczysta akademicka oraz inne imprezy.

KONKURS POLSKIEGO RADIA

Polskie Radio ogłosiło następujący kon-kurs dla dzieci Polonii zagranicznej:

„Wiemy, że interesujecie się Polską, chętnie czytacie książki, czasopisma pol-skie, że pragniecie zachować kontakt z krajem ojczystym swoich rodziców i dziad-ków. Wielu z was bawiło w Polsce na ko-loniach letnich czy też u swoich rodzin. Z pewnością więc nie sprawi wam trud-ności uczestnictwo w konkursie wakacyj-nym Polskiego Radia „MOJE SPOTKA-NIE Z POLSKĄ”.

Wybierzcie i opracujcie jeden z nastę-pujących tematów (po polsku lub w in-nym języku):

1. Co wiem o Polsce i czego chciałbym się o niej dowiedzieć.
2. W jaki sposób poznałem język polski.
3. Mój udział w obchodach Tysiąclecia Państwa Polskiego.
4. Jaka postać z tysiącletnich dziejów Polski jest mi najbardziej znana i bliska.

5. Jaka polska książka podobała mi się najbardziej.

6. Czy i dlaczego chciałbym przyjechać do Polski.

Na laureatów konkursu czeka wiele atrakcyjnych nagród: wydawnictwa albumowe, ciekawe książki ufundowane przez wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, płyty z polską muzyką ludową i rozrywkową, wyroby rzemiosła ludowego, a także bezpłatne przejazdy i pobyty na koloniach w Polsce w roku 1967.

Odpowiedzi prosimy kierować na adres: **Polskie Radio, Redakcja Audycji dla Dzieci i Młodzieży Polskiej za granicą, Warszawa 1, P. O. box 46,**

do dnia 1 października br. Listę laureatów konkursu ogłosimy 15 listopada br.

ZESPÓŁ SIBICA NA DNI HUTNIKA

W dniach 27 i 28 sierpnia odbędą się w Trzyńcu tradycyjne „Dni hutnika”. Organizatorzy przygotowują na tę imprezę bogaty i wartościowy program artystyczny. Wykonają go głównie zawodowe zespoły i zawodowi artyści z Pragi, Berna czy Ostrawy. Jednym z trzech zespołów amatorskich (oprócz „Opawicy” i „Janośnika”), które wezmą udział w programie tegorocznych „Dni hutnika”, będzie zespół regionalny Koła PZKO z Cz. Cieszyna-Sibicy. Jest to niewątpliwie piękne wyróżnienie dla tego ofiarnego i ambitnego zespołu.

I NAGRODA DLA POLSKIEGO PLASTYKA

Jury pierwszej europejskiej wystawy małych form plastycznych (rzeźba, grafika, malarstwo) zorganizowanej w Rzymie w marcu-kwietniu br., rozesłało w tych dniach uczestnikom imprezy zawiadomienia o uzyskanych wyróżnieniach. Pierwszą „absolutną” nagrodę przyznano polskiemu artyście Adamowi Macedońskiemu z Krakowa, współpracownikowi „Przekroju”. Rozdanie nagród odbędzie się w Rzymie we wrześniu br.



SZEŚCZDZIESIĘCIOLETNI GUSTAW ZUCZEK

Znany ze swego niepowściągliwego humoru i werwy dyrektor szkoły w Koszarzyskach Gustaw Zuczek, obchodzić będzie 25.8. br. jubileusz 60-lecia urodzin. Całe swe dotychczasowe życie poświęcił pasji działalności społecznej w najróżniejszych organizacjach polskich i ogólnopolskich.

Szczególnie duże zasługi oddał w czasie okupacji, kiedy wykonywał niebezpieczną rolę łącznika i informatora oddziałów partyzanckich stacjonujących w rejonie Kozubowej i Ostrego. Dzięki swym wpływom uzyskiwał informacje o zamierzaniach hitlerowców, które niezwłocznie przekazywał do sztabu „Grubego Miszy”.

Cały okres po wyzwoleniu to [pomijając kilka pierwszych miesięcy, kiedy, podobnie jak reszta uczestników ruchu par-

Gazdowie wzięli se pacholka do drzika.

— Tak co je synku z tobą? Słóżyś ty u nas abo u Wierteliczki? Jak tak dali myślisz robić, to sie na gody nimosz co radować, bo wypłaty nie uwidzisz.

Jurek chodził jakiś markotny. Przed godami hyrkoło to z niego.



Ilustr. Br. Liberda.

— Gazdoszku, chladejcie se pacholka, bo po nowym roku już tu nie bedym słóżyć.

Ślimoków aż zaskakało.

— Jureczku, co to pleciesz? Czy ci u nas było źle? Dyć zech cie miała rada jako syna — zająwejechała gaździno.

— Synku, czyś ty z buka spod? Na

każby ci też tak było dobrze jak u nas! Ze tych pieniędzy moc nimosz? Widzisz, czasy sóm złe. Bezrobotni grejcarem nie smerdzóm i ty też chcesz być jednym z nich? Rozmyślij se to dobrze. Jo tam pacholka dycki dostanym — mądrzawo gaźda.

Ale Jurek był twardy jak buk.

Wierteliczka kupiła se po nowym roku konia i wzięła se Jurka za pacholka. A synek nie lutował. Choć mu nowo gaździno nie obiecała wielkiej wypłaty, ale robił jak na swoim. W chlywie ryczała krowa, w chlywku królił babuś. Zaczyna sie gospodarka naprawiać. Baba była rada i dogodziła synkowi jak mogła.

Kiedy w zimowy wieczór wiatr jęczał w kuminie i bydełko odbyte ucichło, siedli po ćmi na ławie i zadziwali sie w piecu. Po delinach tańcowały czerwone promyczki i ciepło rozpyliwało sie w izbie.

— Par Jureczku — zaczyna Wierteliczka cicho n głosym — nima nóm to dobrze! Wiem, żeś je szykowany synek. Co byś powiedział na to, jak byś tu zastój gazdóm i to na dycki? Ty sztyry roki, coch je starszo od ciebie, to ci mało nic nie beje robić. Dyć jo jeszcze nima na zachyniyni... Tóż co prawisz?

Jurek poczuł jejóm ciepłóm rękę na swoich splekskiyrzónych łapach. Rozpalili sie jak szyna, potem popod ją i uściągłi szczęśliwy jak dziecko przy piersi.

ADAM WAWROSZ

ZŁWE TEKSTY, ZŁWE PIĘŚNI

Zakłęte pieniądze w repertuarze Elżbiety Sikorowej

Lo tym Kubzokowi to je fakt prowadzi, to ni ma żodne cyganiyni. Łón był łowczorzym na Uplazie. To już było downo, wielki rok już tymu je. Tyn Kubzok nie łumioł czytać ani pisać. Nó i roz sóm tam był w tej kolybie. Nó i prziszeł tam kocurek ku niymu i łapkym mu doł przez ścianym, przez szparym. Nó i tyn Kubzok wzięł i doł mu kónsek chleba. Pomazoł go kapkym masłym. Prziszeł po drugi, zaś tón łapkym wyciógnył. I tyn Kubzok zaś kyns chleba łukroł, masłym kapkym namazoł: „Na, tu zeżer, dyś je taki głodny.” Nó ale za chwilył kocur zaś łapkym wyciógnył.

— „Nale boroczisko taki głodne strasznie.” Wzięł, zaś szeł do komórki, kyns chleba łukroł, jeszcze roz teli kyns, namazoł mu masłym, syrým: „Na, zeżer, już sie nażer.” Nażroł sie i nie prziszeł wiyncy. W nocy sie mu śniło, że pod małym złóbkym tam będzie cap grzeboł, a że łón tam mo jisz, wzięć motykym a wykopać. Rano wstół, ale to tym zapomniał. Zabył, wszecko zabył. Ale potem zaś roz pos łowce i tam tyn cap pod

tym złóbkym grzeboł. I dziepro wtedy sie mu to tym spómniało. Wzięł małym, szeł i tóż wyciógnył. Ale sóm se to nie trufoł przyniść do domu. I zaszeł na Dolinki po rodzinym i ta rodzina tam szła i przyniśli taki niewielki kotłiczek tych piniyndzy, tych dukotów. Że to bezmali było szumne, nie zarzowlane. Tak sie to jyny miyniło, blyszczalo. I ta rodzina miała go strasznie w zocy, bo to był niby łujec. Ta rodzina se za to kupiła grunt i mieli go potem w łopatrunku przy siebie. I potem szli do banku i przemiynili mu ty pinióndze i coska z nich dali. Ale łón borok nie łumioł czytać, ani pisać, ani pinióndzóm nie rozumioł. Ale cosi mu tych piniyndzy — papińrowych. Kiejś to były ty ryłszczoki. Tóż na tym sataszu że takw kympka była, a tóż że miol wyłóndzóm pinióndzami tón kympkym. A przesła baba kole niego, a łón sie strasznie zlynk, aż zblednył, że ty pinióndze mu zbiera, bo jich łón miol powierzone. Ale baba poszła, poswił piniądze i tóż potym tak żył z tego.

Tam łu tych starych Zwyrkulanów posoł krowy Smiatek. A jo go już pamiynym, dych chodziła do szkoły wtedy. A tyn Smiatek też miał powierżone pinińdże w Rómbaniu. A tam była szopa, a ty łowce tam prawie dowalił ci Zwyrkulanowie. A że sie jim we wili- tym wieczór łokoci łowca, a że przinie- sie czornego baranka. A po tego baranka że se mo przisć właściciel tych piniyn- dzy. I tak sie stało. Nó i prziszeł tyn właściciel ku tynu Smiatkowi i pytoł go, aż mu tego baranka do. Ale tyn baranek był jakisi piękny i tyn Smiatek mu go nie doł. I tak to w tym przepađło. Po- tym prziszeł do tych Zwyrkulanów, bo dy łón jim to posoł ty łowce. Że stary Zwyrkulan strasznie narzykoł, powia- doł: „Nale człowiecze, cöße zrobił. Ło tego baranka sie ci rozchodziło? Dyżeś móg dać baranka, to by my byli mieli pinińdże.“ Bo tam sóm pod gruszkóm ty pinińdże w tym Rómbaniu. My tam już chodzili na ty gruszki, bo to była rodzina moich tatów. Jyny teraz jesi tam jeszcze ta gruszka je, to jo nie wiym.

Opowiadała Elżbieta Sikorowa (ur. 18 września 1892) z Milikowa nr 74. Teksty przepisano z taśmy magnetofonowej.

Opowieści o zaklętych pieniądzech czy skarbach spotykamy prawie że na całym świecie. Wyrażały zazwyczaj życzenia ludzi ubogich, walczących z nędzą, którzy marzyli o zagadkowym wzbogaceniu się, nie mieli bowiem realnych szans na zrealizowanie swych snów. Dlatego też w repertuarze E. Sikorowej tylko ludzie ubodzy mają przeznaczone pieniądze. Wyobraźnię ludu podniecały także liczne opowiadania o legendarnych skarbach zbójników, którzy podobno zakopywali je w ziemi lub ukrywali w pieczarach. Wątki wierzeniowe w ogóle uznajemy dziś za produkt fantazji, dawniej jednak wierzono w nie mocno, stosowano praktyki, które w nich występują. Ale i dzisiaj natężenie wiary w podobne opowieści nie jest wszędzie jednakowe. W regionach o niesprzyjających warunkach fizjograficznych (brak połączenia z miastem, brak prądu elektrycznego, szkoły

itd.) będzie o wiele większe niż w okręgach o wysokim poziomie cywilizacji. Wiara jest ponadto problemem bardzo subiektywnym. Mogą na nią wpływać najróżniejsze bodźce, motywy. Dlatego spotykamy i jednostki cywilizowane, które z takiej lub owej przyczyny wierzą w zjawiska irracjonalne, będące przedmiotem opowieści wierzeniowych. Dzięki intensywnemu oddziaływaniu szkoły i innych instytucji kulturalnych poziom umysłowy ludzi nieustannie wzrasta. W związku z tym podłoże, sprzyjające opowieściom wierzeniowym, zanika, a z nim i one same. Dzisiaj są już tylko echem dawnej przeszłości, z tego też powodu mają znaczenie historyczno-obyczajowe. I E. Sikorowa stwierdza to mimowolnie: „...teraz sie już to tak nie łukazuje. Jyny piyrwey to sie strasznie moc łukazowało. (...) Teraz to ludzie nie łumióm, ale piyrwey ci zbujnicy albo łoto ci wandrowni to strasznie wiedzieli.“

E. Sikorowa ma specjalne upodobanie w opowieściach wierzeniowych, jest przekonana o ich prawdziwości. Wynikiem takiego stosunku do wątków jest daleko posunięta konkretyzacja, która obejmuje zarówno akcję, jak też i bohaterów. Jej opowieści mają więc charakter podań lokalnych. Tylko jeden wątek (T 690) jest pozbawiony cech indywidualnych, można go więc zaliczyć do baśni magicznych („Jedyn łojciec miał trzech synów...“). Opowieści E. Sikorowej zawierają przeważnie wszystkie elementy, które w tym rodzaju opowieści spotykamy. Reprezentują typy ogólnie znane — także w folklorze cieszyńskim.

Zakłute pieniądze przybierają najróżniejsze formy. Najczęściej widzimy je w postaci żarzącego się węgla. Pieniądże bowiem „suszą się“ (T 8010) w ściśle określonych dniach. W wersjach cieszyńskich jest to zazwyczaj Kwietniowa Niedziela [J. Ondrusz: Śląskie opowieści ludowe, 67, 69; Godki śląskie, 91, 98]. Strzeże je zwykle sam diabeł (jako że pieniądze są jego wymysłem), który w folklorze Słowian zjawia się na Ziemi jako myśliwy lub po prostu człowiek z końskim kopytem. Bardzo rzadko jest skłonny do rozdawania swego majątku. Ale i to się zdarza (T 8012). Wierzenie głosi, że „wtedy zatoczył wóm to (tzn. pieniądze) do takiej czistej szatki, czy do czegoś“. W większości wątków z motywami zaklętych pieniędzy nie udaje się jednak bohaterowi pomyślnie zakończyć wysiłków zmierzających do zdobycia skarbu. Na przeszkodzie stoją niekiedy bardzo trudne zadania (po pieniądze „trzeba po jedli lyżć, jyny hore zadkym“). Innym razem warunek jest o wiele prostszy — np. zachowanie milczenia. Ale ani on nie jest nigdy spełniony, diabeł bowiem, który strzeże skarbu, ma różne sposoby na rozwiązywanie ludzkich języków (Godki śląskie, 76, 91, 98, 108; Śląskie opowieści ludowe, 67, 69). I w ten sposób zakłute pieniądze pozostawały w sferze marzeń człowieka, rozbudzały jego fantazję i kazały wynajdować stale nowe sposoby, które by umożliwiała ich zdobycie.

DANIEL KADEUBIEC

tyzanckiego na naszym terenie, poddany został niczym nie uzasadnionym represjom ówczesnych władz — było to przed wydarzeniami lutowymi] wyrażona działalność społeczna, która zaskarbiła mu wdzięczność społeczeństwa, zwłaszcza zaś



GUSTAW ZUCZEK

mieszkańców Koszarzysk i okolicy, u których cieszy się wyjątkowym autorytetem.

Jest członkiem ZG PZKO, władz Jednoty-Jedność w Frydku-Mistku oraz praktycznie wszystkich organizacji na terenie gminy. Posiada liczne odznaczenia, m. in. Srebrną Odznakę Za Zasługi PZKO. Jest jedynym członkiem Chóru Nauczycieli Polskich od chwili jego powstania w roku 1925 do dnia dzisiejszego.

Z okazji jubileuszu składamy mu życzenia dobrego zdrowia, żeby tak wspinały humor nie opuszczał go i w dalszej sześćdziesiątce.

JUBILEUSZ L. BIELANA I T. RYCHLIKA

Sześćdziesiątkę obchodzi w bieżącym miesiącu również dwóch dalszych wartościowych działaczy naszego terenu. Leopold Bielana, ur. 8. 8. 1906, oraz Tadeusz Rychlik — 3. 8. 1906.

Leopold Bielana, emerytowany górnik z Śmiałowic, należy do naszych najwybitniejszych bibliofilów. Można go zaszerzować obok takich miłośników książki jak prof. J. Niemiec z Orłowej, albo Józef Stebel z Cierlicka. Jest od wielu lat jednym z najlepszych w skali ogólnopolskiej bibliotekarzem wiejskim.

Tadeusz Rychlik, nauczyciel z Starego Bogumina (obecnie pracuje w Cz. Cieszyźnie), należy również do długoletnich działaczy społecznych. Oprócz pracy w chorze nauczycielskim, wykonuje funkcję sekretarza Koła w St. Boguminie.

Życzymy obu jubilatom wiele zdrowia i powodzenia oraz dużo sił do tak potrzebnej dalszej pracy dla dobra społeczeństwa.

ZMARŁ ALOJZY KOLORZ

13 lipca br. zmarł w Cz. Cieszyźnie mgr Alojzy Kolorz, długoletni inspektor szkolny w Cieszyźnie (Polskim). Pocho- dził z Datyn Dolnych (ur. 19. 10. 1891), ukończył cieszyńskie Seminarium Nauczycielskie, a dalsze studia pedagogiczne, zakończone dyplomem magisterskim, kontynuował zaocznie na UJ w Krakowie.

Był znanym pamiętnikarzem rozwoju szkolnictwa na Śląsku oraz historii swej rodzinnej wioski. Niektóre swe wspomnie- nia drukował w „Kalendarzach śląskich“.



Ilustr. Br. Liberda.



Żywoł człowieka pocziwego

Panie Redaktorze!

Tyłu nicponi, tyłu łajdaków tuła się po świecie, że czasami boję się spojrzeć w zwierciadło. Zresztą każdy z nas ma takich swoich „przyjaciół”, w oczach których jesteśmy łotrami, łobuzami, karierowiczami itd. itp. Ale głowa do góry, dopóki mamy wrogów, znaczy, że jesteśmy coś warte, że ktoś nam czegoś zazdrości, że mamy jeszcze coś do pozazdroszczenia. Lepsza jest wrogość małych czy przeciętnych ludzi, niż ich współczucie, bo ich współczucie jest zakłamanie i wyrachowane, współczują tylko nieszczęśliwym. A kto z nas chce być nieszczęśliwym?

Ale nie o tym chciałem porozmawiać, Panie Redaktorze. Chciałem się raczej podzielić z wrażeniami z próby, jakiej poddałem własną uczciwość. Już imię Mikołaj Rej pisał o kłopotach żywota człowieka pocziwego. Troska a zachowanie własnego oblicza, godności osobistej, wewnętrznej uczciwości, to problem stary jak świat.

Łatwo o deklaratywną uczciwość, gorzej, kiedy okoliczności czy przypadek poddają ją próbie. Wtedy zwyciężają w nas odruchy naszego prawdziwego ja. Wtedy bierze górę nasza prawdziwa, a nie upozowana natura. Wtedy dziwimy się, a raczej odkrywamy samych siebie, najczęściej — a szkoda — szukamy usprawiedliwienia własnych słabości czy rezygnacji z zasad.

Ale do rzeczy. Niedawno temu, kupując na czeskosłowackim dworcu bilet, rozstałem się z aparatem fotograficznym. Nabycie biletu trwało chyba pięć sekund, kradzież mojego aparatu widocznie krócej. Złodziej, czyli człowiek nie bardzo uczciwy, zbyt się nie obłowił. Aparat był stary, niezbyt już wydajny, ale człowiek przyzwyczają się do pewnych rzeczy, zrasta z nimi. Martwe przedmioty nawiązują z nami swą niemojonalną pokrewieństwo. Tamten aparat znalazłem na ławeczce przed schroniskiem w zapleczu dzikich gór dwa apara-

rat zwędrował ze mną kawał świata, przeżył i uwiecznił ze mną niejedno, więc żal mi się go zrobiło, że teraz cierpi w paskudnych rękach jakiegoś draba. Przedmioty martwe umieją się mścić. Jestem przekonany, że mój stary druh, rozklekotany aparat, będzie psocił figle obcemu intruzowi. Będzie się zaciął i psuł, ludzie na zdjęciach będą pokraczni i śmieszni. Bo aparat fotograficzny, adapter, okulary, wieczne pióro jak wierne pies przyzwyczają się do naszych rąk.

Zawsze marzyłem o solidnym aparacie, ale jakoś nie było mnie stać na taki bądź co bądź wydatek. I oto będąc niedawno w Tatrach na samotnej wędrowce

ty fotograficzne wartości chyba około 4—5 tys. Kčs. Dokoła nie było nikogo, żywej duszy. Wystarczyło schylić się, podnieść zdobycz i ruszyć dalej w swoją drogę. Czyżby los podsuwał mi rekompensatę za tamtą stratę i jeszcze z nadwyżką?

Panie Redaktorze, nie opiszę piekła, jakie rozpętało się w mojej duszy, jak bardzo człowiekowi źle, kiedy pozostaje sam na sam z sobą, twarzą w twarz wielkiej okazji i pokusie.

Po chwili medytacji wziąłem aparaty i wszedłem po schodach do schroniska. Nie bardzo byłem wesoły, jakiś głos wewnętrzny kpł ze mnie: — Aleś głupi, jak but.

— Czyje to aparaty? — pytam, podnosząc je wysoko w górę.

Milczenie. Ciężba turystów trochę zaskoczona patrzy we mnie jakbym z pieca spadł.

— Może pan przechowa te aparaty do czasu zgłoszenia się ich właściciela — zwracam się do kierownika schroniska.

— A co jeszcze — zachnął się. — Muzeum będę zakładał czy co? Kto tak lekkomyślnie dba o swoje rzeczy, nie zasługuje na poparcie.

— Więc co z tym zrobić? — pytam zaskoczony takim przyjęciem.

— Niech pan to położy tam, gdzie pan to znalazł.

Masz ci los! Więc bądź tu uczciwym! Kładę aparaty na ławce i siadam obok. Może ten ktoś zauważy swoją zgubę i wróci. Siedzę na ławce i czekam. Po pół godziny przychodzi para dwóch starszych turystów, pewnie małżeństwo.

— Danke schön... ściskają mi ręce bladi ze wzruszenia.

— Es leben noch gutte Leute — cieszy się turysta z NRF.

Dlaczego tak postąpiłem? Nie wiem. Działalem na przekór podszeptom własnej słabości.

Ale jeszcze nie koniec, Panie Redaktorze!

Gdzież tam, dwa dni później siadam

w Smokowcu do „elektryčky”. Siedzę i zauważam, że coś mnie gniece. Pragnę usunąć przeszkodę, okazuje się, że to portmonetka, a w niej kilka set koron. Nikt niczego nie zauważył, a w Tatrach drogo, a wszystkiego w bród. Można dzieciakom częściej lody załatwić, można pojechać kolejką na Łomnicki Szczyt, można...

Na trzecim przystanku ktoś woła z pola:

— Ludzie, czy nie znalazł tam kto portmonetki?!

— Ludzie plecaka nie oddają, a co dopiero portmonetkę, mówi głośno konduktor. Nic nie mówię tylko wstaję, podchodzę do okna i rzucam zawiadomcy stacji portmonetkę. Poszkodowana osoba dzwoniła do niego z Smokowca, prosząc o interwencję. Konduktor kręci głową, a jakaś babina, myśląc, że tego nie słyszę, szepcze do sąsiadki:

— Asi ma hodné peniaz, keď tak ľahkomyslně vracia...

Potem przypatrywały mi się długo, jak przedwcześnie wypuszczonemu pacjentowi z zakładu dla stukniętych.

To nic, myślę sobie, los w jakiś sposób wynagrodzi moją bezwiedną uczciwość, wobec której jestem bezradny i bezsilny.

Kiedy wróciłem do domu, stwierdziłem, że ktoś świsnął mi z marynarki włoskie okulary. Widocznie po to, żeby mi się lepiej przyjrzeć.

Rzadko trafia się okazja oglądania tak lekkomyślnego typu.

Ale to nic, Panie Redaktorze. Rano w trakcie golenia ręka mi nie drży, nie zacinam się, patrzę spokojnie w zwierciadło — widzę jak ktoś patrzy mi prosto w oczy.

Nie muszę opuszczać wzroku.

WIKTOR RABAN



Foto Wł. Wojnar.

Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY



Cena Kęs 1,-

ROK 18 — (Nr 202)

9

Czeski Cieszyn, wrzesień 1966

W NUMERZE:

Śląska róża ★ Powroty do źródeł ★
Tragiczna noc ★ O problematyce narodo-
wościowej w CSSR ★ Śląsk i jego wojaze
★ O naszej twórczości bez iluzji ★



Foto Wład. Wojnar.

W 80/94

75 000 /

ŚLĄSKA RÓŻA

Znakomity pisarz Konstanty Paustowski opisał kiedyś starego biednego, brzydkiego i ubogiego dziadka, który adoptował opuszczone dziecko. Kiedy dziewczynka dorosła, chciał jej darować jakiś cenny upominek. Pracując jako zamiatacz ulic, przyszedł na niezwykle pomysł. Z pudła przed sklepem jubilera i złotnika wybierał śmiecie i z złotego pyłu odlał po latach mrówczej zapobiegliwości złotą różę.

Taką złotą różą stworzoną z okrucichów pieśni, tańców, strojów, obyczajów i tradycji Śląska jest zespół „Śląsk”.

Wiele już napisano i powiedziano na temat prezentacji, programu i poziomu tego zespołu, więc nie chcę powtarzać zasłużonych pochwał i głosów uznania.

Interesuje mnie klimat imprezy, owa niewyraźna więź duchowa, jaka nawiązała się między wykonawcami a widownią.

„Śląsk” wyzwał z naszej podświadomości obrazy dzieciństwa. Tak jak kamień rzucony w cichą wodę wywołuje żywe, pulsujące kręgi, tak pieśń, słowo, gest, obraz rzucony ze sceny wywołuje i ożywia w naszej pamięci kręgi wspomnień i to takich, które przyspieszają bicie serca i ściskają za gardło.

Kiedy usłyszeliśmy ze sceny: Helo, helo, Helenko... wydawało się nam, że ktoś czarownym zaklęciem przeniósł nas w tamte niepowtarzalne czasy, kiedy sami wracaliśmy z ścierniska nucąc: Helo, helo, ku domowi, bo sie chce jeść pastyrzowi...

Ktokolwiek wyrósł na Cieszyńskiej Ziemi nie mógł patrzeć i słuchać obojętnie pieśni „Śląska”, i choćby nie wiem jak bronił się wzruszeniu — ulegał, zaciskał wargi, ścierał ukradkiem łzę, bo oto na scenie odnalazł samego siebie. Coś tak bliskiego i swojskiego jak zapach chleba, lasu, wiejskich kwiatów, beskidzkiego śniegu czy wielkanocnej babki. I to wszystko, cały ten urzekający świat swojszczyzny zalśnił w blasku prawdziwego artyzmu, autentycznej sztuki. Przekonaliśmy się, że regionalizm współczesny jest tym ruchem społecznym, który zbiera ten złoty pył, by z niego wyrzeźbić złotą różę. Folklor wzbogaca kulturę ogólnonarodową, a nawet światową o koloryt lokalny, o treści tkwiącej głęboko w pokładach kultury ludowej, a więc najbardziej autentycznej, sprawdzonej doświadczeniem i instynktem piękna wielu pokoleń.

Regionalizm jest nurtem, który uczy przywiązania do ziemi rodzinnej, pobudza inicjatywę, aktywizuje do działania, do przerzucania pomostów między dawnym wczoraj a bliskim jutrem w imię piękna i celowości życia.

I gdzieś tam, głęboko, w sercu każdego z nas, prostowało się uczucie, podobne do zdeptanego żdzibła, że to za-

pomniane, zaszuwierzane, jakże często po macoszemu traktowane piękno naszego regionu „nie jest wyżebrane, ale świetnością przodków świetne”.

Zespół „Śląsk” oglądany przez Rosjan, Meksykańczyków, Arabów, czy Chińczyków jest podziwiany, okłaskiwany za brawurę wykonania, za bogactwo strojów, urodę i wdzięk wykonawców. Przyjmowany jest jako zespół egzotyczny.

Nam „Śląsk” nie przywozi egzotyki, zaprasza nas do źródła, które tryska z beskidzkich groni, jak na dłoni podnosi z cienia zapomnienia i przywraca naszej pamięci nieprzebrane uroki kultury ziemi ojczystej.

Kiedy „synek z Karpętnej”, dyrektor zespołu Stanisław Hadyna, dyrygował „Śląskiem”, nie przypuszczał, że poruszy w nas struny, o których istnieniu często nawet nie wiemy, czy dawno o nich za-

pomnieliśmy. Było nam dobrze, jak dziecku, które z kolan starki ogląda pierwsze szkubaczki.

I chciałoby się powtórzyć za 87-letnią staruszką z Milikowa, która zapatrzona w barwne widowisko, szeptała do swoich wspomnień: Ja, ja, ludkowie, cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie.

I cóż tu dodać do słów jednego z członków zespołu „Śląsk”, który powiedział: Zwędrowaliśmy cały świat, wszystkie kontynenty, ale tak wdzięcznej, żywo reagującej i rozumiejącej nas publiki nie mieliśmy nigdzie. Zwiedziliśmy cały świat, ale do was, do Jabłonkowa, przyjechaliliśmy sobie popłakać.

HENRYK JASICZEK



Foto Wł. Wojnar.

Powroty do źródeł

Spotykało się wiele sceptyków — „Śląsk“, goszczący na największych i najlepszych estradach świata, miałby wystąpić w Lasku Miejskim w Jabłonkowie?

Jeszcze w południe sobotnie 20 sierpnia decydowano — przenieść występ do Domu Kultury i tym samym uszczuplić zespół, a przede wszystkim uszczuplić widownię...? Pan Hadyna patrzył niepokojnie po niebie, Jura pytał się ludzi — jak uważacie? Jeden ze starszych jabłonkowiec był pewien swego — wieczorem będzie ładnie... „Zaryzykujemy!“ — powiedział Jura. Ale wieczorem przeszła burza. Kierownictwo po naradzie ogłosiło, że ostatecznej decyzji należy spodziewać się około godz. 20. Ale widownia, pomimo ulewnego deszczu, nie ruszała się z miejsc. Aż nareszcie wyjrzały gwiazdy.

— Jest „Śląsk“? — jest! Jest pogoda? — jest!“ — wołał zachrypnięty Jura. Na widowni owacje. Takie sytuacje zdarzają się rzadko.

„Śląsk“ stał „w gali“ na scenie i wtedy włączono reflektory! Kolory spowodowały ogólne westchnienie. W dali jeszcze błyskało się. Tu dopiero pojęliśmy walory jabłonkowskiego amfiteatru. Trzeba będzie wykorzystać go częściej. To duża okazja do podgórskich sezonów letnich.

Śląskość „Śląska“ można było wykazać prawdopodobnie właśnie tutaj. Nasza widownia nie jest ani emigracyjną, ani wyłącznie polską — w sensie np. terytorialnym. Jakkolwiek będziemy oceniać ową śląskość naszego regionu, jest ona w jakiś sposób cechą charakterystyczną.

Spotkanie ze znanym zespołem z Koszęcina było więc konfrontacją nadzwyczaj ciekawą, tak z punktu widzenia „Śląska“, jak naszego regionu. Nikt tej konfrontacji nie aranżował, bo nie mógł. I jeśli mówiono nawet o tutejszych źródłach dla takiego jak „Śląsk“ zespołu, jeśli zanotowano wzruszenie po obu stronach, to konfrontacja wypadła jak najpomyślniej.

Przy czym publika nasza ma poza sobą dziewiętnaście Świąt Góralskich, a to na pewno ją ukształtowało. Sukces „Śląska“ nie był więc przypadkowy i cieszył wszystkich jego sympatyków. Ale też przyjemność po naszej stronie. Czujemy się uprawnieni do przywłaszczenia sobie części dumy z racji owego sukcesu, czyli z racji istnienia tego rodzaju zespołu. To on właśnie wyraża w sposób niepowtarzalny to wszystko, z czego wyrastaliśmy i do czego tak czy owak będziemy wracać — do ludowych treści tej ziemi.

Entuzjazm widowni przypominał również znaczenie szersze: To wszystko tak proste, że niemal zawstydzające swoją prostotą i swojskością, jest nagle dużą

kulturą, dzisiaj już nawet światową... W sumie więc chodziło o widowisko jednoczące, leczące kompleksy, prostujące myśli. (Tu nawias — jak te sprawy ułożą się na przyszłość? Jak wpłynie na nie ludność napływowa, nie znająca tych treści albo przynosząca zgoła inne? Ale to już temat dla specjalistów.)

Jeśli chodzi o program, to chciałbym podkreślić ścisłą więź jego koncepcji z krajobrazem, liczenie się z przestrzenią i umiejętnie jej wyzyskanie. Zaciekawia

również wchodzenie w naturalność sytuacji, w których kultura śląska powstała. I jeden jeszcze moment — głębła wieków... Cała, ogromna pewnie, kultura ludowa pogańskich przodków, pochłonięta przez cenzury chrystianizmu, mogła zachować się w owym szczątkowym, mitycznym wołaniu zakochanej dziewczyny — „Łado, Łado...!“ W najstarszych dziedzinach śląskich czy polskich, z dala od oficjalnych obyczajów, zachowały się tamte ślady. Ów nagły pomost, uświadamiający nam, ile wieków, jakie złoza pokoleń weszły w ludową kulturę.

WLADYSŁAW SIKORA



Nadeszła oczekiwana noc.

Koło godziny 21. po wydaniu ostatnich rozkazów przez por. Bajana, ruszyła grupa w dół, w stronę Jastrzębskiego Potoka. Noc była pogodna, jasna. Księżyc oświeślał szczyty okolicznych gór. Puszcza Miążyca stała spokojnie i majestatycznie, zasłuchana w nocną ciszę. Grupa posuwała się milcząco i ostrożnie. W przodzie szedł por. Bajan, a obok niego, jako przewodnik, Józef Kluz. Przez ramię miał przerzucony worek, w którym były rezerwowe buty, marmolada. W prawej ręce niośł kubek z marmoladą. Przydzielono mu funkcję „prowiantowego”, bo nie był obciążony ciężką bronią. Za nimi, jako łącznik, postępował młody Nikołaj, a kilka kroków dalej radystka Marusia z resztą grupy. Marusia niosła na plecach radiostację. Nad Jastrzębskim Potokiem zeszli na główną drogę, która prowadzi do Łomnej Górnej. Por. Bajan z Józefem Kluzem przeszli ostrożnie na prawą stronę drogi, aby znaleźć się w cieniu wysokich drzew. Uszedłszy może 150 do 200 kroków, zauważyli przed sobą w odległości mniej więcej 80 m jakieś sylwetki ludzkie, które ukryły się za drzewami. Por. Bajan szybko skręcił koło domku nr 92 więcej na prawo, a Józefowi kazał zostać w miejscu i czekać na resztę grupy. Potem dał znak łącznikowi, młodszemu Nikołajowi, aby się do niego zbliżył z automatem i razem z nim zaczął się ostrożnie posuwać naprzód. Kiedy po kilku minutach dołączyła do Józefa reszta grupy, odezwało się dalekie wołanie, a krótko po tym padło kilka strzałów.

Nastąpiło ogólne zamieszanie.

Instynktownie cała grupa wpadła w pobliższe krzaki, rosnące nad rzeczką Łomnianką i tam ukryła się za wysokim brzegiem z bronią gotową do strzału. Po chwili rozległy się nowe strzały. Marusia dostała postrzał w plecy. Kula przeszła przez radiostację i utkwiała w płucach.

— Jestem ranna! — jęknęła żałośnie i upadła na ziemię.

Tymczasem na drodze strzelanina uciekła. Nie było jednak wiadomo, co stało się z por. Bajaniem. Koło drogi nie było widać żadnej sylwetki, ani też nie było słychać głosów. Zdawało się, że por. Bajanowi udało się gdzieś ukryć. Należało ratować Marusię i radiostację. Przeczekano więc jeszcze chwilę, a potem cała grupa przeskoczyła szybko przez Łomniankę i pomagając Marusi, wydrapała się na drugi, dosyć stromy brzeg. Lecz i tu nie było jeszcze bezpiecznie. Postanowili więc ruszyć dalej i szukać lepszego schronienia. Niosąc na zmianę ranną Marusię, dowlekli się ostatecznie do Małyszowej Doliny koło Głównicy (pod Kozubową). Tutaj nad Popielarskim Potokiem, za dużą kłodą, znaleziono odpowiednie miejsce. Z choiny uścielono prymitywne łóżko i na nim położyli ranną Marusię. Dodać jeszcze należy, że podczas tej uciążliwej drogi do Małyszowej Doliny usłyszeli naraz z dołu pojedynczy strzał pistoletowy, lecz nie zwracali na to większej uwagi, ponieważ zbyt zajęci byli ranną Marusią.

Rana okazała się bardzo niebezpiecz-

TRAGICZNA NOC

(Ze wspomnień byłego partyzanta Józefa Kluza z Mostów koło Jabłonkowa)

(Zakończenie)



Miejsce w Łomnej Dolnej, gdzie zginął por. Wł. Bajan. Po lewej stronie domek nr 92.

na. Potrzebna była pomoc lekarska, ale o takiej w danej sytuacji nie można było marzyć. Zrobili więc co mogli. Wymyli ranę i zabandażowali. Jeżeli chodzi o radiostację, to była ona porządnie pogruchocona i nie nadawała się do niczego. Grupa więc została bez dowódcy i bez radiostacji. Sytuacja była niezwykle krytyczna. Pozostali zaczęli się zastanawiać co dalej czynić. Mieli nadzieję, że por. Bajan wkrótce zjawi się i obmyśli jakieś wyjście. Ale dzień chylił się ku schyłkowi, a dowódcy nie było. Marusia leżała w gorączce. Rana się zaożnżała i zaczynała ropieć. Chora ciągle domagała się wody. Odmawiała jedzenia. Chwilami wołała swoją matkę, to znów namawiała spadochroniarzy, aby ją zostawili i poszli dalej w myśl rozkazu. Jednak nikt nie miał serca odejść od niej i zostawić ją samą. Ukryli nawet przed nią broń w obawie, aby nie popełniła samobójstwa. Ponieważ stale odczuwała pragnienie, postanowili zdobyć dla niej trochę mleka. Wieczorem Józef Kluz z jednym spadochroniarzem poszli do znajomego gazdy Hawliczka na Kamienitym. Hawliczek przeląkł się, kiedy zobaczył po ciemku dwóch uzbrojonych ludzi, zbliżających się do jego domu. Sprawa się jednak prędko wyjaśniła, dał dla Marusi nie tylko mleko, ale jeszcze obydwu serdecznie ugościł. Na Kamienitym dowiedzieli się również, że por. Bajan nie żyje i że jego zwłoki wystawili Niemcy cały dzień na widok publiczny

(oparte o drzewo przydrożne), aby obywatelom Łomnej Dolnej napędzić strachu. Pod wieczór mieli je pogrzebać miejscowi obywatele bez „Volkslisty”. Grób wykopano o kilka kroków dalej, nad brzegiem Łomnianki. Byli to: Paweł Martynek, kowal, Łomna D. 80 i Andrzej Ligocki, kołodziej, Łomna G. 53.

Wiadomość o śmierci por. Bajana podziałała na całą grupę nadzwyczaj deprymująco. Sytuację pogorszył jeszcze stan zdrowotny Marusi. Rana ropiała, a gorączka wzmagala się. Nie smakowało ani przyniesione od gazdy Hawliczka mleko. Marusia domagała się stale zimnej wody. Nie było to jednak wskazane i spadochroniarze starali się jej picie wody ograniczyć. Niezaspokojone pragnienie sprawiło jej jeszcze większe męki, toteż żaliła się, że nie chcą jej dać przed śmiercią nawet wody. Raz wykorzystala moment, kiedy została na chwilę sama, doczołgała się resztkami sił nad potok i tam, leżąc na ziemi, łapczywie piła. Straciła przytomność, a kiedy ją przyniesiono za kłodę, zaczęła wymiotować wodą zmieszaną z krwią i ropą. Przez cztery dni męczyła się straszliwie, a jej towarzysze oczekiwali jakiegoś cudu. Na czwarty dzień nastąpiła zmiana pogody. W nocy zaczął padać deszcz i lekko się oziębiło. Nie wiadomo czy to przyniosło pewną ulgę Marusi, bo przestała się żalić i tylko matkę wspominała. Największą opieką otaczał ją starszy Nikołaj i młodziutki Szymon.

Reszta spadochroniarzy pełniła straż, lub też starała się o jedzenie.

Rozwiązanie nadeszło dopiero piątego dnia w południe, kiedy starszy Nikołaj zaczął naraz wołać:

— Maruśka pomrjela!

Zbiegli prędko w dół, a widok, który zobaczyli, wstrząsnął nimi do głębi. Na ziemi leżała martwa Marusia, a obok niej stał szlochający Nikołaj i gładził jej włosy. Stanęli milcząco niedaleko i po-zdejmowali czapki, każdemu z nich łza zakręciła się w oku. Potem niedaleko na „brzyżku“ wykopali rękami dosyć płytki grób i tam ułożyli zwłoki Marusi, zawi-nięte w koc, który z domu zabrał Józef Kluz. W zamian za to otrzymał od Ma-rusi automat, z którym potem powędro-wał do powstania słowackiego. Aby za-trzeć ślady, grób zakryto narwaną cho-iną. Niedaleko, po kawałkach, zakopano rozbity radiostację, której już nie dało się naprawić. Po dokonaniu tego smut-nego obrządku, zaczęto się naradzać, co dalej czynić. W miejscu już nie mogli zostać, ponieważ niemiecka policja i ge-stapo zaczęło coraz częściej zaglądać do Łomnej Dolnej, a szczególnie do Miąższu i za czymś śledzić. Postanowiono zejść popod osadę „Nowina“ i przedostać się na wschód w stronę zbliżającego się frontu. Ale po dokładniejszym rozpatrze-niu sytuacji, zdecydowano się przedzie-rać nocami na Słowację. Tam wybuchło powstanie i tam ich pomoc była potrzeb-na. Nad pozostałą piątką, złożoną z trzech radzieckich spadochroniarzy i dwóch braci Kluzów, dowództwo objął starszy Nikołaj. Spakowano rzeczy, pożegnano się z grobem Marusi, a kiedy nadeszła noc, ruszono brzegiem lasu aż do tego miejsca, gdzie dziś stoi pomnik rozstrze-lanych braci Cieciotków i Jana Szkande-ry. Tam przekroczyli Łomniankę, a po-tem podążyli lasami przez Skałkę, w dół na Mosty i nad ranem doszli do domu rodzinnego braci Kluzów. W domu jesz-cze wszyscy spali, więc nie chcąc ich

budzić, weszli przez okienko do piwnicy i tutaj doczekali się świtu. Rano rodzice bardzo się zdziwili, kiedy zobaczyli swo-ich synów w towarzystwie obcych ludzi. Powitanie miało być równocześnie i po-żegnaniem, bo synowie nie mogli pozo-stać w domu. Znaczyłoby to dla nich śmierć. Rodzice chcieli ich ugościć, lecz w domu nie było ani kawałka chleba. Znalazło się tylko 2 kg owsianych płat-ków i coś kwaśnego mleka. Lecz i to niezwykle danie zostało szybko skonsu-mowane.

Z nastaniem nocy przygotowali się do dalszej drogi. Bracia Kluzowie zabrali czystą bieliznę, silniejsze buty, no i płaszcze, ponieważ noce były coraz chłodniejsze. Krótkie pożegnanie, łza ża-lu w oczach matki, ojca i siostry i grupa utonęła w ciemnościach. Rodzice i sio-sτρα długo stali milcząco w otwartych drzwiach i ocierali łzy.

Droga była uciążliwa. Nad ranem za-padli w lasach na Zielonej. Tutaj ukryci w gęstwinie przeczekali aż do wieczora. Kiedy nadeszła noc, ruszyli dalej na pld. wschód. Obeszli wioskę Bukowiec i o świ-cie doszli do Jaworzynki, gdzie spędzili drugi dzień. Nocą zeszli do Cziernego, przekroczyli tor kolejowy i dotarli do miejscowości „Rycerka“. Ukrywali się tam 3 dni, ale kiedy doszło do zbrojnego starcia z niemiecką policją czy też ge-stapem, zaczęli się przedzierać w kie-runku Starej Bystricy. Tutaj dotarli dnia 19 września 1944 roku i wstąpili do od-działu „Wpierjod“ ppłk. Morskoja, z któ-rym walczyli na Słowacji aż do końca wojny.

Bracia Kluzowie wrócili do domu 3 maja 1945 roku.



W miąższu. Foto T. Wratny.

25 sierpnia minęła 75 rocznica uro-dzin zmarłego przed dwoma laty wiel-kiego pisarza śląskiego Gustawa Mor-cinka. Przypominamy tę rocznicę wierszem B. Lubosza.

W SKOCZOWIE NAD WISŁĄ

Pamięci Gustawa Morcinka

Nad Wisłą — żółtą wikliną —
słowa jak ptaki giną.

Pieśni — srebro Ondraszkowe —
już wiatru przeliczył powiew.

Krok w dolinie przysechł nagle.
Śnieg. Rozdarty słowa żagiel.

Odchodziłeś w węgla żleby —
teraz ciszy potok zgrzebny.

Odchodziłeś w progi sadyb —
teraz nocnych wichrów zwiady.

Gdzież górnicze pióropusze,
serca za tamą i różę.

Wschodzi ziemia cieszyńska w ża-
łobie.

Drwał sosnę ścina po tobie.

Nad Wisłą — żółtą wikliną —
słowa jak ptaki giną.

BOLESŁAW LUBOSZ

Otrzymaliśmy do redakcji kilka wier-szy, które nam przesłał młody poeta z Grudziądza, Stanisław Poręba. Jeden z nich publikujemy:

★

Słoneczniki zaglądają w okno
małe słońca
ostatnie krople lata

A przecież —
liście nie myślą jeszcze
o rozłące z drzewem
łaki nie kryją się
za zwiewne chustki mgieł
do dialogów żurawi
jest jeszcze daleko

Wylysiały pola
przed każdym domem płoną
żółte latarnie stogów
dopiero słońce pociera
owoce rumieńcami

To jednak koniec lata —
dla mnie kończy się lato
kiedy słoneczniki wypalą
swoje twarze

STANISŁAW PORĘBA

O problematyce narodowościowej w Czechosłowacji

VIII

ącznie z przywróceniem systemu państwowo-politycznego w takiej postaci, w jakiej istniał przed rozpoczęciem agresji mocarstw faszystowskich, została w roku 1945 przywrócona również Republika Czechosłowacka w dawnych, przedmonachijskich granicach (do odstąpienia Związkowi Radzieckiemu Rusi Podkarpackiej doszło później).

Ludność słowiańska Czechosłowacji — Czesi, Słowacy, Rusini i Polacy zostali wyzwoleni spod ucisku okupantów niemieckich czy węgierskich. W odniesieniu do Czechów, Słowaków i Rusinów, chodziło w zasadzie o pełne urzeczywistnienie samostanowienia narodowego (Czesi i Słowacy zdecydowali się na współzycie w jednym państwie; Rusinom umożliwiono przyłączyć się zgodnie z ich życzeniem do Związku Radzieckiego; reszta ludności rusińsko-ukraińskiej otrzymała możliwość swobodnej decyzji bądź to pozostania w CSR, względnie przeniesienia się do ZSRR, podobnie jak mieszkańcy Rusi Podkarpackiej w odniesieniu do CSR). Wyzwolenie Polaków na Śląsku Cieszyńskim urzeczywistniło się w ramach CSR. Ludność niemiecka została w zasadzie wysiedlona do Niemiec. Próba rozwiązania problemu węgierskiego w podobny sposób nie powiodła się; doszło tylko do częściowej wymiany mieszkańców.

Takie załatwienie było zgodne z warunkami drugiej wojny światowej i zwycięstwem nad państwami faszystowskimi. Niemcy i Węgrzy byli w drugiej wojnie światowej stroną atakującą, prowadzącą niesprawiedliwą wojnę. Czesi, Słowacy (pomimo istnienia marionetkowego państwa, od którego się ludność Słowacji dystansowała, czego dowodem była masowa dezercja oddziałów słowackich na stronę radziecką, a szczególnie Słowackie Powstanie Narodowe), Ukraińcy, Polacy prowadzili sprawiedliwą walkę o swe wyzwolenie.

Sprawa wolności tych narodów zyskała w ten sposób na wyjątkowym znaczeniu. Stąd różna pozycja i rozwiązanie z jednej strony kwestii niemieckiej i węgierskiej, a z drugiej strony czeskiej, słowackiej, ukraińskiej i polskiej.

Obok złożoności stosunków w drugiej wojnie światowej, nie można nie widzieć prócz tych podstawowych, również dalszych, subtelniejszych dyferencji, istotnych dla zrozumienia i oceny załatwienia w roku 1945, względnie z okresu nieco późniejszego. Niemcy były mocarstwem światowym, Węgry tylko jego satelitą; Niemcy znalazły się pod okupacją również mocarstw zachodnich i na terenie ich stref okupacyjnych należało spodziewać się utrzymania ustroju kapitalistycznego z ewentualną odnową milita-

ryzmu, rewizjonizmu itd.; Węgry były okupowane przez Związek Radziecki; Niemcy wytrwali do końca wojny przy Hitlerze; Węgrzy — aczkolwiek dopiero pod koniec wojny — próbowali się oderwać od skrachowanego sojusznika; mniejszość niemiecka odegrała aktywną rolę w planach niemieckiego faszyzmu i imperializmu przeciw CSR; mniejszość węgierska była raczej obiektem niż subiektem węgierskiej polityki rewizjonistycznej. Jeśli więc wysiedlenie Niemców było w danej sytuacji słuszne i sprawiedliwe, należy wątpić o słuszności polityki usiłującej o wysiedlenie ludności węgierskiej. Również akcja wymiany mieszkańców między CSR i Węgrami, dyktowana potrzebą jak największej jednorodności narodowej Czechosłowacji, nie należała do udanych, w wyniku szeregu błędów przyniosła więcej szkody niż pożytku (przy czym doszło do niej w okresie, kiedy już wyraźnie rozwijała się tendencja postępowego rozwoju na Węgrzech i należało oczekiwać poprawy wzajemnych stosunków między Czechosłowacją a Węgrami w przyszłości).

Znaczenie kwestii czeskiej wynikało przede wszystkim z tego, że jeden z pierwszych ataków Hitlera skierowany był przeciw CSR, przeciw narodowi czeskiemu, jako głównemu reprezentantowi czechosłowackiej myśli państwowej i dawnemu wrogowi imperializmu niemieckiego. Naród czeski został okupowany jeszcze przed rozpoczęciem wojny i wystawiony niesłychanie poniżającemu reżymowi protektorackiemu. Okupacja krajów czeskich stała się symbolem wiarygodności hitlerowskiego faszyzmu. Cyfizm, z jakim reżym okupacyjny ogłaszał swoje terrorystyczne akcje przeciw narodowi czeskiemu (na przykład atak przeciw wyższym uczelniom i studentom, zagłada Lidic) — pomimo że w Polsce, ZSRR, Jugosławii itd. tego rodzaju barbarzyństwa były zwielokrotnione i okrutniejsze — przypominał istnienie narodu czeskiego całemu światu. Korzystnie wpłynęły na podniesienie znaczenia kwestii czeskiej w drugiej wojnie światowej również wyrzuty sumienia mocarstw zachodnich, które poświęciły CSR na rzecz uspokojenia Hitlera w nadziei, że wstrzymają jego atak na Zachód i skierują go na Wschód.

Pozycja kwestii słowackiej była już inna. Faszyzm słowacki został wykorzystany przez Hitlera do rozbicia CSR. W odróżnieniu od Protektoratu, którego organów czeskich nikt nie traktował poważnie, wzbudzała faszystowska Słowacja, pomimo że była marionetką absolutnie zależną od faszyzmu niemieckiego, wrażenie samodzielności, którą to iluzję Hitler świadomie popierał. Faszystowska Słowacja stała się „sojusznikiem” Hitlera, uczestniczyła w jego agresji na Polskę i ZSRR, wypowiedziała wojnę nawet

USA. W tym kryło się dla narodu słowackiego po wojnie poważne niebezpieczeństwo, które zostało odwrócone tylko dzięki powstaniu narodu słowackiego przeciw niemieckiemu i rodzimemu faszystowskiemu oraz dzięki wspólnocie czechosłowackiego ruchu oporu (podkreślanie tego faktu służyło kiedyś do obniżania znaczenia rodzimego, słowackiego ruchu wyzwolenieckiego, co było niesłuszne, tak samo zresztą jak z drugiej strony ignorowanie tego momentu).

Rus Podkarpacka została w czasie zaniku CSR zajęta przez Węgry, ludność ukraińską pozbawiono jakichkolwiek praw narodowych i poddano uciskowi obcego reżymu faszystowskiego. Rusini nie poddali się jednak okupantom i wspólnie z radzieckim ruchem partyzanckim prowadzili przeciw nim aktywną walkę.

Rus Podkarpacka była w roku 1918 włączona do CSR bez względu na stanowisko jej mieszkańców. Obiecano jej autonomię, przy obietnicach tylko pozostało. Dopiero przed zanikiem CSR przyznał rząd praski autonomię nielicznej grupce ukraińskich polityków faszystowskich — chodziło o nieistotny epizod poprzedzający okupację. CSR nie potrafiła zlikwidować głodu, biedy i zacoferania na Rusi, nie obroniła jej ludności przed nowym upadkiem do węgierskiego jarzma, z którego wyzwoliła ją armia radziecka. Kiedy potem usiłował delegat rządu czechosłowackiego na wyzwolonym terenie Rusi wprowadzać stare burżuazyjne porządki, sprawa była przesądzona. Ludność Rusi, która się w niczym nie splamiała współpracą z faszystwami i aktywnie dopomogła do jego porażki, zasłużyła sobie na prawo do samostanowienia, na którego podstawie zadecydowała o swej przynależności do Ukrainy Radzieckiej. KPC przeforsowała w Froncie Narodowym uznanie słuszności żądania Rusinów i zgodę na odstąpienie Rusi Podkarpackiej.

Pierwotna koncepcja wznowienia CSR była obliczona jeszcze na istnienie Rusi w ramach CSR — o nowej republice mówiło się wówczas jako o wspólnym państwie trzech równoprawnych narodów — Czechów, Słowaków i Rusinów. Świadczył o tym udział Rusinów w czechosłowackich oddziałach wojskowych za granicą. Na końcu wojny była już ta koncepcja nie do utrzymania. Doświadczenia z burżuazyjnej CSR, polityka czechosłowackiego rządu w Londynie, która omal że nie przeszkodziła odnowieniu wspólnoty czechosłowackiej, zintensywnienie ukraińskiej świadomości narodowej w wyniku wspólnej walki całego narodu ukraińskiego przeciw okupantowi, wzrost prestiżu Związku Radzieckiego i wyzwolenie Rusi przez armię radziecką, przesądziło sprawę.

Pozostanie Rusi w ramach CSR było

w tych warunkach niemożliwe. Mogło się tak stać tylko poprzez złamanie oporu ludności Rusi Podkarpackiej siłą, co by musiało spowodować osłabienie prestiżu republiki i wzrost sił reakcyjnych, nie mówiąc już o pogorszeniu stosunków czechosłowacko-radzieckich. Dlatego KPC aktywnie popierała żądania mieszkańców Rusi (tym więcej, że chodziło o ich przyłączenie do socjalistycznego Związku Radzieckiego), jej przeciwnicy w Froncie Narodowym musieli skapitulować, ponieważ inna polityka w danej sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej nie miała racji bytu. Jeszcze dzisiaj są u nas ludzie, szczególnie w krajach czeskich, myślący kategoriami burżuazyjnej CSR, którzy mówią o stracie czy nawet rabunku „naszej” Rusi. Owo „nasza” jest charakterystyczne: czeski burżuj nie oglądał się na stanowisko ludności Rusi, dla niego stanowiła Ruś majątek, który zrabował, i na który miał więc „prawo”. Niektórzy mówili sentymentalnie „o niewdzięczności” Rusinów. Szkoły, które burżuazyjna CSR dała Rusi, były uważane nie jako coś co się należy, lecz jako wspaniałomyślny dar z czeskiej strony. Przy tym jakoś zapomniano o strasznych klęskach głodowych na Rusi, dla likwidacji których organizowano nawet akcje międzynarodowe, zapomniano o niesmacznych aferach przy podziale pomocy dla Rusi, kiedy na biedzie i głodzie jej mieszkańców pasowały spekulanki hieny, zapomniano o niezrealizowanych obcankach, o ucisku itd.

Problem Rusi Podkarpackiej został rozwiązany na gruncie międzypaństwowych czechosłowacko-radzieckich rozmów, przy czym decydujące znaczenie posiadało stanowisko ludności Rusi.

Kwestia rozwiązania problemów narodowościowych, sprawy granic itp. poprzez umowy międzypaństwowe była w tym czasie aktualna i w innych wypadkach (na przykład ustalenie granicy między ZSRR i Polską). Plebiscytów, zdyskredytowanych w przeszłości, nie stosowano. Chodziło między innymi o wyeliminowanie agitacji, która w czasie plebiscytów jątrzyła dawniej spory narodowościowe, prowadzące w efekcie do sporów międzypaństwowych, a obecnie potrzebna była jedność naszych krajów wobec ewentualnych obstrukcji sojuszników zachodnich.

Nowe granice opierały się przy tym o istniejące już dawniej albo dawniej proponowane (linia Curzona w Polsce, granice między Słowacją i Rusią Podkarpacką u nas), z uwzględnieniem drobnych poprawek. Granice te nie odpowiadały dokładnie granicom narodowościowych. To był poważny niedostatek, który łagodziła możliwość wzajemnej wymiany mieszkańców. Ich korzystną cechą było to, że były nieskomplikowane, że nie wymagały przewlekłych konsultacji, jako w wypadku dokładnego ustalenia granic etnicznych (o ile w ogóle istniały), które by prowadziły do sporów.

Celem takiego ustalenia nowych granic była likwidacja ewentualnych źródeł sporów między państwami. Możliwość wzajemnej wymiany mieszkańców miała na celu zlikwidowanie w miarę możliwości mniejszości narodowych (szczególnie na pograniczach), które w przeszłości były tylekroć obiektem sporów. Każde państwo chciało mieć jak najbardziej narodowy charakter, bez mniejszości. Po zmianach granic, po wymianie mieszkańców uważano, że stosunek do resztek mniejszości jest już sprawą tego państwa, na terenie którego się znajdowały. Poprzez wzajemne umowy dystansowały się państwa, przynajmniej oficjalnie, od pozostałych mniejszości swego narodu w drugim państwie.

Uważam, że tendencję tę można zrozumieć — w roku 1945 po trudnych doświadczeniach sporów narodowościowych w przeszłości — aczkolwiek nie ma powodu, podobnie jak wynikłej z niej polityki, zbytnio idealizować. Tendencje zmierzające w miarę możliwości do jednoznacznego rozgraniczenia oznaczały pewien krok wstecz — przecież współczesny rozwój powoduje i będzie powodował stale wzrastającą migrację ludności.

Ustalone po wojnie granice, wymiana mieszkańców, przesiedlanie itp. nie mogły zlikwidować mniejszości narodowych całkowicie — niektórzy ludzie byli do tego stopnia zyci z krajem, w którym mieszkali, że pozostali w narodowościowo innym państwie. Duże znaczenie miała tutaj stopa życiowa, sprawy majątko-

we, poglądy polityczne, religia itd., które wzięły górę nad uświadomieniem narodowym, czemu nie należy się dziwić (słabą stroną każdego plebiscytu jest bowiem to, że zmusza ludzi do decyzji na podstawie pewnej zasady, której nie uważają za najważniejszą).

Państwa nie były zobowiązane wzajemnymi umowami wobec mniejszości narodowych. Tym niemniej ludowo-demokratyczne, a później socjalistyczne państwa nie mogą — we własnym interesie — prowadzić ucisku narodowościowego. Głęboko prawdziwe jest powiedzenie Marksa: „Nie może być wolny naród, który uciska inne narody.” Tak więc, stopniowo, szczególnie po zwycięstwach sił ludowych w latach 1947—48 w krajach ludowo-demokratycznych, równoległe z nabywaniem nowych doświadczeń, dochodziło do oficjalnego uznania faktycznego stanu, to jest istnienia mniejszości narodowych (aczkolwiek, jak np. u nas, uważano termin mniejszość za niewłaściwy, ponieważ nasuwał skojarzenia z dawniejszymi mniejszościami). Szczególnie tam, gdzie nie groziło to komplikacjami, jako w wypadku kwestii niemieckiej w CSR, dochodziło do normalizacji i państwa przyznawały, wzgl. rozszerzały prawa swych mniejszości. Uważam, że dalszy rozwój socjalistyczny w naszych krajach pójdzie w tym kierunku jeszcze dalej niż dotychczas, zwłaszcza jeśli będzie ku temu korzystny układ stosunków międzynarodowych.

KAREL POMAIZL



W dniach od 14—21 sierpnia odbywał się w Wiśle kolejny Tydzień Kultury Beskidzkiej. Ten piękny festiwal, poszerzony w roku bieżącym o szereg imprez, organizowanych równocześnie w Szczyrku, na którym wystąpiły najlepsze zespoły śląskie (szczególnie góralskie), oraz zagraniczne — m. in. obok francuskiego i rumuńskiego, również nasz „Gorol”, był wspaniałym przeglądem bogatego dorobku kulturalnego polskiej części naszych Beskidów. Finałem Tygodnia były urządzone w niedzielę 21.8.br. tradycyjne dożynki. Na zdjęciu T. Kopoczka prezentujemy maszerującą w wielokilometrowym barwnym pochodzie dożynkowym orkiestrę Walenty Wawel.



K i jego wojaże

Na jednej ze ścian wspaniałego zamku w Koszęcinie, w którym rezyduje zespół pieśni i tańca „Śląsk“, wisi przegląd dotychczasowych wyjazdów zagranicznych „Śląska“ — 29 krajów — 10,000.000 słuchaczy. Do krajów tych należą już takie, jak Związek Radziecki, Anglia (dwukrotnie), Francja, Włochy, Jugosławia, Niemcy demokratyczne, z poza europejskich Stany Zjednoczone, Meksyk, Algier, Egipt oraz Chiny, Mongolia. Obecnie przygotowuje się „Śląsk“ na wyjazd do Palestyny.

Te wyjazdy są dla członków zespołu wielką atrakcją i niejedna już łezka popłynęła, kiedy z powodu ograniczonej liczby wykonawców, ktoś odpadnie. Ale dyrektor Hadyna dba o to, aby sprawiedliwości stało się zadość. Wojaże pozwalają nie tylko poznać nowe kraje, nowe miasta, nowych ludzi, nowe zwyczaje, ale zetknąć się także z różnorodną publiką. W Algierii, gdzie kobieta chodzi osłonięta welonem na twarzy i jest ubrana w obfite suknie, nie wszystkie punkty taneczne znajdowały poklask, owszem wywoływały nawet pewne uczucia, które z angielską nazywamy „shocking“. A więc „Śląsk“ musi się dostosowywać do upodobań różnych rodzajów widzów i słuchaczy, żeby zdobyć ich mimo czasem zupełnie odmiennych smaków i gustów.

Zapewnione powodzenie mają piosenki

danego kraju, wykonywane na bis. I choć obecny program pod względem oddziaływania na widza, porywania go, oszałamiania, olśniewania świeżością pomysłów, barwnością i nowością widowiska doprowadzony jest do perfekcji, to jednak nie uzyskuje on nigdy takiego powodzenia, jak piosenka bliska sercu słuchacza, wykonywana bardzo często w jego języku.

I tak w Chinach brała publiczność najwięcej piosenka ludowa z Chin, dostarczona przez ambasadę chińską, śpiewana przez chór żeński „Śląska“ na sposób chiński. Przypadek chciał, że przed wyjazdem do Chin, bawił w Polsce zespół ludowy chiński i odwiedził także Koszęcin. Śpiewaczki „Śląska“ poprosiły swoich egzotycznych gości o zaśpiewanie właśnie tej przygotowywanej pieśni, a następnie spróbowały naśladować ten nosowy, płaski sposób śpiewania. Wynik był tak frapujący, że minister oświaty w Pekinie, będący na koncercie „Śląska“ oświadczył, iż wystarczy zamknąć oczy, by mieć wrażenie, że śpiewa zespół śpiewaczek z Chin, a nie z Polski.

Właśnie te pieśni znane słuchaczom, wykonane przez wysoko pod względem wokalnym postawiony chór, w doskonałym opracowaniu, wywołuje szal u publiczności. Wykonywany program jest przeważnie czymś obcym dla widzów

i słuchaczy — pieśni w nieznanym języku, słyszane po raz pierwszy, tańce o odmiennym temperamencie. A jednak dzięki żywiołowemu tempu produkcji i szaleńczemu stopniowaniu wrażeń, program „Śląska“ w końcu mniej lub więcej porywa obcą publiczność. Można sobie wyobrazić co dopiero się dzieje, gdy po wykonaniu fascynującego widowiska odezwą się dźwięki rodzimej pieśni. Toteż punkty kulminacyjne występów „Śląska“ spoczywają często właśnie w tych na bis podanych perełkach folklorystycznych. I tego bardzo już bogatego programu „Śląska“, złożonego z aktualnych pieśni wszystkich krajów, w których „Śląsk“ koncertował, my nigdy nie usłyszymy w takich warunkach, w jakich on był wykonany za granicą. U nas tym pieśniom brak zresztą tego rezonansu, jaki mają w kraju, z którego pochodzą.

Kilkanaście dni temu przygotowywałem z chórem „Śląska“ takie pieśni do Izraela, dwie w żargonie (jidisz), dwie w języku hebrajskim. Pierwsza z nich to pozdrowienie „Szalom aleikum“ (pokój wam), pieśń o lekkiej, powiewnej melodyce, której dźwięki zawsze śpiewaków „Śląska“ wprawiały w trans. Dalsze dwie pieśni pochodzą spod pióra ludowego piosenkarza żydowskiego, nazwiskiem Gebirtig, stolarza z zawodu, obdarzonego wyjątkową inwencją melodyczną. Napisał około sto pieśni. Jedna z nich „S'brent“ — „pali się“ została napisana pod wrażeniem palenia się ghett. „Pali się, nasze domy zamieniają się w popiół i gruz. Cóż stoicie z założonymi rękami? Ratujcie, gaście, choćby własną krwią“. Pieśń przerażająca, o rzadko spotykanym dramatyzmie. Cudem prze-



Foto Wł. Wojnar.

mycono ją z ghetta, podczas gdy kompozytor tam właśnie zginął. W końcu znana od dawna piosenka tegoż kompozytora „Stetele Bełz” (miasteczko Bełz) zaprawiona łezką, napisana na solo tenorowe oraz czterogłosowy chór żeński. Wyobrażam sobie entuzjazm tłumów, szczególnie tych z Polski, kiedy usłyszą te ogniem zaprawione piosenki.

Z wyjazdów zagranicznych członkowie zespołu nie wracają z pustymi rękoma. Nie licząc darów, przywożą różne ciekawostki i ozdabiają nimi swoje mieszkania. Zespół bowiem posiada już jeden blok mieszkalny, a drugi się buduje. Kiedy wchodzimy do poszczególnych gościnnych mieszkań, mamy wrażenie, że znajdujemy się w jakimś muzeum. Figurki bożków, egzotyczne zastawy (np. z bambusu), chińskie instrumenty muzyczne, greckie dzbany, egipskie serwety, meksykańskie materie itp. Jeden ze śpiewaków ma kolekcję pestek chińskich artystycznie wyrzeźbionych. Na jednej z nich, wielkości pestki brzoskwini, wyrzeźbił cierpliwy artysta ludowy w żmudnej i podziwu godnej pracy 36 postaci, tak miniaturowych, że trzeba je oglądać przez lupę, ale tak pięknie wyczyszczonych, że są dziełami sztuki swoistego rodzaju.

W mieszkaniach tych widać także wyrastające drugie wydanie „Śląska”, bo większość członków zespołu posiada już swoje rodziny. Składają się one w większości z członków zespołu, którzy pobrali się między sobą, tancerze ze śpiewaczkami, śpiewacy z tancerkami, śpiewacy ze śpiewaczkami itd. Kiedy słońce zaświeci, plac zamkowy roi się od dzie-

ci. W czasie wyjazdów zagranicznych ci milusińcy lądują przeważnie u dziadków. Po powrocie rodziców otrzymują także różne egzotyczne zabawki z dalekich krajów.

Zapewne w najbliższych miesiącach zostaną mieszkania w Koszęcinie wzbogacone o nowe pamiątki, przywiezione

z ziemi świętej, bo zespół ma koncerty w Tel-Awivie, Hajfie, Jerozolimie, nawet w dalekiej Berszebie, stolicy pustynnego, a obecnie nawadnianego Negewu, oraz w dwóch kibucach, komunistycznych osiedlach rolniczych.

KAROL HŁAWICZKA

Z okazji 20-lecia Związku ogłasza Zarząd Gł. PZKO w Cz. Cieszynie

KONKURS NA PRACE PLASTYCZNE

Warunki konkursu:

1. W konkursie może wziąć udział każdy członek PZKO.

2. Oceniane będą prace wykonane we wszystkich technikach plastycznych (malarstwo, rzeźba, grafika).

3. Będą uwzględniane prace wyłącznie nowe, które nie były dotychczas wystawiane i nagradzane.

4. Termin składania prac do konkursu upływa z dniem 31.5.1967. Prace należy składać w sekretariacie ZG PZKO w Cz. Cieszynie, ul. Lenina 28.

5. Oceny uczestniczących w kon-

kursie prac dokona powołane przez ZG PZKO jury konkursu, złożone z czeskich i polskich plastyków.

6. Nagrody:

Pierwsza — Kęs 2.000.—

Dwie drugie à Kęs 1.500.—

Trzy trzecie à Kęs 1.000.—

Cztery wyróżnienia à Kęs 500.—

Dla jury konkursu zastrzegamy prawo innego podziału nagród w zależności od poziomu i charakteru nadesłanych prac.

7. Z prac złożonych do konkursu zostanie dokonany wybór na wystawę jubileuszową ZG PZKO — SLA.

JÓZEF BADURA (1903—1943)

Cały splot okoliczności złożył się na fakt, że klasowy ruch robotniczy na naszym terenie w okresie międzywojennym mógł tylko w części liczyć na aktywny współudział w jego szeregach rodzimej inteligencji. Spośród wchodzących tu pod uwagę działaczy jedno z przodujących miejsc zajmuje postać syna koksiarza karwińskiego, profesora gimnazjum orłowskiego Józefa Badury, przedwcześnie i tragicznie zmarłego w latach okupacji.

J. Badura urodził się 7 lutego 1903 w Karwinie w rodzinie samouka i działacza robotniczego. Po ukończeniu szkoły ludowej „Na Granicach” uczęszczał w latach 1913—1921 do Polskiego Gimnazjum Realnego w Orłowej; tamteż złożył egzamin dojrzałości. Jesienią 1921 rozpoczął studia wyższe na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie; w r. 1923 przeniósł się na Uniwersytet Karola w Pradze, gdzie w r. 1925 zyskał dyplom profesora gimnazjalnego historii oraz geografii. Po odbyciu służby wojskowej podjął we wrześniu 1926 pracę zawodową w zakładzie orłowskim; na stanowisku profesora pozostał do wybuchu drugiej wojny światowej. Począwszy od września 1935 do września 1938 Badura pełnił również obowiązki nauczyciela pomocniczego w polskich paralełkach Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Ostrawie Śląskiej.

Idąc śladem ojca, brał J. Badura od wczesnej młodości czynny udział w pracy organizacyjnej klasowych towarzystw proletariackich: robotniczego stowarzyszenia kulturalno-oświatowego „Siła” w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim oraz w PPSD-Śląska. Po upadku Austrii wstąpił jako ochotnik do tworzącego się wojska polskiego. W czasie studiów uniwersyteckich w Krakowie należał do Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej oraz do Polskiej Partii Socjalistycznej.

Z chwilą podjęcia pracy zawodowej Badura rozpoczął ożywioną działalność w ruchu socjalistycznym czechosłowackiej części Śląska Cieszyńskiego, wysuwając się w nim stopniowo na czoło. Wybrany na VIII Zjeździe Polskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej w Czechosłowacji (PSPR) w kwietniu 1927 w skład Zarządu Głównego, objął w marcu 1929 funkcję sekretarza Komitetu Wykonawczego, kilkusobowej komórki kierowniczej PSPR; czynności sekretarza KW pełnił bez przerwy do końca października 1938, kiedy to PSPR przekształcona została w Okręgowy Komitet Robotniczy PPS w Karwinie. Po usunięciu się w połowie lat 30-tych Emanuela Chobota ze stanowiska przewodniczącego Komitetu Wykonawczego, został Badura faktycznym przywódcą PSPR.

W kierownictwie partyjnym należał Badura do najbardziej konsekwentnych przeciwników szowinistycznej polityki Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie pogłębiania antagonizmów polsko-czeskich, zainicjowanej w związku z nowym kursem (od r. 1934) polityki J. Becka przez konsułów L. Malhomme'a oraz A. Klotza. Walcząc zdecydowanie z uciskiem narodowym nacjonalistów czeskich o pełne równouprawnienie ludności polskiej, odciął się Badura stanowczo od jakiegokolwiek irredenty politycznej, jak również od wszelkich podejmowanych przez warszawskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych oraz Światowy Związek Polaków z Zagranicy wysiłków w kierunku zgłajchsztaltowania całego życia społecznego mniejszości polskiej w CSR w duchu polityki oraz ideologii sanacji, a później Ozonu. Do kolejnych wyborów w maju 1935 do Zgromadzenia Narodowego w Pradze PSPR stanęła wspólnie z socjal-demokracją czechosłowacką, odrzucając ewentualność połączenia się z resztą stronnictw polskich w Czechosłowacji, które wraz z opozycyjną partią ludową A. Hlínki utworzyły Blok Autonomiczny. Kandydatem PSPR na wspólnej czesko-polskiej socjal-demokratycznej liście wyborczej w ostrawskim okręgu wyborczym został właśnie J. Badura.

Linia polityczna PSPR naraziła Badurę na ostrą, nie przebieającą w środkach kampanię, zniesławiającą go jako renegeata sprawy narodowej, frymarzącego jakoby ze względów doktrynalnych interesami polskości; nie brakowało nawet w stosunku do osoby Badury wyraźnych szykan do próby zwolnienia go w wrześniu 1935 z stanowiska profesora prywatnego gimnazjum orłowskiego. Reprezentowanej przez Badurę polityce ścisłej współpracy z pozostałymi partiami socjalistycznymi republiki najbardziej skuteczny cios zadała jednakże sama socjal-demokracja czeska. Pod naciskiem miejscowych elementów szowinistycznych zdecydowała ona wszelkie podjęte przez PSPR wysiłki w kierunku utrzymania jednności działania i wspólnej linii politycznej; mimo solennego przyrzeczenia, Badura mandatu poselskiego w drugim skrutynium wyborczym nie otrzymał. Powyższy obrót rzeczy grożący PSPR pełną izolacją, skłonił jej nowe kierownictwo (po XII Zjeździe partyjnym w grudniu 1935 w Trzyńcu) na czele z Badurą do zbliżenia się do pozostałych ugrupowań politycznych, pozostających pod wyraźnym wpływem Konsulatu w Ostrawie. Przejawem nowej taktyki PSPR było utworzenie z jej inicjatywy w marcu 1937 r. Komitetu Porozumiewawczego Stronnictw Polskich w Czechosłowacji.

Drugim najważniejszym odcinkiem aktywności publicznej J. Badury był socja-



JÓZEF BADURA

listyczny ruch młodzieżowy w CSR. W r. 1926 Badura stanął na czele Polskiego Stowarzyszenia Robotniczego Oświatowo-Gimnastycznego „Siła” w Czechosłowacji jako przewodniczący Zarządu Głównego. Odtąd też Badura kierował całokształtem działalności tej organizacji do momentu jej połączenia jesienią 1938 r. z „Siłą” byłej polskiej części ziemi cieszyńskiej. Na Zjeździe Zjednoczeniowym w marcu 1939 w Stonawie wybrano Badurę przewodniczącym „Siły Śląska Cieszyńskiego”. Z ramienia „Siły” wszedł Badura w r. 1928 do Komitetu Wykonawczego Socjalistycznej Międzynarodówki Młodzieżowej z siedzibą sekretariatu w Berlinie. W tym charakterze wziął udział w jej kongresach międzynarodowych w Wiedniu w lipcu 1929 oraz w Pradze w październiku 1932.

Będąc gorącym zwolennikiem zacieśniania stosunków polsko-czechosłowackich, uczestniczył Badura w pracach Klubu Polsko-Czeskiego w Ostrawie; w kwietniu 1934 wszedł do jego zarządu. W grudniu 1938 wybrano Badurę do powołanego do życia, po przyłączeniu Zaolzia do Polski, Zarządu Obwodu Cieszyńsko-Frysztackiego Polskiego Związku Zachodniego.

W wrześniu 1939 J. Badura opuścił teren Śląska Cieszyńskiego; po powrocie z „ucieczki” zamieszkał, ukrywając się przez pewien czas, w Łowiczu oraz w Warszawie. Z kolei przeniósł się do Krakowa, gdzie podjął pracę w „Społem”. Aresztowany w wrześniu 1942, osadzony został w więzieniu na Montelupich. Zginął w nieznanych bliżej okolicznościach w marcu 1943; według jednej wersji rozstrzelano go w więzieniu, według innej zmarł z wycieńczenia (na tyfus — ?) w obozie w Oświęcimiu.

Doc. dr JÓZEF CHLEBOWCZYK

Nad drugim tomikiem Wł. Sikory

Reakcja na ogłaszane od kilku lat w polskiej prasie, ukazującej się w Czechosłowacji, utwory Wł. Sikory nie jest jednolita. Młody poeta zyskał sobie bez wątpienia grono czytelników, odnoszących się do jego wierszy z szczerą sympatią, rozumiejących jego wysiłki literackie, lub nawet akceptujących jego założenia artystyczne. O wiele liczniejszy, przynajmniej to szczerze, jest jednak zastęp tych, którzy reagują na jego twórczość z rezerwą, wyrażając ją nie rzadko w protestach, z których kilka nawet przedostało się na łamy „Głosu Ludu” czy „Zwrotu”. Sikorze zarzuca się najczęściej niekomunikatywność, uleganie współczesnym modom literackim, a zatem przede wszystkim rozmijanie się z czytelnikiem. Nie zajmując w tym sporze stanowiska, stwierdzić trzeba, że już dotychczasowy dorobek twórczy poety (liryka, opowiadania, publicystyka, reportaże) stał się przedmiotem dyskusji i sam ten fakt uznać można za sukces Sikory.

Dyskusję spowoduje z pewnością także wydany ostatnio jego drugi tomik poe-



tycki pt. „Lato”. Trzy poematy, w tym także wyróżniony drugą nagrodą w ostatnim konkursie literackim PZKO poemat „Drzewa”, jakie składają się na tę szczupłą objętościowo książeczkę, nie spowodowałyby w Polsce zdziwienia. „Lato” stanęłoby — i dzięki umowie z Ars Poloną stanie — w bibliotekach miłośników poezji obok innych tomików młodych poetów polskich, spokrewnionych z Wł. Sikorą. Inaczej natomiast wygląda recepcja jego poezji w rodzimym środowisku polskim w Czechosłowacji. Sprawia to inność postawy literackiej Sikory w stosunku do tradycji kulturalnej regionu cieszyńskiego. Twórczość jego różni się bowiem zarówno od nurtu ludowego piśmiennictwa śląskiego,

jak również od utworów tych, którzy, jak np. Paweł Kubisz czy Henryk Jasiček, wzniesli się wyżej i mogą liczyć na czytelników nie tylko w ciasnych granicach regionu.

Sikora w swych trzech poematach także czerpie motywy z doznań, jakich dostarcza mu obcowanie z otaczającym go światem. Mówi o przyrodzie, lecie na wsi, drzewach, o bliskim mu domu, mówi więc o sprawach powszechnie znanych, a jednak mówi inaczej, niż czytelnik jest przyzwyczajony. Inność ta zasada się przede wszystkim na wyeliminowaniu zaangażowania emocjonalnego na rzecz chłodnego, wyrozumowanego stosunku człowieka do przyrody. Fakt ten powoduje, że wiersze Sikory trzeba przemyśleć, są one propozycją do rozważań. Nie ulega wątpliwości, że autor pod tym względem nie przychodzi czytelnikowi z pomocą.

Trzy poemaciki czytałem kilka razy i szczerze wyznaję, że nie każdy ich fragment zrozumiałem, że nie zawsze zdołałem uchwycić intencję autora. Są jednak części, które przy wysiłku wyobraźni zadawałają swym niejednokrotnie odkrywczym spojrzeniem na świat i życie. Musi jednak być spełniony jeden warunek. Czytelnik nie śmie być uprzedzony, musi chcieć iść za poetą, musi z siebie dać wysiłek umysłowy. Nie są więc utwory Sikory przeznaczone dla tych, którzy przyzwyczajeni do tradycyjnych wzorów szukają w poezji oddziaływania na uczucie i formy melodyjnej, rytmicznej, łatwo wpadającej w ucho.

Ogłoszone w „Lecie” poemaciki nie są z pewnością skończonymi arcydziełami. Są to prace wyrażające poszukiwania ostatecznego kształtu artystycznego coraz bardziej krzepnącego w swym dojrzewaniu artystycznym poety. W stosunku do „Progu” poeta przeszedł bez wątpienia okres doskonalenia swego warsztatu pisarskiego. Często szokuje on czytelnika odkrywczymi, oryginalnymi skojarzeniami, ładne i trafne są niektóre metafory, często wiersz jego staje się w swej konkretności aż namacalny.

*Zakratowane chałupy,
Ploty w chaszczach,
Czarne ogrody
Pelargonie prywatne,
Lipy, jabłonie, czereśnie,
Parkany, cebula, celer.
Pasioneek nie zarasta.
Samochody skręcają za szkołę i parafę w świat.
Krowy deptają poranek.*

Autor poszerzył też krąg swych obserwacji. Poematy „Lato” i „Drzewa” przynoszą obrazy przyrody, nieraz piękne w swej prostocie. Niechętnie tylko operując epitetami, autor nie opisuje, nie ma-

luje, nie stara się nawet wytworzyć nastroju. Uchwytuje jedynie same konkrety, suche niejednokrotnie fakty. Urastają one często do uogólnienia. Tylko jakieś jedno słowo, jedna nazwa pozwalają skojarzyć wiersz z śląskim, beskidzkim krajobrazem.

Poeta szuka też znamion zmian, jakie zachodzą wokół niego. Stara się, w skrótovej, lapidarnej wizji poetyckiej ukazać przekształcenia, przeobrażenia, przemiany.

*Oddajemy brzegi Młynki
Miarom ścisłym
Pionu, poziomów ze szkła.*

Oddajemy za siebie nikomu
Wiatr za przyzby
Wchodźmy po schodach, gdzie nikt
nie mieszka.*

Pragnie też wyznaczyć w obrazie dzisiejszego dnia miejsce dla człowieka i dochodzi do takiego wniosku:

*Jesteśmy sami
Przychodzi i odchodzi
Ziemia po deszczu.
Sąsiedzi słuchają ścian wielosłowych
Układamy na parapecie ich oczy
Nie ma znajomych człowieka w tych
stronach.*

Nie każda myśl poety jest jednak dostatecznie pogłębiona, nie każda konsekwentnie doprowadzona do końca. Nieraz pozostaje tylko igraszka słowna. Sikora ma zresztą skłonności do tworzenia neologizmów i do wydobywania ze słowa lub zespołu słów nowego znaczenia. Idzie jednak niekiedy w tym kierunku za daleko. Powstają wtedy twory sztuczne, niezrozumiałe, udziwnione. Jest to niebezpieczeństwo, które czyha na wielu młodych twórców. Musi się go też wystrzegać Sikora. Dążenie do maksymalnej prostoty może być dobrym drogowskazem, tym bardziej, że udowodnił on w omawianym tomiku, że umie też iść tą drogą, chociaż nieraz z niej zbacza.

W sumie poematy Wł. Sikory wnoszą do krajobrazu polskiej literatury na Śląsku Cieszyńskim akcenty nowe, nie zawsze z pewnością uwieńczone sukcesem próby wypowiedziania siebie w sposób właściwy młodej generacji poetów. Są one chyba również zapowiedzią dalszej ewolucji pisarza. Wreszcie należy podkreślić, że z zawartością tomiku świetnie harmonizuje układ graficzny całości, za co należy się słowa uznania i wdzięczności Svatoslavowi Böhmowi. Jest to pięknie wydana książka.

„Lato” Władysława Sikory można przeczytać w ciągu kilku minut, może ono jednak też dać — mimo wspomnianych zastrzeżeń — podstawę do wielu dłuższych refleksji.

EDMUND ROSNER

ROK JUBILEUSZOWY

Rozpoczęcie sezonu pracy związkowej po okresie wakacyjnym, którego wyrazem jest corocznie Miesiąc Oświaty, Książki i Prasy, ma w tym roku szczególny charakter. Rozpoczynamy bowiem rok jubileuszowy 20-lecia PZKO. Poniżej informujemy o najbliższych imprezach, przygotowanych z tej okazji, a w następnych numerach powrócimy do spraw jubileuszowych w poważniejszych opracowaniach.

OGNISKA POKOJU

Rok jubileuszowy zostanie zainaugurowany równocześnie we wszystkich Kółach 1 października br. o godz. 18 przez urządzenie ogniska. Na wszystkie imprezy wyjadą przedstawiciele ZG z okazynym przemówieniem — gawędą. W programie wystąpią zespoły Kół.

Oprócz uroczystego wstępu do obchodów 20-lecia, będą ogniska okazji do zamianowania naszego sprzeciwu wobec barbarzyńskiej agresji amerykańskiej w Wietnamie.

„SALAŚNICY“ W CZ. CIESZYNIE

Centralną imprezą na zagajenie roku jubileuszowego PZKO będzie wystawienie opery ludowej Jana Sztwiertni w sali teatru w Cz. Cieszynie. Operę wystawią 9.10. br. połączone Zespoły Ziemi Cieszyńskiej i Państwowej Szkoły Muzycznej w Cieszynie.

Opracowanie tego dzieła wybitnego kompozytora śląskiego przez jego przyjaciela Jerzego Drozda i wystawienie opery przez skompletowany przez niego zespół, było przed rokiem niewątpliwie dużym wydarzeniem kulturalnym Cieszyna i dobrze się stało, że Zarząd Główny PZKO zorganizował występ ambitnego zespołu również na naszym terenie.

NARADY OBWODOWE

W dniach od 6 do 9 bm. odbyły się we wszystkich obwodach narady przedstawicieli Kół PZKO, na których w obecności przedstawicieli ZG omawiano rozpoczęcie uroczystości jubileuszowych z okazji 20 rocznicy założenia PZKO. Zarządy Kół przygotowują plany obchodów, które potrwają do końca przyszłego roku. Na naradach przeprowadzono kontrolę realizacji zobowiązań Kół podjętych z okazji XIII Zjazdu KPC oraz omówiono szereg spraw organizacyjnych.

KONKURS GABLOTEK

Z okazji rozpoczęcia roku jubileuszowego 20-lecia PZKO, ogłosił Zarząd Gł. konkurs na dekorację gablotek Kół, dostosowaną tematycznie do tegorocznego Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy.

Konkurs odbędzie się w terminie od 1. do 30.10.1966.

Kiedy, bodajże w maju, przeczytałem w „Zwrocie“ artykuł Wł. Sikory o SLA bez przykazań, długo zastanawiałem się o co autorowi chodzi. O czym my, czytelnicy, mamy dyskutować? O sprawach twórczych? Czy kogoś interesuje, w jakiej temperaturze piecze się chleb i w jakiej piekarni, interesuje nas po prostu jakość chleba.

W twórczości (o ile mi wiadomo) liczy się tylko jakość. To, co nie ma odpowiedniej jakości, stoi poza marginesem twórczości, jest brakoróbstwem.

Jestem chyba kilka lat starszy od Wł. Sikory, od lat interesuję się wszystkimi przejawami twórczości kulturalnej na naszym terenie. Bardzo dużo czytam i być może, mam jakieś rozeznanie w współczesnej literaturze. Nie interesują mnie małostkowe spory krytyków. Dobieram sobie książki jak przyjaciół. Nie z każdym o wszystkim można porozmawiać.

Przyznam się, że byłem ciekaw, czy ktoś zareaguje na artykuł Sikory. Milczenie. Jakże wymowne! Bo o czym tu dyskutować? Że w Cz. Cieszynie jest SLA, a w Trzyńcu grupa? I co z tego? Gdzie wyniki, gdzie osiągnięcia? Jak długo można być początkującym autorem? Pięć, dziesięć, dwadzieścia lat?

Sikora, o którego szczerych intencjach nie wątpię, a który — tak mi się wydaje — zbyt pochopnie uogólnia i usprawiedliwia, skarży się, że naszym środowiskiem twórczym mało kto się interesuje w kręgach krytyków polskich i czeskich.

Jestem innego zdania. To, co na uwagę zasługuje, zawsze znajdzie oddźwięk tam, gdzie trzeba. Zauważono w Polsce w okresie jego pozytywnej twórczości Pawła Kubisza, twórczością Henryka Jasicką zainteresował się nie tyle kto, bo sam Jarosław Iwaszkiewicz, Gustaw Przeczek, o ile wiem, uzyskał w Polsce jakieś wyróżnienia, zainteresowania ludoznawcze Ondrusza spotkały się z uznaniem fachowców polskich, wspominano niejednemu raz Wawrosza i Sikorę. A że mało piszą o twórcach amatorach, trudno, jakieś proporcje wartości muszą być.

Trochę mnie smuci inna sprawa. Od dłuższego czasu w naszej prasie tereno-wej pojawiają się różne rozważania, w których przeważa nuta pretensji pod adresem nas, czytelników. Że nie nadążamy, że skazujemy twórców „na załatwianie potrzeb drugorzędnych“ (!), że jesteśmy nieukami, bo nie doceniamy płów naszych twórców itp. Nie generalizujemy, ale Sikora dobrze wie, że jesteśmy społeczeństwem najbardziej odczytanym w świecie, że w naszych księgarniach kupują nie tylko „Przyjaciółkę“, ale i Faulknera czy Kafkę i że mamy sporo czytelników o szerokich horyzontach, którym skromność i poczucie wagi słowa nie pozwalają na beztroskie zabieganie o druk. Że nie dyskutują o naszej

rodzimej twórczości? O czym?! Przecież najcelniejsze spostrzeżenie Sikory, jakie znalazłem w jego artykule to stwierdzenie, że „brak nam wyraźnych dowodów twórczych“. Otóż to, w tym jest sedno rzeczy.

Dajcie nam dowodów! Dobrych wierszy, powieści, reportaży, dobrej publicystyki. Przestańcie pisać zawile, mętnie i na czczo. Przeczytajcie coś przed pisanem, porozmawiajcie z ludźmi w terenie, nie wymyślajcie problemów, tylko dostrzegajcie te, które aż się proszą o pióro.

Nie odpowiadają mi wszystkie wiersze Jasicki, mam inny sposób odczuwania, temperament, ale cenię go wysoko za jego postawę społeczną, za umiejętność pogodzenia obowiązków społecznika z powołaniem twórcy. Takie jego wiersze jak Grudka ziemi, Czyste ręce, Nasz Śląsk, List do Hansa Kuschke potrzebne są nam jak sól.

Niepokoje mnie również sformułowanie Sikory trącające separatyzmem i prowincjonalizmem: „Czujemy się odpowiedzialni wobec społeczeństwa, którego model kulturalny, intelektualny czy upodobania nie odpowiadają stosunkom ośrodków umysłowych polskich i czeskich.“

Do jakich ośrodków kulturalnych należy wobec tego zaliczyć Mickiewicza, Żeromskiego, Hemingwaya, Capkę, Malapartego, Mniačkę, których książki ma w swej bibliotece mój sąsiad, sztygar z zawodu?

Czy próby wyodrębiania tego społeczeństwa nie wyrastają z chęci tworzenia odrębnego systemu ocen, taryf ulgowych, coś w rodzaju: słabe to, nijakie, ale nasze! Zresztą przyznaje to sam Sikora: „Musimy pogodzić się ze zdaniem — i tu cytuję W. Nawrockiego. — Jednym bowiem z głównych niebezpieczeństw, jakie grożą powstającej tam literaturze, jest zamknięcie się w opłotkach ciasno pojętego regionalizmu i czynienia z układu narodowego i językowej odrębności punktu wyjścia dla stworzenia systemu ulgowych ocen estetycznych, rozgrzeszających nieudolności artystyczne i brak szerszych ambicji intelektualnych.“

Regionalizm nie jest przeszkodą, ale jego treść musi być podana w szacie artystycznej. Do tego trzeba talentu i pracy. A geniusze, jak zauważa słusznie Sikora, nie rodzą się na kamieniu.

Nikt nie chce jeść chleba z zakalcem, dlatego mamy karmić się zakalcowatą „literaturą“. Kiedy czytam naszych autorów, ręce mi czasem opadają, ile to rozgadania, pustosłowia, puszenia się na jakiś podpatrzony intelektualizm, za którym kryje się mimo wszystko ubóstwo myśli. Wybaczamy naszym piszącym potknięcia językowe, stylistyczne, ale drażni nas lekceważący stosunek do naszego rozsądku, smaku i doświadczenia.

Jesteśmy życzliwi waszym poczynaniom.

niom, wyrozumieli, wiedząc w jakich warunkach tworzyć, ale nie nadużywajcie tych trudności, nie róbcie z nich szafka, za którym kryje się beztalencie, nieudolność i miernota.

Nie zapominajcie słów Norwida:
*Ponad mnogie wasze uroki
Ty, Poezjo, i ty, Wymowo!
Pozostanie jeden — wysoki:
Odpowiednie rzeczy dać słowo!*

JAN SZYMANIK

GODKI I POGWARKI ♦ GODKI I POGWARKI ♦ GODKI I POGWARKI

Skarb w Kluczkowcu

O Śląsk toczyły się krwawe boje i były dwie wojny prusko-austriackie i jedna sukcesyjna. Hnet w piątej wojnie w roku 1741 wojska Maryi Terezy toczyły krwawe boje z Fryderykiem pruskim. Austriacy przegrywali i w popłochu ustępowali. Dziepro za rok we Wrocławiu nastąpiło podpisanie po-

koju. Po polach i borach pełno było grobów, a kiere ofiary nie były znalezione, wilki pożrały i kości poroznoszały. Wyńczyj jak za sto latów wielki bory wykorzystawali i porobili pola uprawne. Rozto-
mańte dziury i przepadliśka niechali za-
lesione.

W jednym miejscu zwanym Kluczkow-



„Śląsk“ w Jabłonkowie: Toć sakulyntniki pięknie tańczą i śpiewają... Foto. Br. Bielan.

KA·KRONIKA·KRONIKA·KRONI

KONKURS NA NOWĄ OKŁADKĘ „ZWROTU”

Zarząd Główny PZKO i Redakcja „Zwrotu” ogłaszają konkurs na nową okładkę „Zwrotu” na rok 1967 łącznie z nową winietą.

Warunki konkursu:

Chodzi o projekt nowej okładki naszego miesięcznika, który od 1.1.1967 będzie wychodził w poszerzonej objętości 32 stron, plus 4 strony półtwardej okładki, przy równocześnie zmniejszonym formacie z A4 (215 × 305 mm) do B5 (176 × 250 mm). Okładka ma być trzykolorowa. Będzie drukowana osobno — wcześniej niż reszta numeru.

Należy więc zaprojektować pierwszą i ostatnią (ew. też 2 i 35) stronę pierwszego (styczniowego) numeru „Zwrotu” na rok 1967.

Na stronie pierwszej należy uwzględnić:

1. Nazwę pisma („Zwrot”) wraz z danymi „Miesięcznik kulturalno-społeczny, rok 18, nr (206) 1, Czeski Cieszyń, styczeń 1967”.

Układ winiety jest dowolny (może być pionowo albo poziomo, względnie na górze czy na dole strony — winieta będzie stała).

2. Fakt, że chodzi o pierwszy numer udoskonalonego pisma, wydawanego przez PZKO. Może być zdjęcie, fotomontaż, albo tylko grafika czy też ciekawie wykonana sama winieta, można wziąć pod uwagę porę roku itp. itp.

Projekt należy wykonać w trzech kolorach.

Termin konkursu upływa 15.10.1966. Konkurs jest anonimowy. Prace opatrzone godłem wraz z kopertą oznaczoną godłem i zawierającą adres autora należy przesyłać na adres Redakcji „Zwrotu”, Cz. Cieszyń, ul. Lenina 28.

Nagrody:

I nagroda 700 Kčs, II — 500 Kčs, III — 300 Kčs.

Jury konkursu zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

Przy zamawianiu okładek na pozostałe miesiące roku 1967 uwzględni redakcja wyniki konkursu.

REDAKCJA „ZWROTU”

WYBITNY JAWORZYŃCZAN W OJCZYSTYCH STRONACH

Duże poruszenie wśród mieszkańców polskiej strony Śląska Cieszyńskiego wywołał przyjazd na wakacje do rodzinnej Jaworzynki Pawła Łyska, profesora uniwersytetu nowojorskiego, wybitnego naukowca i działacza polonijnego w USA.

Prof. Łysek żywo interesuje się również naszymi wydawnictwami, naszą prasą, szczególnie „Zwrotem”, czemu dał wyraz na licznych spotkaniach, m. in. 12.8.1966 w klubie miłośników literatury w Istebnej. Na tym spotkaniu przekazał przez dr J. Mazurka życzenia dla naszej redakcji, w których czytamy:

„Chciałem złożyć serdeczne życzenia z okazji ukazania się 200 numeru tego tak bardzo ciekawego pisma oraz serdeczne pozdrowienia dla redakcji i wszystkich czytelników.”

NOWA SZKOŁA W ŚMIŁOWICACH

Od nowego roku szkolnego uczą się już dzieci obu szkół w Śmiłowicach w nowym budynku, wybudowanym w miejscie spalonej przed kilku laty starej szkoły.

Dzięki staraniom miejscowych władz, ofiarności społeczeństwa oraz zrozumienia czynników powiatowych, powstała szkoła dużo obszerniejsza i nowocześniejsza, niż poprzednio.



KURS TEATRALNY W CIESZYNIE

Na zaproszenie Wydziału Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich w Katowicach uczestniczyli w Centralnym Kursie Instruktorów Teatralnych w Cieszynie (Polska) trzej przedstawiciele PZKO, członkowie Aktywu Teatralnego.

Kurs, trwający trzy tygodnie, obejmował tematy z zakresu żywego słowa, zajęć ruchowo-tanecznych, pracy wokally-muzycznej oraz opracowanie widowiska plenerowego, które było głównym zadaniem kursu. Widowisko pt. „Pieśń powstańczego czynu” w reżyserii, inscenizacji i adaptacji M. Mikuty, według scenariusza B. Lubosza, zostało wystawione w Cieszynie, Niedobczycach i Katowicach. Oprócz tego przygotowali i wystawili uczestnicy kursu w plenerze Zamku Cieszyńskiego dwa obrazy: „Rzecz o Koperniku” oraz „Epitafium” M. Kikuty. Nowy sposób inscenizowania małych form scenicznych w tej właśnie formie spotkał się z dużym zainteresowaniem wykonawców i widza. Opracowano również wieczór poezji Gałczyńskiego, realizowany w kawiarni basztowej na Zamku, gdzie wykonawcy i słuchacze przy stolikach z świecami wsłuchiwali się w wiersze współczesnej poezji. Tego rodzaju formę organizowania podobnych wieczorów można zastosować w naszych zespołach.

Z bogatych doświadczeń pracy teatralnej takich wykładów, jak prof. mgr M. Mikuta, prof. Iłowski, prof. K. Gudel, prof. mgr Nicz — słuchacze, delegowani przez ZG PZKO postarają się skorzystać w miarę możliwości jak najwięcej, by przystosować je do naszych warunków i kontynuować w zespołach PZKO-wskich.

wie straszło. Na urwisku rós dąb chruby a pod nim widowali malutki płomyczek a przy nim syneczka sagigo jyny z przepaską przez biodra bielutką. Ktery tędzy szol, syneczek płakoł i jęczoł i podciepowoł klucz. Każdy uciekoł od strachu aż mu włosy dębym stawały. Nejwięcej tędzy przechodził stary siedłok co to Chmiyl sie zwoł. Porym razy ducha widzioł, ale klucza nie podniósł i uciyk. Roznimóg sie ciężko i mioł ciężki sny. Duch sie mu zjawioł i straszyl, że powiel klucza nie podniesie i tajymnice nie odkryje, zustanie żebroky. Ledwa sie dzierzol na siłach, ale zaszoł pod dąb, duch — synek mu klucze podchyńoł, ón jich podniósł a duch mu rzyk: — „Nieszczęsny człowieku! Czemu to zaraz klucze nie wzięne! My sie tu tropiymy tak długo!... Pomóż nómi!” — A potym sie duch stracił. Chmiyl z pacholym ryli kole dęba i natrefili na moc kości

i starej zbroi a wedle był zielezny kufer. Tym kluczym podciepanym przez ducha doł sie kufer odyknóć. Było w nim chrubo piniyndzy, jaki już w jego czasach nie egzystowały ale wartość miały bo były to strzybnioki i dukoty złote. Była to kasa wojynno zakopano, aby ji Prusocy nie zdobyli. Cosik piniyndzy zostało oddane do powiatu dło księcia, cosik doł na modlynia księdzu za dusze nieboszczyków pomordowanych wojoków. Od tego czasu tam przestało straszyć ale miejsce to do dziśka Kluczkowiec sie nazywo.

To mi opowiadali moja starka a snoci było to za jejich czasów. Dzisiaj jeszcze starucne dęby i sosny szepcóm se tómi tajymnicym w jesynne dni wietrzne. Ktery im rozumi może ich przijść podsłuchać a dowiły sie możne jeszcze więcej co jo od starki.

TEOFIL STOLARZ

ŻYWE TEKSTY, ŻYWE PIĘŚNI

Jako jedyn szwiec musioł ksióńżńcia lyczic

Było tak. Był jedyn szwiec, a mioł babym. No i cosi sie powadzili z tómi babóm. I ta baba takowo mściwo była i — jakóz by ci tu było zrobić, aby sie cie pozbyć.

A niedaleko było miasto, a stolicym mioł w tym mieście ksióńżym. A tyn ksióńżym był uokrutny uokrutnik na ludzi. I lykarze go już tak lyczili, co by już jyny do Pietra poszeł. I tyn ksióń-

żym już potym zmiarkowoł, że go tak dziwnie lyczóm. Potym doł wyzwym, że gdo go wylyczy, że tela a tela piniyndzy dostanie, a gdo by wiedzioł, a nie chcioł go lyczic, a łun sie dowiedzioł ło nim, że śmierć.

No i łóna ta baba tego szewca wiedziała ło tym łogłoszyniu. Dy sie powadzili: „Na poczekaj potworo, jo ci pomogym, że cie wyyncej nie łuwidzim.” Wio



Ilustrował Bronisław Liberda.



Zbliża się jesień. Foto CAF.

do tego miasta, do tego księżyncego zamku i powiedziała tymu księżyni: „Mój chłop powiedział tela: że by wędzioł was wylczyć, ale że mu nie zoleży na tym.”

I tyn księżnym zaroz tam pośtoł po niego, pod pikami szandarów go przikludzili do tego zamku i tyn księżnym na niego: „Tóż tak bestyjo, już sie telkowy czas tropim, a ty wiysz mie wylczyć, a nie chcesz lyczic. Wiysz, jaki zech łogłoszyni doł?” Nale tóż szwiec sie zaprzisiońgoł, że przeca nejmiynszigo zielónego poijńcio ni mo ło lyczyniu. Że jyny bótóm rozumiy, ale nie lyczyniu i to nó. Ale już go z tego zamku nie puścili. Zamkli i powiedział mu tela tyn księżnym: „Do trzóch dni jak sie mie nie chycisz lyczic, tak śmierć.”

Nó i tóż ci słódzy księżyncey tóż mu tam do tej cymry, jako był zamknióny, nosili jeść, jedno drugi, a rozmowali: „Ty człowiecze, ale chyc sie, bo biyda jest. To nie sóm żodne żarty.” Eón sie zaprzisiońgoł przed nimi, że przeca nie wiyy nic. Tu drugi dziyń łupłynył i zaś go łupóminajóm ci słódzy: „Człowiecze, rób jako możesz, jyny chyc sie jakigo lyczynio.” Nó że przeca nic a nie nejmiynszigo poijńcio ni mo ło lyczyniu. Na trzeci dziyń mu prziniyśli śniødani: „Ty człowiecze, ale dzisio łostatni termin, łostatni trzeci dziyń jest. Chyc sie, bo biyda.”

No i łón powiadał tak: że słyszol łod starych ludzi, że tam i tam jest łónka, a że tam rozmaite zieliny rosnóm na tej łónce, a żeby tak nakosić tej trowy, a łuwarzić w garcach, a kómpiel mu zrychtować z tych zielin, a żeby sie tyn księżnym łokómpol w tym.

Nó i tóż go zebrali, ale pod pikami, łuciyc nie szło, musiol jich zakludzić na tóm łónkym i tam nakosili tej trowy i w zamku nawarzili tej trowy w garcach, potym do wanny dali, a jak już to było

takowe letni, co już móg wlyżć do tego, tak mu kozoł wlyżć dwie godziny, aby sie kómpol tam w tym. Za dwie godziny wyszeł i z tego lepsi sie kapkym czuł łusnył. A że łod downa łusnył ni móg, widzóm nó. I łusnył. Rano czuł sie lepsi. I na drugi dziyń zaś kozoł powtórzić, zaś tóm kómpiel. Co jedyn dziyń było lepsi, lepsi. Tak go dzierzol tego szewca piyńć dni na tym zamku. Na szósty dziyń powiadał: „No, jo już je zdrowy. Tóż teraz zapłata. Że jeś wiedzioł, a nie chcioł mie lyczic, tóż piyńdziauwacet batów na dupym. A że jeś mie wylczył, tóż wylczył ty pinióndze, widzóm nó. Nó i tóż zebrali ci bitni kowole tego chłopca i nejpiyrwi wylotali mu tych piyńdziauwacet batów, nó a potym borok, jak już wyciyrpioł baty, nó tóż szeł i zebroł pinióndze. Nó, sumym miol wielkóm.

Prziszeł do chałupy, nó jak widzioł tóm babym swojóm: „A ty potworo, ty bestyjo, mazej mi z chałupy, z łoczi, aż cie wyincej nie łuwidzim.” A łóna skoczila ku niymu, a pocałowała go: „Cicho, chłopczechu. Teraz dziepro bedymy bogaci.” Jyny go łóna chciała na śmierć posłać, a że tak trejiło, tóż „cicho chłopczechu”.

Opowiadał Józef Jeżowicz (ur. 20 sierpnia 1885) z Koszarzysk w dniu 15 sierpnia 1963.

Powyższy wątek, który należy do aktywnego repertuaru gawędziarza, nie został dotychczas sklasyfikowany w żadnym z katalogów bajki ludowej. Również na Śląsku nie był dotychczas zanotowany. J. Jeżowicz opowiada go ze względu na walory dydaktyczne, które wydobywa z tej opowieści. Kobieta za swoją mściwość jest tutaj ostro potępiona. Charakterystyczną cechą opowieści jest brak elementów humorystycznych, które są tak bardzo znamienne dla repertuaru J. Jeżowicza w ogóle.

DANIEL KADLUBIEC

LIST Z POŁUDNIOWEJ AFRYKI

Otrzymaliśmy do redakcji list adresowany do Redaktora Kalendarza śląskiego, przesłany przez naszego rodaka Wiktora Chodurę z Wędryni, który żyje obecnie w Południowej Afryce. Pisze m. in.: „Nie jestem pewien czy Panowie zdają sobie sprawę, że Kalendarz śląski dochodzi aż do Południowej Afryki i tu uprzyjemnia chwile synowi ziemi cieszyńskiej. Z zainteresowaniem czytam kalendarz, gdyż jest tutaj powiewem stron ojczystych. Liczne fotografie Beskidów czy innych części Zaolzia odświeżają w pamięci przyjemne chwile spędzone wśród najbliższych...”

Nasz sympatyczny rodak obiecał przysłać interesujące reportaże o życiu mieszkańców Afryki, m. in. z wycieczki na Kilimandżaro, z którymi nie omieszkamy zaznajomić czytelników. A jeśli już mowa o Kalendarzu śląskim, to pragniemy donieść, że periodyk na rok 1967 jest już w druku i powinien ukazać się w tym roku wcześniej.

KONKURSY

Na innym miejscu ogłaszamy konkurs malarski z okazji 20-lecia PZKO oraz konkurs na nową okładkę „Zwrotu”.

Tutaj pragniemy przypomnieć, że zbliża się termin zamknięcia (31.12.1966) ogłoszonego przed rokiem konkursu literackiego z okazji jubileuszu 20-lecia PZKO.



ZMARŁ JÓZEF ŚWIĘTEK

19 czerwca br. zmarł po długiej chorobie Józef Świętek, emerytowany dyrektor szkoły w Lutyni Dolnej. Należał do tych działaczy - społeczników, którzy nie



wybijają się na czoło, nie zajmują szczytnych stanowisk i nie korzystają z splendoru, które one przynoszą, lecz swą skromną, systematyczną, ofiarną i bezinteresowną pracą zapewniają rozwój życia społecznego.

Wzorowy nauczyciel, zacny człowiek, gorący patriota, zdobył sobie szacunek wszystkich, którzy go znali. Niechaj pamięć o nim pozostanie żywa wśród nas żyjących.



Listy bez adresata

DO WŁAŚCICIELA PSA

Niech pan nie narzeka,
pies szczeka, ale nie obszczeka.

DO PEWNEGO UCZNIA

W tym pomyśle kawał racji:
Dwa miesiące szkoły
a dziesięć wakacji.

DO PEWNEGO „PISARZA“

Weciąż pisał i pisał, płodził i gryzmołił
strawę duchową dla... myszy i moli.

DO AKTYWISTY

Prelegent: Taki mały nasz teren,
więc czemu wszyscy się nie kochają?
Słuchacz: Bo za mały nasz teren
i wszyscy się znają.

DO KLUBOWICZA

Bylem w „Klubie propozycji“,
lecz więcej nie będę,
proponowałem coś pani,
lecz dostałem w gębę.

DO FELIETONISTY

Pisze progres, kontekst, kamuflaż,
a gromi tych, co piszą mgliście.
„Kultura przychodzi z oporami“
Oczywiście.

DO CIOTEK

Ja mam ciotkę,
ty masz ciotkę;
moja i twoja ciotka
poszły do ciotek.
A te ciotki
też mają ciotki.
Więc się nie dziwcie
skąd się biorą plotki.

PO ŚWIECIE GÓRALSKIM

Skąd do kultury nabrał tyle wstrętu?
Bo musiał zapłacić 12 Kčs wstępu.

JAN CEBULA

Powakacyjne résumé

Motto:

Gdy trzcina zaczyna płowieć
i żółdź większy w dąbrowie
znak że lata złote nogi
już szykują się do drogi...

K. I. Gałczyński

Przez opustoszałe rżyska płyną w je-
siennym słońcu pierwsze srebrne nitki
babiego lata. Wiatr psotnik ciepły
jeszcze, ale już zwiastujący tęsknotę,
wiesza je po płotach, badyłach i po
drutach, na których w mgliste poranki
odbywają się krzykliwe przedodlotowe
jaskółcze narady.

B. Prochner

I oto nadszedł dzień, kiedy syci wcz-
asowych wrażeń, zmęczeni jazdą pomię-
dzy tobotami w ciasnych spartakach,
dusznych autobusach, załoczonych po-
ciągach, bogatsi o dalsze urlopo-dewizo-
we doświadczenia, brudni, niewyspani i
po prostu zmięci stanęliśmy pod drzwia-
mi rodzynego mieszkania.

Witaj skrzynko do listów po brzegi
wypełniona zdeaktualizowanymi gazeta-
mi i aktualnymi czekami za światło, TV,
mieszkanie itd. Witaj zacinający się zam-
ku i kapiący zlew! Witajcie walący
drzwiami sąsiedzi i rozbrykana dzieciar-
nio zza ściany.

Bądź pozdrowione i ty puzdro magicz-
ne złodziejem czasu zwane i ty na pełny
gaz puszczonego magnetofonie. Jesteśmy i
nareszcie będziemy mogli odpocząć!

Teraz bowiem życie znów popłynie so-
bie utartymi szlakami.

Wypawszy się porządnie po trudach
campingów i po nocach — koszmarach
na trzeszczących hotelowych łóżkach,
zabierzemy się do rozpakowywania wali-
zek, by stojąc obok piramidy brudnych
gatek stwierdzić: „Gdzież u licha te nie-
bieskie rajtuzy? — ty ładka, prawda że
zostawiłaś je na tej poręczy nad Bala-
tonem?“

Albo: „Co to za dederonowa koszula
z wytartym kołnierzem? — kochana wy-
handlowałem ją w Burgasie za litr pliski
— palinki, co uważam za świetny inte-
res — nie ma o co płakać...“ Lub też:
„Ludzie — sandał pani Van Pening w
naszej walizce — co ona sobie o nas po-
myśli? — trzeba będzie napisać do tej
Antwerpii.“

I tak dalej i temuż podobnie w ramach
refleksji pourlopowych. Po pierwszym
wielkim praniu stwierdzimy ze zdumie-
niem, że w palce pozostała gruba war-
stwa autentycznego morskiego piasku, że
plamy po olejku do opalania ani myślą
zejść z włoskiej koszuli „non — iron“,
że ekstrakt różany, za który pani domu

wybuliła ostatnie lewa — wyciekł do
walizki i że notatki pełne są adresów,
na które wypadaloby napisać (ale o tym
dalej). W międzyczasie głowa rodziny
zabierze się do wywoływania niezliczo-
nych rolek filmów:

„Choroba, ale przeeksponowałem!“ (na
głos)

„Psiakość to była babka!“ (do siebie)

„Ależ wyszedł mi ten zachód słońca!“
(głośno)

„Aaa to jest ta, no hm... tego“ (do
siebie)

Zdjęcia bowiem i wspomnienia będą
przez pewien okres czasu głównym te-
matem towarzyskich rozmów i rodzin-
nych uroczystości — nawet potem, kiedy
to już opalenizna zejdzie bez śladu, a je-
sienna szaruga obudzi złagodzony gorą-
cym piaskiem plaży reumatyzm.

Którąś jeszcze wolną sobotę napiszemy
po parę zdawkowych zdań na pierw-
szych pięć z dwudziestu pobranych adre-
sów (reszcie napisze się „aż będzie
czas“ — ha) i już mamy listopad — gru-
dzień. A w styczniu? No, wiadomo co
styczeń — koniecznie trzeba będzie pójść
do Cedoku — ta Wenecja to byłoby
fajne!

BRONISŁAW PROCNER

P. S.

Jeśliby ktoś przypuszczał, ba gotów
był się upierać, iż felieton powyższy
wykombinowałem w złośliwej swojej wy-
obraźni, słuchając powakacyjnych roz-
mów kolegów i znajomych, to wypra-
szam sobie stanowczo tego gatunku za-
rzuty. Zdania i osoby są oryginalnym
produktem (co — że nieudany?) —
mojej własnej kory mózgowej, chociaż
tu i tam możliwy jest tzw. dziwny zbieg
okoliczności.





Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

Cena Kęs 1,-

ROK 18 — (Nr 203)

10

Czeski Cieszyń, październik 1966

W NUMERZE:

Zapłonęły ogniska ★ Rok Sienkiewicza ★
Poeta i żołnierz ★ O problematyce naro-
dowościowej w CSSR ★ Karol Junga ★
O PZKO mówią przewodniczący Kół ★



Foto Władysław Wojnar.

W 30/94

25.000

Rok jubileuszowy zagajony. Dopisujemy ostatnią kartę 20-lecia Związku.

W tym krótkim rozważaniu nie można podsumować i ocenić działalności, która jest za nami, która dziś jest już historią.

Wiemy, że nie była to droga prosta ani łatwa. Wiemy, że do tych dni i lat będziemy wracali my wszyscy, którzy byliśmy współtwórcami kończącego się dwudziestolecia. Powinniśmy przekonać tych, którzy przychodzą i przyjdą po nas, by i oni do dni i lat tych wracali. Dla wszystkich historia nasza winna być szkołą pracy społecznej.

Powinniśmy ale przestrzec tych, którzy przyjdą po nas przed ślepym naślada-

by aktywnie wpływała na stały wzrost dumy narodowej, a tym samym socjalistycznego patriotyzmu oraz internacjonalizmu proletariackiego. W ten sposób wytwarzać będziemy warunki do dalszego narastania ideowej jedności społeczeństwa."

Ileż tu problemów, ale i możliwości otwiera się przed nami, przed naszą pracą. Jakąż pełnię swobód otrzymujemy, byśmy mogli zadania te realizować. Jak nieporównalnie lepsze warunki stwarza nam partia do pracy, warunki nieskrępowane kontrolą, która jeszcze stale jest urojoną fikcją w głowach niektórych jednostek. Na odwrót, partia nas dzisiaj zobowiązuje do realizacji tych za-

winniśmy zmobilizować 45% masy członkowskiej do realizacji tych zadań.

Pamiętajmy ale o jednym, nie wszystkich wszystko interesuje. Jesteśmy organizacją, która zrzesza członków na zasadach dobrowolności. Przydzielajmy więc zadania według zainteresowań i możliwości. Kształtujące się nowe międzyludzkie stosunki społeczne wytwarzają stale dalsze zainteresowania grupowe i indywidualne. Te zainteresowania musimy *lepiej* niż dotychczas w działalności związkowej wykorzystać.

Czy stać nas na to, byśmy mogli zadaniom tym podołać? Wszystko wskazuje na to, że stać.

Jesteśmy organizacją prężną, z miesiąca na miesiąc rosną nasze szeregi i co z radością należy kwitować, iż w szeregi członków wstępują ludzie młodzi. Poświadcza to chyba, że praca w Związku, jej formy i metody są dla tej młodzieży przystępne i chwytliwe. Rok jubileuszowy stwarza odpowiednie warunki, które nam umożliwiają działalność w tym kierunku nadal rozwijać.

Co jest chyba najbardziej pocieszające, to to, iż w trakcie ożywionej, ostrej dyskusji poszukiwawczej, wprowadzie z oporami, nie dość szybko, ale jednak znajdujemy sposoby i odpowiedzi, jak organizować pracę związkową. Jest to również świadectwo, że wyrasta nam aktyw związkowy świadomy zadań i celów. Aktyw, który jest tą podstawową i najbardziej istotną gwarancją, że dobrze, ku pożytkowi przede wszystkim naszego społeczeństwa, również w swoisty sposób pomnażamy naszą działalnością dobra ogólnospołeczne. Słusznie napawa nas to dumą i optymizmem. Nie przysłania jednak problemów, zobowiązujących nas do dalszego zintensywnienia zbiorowej myśli twórczej, która jest dalszym podstawowym warunkiem rozwoju wszystkich warstw i grup społecznych, a więc i nas, Polaków, obywateli Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej.

EUGENIUSZ SUCHANEK

Zapłonęły ogniska

downictwem. Życie jest niepowtarzalne. Szukając doświadczeń w przeszłości, musimy się stale uczyć, musimy się zastanawiać, jak korzystać z doświadczeń przeszłości w dzisiejszej rzeczywistości.

Rok jubileuszowy ma być pomostem, który połączy naszą historię z dzisiejszą rzeczywistością. Nie będzie to okres łatwy. Również nie może być okresem wyłącznie tylko świętowania, upajania się wynikami, które przecież są niemałe. Nie może być okresem pesymistycznych narzekania i biadoleń nad „nieszczęśliwym“ losem naszego społeczeństwa.

W roku jubileuszowym będziemy się starali podsumować pożyteczną, twórczą dyskusję na temat perspektyw naszej pracy, która toczy się na łamach prasy, w Kołach związkowych, w klubach, w Zarządzie Głównym.

Czy możemy już dziś, zagajając uroczystości jubileuszowe, próbować wysunąć jakieś wnioski ogólne? Osobiście wydaje mi się, że tak.

Wbrew pozorom, drobniejszym czy większym uchybieniom, w realizacji polityki narodowościowej Komunistycznej Partii Czechosłowacji wyraźnie nastąpił okres stabilizacji linii rozwojowej i to już przed XIII Zjazdem KPC.

Zastanawiając się nad sposobem realizacji uchwał zjazdowych, tych, które nas dotyczą, doszliśmy do wniosku, iż będziemy „...wszystkimi środkami, jakie mamy do dyspozycji, zmobilizować członków do realizacji uchwał XIII Zjazdu. Ściśle łączyć związkowe zainteresowania z problemami ogólnospołecznymi. Podkreślać i zaznaczać całe społeczeństwo, wszystkich obywateli, z wynikami pracy PZKO, osiągniętymi w realizacji zadań ogólnospołecznych, jak również z wynikami związkowych zainteresowań.

Działalność organizować będziemy tak,

dań. Pomaga nam podnosić rangę naszego Związku, podkreśla jego funkcję społeczną. Są jeszcze „twarde głowy“, którym to wszystko się nie podoba. To prawda. Ale nie dziwujmy się.

Ileż w samych naszych szeregach jest niedowiarków, pesymistów, proroków katastrofalnej sytuacji naszego społeczeństwa. I te i tamte szkodliwe tendencje musimy rozbić, zwalczać i zwalczyć.

Wszyscy zastanawiamy się, w jaki sposób to zrobić? A odpowiedź jest jednoznaczna, którą już nieraz wypowiedziano, ale którą warto stale przypominać. Tendencje te możemy zwalczyć konkretnym, przemysłowym, wychodzącym z warunków i potrzeb działaniem, konkretnym czynem, który przydzielać będziemy poszczególnym grupom członków czy jednostkom. Zadań w roku jubileuszowym mamy niemało. Jesteśmy zdania, iż po-



Przewodniczący ZG PZKO E. Suchanek na jednym z kursów działaczy związkowych.

Rok Sienkiewicza

Henryk Sienkiewicz urodził się w Woli Okrzejskiej na Podlasiu 5 maja 1846 r., w roku bieżącym mija więc 120 lat od jego urodzin. Zmarł w Vevey w Szwajcarii 15 listopada 1916 r., od jego zgonu zatem mija w roku bieżącym lat 50. Czas między tymi datami: 5.V. i 15.XI. bież. roku, to Rok Sienkiewicza, okazja do przypomnienia zasług wielkiego pisarza i zwrócenia uwagi na jego nieśmiertelne dzieła. Rocznice te, jak dotychczas, zeszyły na dalszy plan wobec uroczystości, związanych z Tysiącleciem Państwa Polskiego, ale w kalendarzu rocznic kultury polskiej nazwisko autora „Krzyżaków” jest gwiazdą pierwszej wielkości.

Sienkiewicz należy do najwybitniejszych pisarzy nie tylko polskich, ale i światowych. Książki jego ukazywały się i ukazują we wszystkich językach cywilizowanego świata, a przyznana mu w roku 1905 nagroda Nobla potwierdza tylko tę jego światową rangę w literaturze. Poczytność jego książek w Polsce jest wciąż imponująca. Nowe wydania jego powieści znikają z półek księgarskich i ciągle trzeba je na nowo wydawać. W latach powojennych dzięki prof. Julianowi Krzyżanowskiemu doczekaliśmy się pierwszego pełnego wydania dzieł Sienkiewicza w 60 tomach. Kilka tomów tego wydania zajęły: wybór z korespondencji (t. 55—58), bibliografia sienkiewiczowska (t. 58—60) i „Kalendarz życia i twórczości H. Sienkiewicza” (t. 57, 1954), opracowany przez J. Krzyżanowskiego, rzecz niezmiernie ciekawa i nowa. Pierwszy to z pisarzy, który kalendarza takiego się doczekał.

Ale Sienkiewicz, to nie tylko wielki pisarz, to dla nas Polaków równocześnie wybitny działacz narodowy i wielki patriota. Tę jego rolę w porozbiorowych dziejach narodu polskiego znakomicie uwypuklił Julian Krzyżanowski w innej swej świeżo wydanej książce, „Henryka Sienkiewicza żywot i sprawy”, która ukazała się w związku z Rokiem Sienkiewicza. Głęboko rolę tę ujął również wybitny poeta polski Leopold Staff w przemówieniu, wygłoszonym w r. 1924 na stacji w Piotrowicach, kiedy w imieniu pisarzy polskich przyjmował trumnę ze zwłokami Sienkiewicza, uroczyste wtedy przewożonymi ze Szwajcarii do Polski.

„Wraca wielki Polak, płomienny patriota, zapobiegliwy obywatel. Wraca ostatni z niekoronowanych królów polskich, mistrz, jeden z pierwszych na Olimpie naszej sztuki, który uczucia gorące i myśl zawsze szlachetną zakuł w nieśmiertelny kryształ naszej świętej mowy. W dobie niewoli i przynębienia zapalał serca w narodzie i budził ufnosć w siły własne. Wśród stuletniej narodowej no-



HENRYK SIENKIEWICZ

cy był dziedzicznym zniczem wolności, zaprzysięgłą pamięcią naszej wielkiej przeszłości, niezłomną miłością ziemi i obyczajów, twardą, nieodwołalną wolą trwania i wytrwania. Wśród morza krzywdy i bezprawia był Latarnikiem naszej wolności, naszego prawa do życia.

Gdy potop wojny zalał Polskę całą, gdy napór wściekłych jaił groził zwaleniem ostatniej strażnicy, On śladem naszych wielkich pątników poszedł głosić obcym i niechętnym o naszej dawnej chwale, obecnej niedoli i wiecznej nadziei. Po długiej pracy serca padł na obczyźnie, w przeddzień świtu, zdala od ziemi obiecaniej. Dziś szlachetna, gościnna Szwajcaria oddała nam jego prochy. I rzecz dziwna, jest trumna, są zwłoki, jest wielki obrzęd pogrzebowy. Cały choć w cząstce małej obecny naród tu stoi. A jednak czujemy to wszyscy — ta chwila nie jest żałobną. Jakaż to w nas siła, ta cudna siła w nas Polakach, że dziś nawet smutek nasz ma twarz radosną. Bo nie jest żałobą chwila, gdy urzeczywistnia się sen złoty, nie jest żałobą chwila, gdy widzimy, że straszna, bolesna, dogłębna praca serca nie idzie na marne. Witamy w tej trumnie nie śmierć, lecz nieśmiertelność. Witamy w niej to, co w nas żyje i żyć będzie na wieki — wolność, której On był cedrową i złotą skrzynią.“



Z okazji sprowadzenia zwłok H. Sienkiewicza do kraju w r. 1924 ukazała się we Frysztacie niewielka książeczka o tym

pisarzu, napisana przez Józefa Niemca, profesora gimnazjum polskiego w Orłowej. Dziś popularny ten zarys życia i twórczości autora Trylogii należy już do rzadkości, ale warto go przy okazji przypomnieć jako jeden z wielu głosów, poświęconych Sienkiewiczowi w naszej regionalnej publicystyce śląskiej. Sienkiewicz cieszył się na Śląsku wielką popularnością i był tu od dawna najulubieńszym pisarzem. W dawniejszej prasie cieszyńskiej z nazwiskiem tego pisarza często się spotykamy, na łamach gazet cieszyńskich ukazywały się przedruki jego nowel i ważniejszych wypowiedzi, artykuły o nim i o uroczystościach, związanych z jego osobą. Ślązacy uczestniczyli m. in. w jubileuszowych uroczystościach sienkiewiczowskich w r. 1900, o czym niedawno szerzej pisały kатовickie „Poglądy” (1966, nr 8). Opracowań na temat „Sienkiewicz a Śląsk” jest zresztą więcej. Zajmowali się tym tematem m. in. Józef Birkenmajer (Zaranie Śląskie 1934), Wincenty Ogrodziński (Szkoła Śląska 1935), Jerzy Lis (Kalendarz Śląski 1960), Stanisław Wilczek (Zaranie Śląskie 1960), Mieczysław Motyka (Kwartalnik Naucz. Opol. 1963), Alfred Mura (Poglądy, j. w.).

Zapomnianym przykładem popularności Sienkiewicza na Śląsku niech będzie przypomnienie paru szczegółów z dziejów „Jedności”, tajnej organizacji młodzieży polskiej, kształcącej się w niemieckich szkołach średnich w Cieszynie na przełomie XIX i XX w. Młodzież ta, działająca w konspiracji, przybierała sobie różne pseudonimy, zaczerpnięte najwięcej z dzieł Mickiewicza, Słowackiego i Sienkiewicza. W zachowanych szczegółliwie w muzeum cieszyńskim protokołach tej organizacji, działającej w gimnazjum, szkole realnej i seminarium nauczycielskim spotykamy zamiast prawdziwych nazwisk poszczególnych członków nazwiska takie, jak Bohun, Jagiełło, Kmicic, Kowalski, Podbięta, Radziwiłł, Sapleha, Skrzetuski, Sobieski, Wiśniowiecki, Wołodyjowski, Zagłoba, Zawisza, Zbyszko... Dzięki osobnemu kluczowi wiadomo oczywiście, kto jakim pseudonimem się posługiwał, ale to do rzeczy na tym miejscu nie należy. Postacie sienkiewiczowskie w dawnej szkole śląskiej żyły na codzień, młodzież te postacie znała i niejednokrotnie na nich się wzorowała.

A skoro o szkole mowa, to warto przypomnieć jeszcze jeden szczegół, przekazany nam przez Jana Wantułę w jego wspomnieniach szkolnych. Oto nauczyciel ustronński Jerzy Michejda przynosił czasem do klasy Trylogię i odczytywał swym uczniom, wśród których był Jan Wantuła, jakiś jej fragment. Chłopcom tak się podobało, że z utęsknieniem czekali na następne czytanie, ale ono odbywało się tylko od święta i w małych dawkach. Opowiada Wantuła, że największym jego pragnieniem było zdobyć gdzieś książkę, z której nauczyciel odczytywał czasem w klasie niezwykle piękne historie i przygody, ale długo szukał, zanim książkę poszukiwaną

wreszcie znalazł. Przeczytał całość z zachwytem, a po Trylogii zabrał się do książek innych i przez Sienkiewicza stał się tym, czym był.

Oto urok książki i taki jej czar, że mimo woli przypomina się sienkiewiczow-

ski „Latarnik”. Czytelników takich jak Wantuła było u nas dużo, ale on jeden zachwytowi swojemu dał wyraz w zapisanej wypowiedzi. Barwnym opisem, pomysłowością i fantazją, artyzmem wreszcie, odczuwanym przez każdego, zmuszał

Sienkiewicz ludzi do czytania swych książek, a równocześnie uczył ich patriotyzmu i ofiarności. Dzięki tym zaletom swego pióra został nieśmiertelnym Nauczycielem Narodu.

LUDWIK BROŻEK

Za Olzą, za miedzą...

K oniec września na Podbeskidziu był wyjątkowo zimny. Nie spełniły się więc słowa proroka meteorologicznego — Wicherka, który wyjeżdżając na urlop — sam sobie chciał dobrą pogodę przepowiedzieć. Zimno — grzybów mało, narzekają wrześniowi wczasowicze, nie rzadko opatuleni w ciepłe plety. Promenada w Szczyrku, tak żywa zazwyczaj o tej porze roku, świeci niemal pustką. Tylko jeszcze w niedzielę Szczyrk się ożywia, kiedy nie zrażeni kaprysami aury górnośląscy górnicy zjeżdżają pod Skrzyczne własnymi samochodami, albo luksusowymi zakładowymi autokarami.

Życie, zdaje się, na dobre przeniosło się z ustroni leśnych i polan górskich do kawiarni, kin i teatrów. W bielskim środowisku kulturalnym pierwsze dni jesieni upłynęły pod znakiem dwóch ważnych wydarzeń: w Pawilonie Wystawowym Związku Polskich Artystów Plastyków przy ul. Lenina (dla tych, którzy znają Bielsko — pawilon vis a vis „Prezydenta”) czynna była ogólnopolska wystawa malarstwa, a Teatr Polski wznowił znakomitą sztukę „Żywot Józefa” według Mikołaja Reja, w adaptacji scenicznej i reżyserii Kazimierza Dejmka. Oryginalna wersja dzieła Reja liczy ponad 6 tysięcy wierszy, z których Dejmek wybrał dla bielskiego widza ponad dwa tysiące. „Żywot Jozepha z pokolenia żydowskiego syna Jakobowego rozdzielony w rozmowach person który w sobie wiele cnoty i dobrych obyczajów zamyka — moralitet w czterech sprawach ze świeckimi krotofilami także ku nauce” — jak oznaczył swe dzieło ojciec literatury polskiej, wielki Rej, wystawione zostało przez zespół bielskiego teatru dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego. Nie trzeba dodawać, że znakomita sztuka, świetnie wystawiona przez bielskich artystów, cieszy się ogromnym zainteresowaniem bielszczan. Do miasta tego przyjeżdżają liczne wycieczki z innych ośrodków, żeby zobaczyć spektakl.

Zaczyna się powoli ruszać i estrada — pierwsze przedstawienia i koncerty „Czerwono-Czarnych” z Karin Stanek w nowym programie, z nowymi przebojami wyprzedane były do ostatniego miejsca. Rzecz znamienita — na salę Domu Muzyki nie wpuszczono bielskich „beatlesów” — nieliczną grupkę wyrostków z długimi włosami. Jest ich zresztą na Podbeskidziu coraz mniej — najwidoczniej już wkrótce będziemy mogli o nich po-

wiedzieć: „przemięło z wiatrem...”

A tymczasem w klubach wiejskich i zakładowych świetlicach coraz częściej organizowane są wieczornice, poświęcone Kongresowi Kultury Polskiej. Trwa wielka dyskusja o polskiej kulturze. Włączają się do niej nie tylko pracownicy instytucji kulturalnych, zawodowych pla-

cówek, ale również działacze ruchu amatorskiego, nie rzadko także zwykli, prości ludzie. Kongres Kultury Polskiej wywołał olbrzymie zainteresowanie. Bielski ośrodek kulturalny reprezentuje w Warszawie 5-osobowa delegacja, na której czele stanęli: mgr Antoni Kobiela — przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Bielsku-Białej i Mieczysław Górkiwicz, dyrektor Państwowego Teatru Polskiego w tym mieście.

—włącz—



Zmarła przed czterema laty najwybitniejsza koronczarka śląska Maria Gwarkowa z Koniakowa ma godne następczynię — synową Zuzannę i wnuczkę Urszulę, która już też poważnie interesuje się pracą mamusi.

Poeta i żołnierz

Spójrzmy na listę wybitnych gości, którzy drogą przez Bielsko i Cieszyn podróżowali na południe, lub na zachód Europy, a zauważymy, że nazwisko księcia Józefa Poniatowskiego powtórzy się kilkakrotnie. Na tablicy pamiątkowej, która swego czasu istniała przed hotelem „Pod Jeleniem” w Cieszynie — wyryto daty jego pobytu w tym mieście nawet złotymi zgłoskami. Wtajemniczeni, którzy pilnie strzegą legend i przypowieści, mówiąc o cieszyńskich perypetiach księcia Pepi, mrużyli filuternie jedno oko, ażeby dać do zrozumienia, że wiedzą o jego romansach i przygodach miłosnych, jakie tutaj miał rzekomo przeżyć.

Ostatnia jednak podróż przez Śląsk wybitnego wodza wojsk polskich z okresu kampanii napoleońskiej — posiada obramowanie zupełnie wyjątkowe. Tym razem historykiem wyprawy będzie nie kto inny, tylko sam Kazimierz Brodziński. Przedziwne losy połączyły tego subtelnego poetę z groźnym synem Marsa. Ale bo też czasy były wyjątkowe i słynny później literat oraz znakomity historyk literatury — zarzucił wówczas służbę u lirycznych muz i podobnie, jak książkę Józef, uprawiał rzemiosło wojenne.

Kazimierz Brodziński był oficerem artylerii II brygady w armii Poniatowskiego. Dzielił z wodzem dolę i niedolę żołnierskiej tułaczki i nie opuścił go aż do końca tragicznych dni napoleońskiej walki.

Był to już bowiem rok 1813. Książę Józef Poniatowski zbierał niedobitki armii polskiej w Krakowie. Śpieszy mu się bardzo, bo chce zdążyć z pomocą osaczonemu cesarzowi Francji. Pogoda była wiosenna; nadszedł maj. A przecież ani wodzowi, ani poecie nie śpieszyło się do wiosennych rozważań. Wojsko zbierało się w Skotnikach i coraz liczniejsze kłopoty zaczęły piętrzyć się przed naszymi bohaterami. To dopiero po latach uderzy Brodziński w ton barda:



KAZIMIERZ BRODZIŃSKI

*Dopełnimy do końca, co każe Ojczyzna,
Tę słuszość wróg nie tylko, lecz obcy
nam przyzna.*

*W naszej jedynie ręce dzisiaj się została.
Bytność, nadzieja Polski, śmierć, hańba
i chwata.*

Droga prowadziła przez Śląsk do Saksonii.

W dniu 6 maja książę Józef przemówił do wojska, którego zebrało się 20 tysięcy. Rozkochany w wodzu Brodziński postara się o przekazanie nam jego wystąpienia. Poniatowski przemawiał z zapalem:

„Nadeszła pora wojsku polskiemu stać się użytecznym krajowi... Śpieszmy więc połączyć się z braćmi naszymi, którzy już przy nim [Napoleonie — przyp. red.] się znajdują.”

Mimo obietnic danych Poniatowskiemu, że „wojsko kroczyć będzie przez kraje zaprzyjaźnione” (cesarz Austrii był przecież teściem Napoleona) — pochód żołnierzy polskich nie wyglądał wcale imponująco.

*Poszliśmy na granicę, o okrutna dola —
Miej się zdrowo rodzino i ojczyste pola!
Próżno za lubym domem stokroć się ob-
zierać,*

Przedłużać pożegnania i żale wywierać.

Pierwszy cios spotkał armię na granicy. Chcąc uniknąć zdrażnień i przedwczesnych konfliktów — Poniatowski ulega naciskowi dworu austriackiego, by żołnierze przemaszerowali przez wspomniane kraje zaprzyjaźnione bez broni. Omijając zakaz cesarski złożono więc karabiny na wozach, które wlokły się na tyłach oddziałów.

*Wchodzimy w obce kraje; z ciężkim
smutkiem męża*

Odpinają i niosą na wozy oręże.

*Smutni postępujemy, wódz dodaje mę-
stwa:*

*„Wkrótce ją odbierze na nowe zwy-
cięstwa.”*

Kiedy 11 maja 1813 roku wojsko wkraczało do Bielska — przypominało bardziej armię rozbrojoną, aniżeli idącą po bitewne laury. Był to widok prawdziwie żałosny. Znacomici i zahartowani w bojach żołnierze czuli się źle i nieswojo w tej nowej roli. Nic więc dziwnego, że w szeregi wkraść się podniecenie i nastąpiło rozluźnienie dyscypliny; wielu utraciło wiarę w zwycięstwo, w sens dalszej walki. O tych nastrojach przypomni również Brodziński w swoim pamiętniku, który dosyć konsekwentnie prowadzi przez cały okres trwania tej kampanii. Z raptularza dowiadujemy się m. in. o jego ówczesnych zainteresowaniach i zamiłowaniach.

W dniu 8 maja odwiedził np. klasztor w Kalwarii, gdzie oglądał zabytki historyczne, później zatrzymał się w Choczni koło Wadowic, w tym samym również celu. Odnotuje Kęty, opisze urzki dalszej drogi, zachwycony otaczającym go krajobrazem. A pod datą 11 maja odczytamy już wyznanie, które brzmi jak rozkaz: „Przeszliśmy przez miasto Bielsko do wsi Starego Bielska, gdzie naznaczono dwudniowy odpoczynek.”

Po latach, kiedy odejdą w niepamięć trudy i gorycze tego pochodu, przypomni również miłe chwile spotkań z ludnością, ale już w swojej twórczości wierszowanej:

*Wodza z nami lud wszędzie błogosławił
mnogi,*

*Owej karności mężów, tej wodza posta-
wie,*

*Tej łagodności z męstwem niepodobnej
prawie*

*Lud się nie mógł napatrzyć i mówił
zdziwiony:*

*„Tenże to lud tak u nas brzydko oczer-
niony.”*



Cieszyn w roku 1800 według współczesnego sztychu.

Bielsko podobało się Brodzińskiemu. Uderzył go również strój zbliżony do polskiego i język polski, którym władali mieszczanie. Wieczorem, na kwaterze, budził się w Brodzińskim znowu czujny oficer. Ze smutkiem patrzył na rozluźniającą się dyscyplinę w oddziałach wojskowych. Zanotowano pierwsze dezercje, albowiem żołnierze łatwo porozumiewali się z mieszkańcami i tęsknili już do spokoju i odpoczynku.

Wkrótce armia ruszyła w dalszą drogę. Jeszcze tylko jedno troskliwe spojrzenie na obóz i wozy z bronią, na żołnierzy i „jenerała”, z którego oblicza wszyscy pragnęli wyczytać jak najpomyślniejsze horoskopy na przyszłość. Niebo zaciągało się deszczowymi chmurami, przygasały okoliczne góry, tonęły w mroku ścieżki i pola — coraz więcej rodziło się posępnych myśli.

Przeglądając dalsze notatki wybitnego poety zauważymy potęgującą się ilość refleksji filozoficzno-moralnych. Brodziński ucieka nawet w sferę zadumy literackiej, jak gdyby chciał się odgro-

dzić od rozważań związanych z niedaleką przyszłością, która przecież nie rysowała się zbyt optymistycznie. Dopiero, gdy na horyzoncie pojawiły się wieże Cieszyzna — poetę znowu zaabsorbowały reporterskie obserwacje.

„W Ogrodzonach (Ogrodzonej — przyp. red.) zebrani — przybyliśmy 14 maja do Bobrku pod Cieszynem: gospodarz przyjął nas na kwaterze najuprzejmiej. Rządność, gościnność tego człowieka tak mi się podobały, że chodziłem za nim i przysłuchiwałem się gospodarskim jego rozporządzeniom. Deszcz dzień cały kropił. Spocząwszy, wspominałem sobie na słowa Chateaubrianda (z „Atali”):

Szczęśliwy, kto na własnej osiadłszy zagrodzie,

Nie chodzi w świat o swojej i o cudzej szkodzie.

Ten może obcego posilić w swym domu, Stę zobowiązał, sam nic nie winien nikomu.

Przez Cieszyn wojsko przemknęło w deszczu i mgle. W pamięci pozostały tyl-

ko przelotnie dostrzeżone domy dostatnie i zarys wcale pokaźnego miasta. Wojska polskie zatrzymały się dopiero na dłużej we wsi Dobra pod Frydkiem.

Coraz bliżej było do pola bitewnego. Wzrastało napięcie w armii, a Brodzińskiego znowu coraz częściej absorbowały rozważania literackie. Można sobie wyobrazić malowniczy portret tego młodego oficera artylerii, kreślącego na postojach coraz liczniejsze wiersze na marginesach swojego notatnika.

Kazimierz Brodziński, jako profesor liceum warszawskiego, a następnie wykładowca uniwersytecki — oddał olbrzymie usługi literaturze polskiej. Był on jednym z twórców naszej nowoczesnej myśli krytycznej, ciekawym poetą i pierwszym — o tak wielkiej skali wiedzy historykiem naszej rodzimej literatury. Dlatego pragniemy dziś przypomnieć ów mało znany fragment z jego jakże bujnego życiorysu.

BOLESŁAW LUBOSZ

O problematyce narodowościowej w Czechosłowacji

IX

Również kwestia polska w Ostrawskim i Cieszyńskim posiadała swoją specyfikę, która zadecydowała o jej rozwiązaniu w roku 1945, a która w ogólnym zarysie obowiązuje do dnia dzisiejszego.

Dwie podstawowe okoliczności, według mego zdania, decydowały w roku 1945 o kwestii polskiej na Śląsku Cieszyńskim. Po pierwsze: okupacja tej ziemi przez hitlerowskie Niemcy, ucisk Polaków oraz ich udział w walce przeciw niemieckiemu faszyzmowi. W ten sposób kwestia Polaków w Ostrawskim i Cieszyńskim stała się częścią składową ogólnoswiatowej walki przeciw mocarstwu faszystowskiemu. Konsekwencją tej walki musiało być wyzwolenie Polaków na Śląsku Cieszyńskim spod okupacji niemieckiej.

Jeśli ta okoliczność łączyła sprawę polską na terenie Śląska Cieszyńskiego z sprawą czeskiego, słowackiego i ukraińskiego narodu CSR w drugiej wojnie światowej, to druga okoliczność odróżniała ją owszem w innym sensie, od możliwości podobnego rozwiązania, jak np. w wypadku mieszkańców Rusi Podkarpackiej. Chodzi o fakt oderwania przez Polskę sanacyjną terenów zamieszkałych przez Polaków w Ostrawskim i Cieszyńskim przy pomocy mocarstw faszystowskich w roku 1938 od CSR, czego dokonano wspólnie z zaborem dalszych przygranicznych terenów CSR przez Niemcy i Węgry, jako pewnego wstępu do zupełnej likwidacji CSR, ujarzmienia jej słowiańskiej ludności przez faszystowskie Niemcy i Węgry z ogólnie zna-

nymi konsekwencjami międzynarodowo-politycznymi.

Gdyby (znowu owo gdyby, którego tak nie lubią historycy, służące jednak do wyjaśnienia pewnych zależności) nie było doszło do oderwania polskich terenów Ostrawskiego i Cieszyńskiego przy pomocy mocarstw faszystowskich, kwestia „czechosłowackich” Polaków w roku 1945 wyglądałaby inaczej. Nie byłaby moralno-politycznie obciążona i nie byłaby — według mego zdania — wyeliminowane możliwości innego jej rozwiązania, niż jakiego byliśmy świadkami w roku 1945. W tym stanie rzeczy kwestia rozwiązania tej sprawy była podporządkowana podstawowym zasadom, według których rozwiązywano problemy narodowościowe po drugiej wojnie światowej, to znaczy koniecznością likwidacji tego wszystkiego, co spowodował faszyzm. W tym kontekście przywrócenie pierwotnych granic CSR i ponowne przyłączenie polskich terenów Ostrawskiego i Cieszyńskiego do CSR odpowiadało analogicznej likwidacji dalszych tego rodzaju zmian granic między państwami, spowodowanych przez faszyzm — likwidacja aneksji Siedmiogrodu, przygranicznych terenów Jugosławii przez Węgry, podobnie jak południowej Słowacji.

Ze strony czeskiej, względnie czechosłowackiej, były w roku 1945, a często jeszcze do dnia dzisiejszego wysuwane argumenty, że ponowne włączenie polskich terenów Ostrawskiego i Cieszyńskiego do CSR nastąpiło ze względów ekonomicznych. Według mego zdania takie argumenty są nieutrzymalne. Jeśli polskie tereny Śląska Cieszyńskiego posiadają ważne znaczenie ekonomiczne dla

CSR, może podobne argumenty wysuwać i strona polska, nie mówiąc już o tym, że w wypadku wytyczenia granicy etnicznej uczynionoaby zadość sprawiedliwości narodowej, zostałaby zlikwidowana kwestia polskiej mniejszości w CSR, odpadłyby kłopoty, ewentualnie i komplikacje, wynikające z niej zarówno w ramach CSR, jak między CSR i Polską (podobne znaczenie by miało wytyczenie granicy etnicznej w innych rejonach, np. między Słowacją i Polską).

Uzasadnianie przyłączenia pewnego rejonu do danego państwa argumentami o jego znaczeniu ekonomicznym, „nieodzowności” itp. jest podobne do argumentów o „konieczności” takiej czy innej granicy strategicznej, które mogą być wysuwane z obu stron, można je do nieskończoności i absurdu poszerzać o stale dalsze i dalsze tereny. „Naturalność” i „słuszność” swych żądań każda strona łatwo uzasadni. Takie stanowisko prowadzi do niekończących się sporów, w których ostatecznie może zadecydować tylko siła. Sprawiedliwość, o której się przy tym dużo mówi, zostanie w efekcie wyeliminowana.

Obok argumentów ekonomicznych uzasadniono przyłączenie polskich terenów Ostrawskiego i Cieszyńskiego do CSR również nie zupełnie jasną i ścisłą granicą narodowościową, wzajemnym przemieszaniem żywołów czeskiego i polskiego w tym regionie, jak również — szczególnie po powrocie Czechów, którzy wyemigrowali po polskim zaborze, że trudno byłoby przeprowadzić ścisłe rozgraniczenie na podstawie zasad narodowościowych. Aczkolwiek nie można całkowicie pomijać tych faktów, nie

były one decydujące. — Rozwiązanie oparte o wzajemne zrozumienie i ustępstwa, było można przy dobrej woli obu stron zawsze znaleźć.

Według mego zdania pomijają te argumenty wysuwane z czeskiej względnie czechosłowackiej strony, podobnie jak polskie argumenty krytykujące załatwienie sprawy z roku 1945 to najistotniejsze: sytuację historyczną w roku 1945. Są w tym znaczeniu historycznie niekonkretne i abstrakcyjne. Nie wynikają z charakteru i celów drugiej wojny światowej, która była dla takiego załatwienia sprawy decydującą i która była walką przeciw faszyzmowi. Jej wyniki (przynajmniej jeśli chodzi o bezpośrednie wyniki) nie mogły więc wyjść poza ramy tej walki.

Pozostawić rozwiązanie, jakie było osiągnięte w sojuszu z faszyzmem (i to faszyzmem hitlerowskim) oznaczałoby przyznanie racji faszyzmowi, usprawiedliwienie go. Ale faszyzmowi nie chodziło o sprawiedliwość narodową. Polityka faszystowska wykazała przecież, że zasady narodowe wykorzystywano tylko do osiągnięcia niesprawiedliwych celów. Kto to odczuł ciężiej od Polaków, kiedy zaledwie za rok po beckowskim „zwycięstwie“ nad bezbronną Czechosłowacją państwo polskie zostało zniszczone przez swego „sojusznika“ — Hitlera, a Cieszyńskie bez względu na skład narodowościowy mieszkańców zostało włączone do Rzeszy i wystawione na ucisk i germanizację? I czy chodziło o sprawiedliwość narodową reżymowi Becka wypędzające-

mu z Śląska Cieszyńskiego czeskich mieszkańców a milczącemu wobec uciskania daleko większej ilości Polaków w Niemczech, uciskającemu miliony Białorusinów i Ukraińców, milczącemu o słowackiej mniejszości w Polsce, popierającemu na skutek dążenia do osiągnięcia wspólnej granicy z Węgrami okupację Rusi Podkarpackiej, a w końcu i Słowacji przez Węgry?

Domaganie się utrzymania status quo z roku 1938 wносиło niebezpieczne antagonizmy do czeskiego i polskiego ruchu oporu, zagrażało wspólnej walce przeciw okupantom niemieckim. Oznaczało trzymanie się starych błędów, kiedy to całkiem ubocznych spraw nie potrafiono podporządkować głównym i decydującym. Był to stary błąd, którego dopuszczała się również burżuazja czeska, kiedy wskutek trwania na czechosłowackistycznych koncepcjach, nie uznających Słowaków za samodzielny naród, zagrażała wspólnocie walki wyzwolenczej czeskiego i słowackiego ludu i przywróceniu CSR.

Według mego zdania bezpośrednio po porażce faszyzmu niemieckiego nie było innej możliwości, niż przywrócenie stosunków sprzed roku 1938. Zakończenie walki wymagało rozwiązania odpowiadającego jej charakterowi. To jest podstawowy pewnik każdej strategii i taktyki. Załatwienie sprawy nie odpowiadające charakterowi walki przeciw faszyzmowi zagrażałoby samym jej wynikiom — zarówno z punktu widzenia stosunków wewnętrznych, jak i międzynarodowych, co

było w warunkach ostatniej wojny i bezpośrednio po niej szczególnie ważne tak dla CSR, jak dla Polski.

Przywrócenie stosunków z roku 1938 (szczególnie dlatego, że wymagałoby agitacji i wysiłków w tym kierunku — co polska emigracja londyńska częściowo czyniła — na szkodę wspólnej walki), utrudniałoby Polsce rozprawienie się ze starą, zgubną, nacjonalistycznie ograniczoną polityką, która była w znacznym stopniu przyczyną polskiej katastrofy. Siły rewolucyjne, które by o to przywrócenie usiłowały, pozbyłyby się może u siebie na jakiś czas pewnych trudności, zyskałyby poparcie nacjonalistów, którzy spychaliby jednak naród z zasad rewolucyjnych na pozycje burżuazyjne. Krótkotrwały (problematyczny) zysk stałby okupiony trwałą stratą. (Kiedy mielibyśmy więcej miejsca i czasu, można byłoby pokazać na przykładach z historii, jak ruch robotniczy i demokratyczny w Polsce i u nas płacił drogę za podobne ustępstwa.)

W CSR by przywrócenie stanu z roku 1938 spowodowało wątpliwości o samym sensie walki przeciw faszyzmowi. Byłoby wodą na młyn antypolskiemu nacjonalizmowi (który w takiej sytuacji mógłby się pokrywać nawet z antyfaszyzmem), prowadziłoby do łączenia tego nacjonalizmu z nacjonalizmem antyniemieckim, który w drugiej wojnie i po niej posiadał pewną rację bytu, spowodowałoby to niezmiernie szkody w rozwoju stosunków między obiema bratnimi narodami. Czechosłowacki ruch rewolucyjny nie mógłby w tej sytuacji właściwie rozróżniać wrogów od przyjaciół. Albo też musiałby również godzić się na ustępstwa wobec nacjonalizmu z podobnymi skutkami, o jakich mówiliśmy w wypadku polskich stosunków wewnętrznych, albo musiałby wystąpić przeciw tej atmosferze, co w danej sytuacji byłoby bardzo trudne, osłabiałoby go i izolowało od mas. Zamiast podstawowych i decydujących, na czoło wysunęłyby się momenty i problemy podrzędne. Burżuazja miałaby ułatwioną drogę do odwracania uwagi mas od walki klasowej, do szowinistycznej walki nacjonalistycznej. Postępowy rozwój — podstawowy warunek rozwiązania stosunków między Czechami i Polakami — byłby tak w Polsce, jak w Czechosłowacji utrudniony, zagrożony czy uniemożliwiony.

Jeszcze istotniejsze znaczenie ma aspekt międzynarodowy tego zagadnienia. Uznanie w roku 1945 (pamiętajmy: chodziło o polityczne rozmowy dotyczące likwidacji faszyzmu, w których z jednej strony stał socjalistyczny ZSRR, a z drugiej mocarstwa imperialistyczne) słuszności zaboru Śląska Cieszyńskiego przez Polskę w roku 1938, prowadziłoby do wysuwania analogicznych problemów w odniesieniu do południowych terenów Słowacji i Węgier, a w końcu do usprawiedliwienia dyktatu monachijskiego. Zostałyby tak zniweczone nie tylko wysiłki czechosłowackiego ruchu oporu w czasie wojny, zmierzające do unieważnienia Monachium przez mocarstwa za-



Foto Bronisław Bieleń

chodnie. Prowadziłoby to do usprawiedliwiania nie tylko czynów Hitlera i jego sojuszników z roku 1938, lecz powstałby problem samego istnienia CSR jako takiej. [Czego nie można bagatelizować: na Zachodzie istniały w czasie wojny silne koła, które snuły różne koncepcje w odniesieniu do środkowej i wschodniej Europy]. Gdyby lawina ruszyła, trudno byłoby ją zatrzymać. Jak w takiej sytuacji możnaby było forsować granice na Odrze i Nysie, wysiedlanie Niemców itd.?

Może że w snuciu tych przypuszczeń posuwam się za daleko. Ale logika wewnętrzna takiego rozwiązania kwestii cieszyńskiej te przypuszczenia uzasadnia. Jestem przekonany, że chociaż przywrócenie CSR w ramach pierwotnych granic powodowało pewne komplikacje, nieprzywrócenie pierwotnych granic byłoby spowodowało komplikacje dużo poważniejsze — nie tylko wobec CSR, lecz i w odniesieniu do stosunków powojennych w ogóle.

Aby nie być poświadczonym o jednostronność: za równie niebezpieczne uważam ówczesne domaganie się przyłączenia Ziemi Kłodzkiej do CSR, opierające się o stare argumenty historyczne i ignorujące charakter i sytuację drugiej wojny światowej. Podobne próby mogły prowadzić nie tylko do niepożądanych sporów z bratnią Polską, nie tylko umożliwiałyby imperialistyczne ingerencje do wewnętrznych spraw Polski i Czechosłowacji oraz do stosunków między nimi. Łatwo by mogły prowadzić do tego, żeby Zachód w ogóle odmówił zgody na powojenne zmiany w stosunku do wschodnich sąsiadów Niemiec, wykorzystując ich niejednolitość i wzajemne spory. Wskutek małostkowych problemów (w stosunku do pozostałych) mogłaby tak CSR, jak i Polska przegrać to najważniejsze, co w sprawiedliwej wojnie przeciw faszyzmowi niemieckiemu osiągnęła. Byłoby to podobne zaślepienie nacjonalistyczne, jakim było stanowisko Becka w roku 1938.

Zrekapitułuję: aczkolwiek rozwiązanie w roku 1945 z punktu widzenia drugiej wojny światowej nie było i nie mogło być zupełnie idealne, uważam je w tych warunkach za słuszne; nie uważam za politycznie i moralnie uzasadnione przywrócenie stanu z roku 1938.

Wznowienie CSR w jej pierwotnych granicach sprzed r. 1938 miało owszem za następstwo, że kwestia polska w Ostrowie i Cieszyńsku pozostała sprawą wewnętrzną CSR. W wyniku załatwienia z roku 1945 otrzymała kwestia polska ramy, które istnieją po dzień dzisiejszy.

Zgoda. W roku 1945 nie było innej możliwości. Ale dzisiaj jesteśmy dalej. Posiadamy tak u nas, jak i w Polsce socjalizm. Dlaczego więc nie uzgodnić wzajemnie innego rozwiązania?

Nie przesadzajmy. Ani pod względem ekonomicznym (co jest najistotniejsze) nie mamy jeszcze ani u nas, ani w Polsce pełnego socjalizmu. Tym więcej pozostało i pozostaje w innych dziedzi-

nach, szczególnie w myśleniu ludzi, dużo starego i niesocjalistycznego. Również w obozie socjalistycznym i w międzynarodowym ruchu komunistycznym istnieje mnóstwo problemów, których rozwiązanie warunkuje dalszy postęp w załatwianiu kwestii narodowościowej w krajach socjalistycznych. Sprawy narodowościowe są niezwykle subtelne i każde nieprzemyślane i naleyżcie nieprzygotowane rozwiązanie może powodować poważne wstrząsy. Czy się nam to podoba czy nie, trwające ciągle problemy narodowościowe krajów socjalistycznych, nie są tym zasadniczym. Istniejące warunki, aczkolwiek nie są zupełnie idealne, nie przeszkadzają dalszemu postępowi w dziedzinie narodowej; system socjalistyczny zapewnia dosyć miejsca dla zadawającego rozwiązywania kwestii narodowościowej również w istniejących warunkach państwowych.

Nawet dziś nie byłoby słuszne omawiać danych problemów tylko z punktu widzenia wewnętrznych stosunków krajów socjalistycznych i obozu socjalistycznego. Wydaje mi się, że decydującym aspektem pozostaje ciągle zagadnienie międzynarodowe, wzajemny stosunek krajów socjalistycznych i kapitalistycznych. Chociażbyśmy nie brali pod uwagę osiągniętego stopnia socjalizmu w naszych krajach, stopnia uświadczenia ludzi itd. i założyli, że już teraz mogą kraje socjalistyczne porozumieć się o dalszych krokach w rozwiązywaniu kwestii narodowościowej, które by lepiej odpowiadały potrzebom socjalizmu — chodziliby zresztą nie tylko o kwestie mniejszościowe — pozostanie nieodpartym faktem, że te zagadnienia dotyczą nie tylko krajów socjalistycznych. Ewentualne zmiany granic między państwami socjalistycznymi nagrywałyby odwetowo zachodni Niemiec, którzy nie są tak naiwni, żeby nie rozpoczęli od razu dowoływać się tego, że Hitlerowi chodziło (przynajmniej z początku) o sprawiedliwość narodową, aczkolwiek potem wszystko „popsu”. Jeśli już teraz szermują z prawem do samostanowienia, do ojczyzny, domagają się demokracji, którą deptali, jak by to wyglądało potem?

Niezapomnianym przeżyciem dla Cieszyna i okolicy, dla Tarnowskich Gór oraz dla wszystkich telewidzów w Polsce i u nas był urządzony w niedzielę 25. 9. br. telewizyjny konkurs miast między Cieszyńskiem i Tarnowskimi Górami. — Miasto i powiat Cieszyn, jak wiadomo, w konkursie zwyciężyły, dokumentując, że w naszym regionie są lepsi sportowcy (m. in. państwo Gajgerowie), że jest bogatszy folklor, lepsi piosenkarze..., piwosze itd. Szczegółowo gratulujemy cieszyńskim ich sukcesu. — Na zdjęciach T. Kopoczka prezentujemy migawki z tej uspaniałej imprezy.

Od góry: wypuszczanie gołębi pocztowych; cieszyńska orkiestra symfoniczna; „fachowcy” od piwa; wyścig welocypedów; gawędziarze.



Nasza sprawa nic by przez to nie zyskała. Przeciwnie.

Czy to jednak oznacza, że mamy się dzieć z założonymi rękami? Absolutnie nie. I w ramach dzisiejszych warunków można i należy działać dla polepszenia stosunków. Jeśli dążymy do definitywnego rozwiązania problemów, które dla wielu z nas są palące, nie wolno nam zapominać, że tak samo jak naprawienie istniejących błędów i niedociągnięć w kwestii narodowościowej jest warunkiem korzystnego ekonomicznego i politycznego rozwoju socjalizmu, to jeszcze w większym stopniu jest korzystny rozwój ekonomiczny i polityczny podstawowym

warunkiem definitywnego załatwienia problemów narodowościowych.

Wyraziłem otwarcie swój pogląd na jeden z podstawowych problemów kwestii polskiej u nas. Dalszymi zagadnieniami chcę się jeszcze zajmować. Mam nadzieję, że szczerść, z jaką o tych zagadnieniach piszę, zostanie przez polskich towarzyszy właściwie zrozumiana. Nie uważam, że muszę mieć we wszystkim rację — chętnie się pouczę. Proszę tylko, żeby czytelnicy starali się przystępować do tych zagadnień tak samo poważnie i obiektywnie, jak o to usiłuję ja sam.

Dr KAREL POMAIZL

Podpatrywanie życia

Przez dwa tygodnie oglądaliśmy wystawę jubileuszową dorobku twórczego nestora naszego malarstwa Gustawa Fierli.

Długoletni wychowawca młodzieży gimnazjum orłowskiego naprowadził nie jeden talent na trudny trakt sztuki. Fierla należał do tych doświadczonych malarzy, którzy nie dali się zawojować przesadnej ambicji, manii poszukiwawczej za cenę przesady i nieporozumień, jakich jesteśmy świadkami i w dzisiejszych czasach, kiedy to grupa malarzy nowojorskich lansuje ostatnio nowy kierunek sztuki: obrazy jadalne, malowane marmoladą, kolorowymi powidłami, masłem, kakaem itp.

Fierla skierował swoje poszukiwania treści i formy w kierunku penetracji regionu cieszyńskiego, szukając wzorów w pięknie motywów śląskich, odnajdując

temat w życiu górników karwińskich, podpatrując słoneczniki, dalie i mieczyki we własnym ogrodzie, podpatrując dymy, przeloty ptaków i obłoków.

Artysta starał się wyrazić klimat, koloryt i ową nieuchwytną atmosferę swojskości ziemi rodzinnej. Twórczość artysty jest różnorodna i obfita, świadcząca o skali pasji poszukiwań i zainteresowań twórczych. Wkład artystyczny prof. Gustawa Fierli jest bezsprzeczny, po prostu trwałą wartością w dorobku twórczym naszego regionu.

W związku z wystawą nasuwają się jej uczestnikom różne refleksje. Patrząc na obrazy i rozglądając się koło siebie, czujemy się jakoś nieswojo. Jest nam przykro, że tak mało ludzi wykazuje zainteresowanie jakąkolwiek imprezą tego charakteru. Pozostajemy nieczuli wobec propozycji artystycznych, nie chcemy

podjąć dyskusji, dialogu naszego widzenia i odczuwania z interpretacją artysty. A może nie chodzimy na wystawy w obawie przed zdemaskowaniem własnej bezradności. Boimy się przyznać do anachroniczności naszych upodobań, albo też w ogóle nie mamy upodobań i jesteśmy nieczuli na oddziaływanie sztuki.

A przecież nie chodzi o to, żeby wypowiadać autorytatywne sądy o sztuce, ulegać presji fachowców, akceptować tylko zaakceptowane — po prostu chodzi o to, by każdy z nas samodzielnie odczuwał propozycje artysty, przyjmował sztukę przez pryzmat własnej wrażliwości i osobowości. Są to najpiękniejsze chwile obcowania z dziełem sztuki, kiedy zatrzymujemy się nad jakimś obrazem, rzeźbą, świątkiem przydrożnym, poddając się jego czarowi, wpływowi, które poruszają i ożywiają naszą wyobraźnię i budzą w nas nieznane, ukryte, ale jakże wrażliwe struny.

Bo widzieć może każdy, ale tylko nieliczni umieją patrzeć.

HENRYK JASICZEK

Zarząd Główny PZKO ogłasza z okazji jubileuszu 20-lecia swej działalności

Konkurs kompozytorski

na piosenkę estradową. (Głos z fortepianem na dowolny tekst.)

W konkursie może uczestniczyć każdy członek PZKO z dowolną ilością prac.

Prace należy przysyłać do ZG PZKO, Cz. Cieszyn, ul. Lenina 28, w zamkniętych kopertach oznaczonych godłem oraz napisem „Konkurs kompozytorski PZKO”. Do każdej pracy należy dołączyć zaklejoną kopertę, zawierającą imię, nazwisko i adres kompozytora.

Ocenie podlegają nadesłane utwory jako całość — muzyka i tekst. Prace już wykonywane publicznie, nagrodzone lub wyróżnione na innych konkursach lub też publikowane, nie będą brane pod uwagę.

Ostateczny termin nadesłania prac konkursowych upływa z dniem 28 lutego 1967 roku. (Obowiązuje data stempla pocztowego.)

Wyniki zostaną ogłoszone do końca czerwca 1967.

Nagrody — I nagroda Kęs 500,—, II nagroda Kęs 300,—, III nagroda Kęs 200,—.

ZG PZKO w porozumieniu z członkami jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. ZG PZKO zastrzega sobie również prawo pierwszeństwa w wykonaniu nagrodzonych utworów na V Festiwalu Piosenki w Trzynie, który odbędzie się jesienią roku jubileuszowego 1967.



Zagajenie wystawy jubileuszowej Gustawa Fierli. Śpiewa chór żeński PZKO Czeski Cieszyn, dyryguje inż. A. Kaleta. Foto Wł. Wojnar.

Karol Junga (1887-1943)

Prócz środowiska proletariackiego, reprezentowanego przez Komunistyczną Partię Czechosłowacji oraz Polską Socjalistyczną Partię Robotniczą, drugą podstawową siłą społeczną mniejszości polskiej w Czechosłowacji w okresie międzywojennym było chłopstwo, zorganizowane w Związku Śląskich Katolików oraz Stronnictwie Ludowym. Ruch ludowy z natury rzeczy społecznie bardziej zachowawczy, posiada poważne zasługi w dziedzinie rozwoju gospodarki oraz kultury materialnej wsi cieszyńskiej, wyrobienia obywatelskiego, podnoszenia poziomu umysłowego i kulturalnego jej mieszkańców, a przede wszystkim w zakresie kształtowania świadomości i różnych przejawów życia narodowego w środowisku wiejskim. W szeregach tego ruchu nader aktywną rolę w latach międzywojennych odegrał jeden z jego czołowych przywódców Karol Junga.

K. Junga urodził się 28 października 1887 w Żukowie Górnym jako jedyny syn zamożnego gospodarza wiejskiego Józefa i Anny z domu Nogol. Ukończył dwie klasy gimnazjalne w Cieszynie, niższą szkołę rolniczą oraz kursy rolnicze w Wiedniu. Po odbyciu praktyki zawodowej w Towarzystwie Rolniczym w Krakowie, dokąd wysłany został przez Towarzystwo Rolnicze w Cieszynie, osiadł na własnym gospodarstwie w Żukowie. Od wczesnej młodości brał Junga czynny udział w życiu publicznym, zrazu w działalności miejscowego Kółka Rolniczego i Kasy Raiffeisena (której był prezesem), a z kolei w różnych organizacjach i instytucjach o szerszym zasięgu terenowym. Piastował stanowisko radnego gminy Żuków Górny. W grudniu 1912 r. wybrany został do Zarządu Głównego Towarzystwa Rolniczego w Cieszynie. Był założycielem i dyrektorem spółki rolniczo-handlowej „Ziemia” w Cieszynie oraz członkiem Wydziału Opieki nad Kształcącą się Młodzieżą im. M. Grodzickiego w Cieszynie. W tym też czasie powołano go na stanowisko dyrektora Kredytowego Banku Cieszyńskiego.

Począwszy od r. 1908 rozpoczął ożywioną działalność polityczną w szeregach kierowanego wówczas przez ks. Józefa Londzina Związku Śląskich Katolików, politycznej reprezentacji części chłopstwa cieszyńskiego o zabarwieniu konserwatywno-klerykalnym. Z tego tytułu wszedł Junga w jesieni 1918 r. do powstałej w październiku tego roku Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego, prowizorycznego naczelnego ciała prawodawczego Śląska Cieszyńskiego. Na krótko aresztowany, otrzymał w marcu 1919 w myśl specjalnej uchwały sejmowej, mandat poselski do Sejmu Ustawodawczego w Warszawie jako jeden z siedmiu

reprezentantów ziemi cieszyńskiej. Jako poseł był członkiem Klubu Narodowego Zjednoczenia Ludowego, wchodził także w skład Sejmowej Komisji Spółdzielczej.

Po podziale Śląska Cieszyńskiego w lipcu 1920 r. poświęcił się działalności społecznej w jego części czechosłowackiej. Należał do ścisłego grona działaczy reaktywujących na tym obszarze Związek Śląskich Katolików z siedzibą w Cieszynie Czeskim; był współzałożycielem i długoletnim redaktorem organu prasowego stronnictwa, tygodnika czechocieszyńskiego „Nasz Kraj”. Z ramienia Związku, w którym przez cały okres międzywojenny należał do najaktywniejszych członków, wszedł Junga w skład powołanego do życia w r. 1929 Międzypartyjnego Komitetu Wykonawczego, zrzeszającego przedstawicieli trzech polskich partii politycznych na terenie CSR — Polskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, Stronnictwa Ludowego i Związku Śląskich Katolików. W Komitecie tym, odgrywającym rolę nadrzędną reprezentacji politycznej mniejszości polskiej, zajął w pierwszym roku jego istnienia stanowisko prezesa. W r. 1928 został członkiem czechocieszyńskiego zastępstwa powiatowego. W grudniu 1929 oraz ponownie w lipcu 1935 otrzymał Junga nominację na posła „fachowca” do morawsko-śląskiego zastępstwa krajowego w Bernie. Ordynacja wyborcza do zastępstw krajowych przewidywała wybór 2/3 łącznej ilości posłów; pozostałą jedną trzecią powoływał rząd z kręgów fachowców z dziedziny gospodarczej, kulturalnej, spraw narodowościowych i społecznych. Funkcje poselskie sprawował bez przerw do października 1938 r. W ogólnopolskich wyborach parlamentarnych w r. 1929 Junga kandydował na czołowym miejscu z listy „Zrzeszenia Wyborczego Polskich Stronnictw i Żydowskich”; mandatu senatorskiego jednakże nie zdobył.

Podobnie jak za czasów austriackich tak i w latach międzywojennych zainteresowania oraz aktywność publiczna Jungi kierowały się ku zagadnieniom ekonomicznym i rolniczym. Wpłynęło to na zadzierżgnięcie przez Jungę stosunkowo bliskich kontaktów z kierowniczymi kołami agrariuszy czeskich, co z kolei doprowadziło do jego pewnej izolacji w szeregach Związku. Przybrała ona na sile w drugiej połowie lat 30-tych w warunkach zaostrzających się w tym czasie w CSR tarć nacjonalistycznych oraz potęgającej się walki politycznej. W marcu 1938 został drugim wiceprzewodniczącym konstituującego się wówczas Związku Polaków w Czechosłowacji. Warto jednakże podkreślić, że nawet i wtedy pozostał gorącym zwolennikiem współpracy polsko-czeskiej. Przejawem tej posta-



KAROL JUNGA

wy był jego udział m. in. w pracy Klubu Polsko-Czeskiego w Mor. Ostrawie, w którym w kwietniu 1934 wszedł do zarządu.

Przez cały okres międzywojenny należał Junga do czołówki najaktywniejszych działaczy odbudowanego zaraz po wojnie w Cieszynie Czeskim Towarzystwa Rolniczego. Jako współzałożyciel i długoletni faktyczny kierownik „Ziemi — Spółki Rolniczo-Handlowej” w Czeskim Cieszynie, polskiej kooperatywy miejscowych producentów rolnych, był także jednym z głównych organizatorów oraz funkcjonariuszy „Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych na Śląsku Czechosłowackim w Czeskim Cieszynie”, skupiającym około setki polskich spółdzielni kredytowych i innych na terenie CSR. W pierwszych latach istnienia Związku stał (od wiosny 1922) na jego czele jako prezes, z kolei zasiadał w Zarządzie Głównym i Radzie Nadzorczej.

Aresztowany dwukrotnie przez gestapo cieszyńskie w kwietniu 1940 r. oraz 10 czerwca 1941 pod zarzutem przynależności do organizacji podziemnej, osadzony został kolejno w więzieniach w Cieszynie, Zwickau, Katowicach, Bytomiu i z powrotem w Katowicach. Skazany w Katowicach na dwa lata więzienia zmarł w miejscowym więzieniu w dniu 4 lutego 1943 rzekomo z „wycieńczenia”, jak stwierdzono w oficjalnym zawiadomieniu, sądząc jednakże z relacji naocznych świadków, zginął śmiercią gwałtowną.

Doc. dr JÓZEF CHLEBOWCZYK

O PZKO

Mówią przewodniczący Kół

Z okazji rozpoczęcia roku jubileuszowego — obchodów 20-lecia PZKO, zadaliśmy pięciu przewodniczącym Kół pięć jednakowych pytań. Naszymi interlokutorami byli:

Franciszek Halfar, przewodniczący Koła w Lutyni Górnej, przewodniczący JSR.

Władysław Palowski, przewodniczący Koła w Nowym Boguminie, wicedyrektor PDSP w Orłowej II.

Ferdynand Szuścik, przewodniczący Koła w Kocobędzu I, emerytowany robotnik.

Daniel Kadłubiec, przewodniczący Koła w Mistrzowicach, starszy asystent Fakultetu Pedagogicznego w Ostrawie.

Józef Wantuła, przewodniczący Koła w Bystrzycy, pracownik JOK hut trzynieckiej.

A oto pytania, na które nasi rozmówcy odpowiadali:

1. Kiedy i w jakich okolicznościach stałeś się członkiem PZKO?

2. Co sądzisz o posłannictwie PZKO?

3. Jak jest to posłannictwo według twego zdania realizowane?



Jeszcze z występu „Śląska“ w Jabłonkowie: St. Hadyna i Wł. Niedoba. Foto B. Bielan.

4. Jak oceniasz w tym kontekście (dwu poprzednich pytań) działalność ZG PZKO?

5. Jak Koło, którego jesteś przewodniczącym, przygotowało i przygotowuje się do jubileuszu 20-lecia PZKO.

Odpowiedzi naszych rozmówców podajemy w tej samej kolejności, w jakiej uszeregowane są powyższe pytania.

Franciszek Halfar:

1. Do PZKO wstąpiłem jako jeden z pierwszych w czasie powstawania Związku i naszego Koła w roku 1947. Za współzałożyciela się jednak nie uważam. Byłem wówczas młody, pracą związaną z zakładaniem Koła kierowali inni doświadczeni działacze.

2. Posłannictwo PZKO to szeroki temat, ale powiem krótko: PZKO jest obecnie jedyną u nas polską organizacją społeczną. Jest więc dla nas Polaków absolutnie nieodzowną. Trzeba społecznie żyć, trudno inaczej, a nam przecież chodzi również o wyżycie się narodowe.

3. Trudność w realizacji posłannictwa PZKO wynika z niedostatecznego doceniania naszej organizacji przez władze i inne organizacje społeczne. Mamy ciągle za małe słowo... Obecnie jednak zaczyna być trochę lepiej. Odczuwamy to w prasie — szczerzej się pisze o naszych sprawach, jakoś lepiej nas zauważają...

4. Do ZG PZKO mam ciągle żal z powodu niewłaściwego załatwiania dwóch spraw. Są to: sposób, w jaki zwolniono z pracy w ZG byłego kierownika „Bajki“ Ferdynanda Króla oraz brak zdecydowania działaczy ZG PZKO przy zapewnieniu polskiego ślubu koł. Czernerowi, któremu MRN w Dzieńmowicach odmówił udzielić go w języku polskim.

Są to już jednak sprawy bardzo odległe, w ZG jest już inne kierownictwo, współpraca Kół z Zarządem Głównym się obecnie poprawia, wzrasta wzajemne zaufanie. Tym niemniej my w Kółkach potrzebujemy czasem pomocy i ZG powinien z całą energią poprzeć nasze uzasadnione potrzeby.

5. W związku z jubileuszem mamy duże plany. Chcemy wznowić działalność wszystkich zespołów, jakie w tym dwudziestolecu posiadaliśmy. Posiadamy szczegółowy plan imprez — na sarny tylko październik planujemy wieczór

światlicowy, przedstawienie teatralne i pierwszą prelekcję z cyklu „O naukowy światopogląd“.

Władysław Palowski:

1. Do PZKO wstąpiłem z chwilą powstania Związku. Początkowo jednak nie angażowałem się zbyt w pracę związkową, ponieważ gro wysiłków skierowywałem na pracę w SMP, którego byłem współzałożycielem i działaczem — przewodniczącym ZP w powiecie karwińskim. Dopiero po rozwiązaniu SMP „przeszedłem“ do aktywnej pracy w PZKO.

2. Uważam, że sama nazwa i same założenia PZKO precyzują jasno jego posłannictwo: organizować pracę kulturalno-oświatową, wychowywać, pomagać w realizacji zadań ogólnospołecznych, bo tam, gdzie jest dobra współpraca z resztą organizacji społecznych, mamy i my lepsze wyniki pracy, co za-uważamy ostatnio w naszym Kole.

3. Na ogół Związek wywiązuje się z swych zadań. Świadczą o tym uchwały zjazdowe — ich treść oraz realizacja. Jeśli chodzi o Koła, to już raczej sprawa ich możliwości, bo chęci są raczej wszędzie.

4. Jako członek ZG wypowiadałem swe uwagi na jego forum. Tym niemniej należy się zastanawiać nad nowymi młodymi kadrami. Szczególnie w aparacie związkowym.

5. Wprowadzamy formy klubowe. Udaje nam się to. Na sobotnim ognisku było ponad 100 osób. Poprzez pracę klubową chcemy wciągnąć do aktywnego życia PZKO jak najliczniejszą rzeszę członków. Obecnie uczestniczy aktywnie w tym życiu około 30 % z ogólnej liczby 282 członków Koła, a chcemy podnieść ten stosunek do ponad 50 %.

Ferdynand Szuścik:

1. Jestem członkiem od założenia PZKO, uczestniczyłem przy zakładaniu Koła w naszej wiosce.

2. Związek polski musi się aktywnie troszczyć o nas Polaków. Powinien z roku na rok aktywizować swą pracę. Musimy wymyślić takie formy pracy, które by konkurowały z telewizją i odpowiadały naszym dzisiejszym potrzebom.

3. Obecnie jest trochę lepiej. Odnosne czynniki mają więcej zrozumienia dla naszych potrzeb takich jak dwujęzyczność itp.

4. Nie mam doświadczeń. Jestem pierwszy rok przewodniczącym Koła. Praca jest trudna... Czego potrzebowaliśmy od ZG, to nam zapewniono. Przykładem może być nasza świetlica wyadaptowana przy poparciu ZG PZKO. Szkoda, że ten piękny lokal nie jest jeszcze przez nas należycie wykorzystany, że jest w nim jeszcze mało życia — prób, zebrań klubowych itp.

5. Na razie nie mamy sprecyzowanych planów. Wróciłem niedawno z sa-

JUBILEUSZ WESOŁEJ SIÓDEMKI

W dniu 30 września 1956 r. odbył się w Karwinie VI pierwszy występ tego PZKO-wskiego zespołu śpiewaczego. Od tej chwili minęło już 10 lat. Wesoła Siódemka obchodzi w roku bieżącym swój jubileusz pracy śpiewaczej. Stan członków zespołu podniósł się z siedmiu do trzy-nastu. Siódemka śpiewa z akompania-mentem grupy gitarowej i posiada parę konferansjerów. Zespół PZKO w Karwi-nie VI jest znany na naszym terenie od Bogumina po Bukowiec i Mosty.



A oto kilka ciekawostek z kroniki ze-społu: w ciągu 10 lat odbyło się 160 wy-stępów. Występy oglądało około 60 tys. widzów. Zespół odbył 600 dwugodzin-owych prób. Członkowie podróżowali na występy około 3.800 km. Wywieszono 120 piosenek, 16 monologów, 12 utworów mu-zycznych, 3 scenki i trzy tańce-groteski. Siódemka wystawiła 4 programy cało-wieczorowe. Pięć razy wyjeżdżał zespół do Polski, gdzie dał 9 występów. Jego występy cieszą się zawsze powodzeniem. Członkowie siódemki przygotowują obec-nie swój program jubileuszowy pt. „OD BAJÓ BONGO...”, który będzie prze-głędem 10-letniej pracy. Uroczysty kon-cert jubileuszowy odbędzie się 27 listo-pada br. w Karwinie.

PODZIĘKOWANIE „ŚLĄSKA“

Na pewno warto jeszcze raz wrócić do gościnnych występów „Śląska“ na na-szym terenie, tym bardziej, że wraca do nich nawet kierownictwo zespołu, które przesłało do sekretariatu trzynieckiego JOK-u serdeczne podziękowanie za goś-cinność i opiekę. Cytujemy wyjątki z prze-słanego do Trzyczna listu:

„Jeszcze raz serdecznie dziękujemy za niespotykaną gościnność i opiekę. Cały zespół jest bardzo zadowolony z pobytu i szczęśliwy, że doszły do skutku kon-certy w wyjątkowo pięknej oprawie bes-kidzkiej dla niemniej wyjątkowo sympa-tycznej publiczności. Na długo pozostaną nam w pamięci wrażenia z pobytu u Was. Wspaniałym kryształem (dar RZZ huty trzynieckiej) jest zespół oczarowany i serdecznie zań dziękuje. Będzie on u-mieszczony na honorowym miejscu w na-szym muzeum pamiątek.”

Jak widać zadowolenie i wspomnienia są obustronne. Wszyscy, którzy koncerty „Śląska“ w Jabłonkowie oglądali, również chętnie wspominają te chwile.

TRADYCYJNY FESTIWAL PIOSENKI

„Festiwal Piosenki“ urządzany corocznie przez Koło PZKO w Lesznej Dolnej przy współpracy ZG PZKO odbędzie się w ro-ku bieżącym w sobotę 22. 10. w sali Do-mu Ludowego w Trzyczcu. Festiwal bę-dzie, podobnie jak i w latach poprzednich,

natorium... Musimy się jak najprędzej zastanowić w zarządzie i zabrać do pracy.

Daniel Kadłubiec:

1. Do PZKO wstąpiłem bodajże w ro-ku 1953 w swej rodzinnej Karpętnej. Ojciec był aktywnym działaczem miejs-cowego Koła. Wciągnięto mnie do ze-społu amatorskiego i występowałem ja-ko „zalatnik“ w „Zalotach na kwate-rze“ (reżyserował Jan Jurczok). Po pro-stu stopniowo wsiąkałem, najpierw fak-tycznie, a potem formalnie.

2. Znaczenie PZKO dla Polaków w Czechosłowacji jest tak ogromne, że nie sposób go lapidarnie sprecyzować.

Widzę je przede wszystkim:

W rozbudzeniu świadomości narodo-wej.

W rozszerzaniu horyzontów myślo-wych naszego społeczeństwa. — Można tu zaliczyć i politykę i kulturę — wszy-stko.

W konieczności większego niż dotych-czas zainteresowania się naszą prze-szłością. Mam na myśli historię (nasz wkład do walki z okupantem np.), ludo-znawstwo i ocenę naszego dorobku na tym polu.

3. Jeśli chodzi o rozbudzanie świado-mości narodowej, w ostatnim czasie dzięki organowi prasowemu ZG PZKO „Zwrot“, dochodzi do korzystnej popra-wy pod tym względem. Sam miesięcz-nik nie może jednak podobać ogromowi zadań na tym odcinku. — Należałoby na każdym kroku podkreślać znaczenie poczucia narodowego, jako zasadnicze-go znaku charakteru człowieka. Poka-zać szersze aspekty tego zagadnienia, nie dopuścić do jego wulgaryzacji i związanych z tym pojęć szowinistycz-nych.

Na polu kultury jest działalność PZKO najrozleglejsza.

Zadziwia mnie wielka obojętność i nonszalanca wobec spraw tak istot-nych, jakimi są: tradycje naszego ludu, język itp. Na przykład na apel sekcji folklorystycznej ZG do Kół i szkół pol-skich w sprawie zbierania materiałów, dotyczących naszej kultury duchowej i materialnej, odpowiedziały tylko dwie szkoły — obie z Karwińskiego. Komu ma być bliższa ta sprawa, jak nie członkom PZKO?

4. Każda organizacja musi mieć swój naczelnny organ, który stawia przed nią zadania i cele i czuwa nad ich realiza-cją. Nie ulega wątpliwości, że wkład pracy naszego ZG jest tutaj bezsprzecz-ny.

Od pewnego czasu tracimy, nie wiem czy z winy ZG, kontakt z Polską na polu kultury. (Dawniej był Kędra, Eu-genia Umińska, Grażyna Bacewicz, po-tem „Śląsk“ — od paru jednak lat nie spotykamy u nas nic podobnego ze szkoda dla pogłębiania poczucia naro-dowego i kultury naszego społeczeń-stwa). Czyżby brak odwagi w realizo-waniu takich przedsięwzięć?

5. Od dwóch lat praca w Kole mis-

trzewickim zaczyna nabierać rozpędu. Postanowiliśmy pokazać w roku jubi-leuszowym dorobek i znaczenie PZKO dla rozwoju naszej wsi (wystawa osią-gnięć Koła, świetlica, rewia), chcemy w jeszcze większym stopniu zintensywnić działalność Koła na wszystkich odcin-kach i to nie tylko w roku jubileusz-o-wym, lecz i w latach następnych.

Józef Wantuła:

1. Zaraz po wojnie odczuwaliśmy wszyscy dawni społecznicy potrzebę zorganizowania się w jakiejś polskiej organizacji kulturalno-społecznej. Myśl założenia PZKO przywitaliśmy z du-żym zadowoleniem. Sprawa wstąpienia za członka do powstającego związku była raczej tylko formalnością, wyni-kającą z mych zainteresowań i stosun-ku do pracy społecznej.

2. PZKO jako organizacja społeczna jest na pewno potrzebna i w wielu wy-padkach pożyteczna. Nie należy jednak mylić pojęć, uważając nasz Związek za jakąś organizację polityczną czy jako jedyne przedstawiciela naszej mniej-szości narodowej. Jako organizacja kul-turalno-oświatowa ma PZKO obok po-zostałych organizacji Frontu Narodo-wego również obowiązki ogólnospołecz-ne. Dlatego w naszej pracy należy po-łożyć jeszcze wyraźniejszy nacisk na problemy pracy kulturalno-oświatowej z pełnym uwzględnieniem jej znaczenia dla bytu narodowego mniejszości pol-skiej i właściwie pojętych zasad patrio-tyzmu socjalistycznego.

3. Uważam, że zarówno zaangażowa-nie się polskiego społeczeństwa do pra-cy społecznej, nawet czysto kulturalno-oświatowej, jak również problemy na-rodowościowe są nie zawsze należycie respektowane i oceniane przez władze. Do pełnej realizacji zadań statutowych i założonej koncepcyjnych naszego Związ-ku jest jeszcze dosyć daleko. Mam wra-żenie, że obecnie oddalamy się nawet coraz bardziej od tych spraw. Brak cza-su, wygodnictwo, trudności z aktywiza-cją większości naszych członków prze-rastają nasz zapał, nasze zdolności or-ganizacyjne i dotychczasowe doświad-czenia.

4. Jako niedostateczną. W roku jubi-leuszowym spodziewałem się znacznie większej aktywności i pomysłowości w pracy zarówno od pracowników eta-towych, jak i organu wybieralnego.

5. Chcemy głównie zaktywizować większość naszych członków. (Mamy ich przeszło 500), pozyskać młodych do pracy społecznej. (W PZKO są już mło-dzi organizowani.) Zostawić młodzieży wolną rękę w wyborze kierunku tej pracy. Bołączką jest u nas praca zespó-lów. Trochę kłopotu będzie z masowym udziałem w Festiwalu jubileuszowym i z budową świetlicy. Musimy sobie ja-koś dać radę i odpowiednio podzielić pracę w zarządzie Koła. Tych chętnych i aktywnych jest stale za mało, albo są przeładowani pracą.

Lato jest porą, kiedy to koncentrują się soki wiosny, przekształcają w owoc, sygnalizując zbliżającą się jesień. Nie mam zamiaru stawiać równania między porą roku, a drugą książką sympatycznego Władysława Sikory „Lato”, która ukazała się nakładem ostrowskiego wydawnictwa „Profil” staraniem Edycji Polskiej, i to w fantastycznym nakładzie 2.500 egzemplarzy. Kto wie, jak trudno dzisiaj o wydanie tomu wierszy, z jakim trudem ustanawia się wysokość nakładu, który rzadko kiedy przekracza tysiąc egzemplarzy (kiedy to 500 egz. staje się jakąś przeciętną normą w skali krajowej), przyjmuje wysokość nakładu wierszy Sikory ze zdziwieniem. Wiemy wszak, że większość nakładu zakupiła warszawska „Ars Polona” na rynek polski, co jest zjawiskiem pocieszającym, ułatwiającym konfrontację twórczości naszych polskich autorów z wysiłkiem twórczym generacji literackiej w Polsce.

Przyznam się, że nie pisałem o zbiorze Sikory (zrobiłem to w prasie czeskiej), gdyby nie recenzja Edmunda Rosnera w 9 nr „Zwrotu”. Czynię to również dlatego, że książka ta daje możliwość kilku interpretacji.

Najwięcej zadziwiła mnie w podejściu Rosnera ostre zaakcentowanie dwóch stanowisk, z pozycji których można tomik Sikory oceniać. Punkt widzenia ludowego konsumenta, a stanowisko zorientowanego, ba, wykształconego czytelnika. W takim razie jest rzeczą zrozumiałą, że dla kategorii pierwszej muszą być wiersze Sikory niejasne, niewyraźne, oderwane od tradycji i posłannictwa poezji — jak się mawia w regionie Sikory — i że tej drugiej kategorii czytelników nasuwa się niejedna analogia z współczesną młodą poezją w Polsce.

Problem twórczości Sikory spoczywa gdzie indziej, jej interpretacja jest o wiele bardziej złożona, niż naznaczył Rosner w swej recenzji. Rosner interpretuje Sikorę z uproszczeniem, wybiera z niego zrozumiałość i niezrozumiałość, przy czym, tak mi się wydaje, byłoby ważniejsze zastanowić się nad tym, kiedy jest Sikora taki czy inny, co w danej chwili prawie stara się rozwiązać i czy ta jego postawa jest w zgodzie z jego wewnętrznym rozwojem, z rozwojem poety.

Debiut Sikory „Próg” (KNO 1961) sygnalizował kilka możliwości autora. Sikora był tu poetą refleksji i metaforycznych pieśni, był poetą oszczędnego wyrażania przeżyć, w jego książce pulsował również lęk o człowieka. „Progiem” Sikora wstępował w prąd czasu i dziejów. Kompozycja i tematyka zdradza rodowód Sikory.

Popatrzymy jak Sikora buduje swoją drugą książkę — z małych poematów, czyli z czegoś, co samo o sobie warunkuje epiczne i refleksyjne możliwości. Ich nazwy: Lato, Drzewa, Dom. Od zło-

zonych abstrakcji przechodzi do konkretnego, wreszcie do akcentów najintymniejszych. W tym układzie kompozycyjnym czuję świadomy zamiar poety, godny szacunku. Sikora wyciąga z współczesnej sytuacji obywatelskiej i literackiej stereotypy, można rzec sprawy wyświechtane i znane. Tylko sedno jest w tym, że sprawy wyświechtane i znane rozpatruje przez pryzmat własnej osobowości i po przeczytaniu jego książki okazuje się, że obcuje z pełną interpretacją dzisiejszego człowieka i świata w jego pojęciu, chociaż możemy z nią polemizować. [Np. Kiedy człowiek z „Lata” nie jest identyczny z człowiekiem z „Domu”, przez co zakłóca wewnętrzną strukturę zamiaru]. Jeśli rozumiemy „Próg” jako wstęp do literatury, można uważać „Lato” za rozszerzenie możliwości autora w kierunku zintensywnienia myślenia o człowieku i jego problematyce. Najcenniejszą zaletą „Lata” jest to, że Sikora potrafił przeciwstawić się zastanym tradycjom, szukając i walcząc o własne pojęcie poezji i świata. Przez to — przynajmniej dla mnie — staje się coraz wyraźniej indywidualnością twórczą.

To, że Sikora jest nietradycyjny, że jest mało zrozumiały, że się trudno czyta, że... Świadczy tylko, że Sikora nie udaje, że nie pozuje, wie, że walka o poezję jest walką o identyfikację jego czasu, jego kraju. To nie znaczy, by negował tradycję. W konsekwencji swego rozwoju naznacza jak rozumie tradycję, a jak wewnątrz niej chce rozszerzać miejsce dla nowych twórczych autorskich możliwości. Zresztą 5 lat upłynęło od wydania jego debiutu, 5 lat wątpliwości, nękających niepewności, walki o własne stanowisko i własną twarz.

Rosner w swej recenzji stara się ustawić poetę w kontekście danej jego działalności. Słusznie. Działalność Sikory w krytyce, dziennikarstwie, w prozie nie jest marginesowa. Oceniając jednak jego autorskie możliwości sądzę, że najważniejszą domeną Sikory jest poezja, której miałby poświęcać większość swych sił.

Nie ulega wątpliwości, że obok Jasiczka wnosi Sikora swój wyraźny wkład do twórczości środowiska polskiego w Czechosłowacji, wzbogaca jego twórcze możliwości. Już choćby z tych względów krytyka powinna śledzić z uwagą rozwój jego twórczości, zarówno nie może nam przeszkadzać, by krytyka w interesie dokładnej interpretacji twórczości w przyjaznej atmosferze skrzyżowała nad nią swoje pióra.

Nie jestem wróżką, ale wróżę Sikorze dobry los poety. Z niejedną bolesną porażką, z niejednym zwycięstwem. Jak już to w życiu bywa, w tym życiu, którego kształt poeta w swej drugiej książce z takim poczuciem odpowiedzialności kreśli.

OLDŘICH RAFAJ

przeglądem naszych piosenkarzy oraz naszej rodzimej twórczości piosenkarskiej. Popularna już — szczególnie wśród młodzieży — impreza, zapowiadana się w tym roku bardzo atrakcyjnie. Wzbudziła na pewno żywe zainteresowanie „nastolatków” i dalszych miłośników piosenki.

MALI TANCERZE W DARKOWIE

W ramach uroczystego zagajenia MOK i P oraz roku jubileuszowego odbył się dnia 2 października br. w Domu Robotniczym w Darkowie występ zespołu rytmiki i baletu ZG PZKO oraz Domu Kultury kopalni Gottwald w Suchej Górnej. Imprezę zagał przewodniczący Koła W. Sembol, który w krótkich słowach przypomniał znaczenie miesiąca oświaty oraz zadania roku jubileuszowego.

Program artystyczny wykonany przez małych tancerzy oraz zwycięzców konkursu recytacji nagradzany był gorącymi brawami licznie zebranej publiczności. Zaznaczamy, iż poprzedniego dnia odbyło się zapalenie ogniska z bogatym programem kulturalnym. Publiczność jednak i tym razem dopisała i odchodziła po programie bardzo zadowolona. Mniej jednak zadowoleni byli akompaniatorzy, którzy musieli dokonywać cudów, by na instrumencie z daleka tylko przypominającym dobry fortepian zadowolić tancerzy i widzów.

Oprócz całej masy imprez, które to ruchliwe Koło ma zamiar urządzić, przygotowują zespoły całonocny program, z którym zamierzają wyjechać do terenu.

SPOTKANIE ABSOLWENTÓW INTERNATOWYCH KURSÓW

W dniach 8—9 października br. oraz 15—16 października br. odbyły się z ramienia ZG dwudniowe odprawy szkoleniowe w ośrodku szkoleniowo-wczasowym PZKO w Koszarzyskach. Pierwsza odprawa odbyła się dla absolwentów internatowego kursu pracy świetlicowo-klubowej i estradowo-kabaretowej, w której udział wzięli również członkowie danych aktywów przy ZG.

W programie odprawy były omawiane i praktyczne zajęcia z zakresu adaptacji i inscenizacji materiału poetyckiego, opracowanie scenariuszy widowisk plenerowych. Wykłady i zajęcia prowadził prof. Marian Mikuta z Katowic.

Druga odprawa odbyła się dla absolwentów internatowego kursu kierowników pracy z dzieckiem, w programie której było praktyczne opracowywanie programów świetlic dziecięcych oraz ich przeprowadzenie. Wykłady oraz praktyczne zajęcia prowadzili ob. Zofia Kowalczyk, Tadeusz Rzyman i Jan Michalik.

SPOTKANIE NAUCZYCIELI-EMERYTÓW

19 października odbędzie się kolejne zebranie nauczycieli-emerytów. W programie przewidziane jest sprawozdanie z dotychczasowej pracy kółka oraz referat o początkach szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim. Zainstalowana będzie również wystawka starych podręczników szkolnych (K. Marki, J. Śliwki, A. Karella i in.).

KONKURS KRONIK PZKO

Na wiosnę br. ogłosił ZG PZKO konkurs o najlepiej prowadzoną kronikę Koła. Udział w konkursie zgłosiło 20 kronikarzy. Oceny ich pracy dokona powołane przez ZG jury w listopadzie br.

Należy jeszcze zaznaczyć, że ZG zorganizował w grudniu ub. roku oraz w lutym i marcu br. szkolenie kronikarzy, w którym wzięło udział 68 osób.

SPOTKANIE STUDENTÓW

28 października br. o godz. 16 odbędzie się w salce ZG PZKO w Cz. Cieszyńskie spotkanie studentów — członków Kół z ośrodków akademickich.

II JESIENNE RANDEZ-VOUS

organizują na zakończenie MOKiP Zarząd Główny wspólnie z Redakcją „Głosu Ludu”. Impreza, pomyślana znów jako młodzieżowa, odbędzie się w Cz. Cieszyńskie, we wtorek dnia 15 listopada br. o godz. 16.30. W programie dużo niespodzianek i orkiestra Zbyszka Brzuski. Bilety w cenie Kcs 5,— można będzie nabywać od 1. 11. w sekretariacie ZG PZKO i w Księgarni Polskiej w Cz. Cieszyńskie.

Apelujemy do wszystkich młodych i tych, którzy czują się młodo, by przysili, popatrzeli, posłuchali, pogawędzili i potańczyli w gronie przyjaciół.

JUBILEUSZOWY PRZEGLĄD TEATRÓW AMATORSKICH

W roku jubileuszowym z okazji 20-lecia PZKO organizuje Aktyw Teatralny przy ZG PZKO przegląd zespołów teatralnych.

Celem przeglądu jest wzmoczenie aktywności pracy wszystkich zespołów teatralnych w okresie roku jubileuszowego oraz poszerzenie wachlarza ich repertuaru, jak również zainteresowanie pracą twórczą z zakresu adaptacji, widowisk, montaży, obrazków scenicznych czy skeczy.

Przegląd nawiązywać będzie do osiągnięć lat minionych okresu dwudziestolecia, będzie podsumowaniem pracy zespołów oraz ukazaniem ich dorobku.

W jubileuszowym przeglądzie będą mogły brać udział wszystkie zespoły teatralne bez względu na dotychczasowy podział kategorii.

Apelujemy do wszystkich naszych zespołów i miłośników żywego słowa o wzięcie udziału w przeglądzie, by w ten sposób przyczynić się do uczczenia naszego jubileuszu.

SZKOLNE GRY SPORTOWO-RUCHOWE

W ramach współpracy ze szkołą, ZG PZKO, dział świetlicowo-klubowy, organizuje z okazji roku jubileuszowego całoroczne współzawodnictwo drużyn szkolnych w grach sportowo-ruchowych.

Współzawodnictwo obejmować będzie wszystkie PDSP, które podzielone zostaną do 3 kategorii.

ŻYWE TEKSTY, ŻYWE PIĘŚNI

Jako jedni zawodzili z królewskóm ceróm

Roz był jedyn łojciec a miał jednego syna. A tyn łojciec już był stary, już też pracować ni mógł. I powiadał tak tymu synowi: „Synu, na jidź kany do świata, puść sie a zarób co, bo biyda jest. Jo już ni mogym pracować, a tyś takim siłaczym je, że poradzisz strómy z korzyniami targać jak jakim marekiew.”

No i tóż tyn syn sie wybroł do świata. I jidzie, jidzie, tu sie zebroł z jednym. A po jednej nodze skocze. Tóć drugóm miał zdrowóm. I pyto sie go: „Ty, na cóżes je za jedyn? Dyć po jednej nodze skoczesz?” — „Jo je Listonosz. No a gdybych po łobóch nogach skokoł, to by sie mi do wieczora nudziło. Ni miałbym co łoblatować. I tóż po jednej nodze skoczym, a jeszcze mi nadbywo tego dnia.” — „Pój symnóm, bedymy razem wandrować.” No, byli dwo.

Jidóm dali, tu zaś jedyn lezi tak na brzuchu na ziymy, a jedném dziurkym w nosie przitkoł palcym, a jako drugóm dziurkóm. — „Na ty cóż to robisz?” — „Ja, jo je Wiater. Tam to piyńć mil sóm wiatrowe mlyny, a jo na nich jedném dziurkóm duchóm, a łóny sie łobracajóm. Dybych duchnył łobiyma, tóż by to wszecko zebrało.” — „Poj z nami.” Nó i tóż szel ś nimi.

No i tu zaś jidóm dali. Nó tóż zaś na-

No a za tym miastym, jako miał tóć stolicym, było jakisika zdródło. Mineralno woda. No a tóż tyn król powiedział tak: że gdo pujdzie w zawody z tóć jego ceróm, a gdo piyrzsi prziniesie tóć wodym tam z tego zdródła, że mu do tóć cerym a to królestwi. Nó i że byli rozmaici rycerze, ale łóna wdyczki piyrzso prziszła. A każdego, kiery przegroł, tyn król jeszcze kozoł ścióńć. Ze albo dostanie królestwo, albo łó głowym przidzie.

No i ta banda, co sie zebrała, tak: „Podźmy do tego króla.” No i tam sie przedstawili. Nó, że słyszeli, że tam w zawody jidóm rozmaici rycerze do tego zdródła po tóć wodym. Tak wysłali tego Listonosza. Na i tyn król jim powie-dzioł: ja, że łón dotrzimie słowa, jyny że jim zwraco łuwagym, jak ale łóna przidzie rychli, że to beje głowym kosztować. Nale ci już tam nie. Tóć tyn si-lacz powiada: „Ty Listonoszu, bier sie ty do tego. Ty mosz nogi dobre.” Nó tóż tyn król doł tej cerze żbónek, a tymu też. A razem lecieli. Ale Listonosz se jeszcze legnył. A ci drudzy na niego: „Ty człowiecze, czyś zwaryjował, czy co? Łóna już jidzie naspadek z tóć wodóm, a ty tu jeszcze leżisz.” — „Ale jo jeszcze dość dóńdym.” Jak łobiyma nogami zaczęł mierzać, tak jednako prziszel piyr-szi. Na był piyrzsi, co jóm pokónoł.



Ilustrował Br. Liberda.

potkali jednego chłopca. No tóż myckym miał na głowie, a jyny tak na pół wciógnionóm. — „Na ty cóż tak na pół głowy mosz wciógnionóm tóć myckym?” — „Jo je Mróz. Jak bych wciógnył na łoba łuszi tóć myckym, tak pto-ki bedóm marznąć a wszecko.” — „Poj z nami. Też sie przidosz.”

No, jidóm dali. Tu sie zaś zebrale z jednym, co łogryzoł korzynie rozmaite. — „Na ty cóż to robisz?” — „Jo je Głód. Coch miał, toch zeżroł, a teraz skurym łogryzóm po strómach.” — „Poj z nami, może sie przidosz.” No i tóż jidóm.

A był jedyn król. Miał jedném cerym.

Tymu królowi sie to nie podobało, że tak łobiecoł lekkomyślnie królestwo. No ale tóż łóni zaczęli mówić — cało ta party: Tóż nas je tela, a to je jedna córka. Tóż dzielić sie tam nie bedymy. Tóż my już tej córki nie chcemy, ale piniyndzy kiela mosz w zamku, to chcemy wszecko.” Nó tóż król też sie zaczął haczyć. Nó, że wszecki pinióndze dać, że co se myślóm. A tyn siłacz jak szel, a z kraja kopnył do tego zamku, tak pół zamku sie rozleciało, jak dyby do krowi-fica kopnył. No i powiada tyn siłacz tak: „O królu, nie tak sie cygóna bije. My zrobili zakład, a nie ci nie pumoże.”

Nó i tu król widzioł, że swoje nie do-
pnie, ale że jeszcze jednóm prubym do.
Tak naporyncził łokropnie wołów sklu-
dzić, a zabić, a przwiwżyć do tego miasta
na rynek. No a powiedzioł, że jak to ze-
żeróm, że potom jich już wypłaci.

Nó i tóż naskludzali masorze tego na
rynek. No a teraz król kazowoi, aż to
zeżeróm. A ta drugo partyj zaś tymu
Głodu: „Ty, Głodzie, ty sie tego chytej.”
Tyn to zeżroł wszecko, a jeszcze wrzesz-
czoł, że mo mało. Że jak dyby nic nie
zeżroł.

No tu już widzioł tyn król, że już
wyjšcio ni ma. Nó i tóż że już potom
doł ty pinióndze, kiela było w tym zam-
ku. A tyn siłacz zebroł jakisika mieszkisko
i tóż już to tam wsuli wszecko. A siłacz
tym chynyl jak pacharzinóm. — „A tóż
królu, to już wyncej ni mosz, jyny
tela?” — „Niestety ni mam” — rzekł
król. I drap mu korónym z głowy — tyn
siłacz, i buch ś nióm do tego miecha. No
i poszli z tego zamku.

Wyndóm za miasto, ja, sto diasów ka-
ny, ty król sie rozeżroł, że zebroł wsze-
cki pinióndze, jeszcze mu zedrził koró-
nym z głowy i wojsko za nimi posłoł.
Że jich wymordować. Ci sie łobezdrzili,
pojedni prawili: „Zginymy.” A tyn Głód
powiadi: „Gdzie tam zginymy.” Spuścił
galaty, a jak drzisnył z tych wołów, tak
z tym wojskym był kóniec. A tyn Mróz
sie zaś łobrócił, myckym wciógnnył i
łuni w tym wszeckim zamarzli. Ci za-
marżnióni byli, ale drugo ta rezerwa leci
za nimi fórt. A tu tyn Głód prawi: „No,
jeżeryna, byda z nami jest. Joch co mioł,
tożech już wypróźnił.” Tyn Wiater pra-
wi: „Musiałoby mnie tu nie być.” Jak
szeł, a łobiyma dziurkami fuknył, tóż
wszecko wojsko tak leciało w łufcie, jako
dyby plevy wiater zebroł.

I poszli. I podzieliłi sie i majóm sie
dobrze.

★

Powyższa baśń, którą zapisałem u J.
Jeżowicza, jest znana w europejskiej tra-
dycji ustnej. Nic też dziwnego, że w pol-
skiej systematyce bajkowej J. Krzyża-
nowskiego (T 513 — AaTh 513) znajdzie-
my 16 jej wariantów. Do rozpowszeche-
nienia tego wątku przyczyniły się niezli-
czone wydania baśni braci Grimmów,
wśród których nasza opowieść też się
znajduje. Porównajmy zatem te dwie wer-
sje (uwzględniam nast. wydanie: Wil-
helm i Jakub Grimm, Baśnie, Nasza
Księgarnia, Warszawa 1956, str. 38). We
wstępie wariantu grimmowskiego nie ma
ojca, który posyła syna w świat. Jest tu
tylko dzielny żołnierz w towarzystwie
niezwykłych kompanów. Wśród nich jest
Siłacz (wyrwał z ziemi sześć drzew),
Myśliwy (z odległości dwóch mil wy-
strzelił musze lewe oko), Wiatr (popisu-
je się jak u Jeżowicza), Szybkiebiegacz
(odpowiednik naszego Listonosza), Mróz
(jak u Jeżowicza). Motyw zawodów w
obydwu wersjach jest taki sam, Grimmo-
wie wprowadzają jednak do akcji Myśli-

wego, który celnym strzałem wytrąca
czerep koński spod głowy śpiącego Szyb-
kiebiegacza i w ten sposób pozwala mu
na zorientowanie się w bardzo niesprzy-
jającej dla niego sytuacji (podczas snu
królowna wylała mu wodę). Mróz ma
u Grimmów inną rolę. Oziębła tempera-
turę, kiedy król chce spalić wszystkich
śmiałków. W wersji niemieckiej król nie
stawia warunku skonsumowania wołów,
bo i Głód tutaj nie występuje. Z tego też
powodu wariant Grimmów jest pozbawio-
ny bardzo pikantnego epilogu o utopie-
niu pogoni w ekskrementach. Radzi sobie
z nią doskonale tylko sam Wiatr. Różni-
ce więc dotyczą w większości tylko de-
talów, ale i z poważniejszymi się spoty-
kamy: motyw zawodów, występujące po-
stacie. Te właśnie elementy posiada wer-
sja czeska (V. Tille. Soupis českých po-
hádek, II, 373), która od grimmowskiej
różni się zasadniczo tylko wstępem. Za-
leżność genetyczna jest tutaj więcej niż
prawdopodobna.

Dla ułatwienia orientacji katalogi baj-
ki ludowej przedstawiają opowieści w
sposób strukturalny. Rozbijają je na mo-
tywy (cyfry rzymskie) i drobniejsze ele-
menty (litery). Trzymając się tej zasady,
możemy wersję Jeżowicza zapisać w na-
stępujący sposób: T 513 (numer wątku
w katalogu bajkowym) II abcdg — III
abcg. Jeżeli przedstawimy tak samo
strukturę wszystkich porównywanych pa-
rałel, możemy bardzo dokładnie wyróż-
nić ich cechy wspólne, co z kolei ułatwi
nam sklasyfikowanie danej wersji, usta-
lenie jej migracji itp. Wszystkie warianty
polskie, z jednym tylko wyjątkiem,
posiadają motyw I, w którym (a) mło-
dzieńca okazuje życzliwość starcowi,
zlekceważonemu przez starszych braci
i (b) dostaje od niego lub wedle jego
wskazówek buduje łódkę biegnącą po łą-
dzie, (c) za którą król przyrzekł rękę
córkę, (d) i rusza w konkury. Motywu
tego nie znajdziemy w wersjach: Jeżo-
wicza, Grimmów, czeskiej, co stawia je
w pewnej opozycji względem tych pier-
wszych. Prowadząc takie porównania
możemy powiedzieć, że najbardziej zbli-
żone do opowieści Jeżowicza są warianty:
Grimmów, czeski i kaszubski, przy-
czym zastanawiające jest wielkie podo-
bieństwo tego ostatniego z wersją nie-
miecką (chyba bezpośrednie powiązanie
genetyczne).

Nie znam wprawdzie większej ilości
materiału dowodowego, ale i na podsta-
wie jego niewielkiej części można by
stworzyć hipotezę o istnieniu redakcji
wschodniej i zachodniej wątku T 513.
Obecność czy nieobecność motywu I by-
łaby tutaj jednym z najważniejszych
znaków rozróżniających. Jeżeli przyjmiemy
taki układ, to wersja cieszyńska na-
leżałaby do redakcji zachodniej. Grim-
mowie wpłynęli na nią chyba w sposób
zasadniczy. To jest jednak tylko hipote-
za, która, by zyskała podkład naukowy,
wymagałaby opracowania monograficz-
nego omawianej opowieści.

DANIEL KADŁUBIEC

Kategoria I — szkoły 1—2-klasowe
(startują 3-osobowe drużyny dziewcząt i
chłopców), II kat. — szkoły 1—5-klaso-
we, łącznie z klasami pełnych dziewięcio-
latek (startują 6-osobowe drużyny dziew-
cząt i chłopców), III kat. — PDSP 6—9
klasa (startują 6-osobowe drużyny dziew-
cząt i chłopców).

Współzawodnictwo odbędzie się w czte-
rech etapach. I etap to eliminacje we-
wnątrzszkolne, które zakończą się 31.12.
1966, II etap międzyszkolne eliminacje
obwodowe — do 15 maja 1967, III etap
międzyszkolne eliminacje powiatowe — do
15 czerwca 1967, zaś w IV etapie odbę-
dą się finałowe eliminacje na Jubileuszowy
Festiwalu PZKO w parku Bożeny
Némcowej w Karwinie — w sobotę 1 lip-
ca 1967 roku.

Dla zwycięskich drużyn, biorących u-
dział w eliminacjach finałowych, przewi-
dzone są nagrody pieniężne.

Organizatorzy spodziewają się licznego
udziału drużyn szkolnych w wymienio-
nym współzawodnictwie.

TRZYNIECKI „HUTNIK” DO WARSZAWY

Na zaproszenie warszawskiej „Harfy”
wyjeżdża w bieżącym miesiącu na kilka
koncertów do Warszawy i okolicy trzy-
niecki zespół śpiewaczy „Hutnik”. Zespół
wyjeżdża w swym pełnym składzie: chór
żeński, męski i mieszany i da jeden ze
swoich koncertów w salach Filharmonii
Warszawskiej. Za swą ofiarną pracę trzy-
niecki „Hutnik” na pewno na takie wy-
różnienie zasługuje.

HALINA CZERNY-STEFANŃSKA GOŚCIEM TRZYŃCA

W swym planie imprez kulturalnych
na rok 1967 uwzględni hutniczy ośrodek
kulturalny (JOK) kilka atrakcyjnych kon-
certów. Cykl tych koncertów zainauguruje
w dniu 8.3.1967 znana polska pianistka
Halina Czerna-Stefańska. Od czasu kon-
certów Władysława Kędry w Trzyńcu bę-
dzie to pierwszy recital fortepianowy wy-
bitnej pianistki polskiej w naszym hutni-
czym mieście.

ZESPOŁY JOK-u GOŚCIŁY W JUGOSŁAWII

W ubiegłym miesiącu bawiły w gościn-
nym występami w Jugosławii zespoły
trzyńcieckiego JOK. Ogółem wyjechało po-
nad 40 członków zespołów śpiewaczych,
estradowych i muzycznych — wśród nich
spora grupka członków chóru żeńskiego
„Hutnik” i tercet żeński tego zespołu.
Zespoły trzyńcieckie spotkały się w Jugo-
sławii z dużym zainteresowaniem i ser-
decznym przyjęciem.

KWIZ O SIENKIEWICZU

Wydział Oświaty ZG PZKO zorganizo-
wał dla młodzieży szkolnej kwiz w ramach
Roku Sienkiewiczowskiego pt. „Co wiem
o H. Sienkiewiczu i jego twórczości”, który
jest publikowany w kolejnych sobotnich
numerach „Głosu Ludu” w październiku
(od 8. do 29. 10. br.). Trafne odpowiedzi
losowane są co tydzień. Zwycięzcy kwizu
otrzymają nagrody książkowe.



FRASZKI

W DISKUSJI

Taki był dziś śmiały, zadziorny i hardy,
bo do kiełbasek nie dali musztardy.

ODWAŻNY

Ale im wygarnął, prawdę w oczy rzucił,
gdy w stół pięścią huknął,
wtedy się... obudził.

ZMIERZCH DON JUANA

Wciąż przyprowadzał rogi,
teraz nosi kilka —
Nosił wilk, nosił,
ponieśli i wilka.

NI EWYSPANY

Takim niewyspany, że ledwo się ślania,
bo dawno nie było jakiegoś zebrania.

CWANIAK

Złapali go celnicy
na cieszyńskiej granicy.
W butelce miał czystą,
więc się tłumaczył:
jestem spirytystą.

POLIGLOTA

You spoken english!
Wir sprechen deutsch! —
Mówi po francusku,
mówi po włosku,
kiedy się odezwie
mówi „po naszemu“
a nie rozumie —
po polsku!

JAN CEBULA

Premia

Hulał wiatr i lał rzęsy deszcz.
Autobus nadjechał. Ludzi było dużo,
jak zwykle w godzinach szczytu;
dorośli do pracy, młodzież do szkół,
matki ze swoimi pociechami do żłóbka.
Pan Zielonka wsiadł. Wrzuciwszy bilecik
do półautomatu, zaczął przeciskać
się do tylnego pomostu — był bowiem
wzorowym pasażerem.

„Raz, dwa, trzy... Nie! — Pomylił się! — Raz, dwa...” — obliczał, ile to guzików mu się podczas tego przepychania poodrywało. Liczyłby tak chyba bardzo długo, bo w rachunkach był słaby. Ale za to był wzorowym urzędnikiem. Grzecznie stał. Naraz poczuł, że przejmuje go ziąb do szpiku, a ciało pokrywa gęsia skórka. — Cholera. Zimno! — pomyślał. Obejrzał się. No tak, oczywiście: drzwi pootwierane — wiatr wpada przodem, hula w środku. Ludzie kryli swoje zaczerwienione twarze za kołnierzami ortalionów, matki usiłowały ramionami ochronić swe dzieciaki przed zimnem.

— Proszę pana — zwrócił się do kierowcy — może pan zamknie, to przestanie wiać!

Cisza. Kierowca nie puścił nawet pary z ust.

— Niech pan zamknie te drzwi — prosił.

— Nie mogę. Cholerny pneumatyk nawalił!

— To może je ktoś przytrzyma! — błagał.

— Nie mogę — odpowiedział mężczyzna stojący blisko drzwi. — Tu jest tak zimno... — zakrztusił się, wciskając

dłonie w kieszenie.

— Dobrze, sam to zrobię. Zielonka zdecydował się. Ruszył do przodu. Ponownie liczył oderwane guziki. Tym razem od innych części garderoby. Wspiął się na palce, poprzez głowy stojących tuż koło drzwi, z trudem je trzymając prawą ręką, lewą zaś podtrzymywał spodnie.

Ludzie wyprostowywali się radośnie. Śpiesznie opuszczano kołnierze. Pan Zielonka był zadowolony z siebie i ciepła.

Grajdotek!... Przystanek! — oznajmił kierowca. Otworzono drzwi. Kilku pasażerów wysiadło i matki z dziećmi. Autobus ruszył, a pan Zielonka znów zajął się swymi myślami. Dumał właściwie o premii, którą miał mu wręczyć kierownik za zdobycie tytułu najpункtualniejszego pracownika resortu. Nagle poczuł gęsią skórę. Obejrzał się. Oczywiście: drzwi były pootwierane. Zaczerwienione twarze kryły się za kołnierzami.

Pan Zielonka ponownie wspiął się na palce.

Przystanek! — Autobus ruszył.

Pan Zielonka, szczękając zębami, zamykał drzwi.

Przystanek. Zielonka zamykał drzwi. Stacja końcowa. Jedni wysiadali tylnym pomostem, przednim wsiadali druzdy, ci z nocnej zmiany.

Autobus ruszył. Zielonka zamykał drzwi.

Tego dnia bardzo spóźnił się do pracy i nie otrzymał premii. Ale ktoś przecież musiał zamykać drzwi?

ALOJZY MAŃKA



Foto Jan Żabkowiec.

„ZWROT”, miesięcznik. — Wydawca: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Czechosłowacji, Zarząd Główny, Český Tešín, ul. Lenina, nr 28, tel. 6693. — Redaguje zespół. — Redaktor naczelny Jan Rusnok. — Český Tešín, 15 października 1966. — Cena egzemplarza 1.— Kčs. — Redakcja i administracja Český Tešín, ul. Lenina 28, tel. 6864. — Prenumerata: kwartalnie 3 Kčs, półrocznie 6 Kčs, rocznie 12 Kčs. — Tłoczono w drukarni TISK, n. p., Brno, provoz 3, Český Tešín, ul. Revoluční 1, tel. 6032. — Pozwolenie na używanie smaczków pocztowych wydała Okresní správa spojů Karviná, 20. 8. 1963, zn. 1268/63. — T-03*61782



Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

Cena Kęs 1,—

ROK 18 — (Nr 204)

11

Czeski Cieszyn, listopad 1966

W NUMERZE:

Przed nowym etapem „Zwrotu” ★ Jubileuszowe okazje ★ Błękitny gwiazdolit ★
O problematyce narodowościowej w CSRS
★ Samochodem przez najwyższe góry Europy

W ten czas liści padania...

W ten czas liści padania
smętnieją ogrody,
chwastów już nikt nie tępi,
a szron róże ścina.
Słonecznik wypatruje
jesiennej pogody,
słodkie światło się sączy
z rudych pnączy wina.

W ten czas liści padania
unikaj zwierciadła,
spójrz w okno: ktoś wraca?
To listek szeleści!
I wspomnień nie przyzywaj,
bo skoczą do gardła,
w albumie zdjęć nie szukaj
tych, co już odeszli.

W ten czas liści padania
wychodzę za miasto,
kistka winogrona
cierpka jest jak Iza —
Zmierzch nad stawem błyszczy
i dwie gwiazdy w wodzie
świecą wiernie jak oczy
bezdonnego psa.

HENRYK JASICZEK



Foto Leopold Wiszczor.

Przed nowym etapem „Zwrotu”

Do gazety można się przyzwyczaić jak do przyjaciela. Z przyjacielem można dyskutować, można u niego znaleźć potwierdzenie własnych myśli czy wątpliwości, można się z nim nie zgadzać i spierać, może nas czasami zdenerwować.

Przyjaciel, jeśli jest przyjacielem, zawsze wraca. Przyjaciel nie zawsze przychodzi prawidłowo — gazeta tak, przyjaciel nie zawsze przychodzi w porę — gazeta przychodzi, przyjaciele odchodzą — gazeta pozostaje.

„Zwrot” zawsze dążył do takiej własnie roli, chciał być przyjacielem i to dobrym, takim, co podejmuje się spraw trudnych, drażliwych i złożonych. Starał się zrozumieć czytelnika i być przez niego zrozumiany. Dążył do wytworzenia swolistej więzi, atmosfery obustronnego zaufania, bez którego nie można podjąć rzeczowej dyskusji i współdziałania.

Czy mu się to zawsze udawało? Chyba nie, bo „Zwrot” nie był redagowany w próżni! Był odbiciem procesów ideologicznych, organizacyjnych czy personalnych PZKO, odbiciem jego wahań, poszukiwań, niepokojów, powodzeń i niepowodzeń, zależnych od ogólnego układu sił społecznych, w powiązaniu z najróżniejszymi aspektami zadań ideowych, politycznych i ekonomicznych.

Mądry i wnikliwy czytelnik odczuwał falę regresji, deklaratywności i wielosłownia na łamach „Zwrotu”. Mądry czytelnik wiedział, że nawet dobrzy przyjaciele mają chwile słabości.

Bowiem w ostatecznym podsumowaniu, oceniając osiągnięcia i niedociągnięcia „Zwrotu”, trzeba przyznać, że pozostał on w swych założeniach wierny podstawowym zadaniom: wyrażać i dać świadectwo najżywotniejszym sprawom i problemom społeczeństwa polskiego w Czechosłowacji. Być trybuną spraw, które widziane z odległości metropolii kulturalnych, mogą wydawać się mało ważne, typowo regionalne. Dla nas jednak są to problemy zasadnicze, dotyczące naszego bytu, życia na co dzień, z bliska, sprawy na pozór błahe, a jakże często trudne, skomplikowane złożonością procesów współzycia narodowościowego.

Nasz region ma duże tradycje czytelnice. Przywiązanie do książki i gazety datuje się od dawna. Zainteresowania czytelnicze są wszechstronne. W naszych domach zauważyć można nie tylko „Głos Ludu”, „Zwrot”, „Panoramę”, „Przekrój”, „Świat”, ale i „Życie Literackie”, „Kulturę”, „Plamen”, „Dialog”, liczne magazyny, tygodniki i miesiiczniki.

„Zwrot” w tej plejadzie czasopism nie reprezentował się zbyt bogato. Jego szata graficzna była skromna, możliwości uatrakcyjnienia pisma, biorąc pod uwagę jednego redaktora, nikłe. Starania o podniesienie poziomu pisma, zwiększenia jego objętości, ożywienia i unowocześnie-

nia szaty graficznej, znalazły zrozumienie i poparcie u najwyższych czynników.

Z dnem 1 stycznia 1967 „Zwrot” wychodzić będzie w nowej szacie, w zwiększonej objętości. Redakcja uzyskała drugiego redaktora oraz grafika.

Tak się składa, że z dniem 1 stycznia podniesiona zostanie w skali ogólnopolskiej cena papieru i druku, co pociągnie za sobą podniesienie cen wszystkich periodyków.

Nowa cena Kłs 2,— za numer absolutnie nie pokryje kosztów druku i wydatków połączonych z wydawaniem pisma. Niedobór pokryty zostanie z dotacji państwowej.

Piszemy o tym dlatego, by znaleźć zrozumienie wśród czytelników, dla których podniesienie ceny w pierwszej chwili może wydawać się nowym obciążeniem. Wystarczy chwila refleksji, zastanowienia, żeby zorientować się czy jedna korona mniej lub więcej w miesiącu tak bardzo zmieni stan budżetu, czy dla tej jednej Kłs więcej warto pozbawiać się łączności z resztą społeczeństwa, z zbiorow-

ością, do której świadomie i z wyboru należymy.

„Zwrot” powinien być naszą wspólną trybuną, legitymacją naszego sumienia obywatelskiego i narodowego.

Będzie tym sumieniem i trybuną, jeśli udzielimy mu naszego poparcia, jeśli sprawa abonamentu i rozpowszechnienia „Zwrotu” będzie sprawą każdego z nas — naszych ambicji i zrozumienia.

„Zwrot” nie chce naśladować innych pism, nie chce zatracić charakteru miesiicznika regionalnego w tym pozytywnym pojęciu i posłannictwie.

„Zwrot”, będąc pismem PZKO, nie ogranicza się wyłącznie do własnych członków, chce dotrzeć do wszystkich, do każdego zainteresowanego życiem społeczeństwa polskiego w Czechosłowacji, jego przeszłością, przede wszystkim zaś jego żywą i pulsującą teraźniejszością.

„Zwrot” chce być lepszym, poczynniejszym, chce zdobyć zaufanie czytelnika, zostać jego przyjacielem, na którego się czeka, z którym się liczy i któremu się ufa.

HENRYK JASICZEK

Jubileuszowe okazje

Był taki okres, kiedy zarzucano Krakowowi szczególną słabość do jubileuszów. Nasze obchody rocznicowe, dosyć częste, nie wynikają jednak z korzystania z byle okazji i słusznie podkreślamy ich wagę z wielu powodów. Warto dla przykładu przypomnieć, że działalność nasza odbywa się w warunkach nowych, odmiennych od międzywojennych chociażby dlatego, że wreszcie stać nas obecnie na odrzucanie tradycji nieżywotnych, nie związanych z istotnymi interesami grupy narodowościowej, a na odwrót na pielęgnowanie i ożywianie tradycji sprawdzonych, na tworzenie nowych, wynikających z rozbudzonych źródeł naszych wspólnych potrzeb społecznych.

Dwadzieścia lat PZKO-wskiej działalności jest więc okazją tak dla publicystów, twórców, jak dla aktywistów wszystkich branż. Już dlatego chociażby, że w ciągu dwudziestu lat i błądzono, i znajdowano, że okres ten był trudną drogą i jej doświadczenia warto zważyć, przemyśleć, aby w nowej, sprzyjającej sytuacji wychodzić ze wszystkich poczytań honorowo i z korzyścią dla dalszej przyszłości.

To, że Rok Jubileuszowy rozpoczęto Miesiącem Oświaty, Książki i Prasy, ma swoje głębokie uzasadnienie. Wzruszającym akcentem zagajenia Roku były Ogólna Pokoju, jakie zapłonęły w tym samym czasie we wszystkich niemal Kółkach. W ten sposób cały region jakby

podpisał się pod treściami, które przynosi 20-lecie. A o jakie to treści chodzi, mogliśmy już przekonać się na podstawie dyskusji, które wyprzedziły 20-lecie, a związane były z XIII Zjazdem KPC. Dyskusje te przebiegają dalej na każdej placówce, gdzie chodzi o model naszej działalności. Nikt ich prawdopodobnie nie będzie próbował kończyć. Ale pod-



Pierwszy śnieg. Foto W. Semboł.



„Górnik”. Taniec czarki. Foto R. Fierla.

sumować je będzie można w życiu, gdyż — a to jest charakterystyczne — nie idzie o spory oderwane, akademickie, jak chciałby ktoś sugerować, ale poszczególne argumenty sprawdza się w praktyce. Przynajmniej, że to walka uczciwa, szczególnie życzliwa dla treści nowych, wynikających z dużej troski o przyszły kształt naszego społeczeństwa. Argumenty przeżyte, wynikające z przyzwyczajenia tylko, które utraciły uzasadnienie i perspektywy, znajdują jeszcze tu i ówdzie posłuch z powodów znanych skądinąd. Ale tracą grunt w rozwiązywaniu problemów, jakie przynosi czas, a to je dyskwalifikuje.

Cechą dominującą okresu obecnego jest dorabianie się prawdziwych poglądów na sprawy. Zastosowanie najbardziej celowych i najbardziej nośnych sposobów działania w oparciu o warunki w poszczególnych miejscowościach, wychodzenie z potrzeb miejscowych. Ale też poszerza się kręgi zainteresowań, zrezygnowano z formalnych skostnień, z popierania nieżyłowych, mało operatywnych form pracy.

Lata np. zastanawialiśmy się, jak skupić ludzi, jak zaangażować możliwie większość członków poszczególnych Kół — ale mieliśmy do dyspozycji niezmierne mało środków, albo niezbyt sprawnych. Zmusiliśmy więc ludzi do biernego tylko uczestniczenia w stereotypowych imprezach. A to zniechęcało. Zaczęto dlatego oskarżać kogo się dało o brak zrozumienia, zainteresowania. Wchodziło się jakby w ślepią uliczkę. Tymczasem należało inaczej podejść do zagadnienia — zapytać się chociażby ludzi, co ich pali, wynajdywać takie sposoby pracy, aby członkowie mogli znaleźć siebie, uczestniczyć aktywnie w działalności według własnych zainteresowań, a przede wszystkim potrzeb,

Mamy w tej chwili kilka klubów propozycji. To jeden z eksperymentów za pożyczony z Polski, który wydaje się potwierdzać oczekiwania. Dochodzi już dziś do sytuacji, kiedy masa członków, bierna dotychczas, zaangażowała się, a na odwrót aktywiści, którzy planowali wyprawy krzyżowe na „wynaradawiających się”, rezygnują z pracy, nie wierząc albo obrażając się. Poza tym okazało się np., że po nieudanych próbach dojścia do Kół z problematyką gospodarczą, polityczną czy ze współczesnością, członkowie klubów domagali się wprost po-

dobnej tematyki. Stąd wniosek, że sposoby pracy, podejścia są tu istotne. Zauważyć należy różnorodność i bogactwo potrzeb terenu, trzeba jednak zrezygnować z uprzedzeń, ze schematów, a nagle wiele się wyjaśni i działalność może rozwijać się nawet z mniejszym nakładem pracy.

Klasyczne formy działania mimo to pozostaną, będą musieć jednak pełnić swoje posłannictwo, zobaczyć człowieka i jego problemy. Wszystkich PZKO-wców należy widzieć jako społeczeństwo zróżnicowane, o niejednorodnych grupowych, a nawet indywidualnych interesach kulturalnych. Ten kierunek domaga się przężnej polityki, podejścia, zmodernizowania sposobów myślenia itp.

To wszystko zagadnienia rodzące się, będące żywym procesem. Wynikają stąd większe wymagania dla wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób uczestniczą w organizowaniu życia społeczno-kulturalnego. Również dlatego, że skala działania poszerza się, obejmuje problematykę, którą dotąd pomijano bądź nieumiejętnie wprowadzano w praktykę poszczególnych Kół.

Sprawy to bardzo może złożone, nie sposób zawrzeć ich w jednym artykule. Stąd trzeba będzie powracać do nich, uściślać poglądy na podstawie wyników konkretnej roboty. To zadanie dla prasy, dla radia, ale przede wszystkim dla organów Zarządu Głównego PZKO. Chodzi bowiem o zainicjowanie szerokiego frontu dojścia do człowieka, a więc o obowiązki nielada.

Dwudziestolecie PZKO nie jest więc tylko świętem, powiedziałbym, że jest jubileuszem, który mocno zobowiązuje — wszystkich na każdej placówce.

WŁADYSŁAW SIKORA

N a p r z y z b a c h

A więc to tutaj! Małe domki o dachach złożonych słońcem. Za nimi ściana Tatr.

Ciekawe, czy wtedy też było słońce?... Wtedy, 9 maja 1913 roku, gdy na stacji-ce wysiadł grzeczny „pón z miasta”, pragnący wynająć mieszkanie na lato — skromny „leśnik” o niezbyt zasobnej kieszeni — Włodzimierz Iljicz Lenin.

„...miejscowość jest tutaj cudna, powietrze wspaniałe” — pisał zaraz po przyjeździe do siostry.

„Wołodia bardzo lubi Poronin, zwłaszcza łażenie po górach” — komunikuje w liście do teściowej Nadziejda Krup-ska.

A zatem lubił „łażenie po górach”... Którędy chodził?... Może tą drogą na Bukowinę. A może tędy?... To naprawdę pasjonujące zadanie: tropić ślady kroków, słów, wrażeń i myśli największego człowieka epoki.

Drewniany, w górskim stylu dom, o ścianach zbrązowiałych ze starości. Tu

mieszkał z żoną i teściową latem 1913 i 1914 r. Schodki, weranda, niskie, pachnące świerkiem ławy, rzeźbione belki pułapu, proste sprzęty. Pieczotliwie od-tworzono dawny wygląd pokoi — meble są te same: tak samo ustawione. Łóżka... krzesła... stół. Może to na tej wyszorowanej desce opierał łokieć, gdy pisał?... Gdzie najchętniej siedział? Na łóżku? Krzesła wydają się niezbyt wygodne. Po-dłoga skrzypli...

Jaka szkoda, że nie żyje już Teresa Skupienłowa, gaździna, od której rodzina Ulianowów wynajmowała chatę! Byłaby kopalnią informacji o jego przyzwyczajeniach i nawykach, o rzeczach drobnych i codziennych, których szczególny głód odczuwa się właśnie tutaj.

Ale żyją górale, którzy siedzą po wie-czorach na przyzbach i opowiadają.

— W taki, wiecie, dzień jak dzisiaj, to ON nigdy nie siedział w izbie, gdzie tam. Syn Skupienłowej, Franciszek Cudziłch, ten znał Go dobrze, bo przynosił co rano



Włodzimierz I. Lenin w roku 1914

Małą Lubę nazywano Nataszą. Miała dziesięć lat, dlatego figlarny uśmiech nie czaił się w jej oczach, ale pryskał pękami radosnych iskerek.

Zaprzyjaźniliśmy się. Jakieś dziwne uczucie rozdwojenia ogarnęło mnie od czasu, gdy na wybrzeżu zjawiała się Luba. Natomiast nie odczuwałem tego, kiedy zostawaliśmy z Nataszą we dwoje. Przechadzaliśmy się wzdłuż morza, włączyliśmy się po górskich ścieżynach i dużo gawędziliśmy. Natasza umiała uważnie słuchać i przytakiwać poważnie głową. Było mi z nią przyjemnie.

Raz wdrapaliśmy się na szczyt Świętej Góry, gdzie zachwycaliśmy się migotaniem fiołkowych zrębów AJ-Petri; w swej wyobraźni widziałem siebie wśród tych zrębów.

Gorąca rączka dziewczyny leży w mej dłoni. Natasza patrzy w dół, w bezdenną zgrozę. Przyglądam jej nieposłuszne łoki i oboje patrzymy w dół, na zalaną słońcem przestrzeń niebieskiego morza.

Później zapytałem:

mleko. Po śniadaniu pakował jakieś papiery do teczek i szedł w góry. Tam pisał. A jak była plucha, to se śladywał na werandzie i uradzał z żoną albo przyjaciółmi. Albo czytał. A książek to miał... Starsza pani, teściowa niby, to znowu lubiła śladywać na podwórku. Papierosy kurzyła jednego za drugim, takie ze słomką... Jako rzecz: z ustnikiem.

— I w tym domu zastała go wojna?

— Ano tak. Z tego domu zabrali go do aresztu austriaccy żandarmi. Sieczka — Waja z za potoka opowiadał, że razem z nim siedział wtedy w Nowym Targu w więzieniu.

Stanisław Sieczka w bardzo młodym wieku był w tym więzieniu?

— A jakże, wyrostkiem wtedy był. Podpalili las — niechcący. Zabrali go, myślał, że śmierć zrobią, bo to była wojna i Lenina tam akurat przyprowadzili. Poznał go, że to niby z tej samej wsi... kielbasy dał, kazał dozorczy, żeby mu jego chleb oddawał. Pogadał czasem jak ojciec, ale za ten las to go nie pochwalił.

— A w jakim miesiącu aresztowano „Waję“?

— Na początku sierpnia.

— Hh... data by się więc zgadzała. — Jak wtedy ze wspomnień przyjaciela Lenina

Bagockiego — przebywał w nowotarskim więzieniu od 8 do 19 sierpnia. Jak oddzielić w opowiadaniu starych górali prawdę od fantazji. Skrzyżowały się tropy historii z tropami legendy.

...Siedzą górale na przyzbach i opowiadają, jak to LENIN w nowotarskim więzieniu udzielał porad prawnych chłopom i aresztowanym za nieplacenie podatków...

...Zwierała się stara Cudziuchowa wnuczkom, że gdy „śladowała“, przechodziła do niej teściowa Lenina „posiedzieć kapkę“...

...Snuje się przy darcu pierza gądka o tym, jak Lenin spotkał „dziwce“ płaczące nad rozbitym dzbanem jagód, jak mu się jej żał zrobiło, wyciągnął dwie korony i kupił potłuczone skorupy...

Przed Muzeum Lenina w Poroninie wzniesiono pomnik. Lenin stoi na nim na tle Tatr, kamienne oczy patrzą na domki Poronina. Pisał o tej wsi kiedyś do siostry, że „jest typu niemal rosyjskiego. Słomiane strzechy i nędza. Bose baby i dzieci“.

Teraz skwer wokół pomnika — to ulubione miejsce zabaw właśnie dzieci. Przybiegają tu z pobliskiej świetlicy, czasem z kina, po filmie rysunkowym. Dzieci — schludnie ubrane — w bucikach.

ALOJZY MAŃKA

Błękitny gwiazdolot

— Czy pójdziemy się wykąpać?

— Uhm! — I wesoło biegnie w stronę ścieżki.

Przedwieczorna kąpiel w morzu to wspólna nasza tajemnica, którą starannie ukrywamy przed Lubą. Jeżeli się dowie, oberwiemy oboje. Zresztą i tak dzisiaj oberwiemy, mieliśmy wrócić na obiad, a nie wróciliśmy.

Natasza biegnie ścieżką. Zdumiewająco dokładnie pamięta drogę. Ledwo za nią nadążam. Nisko nad górami wisi ogromne słońce.

Nagle Natasza zatrzymała się, jakby razona gromem. Ja również zatrzymałem się, zamknąłem przez moment oczy i otworzyłem je. Nie, wszystko było w porządku: śnieżnobiały baśniowy bryg zwolna zbliżał się do brzegu, pod olśniewającą szkarłatnymi, wzdętymi radością żaglami.

Pomknęliśmy w stronę brzegu.

W złocistym piasku stała dziewczyna. Jej rozwiane włosy świadczyły o wietrze, ale wiatru nie było.

— Asol jesteś! — powiedziałem, ciesząc się, że zgadłem.

— Asol! — leniwie odpowiedziała dziewczyna.

Drżała od zimna, u jej stóp mienili się wszystkimi kolorami tęczy przeźroczysty kwarc.

— Proszę uważać, Asol! Uwaga! — skądś zza skał zabrzmiał ostry, metaliczny głos.

Wtedy zobaczyliśmy mnóstwo ludzi w różnokolorowych ubraniach, reflektory, kamery filmowe na statywach i człowieka z megafonem.

— Rozpoczynamy! — zawołał ów człowiek przez megafon.

Asol posłusznie odwróciła się w stronę morza i z nadzieją wyciągnęła ręce na spotkanie baśniowego brygu, na którym wydymały się szkarłatne żagle, chociaż nie było wiatru.

Tłum w pstrych łachmanach zgromadził się nad brzegiem. Podbiegła Asol. Tłum rozstąpił się i przepuścił dziewczynę. Weszła do morza, gdzie wziął ją w ramiona wysmukły kapitan. Wszystkim było przyjemnie: kapitanowi, Asol i marynarzom, którzy siedzieli przy wioślach. Także człowiek z megafonem przychylnie skinął głową.

Było to fantastyczne! To, że kręcili Grina, że to widziałem, widziałem jak kręcili jedną z lepszych, z przeczytanych przeze mnie baśni. I że Natasza, otworzywszy szeroko oczy, wstrzymując oddech, ciut-ciut pobladła — wszystko było fantastyczne!

Dopóki nie skończono kręcić, nie mogłem stąd wyrwać Nataszy. Później zwolna ruszyła ze mną cicha i pokorna.

Zapadał zmierzch. Wystające wszędzie wapienne kwadratowe głazy pokryły się czerwienią, jakby je ktoś okrył szkarłatnymi żaglami. Niedługo wśród tych skał płonęły ogniska. Tu pierwotne ludy Tau-

rydy przynosiły niemowlęta na ofiarę swojemu głównemu bóstwu — Dziewie.

Długo szliśmy milcząc.

— Dziadziu Szuriki!... Dlaczego nie ma dziś takich łodzi ze szkarłatnymi żaglami?

Westchnąłem i powiedziałem:

— Kiedy Asol była małą dziewczynką, pewien przechodzień żartując powiedział jej, że pokocha ją młody książę, który przypłynie po nią brygiem ze szkarłatnymi żaglami. Ona uwierzyła i odtąd codziennie wpatrywała się w morze, oczekując księcia. Ludzie naśmiewali się z niej. Ale ona wierzyła, że wszystko będzie tak, jak przepowiedział jej przechodzień. Kiedy dorosła, zakochał się w niej

będący przejazdem kapitan. Kapitanowi powiedziano, że ona oczekuje wysmukłego księcia, który przypłynie statkiem pod szkarłatnymi żaglami. Opowiadając to, ludzie kpili. Ale kapitan okazał się człowiekiem wielkodusznym. Kupił czerwonego jedwabiu i uszył szkarłatne żagle. Gdyby Asol oczekiwała księcia ze statkiem o niebieskich żaglach, uszyłby niebieskie... Rozumiesz?

— Czy Asol była szczęśliwa?

— Była dobra i piękna.

— Moja mamusia także jest dobra i piękna.

— Tak.

— Do niej nigdy nie przyjdzie piękny książę...

— Skąd możesz wiedzieć!

— Wiem! Nigdy nie przyjdzie! Słyszałam, jak płacze nocą, kiedy myśli, że śpi.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Ciemniało. Dziewczynka mocno trzymała moją rękę.

Wydostaliśmy się na szosę, gdzie po-
czekaliśmy na autobus.

— Dziadziu Szuriki! Co to znaczy wielkoduszny człowiek?

— To jest bardzo szlachetny i dobry człowiek.

— A wy, dziadziu, też jesteście wielkoduszny?

Co mogłem jej odpowiedzieć? Trzymałem mocno jej maleńką, gorącą rączkę i zachwyciłem się jej nieposłusznymi lokami. Nadjechał autobus. Był zupełnie pusty. Usiedliśmy na tylnym siedzeniu. Natasha lubiła, gdy nami podrzucało, cieszyła się więc, kiedy droga była wyboista. Wydawało się, że zapomniała o wszystkim, cośmy wspólnie przeżywali. Nazajutrz wyjeżdżałem do Jałty. Luba dała mi adres Pawła. Miał on gdzieś w arktycznych lodach wypadek i musiał pójść na emeryturę. W trzydziestym piątym roku życia.

Prawdę mówiąc, nie chciało mi się wyjeżdżać.

— Kiedy dorośniesz, przyjdzie do ciebie uroczy książę! — powiedziałem Nataszy.

— Wiem! — przytaknęła. — On przy-
leci do mnie niebieskim gwiazdolotem.

W oczach zamigotał jej figlarny uśmiech.

ALEKSANDER CZUŹMIR

(z rds. przełożył K. Jaworski)



Ilustr. Br. Liberda.

o problematyce narodowościowej w Czechosłowacji

X

Chcę się obecnie zająć sprawą, która ma dla poszczególnych narodowości naszej republiki duże znaczenie, sprawą towarzystw kulturalnych ludności węgierskiej, ukraińskiej i polskiej.

Towarzystwa kulturalne (Csemadok, KSUT, PKZO), które należą do Frontu Narodowego, organizują — na zasadzie dobrowolności — obywateli swej narodowości i starają się wspólnie z radami narodowymi i innymi organizacjami i instytucjami społecznymi o ich wszechstronny rozwój kulturalny i polityczny, organizują działalność polityczno-społeczną wśród obywateli swej narodowości, starają się głównie o działalność kulturalno-wychowawczą w swym środowisku narodowym. Podobny system istnieje — w różnych wersjach — również w innych krajach socjalistycznych. Np. w NRD mówi się wprost o autonomii kulturalnej Serbołużyczan. Ludzie, którzy studiowali klasyczną literaturę marksistowską o kwestii narodowościowej,

zastanawiają się czy nie chodzi tam o urzeczywistnienie starej, austro-marksistowskiej idei autonomii kulturalno-narodowej, potępionej swego czasu przez Lenina. Na pewno nie.

Autonomia kulturalno-narodowa austro-marksistów miała być podstawowym, uniwersalnym środkiem rozwiązania kwestii narodowościowej w wielonarodowościowym państwie. Była to autonomia eksterytorialna. Członkowie danej narodowości bez względu na to, na jakim terenie żyją — czy w zamkniętym kompleksie, czy rozrzucony po całym państwie — mieli połączyć się w narodowym związku. Wybory do władz państwowych miały być organizowane poprzez te związki narodowe — członkowie danej narodowości mogli wybierać więc tylko posłów wywodzących się z swej grupy narodowej. W parlamencie mieli być posłowie rozdzieleni według narodowości. Związki narodowe stawały się więc częścią składową ustroju państwowego.

To znaczy, że np. międzynarodowa partia robotnicza nie mogłaby istnieć.

Była to zresztą kodyfikacja istniejącego już stanu rzeczy w Austro-Węgrzech, gdzie międzynarodowa partia socjal-demokratyczna rozpadła się na partie SD poszczególnych narodowości. Robotnicy znaleźli się w izolacji od swych towarzyszy innych narodowości, a równocześnie wbrew swym intencjom przyłączyli do burżuazji i magnaterii własnego narodu.

Zamiast polityki klasowej sprowadzała autonomia kulturalna życie polityczne na tory polityki narodowościowej i walki narodowościowej. Prowadziłyby to do pogłębienia i utrwalenia sporów narodowościowych. Narody decydowałyby wprawdzie o swych sprawach samodzielnie, ale sfera tych decyzji miała być zawężona tylko do spraw kultury. W tej sytuacji o podstawowych socjalno-ekonomicznych i politycznych zagadnieniach decydowałaby ci, którzy mieli w ręku faktyczną władzę gospodarczą i polityczną — kapitałści, obszarnicy i biurokracja.

Wiadomo, że nie można zredukować kwestii narodowościowej tylko do spra-

wy kultury. Narodom chodzi przecież nie tylko o język, szkoły, kulturę itd., lecz również o sprawy socjalno-ekonomiczne, o ich pozycję w życiu gospodarczym, o wolność polityczną, równouprawnienie itd. Tych spraw autonomia kulturalno-narodowa nie załatwia. Środki na rozwój kultury czerpałyby związki narodowe od członków swej narodowości. Małe i słabe narody narażone byłyby więc na dyskryminację ze strony silnych i wielkich. Ewentualny przydział dalszych środków z jakichś funduszy centralnych byłby uzależniony od biurokracji i od ewentualnej walki o te środki w władzach centralnych.

Praktyka w znacznym stopniu sama tę koncepcję obaliła. Została ona na papierze, a jedyna próba jej urzeczywistnienia na Morawach na początku naszego stulecia oznaczała właściwie jej dyskredytację, ponieważ była — zresztą nie mogła nie być — kombinowana z zasadą terytorialną.

W zamian za zasadę narodowościową, podział ludności według ich przynależności narodowej, proponował Lenin zasadę jednoci internacjonalnej proletariatu i ludzi pracy. Eksterytorialnej autonomii narodowościowej, ograniczonej wyłącznie do spraw kulturalnych, przeciwstawił zasadę autonomii terytorialnej, odnoszącej się do danego terenu i wszystkich jego mieszkańców (choć za podstawę wydzielenia takiego obwodu służyła zasada narodowościowa, to znaczy, że był on utworzony tam, gdzie żyła większość mieszkańców innej narodowości).

W odróżnieniu od ZSRR kwestia węgierska, ukraińska i polska rozwiązywana jest u nas inaczej, niż formą autonomii terytorialnej (od pewnych prób podobnego rozwiązania kwestii ukraińskiej zrezygnowano). Zwróciliśmy już uwagę na prawdopodobne przyczyny takiego stanu rzeczy. Kraje socjalistyczne, po doświadczeniach z mniejszościami narodowymi w przeszłości, z statutem narodowościowym narzuconym z zewnątrz i umożliwiającym obcą ingerencję do spraw wewnętrznych państwa (nie tylko my, lecz np. i Polska), nie chciały dopuścić do powrotu podobnej sytuacji. Starały się nadać krajowi charakter jak najbardziej narodowościowo jednolity, dystansowały się w pewnym stopniu od ludności własnej narodowości w innych państwach, by ewentualne żądania nie były wysuwane również wobec nich, by nie dochodziło znowu do sporów, które mogłyby być wykorzystane w stosunkach międzynarodowych.

Tym niemniej faktyczne istnienie mniejszości narodowych (szczególnie jeśli chodziło o mniejszości zaprzyjaźnionych krajów) na terenie państwa zmuszało do jakiegoś rozwiązania, zwłaszcza po pokonaniu burżuazji, kiedy władza znalazła się w rękach ludzi pracy.

U nas zastosowaliśmy formę towarzystw kulturalnych. Nie jest to forma bezkonfliktowa. Konflikty powstają i powodują dyskusje, w których poglądy różnią się często według tego, z której stro-

ny, z jakiego punktu widzenia jest sprawa omawiana. Postaram się naznaczyć przynajmniej w zarysach, o jakie problemy chodzi.

Towarzystwa kulturalne są finansowane przez organy centralne. To automatycznie prowadzi do osłabiania zainteresowania organów państwowych — rad narodowych (szczególnie wyższego stopnia) sprawami kulturalno-oświatowymi wśród mniejszości. Jeśli dotacja towarzystwa kulturalnego przewyższa możliwości rad narodowych, jest to dla członków towarzystwa korzystne, w wypadku, kiedy dotacja jest niższa, towarzystwo domaga się jej podniesienia albo rozwija działalność zarobkową, nie związaną z jego zadaniami. Towarzystwa kulturalne organizują obywateli danej narodowości i rozwijają wśród nich działalność kulturalną. Na terenach mieszanych wygląda to w ten sposób, że każda narodowość urzędu oddzielnie własne imprezy kulturalne i ignoruje, a często wprost bojkotuje imprezy innej narodowości. Przy tym obywatele różnych narodowości pracują obok siebie w JSR, zakładach przemysłowych, urzędach, sklepach itd. Dlatego Lenin domagał się bezwarunkowej internacjonalistycznej jednolitości wszystkich organizacji — politycznych, związkowych, spółdzielczych, kulturalnych; występował zdecydowanie przeciw temu, żeby ludność dzieliła się według narodowości — bo prowadził to do wzajemnej izolacji i do pogłębienia różnic między nimi. Potwierdzają to i nasze doświadczenia. W ludziach żyją jeszcze stare spory nacjonalne podtrzymywane wskutek obustronnych błędów i wzajemnej izolacji.

Szczególnie w wypadku, kiedy słuszne narzekania mniejszości nie są brane pod uwagę, narastają wewnątrz niej tendencje do zamknięcia się w sobie i występowania na zewnątrz jako całość. Towarzystwa kulturalne usiłują wtenczas poszerzać swoją działalność — organizować nie tylko pracę kulturalno-oświatową, lecz stać się również bazą do organizowania młodzieży, poszerzają sferę wzajemnej izolacji i odrębności o coraz dalsze obszary życia. Argumentuje się tym, że oddzielne, narodowe organizacje młodzieży rozwijają aktywniejszą działalność — co może być w danej sytuacji słuszne (szczególnie kiedy weźmiemy pod uwagę biurokrację i nieudolność istniejącą w naszych ogólnopństwowych organizacjach społecznych). Ale czy to jest marksistowskie rozwiązanie problemu — zamknąć się każdy w swej skorupce narodowościowej i wykrzykiwać stąd jeden na drugiego — zamiast wspólnego załatwiania wspólnych spraw? Czy ten proces nie zmierza w kierunku autonomii kulturalno-narodowej, która doprowadzona do końca, musiałaby zaszkodzić szczególnie mniejszościom narodowym?

Na ostatnim Zjeździe PZKO pojawił się pogląd, że PZKO miałoby się stać przedstawicielem polskiej grupy narodowej i troszczyć się o wszystkie zagadnienia ludności polskiej nie tylko kulturalno-

oświatowe. Na pozór łączy się ten postulat z poprzednimi. Ja jednak uważam, że chodzi o różne rzeczy. Poprzednich tendencji (organizowania np. młodzieży polskiej tylko w PZKO, węgierskiej w Cse-madoku itd.) nie uważam jako marksista (nie jako Czech) za słuszne. Natomiast zacytowane stanowisko niektórych delegatów Zjazdu PZKO (pomimo że zawiera wiele nieprzemyślanych spraw, względnie przemysłanych w niewłaściwym kierunku) posiada ważne, racjonalne momenty. Chodzi o skomplikowane, realne zagadnienie i o problem jak je rozwiązać.

W naszej konstytucji są zagwarantowane równe prawa obywateli wszystkich narodowości, a nie grup narodowych czy mniejszości. Zwracałem już uwagę, że to nie jest tylko nasza czechosłowacka specyfika, że podobnie jest i w innych krajach socjalistycznych. Czy istnieją jeszcze warunki, w których było to ograniczenie słuszne? Albo stosunki u nas i w sąsiednich krajach w Europie, we świecie, zmieniły się tak, że można by było również konstytucyjnie, prawnie uznać istniejącą rzeczywistość (to znaczy zamienić uznanie de facto na uznanie de jure)? To po pierwsze.

Po drugie: Uznanie istnienia grup narodowych pociągnęłoby za sobą wytworzenie w jakiś sposób polityczno-społecznej „reprezentacji“, nasunęłoby problem



Jesień. Foto G. Palowski.

państwowo-prawnego zaszerzgowania danej grupy narodowej do państwa (jak byliśmy tego świadkami swego czasu w odniesieniu do Ukraińców) itd.

Uważam, że można by to było rozwiązać stosunkowo łatwo bez wielkich radykalnych gestów — przez połączenie istniejących organów władzy państwowej, rad narodowych z zasadami narodowościowymi — oczywiście tam, gdzie by to można było praktycznie przeprowadzić. Towarzystwa kulturalne nawet w tym wypadku nie mogłyby być reprezentantami mieszkańców danego obszaru — dlatego, że nie reprezentują wszystkich mieszkańców, nawet przedstawicieli swej narodowości (przy czym żaden obwód, szczególnie w wyniku zmian ekonomiczno-społecznych nie jest narodowościowo czysty i jednolity).

To są wszystkie sprawy, które sięgają daleko poza ramy istniejących towarzystw kulturalnych. Wniosek przedłożony Zjazdowi PZKO wychodził daleko poza istniejący stan rzeczy. O tego rodzaju zmianach nie może decydować zjazd towarzystwa kulturalnego, lecz wyłącznie Zgromadzenie Narodowe, a w naszym systemie przede wszystkim i w pierwszej kolejności najwyższe organy partyjne. Nie wiem czy obecni na Zjeździe dawali sobie z tego sprawę. Dla mnie był ten wniosek jednym z głosów, sygnalizujących pewną kontrowersyjną stronę naszego dotychczasowego załatwiania spraw narodowościowych, z której zdajemy sobie sprawę z grupą towarzyszy już od dłuższego czasu.

Problemy te możemy tylko zasygnali-



Foto Bronisław Bielan.

zować. Wszyscy je w jakiś sposób czujemy i szukamy na nie odpowiedzi.

Może że moje rozważania wzbudzą pewne obawy. Już kilkakrotnie starałem się wyjaśnić, że przy pryncypialnym marksistowskim przemyśleniu realnych problemów nie trzeba mieć obaw — z żadnej strony. Przeciwnie. Jest to próba

rozwiązania rzeczywistych antagonizmów, próba poszukiwania doskonalszego rozwiązania. Obawiać się można tylko nieprzemyślanych i nieprzygotowanych decyzji, przed którymi należy przestrzec. Zasadą miałyby być dążenie do maksymalnego wykorzystania istniejących możliwości. Dopiero kiedy dany stan rzeczy okaże się niewystarczający, należy szukać nowego doskonalszego rozwiązania. Przy tym jako człowiek, zajmujący się tymi sprawami w sferze teoretycznej, muszę podkreślić, że codzienna praktyka i doświadczenie oznaczają wprawdzie dużo, ale nie wszystko. Bezpośredni kontakt z problemami, drobiazgowa znajomość szczegółów, staje się nieraz przeszkodą. Masa aktualnych drobiazgów przysłania czasem całość, powierzchowne i mniej znaczące momenty zacierają te głębsze i ważniejsze, osobisty udział i zainteresowanie może przeszkadzać w chłodnym obiektywizmie, praktycyzm może prowadzić do odejścia od zasadowości. Rozważania teoretyczne „z odległości”, które posiadają tę korzyść, że ocenia się je z dystansu, bez zaangażowania, w spokoju, z różnych punktów widzenia, mają znowu tę słabą stronę, że mogą być oderwane od rzeczywistości. Skomplikowane zagadnienia pracy społecznej, szczególnie kwestie narodowościowe, mieliby więc rozwiązywać wspólnie teoretycy i praktycy. Nawet to by jeszcze nie wyeliminowało możliwości błędów i pomyłek, ale obniżyłoby niebezpieczeństwo jednostronności.

KAREL POMAIZL

ntorem
OBIEKTYWEM

Samochodem przez najwyższe góry Europy

(Notatki z podróży po Szwajcarii)

I. NA SZOSACH AUSTRII

Licznik na tachometrze „Super-Octavii” wskazywał ponad 92.000 przebytych kilometrów, a jak dotąd dobra Škoda trzymała się dziarsko. Podejmować jednak daleką podróż, wspinać się na najwyższe przełęcze alpejskie — to pewne ryzyko. Toteż na wszelki wypadek trzeba było zabezpieczyć się w odpowiednie części rezerwowe, tym bardziej, że wydatki związane z samochodem, przy ograniczonym przydziale dewiz, mogły stać się (niezbyt) miłą niespodzianką... W sumie, przewidywanych 5000 kilometrów trasy po zboczach i przełęczach Alp Szwajcarskich, mogło przez jakiś głupi przypadek zmaleć do 500 km, a może nawet do zera. Wszystko zależało od podstarzałej Škody. Stąd wielu kolegów odradzało podróż samochodem. Jeżeli jednak korzystać w maksymalnym stopniu z pobytu w Szwajcarii, jedynym środkiem lokomocji mógł być tylko samochód. Jak się później okazało, o wiele tańszym niż kolej.

Przygotowania związane z podróżą do kraju słynącego z najbardziej uroczych zakątków i odwiedzanego corocznie przez miliony turystów, wymagały oczywiście daleko więcej czasu i sumienności, aniżeli wczasowe wędrowki nad Bałtyk, Mazury, Balaton. Chodziło o podróż do kraju o innych założeniach politycznych, o innej psychice bycia. Ponadto program podróży obejmował obok wycieczek do Alp, zapoznanie się z trybem życia mieszkańców kraju o wysokiej stopie życiowej, zwiedzenie najważniejszych miejsc związanych z historią Szwajcarii, w szczególności zaś tych okolic, w których przebywało wielu pisarzy polskich.

Sprawa z paszportem poszła na ogół bardzo gładko. Mimo „dewotkarskich plotek” okazało się, że wizę szwajcarską na okres jednego miesiąca można otrzymać w ciągu paru minut, płacąc dosłownie 17 Kčs; na wizę austriacką trzeba było czekać 4 godziny i zapłacić 74 Kčs, z tą różnicą, że wiza tranzytowa przez Austrię ważna była, licząc od chwili przekroczenia granicy austriackiej, 48

godzin. Na wszelki wypadek pojechałem przez C. Budějovice. Zresztą i tak miałem przed sobą na trasie Linz—Salzburg—Innsbruck—Liechtenstein ponad 650 km drogi. A jeżeli chce się chociaż częściowo skorzystać z pobytu w Austrii, trzeba urządzić się bardzo ekonomicznie.

Na granicy czechosłowacko-austriackiej kontrola pobieżna, w każdym razie nie tak „szczegółowa” jak na moście granicznym w Cieszynie. Ze strony austriackiej celnik pytał tylko o kryształ, o ilość benzyny (w Austrii benzyna stosunkowo droga), ale nie zaglądał do samochodu. A może dlatego, że pogoda była deszczowa. Był to właśnie okres „kapryśnej pogody” wakacyjnej.

Pierwsze kilometry na szosie austriackiej niczym się nie różnią od naszych. Droga wąska, połatana asfaltem. Dopiero od malowniczego miasta Freistadt, jedzenia lepsza, duży ruch, który rośnie, im bliżej stolicy Górnej Austrii, Linzu. Miałoby to pozór nie warte dłuższego postoju. Wielki przemysł, największy ośrodek hutnictwa żelaza Austrii, poza tym

w pobliżu duża elektrownia wodna na Dunaju. Odnotować warto chyba fakt, że wybuchło tu powstanie przeciwko rządowi E. Dollfussa.

Z Linza wjeżdża się nareszcie na autostradę prowadzącą z Wiednia przez Linz i Salzburg do NRF. Jest się więc nareszcie na tej słynnej „magistrali samochodowej“, o której tyle się słyszało. Jazda samochodem po autostradzie należy w pierwszej chwili do niezapomnianych wrażeń. Ale to tylko chwilowo, potem staje się droga nudna. Omijając małe miasta, autostrady łączą się z dużymi miastami drogami obwodowymi. Jezdnie rozdzielone są pasem zieleni, każda podzielona na pasma, z których zewnętrzny służy dla pojazdów jadących wolniej, wewnętrzny dla pojazdów jadących szybciej. Dla ciekawości: pierwszą autostradę wybudowano we Włoszech w r. 1922—24 na trasie Mediolan—Verese. Mimo 120 km szybkości musiałem trzymać się zewnętrznego pasma. W wypadku kraksy (obowiązuje ustawienie czerwonego trójkąta, który należy zwozić z sobą) można korzystać z przydrożnych telefonów. Służba techniczna wraz z milicją zjawia się bardzo szybko. Dla większego bezpieczeństwa tu i ówdzie wiatromierze, bo wiatr w dolinach alpejskich lubi czasem psocić na drodze. Poza tym nuda, z wyjątkiem, zależnie od pogody, widoku na wyłaniające się z chmur Alpy.

Po przeszło godzinie jazdy autostradą znalazłem się w rodzinnym mieście Mozarta, Salzburgu. Dwie godziny postoju tu mało. Salzburg wart jest zwiedzenia. Odbывая się tu międzynarodowe imprezy muzyczne i teatralne, jest poza tym wiele zabytkowych kościołów, katedra, uniwersytet, nad miastem malowniczy zamek. Na ulicach duży ruch. Samochodem trudno przepchać się do centrum.

Ponieważ czas naglił, trzeba było jechać dalej, do Kitzbühl, odległego jeszcze o 160 kilometrów. Tam przewidziany był nocleg w campingu. Można było pojechać bliższą trasą przez Bad Reichenhall, ale trasa prowadziła 12 km przez terytorium NRF, a bez wizy trudno było ryzykować. Rozsądną nakazywała obrać drogę dwukrotnie dłuższą, uciążliwą, ale pełną uroku tyrolskiej okolicy.

Od miasta Busch prowadzi do Innsbrucku dwie drogi. Jedna przez Zell am See, Lofer do St. Johann, druga przez Mittersil. Trudno było się decydować. Zebrane informacje znacznie się od siebie różniły. Zdecydowałem obrać drugą. Zresztą w drodze powrotnej skorzystałem z pierwszej. Okazało się, że daleko lepsza i bardziej urocza.

Jazda szosą wzdłuż doliny Salzachu wymagała znacznej ostrożności. Po ostatnich obfitych deszczach, prowizoryczne mosty, poza tym dużo wzniesień, droga wąska i kręta, przeciętna szybkość ograniczona do 25 km. Późnym wieczorem nareszcie w Kitzbühl. Okazało się jednak, że camping znajduje się kilka kilometrów dalej, w Brugerhoff.



Słynny most europejski — wiadukt przez Brenner w Tyrolu.

Trzeba było odszukać, bo cena hotelu w okresie sezonowym w Kitzbühl waha się od 120 do 250 schillingów, a nocleg w campingu 20 schillingów. W campingu tylko kilka gości z Anglii. Widocznie zła pogoda wypędziła innych. Po przebytych 676 km (łącznie z Czechosłowacją), mimo zmęczenia, znęciła mnie reklama austriackiego piwa. Restauracja estetycznie urządzona, czystość, błyskawiczna obsługa, piwo 5 schillingów.

Rano cudowna pogoda. Na horyzoncie zaśnieżone, błyszczące w słońcu szczyty Alp. W kontraście jasnej zieleni czujący widok. Nie zwlekając, wyruszam dalej doliną Innu. Na tym odcinku znacznie lepsze szosy, dużo ruchu. Tysiące samochodów, kolorowych, małych i wielkich, najwięcej Niemców. Zresztą jest to jedyna szosa łącząca Austrię ze Szwajcarią. Droga biegnie dolinami przez typowe malownicze wioski i miasteczka tyrolskie. Na zboczach rozproszone osiedla. Niedaleko Innsbrucku tłok na szosach niesamowity. Wiele samochodów omija miasto. Zatrzymuję na jednej z ulic Innsbrucku.

Innsbruck to przede wszystkim ożywy ośrodek turystyki zimowej, ważny węzeł kolejowy i drogowy. Prowadzi tędy droga do Włoch przez przełęcz Brenner. Niedaleko cudo techniki współczesnej, jedna z największych atrakcji turystycznych — Most Europy. Poza tym uniwersytet, muzeum tyrolskiej sztuki i cały szereg zabytków wartych zwiedzenia. Jedno z najbardziej malowniczych miast.

Do granicy szwajcarskiej brakuje jeszcze 170 km. Doskonała szosa asfaltowa prowadzi dalej doliną Innu. Dookoła wznoszą się potężne, majestatyczne masywy Alp. Tuż za Innsbruckiem mnóstwo stopowiczów. Zatrzymuję samochód zabierając młode małżeństwo. Okazało się, że to byli Amerykanie. On z zawodu nauczyciel, ona pielęgniarka. Dla pokrycia kosztów podróży po Europie pracowali

przez kilka tygodni w Szwajcarii jako kelnerzy. W Landeck rozstaliśmy się.

Na ostatnim odcinku szosy łączącej Austrię ze Szwajcarią, pierwsza przełęcz alpejska na wysokości 1802 metrów — Alberg. Tędy też prowadzi tunelem linia kolejowa. Mimo znacznych wzniesień, droga bezpieczna (w niektórych okresach zamknięta, szczególnie zimą). Po zboczach tu i ówdzie ochronne bariery przeciwko lawinom. Na samej przełęczy kilka zabudowań i hoteli. Dużo miejsca parkingowego. Stąd można wybrać się kolejką linową na najbliższe szczyty Alp. W każdym razie dogodne miejsce odpoczynku. Tu też spotykam pierwszego gościa z Czechosłowacji, lekarza z Berna.

Z przełęczy Alberg już tylko 90 km piękną i malowniczą doliną do granicy szwajcarskiej. Na punkcie granicznym ruch ogromny. Celnik podchodzi do samochodu, kładzie pieczęć do paszportu i sprawa załatwiona. Przejazd przez księstwo Liechtenstein, mając wizę szwajcarską, dozwolony. Po pierwszej wojnie Liechtenstein związał się ekonomicznie i politycznie z Szwajcarią, zawierając z nią w r. 1921 unie monetarną, a w r. 1923 unie celną. Szwajcaria też reprezentuje Liechtenstein za granicą.

Byłem więc ostatecznie w Szwajcarii. W stolicy Liechtensteinu, Vaduzie, ogromny tłok na ulicach. To małe miasteczko, pełne nęcących reklam, sprawiało wrażenie niezwykle miejsca pielgrzymek. Nigdzie nie widziałem takich tłumów, jak właśnie w Vaduz.

Camping wybrałem w pobliżu Vaduz, zresztą w cudownym miejscu, na jednym ze zboczy górskich, skąd rozpościerał się niezwykle widok na oświetlony zamek, rezydencję Franciszka Józefa II (ur. 1906), głowy państwa, liczącego zaledwie 18.000 mieszkańców.

Campingi w Szwajcarii są wszystkie

Niewyśpiewana krasa beskidzkiej góralszczyzny

I leżo to pieśni ludowych zna nasz region beskidzki? Kto zdołał je polichczyć, opisać czy choćby zarejestrować? Czy jest to w ogóle rzeczą możliwą? Wątki melodyczne, zwrotki tekstowe mają tak wiele rozgałęzień, żyją wraz z mieszkańcami gór, są ich smutkiem i radością, towarzyszą we wszystkich okolicznościach życiowych.

Było wielu zbieraczy tych pieśni. Wędrowali całymi tygodniami, ba latami od wsi do wsi, od chaty do chaty. Ale gdy powracali na te wytarte szlaki poszukiwań, zastawali nowe pieśni, nowe rozśpiewane usta. Stugębna jest bowiem pieśń śląskich gór. Jej echa nie milkną, zda się zakłęte w skały, w lasy, w to wszystko, co tworzy urodę beskidzkiego krajobrazu.

Piszę o tym wszystkim pod urokiem niezwyklej książki, która wyszła zaledwie przed kilku miesiącami w Londynie, a której autorem jest Paweł Łysek, profesor uniwersytetu nowojorskiego, a zarazem autor kilku innych pozycji o typie narracyjnym. Ostatnia jego książka różni się jednak bardzo od swoich poprzednich. Zbudowana na tworzywie ludowym, przesyciona jest tym wszystkim, co tworzy oryginalność beskidzkiej kultury, jedyne i niepowtarzalnej w swym autentyzmie. Konstrukcja książki odbiega zdecydowanie od szablonów pisarskich. Autor wtopił je w tok swoich opowieści, tak jak to zarysowała jego dziecięca pamięć.

Trzeba urodzić się góralem, aby wyczuć to wszystko, czego nie jest w stanie oddać zapis zbieracza muzycznego folkloru, co nie stopi w prawdę pióro pisarza, co nie poddaje się żadnemu twórstwu oprócz jednemu: ludowemu. Paweł Łysek, mimo oddalenia, żyje w Beskidach; odczuwa ich tchnienie, rozumie przemiany, jakie tu następują lepiej niż niejeden spośród badaczy dnia wczorajszego i dzisiejszego. Rozumie też doskonale walor pieśni. Toteż zajmuje ona w tekście książkowym wiele miejsca. Dość wspomnieć, że wyśpiewał on w swej książce ponad 200 rymowanych tekstów. Jego pieśń spręgała się nie tylko z dniem świątecznym, z dawnymi i jeszcze wciąż żywymi obyczajami i zwyczajami. Wparła się twardo w życie wsi, jest jej oddechem. Jej smutkiem i radością.

W części książki zatytułowanej „Bolesna” Łysek włącza ją w rytm, który mości drogę śmierci. Śmierć jest inaczej przyjmowana na wsi niż w mieście. Powiedziałbym, że z wyrozumieniem. Umieranie jest zjawiskiem, któremu wprowadzie towarzyszy lament pogrzebowy, ale które każdy sobie łatwo przekłada na język ludowej mądrości. Nie towarzyszy wprowadzie ceremoniałom związanym z przekazaniem ciała ziemi ten wieniec pieśni, jakie wysłuchujemy przy innych okazjach. W czarne otlchanie śmierci wtoczyła się pieśń bolesciwa, pojednana ze świadomością odejścia bez powrotu. Tych pieśni jest może najmniej w no-

tatniku Łyska, jak i tych, które zrodziły się w partyzanckim boju, tworząc nowy deseń w barwnym układzie śpiewu góralskiego. Książka Łyska dowodzi jednak, że pieśń, śpiewanie beskidzkie, nad którym już od stu lat kładziono krzyżyk, nie zanika. Pieśń bowiem jest fluidem, jest częścią życia i ulecieć może jedynie z chwilą, gdy tego życia zabraknie. Już przed przeszło stu laty Paweł Stalmach stwierdzał ze smutkiem uwiad pieśni ludowej, wskazując na milknące echa pasterskich helokań. A dziś po upływie wieku śpiewane przez zespół „Śląsk” doczekały się światowego rozgłosu, budząc zachwyt we wszystkich częściach globu. Usłyszał je za oceanem Paweł Łysek i — jak wyznał — rozplomieniły w nim dawne, nieco przygasłe wspomnienia. Może właśnie one, powtórzone na scenach Chicago, Detroit, Nowego Yorku, spowodowały go do napisania tej jedynej w swoim rodzaju książki, którą nazwał „Przy granicy”.

Czy pieśń milknie w Beskidach? Pytanie jest co najmniej dziwne. Czy stłumi ją cywilizacja? Czy spełni się to, co mówił kiedyś Stalmach, nie domyślając się renesansu jej w zmienionych warunkach współczesnej cywilizacji? Tak jak nie znamy jej rodowodu, tak nikt nie przewidzi jej nowych dróg, którymi spływać będzie do serc ludzkich, zawsze czułych na piękno i świeżość nieupozowanej ludowej urody.

WŁADYSŁAW OSZELDA

Za Olzą, za miedzą

U podobał sobie Bielsko czechosłowaccy przyjaciele zaglądający „za miedzę” coraz częściej w towarzystwie osób łaknących poznać nie tylko walory polskiej kuchni, ale również kulturę bratniego przecież narodu. To bardzo dobrze, że wykorzystując chwile wolne od pracy (a były takie dni pod koniec października), mieszkańcy Jiczyna, Ostrawy a nawet Qłomuńca, nie mówiąc, oczywiście, o naszych ziomkach z Karwiny, Trzyńca czy Bogumina, mija-

ją w swoich samochodach rogatki graniczne i odwiedzają miasta „za miedzą”.

Nie mówię tu o oficjalnych spotkaniach, które również stanowią część naszych wzajemnych kontaktów. Mimo to trzeba wspomnieć o dwóch takich wydarzeniach, bowiem ich zasięg i znaczenie predestynuje ich do tego: o polsko-czechosłowackim sympozjum młodzieżowym i polsko-czechosłowackiej wieczornicy przyjaźni w Bielsku-Białej.

Sympozjum, poświęcone głównie zagadnieniom produkcyjnym, m. in. omówieniu form współzawodnictwa pracy i roli młodzieżowej organizacji w rozwijaniu tego ruchu, zorganizowane zostało w ślicznym domu wczasowym pod Szyn-dzielnią. Obrady polskiej młodzieży zrzeszonej w ZMS i czechosłowackiej, reprezentowanej przez przedstawicieli Okręgowego Komitetu Związku Młodzieży Czechosłowackiej w Ostrawie, były owocne i obok zamierzonych korzyści natury ideologicznej i „produkcyjnej”, przyczyniły się do wzajemnego lepszego poznania.

W ostatnich dniach października odbyła się w Bielsku jeszcze jedna uroczystość polsko-czechosłowacka: bawili w mieście wótkniarzy przedstawiciele am-

basady CSRS z dyrektorem Ośrodka Kultury Czechosłowackiej w Warszawie, którzy przyjechali na zaproszenie bielskiej młodzieży. Z tej okazji w świetlicy Zakładów Metalowych odbyła się uroczysta wieczornica, na której gwoździem programu był wcale dobrze przygotowany quiz pt. „Co wiesz o przyjaźni polsko-czechosłowackiej na przestrzeni Ty-siąclecia”. Okazało się, że młodzież polska wie o wzajemnych kontaktach w historii bardzo wiele i że zna również najnowsze dzieje naszej przyjaźni.

Tak więc cieszą bielszczan nie tylko dziesiątki turystów wysiadających z samochodów ze znakami rozpoznawczymi Ostrawy i coraz częściej zaglądających także do muzeum i pawilonu wystawowego, pragnących zapoznać się z polskim życiem kulturalnym, ale także wzajemne, niejako oficjalne, kontakty. W ostatecznym rachunku bilansujemy nie tylko obroty w sklepach, kawiarniach i restauracjach, ale także zyski, bo tylko o takich można mówić na odcinku kultury.

Pod koniec października spadł w Bielsku pierwszy śnieg. Zrobiło się nieprzyjemnie zimno. Niektórzy myślą już o „deskach”. Miejscowa gazeta „Kronika Beskidzka” przygotowuje się do jubileuszu...

(włacz)

własnością prywatną. W stosunku do Austrii lepiej wyposażone. Ten, w którym nocowałem, oprócz wszystkich wygod, posiadał ponadto małeńki basen kąpielowy. Opłata za prawo rozstawienia namiotu plus postój samochodu dwa franki szwajcarskie. [Jednostkami monetarnymi Szwajcarii i Liechtensteinu są franki równe 100 rappom — 1 dolar równa się 4,20 fr. szwajcarskim].

Pełen wrażeń kładę się spać. Pierwsza w życiu noc w najstarszej republice europejskiej.

(C. d. n.)

JAN KORZENNY

Paweł Stalmach (1824—1891)

W cyklu obejmującym sylwetki naszych działaczy, przypominamy w numerze bieżącym Pawła Stalmacha, postać, o której wielu śląskich działaczy narodowych, społecznych, kulturalnych czy oświatowych od zgorą stu lat mogłoby powiedzieć: „My wszyscy z niego...”. W listopadzie br. mija 75 lat od jego zgonu, jest więc rocznicowa niejako okazja, by przypomnieć tę postać i jej zasługi.

Działalność Stalmacha przypada na okres, nazywany w dziejach Śląska okresem odrodzenia narodowego i społecznego. Okres ten, rozpoczęty Wiosną Ludów i wypełniony pracą nad podniesieniem i rozbudzeniem ludu śląskiego, trwał aż do czasów pierwszej wojny światowej, a postacią w tej pracy bodaj najzasłużeńszą był właśnie Paweł Stalmach, długoletni redaktor pierwszego polskiego pisma na Śląsku Cieszyńskim, „Gwiazdki Cieszyńskiej”, i założyciel towarzystwa oświatowego Macierzy Szkolnej Śląska Cieszyńskiego, która w dziejach kultury i oświaty polskiej odegrała rolę bardzo doniosłą.

Stalmach urodził się 13 sierpnia 1824 w Bażanowicach niedaleko Cieszyna pod chłopską strzechą, zmarł 13 listopada 1891 roku w Cieszynie. Był jednym z niewielu chłopców wiejskich, którym udało się dostać do gimnazjum cieszyńskiego i przebić się przez nie, jednym z tych, co z trudem zdobytą pozycję społeczną wykorzystali dla pracy narodowej i społecznej. Ówczesne szkolnictwo średnie na Śląsku było niemieckie, szkoła też najczęściej wynaradawiała młodzież śląską, tacy jednak jak Stalmach, chcący w przyszłości pracować wśród ludu i dla ludu, wynaradowić się nie dali. W obcej duchem szkole, kierując się początkowo względami czysto praktycznymi, uczył się języka polskiego, by nie zerwać łączności z mówiącą po polsku ludnością rodzimą. Poczucie pełnej świadomości narodowej obudziło się w Stalmachu dopiero później, w czasie studiów wyższych w Bratysławie, kiedy zetknął się ze słowackim ruchem narodowym. Znalazłszy się w kręgu oddziaływania wybitnego słowackiego działacza narodowego, Ludewita Sztura, postanowił, idąc za jego przykładem, poświęcić się podobnej pracy w swych stronach rodzinnych, całkowicie dotąd pod względem narodowym zaniedbanym.

W roku 1848 wziął udział w „Kongresie Słowiańskim” w Pradze.

Dzięki staraniom i wydatnej współpracy Stalmacha ukazuje się w Cieszynie w dniu 6 maja 1848 pierwszy numer „Tygodnika Cieszyńskiego”. Latem tegoż roku wraca Stalmach na stałe do Cieszyna, obejmując redakcję „Tygodnika” i odtąd już przez lat kilkadziesiąt jako re-

daktor i wydawca nie wypuszcza pióra z ręki. Zadanie, jakiego się podjął, nie należało do łatwych. Brak środków, konfiskaty, procesy prasowe, kary przeróżne łącznie z karą więzienia, odsiadywaną w r. 1863, 1867 i 1868, ciągle wreszcie borykanie się z władzami austriackimi nie zniechęciły wcale Stalmacha. „Tygodnik Cieszyński”, naraziwszy się władzom, przestaje wychodzić, redaktor jego jednak zaczyna po pewnym czasie (1851) wydawać inne pismo, które jako poświęcone oświacie i rozrywce nie budzi tych zastrzeżeń, co skompromitowany w oczach policji „Tygodnik”. Pismem tym była „Gwiazdka Cieszyńska”, która przez wiele, wiele lat — jak to pięknie powiedział Kraszewski — „świeci i służy na Śląsku bratnim, sama jedna, nie popierana przez nikogo i trwa, pielęgnując tam narodowość, którą kilku biednych ludzi wzięło podtrzymywać z prawdziwym heroizmem. Z rozczuleniem i łzą w oku spoglądać musimy na to pismo skromne, ciche, a tak wielkiego dla kraju znaczenia... Przy szczupłych swych środkach z zadziwiającą trafnością i troskliwością redagowane”.

Znaczenie „Gwiazdki” w dziejach kultury i oświaty było olbrzymie. Jej oddziaływanie na masy ludowe nie ograniczało się tylko do Śląska Cieszyńskiego, pismo to bowiem w drugiej połowie XIX wieku czytane było także na Śląsku Górnym, w Małopolsce i innych dzielnicach. Na „Gwiazdce”, bez przesady, lud uczył się czytać, z niej czerpał wiadomości o Polsce i świecie, z niej wyrastało wśród ludu zamiłowanie do czytelnictwa. Stalmach jako redaktor stał się wybitnym krzewicielem oświaty, a jego zasługi w tym względzie stawiają go w rzędzie ludzi najzasłużeńszych nie tylko w skali śląskiej.

Z pracą redaktorską Stalmacha w ścisłej łączności pozostaje praca pisarska. Rozpoczął ją wcześniej, będąc jeszcze studentem, na długo przed przystąpieniem do wydawania „Tygodnika”. W Bratysławie i Wiedniu, zetknawszy się z różnymi ciekawymi materiałami słowiańskimi i polskimi, pisze „na zapas”. Cechuje go wyjątkowa pracowitość, której jednym z przykładów niech będzie staranna, nieledwie kaligraficzna, własnoręczna przez niego wykonana kopia „Ksiąg pielgrzymstwa i narodu polskiego” Mickiewicza, dziełka przez cenzurę w owych latach niemiłosiernie tępionego. Znalazłszy je u narodowców słowackich, przepisuje je, a kopię przesyła przyjaciołom cieszyńskim. Związek z latami studenckimi ma wydany przez niego w r. 1849 „Zbiór pieśni słowiańskich”. Ten pierwszy słowiański śpiewnik, wydany w Cieszynie, zawiera pieśni śpiewane przez studentów polskich, czeskich, słowackich,



ukraińskich, serbskich i innych, z którymi zetknął się w Bratysławie i w Wiedniu. Wiele pieśni narodowych z tego śpiewnika poszło wtedy między nasz lud. Z młodzieńczymi latami Stalmacha złączyć też należy dwa jego własne utwory literackie: „Bój na Dobropolu” i „Cieszymir”. W pierwszym opiewa walki książąt śląskich z Tatarami w r. 1241, drugi, w formie scenicznej, poświęca legendarnym dziejom, opowiadającym o początkach Cieszyna.

Obszerniejsze dziełko pt. „Księgi rodu słowiańskiego”, wydane w r. 1889, z całą pewnością początkami swymi sięga również lat studenckich. Zajął się Stalmach w tej książce „starożytnościami słowiańskimi”, a więc najdawniejszymi zabytkami, wierzeniami religijnymi, ustawodawstwem itp. Głównym dziełem Stalmacha jako pisarza są dziesiątki roczników redagowanej przez niego „Gwiazdki”. Choć udało mu się skupić wokół niej szereg pisarzy i korespondentów, to jednak on głównie troszczył się o celowe i pożyteczne wypełnienie jej łamów. A jaka to była troska, wystarczy przypomnieć np. dzieje pierwszej powieści, jaką Karol Miarka przesłał redaktorowi „Gwiazdki”. Autor, po przesłóbkach i poprawkach dokonanych przez Stalmacha, prawie że nie poznał swej „Górki Klemensowej”, a podobnie rzecz przedstawiała się w odniesieniu do wielu autorów i korespondentów tego pierwszego i przez długie lata jedynego pisma ludowego, wydawanego w Cieszynie. Jeśli Cieszyn w dziejach oświaty ludowej w wieku XIX zajął jedno z przodujących miejsc, to zasługa w tym przede wszystkim Stalmacha i jego „Gwiazdki”.

„Gwiazdka Cieszyńska” czy pisarstwo nie były jednak jedynym i wyłącznym terenem działalności Stalmacha. Towarzystwa polskie w zesłowiecznym Cieszynie, które przeważnie zakładał, znalazły w nim gorliwego i ofiarnego pra-

cownika zabiegającego o książki polskie, troszczącego się o teatry ludowe, życie towarzyskie i kulturalne. Takie towarzystwa jak Czytelnia Ludowa, założona w r. 1862, Towarzystwo Rolnicze, założone w r. 1863, Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek, powstałe w r. 1873. Towarzystwo Pomocy Naukowej i inne, zawdzięczają mu bardzo wiele. Kiedy rozwój życia narodowego na Śląsku Cieszyńskim, którego Stalmach był krzewicielem najofiarniejszym, przybrał na sile, zrodziła się wśród ludzi, którym on przewodził, myśl o powołaniu do życia szkolnictwa polskiego, które by skuteczniej

niż inne usiłowania położyło kres germanizacyjnej działalności rządu austriackiego. Myśl tę wcieliła w życie Macierz Szkolna dla Księstwa Cieszyńskiego, założona głównie staraniem Stalmacha w r. 1885. Szeroko zakrojona akcja gromadzenia funduszków, mających umożliwić otwarcie prywatnego gimnazjum polskiego w Cieszynie, rozpoczęta przez pierwszego prezesa Macierzy, którym był Stalmach, przyniosła w kilka lat po jego śmierci owoce. Gimnazjum polskie w Cieszynie, założone i utrzymywane początkowo przez Macierz, otwarto w r. 1895. O znaczeniu tej szkoły dla rozwoju ży-

cia polskiego na Śląsku wystarczy powiedzieć tylko tyle, że dostarczyła ona krajowi rodzimej polskiej inteligencji, która z czasem zaczęła wypierać napływową i wrogo wobec ludności polskiej na Śląsku nastawioną inteligencję obcą. „Gwiazdka Cieszyńska“, Czytelnia Ludowa, Macierz Szkolna i gimnazjum polskie w Cieszynie — oto najważniejsze etapy ofiarnej pracy Stalmacha, które warto przypomnieć w 75 lat po jego śmierci. Ogromem pracy swojej zapisał się Stalmach w dziejach Śląska na zawsze.

LUDWIK BROŻEK

DIABELSKIE ELDORADO

O tym, że dostatek nie zawsze przynosi szczęście, wiedzą tylko ci nieliczni, do których uśmiechnęła się łaskawie fortuna; dla wielu biedaków pieniądź był, jest i będzie synonimem nie tylko dobrobytu, ale i bez troski, potęg, zadowolenia i tego wszystkiego, o czym im się marzy. Dążenie do szybkiego i możliwie łatwego wzbogacenia się jest stare, jak bodaj sama ludzkość, choć różne przybierała formy. Mordując współbraci-jaskiniowców, wydzierając im skóry i krzemienne narzędzia; prowadząc krwawe wojny i uprowadzając jeńców; podejmując trud wypraw krzyżowych; zapuszczając się w gorączkę złota na obce kontynenty, człowiek szukał zawsze upragnionego szczęścia, upragnionego Eldorado. A dzisiaj, kupując za kilka złotych blankiet „Toto-Lotka“, czy innej „Karolinki“, czyż nie myślimy w gruncie rzeczy o tym samym?

O tym, że wierzenia zachowały się do czasów najnowszych, świadczą m. in. teksty zebrane przez J. Ondrusza. „Jeszcze bych dziśka mógł pokazać, kany sie ty złote pinióndze suszyły“ — zapewniał np. folklorystę Józef Macoszek z Mostów.

Powstaje zaraz pytanie, skąd się w ogóle wzięły bajki o diabelskich pieniądzach. Jak pisze J. Krzyżanowski, na ujęciu opowieści o skarbach „odbiło się skrzyżowanie elementów obyczajowo-lokalnych z wątkami baśniowymi. Warstwę drugą, chronologicznie zapewne starszą, reprezentują wierzenia przywiązane do skarbów naturalnych, cennych kruszców i minerałów“. (Paralele, Warszawa 1961, s. 212). Tak to wygląda w Tatrach (szkic Krzyżanowskiego poświęcony jest tzw. tatrzańskim poszukiwaczom skarbów), tak samo mniej więcej przedstawia się i u nas.

Na długo przed odkryciem podstawowego bogactwa naturalnego, jakim jest węgiel, znano już na Śląsku Cieszyńskim rudy metali. W XVIII wieku kopalnie rudy żelaza istniały w Cisownicy, Istebnej, Mistrzowicach, Koniakowie i w Krasnej. Niestety, zawartość żelaza była niska (około 30 %), wydobyć nie trwało więc długo.

Oprócz żelaza spodziewano się zna-

leźć w Cieszyńskim i inne, szlachetniejsze kruszce. Książęta Wacław II i Fryderyk Kazimierz wierzyli w to do tego stopnia, że wyjednali sobie nawet u cesarza prawo eksploatacji złota i srebra na terenie Księstwa. Choć nadzieje te okazały się płonne, poszukiwania trwały nadal i były prowadzone jeszcze za panowania cesarza Leopolda I. Znamy nawet nazwiska ostatnich poszukiwaczy; byli nimi: bakałarz medycyny (1) I. Scholz oraz górnik J. Stadler. Udało im się znaleźć jedynie... słone źródła w Orłowej. Kronikarz notuje z żalem, że obydwaj wprowadzili „zamierzają dalej szukać, ale potrzebują pieniędzy“, których widocznie nie mieli. „Gdyby je mieli — wyraża przekonanie — pokazałoby się, że Śląsk, Morawy i Czechy są bogatsze w złoto i kamienie szlachetne niż Węgry.“

Oprócz poszukiwań geologicznych, uwiecznionych częściowo powodzeniem, wiarę w istnienie podziemnych skarbów mogły podtrzymywać i zapewne podtrzymywały wypadki faktycznego, najczęściej przypadkowego odkrycia skarbu, zakopanego bądź przez zbójników, bądź przez zagrożonych kupców, bądź przez zwykłych, spokojnych mieszkańców, wreszcie — w obawie przed rabunkiem, zwłaszcza w okresie licznych wojen. Z praktyką tego rodzaju spotykaliśmy się przecież nawet podczas ostatniej wojny. Oczywiście, zakopanie pieniędzy przed wrogiem miało zbyt mało elementów cudowności, przemawiało zbyt słabo do wyobraźni ludowej, by mogło przejść do tradycji ludowej. „Ondraskowe“ natomiast, czy inne zbójnicze pieniądze są częstym tematem cieszyńskich opowieści wierzeniowych. Znajdują się one (pieniądze) m. in. w Raju, na Girowej, w Czantorii i na innych miejscach.

Jeśli chodzi o genezę podań o „suszących się“ czy „palących“ pieniądzach (T 8014), to na pewien ślad może nas naprowadzić tekst Ondrusza, zatytułowany „Jak gazda odpalował pinióndzami, kiere sie suszyły“. Czytamy tam m. in. „Kiejsł, w starodawnych czasach, suszowały sie pinióndze. Leczy kandy ich mógł człowiek napotkać. Tak oto na ziemi,

albo w jakim dudławym drzewie sie politł taki maluperny ogiunek. A to były pinióndze.“ (Śląskie opowieści ludowe, Ostrawa 1963, s. 66). Jak widać, fantazję ludu zapładniały tu te same zjawiska optyczne, które stały się źródłem „fajermónów“, „nocnic“ i innych straszdeł, a więc palący się metan i blyszczące fosforycznym blaskiem próchno.

Zgodnie z wyobrażeniami ludowymi, zakopane w ziemi, ukryte w drzewie, bądź w podziemiach jakiejś budowli (najczęściej zamku) pieniądze, złoto i inne drogocenne kruszce należą do diabła, ale w zasadzie tylko wtedy, gdy człowiek, który je ukrył, bądź to w ogóle nie żyje, bądź o nich zapomni. „Zły duch“ pilnie strzeże swej własności. „Ludzie w Mostach łopowiadają — zanotował Ondrusz — że na Girowej, w Dłoblim Młynie leżą pod wielkóm skalóm pinióndze. Tych skarbów strzeże jeden stary diabol.“ (Śląskie opowiadania ludowe, s. 70). W Ostrawie na odmianną, w podziemiach tamtejszego zamku, siedziała na beczkach z pieniędzmi złota kaczka, na Goduli pilnuje skarbu wąż — Złotogłowiec, na Czantorii śpiący rycerz. W innych miejscowościach mówi się o psach, ropuchach, krukach i innych postaciach, pod którymi występuje — jak wiadomo — diabeł.

Swoją troskę o przypadkowo czy umyślnie powierzony mu skarb przejawia diabeł nie tylko jego osłanianiem. Raz w roku, zazwyczaj w Niedzielę Palmową lub w Noc Świętojańską, wydobywa pieniądze na powierzchnię, przesypuje je, suszy na słońcu lub świetle księżyca, czyści z pleśni, często — niczym skąpiec — starannie przelicza.

Jak gdzie indziej, również mieszkańcy Cieszyńskiego wierzyli dawniej, że diabelskie pieniądze można wydobyć, spełniwszy odpowiednie warunki. Przede wszystkim, jeśli próba wydobycia ma się powieść, trzeba wybrać odpowiednią dzień i odpowiednią porę. Zazwyczaj wymienia się Palmową Niedzielę, Wielki Piątek, Noc Świętojańską, czasem now księżyca.

Poza tym trzeba przestrzegać pewnych ogólnych wskazówek, do których należy np. zakaz przeklinania.

„Na Studzińskim było źródło i tam sie suszyły ty złote pinióndze — opowiadał narrator z Mostów. — Ty dwie dziwnuchy brały ty złote pinióndze, a tuki

KALENDARZ ŚLĄSKI 1967

Czeskocieszyńska drukarnia kończy już druk Kalendarza śląskiego na rok 1967. Przewiduje się, że już po 20 listopada znajdzie się w sprzedaży.

Jego treść jest bardzo urozmaicona. Najciekawsze są prace z dziedziny publicystyki i przeszłości naszego regionu. Kalendarz staje się również swoistą antologią współczesnej twórczości naszych autorów. W tym roku specjalnie wyróżniają się prace z zakresu fotografii artystycznej. Bardzo świeży i odkrywczy jest układ graficzny. Ciekawe, można powiedzieć w pewnym sensie odkrywcze materiały oraz tradycyjny już dział opowiadań, pogwerek i humoru gwarowego, świetnie podpatrzony krajobraz i typy ludzi w fotografii, spowodują zainteresowanie kalendarzem, który na pewno jak corocznie, nie zagrzeje długo na półkach księgarskich.

KONTAKTY JOK-U
Z „PAGARTEM“

W czasie pobytu „Hutnika“ w Warszawie przedstawiciele trzynieckiego JOK-u byli dwukrotnie gośćmi dyrekcji Polskiej Agencji Artystycznej „Pagart“. Z przeprowadzonych rozmów wstępnych wynikało, że „Pagart“ chętnie nawiąże kontakty kulturalne z naszym terenem. Ze społy i soliści z PRL mogą do nas przyjechać za pośrednictwem „Pragokoncertu“ względnie — w razie negatywnego stanowiska tego ostatniego, na podstawie bezpośrednich kontaktów i rozmów.

Wstępne rozmowy będą w najbliższym czasie kontynuowane i na pewno wkrótce nabiorą konkretnych form. Istnieje więc uzasadniona nadzieja, że w roku 1967 i

idzie ku nim gojny, a miał koński kopyta. Ta jedna mówi:

— Na, też cie tu diabli niesom!
I pinióndże hyrkl spadki do zymy,
i tela było.“ (J. Ondrusz, Śląskie opowieści ludowe, s. 67.)

Podobne zdarzenie przypomina sobie Anna Stolarzowa z Markłowic Dolnych: „Mój tatulek byli za wolorza. Mieli pachotka. Orali raz spółę. Naroz tatkwowi płóg wyskoczył, a nosza płoga strzeliła ich w brodę. Ogromnie zaklyni i hned brzinkot sie stoł.

A jak jechali spadki, tak na skibie leżały strzybne ryńszczoki, a w zymy była tako dziura, jak po wielkim garcu. Ale skarbu nie było. Dyby nie byli zaklyni, to by isto wyorali garniec pinie-dzy.“ (Tamże, s. 68.)

Drugim podstawowym warunkiem wydobycia skarbu jest zachowanie milczenia w czasie kopania.

W Borku koło Bogumina znajdował się w tamtejszym lesie skarb. Pewnego razu, a było to w Wielki Piątek, trzech śmiałków wybrało się, aby go wydobyć. Ledwie rozpoczęli pracę, gdy rozległ się głos z tyłu: „To należy do piekła, przestańcie!“ Poszukiwacze, zdając sobie sprawę z tego, że to szatańskie sztuczki, kopali dalej. Aliści szatan w postaci ludzkiej nie dał za wygraną. „Daleko stąd do Bogumina?“ — spytał. Mężczyźni nie odpowiedzieli i bez większych przeszkód udało im się wydobyć garniec dukatów. „Nie widzieliście tu powozu z białymi końmi?“ — spytał znowu tajemniczy nieznajomy. „A idź do diabła z twoim powozem!“ — krzyknął zirytowany już śmiałek. W tejże chwili skarb przepadł, powstał wicher i porozrzucił niefortunnych poszukiwaczy po różnych miejscowościach.

Opowieść ta, zanotowana przez R. F. Jurę [podaje w streszczeniu za: Stare povesti slezské, Praga 1934, s. 104—106], posiada kilka alternujących odmian, zanotowanych m. in. przez J. Ondrusza [Godki śląskie, Czeski Cieszyń 1956, s. 195—198] i L. Ulčaka [Skarb pod szukwaldzkim zamkiem. W: Bajki śląskie, Ostrawa 1962].

Wymienione dotychczas warunki mają charakter negatywny, mówią o tym, czego robić nie wolno. Ale istnieją również wskazówki pozytywne, przy czym mają one charakter bardziej szczegółowy. Cieszyńskie wierzenia polecają przeciw strzegącemu skarbu diabłom takie środki magiczne, jak woda i kreślenie święcony oraz „wirguła“, czyli krzyż odlany z tzw. okapków paschalnych, która ma stanowić klucz do zamkniętych skarbow. Zalecają również trzymanie pod językiem kamyczka dla dodania sobie odwagi oraz takie zabiegi, jak przerzucanie „palących się“ pieniędzy butami, nakrywanie ich czapką itp.

Z dość osobliwym warunkiem spotykamy się u B. Hoffa:

„Na górze Czantorii stoi suchy, skarłowaciały buk, z jednym konarem w postaci ramienia. Z niego kapie wciąż woda, a pod wykopem znajduje się wielki skarb. Każdemu wolno podnieść go, lecz pod warunkiem, że musi wyjść z Cieszyna i prostą drogą dążyć na Czantorię pod wspomniany buk. To się zdaje być nietrudnym do wykonania, gdyby nie ten dodatek do warunku, że nie wolno przechodzić przez wodę, co jest prawie niemożliwe do wykonania, bo okolica obfituje w niezliczone strumyki i jeziora [!]. Przynajmniej dotąd nie udało się jeszcze nikomu podnieść owego skarbu.“ (Lud cieszyński..., s. 64; wierzenie to notuje też L. Malinowski: Powieści ludu na Śląsku, Kraków 1954, s. 19—20).

Nie przestrzeganie warunków, wymaganych dla wydobycia skarbu, może być i z reguły jest bardzo groźne w skutkach, przy czym nie należy do rzadkości nawet utrata życia. W dolinie Jawornika np. Cieśladowie wydobyli wprawdzie zaklęty skarb, ale ponieważ nie dotrzymali umowy z diabłem, „wieczór diabeł chałupę zaczął trząść, a hulać, jak koń po chałupie, tylko że go nikt nie widział. Na trzeci wieczór, jak ten chłop powierzał, tak go diabeł zadusił na śmierć.

Od tego czasu przestało już straszyć w chałupie, lecz pieniądze znikły, a drugiego brata znaleźli utopionego w Wiśle. Żona zaś jego od tego została głupią i żyje do dziś dnia i nazywa się Zuza Cieślarka.“ (B. Hoff, Lud cieszyński..., s. 64.)

Przegląd powyższy jest bardzo pobieżny, świadczy jednak chyba o tym, że opowieści o zaklętych skarbach odznaczają się różnorodnością treści, jak i sposobu jej ujęcia. Na naszym terenie przybierają one zwykle postać podania lokalnego, choć z motywem magicznego skarbu spotykamy się również w coraz rzadziej opowiadanych baśniach.

ROBERT DANIEL



Chór żeński „Hutnika“, zespołu, który z wielkim powodzeniem, jak pisał o tym w „Świecie“ J. Waldorf, reprezentował nasze śpiewactwo na 40-leciu ZPZSiJ w Warszawie.

Niewątpliwe powodzenie, ale czy sukces?

Przestawienie będzie się niewątpliwie cieszyło dużym powodzeniem u publiczności — takimi słowami kończyli kiedyś recenzenci swoje sprawozdania pisane w nocy po premierze. Dziś nikt (z wyjątkiem może administracyjnych dyrektorów teatru) nie waży się zgadywać przyszłych losów przedstawienia. Z „Drzewami” dzieje się jednak zawsze to samo: cieszą się niezmiernym powodzeniem publiczności. Bo znajduje też ona w nich wiele melodramatu, sentymentalnych wątków, autentycznej teatralności, uczucia i serca. Wszystko to razem wzięte ma wysoką cenę w oczach widzów. Czarować jednak słuchacza dużą, czującą, smętną i szlachetną należy do zadań wdzięcznych, efektownych, ale też stosunkowo łatwych.

Jest sprawą powszechnie znaną, że sztuka Alejandro Casony „Drzewa umierają stojąc” przedstawia mieszaninę różnorodnych warstw dramatycznych. Akt pierwszy utrzymany w tonie komediowej mistyfikacji, akt drugi przypominający komedię mieszczańską i wreszcie akt trzeci zmieniający całą sprawę w melodramat o rzeczywistej smutnej tonacji. Z tego połączenia różnych stylów wynika podstawowa trudność inscenizacyjna występująca przy realizacji tej sztuki. Trzeba się na coś zdecydować, jakoś „ujednolicić” całość. Pod tym względem spektakl czeskokocziński przedstawia się korzystnie. Chęć scalenia i ujednolicenia całości jest najbardziej widoczna w scenografii Jarosława Zbořila. Reżyser przedstawienia, Alojzy Nowak, wyciszył do minimum wszystkie komediowe czy też wręcz farsowe tony w akcie pierwszym, a nacisk położył raczej na uwypokreślenie pewnej sensacyjności fabuły oraz „umownej egzotyki i tajemniczości”. Podkreślenie tych cech pozwoliło mu potem mniej melodramatycznie rozegrać obraz ostatni. Odważne cięcia z ołówkiem w rękę przydały się chyba aktorowi pierwszemu i wspólnie ze wspomnianym już pewnym uwypokreśleniem sensacyjności fabuły i egzotyki nadałyby lepszy i bardziej wyrazisty rytm całemu przedstawieniu.

„Drzewa umierają stojąc” gra się przede wszystkim dla jednej roli. Jest nią rola Babki. Stoi w centrum zainteresowania autora, reżysera i widza. Jeśli o autora chodzi, to chwilami odnosi się wrażenie, że na użytek roli Babki skonstruowana została cała sztuka. W konsekwencji tego oczy reżysera, a potem widza, skierowane są więc przede wszystkim na Babkę. Jest to wielka rola. Ma-



Marta Gogółkova w roli Babki w sztuce Casony „Drzewa umierają stojąc”.

teriał dla samodzielnej, indywidualnej twórczości aktorskiej. Tak jak rozumiała to dawna tradycja teatralna. Autor przygotował tu kanwę, na podstawie której każdorazowy wykonawca buduje swoją indywidualną i oryginalną wizję. Luki i brakujące ogniwa w jednolitym wizerunku psychologicznym są właśnie tą autonomiczną częścią pozostawioną przez autora dla warsztatu twórczego aktora. Aktorstwo urasta tu do rangi prawdziwie twórczej. I jest miarą indywidualności oraz inwencji aktora.

Marta Gogółkova rozumie i odczuwa intencje autora. Dysponuje głosem, mimiką, gestem. Zmagania aktorki z rolą wyrażają się w tym spektaklu w przewidywalnej skłonności do melodramatu, sentymentalizmu, zarysowania detali i zapożyczeń z dawnych ról. Jeśli, choćby na ostatniej reparyzie, zmagania te uwieńczone będą wymknięciem się aktorki z cujnych objęć powszedniej rzeczywistości i sielankowego obyczajowego realizmu, wtedy mówić będziemy o sukcesie. Osobistym wielkim sukcesie aktorki. Zadaniem artysty jest bowiem „wzruszać, a nie być wzruszonym”. Uczuciowość, łatwość wzruszania się mogą być zaletami widza, zawsze są jednak wadami aktora. Rola Babki jest już na pewno nawet w swej premierowej postaci osiągnięciem Marty Gogółkovej. Scena rozmowy z Izabellą w akcie drugim, spotkanie z prawdziwym wnukiem oraz milcząca godność zranionej istoty w zakończeniu sztuki są ciekawą propozycją aktorki dla dokonanego procesu wewnętrznego bohaterki.

Osobiste refleksje, jakie nasunęły mi się w czasie oglądania przedstawienia: W sztuce mamy do czynienia z *teatrem*

w dalszych będziemy mogli gościć na naszym terenie czołowe zespoły i solistów z PRL. Jeśli tylko będą i u nas odpowiednie warunki i zainteresowanie.

„HARFA” Z WARSZAWY PRZYJEDZIE DO TRZYŃCA

Trzyńciecki „Hutnik” utrzymuje od dłuższego czasu żywy kontakt z warszawską „Harfą”. W czasie ostatniego pobytu trzyńczan w Warszawie był „Hutnik” gościem „Harfy” w jej siedzibie. W wyniku przeprowadzonych rozmów, „Harfa” przyjedzie na kilka koncertów do Trzyńca i okolicy w sierpniu 1967 r. Towarzystwo śpiewacze „Harfa” należy stale do ścisłej czołówki najlepszych chórów w Polsce. Dyrygentem zespołu jest obecnie prof. Jerzy Kołaczkowski.

JUBILEUSZOWY FESTIWAL PZKO — 1967

Przygotowania do Festiwalu są w pełnym toku. Odbędzie się on tym razem w Parku B. Niemcowej w Karwinie w dniach 1 i 2 lipca 1967. Festiwal będzie punktem kulminacyjnym obchodów jubileuszowych. W jego programie, oprócz naszych zespołów, wezmą również udział zespoły z Polski.

WYNIKI KONKURSU NA NOWĄ OKŁADKĘ „ZWROTU”

W dniu 25. 10. br. odbyło się w naszej redakcji zebranie jury, które oceniło nadesłane projekty nowej okładki „Zwrotu”. Po rozpatrzeniu 30 prac, przyznano trzy równorzędne nagrody następującym autorom: Bronisławowi Liberdzie, Bronisławowi Firli i Oskarowi Pawlasowi, przy czym do realizacji zakwalifikowano projekty B. Firli.

Prace nie nagrodzone są do podjęcia w redakcji.

II JESIENNE RENDEZ VOUS

Prawie w dniach, kiedy nasz miesięcznik dociera do czytelników, 15. 11. br. odbywa się w sali Piasta w Cz. Cieszyźnie kolejne II Jesiennie Rendez Vous — impreza młodzieżowa, organizowana wspólnie przez ZG PZKO i redakcję „Głosu Ludu” oraz naszego pisma.

Wieczór zapowiada się niemiernie atrakcyjnie od zeszlorocznego.

BYŁO 85 OGNISK

Na zagajenie Roku Jubileuszowego PZKO zapłonęło pierwszego października 85 ognisk. Od Pułdowa po Łomną zebrało się przy blasku ognisk przeszło 7200 członków i sympatyków Związku, by zainaugurować obchody jubileuszowe. Trzy Koła zamiast ognisk zorganizowały uroczyste akademie. Karwina V, Gródek oraz Nawsie-Jasienie upiękшыły uroczyste zagajenie obchodów ogniami sztucznymi, zaś Milików i Dolny Żuków zorganizowały pochód lampionowy.

OD REDAKCJI

Prosimy autora artykułu „O naszej twórczości bez iluzji”, opublikowanego w 9 nr „Zwrotu”, o podjęcie honorarium za tę pracę albo o zawiadomienie redakcji, na jaki cel je przeznaczają.

DO ABONENTÓW „ZWROTU“

W przeciągu ubiegłego miesiąca otrzymali wszyscy abonenci „Zwrotu”, którzy dotychczas nie wyrównali prenumeraty za ub. lata, względnie bieżący rok, wykazy należności wraz z czekami. Ze względu na reorganizację miesięcznika od 1.1.67, prosimy o wyrównanie wszelkich zaległości jeszcze w tym roku.

JUBILEUSZ
KLEMENSA MATUSIAKA

13. 11. 1966 obchodził jubileusz 85-lecia urodzin wybitny działacz społeczny Śląska Cieszyńskiego, były inspektor szkolny, Klemens Matusiak.

Jubilat jest niezwykle ciekawą postacią w historii ziemi cieszyńskiej. Urodził się w Bulowicach koło Bielska. Pracę nauczycielską rozpoczął w r. 1908 w Trzhanowicach, gdzie uczył do r. 1914. Do historii zapisał się jako dowódca tak zwanej rewolucji cieszyńskiej, kiedy w nocy z 31. 10. na 1. 11. 1918 r. zorganizował wspólnie z por. Franciszkiem Barteczkim, por. Skrzypkiem i chor. Figną rozbrojenie garnizonu austriackiego i utworzenie władzy polskiej oraz polskich oddziałów wojskowych w Cieszynie. Ciekawym szczegółem tej akcji był udział w niej Gustawa Morcinka, który przejmował instrukcje telefoniczne dla powstańców z Krakowa.

W okresie międzywojennym był inspektorem szkolnym w Cieszynie. W kampanii wrześniowej walczył w randze kapitana WP w armii generała Kuźmiewicza na Sanie. Potem przedostał się za granicę. Z jego niezwykle barwnych przeżyć w czasie drugiej wojny światowej warto przynajmniej odnotować zorganizowanie i prowadzenie polskiej szkoły podstawowej na Cyprze — jedynej w historii tej wyspy.

Obecnie pomimo wysokiego wieku wykazuje niezwykle żywotność, uczestnicząc we wszystkich poważniejszych wydarzeniach tak w Bielsku, gdzie obecnie mieszka, jak i w Cieszynie, po obu stronach Olzy.

Życzymy zatem Jubilatowi jeszcze wiele lat świetnego zdrowia i żywotności.

ZMARŁ A. KOLAJA

W Bernie, w 83 roku życia, zmarł 14. 10. br. dr Aleksander Kolaja, czeski filolog-slawista. Urodzony w 1883 r. we Vlkosiu u Kyjova na Morawach, był w latach międzywojennych profesorem państwowej szkoły przemysłowej w Bernie, a równocześnie lektorem języka polskiego na uniwersytecie berneńskim, którą to

jako zjawiskiem filozoficzno-społecznym. Fikcją, która wkracza w niedoskonałą rzeczywistość i ma przekształcić ją na lepsze. Fikcyjni królewicze dla kopciuszków. Ta gra jest jednak obosieczna. Może obrócić się przeciwko samym jej sprawcom, zacierając dla nich samych granice między rzeczywistością i fikcją. Sprawcy stają się ofiarami własnych pomysłów. I dlatego każda, nawet ta najgorsza prawda jest lepsza od szczęścia budowanego na kłamstwie. Mora! na wagę złota — na użytek NAS wszystkich i każdego z osobna.

W sumie więc sztuka Alejandra Casony „Drzewa umierają stojąc” dostarczyła nam sporo wrażeń, spostrzeżeń,

budziła refleksje. Casona umie posługiwać się scenicznym efektem, potrafi stworzyć dobre, bardzo teatralne role i pełne napięcia sytuacje, budować znakomite i zaskakujący dialog. W jego ojczyźnie — w Hiszpanii — zestawiają go z jednym z największych poetów i dramaturgów współczesnych — z Federico Garcia Lorca. Federico Garcia Lorca i Alejandro Casona są jednak prawie nieznanymi w swojej ojczyźnie. Sztuki ich zakazano grać w Hiszpanii. W świecie cieszą się one jednak ogromną popularnością. Także i u nas „cieszyć się będą niewątpliwym powodzeniem”.

JAN WAJDA

A. Fierla po 25 latach

P o blisko 25-letniej nieobecności odwiedził Cieszyn w październiku br. znany w latach przedwojennych pisarz śląski Adolf Fierla, od lat osiadły w Londynie. Odwiedziny te przypominały popularnego ongiś pisarza, nieznanego już młodszemu pokoleniu, a jednak życiem swoim i twórczością mocno związanego z regionem śląskim. Adolf Fierla urodził się w Orłowej w r. 1908 i tam też ukończył gimnazjum polskie. Przez kilka lat po ukończeniu gimnazjum pracował jako nauczyciel, a następnie, rozpoczął polonistyczne studia uniwersyteckie w Krakowie. Studia te dokończył w Pradze, po czym został nauczycielem języka polskiego w gimnazjum orłowskim.

Pisarstwo rozpoczął wcześniej, już na ławie szkolnej. Pierwsze jego artykuły i wiersze pojawiły się w „Gazecie Kresowej”, wychodzącej we Fryszacie, przed około czterdziestu laty. W tym samym mniej więcej czasie obok nazwiska Fierli pojawiają się w prasie śląskiej i polskiej dwa inne nazwiska, Pawła Kubisza i Gustawa Morcinka. Losy tych trzech pisarzy toczyły się odmiennymi torami. Morcinek, najstarszy z nich, wybił się na czoło i został piewcą Śląska w skali przekraczającej opłotki regionu, Kubisz wszedł na stałe do literatury swym „Przednówkiem”, a bogaty dorobek literacki Fierli z lat przedwojennych zapewnił mu poczesne miejsce w śląskim ruchu literackim.

Po pierwszym tomiku poezji z r. 1928, zatytułowanym „Przydrożne kwiaty”, poszły tomiki następne: „Cienie i blaski”, „Kopalnia słoneczna”, „Dziwy na groniach”, „Kolędy beskidzkie”. Od liryki osobistej i opisów przyrody przechodzi poeta do spraw kopalni, by w ostatnich dwóch tomikach stać się poetą Beskidu. Te dwa tomiki beskidzkie, pochodzące z lat 1932 i 1935, pisane są w całości gwarą. Do tomów poetyckich dodaje Fierla kilka tomów prozy. Będą to najpierw opowiadania zebrane w tomiku „Hałdy”, później w tomiku „Kamień w polu” oraz dwie powieści „Tajemniczy skarb”, wynikły ze współpracy z „Naszym Pisemkiem”, oraz poetycką prozą



ADOLF FIERLA

napisany „Ondraszek”. Dorobek przedwojenny Fierli zamyka szkic o Jerzym Wolkerze, tomik przekładów tegoż poety i przekład trylogii Wojciecha Martinka „Czarna ziemia” (Jakub Oberwa, Płomień, Ziemia drży).

Po przeżyciach wojennych, po obozie koncentracyjnym, los rzucił pisarza na obczyznę, gdzie twórczość jego nie znalazła już takiego podłoża, jak przed wojną w kraju. W latach powojennych pisze więc Fierla niewiele, dorobku swego nie powiększył ani o jeden tom, ale ma nadzieję, że przydługie milczenie uda mu się przerwać i że niedługo obdarzy nas nowym swym tomem, dojrzalszym o wszystkie te lata i doświadczenia, jakie go dzielą od tamtych dawnych czasów, które w Cieszynie ze wzruszeniem wspominął. A spotkanie z krajem ojczystym jeszcze jedną ożywiło myśl, tę mianowicie, że trzeba tu częściej bywać.

-J. K.-

Jako diaboł most budowoł

Już dawnymi czasy musiało to być w Polski. I szła jakosi rzyka przez pół gminy. Nó i tóż dłógo potym sie skłodal na tyn most, bo mieli ci ludzie po tej strónie pole, po tej strónie i pastwiska, tyn statek przeganiali przez wodę. Jak była wielko, topiły sie, nó i kóniec kónčym most postavili, widzóm nó.

Ledwa go postavili, tu powódź przisła wielko i rano prziszeł piyrzi radni do fojta i prawi: „Wiycie fojcie co sie stało z naszym mostym?” — „Na co?” — „Ani śladu po nim nie zostało. Zebrało go.” A tyn fojt rozgniywoł sie i prawi tak: „A drugi most niech sam diaboł stawio.”

A tyn fojt gazda też był, mioł jakigosi pachotka, i tyn pachotek wloz do jizby, prawi: „Gazdo, jakisi jegomość chce z wami mówić. Na placu je.” — „Zawołać go haj.” Wloz, no że już to widać było, że taki jakisika jinakszi. Tych piór zielónych pełno za czopkóm. Wloz do jizby i powiedzioł: „Tóż fojcie, bezmala mie potrzebujecie.” A tyn fojt już taki zły był, że tyn most zabrało. — „Tak jest. Do wybudowanie tego przeklętego mostu.”

No i tóż — a tyn fojt sie też kapkym łopatrowoł: „Tóż tyn most, co nóm woda zebrała, tela a tela kosztowoł. A co byś ty chcioł za to?” — „A jo byle czym sie tam łukóntyntujym. Jo tam pinlyndzy nie chcym, jyny piyrziżigo, co przez tyn most pujdzie, tego chcym mieć.” Nó i tóż tyn fojt ale kopiłym kozoł zrobić. Jednóm dioboł, a drugóm fojt coby mioł.

A potym tego fojta też to mierziało strasznie w nocy. No jezeryno, każdego człowieka szkoda jest. Rozmyśloł se: „Na

dyć poczekaj, szak jo cie wywiedym.” Zebroł kocura, bo to był łun, nie koczka, a chycił, a łu chwostu pacharzynym łuwiónzoł, a grochu tam nasuł do tej pacharziny. A do mlecha tego kocura doł, a rano jidzie tam.

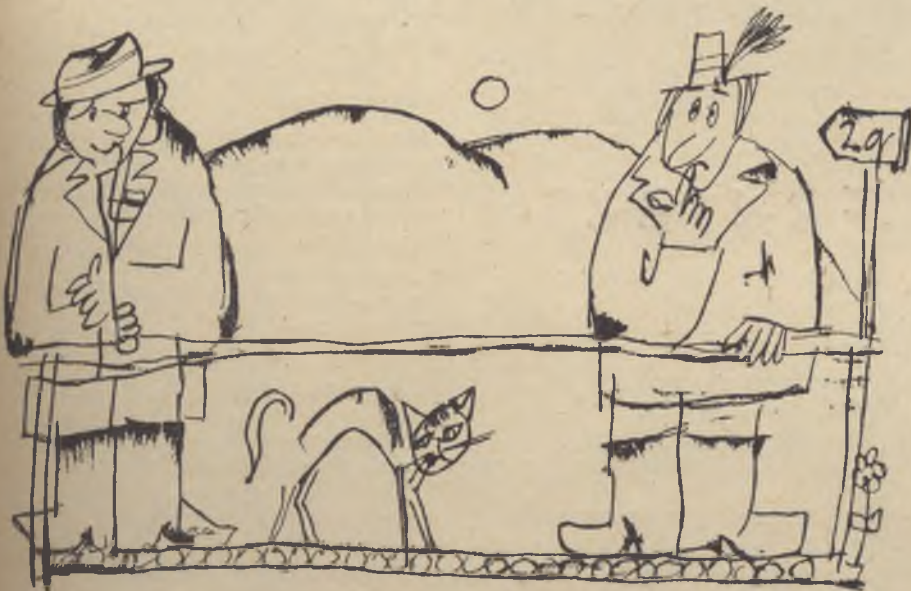
No rano diaboł już tam na drugim kónčcu mostu stoi: „No, fojcie, czy nie jestem słowny?” A fojt se prawi: „A ja nie?” — „Jak to, fojcie? To wy sie łofiarujecie dla dobra gminy?” — „Zobaczmy.” Puścił kocura. Kocur sie tak jyny w łufcie niós na drugóm strónym. A fojt wrzeszczoł: „Trzymajcie, panie diable, bo wam wasza zapłata ucieknie.” No i dobre.

I tak pisano jest takowo łegynda, że potym tyn diaboł, że go tak wywiódł tyn fojt, aby tego mostu nie użiwali ludzie, tóż że porwoł jakimśi skałym, jako budulec, skónsi niós, a już niedaleko tego mostu był, a wtym że jakisika pogrzyb czył cosi szło z krzyżym, a kohót zaśpiywoł, że pochynił tóm skałym. Że do dziś dnia ta skała tam kansika mo być, widzóm nó.

★

Nasza opowieść, wchodząca w skład repertuaru J. Jeżowicza, jest kontaminacją dwóch wątków: T 1191 + 5011. Pierwszy z nich (T 1191 = AaTh 1191) nie jest zbytnio rozpowszechniony w polskim zasobie bajkowym. Drugi zaś (T 5011), który ma często charakter podania, jest bardzo popularny i na naszym terenie. Zanotował go J. Ondrusz w Godkach śląskich, str. 139, spotykamy się z nim u J. Lompy (Bajki i podania, Ossolineum 1965, str. 207, 217, 229).

DANIEL KADŁUBIEC



Ilustr. Br. Liberda.

funkcję sprawował jeszcze w latach powojennych. Zmarły dał się poznać jako gorący polonofil, rozmówowany w kulturze i literaturze polskiej.

ZGON AKTYWISTY PZKO

W dniu 5. 9. br. wyrwała śmierć przedwcześnie z naszych szeregów ofiarnego działacza, Józefa Kaletę z Ligotki Kamestralnej. Zmarły był jednym z założycieli Koła PZKO, jego długoletnim prezesem, sekretarzem, a przede wszystkim reżyserem o wysokich walorach artystycznych. Do pracy PZKO wniósł dużo światła, zapalał i poświęcenia. Szczególnie wiele inicjatywy i poświęcenia wykazał przy budowie Domu Kultury. Znany był jako redaktor różnych czasopism, zwłaszcza z okresu przedwojennego (Szerszeń, Ogniwo, Przyjaciół Ludu), w społeczeństwie bardzo szanowany i ceniony. W czasie okupacji hitlerowskiej dzięki swej postawie patriotycznej, stał się moralną oporą dla okolicznej ludności.

I chociaż nie oczekiwał się jubileuszu swej pracy i oceny, to jednak społeczeństwo i PZKO w pełni oceniło jego zapal i poświęcenie i będzie zawsze dla nas postacią godną naśladowania.

ŚMIERĆ LEONA SZMEI

Dnia 11 sierpnia 1966 r. zmarł w Cieszynie Leon Szmeja. Urodził się w 1904 roku w Boguminie. Jako kierownik szkoły w Rychwałdzie, a później w N. Boguminie, sprawuje funkcję dyrygenta, organizuje kółka amatorskie, w których bierze czynny udział. Ma duże zasługi w organizacji harcerstwa. Przez osiem lat był głównym komendantem harcerstwa polskiego w Czechosłowacji. Prawie przez całe życie należy do chóru — początkowo Chóru Nauczycieli Polskich w Czechosłowacji, po wojnie do „Harmonii” w Cieszynie.

Dzięki swym zdolnościom organizacyj-



nym bardzo dobrze wywiązywał się z funkcji kierownika biura Zarządu Głównego Macierzy Szkolnej.

Ciężkie lata wojny sterylowały mu zdrowie. Po wojnie osiadł w Cieszynie, gdzie, oprócz pracy zawodowej — sercem i duszą znów oddaje się harcerstwu, jest przez 7 lat komendantem Hufca, ZHP Cieszyn i do ostatnich dni swego życia prowadzi szereg drużyn harcerskich przy Zasadniczej Szkole Zawodowej w Cieszynie. Zmarły był również jednym z współpracowników naszego pisma. Jego ostatni artykuł o Adamie Sikorze, fundatorze parku nad Olzą, świadczył o ciągłym zainteresowaniu naszymi „zaolziańskimi” sprawami.

Odszedł jeden z tych, którzy życie swe poświęcili pracy dla dobra społeczeństwa.



Myśli

Patrząc pod jego kątem widzenia,
można zobaczyć tylko przeciwny kąt.

★

Pierścionek ślubny nie jest kłódką
zabezpieczającą nas przed zachcianka-
mi natury.

★

Żaden z dotychczasowych proroków
nie miał odwagi wtrącać się do meteo-
rologii.

★

Nie wszystkie sekretarki są jednako-
we. Niektóre mają długie rzęsy.

★

Kobieta, kiedy przekona się, że jest
mocno kochana, sama zaczyna kochać
mniej. Nie należy dlatego kochać ko-
biet za bardzo.

★

Kochanie się w naturze martwej nie
bywa przyczyną konfliktów towarzy-
skich.

★

Długie nogi bociana umożliwiają mu
przekroczyć każdy próg. Przychodzi i
tam, gdzie go nie proszono.

★

Mandat karny nie jest przepustką do
kraju przestępców.

★

Gdy pił dwa razy w miesiącu, źle
o nim mówili. Obecnie gdy pije co-
dziennie, nie mówią o nim. Spowszed-
niał.

★

Wykorzenianie zła

Konferencja zbliżała się ku koń-
wi. Podjęto rezolucję, wzywającą
do walki z oszustami, kombinato-
rami na stanowiskach, tchórzami, rozra-
biaczami, naciągaczami i nieletnimi chu-
liganami.

W drugim punkcie programu postano-
wiono wysłuchać przemówień przewod-
niczących poszczególnych sekcji.

Pierwszy zabrał głos szpakowaty mę-
czyzna w imieniu sekcji mieszkaniowej.
Krótko stwierdził, że występujące na-
gminnie wręczanie kuzynom przyjaciół,
przyjaciołom kuzynów, tajemniczym nie-
znajomym, a także znajomym, przydzia-
łów mieszkaniowych musi się skończyć.
Sekcja postawiła sobie za cel populary-
zację wśród szerokich mas faktu, budzą-
cego dotychczas tylko wesołość, że mies-
kanie można uzyskać legalną drogą.

Następnie przewodniczący sekcji do
walki z fałszywymi inkasentami wyraził
nadzieję, że już teraz żaden oszust nie
odważy się podszywać pod firmę elek-
trowni, nawet gdyby dla całkowitego
złudzenia również odmawiał wydawać
reszty, projektuje się bowiem tatuowanie
prawdziwych inkasentów w widocznych
i intymnych miejscach.

Przedstawiciel sekcji turystyki zagra-
nicznej mówił o wypadkach okradania
kas przez osobników, podających się za
zagranicznych turystów, chcących zate-
lefonować do ambasady; o pożyczkach,
które miały być oddane w dolarach; a
nawet o tak niewinnych figlach, jak
sprzedaż denaturatu jako trzygwiazdko-
wego koniaku, co zresztą może mieć
niekorzystne skutki ideologiczne. Dały
się też słyszeć na sali okrzyki oburzenia
i niekłamanej goryczy, wydawane zapew-
nie przez dawne ofiary oszustów, które
wspominały swe przeżycia z niesmakiem,

zrozumiałym dla każdego, kto pił dena-
turat.

Przewodniczący sekcji okazyjnych za-
kupów z rumieńcem wstydu na twarzy
opowiedział przypadek z własnego nie-
doświadczenia. Oto pewnego razu zaku-
pił futro z nutrii, które, jak się okazało,
były za życia zwykłymi kotami. W związ-
ku z tym wysłano do Towarzystwa Opie-
ki nad Zwierzętami rezolucję, wzywającą
do prowadzenia ścisłej ewidencji wszyst-
kich psów i kotów, by zapobiec faktom
nieuzasadnionego ich awansowania.

Postanowiono także utworzyć podsek-
cję lingwistyczną, uczącą języków ob-
cych, dla ograniczenia sprzedaży konfek-
cji opatrzonej naszywkami „Made in
USA”, a nawet „Made in Poland”.

— Przeżywamy dzisiaj dzień wyjątko-
wy — wołał tubalnym głosem kolejny
mówca. Koniec z oszukiwaniem ludzi,
którzy, tak jak my, brali do niedawna
za dobrą monetę wszystko, co im zasuge-



rowano. Koniec z panoszeniem się oszus-
tów, wykorzystujących nieuwagę, nie-
świadomość, dobroduszość.

Entuzjazm zebranych zagłuszył ostat-
nie słowa. Ale wśród oklasków zaczęły
dobiegać od drzwi okrzyki:

— Wszystkie płaszcze zginęły! Łapać
złodzieja!

Obrady przerwano. Później utworzono
jeszcze jedną sekcję...

ALOJZY MAŃKA

NIE TAKI DIABEŁ CZARNY JAK GO MALUJĄ.

Tego co malują, to diabeł kominiarz.

★

MA GŁOWĘ NA KARKU! Ten kark
niekoniecznie musi być jego.

FRASZKA

NIEPRAKTYCZNY KOGUT

Kogut raz w darze przyniósł kurze,
miast kłosu żyta, piękną różę.

Z WESTCHNIENIEM

Często sens życia zaświta,
gdy się przekwita.

JANUSZ GAUDYN

Cybernetyka

Całą nadzieję na koniunkturę
pokładam w niedalekiej już rywali-
zacji

maszyn z literami

Elektronowe mózgi
będą pisały wiersze
we wszystkich możliwych do zapro-
gramowania
konwencjach

Z łatwością napelnia
teczki redaktorów
obficie niż to robią
najbardziej modni wierszopisowie

Wtedy z konieczności
powstanie snobizm
na coś ludzkiego

WINCENTY FABER

czm/6/1966



Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

Cena Kęs 1,50

ROK 18 — (Nr 205)

12

Czeski Cieszyn, grudzień 1966

W NUMERZE:

Rozmowa z czytelnikami ★ Ostatnie dni
CSR w oczach K. Pruszyńskiego ★ Okruchy
★ O problematyce narodowościowej w CSRS
★ Ósma be ★ Władysław Wójcik ★
Uśmiechnięte wspomnienia ★

W BŁĘKITNY ZMIERZCH

Świeczniki świerków,
dogasa dzień,
mróz jak szczwany lis
skrada się do włoski.
Skrzypi śnieg. Listonosz
niesie w torbie
cudze życzenia
i własne troski.

Na polach zmierzch
srebrzy się niebieski,
gwiazdy drżą nisko
niby ślepia wilka.
Ktoś wrócił, śnieg strząsa
z płaszcza w niskiej sieni,
a chciałby strząsnąć
bodajże lat kilka.

Stół czeka w bieli,
ogień w piecu gwarzy,
są ryby, owoce,
nawet piwo w dzbanie.
Jest wszystko, są wszyscy,
więc nie pytaj matki
o to jedno krzesło,
co puste zostanie.

HENRYK JASICZEK

W 30/94

Rozmowa z czytelnikami

Zamykamy pewien etap historii naszego miesięcznika. Marzeniem kolejnych zespołów redakcyjnych „Zwrotu” było zwiększenie jego objętości, unowocześnienie szaty graficznej... utworzenie „prawdziwej” redakcji — dotychczas bowiem redagował pismo jeden redaktor.

Wszystkie te marzenia są obecnie realizowane. Niniejszy numer „Zwrotu” jest ostatnim, wydanym w dotychczasowej objętości (16 stron) w formacie i układzie graficznym. Następny numer — styczniowy 1967 — będzie się poważnie różnił od obecnego. Będzie miał 36 stron — razem z półstrzywną, barwną okładką, ale trochę mniejszy format niż obecnie. Objętość pisma zwiększy się o połowę, o tyle więcej znajdą Czytelnicy w nim do przeczytania i oglądnięcia. Odpowiednio więcej materiałów — artykułów publicystycznych, informacyjnych, opowiadań, felietonów, wierszy i innych tekstów — będzie musiała równocześnie redakcja przygotować. Te zwiększone zadania będzie realizowała w składzie poszerzonym do trzech redaktorów.

Od 1 grudnia br. są już redaktorami „Zwrotu” — oprócz red. Rusnoka — Henryk Jasiczek i Tadeusz Berger. Nasz czołowy literat i publicysta Henryk Jasiczek dotychczas dużo pomagał w pracy redakcyjnej swym piórem, jak i bogatym doświadczeniem redaktorskim; jest jedynym członkiem komitetu redakcyjnego, plastującym tę funkcję nieprzerwanie od powstania „Zwrotu” do dnia dzisiejszego. Tadeusz Berger — jeden z zdolniejszych naszych młodych plastyków, z wyższym wykształceniem humanistycznym, zajmie się szatą graficzną pisma.

W ostatnich latach była i jest najsilniejszą stroną „Zwrotu” publicystyka — szczerze, zaangażowane, czasem odważne omawianie najistotniejszych spraw naszego społeczeństwa. Wykazała to tak ankieta czytelników, jak i pozaankietowe opinie o naszym piśmie. Jest to i zdanie redakcji. Równie jednoznaczne jest stanowisko, że najsłabsza strona pisma był ostatnio dział literacki i oprawa graficzna. Pozyskanie za redaktorów naszego znanego literata i utalentowanego grafika już samo o sobie gwarantuje poprawę na tych odcinkach. Przy tym natychmiastowa — można zaryzykować twierdzenie, że gruntowna poprawa — powinna nastąpić w wyglądzie zewnętrznym pisma. Natomiast perspektywy wzrostu ilości, a przede wszystkim jakości w dziale literackim pisma należy traktować z rezerwą i umiarem, jako że jest to sprawa w niewielkim tylko stopniu zależna od usiłowań redakcji, zależy to bowiem od poziomu naszej rodzimej twórczości literackiej.

Zamykając pewien etap rozwoju czasopisma, wypada przypomnieć jego dotychczasowe osiągnięcia. Otóż 17 lat (dokładnie, bo pierwszy numer „Zwrotu” ukazał się w grudniu 1949) istnienia zdobył nasz miesięcznik znaczny autorytet i zaufanie. Nawiązał do chlubnych i bogatych tradycji prasy polskiej na Śląsku Cieszyńskim, która walczyła o sprawiedliwość klasową i narodową naszego ludu. Redakcja miała zawsze na myśli dobro naszego społeczeństwa polskiego i tymi intencjami chcemy kierować się również w przyszłości.

Udoskonalenie pisma wraz z wyraźną poprawą warunków wydawniczych połączymy oczywiście za sobą znaczne podniesienie kosztów jego wydawania. Po-

mię podniesienia ceny egzemplarza z 1 do 2 Kčs, wzrosnie kwota, jaką ZG PZKO dopłaca rocznie do naszego pisma (nie licząc przewidywanych podwyżek cen papieru i druku), o kilkadziesiąt tysięcy Kčs, uzyskanych z odpowiedniego podniesienia dotacji państwowej. Tak się więc składa, że przy ogólnym wzroście cen papieru i druku będzie wzrost ceny „Zwrotu” spowodowany wyłącznie poważnym jego powiększeniem i udoskonaleniem i jego cena będzie odpowiadała cenom innych, podobnych periodyków w dotychczasowych „tańszych” warunkach.

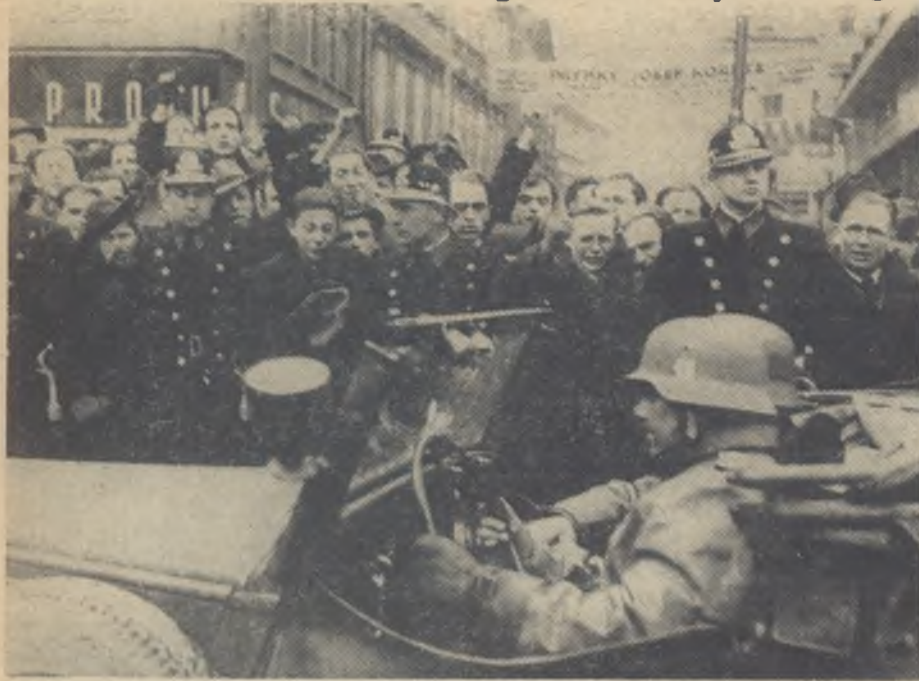
Nasi czytelnicy na pewno zrozumieją właściwie intencje ZG PZKO jako wydawcy i naszej redakcji lepszego niż dotychczas służenia społeczeństwu i przyjmą te zmiany przychylnie. Chcemy ich zapewnić, że dołożymy wszelkich starań, by nie zawieść ich zaufania.

JAN RUSNOK



PRZYJEMNYCH
I POGODNYCH ŚWIĄT
ZDROWIA I POWODZENIA
W NOWYM ROKU
życzy Czytelnikom i Współpracownikom
REDAKCJA ZWROTU

Ostatnie dni Czechosłowacji w oczach Ksawerego Pruszyńskiego



Oddziały hitlerowskie na ulicach Pragi w marcu 1939 r.

Był to człowiek suto wyposażony przez naturę w energię, zdolności, umysł szeroki i otwarty. Żył tylko czterdzieści trzy lata i stale podróżował, zwiedzał, pisał, wojował i znowu pisał. Tłukł się po całym przestronnym świecie i tłukł na maszynie. Żył szybko i pisał szybko. Wspominał przyjaciół, że wprost na maszynę przenosił wrażenia i myśli w relacji pośpiesznej i jakby zadyszanej. To nie był szalejący reporter — Egon Edwin Kisch, nie szukał ciekawostek, nie szokował opinii publicznej egzotyką i obyczajowymi curiosami; jego niedługie świadome życie przypadło na lata faszyzmu, na okres wojny hiszpańskiej, zaboru Czechosłowacji, na okres drugiej wojny światowej, w której brał czynny udział jako żołnierz armii polskiej na Zachodzie. Dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, dwukrotnie ranny, Ksawery Pruszyński był człowiekiem, którego wręcz rozrywała nieposkromiona ciekawość świata i ludzi. Był na Bałkanach, był w Hiszpanii w czasie wojny domowej, oglądał faszystowskie hece w Gdańsku i Berlinie, stał na Václaváku w tłumie Czechów, którzy z rozpaczą i nienawiścią witali wkraczające do Pragi kolumny niemieckie, jechał oglądać ewakuowany Cheb. Był wszędzie, w Izraelu, na polach normandzkich, wcześniej w Narwiku. Był wszędzie tam, gdzie rozpalano się nowe ognisko wojny, gdzie rodził się nowy konflikt, gdzie tworzyła się nowa i brzemenna w skutki sytuacja.

Był człowiekiem niezwykłym i ostro

widzącym przyszłość. Potomek starej szlacheckiej rodziny, człowiek, który nadzwyczaj miłował przeszłość, nie zawsze zresztą sprawiedliwie, dziennikarz związany przede wszystkim z konserwatywną prasą polską, z wileńskim Słowem, z krakowskim Ilustrowanym Kurierem Codziennym, by wymienić tylko niektóre, całe życie ciążył na stronę lewicy, trafnie i bez uprzedzeń odkrywając intencje ruchu komunistycznego w targanej konfliktami Europie.

Był znakomitym prozatorem, dziedziczył wszystkie narracyjne talenty przodków, marszałków szlacheckich, ludzi barwnych i towarzyskich. Należał do generacji, która wydała Andrzejewskiego, Gombrowicza, Brezę, Rudnickiego, Uniłowskiego, Frydęgo, Miłosza i Gałczyńskiego. Wśród nich zajmuje miejsce nie ostatnie i jako publicysta i jako autor „Karabelli z Meschedu”. „Trzynastu opowieści”, „Margrabiego Wielkopolskiego” czy tomu „Droga wiodła przez Narvik”. Urodzony w Wołyniu, wychowany w kręgu wpływów ziemiańskich, znakomicie czuł i rozumiał, że historia tworzy się w Związku Radzieckim i w konwulsyjnie dogorywającej Europie. Na wschód i na zachód prowadziły więc jego podróże. Nie mógł w nich pominąć Czechosłowacji, państwa odgrywającego dużą i specyficzną rolę w ówczesnej Europie.

Pierwszy raz był tutaj w roku 1935, w lipcu. Napisał wtedy artykuł pod znanym tytułem Statthalter des Fuehrers. Przepominał ostatniego namiestnika Czech, który pokazał Czechom cały

ciężar habsburskiej ręki, obkładając ogniem kartaczy z hradczyńskich dział zbuntowaną Wiosną Ludów Pragę. Feldmarszałek książę Windischgreetz i były nauczyciel gimnastyki z Sudetów, Henlein, analogia w roku 1935 śmiała i — przyszłość to miała okazać — trafna. Henlein w państwie Masaryka i Benesza, gimnastyk na czele trzymilionowej zorganizowanej, fanatycznej hałastry, obrazek to brzydki i mierzący. Ale Pruszyński to nie esteta, lecz dziennikarz — racjonalista. Widzi zbrojenia Czechów, widzi nowe lotniska, ale widzi też, że Henlein swój desant wysadził już rychło. Statthalter des Fuehrers czeka teraz na nowe rozkazy.

W roku 1938, we wrześniu, donosił czytelnikom IKC (Ilustrowany Kurier Codzienny), że cień wojny już pada na Hrad. Wtedy chodziło o układ w Berchtesgaden, o pokojowe oddanie Chebu, Karłowych Warów, Liberca, Krumlova, wtedy też Hitler rozszerzył swe żądania w wystąpieniu w Godesbergu. Ksawery Pruszyński ogląda Czechy, czyta prasę komunistyczną i rządową, notuje nastroje optymizmu i rozbudzonej pewności siebie, wierzy nie w mocarstwa, ale w lud czeski, w ulicę praską, na której wybuchnie ten dynamit nadziei, optymizmu, wojowniczości. Jeszcze analizuje rolę Benesza i jego polityki, jeszcze przypomina jego udział w walce z faszyzmem na forum Ligi Narodów i już w trzy dni później, gdy w Monachium zapadła decyzja, jedzie do Chebu, odwiedza Karłowe Wary, wynajmuje samochód, by dotrzeć tam, dokąd nie dociera już państwowa komunikacja, patrzy na ociekający partyjną, enesdeapowską czerwienią Cheb, przejeżdża przez drogi, którymi ciągną ewakuowani Czeši, rozmawia w Chebie z dwoma starcami Żydówkami, które na pytanie, co będzie dalej, odpowiadają „Wir wissen gar nichts”, ogląda pikietę henleinowców i ludzi z SA, patrzy, jak za ustępującymi Czechami krok w krok posuwają się brunatne patrole. Statthalter des Fuehrers obejmuje władzę. Nacjonalistyczny szok ogarnia Sudety, nad zamkiem Barbarossy w Chebie kołysz się sztandar Trzeciej Rzeszy, na wystawach wielkie mapy zaznaczające dalsze pretensje niemieckie: północny Tyrol, Alzacja i Lotaryngia, Pomorze, rumuński Siedmiogród, południe Węgier, Wołyń, Śląsk. Zapowiada się aneksja ciąg dalszy.

Wreszcie rok 1939. Pruszyński jest w marcu w Bratysławie. Píše o wypadkach na Rusi Zakarpackiej, písze o tym, jak Praga usiłowała brać w cugle Užhorod i Bratysławę. Były to ostatnie próby ratowania państwa przed rozbitciem na trzy samodzielne człony. Z tym, że z Bratysławą nie poszło tak łatwo jak z Užhorodem, gdzie generał Prchal dokonał szybkiego przewrotu.

Już 16 marca písze Pruszyński reporterz Pierwszy dzień w niepodległej Słowacji, publikowany w IKC. Był już w Jablonkowie, Czadcy, Żylinie, Leopoldovie, rychło rozejrzał się w Bratysławie, od-

notował działalność Hlinkowej Gwardii, jej marsz na Bratysławę, rozruchy na prowincji, na Rusi Zakarpackiej i wreszcie chwilę, kiedy Praga uznała niepodległość Słowacji.

Tego samego dnia wyjeżdża do Pragi i jedzie przez teren obsadzony wojskami niemieckimi. Ale o tym jeszcze w Słowacji nie wiedziiano. W Pradze pisze reportaż naoczego świadka pochodu wojsk niemieckich, ogląda radość praskich Niemców i nieruchome, pełne rozpacz i nienawiści twarze Czechów. Opisuje uliczne rozruchy i twardą akcję czeskiej policji na demonstrujących, notuje wrażenia z miasta, w którym wzbiera zima, husycka nienawiść. Tymczasem z hoteli wyrzucają Żydów i cudzoziemców żydowskiego pochodzenia, przez miasto przewalają się coraz to nowe kolumny czołgów i zmotoryzowanych wojsk. Pada gęsty, mokry śnieg. Przyroda broni się ostatnia przed naporem niemieckim. Jest to jednak obrona bezsilna.

Rychło potem pisze niewielki polityczny komentarz: Co Hitler zyskał... a co stracił. No cóż, zyski były niewątpliwe, straty bardziej problematyczne. Pruszyński pisał o rozciągnięciu jednolitego organizmu narodowego Rzeszy, o groźbie wynikającej z asymilowania państwowego elementu, który zasymilować się nigdy nie pozwolił. Wiemy jednak, że nie o to chodziło.

Tymczasem Niemcy są już w Pradze. Wrażenia spisane w dniu 18 marca są dość stereotypowe, znamy je z autopsji, znamy je z literatury niemieckiej. Przede wszystkim tłum Niemców przed automatami na ulicach Pragi. Za 1,5 korony dostaje się kawę ze śmietanką i sandwiche, za 15 koron nażre się nawet Niemiec, komentuje Pruszyński. Także dziewczyny, także piwo, także wino — normalny chleb zwycięzców. Wojenny zdo-

byczny chleb wygłodniałych i zachłannych hord.

Ale Pax Hitlerica w Pradze (tytuł reportażu z dnia 28 marca, także IKC), to nie zawieszenie broni. „Treuga dei” jest pozorny, trwa najpierw mała szwejkowska wojna. To Czech pomoże rozkręcić auto, obiecując pomoc i potem znika, to wypuszczają z detek powietrze, to podsypią piasku do łożyska, to wydobyć węgla spadło z 17 metrów sześcienne do 4. Te 4 to liczba symboliczna, tyle wydobywano w czasach austriackich i to było miarą sympatii do monarchii. Więc mały sabotaż, więc po zmiażdżonym śnie o niepodległości, bez broni i bez armii Czesi stali się na nowo Szwejkami. Takie jest prawo narodowej mimikry, prawo najbardziej szeroko obejmujące społeczeństwo. Oczywiście nie jedyne.

I wreszcie, w końcu marca 1939 roku, już w Krakowie, pisze Pruszyński swój ostatni reportaż z Czechosłowacji. Nosi on tytuł Po slovensku — po niemiecku i jest opisem prześladowań żydowskich na terenach słowackich. Ale — zauważa trafnie Pruszyński — rolę Żydów przejmują przede wszystkim Niemcy; lud słowacki zyskał pozory niezależności, nie zyskał nic serio. Tracąc jednocześnie wszystko. Narodowy honor i narodową godność.

Pruszyński pisze swe reportaże w latach, kiedy wzajemne stosunki polsko-czeskie nie były najlepsze. Były wręcz złe. Klika sanacyjna kładła nowe przedziały między oba narody. Pruszyński był wtedy — jak cała postępową polską opinią publiczną — po stronie Czechów, po stronie Słowaków. Jak zawsze był przeciw faszyzmowi, zawsze z tymi, którzy walczyli o wolność, sercem współczującym z tymi, którzy swój byt niepodległy tracili.

WITOLD NAWROCKI

BIOGRAFIA

Taka była jej biografia — pointylistyczna, złożona z minut lęku i sekund przerażenia.

Potem, kiedy wyzbyła się tęsknot, zaczęło jej wszystko wystarczać. Nigdy może nie uświadamiała sobie chwil zapomnienia, stref własnych świadomości, kiedy świat jest wewnątrz. Pewnie nie wiedziała też, co to nieszczęście. Każdy myśli o czymś innym mówiąc, że taki właśnie jest świat.

Nie ufam pełnym wejściom w czyjś świat. Uogólniamy los, widzimy jego ciąg. A ona złożona była z punktów. Prawdopodobnie nie znam jej dostatecznie, aby mówić o niej cokolwiek. Zresztą czy w jej wypadku mogło być inaczej? A może istnieją jakieś kwiaty wiecznych wiatrów, usychające w ciszy.

To bardzo mało — wiedzieć. Nie wszystko można od razu poznać, zrozumieć.. Świat jest poza czymś, przynajmniej pewne jego momenty.

OKRUCHY

DESZCZ

Deszcz, stały deszcz. Dom zrobił się pustym. Biblioteka szarzeje. Deszcz — „o szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienno...”

Chodzę od drzwi do drzwi, od radia do wystygłej kawy. Po raz dziesiąty pew-



6 listopada br. odbyła się w Nydku uroczystość odsłonięcia pomnika ku czci partyzantów poległych w walce z okupantem. Na naszych zdjęciach Jastrzęb — ten wysoki — dowódca grupy partyzanckiej w rejonie Czantorii oraz pomnik. Foto K. Piegza.

nie przychodzi babka. Wysuszona jak wspierający ją kijek.

— Ja, pombóczek karze grzesznych... Jak kiejsi szli do kapliczki z księdzem, to wyrzykali... Dzisiaj nigdo nie pójdzie do kapliczki...

Babka milknie jak wiatr, ale deszcz wzmacnia się. Przechodzę do pokoju obok, biorę pierwszy z brzegu tom — Leśmiana. W malinowym chróśniaku, w malinowym chróśniaku...

Słyszę przez drzwi — matka wróciła ze spółdzielni. Babka mówi o grzechach świata.

— Zatrzymał mnie przewodniczący — mówi matka — co myślisz? — powiada. Siano... A co będzie z ziemniakami. Gdyby się zebrać i iść do kapliczki. Co by zrobili?... Jak wszyscy pójdą...?

Za oknami trochę światu, potem znowu deszcz.

SOBOTA

— To było w którąś z sobót, dawno. Stosunkowo dawno. Kończyło się tydzień, oczekiwano niedzieli. W sobotę można było usiąść. To wtedy, wydaje mi się, przestałeś pić i palić. Znam twoje postanowienia: wynajdywałeś nagle maksimum samozaparcia. Po tamtym okresie, do którego nie lubisz wracać. Ale niezupełnie był on pusty — poinformowałem cię o ludziach i życiu. Z dystansu? Wiem, ile wszystko cię kosztowało, ale dochodzisz do życia. Do istoty i jego głębi? To filozofia — filozoficznie potrafimy... Znamy życie, ale nie umiemy żyć! Śmieszne drzwiczki do pieca, skarpetki, kolacje...

To wówczas, w ową sobotę odrzuciłeś

ideały. Mówiłeś patetycznie o moralności. Trzeba umoralnić świat... Wtedy jednak zamykałeś coś poza sobą, a przed tobą była pustka. Miałeś idee, nie miałeś ideałów. Nie umieliśmy żyć. Albo już potrafimy?

Brak nam małomieszczaństwa, owego praktycznego — nienawidzę — ale małomieszczaństwa... Pokolenia pracowały dla pokoleń. I tak już było. Młode pokolenia wchodziły w porządek, w ład, w meble, w obiady i kolacje, w skarpetki...

Rewolucje, wojny, idee, ideały, rozczarowania, poszukiwania, zżymanie się, kłótnie, budowanie mostów gołymi rękami, błędzenie wśród chorągiewek... Tak, myśmy odkrywali życie. Każdy o tym wiedział i nikt o tym nie wiedział. Byliśmy mądrzy i nie znaleźliśmy sił na wy-

powiadanie mądrości, a co dopiero na realizację. Odczuwaliśmy niedosyt i żywioł, ale mądrość pozostała poza marginesem. Kawiarniani filozofowie.

— To nieprawda.

— A tak, nieprawda. Bo myśmy pracowali. Solidnie, konkretnie, z rozmachem i z uczuciem. Nie, nie wszyscy. Ktoś tam umiał żyć dla siebie. Myśmy zebrali guzy...

— Nie mieliśmy rodziny.

— Mieliśmy ideały. Potem już tylko idee. Na szczęście człowiek nie jest chwilą, ba chwila nie wypowiada człowieka. Człowiek nigdy nie wypowie siebie dostatecznie. Życie jest czymś innym niż człowiek i zawsze jest o krok przed człowiekiem.

WŁADYSŁAW SIKORA

O problematyce narodowościowej w Czechosłowacji

XI. (Zakończenie)

Na zakończenie mych uwag o kwestii narodowościowej pragnę ustosunkować się jeszcze do niektórych problemów poruszonych w artykułach tow. Polaka, Rusnoka, Siwka i Jasiczka, poprzedzających mój cykl.

Tow. Polak podkreśla znaczenie polskich szkół twierdząc, że ich istnienie i rozwój ma dla polskiej grupy narodowej w Czechosłowacji zasadnicze znaczenie, z kategorii być albo nie być. Doceniając olbrzymie znaczenie szkolnictwa narodowego uważam pogląd ten za przeholowany. Szkolnictwo jest jednym, wprawdzie bardzo ważnym, a w pewnym sensie decydującym momentem problematyki kulturalnej, która jest też — pomimo olbrzymiego znaczenia — tylko jedną i nie najistotniejszą częścią kwestii narodowościowej. Rozumiem zaangażowanie tow. Polaka — z jego wypowiedzi wyczuwam dobrą znajomość spraw szkolnych. Jego godne uznania usiłowania mogłyby jednak mieć odwrotny skutek, mianowicie wpłynąć na osłabienie zainteresowania się innymi, ważniejszymi, podstawowymi sprawami kwestii narodowościowej, przez co ucierpiałyby przede wszystkim polska grupa narodowa.

Postulaty tow. Polaka wynikają trochę jednostronnie z doświadczeń przeszłości, kiedy walka o szkołę była rzeczywiście w znacznym stopniu walką o istnienie narodów czy grup narodowych. W nowych warunkach znaczenie i następstwa pewnych zjawisk mogą odzwierciedlać się w zupełnie innym kierunku. Np. czeska i słowacka mniejszość w Jugosławii utrzymała się w przeszłości właśnie na skutek walki o narodowe szkolnictwo. Zrealizowanie postulatów tych mniejszości nie przyniosło jednak stabilizacji, lecz — łącznie z innymi przyczynami — przyśpieszało proces ich naturalnej asymilacji, który przejawia się w odpływie

uczniów z czeskich i słowackich szkół do szkół serbskich i chorwackich. Chodzi wprawdzie o mniejszości żyjące daleko od swych narodów, pogrążone w morzu narodów innych. Podobną sytuację można zauważyć i wśród naszych Ukraińców, żyjących w bezpośrednim sąsiedztwie swego narodu. Aczkolwiek w wypadku Ukraińców oddziałują tu specyficzne przyczyny, nie należy ignorować ogólnych wniosków wynikających z tej sytuacji.

Jest to tylko ogólne, teoretyczne zastrzeżenie wobec trochę jednostronnych wniosków Polaka, sygnalizujące, że sprawa jest bardziej złożona, niż jak ją przy swym zaangażowaniu widzi Polak. Chyba nie będzie mnie nikt podejrzewał o

rafinowany sposób usprawiedliwiania niedostatków polskiego szkolnictwa u nas. Tym więcej, iż treść mego zastrzeżenia (że ucisk wywołuje wzmożoną aktywność narodową, a zrealizowanie postulatów narodowych osłabia antagonizmy narodowe i prowadzi do zbliżania narodów), jest ogólnie znana oraz dlatego, że z tow. Polakiem i dalszymi towarzyszami, w tych momentach, kiedy zwracają uwagę na konkretne problemy polskiego szkolnictwa u nas, szczególnie nauczanie języka polskiego, w zasadzie zupełnie się zgadzam. Pewien problem widzę w nauczaniu literatury i historii: chodzi o stosunek literatury narodowej i nauki historii narodu do literatury i historii innych narodów. Mogłoby się wy-



Foto Zb. Kubeczka.

dawać, że jest to problem tylko grup narodowościowych i że chodzi tylko o stosunek do literatury i historii największego narodu w państwie. Chodzi jednak o problem znacznie ogólniejszy, który w jakimś stopniu dotyczy wszystkich narodów. Nie ulega wątpliwości, że przede wszystkim każdy powinien znać literaturę i historię swego narodu. Równocześnie przy tym należy zaznajamiać się z literaturą i historią innych narodów, szczególnie najbliższych, oraz z literaturą i historią światową. Jak pomieścić te wymagania w ramach programów nauczania? W praktyce załatwia się to różnie. Przypominam sobie, kiedy chodziłem do szkoły średniej, programy polecały zajmować się również zgoła drugorzędnymi postaciami naszej czeskiej literatury. Ta praktyka „małe ale nasze” była ostro krytykowana: także z punktu widzenia narodowego jest bowiem słuszniejsze i pożyteczniejsze, kiedy uczniowie zajmują się i przyswajają to, co najlepsze w świecie, bez względu na narodowość. Nasuwają się problemy: co jest rzeczywiście najlepsze (niektóre narody, wykorzystując pozycję narodu panującego, wyolbrzymiały znaczenie kultury i historii własnego narodu, nie doceniając kultury i historii narodów innych, mniejszych, uciskanych), gdzie tu stanowić jakąś granicę, bo tak samo łatwo popaść w kompleks narodowej małości, ograniczoności, w narodowy nihilizm. Pomimo powyższych zastrzeżeń można oboustronnie ustalić rozsądny program nauczania.

Poza tym zaskoczyło mnie stanowisko tow. Polaka, który domaga się, by polskie szkolnictwo kierowane było bezpośrednio przez ministerstwo, co jest sprzeczne z ogólną tendencją rozwoju demokracji socjalistycznej, która oznacza systematyczne rozszerzanie kompetencji niższych organów i przesuwanie jej z organów centralnych na miejscowe. Uwagi Polaka rozumiem tak, że w danej strukturze organizacyjnej i w danych konkretnych warunkach uważa to za właściwsze i słuszniejsze (z podobną sytuacją spotkałem się w Polsce, gdzie tamtejsi Słowacy występują przeciw przeniesieniu załatwiania swych spraw do Krakowa czy Nowego Targu, obawiając się uprzedzeń miejscowych czynników). Jest to jeden z dalszych dowodów sprzeczności w podejściu do spraw mniejszościowych u nas — w wypadku takiego rozwiązania, jakie sugerowałem w poprzednim artykule, tow. Polak nie musiałby się domagać bezpośredniej ingerencji ministerstwa (która w wypadku zmiany referenta może się zdeaktualizować), ponieważ o polskim szkolnictwie decydowałby Polacy sami. Na ile na to zezwalają obecnie możliwości, już dziś należałoby stworzyć warunki, by o polskich szkołach (ich otwarciu, przenoszeniu, redukcji klas itd.) decydowano przy udziale Polaków i ich organizacji (ew. organizacji i organów, w których Polacy są reprezentowani). Należałoby tak czynić z taktem — każde nieprzemyślane załatwienie, szczególnie takie, które

krzywdzi mniejszość narodową, wywołuje oczywiście sprzeciw. Choć w końcu dochodzi do naprawy, pozostaje gorycz i brak zaufania, nie mówiąc już o tym, że naprawianie błędów kosztuje dużo energii, którą można pożyteczniej wykorzystać gdzie indziej.

Z szkolnictwem wiąże się ściśle kwestia językowa. Ponieważ nie posiadamy ustawy językowej, powstaje dużo niejasności i mylnych wyobrażeń. Marksizm-leninizm nie uznaje języka urzędowego (jakim bywa z reguły język najlicniejszego narodu w państwie), to znaczy przymusowego używania danego języka w urzędach i życiu publicznym, czyli ustawowo uprzywilejowanej pozycji jednego języka, co równa się urzędowej dyskryminacji innych języków (pewien konieczny wyjątek stanowi środowisko wojskowe). Znaczy to, że każdy obywatel ma prawo zwracać się do urzędów we własnym języku. Prawo to należy zagwarantować materialnie przez zabezpieczenie w urzędach i instytucjach możliwości załatwiania poszczególnych spraw w języku petenta. Praktyka naszego państwa kieruje się w zasadzie tymi założeniami. Ponieważ jednak nie istnieją szczegółowo opracowane normy, dochodzi do niekonsekwentnej aplikacji tych zasad i do ich wypaczania (szczególnie kiedy w umysłach pokutują jeszcze przesady z burżuazyjnej republiki, która ustanowiła język urzędowy i miała szczegółowo opracowane normy, w jakich wypadkach mniejszość posiada prawo językowe — np. od pewnego procentu mieszkańców danej narodowości w gminie — co było wynikiem tarć jeszcze z czasów austriackich). Stąd przesady, że język czeski jest „językiem urzędowym”, co jest niesłuszne.

Zupełnie odrębną sprawą, której nie można w żadnym wypadku mieszać z językiem urzędowym, jest dobrowolne używanie danego języka jako powszechnego środka porozumiewania się między ludźmi. Życie gospodarcze, polityczne, kulturalne, kontakty między ludźmi wymagają — zupełnie naturalnie — jakiegoś wspólnego języka, którym ludzie mogą się porozumiewać. Im szersze i żywsze są kontakty, tym potrzeba takiego języka jest bardziej konieczna. W stosunkach międzynarodowych pełnią tę funkcję tzw. języki światowe. Wewnątrz państw jest to z reguły język większości mieszkańców. Przedstawiciele małych narodów mogą odczuwać w tym swoistą dyskryminację (pozycja niektórych języków jest rzeczywiście efektem ich uprzedniego uprzywilejowania, np. szerokie używanie języka angielskiego w świecie i w byłych krajach kolonialnych jest wynikiem dawnych angielskich rządów kolonialnych), ciężko jednak mogą coś na rzeczy zmienić. Jeśli chcą osiągnąć coś w handlu, chcą, żeby wyniki ich nauk i kultury przeniknęły do świata, muszą używać takich środków komunikatywnych, jakie są dostępne dla tego świata, w przeciwnym wypadku skazują się na niepowodzenie, izolację i zacofanie.



Foto T. Kopoczek.

Język czeski i słowacki nie są więc językami urzędowymi. Ale jako języki większości są zupełnie naturalnym środkiem komunikowania się mieszkańców tego państwa. W Polsce pełni tę funkcję język polski, w ZSRR jest takim językiem oczywiście rosyjski (wyobraźmy sobie, jak by się bez niego porozumiewali budowniczowie wielkich obiektów, gdzie czasem zjeżdżają przedstawiciele aż 60 narodowości!).

Z tych samych potrzeb wynika konieczność oznaczania gmin, urzędów i instytucji publicznych w całym państwie w tym „ogólnym” języku — u nas czeskim i słowackim (np. wskutek zupełnej odrębności języka węgierskiego, niewęgierscy mieszkańcy republiki nie mogliby się w ogóle orientować w węgierskich rejonach Południowej Słowacji). Tego rodzaju unifikacja jest pożyteczna i potrzebna. Żeby jednak nie nabrała charakteru uprzywilejowania większości i dyskryminacji języków mniejszościowych, opracowano zasadę dwujęzyczności. Jest to zasada dobra i należy ją konsekwentnie dotrzymywać. Argumenty „ekonomiczne” (że jest kosztowna itd.) są głupie i małoostkowe. Po pierwsze — koszty jej wprowadzenia są minimalne. Po drugie — i to przede wszystkim — do kwestii narodowościowej nie należy podchodzić lichwiarsko. Aczkolwiek kwestia narodowościowa musi być podporządkowana wymogom ekonomicznym (jeśli oszczędza się wszędzie, nawet i w tym wypadku nie można sobie pozwolić na marnotrawstwo), tym niemniej jest ona przede wszystkim sprawą polityczną. Domniemany czy rzeczywisty zysk ekonomiczny osiągnąć przez niewłaściwe oszczędności w dziedzinie narodowościowej, nie wywaha ogromnych strat moralno-politycznych, które odbiją się w końcu i w dziedzinie gospodarczej. (Byłoby np. ciekawe stwierdzić, ile robo-

czogodzin zmarnowano wskutek gorących dyskusji o wieściach na temat likwidacji Sceny Polskiej w Cz. Cieszynie i jakie to przyniosło straty gospodarcze — nie mówiąc o stratach politycznych).

Mądrze załatwiają te sprawy w NRD. Napisy serbołużyckie istnieją tam i w tych gminach, gdzie jest tylko nieliczna mniejszość Serbów, a nawet i tam, gdzie się już do tej narodowości nikt nie przyznaje.

Dotrzymywanie zasady dwujęzyczności nie może być jednak kwestią dobrej woli. Gdyby u nas istniało coś na sposób ustawy o ochronie mniejszości, jak ją jeszcze przed rewolucją formułował Lenin, niedotrzymywanie dwujęzyczności byłoby po prostu karalne.

W końcu chciałbym jeszcze poruszyć poważny problem — sprawę asymilacji.

Marx² i n zdecydowanie sprzeciwia się asymilacji sztucznej. Uznaje asymilację dobrowolną powstającą naturalnie np. w wypadku mieszanych małżeństw, przy przesiedleniu na teren zamieszkałe przez inny naród itd.

W przeszłości, w związku z antagonyzmami narodowościowymi, zmiany narodowości wywoływały poważne konsekwencje. Oznaczały umacnianie pozycji jednego narodu kosztem drugiego, ugruntowywały uprzywilejowanie jednych na rzecz drugich, dochodziło do tego często pod bezpośrednim naciskiem, prowadzącym czasem do łamania charakterów itd. Lecz nawet w kapitalizmie nie można wszystkich zmian narodowości sprowadzić do tego typu. Obok asymilacji sztucznej, dochodziło i do asymilacji naturalnej. Jeśli nie istniały przywileje jednego narodu wobec drugiego, jak np. w Szwajcarii, nie było też podstaw do wykolejania charakterów, karierowiczostwa i koniunkturalizmu. Wzrost liczby jednej, a osłabienie drugiej na-

rodowości, nic nie zmieniało na ich równoprawnych stosunkach i nie było podstaw do gorączkowej obrony istniejącego stanu rzeczy.

Aczkolwiek nie czynimy sobie iluzji, że socjalizm usunął jakby czarodziejską różdżką mankamenty przeszłości, to jednak byłoby niesłuszne nie wiedzieć, że warunki w stosunku do przeszłości zasadniczo się zmieniły.

Dlaczego — oprócz zdecydowanych karierowiczów — obwiniać każdego, kto zmieni narodowość lub kto jest narodo-wo niezdecydowany o zdradę narodową? Lenin jak wiadomo żył w okresie pierwszej wojny światowej w Szwajcarii. Zawsze podkreślał, że nie ma tam wrogości i zazdrości w stosunkach między grupami narodowymi jak w Rosji lub w Austrii. Zwracał uwagę, że ludzie nie uświadamiają sobie zgoła swej narodowości, co uważał za ideał, do którego musi w końcu dojść społeczeństwo socjalistyczne. Demokratyczne prawo samostanowienia nie odnosi się tylko do narodów, grup narodowych, lecz i do jednostek. Zarówno niedemokratyczne jest zmuszać kogoś do zmiany narodowości, jak również niedemokratyczne jest mu w tym zabraniać, chociażby poprzez nacisk moralny. Byłoby iluzją wyobrażać sobie, że istniejące warunki będą trwały wiecznie. Stale szybszy rozwój ekonomiczny będzie stwarzać warunki do stale większych ruchów mas ludności. W efekcie będzie dochodziło do dużego przemieszania narodów i coraz szerszych i intensywniejszych procesów asymilacyjnych.

Nie zgadzam się z tow. Jasiczkiem, który wychodzi z założenia, że jest słuszna i dopuszczalna tylko asymilacja indywidualna i że asymilacja masowa świadczy o naruszaniu równouprawnienia. Tak nie było ani w przeszłości. (Np. masowa

asymilacja imigrantów rekrutujących się z różnych narodów, ich scalenie z narodem amerykańskim — co było dużym procesem postępowym, który spowodował m. in. potężny rozmach USA). Oczywiście dziś w naszych warunkach chodzi głównie o wypadki indywidualne. Dlaczego jednak miałyby się rozwój zatrzymać przy nich?

Nie zgadzam się z tow. Jasiczkiem ani w tym wypadku, że asymilacja jest słuszna tylko wtedy, kiedy przebiega żywiołowo, że asymilacja jako program byłaby zaprzeczeniem socjalizmu. Marksizm usiłuje na wszystkich płaszczyznach życia społecznego o przewycięzenie żywiołowości, o planowanie (nawet przyrost naturalny zaczyna się planować). Dlaczego nauka miałaby się zatrzymać przed tak ważną dziedziną życia społecznego? Np. w Polsce badają bardzo szczegółowo procesy asymilacyjne na ziemiach odzyskanych (dotyczące częściowo i asymilacji narodowej) — na pewno nie tylko dla samej nauki, lecz również ze względów praktycznych. U nas stoimy przed zakrojonym na wielką skalę projektem masowej asymilacji Cyganów, którą stawiają jako program. Dlaczego miałyby to być niezgodne z socjalizmem? Czy byłoby w intencjach socjalizmu pozostawić stutysięczną masę Cyganów, którą stawiamy jako program dofanii? Przeciwnie. Jest to program humanistyczny pomimo wszystkich niedociągnięć w jego realizacji.

Tow. Jasiczek miał jednak na myśli coś innego — ewentualne próby o „planową”, to znaczy gwałtowną asymilację naszych mniejszości, chociażby nawet „marksistowsko” uzasadnioną. Coś takiego byłoby nie tylko z gruntu niesłuszne, lecz i utopijne. W przyszłości musimy sobie zdawać sprawę, że wszyscy — Cześć, Polacy, Rosjanie, Anglicy, Niemcy itd. — „zasymilujemy się” — co jest w pewnym sensie również programem marksizmu (programem staje się tutaj poznana konieczność).

Nie zgadzam się po raz trzeci z tow. Jasiczkiem ani w tym, że asymilacja może być tylko obustronna, albo że jest słuszna tylko wtedy, kiedy jest obustronna. Znowu rozumiem o co mu chodzi — o konkretne próby (gwałtem) asymilować mniejszość (albo o próby sprytnie, „dyskretnie” przygotować warunki) dla jej asymilacji. W tym konkretnym zastrzeżeniu ma rację, ale ogólnie nie. Czy można np. oczekiwać, że łącznie z asymilacją drobnych narodowości Kaukazu na Rosjan, Gruzinów itd. musi przebiegać i proces odwrotny? Asymilacja zatracałaby sens. Są oczywiście wypadki obustronnej asymilacji w świecie i u nas. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę dłuższy okres czasu, to proces asymilacyjny jest zawsze jednokierunkowy — od narodów małych do wielkich, a od nich do jednolitej ludzkości.

Aby uniknąć posądzenia, że ogólnymi uwagami usprawiedliwiam korzyść własnego narodu i żeby podkreślić, że moje stanowisko do tych procesów jest obiektywne, wypowiem się konkretnie. Uwa-



Zwózka drzewa w Łonnej.

zam, że przy zachowaniu istniejących warunków państwowych i przy demokratycznej polityce narodowościowej w naturalny sposób będzie wzrastała tendencja do asymilacji dobrowolnej, przede wszystkim wewnątrz naszych mniejszości [porównaj np. procesy asymilacyjne wśród naszych Ukraińców w rejonie przemysłowym Koszyc itp.]. Nie można się dziwić, że podobne zjawiska przejawiają się i będą przejawiały wśród polskiej grupy narodowej (co nie wyklucza oczywiście możliwości procesów odwrotnych w indywidualnych wypadkach). Tak jak karygodne byłoby usiłowanie o gwałtowne lub sztuczne „przyśpieszenie” tych procesów, również niesłuszne, a w końcu i daremne byłoby usiłowanie, by temu przeszkodzić. W przyszłości można jednak — szczególnie na pogra-

niczu czesko-polskim — oczekiwać czegoś zupełnie innego. Polska ma dostatek sił roboczych, Czechosłowacji ich brakuje. Byłaby korzystna — dla Polski i dla nas — na tym odcinku wzajemna pomoc. To oczywiście oznaczać będzie zesilenie żywiołu polskiego u nas. Tendencja ta musi nawet nieuchronnie wzrosnąć, kiedy w końcu zanikną granice między naszymi krajami i dojdzie do wolnego ruchu mieszkańców. Równolegle z procesem zjednoczenia się narodów i państw, stopniowo w całym świecie, będą one rozwijały się na stale szerszym i wyższym poziomie.

Czyżby, będąc Czechem, miałbym się niepokoić o przyszłość? Bynajmniej. Przecież oba nasze narody, a kiedyś wszystkie, pójdą wspólną drogą postępu. Dotychczasowe różnice nacjonalne odczuwają ludzie jako przeszkodę w swym wszechstronnym rozwoju. Przewyciężenie tych przeszkód będą uważali za ogromne wyzwolenie od pewnej, kiedyś nieuniknionej, w końcu jednak zbędnej ograniczoności historycznej.

Kiedy wszystko będzie rozwijało się naturalnie, dobrowolnie i demokratycznie, nikt nie będzie się przejmował czy dana wioska albo miasto pozostanie czeskie, względnie stanie się polskie. Będzie chodziło o zupełnie nowe procesy, na które nie należy patrzeć przez pryzmat dzisiejszych wyobrażeń.

Wierzę, że po tym wyjaśnieniu nie będę podejrzewany o czeski nacjonalizm i że czytelnicy uwierzą mi, pomimo błędów, których się dopuszczam, że staram się omawiać problematykę narodowościową obiektywnie, bez uprzedzeń, z pozycji konsekwentnego internacjonalizmu, do którego należy przyszłość (pomimo że niektórzy na podstawie dzisiejszych, nie najlepszych jeszcze stosunków o tym powątpiewają).

Dr KAREL POMAIZL,
pracownik Instytutu Filozofii
Czsi. Akademii Nauk, Praga

OD REDAKCJI

Na tym kończymy druk artykułów o kwestii narodowościowej dr Karola Pomaizla. Nie znaczy to, byśmy i w przy-



Król w „nowych szatach” w wykonaniu teatryku lalek „Bajka” A. Maliszewskiego.
Foto E. Mrózek.

szości nie skorzystali czasem z okazji zapoznania naszych czytelników ze zdaniem praskiego filozofa o tak istotnych dla nas sprawach. Należy on bowiem do tych teoretyków kwestii narodowościowej, którzy starają się obiektywnie i szczerze naświetlać te zagadnienia. Sam autor zdaje sobie sprawę z tego, że zagadnienie to o wiele łatwiej rozpatruje się na płaszczyźnie teoretycznej niż praktycznej, i że założenia teoretyczne trzeba wciąż konfrontować z wymaganiami życia; stąd też wydaje się nam, że stanowisko red. Jasiczka — przy dokładnym jego odczytaniu — nie tak bardzo różni się od stanowiska dr Pomaizla.

Czytelnicy zgodzą się chyba z nami, że opublikowanie cyklu artykułów tak wybitnego teoretyka było wskazane i pożyteczne.

.Pastorałki beskidzkie

KAM IEN I T E

Wszynndzi biolo, coroz bieli,
Ze aż oczy bolóm,
Kamienite w tej pościeli
Leży z gołóm głowóm.

Szkola wlażła na kopieczek,
Piekno, bez uroku,
I rozmyślo, czy też dziecek
Bydzie dość po roku.

K O S Z A R Z Y S K A

Zawiejami otoczone
Całe Koszarziska.
Do Pasieczek jadóm kónie,
Na Dolinkach cisza.

Na Łabajce pón Jeżowicz
Bojki opowiada.
Teskno robi sie Zuczkwowi,
Szkole śniyg zapadól.

K O Z U B O W A

Kozubowa z gynsióm skóróm
Trzynsie sie od zimy,
Sosny se do siebie tulóm,
Jak chłop do pierziny.

Na pasiónkach mróz staruszek
Jeździ se na skijach —
Kościól už też mo kozuszek,
Wiater zaczón śpiywać.

Kozubowa z wyrchu widzi
Jablónków na dole
I spómino, jak kiedysi
Śpiywali gorole.

WILHELM PRZECZEK

ÓSMA BE

Wchodząc dziś do nielicznej klasy na lekcję, nieraz zastanawiam się, gdzie podzieli się ci wszyscy Wilczkowie, Kuśnierzowie, Janotowie, Wnękowie, Wnukowie i cała plejada Szczygłów, Wróblów, Wronków, Gilów oraz niezapomniani, złoci bracia Słowi-kowie...

Oni wszyscy — i wielu innych — uczęszczało do jednej klasy — olbrzyma. Było nas w tej klasie, razem z

dziewczętami, przeszło pięćdziesięciu. Wszyscy dobrzy kamraci, trzymający sztamę. A byli to czasy, kiedy niebezpiecznie było trzymać się kupy. Jakoś przepchaliśmy się do ostatniej, ósmej klasy „Volksschule” i przed każdym z nas rysowała się już dalsza droga, która mogła prowadzić jedynie do pracy fizycznej, w najlepszym wypadku do nauki rzemiosła. Niespodziewanie jednak ukończyliśmy obowiązek szkolny przed-

wczesnie, bo oto wystawiono nam „Arbeitsbuchy” z pieczętką: „Totaleinsatz” i powędrowaliśmy mimo woli i chęci w nieznany świat.

A było tak:

Nauczyciel, Parteigenosse Rajszy, „träger des Eisernen Kreuzes”, czytał długą listę uczniów, znacząc w dzienniku obecnych kropką, a nieobecnych kreską. Procedura sprawdzania obecności trwała — ku naszemu ogólnemu zadowoleniu — zwykle stosunkowo długo. Zaś Rajszy czytał łcie na modłę wermachtowskiego drylu, wyżywając się w wykoślawianiu nazwiska swych uczniów. Stigl i Scigel, Kusznirc, Kusnirsz były tylko łagodnymi zniekształceniami. Nieraz też uciechy mieliśmy co niemiara, bo Pieczonkę czytał: Pitszonka.

Z czasem to stałe przekręcanie nazwisk poczęło nas drażnić, bo usłyszec Gasior zamiast Gasior, wyprowadzi z równowagi nawet gęsie piskle, a Rajszy w swym frycowskim mózdzku wymyślał coraz to nowsze kombinacje.

Clągłe, nieustanne obrażanie, ośmieszanie i celowe poniżanie drażniło, irytowało, oburzało...

Pewnego dnia Edek Wiertelorz nie wtrzymywał. Kiedy Rajszy przeczytał: Firtlarsz (wiadomo nam było, co to znaczy). Edek zamiast odpowiedzieć: Hier! — wstał i powiedział:

— Ich heiße Wiertelorz.

Rajszy podskoczył jakby go w tyłek dżeneło. W pierwszym momencie nie potrafił tchu złapać. Co sobie ten smarkacz pozwala wobec niego — inwalidy frontowego, niemieckiego nauczyciela odznaczonego Krzyżem Żelaznym, zasłużonego członka NSDAP, oficera Wehrmachtu i SA — (to wszystko podkreślał niemalże codziennie) — on, Rajszy, nie takich chlęstków uspokajał i to jak!

Ohuracz chwcił się katedry i z przysiadu odszczekiwał krótkimi, ucietwmi wzwiskami. Gromił nas jak z karabinu maszynowego. Jego słownik był ubogi, ale za to pełen żółdackich przekleństw i sformułowań...

Foltera, siedzący bodajże w piątym rzędzie ławek pomrukiwał:

— Powoli, nie rozpędzaj się szkopie...

Rajszy widocznie dosłyszał. Wpadł między ławki jak sęp, bowiem mowa polska działała na niego jak czerwona chusta na byka na hiszpańskiej arenie. Bił, kopał i charczał, aż piana zbierała mu się w kącikach ust. Folterę wywłókł z ławki i maltretował go dalej. Nie można było na to patrzeć.

Kilka dziewczyn płakało, kryjąc twarze w dłoniach, a jeden z braci Słowików, siedzący w ławce tuż za Folterą, zwymlotował.

Brat spojrział z ukosa na brata i nie namyślając się, wstał z krzesła, ciężkiego i kanciastego, na jakich siadywano jeszcze w czterdziestych latach w wyższych klasach. Ujął to masywne krzesło, podniósł ponad głowę i rąbnął nim w Rajszy'ego. Ten przypadł swą ofiarę i razem z Folterą dyszał na podłodze między ławkami.

W ciszy, jaka zapanowała w klasie, było słychać ciężkie, przyspieszone oddechy przeszło pięćdziesięciu uczniów.

Klasa znajdowała się na parterze z oknami wychodzącymi do parku szkolnego. Nie pamiętam, kto pierwszy, ale zdaje się, że zaraz otwarto wszystkie okna i wszyscy razem powyskakiwali przez nie do parku. Bracia Słowikowie i kuzyni Szkorupowie zabrali też przez okno Folterę. Część chłopców udała się z nim nad Olzę. Tam obmyliśmy go z krwi i brudu. Widząc otwarte, duże rany na twarzy Foltery, zaproponowaliśmy pójść z nim do lekarza.

Szli Słowikowie, Szkorupowie, Sladczek, Wiertelorz i ja. Folterę nieśliśmy na rękach.

Jak zwykle z rana, w poczekalni u lekarza było dużo ludzi. Jakiś górnik wstał z krzesła i zapukał w drzwi ordynacji. Lekarz otworzył i widząc nas, wysoko

dziwiała się. Przecież nic wczoraj nie mówiłem ani o chorobie, ani o lekarzu. Po południu podniosła mi się temperatura. Kryjąc twarz do poduszki płakałem ze strachu i gryzłem wargi z nieznanego mi dotychczas, dziwnego łku. Matka, nieświadoma niczego, wezwała lekarza. Przyszedł. Uśmiechnął się do mnie mrużąc poufale jedno oko. Zbadał, dał jakieś proszki, głośno przede mną potwierdził, że wczorajsza diagnoza jest właściwa, surowo zabronił wstawać z łóżka i następnie z matką i dziadkami długo rozmawiał w sąsiednim pokoju.

Byłem rzeczywiście chory. W nocy mój jaczylem. Rano gorączka ustąpiła. Dziadek podszedł do mojego łóżka i figlarne chwytając mnie za nos, powiedział:

— Wy, gibasy! Ale nie martw się.

A potem niby od niechcenia dodał:

— Ten Rajszy to ma tylko coś złamanego, jakieś żebro i nadgarstek.



Ilustr. Br. Liberda.

uniósł siwe brwi, wpuszczając nas bez słowa do środka. Zakładał opatrunki Folterze i wypytywał nas o zajście. Powiedzieliśmy prawdę.

Lekarz długo myślał. Napisał jakąś kartkę i jeszcze raz pytał o szczegóły wydarzenia. Po ponownym wysłuchaniu nas spalił nad palnikiem spirytusowym wypisaną kartkę, dał Folterze iniekcję i wreszcie zaczął znów coś wypisywać. — Panie doktorze — odezwał się jeden ze Słowików — ten dziennik szkolny to... ja mam w teczce.

Lekarz swymi ciemnymi oczami uważnie spojrział na Słowika, rozdarł wypisaną kartkę i jakby z wielką ulgą powiedział tylko:

— Złoty Słowiczku!

Wypuszczał nas po dwóch tylnym wyjściu. Za radą lekarza położyłem się w domu natychmiast do łóżka. Mama

Za trzy dni przyszła do domu „Schutzpolizei”. Powypytywali się, obejrzelni mają kartkę chorobową, popisali to, co lekarz z matką i dziadkami uzgodnił i odeszli.

Za dwa tygodnie otrzymałem wezwanie na Arbeitsamt. Byliśmy tam wszyscy z naszej klasy, prócz dziewcząt, i wszyscy solidarnie otrzymaliśmy przydział do pracy z wielą mówiącą pieczętką: „Totaleinsatz”.

Po wojnie wróciłem do szkoły. Ale nie zeszliśmy się nigdzie, my z VIII B, której nie ukończyliśmy, bo uciekliśmy z niej przez okno.

I nieraz myślę i zastanawiam się, patrząc na puste ławki w mej klasie, gdzie są potomkowie tych dobrych kolegów, których nazwisk zniekształcać i przekręcać nikt już nie powinien.

JAN SZYMIK

Władysław Wójcik (1882—1940)

W społeczeństwie naszym, poczynając od drugiej połowy wieku XIX, wielu czołowych działaczy społecznych wywodziło się ze sfer nauczycielskich. Nauczyciele byli szermierzami oświaty i kultury, a często obok pracy w szkole byli działaczami narodowymi i dźwigali na swych barkach przeróżne funkcje społeczne, oni też zakładali różne towarzystwa nie tylko kulturalno-oświatowe, lecz także zawodowe i gospodarcze i kierowali pracą w nich. Do nauczycieli, którzy wysunęli się na czoło pracy społecznej w naszym społeczeństwie, należał w latach międzywojennych Władysław Wójcik.

Urodził się 25.6.1882 r. w Raczkowej w powiecie sanockim i tam też uczęszczał do szkoły ludowej. W latach 1898 do 1903 uczęszczał do seminarium nauczycielskiego w Krośnie. Ukończywszy je w r. 1903, rozpoczął pracę nauczycielską w Prądniku Czerwonym koło Krakowa, gdzie spędził rok szkolny 1903/4. Po roku pracy wstąpił jako ochotnik do wojska i ukończył szkołę wojskową w Trieście. Wracając z wojska w rodzinne strony, zwiedził Śląsk Cieszyński i zainteresował się tym krajem do tego stopnia, że postanowił tu pozostać i tu wznowić przerwana pracę nauczycielską. Należał więc do tych działaczy i społeczników, którzy w początkach bieżącego wieku czynnie włączyli się w życie polskie na Śląsku, pragnąc zagrożone kresy śląskie ratować dla Polski. Kronika łazińska podaje, że na decyzję Wójcika wpłynął ówczesny inspektor szkolny Armand Karell, który namówił go do podjęcia pracy w Orłowej.

Na stałe osiedlił się Wójcik w Orłowej z początkiem roku szkolnego 1905/6 i pracował tu aż do wybuchu pierwszej wojny światowej. Dał się od razu poznać jako ofiarny społecznik, pełen nowych inicjatyw. Jako nauczyciel polskiej szkoły ludowej w Orłowej zakłada w r. 1906 „Towarzystwo Pomocy Naukowej”, w którym czynny był przez wiele lat. Dzięki jego zabiegom powstało w Orłowej w 1907 r. Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, on wreszcie był inicjatorem założenia w Orłowej w r. 1908 pierwszej na Śląsku Cieszyńskim polskiej szkoły zawodowej, w której młodzież ucząca się różnych rzemiosł uzupełniała swoje wykształcenie zawodowe. Uzupełniającą szkołę przemysłową w Orłowej to pierwsza i niejako wzorcowa placówka tego typu, za którą poszły później inne. Szkoły te, a już w latach przed pierwszą wojną można mówić o całej ich sieci, dobrze zapisały się w wychowaniu i kształtowaniu naszego społeczeństwa.

Wójcik powołuje również do życia Towarzystwo Nauczycieli Szkół Zawodowych i zakłada Ogniska Młodzieży Rzemieślniczej, dając w nich przyszłym fachowcom potrzebne w życiu późniejszym

wyrobienie społeczne. Urządza nadto liczne kursy rzemieślnicze, kursy kształcenia nauczycieli przedmiotów zawodowych, bierze udział w wielu przejawach życia publicznego, jest m. in. czynny w pracach około założenia gimnazjum polskiego w Orłowej, kasy Raiffeisena w Orłowej itd. O pełnej pożytecznych inicjatyw działalności jego świadczy również fakt, że i piórem chciał służyć społeczeństwu. Nakładem orłowskiego „Sokoła” wydał w 1907 r. opowiadanie z dziejów Polski pt. „Krzysztof Strzemiński”, przedstawiając w nim przykład wielkiej miłości do rodziców. Za książeczką tą miały pójść następne, pomysł ten jednakże upadł.

Z chwilą wybuchu wojny w r. 1914 został Wójcik jako oficer rezerwy zmobilizowany i lata wojenne spędził w wojsku, awansując do stopnia kapitana. Po wojnie wrócił do szkoły orłowskiej, ale już w r. 1923 objął stanowisko dyrektora polskiej szkoły wydziałowej w Łazach. W r. 1928 mianowano go inspektorem szkół polskich w powiecie czesko-cieszyńskim. A równocześnie w latach tych rozwinął ożywioną działalność społeczną. Kiedy po rozgraniczeniu kraju w r. 1920 trzeba było u nas tworzyć od podstaw polskie życie organizacyjne, Wójcik już w r. 1920 powołuje do życia Polskie Towarzystwo Turystyczno-Sportowe „Beskid Śląski”. Pod jego kierownictwem ta pożyteczna instytucja szвидко się rozrasta i obejmuje 26 oddziałów miejscowych, które w wielu zakątkach kraju przyczyniają się do rozwoju sportu, a zwłaszcza turystyki i narciarstwa. Dzięki usilnej pracy Wójcika „Beskid Śląski”, z poparciem całej ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim, buduje wspaniałe schronisko górskie na Kozubowej kosztem około 800.000 koron przedwojennych.

Uroczyste otwarcie schroniska odbyło się 8.9.1929 r. i było wielką manifestacją ludności polskiej w Czechosłowacji, a zarazem wielkim osobistym sukcesem prezesa „Beskidu”. Dzięki umiejętnej propagandzie, przez popularyzowanie turystyki i narciarstwa, młodzież ze wszystkich zakątków naszego kraju ciągnęła do gór, znajdując tam odpoczynek i po krzepienie. Również okolice podgórskie zostały przez Wójcika pobudzone do rozwoju sportu. Powstają tam ruchliwe oddziały „Beskidu”, budujące boiska sportowe i skocznie narciarskie, a rozwija się też tam przemysł narciarski. Corocznie urządzano liczne imprezy sportowe, kursy i zawody narciarskie, a pracy tej przewodniczył nieustraszony prezes.

Inną, niezmiernie pożyteczną dziedziną jego pracy była opieka nad zdrowiem młodzieży szkolnej. Po pierwszej wojnie światowej obniżył się znacznie ten stan zdrowotny, do czego przyczyniła się niewątpliwie nędza i niedostatek lat wo-



jennych. Wójcik, który był nie tylko z powołania, ale i z zamiłowania wychowawcą i przyjacielem młodzieży, nie pozostał głuchy na wołające o pomoc głosy i założył wraz z innymi ofiarnymi działaczami Polską Krajową Rodzinę Opiekuńczą. Organizacja ta przez swe oddziały, których liczba doszła do 86, rozciągała tak bardzo pożądaną opiekę nad tysiącami dzieci polskich Śląska Cieszyńskiego.

W latach przed pierwszą wojną należał Wójcik do obozu narodowego, stroniącego raczej od polityki w ścisłym tego słowa znaczeniu. W latach powojennych włączył się w życie polityczne i był czynnym działaczem Polskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, pełniąc w niej poważne i odpowiedzialne funkcje. Był zastępcą przewodniczącego Komitetu Wykonawczego tej partii i przewodniczącym okręgu orłowskiego. Jako doświadczony pracownik położył duże zasługi około rozwoju polskich organizacji socjalistycznych. Od początków swej pracy na Śląsku Cieszyńskim popierał usiłowania Macierzy Szkolnej, a w latach międzywojennych wchodził nawet do jej Zarządu Głównego.

Jako jeden z czołowych działaczy Śląska Cieszyńskiego należał Wójcik do tych ludzi, przeciwko którym z całą zjadłością skierowała się nienawiść niemiecka w czasie okupacji. Aresztowany w dniu 12.4.1940 r., dostał się do obozu koncentracyjnego w Dachau, a następnie do obozu w Mauthausen-Gusen, gdzie zginął dnia 16.11.1940 r. Pozostawił po sobie wdowę, Annę z Janeczaków, pochodzącą z Poręby, oraz trzy córki i syna. Jedną z córek, Władysława, i syn Władysława obrali zawód lekarzy, dwie córki, Wanda i Anna, zawód nauczycielski.

Źródła: Robotnik Śląski 1932, nr 26; Głos ludu 1946, nr 126; Kalendarz Głosu Ludu na rok 1947, s. 108—109; Kronika Koła PZKO w Łazach.

LUDWIK BROŻEK

Samochodem przez najwyższe góry Europy

(Notatnik z podróży po Szwajcarii)

II. W drodze do stolicy najstarszej republiki europejskiej

Wczesnym rankiem obudziły mnie dzwonki pasącego się na pobliskich zboczach bydła; chociaż niezupełnie wypoczęty po tylu kilometrach drogi, postanawiam nie zwlekać i ruszyć do Berna, stolicy Szwajcarii, od której dzieli mnie jeszcze ponad 300 kilometrów. A więc z gruba biorąc 5 godzin drogi, nie licząc oczywiście postojów w Zurychu, a przede wszystkim w Rapperswilu.

Sympatyczny właściciel campingu doradza obrać trasę wygodniejszą wzdłuż jeziora zuryskiego przez Zurych, Olten i dalej autostradą do Berna. A ponieważ chciałem koniecznie odwiedzić Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswil, przyzwyczajam się nieco do ruchu na szosach szwajcarskich, decyzja była szybka.

Po paru kilometrach drogi opuściłem Liechtenstein. Pogoda bezchmurna. Pobliskie zaśnieżone szczyty Alp, lśniące w rannym słońcu, wyglądały przepięknie. Zatrzymuję się w pierwszym pogranicznym miasteczku szwajcarskim, Busschu. W oczy uderza ład, czystość, nastawienie do przyjęcia turystów, a Szwajcarii, wiadomo, jest w pierwszym rzędzie krainą turystyki. Miasta toną w polach kwiatowych i kolorowych chorągwiach, bogate okna wystawowe wabią gości... Atmosfera spokojnej zamożności pozwala domyśleć się wysokiej stopy życiowej.

Krótkie spojrzenie w historię: Obszar Szwajcarii w starożytności zamieszkiwany przez celtyckich Helwetów, przechodził kolejno pod panowanie Rzymian, Burgundów i Franków. Data historyczna Szwajcarii jest rok 1291, kiedy to trzy kantony Uri, Schwyz i Unterwalden, położone nad Jeziorem Czterech Kantonów, rozpoczęły walkę o niezależność. W ciągu dzieł związek ten kierowany przez prostych ludzi, potrafił nie tylko zachować swą samodzielność, ale z biegiem czasu włączyć do swego terytorium dalsze krainy. Konstytucja z roku 1848 Szwajcarii stała się państwem związkowym, złożonym z 25 krajów politycznych (o równych prawach), zwanych kantonami. Władza spoczywa w rękach 7-osobowego rządu, włącznie z prezydentem. Szwajcarii jest państwem czterech języków: niemieckiego, francuskiego, włoskiego oraz narzecza alpejskiego. Ze względu na charakter górski (22,5% nieużytków), obok gospodarki mlecznej i hodowli bydła, jest to kraj o decydującym znaczeniu przemysłu w jego życiu gospodarczym. Niemniej poważną rolę odgrywa ruch turystyczny. Pomimo istnienia poważnych przeszkód terenowych w postaci grzbietów Alp i wzniesień, kraj ten posiada doskonale rozbu-

dowaną sieć komunikacyjną. Wszystkie trasy są zelektryfikowane — maszyny parowe można obejrzeć tylko w muzeum.

Na szosach, podobnie jak w Austrii, duży ruch. Istna inwazja Niemców. Zapowiadająca się pogoda wrześniowa ściga ponownie do Alp Szwajcarskich tysiące turystów. Szosy, w stosunku do austriackich, lepsze. Kierowcy zachowują idealną dyscyplinę. Na szosach prawie że nie widać motocykli.

Trasa do Zurychu prowadzi początkowo od granicy Liechtensteinu głębokimi dolinami, tuż pod wysokimi szczytami alpejskimi. Od jeziora walleńskiego łagodniejsze wzniesienia przechodzą powoli w przedpole alpejskie, Wyżynę Szwajcarską.

Do Rapperswil, położonego tuż nad jeziorem zuryskim, trzeba zjechać z autostrady prowadzącej do Zurychu i po tamie wodnej przedostać się na drugi brzeg jeziora. Urocze ulice i stare domy mieszczańskie nadają miastu niezwykłą atmosferę.

Dzieje tego miasta sięgają początków XIII wieku, kiedy to młody hrabia Rudolf z Rapperswilu po powrocie z wyprawy krzyżowej kazał zbudować zamek, do dzisiaj wznoszący się nad miastem. I właśnie z historią tego zamku związane są losy Muzeum Narodowego Polskiego. Zamek w Rapperswil, który przechodził kolejno przez ręce Habsburgów, w XV wieku włączony został do Konfederacji szwajcarskiej. W drugiej połowie XIX wieku, gorący patriota polski, publicysta, uczestnik powstania 1830/31, redaktor czasopisma emigracyj-

nego, hr. Władysław Platera wydzierżawił od gminy grozący upadkiem gmach na 99 lat. Kazał go własnym kosztem odrestaurować i przebudować na siedzibę muzeum polskiego, uroczyste otwartego w 1870 roku. Muzeum Narodowe Polskie stało się w epoce Polski porobowej ośrodkiem i symbolem idei wolnościowej. Znajdowały się tu bogate zbiory historyczne, szczególnie powstańców, serce Kościuszki itd. Tak było aż do powstania niepodległej Polski. Opiekowali się tymi zbiorami m. in. T. T. Jeż, Żeromski i inni.

W okresie międzywojennym zbiory zostały przeniesione do Polski, ale niestety wszystko prawie padło pastwą płomieni w czasie najazdu hitlerowskiego w latach drugiej wojny. Po zlikwidowaniu Muzeum Platerowskiego powstało w opróżnionym zamku w r. 1936 „Muzeum Polski Współczesnej”. Po ostatniej wojnie przeszło ono w ręce rządu Polski Ludowej. Niebawem ale władze gminne wypowiedziały kontrakt. Dla podtrzymania starej tradycji powstało w Rapperswilu Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Polskiego, które urządza periodyczne wystawy w odstąpionych towarzystwu salach. Po drugiej wojnie towarzystwo zorganizowało kilka wystaw: „Zamki polskie”, „Historia Muzeum Platerowskiego”, „Przyjaźń polsko-szwajcarska w ciągu wieków”. Ostatnia wystawa, którą w czasie pobytu w Szwajcarii zobaczyłem, poświęcona została setnej rocznicy powstania styczniowego oraz 25-lecia powstania „Dywizji Strzelców Pieszych” i jego walk we Francji 1940 roku.



Jeden z cmentarzy samochodów w Szwajcarii. Foto autor.

Dziesiątki nazwisk [cudzoziemców] wpisanych do księgi gości świadczy o wielkim zainteresowaniu wystawą. Spośród notatek, zamieszczonych w księdze pamiątkowej, jedna szczególnie przykuła moją uwagę: „Łzy ciekną“ — oto wrażenie jakiegoś małżeństwa z Krakowa. Na jednej z wież zamkowych rzuca się w oczy płaskorzeźba orła polskiego, jako symbol dawnego ośrodka polonijnego w Rapperswil. Opuszczając mury zamku rapperswilskiego, wracałem myślami w przeszłość, do twórcy „Popiołów“, które autor w tym malowniczym zakątku, pełniąc daleko na obczyźnie obowiązki bibliotekarza, tworzył.

Z Rapperswil skróciłem na autostradę do Zurychu. Poza uniwersytetem, muzeum, niektórymi zabytkami z XI i XIII wieku, Zurych jest przede wszystkim miastem wielkiego przemysłu. Główna ulica miasta wypełniona ludźmi i pojazdami niby koryto rzeki przed wstąpieniem z brzegów. Dla automobilisty nie zaprawionego w bojach na jezdni — istnie piekło.

Berno, stolica Szwajcarii (od r. 1848), jedno z najstarszych miast szwajcarskich, zbudowane jest w zatoce rzeki Aary. Centrum zajmuje stare miasto. Liczne bramy miejskie z XIII wieku, średniowieczny ratusz i stare kamienice na tle śnieżnych Alp Berneńskich z Jungfrau, Elgerem — oto niezwykle malowniczy obraz tego miasta. Poza nim rozciągają się dzielnice nowoczesne. Dzięki dogodnemu położeniu, Berno (zał. 1191), rozwijało się bardzo szybko. Jest to dziś miasto przede wszystkim o funkcjach administracyjnych: siedziba parlamentu, rządu, licznych urzędów federalnych i kantonalnych, zagranicznych przedstawicieli dyplomatycznych, towarzystw naukowych itd. Jest ponad to ważnym węzłem kolejowym i drogowym.

Berno skupia równocześnie poza Genewą, Zurychem cały szereg prywatnych banków, okrytych niedostępną tajemnicą fantastycznych fortun lokowanych tu przez zagranicznych klientów. Dlaczego właśnie w Szwajcarii?

Historia potęgi banków szwajcarskich datuje się właściwie od czasu rewolucji francuskiej, kiedy to do Szwajcarii emigrowali paryscy bankierzy i otwierali tam banki. W bankach tych zaczęli później lokować kapitały wszyscy, którzy obawiali się następstw rewolucji. Z biegiem czasu, dzięki neutralności Szwajcarii, banki te stały się potęgą finansową świata. Służą nadal do lokowania wielkich kapitałów zagranicznych spekulantów. W wielu wypadkach pieniądze stają się faktyczną własnością bankierów, na przykład słynna sprawa złożonych przed wojną w bankach szwajcarskich kapitałów ofiar faszyzmu hitlerowskiego. Ścisła tajemnica bankowa zagwarantowana jest artykułem 47 szwajcarskiego kodeksu finansowego. Tylko niewiele osób ze ścisłego kierownictwa potrafi połączyć numer konta z nazwiskiem ich właściciela. Lista klientów przechowana jest w niedostępnym safecie. W wypadku ujawnienia tajem-



Wystawa z okazji stulecia Powstania Styczniowego w salach dawnego Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswil.

nicy, przewidywana jest kara dla bankiera lub urzędnika bankowego w wysokości 20 000 franków.

Nic dziwnego, że nie tylko przemysłowcy, ale nawet gwiazdy ekranu i cały świat nowobogackich, pragnąc uniknąć podatku we własnych krajach (w Szwajcarii są one o wiele niższe), korzysta z banków szwajcarskich. Dzieje się to w ten sposób: Obywatel X państwa Y zakupuje jakąś mniejszą posiadłość w Szwajcarii. Dzięki temu otrzymuje prawo stałego pobytu w Szwajcarii, a w związku z tym możliwość otwarcia byle jakiej, choćby fikcyjnej firmy handlowej pod własnym lub zmyślnym nazwiskiem. Z kolei jako właściciel firmy może sobie otworzyć konto bankowe. Szyfrem umówionym z bankierem może zatem dokonywać różnych wpłat i wypłat. Dzięki ścisłej tajemnicy bankowej, urząd skarbowy państwa Y nigdy nie dotrze do prawdy.

Berno, napuchłe od ruchu, kolorowych chorągwi, kwiatów, wymagało oczywiście kilku dni postoju. A więc jest kate-

dra, uniwersytet, ratusz z zegarem, prześliczny ogród tonący w najróżniejszych kolorach kwiatów, niedźwiadki berneńskie (herb miasta), spacer nad główną rzeką Szwajcarii — Aarą, wycieczka kolejką zębatą na pobliski Garten Kuln, skąd rozpościera się niezwykle widok na Berno i panoramę Alp Berneńskich z Mönch, Elgerem, Jungfrau, wieczorna atmosfera miasta itd. Jest poza tym duży gmach rządowy. Właśnie w tym czasie rozpoczęły się obrady parlamentu szwajcarskiego. Można spokojnie przysłuchiwać się obradom na galerijce przeznaczonej dla publiczności. Byłem, ale obrady toczyły się na dosyć odległym dla mnie temat. Jest siedem partii politycznych. Dziwna rzecz, a jednak prawdziwa; kobiety nie mają prawa głosowania. Do gmachu rządowego można wchodzić w grupie turystów. Przewodnik lubi snuć niejedną legendę. Zresztą, czego się nie robi dla ciekawych turystów?

[C. d. n.]

JAN KORZENNY

Cenny dokument

Zierie Zachodnie i Północne Polski, a zwłaszcza Śląsk Cieszyński, mimo swego przeszło sześciowiekowego oderwania od macierzystego pnia, zachowały w mniej czy więcej niedoskonałej formie język polski który dzisiaj brzmi jeszcze niejednokrotnie jak dzwon. Znachodzimy w nim bowiem dziesiątki archaizmów z okresu Złotego Wieku, a co ważniejsze — jest nadal żywy, bo posługuje się nim osiadły tu lud na co dzień, jak by to było za czasów Reja,

Kochanowskiego, Modrzewskiego, Dąbrowskiego czy Gdaczusa.

Czemu to należy przypisać? Przede wszystkim książce religijnej, która w dzielnicach oderwanych od Polski królewskiej była jedynym skarbem i mocą w utrzymywaniu i zachowaniu polszczyzny. Polska książka religijna (książek świeckich było jeszcze zbyt mało), była równocześnie najmocniejszym orężem walki w latach przeciwe reformacji i germanizacji. Spełniała przeto podwójny cel

— utrzymania polskości i walki z naporem germanizacji. Do dnia dzisiejszego, już jako zabytek muzealny, na poczesnych miejscach w bibliotekach śląskich czy mazurskich chłopów znachodzą się starodruki z XVI aż do XIX wieku.

Nie wiedzieliśmy nawet, jaki zasięg oddziaływania miało polskie słowo po obu stronach Odry i wzdłuż Bałtyku aż po Niemen, jaka była różnorodność i ilość wydawnictw oraz ich treść, gdyby nie iście benedyktyńska, sumienna i w pełni naukowa (ale dostępna dla przeciętnego czytelnika) praca dr Władysława Chojnackiego pt. „Bibliografia wydawnictw polsko-ewangelickich Ziemi Zachodnich i Północnych 1530—1939”. [Warszawa 1966, „Zwiastun”, s. XXIV + 280, w tym 16 s. ilustr.]

Praca ta zawiera następujące działy — Wstęp (autor omawia w nim dotychczasową rejestrację i bibliografię druków, zakres nowej pracy i sposób jej opisu), wykaz odszukanych pozycji (z podziałem na druki ulotne, zwarte, kalendarze i czasopisma), ważniejszą literaturę odnoszącą się do nich oraz indeks drukarzy, nakładców i wydawców. Książkę uzupełnia jednoarkuszowy dodatek fotokopii najrzadszych znalezisk. Ważną zaletą książki poza opisem bibliograficznym karty tytułowej z zachowaniem jej pierwotnego brzmienia ortograficznego są adnotacje, dotyczące sygnetów wydawcy, tytuły oryginału książki tłumaczonej, nazwisko tłumacza, informacje o wydawnictwach współczesnych (np. w klockach) oraz informacje o ciekawszych

przedmowach, dedykacjach czy recenzjach.

Jeśli pomyślimy, że książka zawiera szczegółowy opis bibliograficzny 2780 różnych pozycji, zebranych z przestrzeni 410 lat (od 1530 do 1939) i uprzytomnimy sobie ile książek zniszczyły bezpowrotnie różne wojny, pożary, klęski żywiołowe i ile ich zginęło śmiercią naturalną jako „zacytane”, tym wyrazistsze stanie się bogactwo polskiej literatury religijnej.

Sam autor poświęcił pełnych 30 lat życia, by dzieło w młodości zamierzone i rozpoczęte doprowadzić do końca. Gdzie zbierał materiały i jak? Zajrzyjmy do Wstępu. „Wędrując od wsi do wsi opisywałem na plebaniach i w mazurskich chałupach znalezione druki polskie. Po wojnie pracę tę kontynuowałem początkowo drogą kwerend bibliotecznych, a następnie poszukiwań terenowych w kraju i za granicą.” Lakonicznie ujęte to jest w jednym zdaniu. Ale zdanie to obejmuje zbyt wielki obszar w przestrzeni nieledwie pół Europy. Autor poza poszukiwaniami u osób prywatnych w Polsce przebywał następujące kraje — Anglię, Austrię, Czechosłowację, Danię, Francję, Niemcy, Szwecję i Związek Radziecki, a w nich 75 większych bibliotek naukowych i kościelnych. Pomnożyć to wszystko przez czas i własne koszty, wtedy zrozumie się wysiłek włożony w tę pracę, która stanie się niewątpliwie miłym kamieniem polskiej bibliografii, podstawowym źródłem prac naukowych i impulsem do dalszych badań w tym kierunku.

Wydana praca spełnia też ważną rolę narodowo-polityczną. Wbrew twierdzeniom zachodniemieckich naukowców, 2780 opisanych poloniców świadczy dobitnie o tym, że ziemie nadodrzańskie i nadbałtyckie były zamieszkałe w minionych stuleciach przez Polaków, stanowiących rdzenną ludność tych ziem, o czym zresztą świadczą poza książkami i polskie napisy sakralne, nazwiska nagrobkowe, nazwy osad, wsi, rzek itp.

—J. B.—



Władysław Przeczek; PDSP Orłowa II: „Przed Sukiennicami” — najlepsze zdjęcie z cyklu „Kraków”, który zdobył pierwsze miejsce w konkursie fotograficznym młodzieży szkolnej na temat „Moje wakacje”, organizowanym przez ZG PZKO.

Z „Hutnikiem” w Warszawie

Tak się ludziska przyzwyczaili do podróżowania, że dalekie nawet podróże i... zagraniczne wyjazdy nie robią na nich większego wrażenia. Nawet na tych, którzy niosą coś „do krewnych w prezencie”.

Nastroje w czasie podróży były więc długo wymienione. Dopóki między Częstochową a Piotrkowem nie zepsuły ich — zarówno obu kierowcom, jak i całemu zespołowi — nieoświetlone (w wielu wypadkach) chłopskie furmanki. Autobusy musiały się wlec krokiem, a przyjazd do oczekiwanej z niecierpliwością Warszawy opóźnił się o co najmniej dwie godziny. Niecierpliwiili się nie tylko chórzysci, ale i organizatorzy z prof. J. Bekanowskim, generalnym sekretarzem

Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych na czele, którzy czekali do późnych godzin nocnych w swej warszawskiej siedzibie na przyjazd „Hutnika”.

Spotkanie z Warszawą

Okazało się (pomimo modnego obecnie globtroterstwa), że tylko część członków zespołu była już w stolicy i zna jako tako to nowoczesne miasto. Pierwsze, nocne wrażenia szybko minęły. W biały dzień miasto okazało się równie piękne i interesujące. Czasu jednak mało, a tyle chciałoby się zwiedzić. Nęci Starówka, Łazienki, Stadion Ludowy, Pałac Kultury

i Nauki (zbudowany pono w stylu... małopolskim). Dyrygent zaś i organizatorzy zapowiadają wspólne i indywidualne próby zespołów oraz sobotni i niedzielny koncert.

Pierwsze kontakty braci śpiewaczej i sala kameralna Filharmonii Narodowej

W sobotę po południu obowiązkowa próba. Do dyspozycji chórzystów oddano prawie cały gmach F. N. Tu spotkała się brat śpiewacza prawie z całej Polski z członkami zespołów polonijnych. Te ostatnie reprezentowali górnicy polscy z Francji, członkowie związkowego chóru „Zgoda” z NRF i trzyniecki „Hutnik”. Próby odbywały się w pięknej i akustycznej sali kameralnej Filharmonii Narodowej, gdzie miał się również odbyć wieczorowy koncert.

JUBILEUSZ „PRZEŁĘCZY“

W niedzielę 27 listopada br. obchodził zespół śpiewaczy w Mostach k. Jabłonkowa jubileusz 10-lecia chóru „Przełęcz” i zarazem 35-lecie śpiewactwa w Mostach. Na imprezę przybyli założyciele zespołów A. Brzuska, J. Mazur oraz następni dyrygenci K. Heczko i K. Wronka. Zasięg w zorganizowaniu udanej imprezy mieli nauczyciele z dyrektorem G. Pyszkim na czele. Program wypełnili: oktet męski, tercet żeński, soliści, zespół taneczny, teatralny, akordeoniści i inni.

Ambitnemu zespołowi „Przełęcz”, dzięki ofiarności wszystkich członków, udało się wznowić działalność i przygotować bogaty program.

„WIECZORNICA TYSIĄCLECIA“ W BYSTRZYCY

W piątek 25 listopada br. odbyła się w Bystrzycy piękna i miła impreza nazwana „Wieczornicą Tysiąclecia Państwa Polskiego”. Wieczornica została zorganizowana wspólnie przez miejscową 9-letnią szkołę i Zarząd Koła PZKO. Jej program wypełniła młodzież szkolna, która pod kierownictwem swych wychowawców wystawiła szereg obrazków scenicznych, streszczającą bogatą historię tysiąclecia Polski.

Widowisko opracowane przez tow. G. Sajdoka, dyrektora polskiej szkoły w Karpętnej było zrobione bardzo pomysłowo i do łez wzruszyło licznie zabranych widzów. Barwny i bogaty program młodzieży szkolnej uzupełnił zespół muzyczny pod kierownictwem nauczyciela A. Strzybnego. Impreza połączona była z wystawą i sprzedażą książek.

„DZIEWIĘDZIESIĘCIOLATKA“

W Łąkach odbyły się uroczystości 90-lecia polskiej szkoły. W sobotę 19.11. br. odbyło się wspólne zebranie SRPS oraz Zarządu Koła PZKO — patrona. Pierwszy dzień uroczystości zakończono zabawą.

W niedzielę 20.11. br. odbyła się uroczysta akademii. Program wykonały wszystkie zespoły ChNP. Dumni byli ci, którzy już dawno opuścili progi szkoły, że przetrwała wszelkie burze, a ci, którzy do niej chodzą, muszą dbać, ażeby ją zachowali.

TRZY RAZY DARKÓW

A co z nami? Z takim zapytaniem spotykają się często działacze PZKO ze strony uczniów z klas 8 i 9 szkół podstawowych. Odpowiedź znalazł przewodniczący Koła PZKO z Darkowa W. Sembol. Z jego inicjatywy został założony w środę 23.11. br. „Klub Agatki”. Młode adeptki klubu rozpoczynają pracę jako uczestniczki całorocznego kursu gospodarstwa domowego. A dalsze plany? Ma być impreza, wystawa, ale o tym potem. Na razie życzyć trzeba sukcesów i wytrwania.

W czwartek 24.11. br. pomimo złej pogody zeszło się w darkowskim klubie przeszło 50 słuchaczy, by wysłuchać prelekcji Henryka Jasiczka. Nie pożałowali, bo prelekcja była, według oświadczenia

Co zwiedzać? Warszawę czy sklepy...

„Być albo nie być, oto jest pytanie.” Właśnie. Gdzie być, a gdzie nie być. Ponieważ nie można być wszędzie, gdzie „serce zapagnie”, wielu chórzystów, szczególnie pici żeńskiej, zrezygnowało ze zwiedzania Warszawy i oglądało okna wystawowe, czyniąc moralne przygotowania do poniedziałkowych zakupów. Poważniejszymi „souvenirami” nikt się na ogół nie interesował. Wraz z kolegą wpadłem na chwilę do Pałacu Kultury na wystawę owoców i kwiatów. Bardzo lubię dobre jabłka. W przeddzień zaś święta umarłych warto obejrzeć chryzantemy. Były wspaniałe. Różne MC Intosche, Beauty, Bojkeny, Złote Delicjasy (to, jak wiadomo, modne obecnie odmiany jabłek). Chryzantemy zaś olbrzymie, różnokolorowe, pierzaste, jak wielkie kiście strusich piór.

„Hutnik“ rozpoczyna niedzielny koncert

W sobotnim święcie pieśni wzięło udział 8 zespołów. Wśród nich wszystkie polonijne. Koncert rozpoczynał „Hutnik”. Ten sam zaszczyt spotkał trzynieckich śpiewaków również w niedzielę. W uroczystym koncercie z okazji 40-lecia Zjednoczenia śpiewało 16 chórów (po 2—4 pieśni), oprócz 3 występów połączonych zespołów mieszanych i męskich.

Garstka trzynieckich śpiewaków (chór żeński i mieszany) na tej wspaniałej rewi polskiego śpiewactwa nie sprawiła zawodu. „Mało ale dobre” powiedział po występie „Hutnika” Jerzy Walldorf. A to chyba coś znaczy.

Z orkiestrą pod pomniki

Wymarsz sprzed gmachu Filharmonii Narodowej. Udział wszystkich zespołów obowiązkowy. Spełnienie tego obowiązku ułatwiało uczucie dumy i patriotyzmu narodowego. Na czele dziarska, dęta or-

kiestra i władze Zjednoczenia z wieńcami. Przemarsz braci śpiewaczej ulicami Warszawy na Plac Teatralny (gdzie stoją oba pomniki) wzbudza żywe zainteresowanie mieszkańców stolicy. Głowy miłośników pieśni skłaniają się najpierw przed dumną i zwycięską Warszawską Nike, a potem u stóp twórcy polskiej opery narodowej. Piękna, uroczysta chwila pozostanie na długo w pamięci wszystkich śpiewaków.

Wszystko to, i późniejsze wydarzenia, uwiecznili fotografowie na taśmach filmowych. Zdjęć jednak, starym zwyczajem, do dnia dzisiejszego nikt nie widział.

Warto siedzieć koło Jerzego Walldorfa

Zupełnie przypadkowo siedziałem koło niego w czasie niedzielного koncertu. Znany krytyk dzielił się ze swym otoczeniem dosadnymi, lapidarnymi i nie pozbawionymi humoru uwagami. Kiedy jeden z chórów zapomniał o wspaniałej akustyce sali, a jego forte i fortissimo było zbyt potężne, Walldorf zareagował natychmiast: „Czego oni tak krzyczą, tu (tzn. w sali FN) przecież dobrze słychać.” Jeszcze przed przerwą zdradziłem więc swoje incognito i na pytania znanego i cenionego krytyka poinformowałem go o pracy śpiewactwa na naszym terenie. Otrzymałem miłą dedykację dla „Hutnika”, a w przerwie przedstawiłem mu kilka sympatycznych chórzystek i dyrygenta zespołu. W rozmowie z nami p. Jerzy zapowiedział, że napisze o koncercie w „Świecie”. Jak wiadomo, słowa dotrzymał.

Rozmowy urzędowe i wizyta w Pagarcie

Towarzysząc „Hutnikowi”, miałem wraz z inż. K. Wojnarem (członkiem Zarządu JOK-u) dosyć czasu na próby nawiązania kontaktów i przeprowadzenia wstępnych rozmów z przedstawicielami Pa-



Centrum Warszawy nocą. Foto CAF.

gartu (Polska Agencja Artystyczna) w Warszawie i kierownictwem zespołu „Mazowsze” w Karolinie. Projektów i nadejść jest sporo. Ponieważ pertraktacje, obecnie pisemne, toczą się dalej, do spraw tych powrócimy po pierwszych konkretnych wiadomościach i wynikach.

Poniedziałek pełen niespodzianek

Dla miłośnika muzyki i śpiewu byłoby chyba grzechem nie zwiedzić — w czasie pobytu w Warszawie — niedalekiego miejsca urodzenia Fryderyka Chopina — Żelazowej Woli. Włazanka kwiatów złożona w starym dworku była symbolicznym hołdem trzynieckich hutników dla geniusza polskiej muzyki.

Mazowiecki krajobraz towarzyszył zespołowi w drodze z Żelazowej Woli do siedziby Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze”. „Mazowszanie” oprowadzili „Hutników” po swej siedzibie, pokazując bogate zbiory pamiątek i prezentów z całego świata oraz piękne i bogate stroje zespołu. Według słów p. Jackowskiej w „Mazowszu” w razie potrzeby, „chór tańczy, a balet śpiewa”. I to jak tańczy! Gdyby taką zasadę można było zastosować i w naszych zespołach! Na pożegnanie trzynieccy goście zaśpiewali to, co umieją najlepiej. A wiadomo, że „Hutnik”, szczególnie chór żeński, coś jednak umie.

Cały zespół został na wieczór zaproszony do lokalu klubowego TS „Harfa”, jednego z najstarszych w Polsce chórów (który w sierpniu 1967 przyjeździe do Trzyńca). Na Powiślu było bardzo miło i serdecznie. Tak bywa tylko wśród ludzi dobrych, mających wspólne zaintereso-

wania. Powiedzenie, że „tylko zły człowiek nie śpiewa” znalazło tutaj pełne potwierdzenie.

Na pożegnalnej lampce wina

Po niedzielnym koncercie przedstawicieli Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną zaprosili wszystkie polonijne zespoły na spotkanie do jednego ze swych lokali. Kierownictwo „Hutnika” było tym faktem mile zaskoczone, Towarzystwo bowiem dotychczas raczej nie zapraszało zespołów z naszego terenu. Po oficjalnym, trochę sztywnym początku, języki rozwiązały się po lampce wina.

Pożegnanie z Warszawą — Szczerbiec

Wprost z Pałacu Defilad wyruszamy w drogę powrotną. Jacyś markotni i opieśniali wsiadają Hutnicy do autobusów. Odzywają się ciche prośby: jeszcze chociaż chwileczkę — jeszcze jedno zdjęcie — jeden serdeczny uścisk dłoni. Inaczej jakoś wygląda Warszawa bezpośrednio z ulicy. Autobus jedzie stanowczo za szybko, a okna nie pomieszczać wszystkich, żegnających wzrokiem coraz piękniejszą stolicę. Zatrzymujemy jeszcze chwilę na skraju miasta, bo w sklepie jubilerskim ktoś zobaczył symboliczny, polski Szczerbiec. Zespół postanowił zakupić go jako pamiątkę z Warszawy dla dyrektora huty trzynieckiej w dowód uznania za jego serdeczny stosunek do spraw społecznych i kulturalnych miasta Trzyńca.

JÓZEF WANTULA

Kalendarz Śląski 1967 r.

W recenzjach z poprzednich roczników „Kalendarza śląskiego” powtarzały się m.in. dwa stwierdzenia: kalendarz jest wydawnictwem popularnym, rozchwytywanym przez naszych czytelników, jest też swoistą antologią prac ludzi pióra tutejszego środowiska.

To samo przyjdzie powiedzieć o „Kalendarzu śląskim 1967”. Mimo zwiększonego nakładu (11.000 egz. w przeciwieństwie do 10.000 w latach ubiegłych), ta publikacja nie będzie długo zalegać półek księgarń. Rozejdzie się równie szybko jak w latach ubiegłych.

Jest też rocznik 1967 przeglądem aktualnego stanu piśmiennictwa polskiego w Czechosłowacji. Różni się jednak od zawartości ubiegłorocznych kalendarzy wyraźnym wzrostem publicystyki na niekorzyść literatury pięknej. Ta ostatnia prezentowana jest kilkoma wierszami: H. Jasiczka (szkoda, że tylko jeden wiersz), W. Przeczka, W. Sikory i G. Pyski oraz opowiadaniem m. in. W. Bergera, A. Dostala, G. Przeczka, A. Mań-

ki, A. Wawrosza i K. Zadroźnego. Są oczywiście też fraszki J. Gaudyna i humoreski Jędrusa Dudrały. Wydaje się, że zespół redakcyjny zastosował ostrzejsze kryteria oceny niż w latach ubiegłych, ale wyszło to publikacji tylko na dobre.

Zwyczajem poprzednich roczników redakcja kalendarza wprowadziła poza tym pozycje autorów z Polski i w ten sposób czytelnik otrzymuje do lektury wiersze J. Iwaszkiewicza, L. Staffa i J. Kontusza oraz opowiadania L. Proroka, goszczącego nie po raz pierwszy na łamach Kalendarza śląskiego.

Na marginesie uwag o pracach literackich trzeba tu zwrócić uwagę na krótką prozę A. Dostala. Znany był dotąd przede wszystkim jako poeta. Dzięki skrzętnemu gromadzeniu przez Wł. Sikorę spuścizny pisarskiej po Dostalu, dociera obecnie do czytelnika próbka jego usłowań na polu prozy. Drukowany tu epizod wskazuje, że i jako prozaik miał Dostał coś do powiedzenia. Jego opowiadanie nie jest jeszcze dostatecznie pogłębione, zakończenie jest nieco schema-

KA-KRONIKA-KRONIKA-KRONI

jednego starszego uczestnika, słoneczkiem i piosenką, a mogła trwać jeszcze dłużej.

★

Wiele godzin spędziły członkinie Koła PZKO w Dąrkowie na kursie gotowania, który prowadziła znana na naszym terenie instruktorka p. Emilia Koider. Cały tydzień pracowały, przygotowując wystawę. Odbędzie się 27. 11. br. w Klubie PZKO. Było na co popatrzeć, można było też estetycznie przygotowane i naprawdę świetne specjały zakupić i skosztować przy ładnie nakrytych stolikach.

NOWY KLUB W TRZYŃCU-KANADZIE

W sobotę 26. 11. br. powiększył rodzinę klubów PZKO szósty z kolei ośrodek pracy kulturalno-oświatowej.

W tym dniu bowiem odbyło się otwarcie pięknego klubu w Trzyńcu-Kanadzie. Były gratulacje i brawa dla otiarnych budowniczych, słowa uznania dla MRN w Trzyńcu i ZG PZKO, była bardzo miła i przyjemna atmosfera, dużo ciekawej dyskusji na temat przyszłej pracy klubu. Jeśli Zarząd Koła z takim samym zapałem, jak do adaptacji, zabierze się do organizowania pracy w klubie, o czym jesteśmy przekonani, to na pewno w najbliższej przyszłości będzie o nim głośno.

Koło ma obecnie do dyspozycji 3 lokale, dużo zapału i chęci, jak ze strony organizatorów, tak rzesz członkowskich (na otwarciu zabrakło krzeseł), a to chyba najważniejsze.

EFEKTY KIERMASZU KSIĄŻKOWEGO

Tradycyjny już kiermasz książkowy, organizowany w ramach Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy zanotował w tym roku dalszy wzrost ilości sprzedanych książek. Otóż na 72 wystawach w Kołach rozprowadzono w sumie 12.740 losów, tj. książek wartości 63 tysięcy Kęs. W porównaniu z rokiem ubiegłym jest to o 4.200 Kęs więcej. A że chodziło o loterię, nabywcy mieli jeszcze okazję wygrania dodatkowo jednej z pięciu głównych nagród oraz czterdziestu pięciu nagród książkowych. W tym roku szczęściarzami okazali się: Jan Fojcik z Łomnej Dolnej (gramofon stereo), Rozalia Suchankowa z Olbrachcic (aparat fotograficzny), Miłosz Chylek z Bogumina — stał się posiadaczem radia, Antoni Maślanka z Kojkowic — wygrał album „Polska 1944—65”, zaś druga nagroda (kamera filmowa) czeka jeszcze na właściciela kuponu nr 3296.

Dalszych 45 wylosowanych numerów opublikowanych zostało na łamach Głosu Ludu z dnia 27. 11. br.

Wszystkim, do których los się uśmiechnął, gratulujemy, zaś organizatorom kiermaszu książkowego w Kołach wyrażamy serdeczne podziękowania.

WYSTAWA KSIĄŻKI POLSKIEJ

Bogaty wybór (623 pozycji książkowych), utarg przeszło 28 tys. Kęs, piękna dekoracja oraz udział ponad dwu tysięcy osób, oto dane o „Wystawie książki polskiej i płyt gramofonowych”, która była zainstalowana w Czeskim Cieszynie w dniach 23.—30. 11. br. Innowacje wpro-

wadzone przez organizatorów (Ars Polona, Kniha, Zarząd Główny PZKO) spotały jej efekty. Chodziło mianowicie o umiejętne wkomponowanie programu artystycznego jako części składowej wystawy. Tak np. uczestnicy otwarcia wystawy (23.11.br.) mieli okazję wysłuchać utworów Chopina, wyjątku z Krzyżaków oraz recytacji. W drugim dniu kwartet smyczkowy Pawła Kalety swym wspaniałym programem połączył zamieszanie do książki z pięknym muzyką. Zaś w niedzielę 27.11.br. przeszło trzydziestka młodzieży szkolnej bawiła się wyśmienicie, słuchając bajeczek w wykonaniu aktorów Sceny Polskiej w osobach p. W. Spinki i J. Bobka.

OSIĄGNIĘCIA „SWITU“

Jednym z zespołów należących do czołówki naszego ruchu amatorskiego jest skrzeczowski zespół teatralny „Swit“.

Liczne dyplomy i nagrody uzyskane w KIM oraz konkursach teatralnych organizowanych przez ZG PZKO, są dowodem dobrego poziomu artystycznego. 24 premiery sztuk pełnospektaklowych, 15 jedno- i dwuaktówek, szereg skeczy, obrazków scenicznych, montaży, monologów, inscenizacji, dających w sumie 119 występów, świadczy o rzetelnej i sumiennej pracy poszczególnych członków tego zespołu.

Takie pozycje jak „Wyspa pokoju“, „Krakowiacy i górale“, „Tor przeszkód“, „Korzenie sięgają głębiej“, „Sprawa rodzinna“, „Pawilon pod sosnami“, „Ostry dyżur“, „Trzy życzenia“, „Paweł Krieczet“ i wiele innych, potwierdzają słuszną i ambitną linię polityki repertuarowej zespołu.

Systematyczna i odkrywczą pracę zespołu oceniona została przez ZG PZKO z okazji 15-lecia srebrną odznaką związkową.

Ostatnio został „Swit“ odznaczony przez Okręgową Radę Narodową — Wydział Kultury i Szkolnictwa, honorowym aktem uznania, wręczonym na uroczystym koncercie PSMU w Domu Kultury w Ostrawie w dniu 13.11.br. przedstawicielom zespołu.

Obecnie przygotowuje się zespół do jubileuszowego przeglądu teatralnych zespołów PZKO, w którym weźmie udział ze sztuką M. J. Łęczyckiej pt. „Dramat Joli“.

57 PREMIER „BAJKI“

W bieżącym roku — do 30.11. — odegrał zespół „Bajka“ 268 przedstawień, które oglądało 16.777 widzów, w tym 15.609 dzieci i 1.168 dorosłych. Wystawiono następując sztuki: M. Karwatowa „Choinka Agatki“, T. Kwaśniewski „Dziewczyna z zapałkami“, H. Januszewska „Tygrys Pietrek“ oraz dla dzieci starszych A. Maliszewskiego „Nowe szaty króla“. Nawiąsem należy zaznaczyć, że od początku istnienia teatru lalek zespół „Bajka“ wystawił w całości 57 premier, a liczba występów na dzień 30.11.br. wynosi 4.250.

Na premierę przewidzianą w pierwszych dniach stycznia 1967 r. przygotowuje „Bajka“ sztukę M. Kownackiej „Orzeszek“.

tyczne, dobrze jednak, że dzięki Wł. Sikorze wiemy nieco więcej o przedwczesnie zmarłym A. Dostalu i chyba byłoby słuszne, aby pomyśleć o ogłoszeniu w formie książkowej — przy całej rezerwie, jaką trzeba mieć dla młodzieńczych prób literackich — tego, co ten młody literat po sobie zostawił. Podobną zresztą propozycję wysunął niedawno „Czerweny květ“.

Teksty literackie odgrywają bez wątpienia w wydawnictwach kalendarzowych ważną rolę. Czytelnik sięga jednak po kalendarz także ze względu na zawarte w nim bogactwo wiedzy o swoim regionie. Pod tym względem H. Jasieczek, redagujący od lat kalendarz, uczynił wiele, aby zestaw tematów w najnowszym roczniku był ciekawy i wzbogacający. Są tu więc materiały mówiące o przeszłości i teraźniejszości Ziemi Cieszyńskiej (np. artykuły E. Paska, J. Mazurka,

K. Piegzy, L. Brożka, Br. Bielana, W. Iwanka), są zawsze żywo przyjmowane materiały o zwyczajach, podaniach i legendach (np. artykuły J. Ondrusza, R. Danela, E. Rajskej), są wreszcie artykuły aktualne, np. E. Suchanka i J. Rusnoka.

Bogactwo treściowe, różnorodność gatunków publicystycznych i literackich, pozyskanie dla wydawnictwa wielu ciekawych autorów, to bez wątpienia walory najnowszego kalendarza. Pomnaża je jednak jeszcze układ graficzny. Sięgnęto po naprawdę dobrą fotografię i to nie tylko prasową, ale i artystyczną. Spośród kilku autorów ciekawych zdjęć wyróżniają się tutaj H. Minol, M. Stibor, B. Bielan i K. Piegza. Przyjemne są też ilustracje do kalendarium. Jedyne okładka wydaje się trochę za ciemna, za ponura, chociaż zdobiący ją rysunek jest wcale udany. (MR)

TEATR: SZTUKA

Uśmiechnięte wspomnienie

Julian Tuwim wg Franciszka Schönhana PORWANIE SABINEK, farsa w trzech aktach. Reżyseria: Witold Rybiński. Scenografia: Władysław Cejnar. Współpraca muzyczna: Václav Hlavíčka. Premiera: 25 listopada 1966.

Jakie to dziwne i perswersyjne smaczki nęciły Tuwima do wyciągania ze stosu zakurzonych ramot i sztucznej poniekąd myszką trącących fars i wodewilów! Czy były to pikantne sprzeczności fin de siècle'u? Pruderyjna maniera nakazująca szczerze ukrywać ciało, spódnicami pętać nogi w kostkach, zasłaniać szyję wysokimi kołnierzykami, a ręce obcisłymi mankietami, w kabarecie zaś kankan rozchylający szerokie spódnice i odsłaniający kokardy podwiązek i czerń jedwabnych pończoch? Czy była to też może chęć stworzenia nowego, wartościowego repertuaru rozrywkowego dla scen polskich, w okresie kiedy teatry poddawały się całkowicie zalewowi obcych fars i komedii muzycznych?

Jedno jest pewne, że Tuwim wyłaniał i pitrasł, przyprowadzał i przydawał łezki i uśmiešku na dzisiejszy smak wielu XIX-wiecznym krotocwilom, przedłużając w ten sposób ich żywot na scenie polskiej o lat kilkadziesiąt. Do najsłynniejszych jego opracowań należy: „Żołnierz królowej Madagaskaru“, „Jadzia wdowa“ i „Porwanie Sabinek“. Opracowania te tak dalece przewyższają dawne wersje, że należy je uznać za całkowicie oryginalne, tuwimowskie utwory teatralne. Dziewiętnastowieczne farsy i wodewile ubierał Tuwim w nową, efektowną, nacechowaną artystem i staro-

świeckim wdziękiem szatę literacką, dawał lub rozszerzał stronę muzyczną, stylizował całość w duchu epoki i środowiska, tworząc w ten sposób oparty na dawnych sztukach i motywach, reprezentujący wysokie walory literackie i teatralne polski wodewil.

W „Żołnierzu królowej Madagaskaru“, „Jadzi wdowie“ i „Porwaniu Sabinek“ odnajdujemy Tuwima znanego nam z „Jarmarku rymów“ i tomu „Pegaz dęba“ — Tuwima satyryka i humorystę, zbieracza komicznych osobliwości, miłośnika starych zapomnianych szpargałów. Prze-



„Jak to wieczór miło bywa, miło by-y-wa“
czyli Święto pojednania rodziny.

róbki te nie były marginesem jego pracy pisarskiej. Wyrosły z potrzeby wypowiedzenia się jego wszechstronnego i bogatego talentu.

Te wyjaśnienia i przypomnienia wywodzą się stąd, że nie wszyscy chcą przyznać Tuwimowi zasług poniesionych na tym polu. Nie potrafią w pełni ocenić uroków i osobliwości tuwimowskiego języka, błyskotliwych powiedzonek, ciętego dowcipu, lekkości dialogu i stylizacji nieuchwytnego czarunku prześmiesznej epoki, która przeminęła z kankanem.

„Porwanie Sabinek” odrodziło się z wyczarowania z fin de siècle'u eks-traktu epoki, a z Schönthana kwintesencji schönthanizmu. Familiiny album ze zblakniętymi fotografiami. Kurz, patyna, pożółkłe fotografie, a na nich wszystkich 9 upozowanych „dramatis personae” — śmiesznych, bo śmiesznych, a przecież sympatycznych. Potraktowano ich ciepło, z dobroliwym uśmiechem, z przymrużeniem oka. Tacy to już oni byli. Przy akompaniamencie staroświeckiego bumcykania odgrzebani z kurzu i patyny, schodzą na scenę. Pożółkłe kotary, staroświeckie meble, wyblakłe kostiumy podkreślają jeszcze bardziej oddalenie i bezpowrotność tamtych lat. Postacie rysowane lekko, ledwo draśnięte, granie subtelne. Nikt ich nie wulgaryzuje, ani też nie bierze całkiem serio. Nic z obnażania stosunków społecznych Zapolskiej, ani też nic z cyrkowego wyglądu. Atmosfera tego przedstawienia rodzi się z delikatnych i skocznych melodijek, uśmiechniętego wspomnienia ubiegłego stulecia. I to jest chyba największe osiągnięcie reżysera i zespołu aktorskiego. Z wyczuciem stylu epoki, środowiska, tuwimowskiej przypawki, z zachowaniem umiaru rysowanie postaci nie tak łatwo się uporać. To, że wydarzenia i dialog nie toczą się już potem w wartkim i żywym farsowym rytmie, że gubi się czasem pointa dialogów, jest jeszcze na pewno do odrobienia. Będą z pewnością zarzuty typu: „że to przedstawienie akademickie”, „że nie ma spodziewanego ubawu i zrywania boków”, „gdzie ta muzyka i orkiestra”. Wydało mi się jednak, że to najważniejsze zostało tu zrobione. Jest konstrukcja, rama, atmosfera przedstawienia i miejsce na to, żeby zmieścić w nim w dalszej kolejności rytm, wypunktowane dialogi, lekkość i płynność. Z całą pewnością nie ma jednak miejsca w tak pojętym przedstawieniu na orkiestrę, tak zwane partie wokalne i zarykiwanie się.

Bo ta farsa — to zmyślona, wesoła zabawa, skrzęca i perląca się dowcipem, czarująca nieprawdziwą prawdą, której towarzyszy płynąca gdzieś spoza czasu frywolna muzyczka.

A galeria dziewięciu postaci? — Poczciwy, skromny i cichutki Profesor — Bobek, ulegający pod wpływem teatru zadziwiający metamorfozom; demoniczny i tandentny dyrektor teatru Strzyga-Strzycki—Starski; wyniosła matrona, herod i tyran nieczym lwica broniąca ogniska domowego pani Profesorowa — Łys-

kówna; skrzyżowanie namiętności kulinarnych z namiętnością do łaciny w osobie służącej Weroniki — Gogółkowej; słodka, przytulna, podejrzliwa i zazdrosna Madzia — Kocurówna; wzorowy, młody małżonek, mężczyzna na stanowisku Karol — Stedlaczek i jego szkolny kolega, ni to artysta, ni student Emil — Liberda; uśmiechnięty, zadowolony, w sprawach handlu podróżujący, alkoholem nie gardzący Gromski — Kornecki i wreszcie najśladzszy, najmiłszy, najniewinniej wyglądający, uświadomiony przez



„...a z góry na to księżyc!” Demoniczny i tandentny dyrektor teatru Strzyga-Strzycki—Starski

grzech pocałunku podlotek imieniem Anusia — Branna.

Wszystko to blade i prawdę mówiąc głupie. Ale jaki pyszny żart, jaka płynność dialogu, fantastyczny rysunek postaci wraz z komicznym i bezsensowym finałem, który uwiecznia zjeżdżający z góry — księżyc.

„Śpiew, muzyka i taniec, połączone rytmem pulsującym i żywym, mogą stworzyć w teatrze zjawisko cudownie porywające — pisał w roku 1924 Julian Tuwim. — Nęcza idiotycznego szablonu, mdłej tkiwości, taniego wyuzdania i posępnych dowcipów, chamstwo „przepychu”, głęboka, czarna nuda odwiecznych sytuacji, banały smutnych „efektów”, cały ten stęchły tort, napchany melodramatycznymi czy figlarnymi słodkościami, obłany przestodzoną śmietaną, jakimś kremem z malinowym sokiem czyli „muzyczką”, ta ohyda, obliżywana lubieżnie przez kretynów z parterów i bawichamków z galerii, słowem cała ta instytucja sceniczna, zwana operetką, powinna być nareszcie tak gruntownie w odpowiednie miejsce kopnięta, aby się w niej coś przewróciło”.

Za tego kopniaka serdeczne „bóg zapłać” Panie Julianie.

JAN WAJDA

KA-KRONIKA-KRONIKA-KRONI

LEC PIEŚNI W DAL...

Powyższym hasłem zainaugurowało Koło PZKO w Oldrzychowicach dwudziestoletni jubileusz istnienia. Z tej okazji zawiątał do tej podgórskiej wioski Chór Nauczycieli Polskich z całowieczorowym koncertem. ChNP pod kierownictwem prof. E. Guziura odśpiewał szereg pięknych utworów o charakterze ludowym i artystycznym jak „Alarm”, „Pieśń o ziemi ojców”, „Z nad Olzy”, „Kołysankę” i inne. Program koncertu wzbogaciły udane występy zespołu żeńskiego „Melodia” z Suchej Górnej oraz kwartetu męskiego Piechaczka z Trzyńca. Do poszczególnych pieśni akompaniowała świetna pianistka p. Marta Bury, zaś dr J. Macura umiejętnie wprowadzał słuchaczy w nastrój pieśni.

Z podziwem i szacunkiem patrzyliśmy na twarze wykonawców, którzy przy swym pełnym zmaganiu zawodzie znajdują jeszcze tyle czasu, aby krzawić pieśń rodzimą i rozbudzać jej umiłowanie w sercach naszego ludu.

KONKURS SIENKIEWICZOWSKI W SUCHEJ GÓRNEJ

W związku z przypadającą 120 rocznicą urodzin i 50 rocznicą śmierci Henryka Sienkiewicza, Koło PZKO i SRPS w Suchej Górnej urządziły dla młodzieży polskiej szkoły eliminacje międzyklasowe na temat: Co wiesz o H. Sienkiewiczu i jego dziełach. Dzięki wzorowej współpracy polonisty O. Matuszka z bibliotekarzem PZKO H. Trzaskalikiem doszło do pomysłowo urządzonej imprezy, która cieszyła się dużą popularnością i zainteresowaniem młodzieży. Jest to niewątpliwie wynik kontaktu szkoły z biblioteką.

Do szlachetnej rywalizacji na ostatnim etapie przystąpiło 8 drużyn po trzech zawodników. Okazało się, że młodzież pragnie się wypowiedzieć i wyżyć, pochłubić się wiadomościami. Eliminacje były przeprowadzone w żywym tempie, interesująco, nie nużyły lecz bawiły i kształciły. Pytania opracowano z myślą o dzieciach, młodzieży, widzach. Wypada stwierdzić, że zawody reprezentowały szeroki wachlarz twórczości Sienkiewicza i wykazały wysoki poziom uczestniczących drużyn.

Czas zastanowić się, czy tego rodzaju eliminacji o twórczości innych powieściopisarzy nie urządzić co roku i w każdej szkole. Przyczyniłoby się to do rozwoju czytelnictwa.

PISARZE W HUCIE

Z inicjatywy „Trzyńckiego hutnika” odwiedziła Hutę WSRP w Trzyńcu grupa pisarzy ostrawskiego oddziału ZLCz

Literatów, pracujących zawodowo w radio, telewizji i czasopiśmie literackich podejmowała dyrekcja huty. O najbliższych perspektywach rozwoju huty i zmianach w jej strukturze technicznej i produkcyjnej informował gości wicedyrektor Pavlik.

Po zwiedzeniu najciekawszych obiektów huty, w salce hotelu „Slovan” wywiązała się żywa dyskusja, w której niejednokrotnie przypomniano, że wielkie piece i wysokie kominy nie powinny przysłaniać człowieka, jego skomplikowanych spraw życiowych, które powinny znaleźć wyraz również w twórczości literackiej.

PRZEGLĄDY I KONKURSY JUBILEUSZOWE

W roku jubileuszowym ogłasza Zarząd Główny PZKO przegląd zespołów teatralnych oraz konkurs recytacji. Celem przeglądu jest zmobilizowanie wszystkich zespołów teatralnych, nawet tych, które w ostatnich latach nie pracowały aktywnie. Oceniać się będzie systematyczną pracę zespołów i podsumuje ich dorobek za okres 20 lat. Za udział w przeglądzie jubileuszowym otrzymają wszystkie zespoły pamiątkowe odznaki 20-lecia PZKO.

Na podstawie wyników przeglądu zostanie zorganizowany festiwal teatralny w IV kwartale 1967 roku dla najlepszych zespołów.

Aktywizacja dotyczy również szkolnych zespołów teatralnych.

Również konkurs recytacji 1967 będzie jedną z imprez jubileuszowych.

WYNIKI KONKURSU KRONIK

13 grudnia br. odbyło się w ZG PZKO w Cz. Cieszynie zebranie kronikarzy Kół PZKO, na którym dokonano podsumowania konkursu o najlepszą kronikę Koła oraz podano jego wyniki. Pierwsze miejsce zdobyła kronika Koła PZKO Sucha Górna — kronikarz Henryk Trzaskalik. Drugie miejsce kronika Koła Stonawa, kronikarz Jan Pribula, trzecie miejsce kronika Koła Orłowa-Łazy — kronikarz Józef Pasz. Czwarte miejsce zdobyła kronika Koła Jabłonków — kronikarz Karol Piegza; piąte miejsce kronika Koła Karwina-Solca — kronikarze Jan Böhm i Marian Ramik, szóste miejsce kronika Koła Orłowa I — kronikarz Rudolf Fierla

★

Z okazji 20-lecia PZKO Zarząd Główny w Czeskim Cieszynie ogłasza

KONKURS FOTOGRAFICZNY

Warunki konkursu:

1. W konkursie może wziąć udział każdy członek PZKO.
2. Oceniane będą zdjęcia artystyczne i reportażowe, zwłaszcza z życia PZKO, czarnobiałe i kolorowe, pojedyncze oraz cykle. Format minimum zdjęć czarnobiałych wynosi 18×24 cm, u zdjęć kolorowych 13×18 cm. Zdjęcia powinny być wykonane na papierze o wysokim połysku.
3. Konkurs jest anonimowy. Zdjęcia muszą być opatrzone nazwą oraz godłem. Do złożonych prac należy dołączyć kopertę oznaczoną godłem, zawierającą nazwisko i adres autora.
4. Prace publikowane lub wyróżnione w innych konkursach nie będą oceniane.
5. Oceny prac konkursowych dokona komisja powołana przez ZG PZKO.
6. Nagrody:

I nagroda	—	Kęs 1.000.—
II nagroda	—	Kęs 800.—
III nagroda	—	Kęs 700.—
IV nagroda	—	Kęs 600.—
V nagroda	—	Kęs 400.—
5 wyróżnień	à	Kęs 300.—
7. ZG PZKO zastrzega sobie prawo innego podziału nagród w zależności od propozycji powołanej komisji.
8. Termin składania prac do konkursu upływa z dniem 31. 5. 1967. Prace należy składać w sekretariacie ZG PZKO w Cz. Cieszynie, ul. Lenina 28.



Samolotem, autobusem, samochodem, na wielbłądzie, konno, na mule, na ośle, piechotą...
PO ZIEMI ŚWIĘTEJ,
Już w numerze styczniowym rozpoczynamy druk reportażu Henryka Jasieczka z wycieczki do Damaszku, Jerozolimy, Betlehem, i innych miejsc biblijnych.

GODKI I POGWARKI ♦ GODKI I POGWARKI ♦ GODKI I POGWARKI

U starzików

Grudniowo noc różnęła na niebieskim posłonku miliony świątodek. Mróz szczypał w uszy, malował nosy na czerwiono. Włater — tyn smyk z północy — cicho postępowo w chmurem, furtoł śniegim i sypał zomięty. Po chałupach gasły lampy, ludzie młarkowali się do legowiska.

Stary Grzędziel wyciągnął z kapsy miyszek z pacharzyni, naciś tabake do fajfki, peknył dwa razy i zdmuchnył lampe. Stod na ławie i zadziwoł się małym oktynkym do pola. Z poza smreków wyszkrabował się chudy miesięczek i bladym światelkym oświycił kraj.

Grzędzielowi nie chciało się jeszcze iść pod pierzine. Pod blachom byłkoł se ogniczek, oblizował bukowóm hyrcz i rozlywoł po izbie ciepło. Dymek z fajfki rozchodził się pod powatym, na kierym kiejśi tesorz wystrugoł rok 1840.

W izbie było cichutko, jyny za ścianą Cisula łochliła się na jaślach, rymplowała łańcuchym. Při budzie zaskumioł pies, nie wieda czy to we spaniu, abo ze zimy.

Starzik puszczoł se dymek i rozmyśloł. — Przidzie, nie przidzie. Wilija na karaku, a tyn szkweł ani różnka nie napisoł. O tako ta młodzieź dzisiejszo — westchnął z teschnicą. — Pokiyl chodził w zrosłokach, dobrze było w gróniu u starzika, kiedy go huśtoł w dzichcie, strugoł kónie i gymbóm nie ruszył, aby z Jureczkym się nie podzielił. Kiedy synek wyrostoł, chycił się sztudyrowanio,

zawońiało mu miasto, frelki w krótkich kabaniach z pazurami nakoltanymi. E, to już nie był jego wnuczek, ale jakisi cudzy człowiek.

— Jako to beje przeżyć ty świtynta — zastaroł się starzik. Na ścianie pyndlówki pizły dziesionóm. — Marne, teraz już nie przidzie — westchnył sóm do siebie.

W kónce izby zaszkwityrcało łózko. Suchy kaszel zaplszczoł w starych plucah. — Nó, tateczku, zgoś to plugawe fajeczysko, dyć widziś jak mie to dusi. Podej mi z blachy zielinki, bo raziunko nimogym tchu dopaść. Och, już cie tu nie bedym długo tropić. Prowie się mi śniło, że Jurek przijechoł do nas na biolym kóniu. W ręce dzierzoł wiyniec z napisym „Od wnuczka“. Och, jowej kany, jowej, tak mi ciężko. Każdy rok przyjeżdzoł na świtynta i było nóm tu wroz dobrze. Při młodej zapómniło na nas starych. Zapómniło, bożatko.

Poikła pore tyków gorskich zielin. — Umyj se nogi, tateczku, porzykej i wlyż do łózka. Marne to twoji czakani.

Grzędziel splekskirzónóm dłónóm utrził se oczy. Naroz na polu zaharwośł ples. Pod oknami zadudniły czyjśi krokli.

— Starziku, puszczejcie, rodzina się wali. — Trzęsącóm rękóm różón lampe. Do izby wgramolili się Jurek ze swojóm Wandeczkóm obleczóni po skijarsku. W rękach mieli pełno paczuszków. Nó, co starzikowie, prziszlimy do was na wilije. Nie wyżyniecie nas? Kapke my się spóźnili, bo auto nie chciało nóm pruć przez ty zomięty. W izbie zazwońił śmijch.

Starka, kiero myślała o śmierci, wyszczyrzyła radośnie bezzymbnóm gymbe.
— Dzieci moje, pójcie, niech was uściskóm. Tóż i latoś bedymy mieć piękne święta.

— Ale najprzód zgodnijcie, starco, co my wóm przyniyszli — powiedział wlesto-

to Jurek i pokozoł na węzelek w rękach Wandy.

— Na isto sztrucelke, abo ryby — zaśmiał się starka.

Węzelek poruszył się i dziecięcy płacz wypełnił izbę.

ADAM WAWROSZ

POWSINOGA - TEATRZYK SATYRY, HUMORU I FRASZEK - POWSINOGA

O sytuacji w literaturze śląskiej

Studium Witka Wąsika

T. BERGER

Plastyczny literat
Były „Gwoździe“... potem
Zadowolili się „Zwrotem“.

B. BIELAN

Od Riwiery do obiektywu
Kiedy będzie etap PIW-u?

J. GAUDYN

Chciał wyśpiewać
Kobietę w fraszkach
I się zaplątał
W fatalaskach.

H. JASICZEK

Z parnasu świeci
Dla dzieci.

W. KRUMNIKŁOWA

Nie starzeje się więcej,
Od kiedy drukuje w „Jutrzence“.

J. KRZYWOŃ

Kiedy społeczeństwo
Wyzdrowiało,
Pisze nic
Albo mało.

W. MLYNEK

Ze stu katarynek
Lepszy jeden Mlynek.

K. PIEGZA

Pisze, pstryka i maluje,
W górach się najlepiej czuje.

PLEĆ SŁABA

Nie ma babek w SLA,
Ale Mańka — trwa!

B. PROCNER

Tak go pochłonięła Łomna.
Że o pisaniu zapomniał.

G. PRZECZEK

O losie ciężki —
Dokąd prowadzą
„Drogi i ścieżki“?

W. PRZECZEK

Ambicje czy wzrost?
Zanim się zdecyduje,
Będziemy mieć dość.

G. SAJDOK

Oj, starzeje się Gustawek
Z innymi na czele,

Bo te Zosie, Gosie, To się
Wyduje za wiele!

W. SIKORA

Placzmę Sikory!
Zajęty już tytuł:
Zmory.

A. WAWROSZ

Dusza
Geniusza!
Poza tym
Się wzrusza
I nie rusza.

DWA NURTY

(Podsumowanie)

I.

Ach, życie nasze,
Arko optymizmu,
Zetrzej na miazgę
Kwiatki wszelkich izmów!

II.

Oj, życie, życie,
Pesymizm się szerzy!
Trudno cię pojąć,
Jeszcze trudniej przeżyć!

KOŃCOWE WESTCHNIENIE
WĄSIKA

Och, gdyby w środku
Było więcej ŚRODKÓW...!

KA. KRONIKA. KRONIKA. KRONI

„SKALMIERZANKI“ NA SCENIE W ŁAZACH

Bardzo przyjemny wieczór spędzili PZKO-wcy Łazów w sobotę 26.11. br. Zespoły Koła PZKO Lutynia Górna wystawiły miły dla każdego wodewil J. M. Kamińskiego pt. „Skalmierzanki“. Wyśmienita gra aktorów, przyjemne śpiewy i muzyka, humor oraz dekoracje dały w sumie przedstawienie dobrego teatru amatorskiego. Małe uchybienia w rytmach muzycznych (chór i orkiestra) należy przypisać trudnościom, z jakimi się trzeba liczyć w wystawianiu tego rodzaju sztuki muzycznej, jeśli brak dyrygenta. Widzowie porównując spektakl zespołu górnolutyńskiego z innymi przedstawieniami na tej samej scenie, przyznali „Skalmierzankom“ wiele pozytywnych ocen. Reżyser Alojzy Kudziełka i jego żona Edyta jako kierowniczka orkiestry, dali przykład, że dobrym przygotowaniem zespołu w amatorstwie można osiągnąć wyniki przypisywane wyłącznie teatrowi zawodowemu.

To piękne przedstawienie mogło chyba obejrzeć jeszcze więcej obywateli Łazów, gminy, w której tradycje amatorskiego ruchu teatralnego sięgają już blisko 60 lat.

JUBILEUSZ „KRONIKI BESKIDZKIEJ“

Poczytny (27.500 nakładu) i ciekawie redagowany tygodnik powiatowy w Bielsku-Białej „Kronika Beskidzka“ obchodzi w tych dniach (pierwszy numer ukazał się w listopadzie 1956 r.) dziesięciolecie swego istnienia.

Pismo to utrzymuje serdeczne kontakty z naszymi redakcjami „Zwrotu“ i „Głosu Ludu“, umieszczając regularne informacje o życiu naszego społeczeństwa.

Z okazji jubileuszu życzymy sympatycznemu zespołowi „Kroniki“ kierowanemu przez naszego rodaka zaolziańskiego Władysława Czaję (znanego naszym czytelnikom też pod kryptonimem „włacz“) dużo powodzenia do dalszych dziesięcioleci w ich owocnej działalności.



Oj dana, oj dana, niosą „Zwyrkulana“. (Z pobytu „Gorola“ na Podhalu.)

W ramach koledy

Wiatr szalał od trzech dni. Szybko uporawszy się z resztą liści w buczniku na Dziurawym, pognął dalej i jął się mocować ze stojącym pod lasem starym koszołem. Uderzał go z tej, to z onej strony, koszoł jednak zaparł się krzepko i dwie doby bronił się dzielnie, parę tylko desek ze swego i tak już zdziśiatkowanego uzębienia postradałszy.

„Bedzie kurzyć,” zamruczał zbudzony wśród nocy tym hałasem gazda, „kiedy wiatry ustanie.”

Ustał dopiero trzeci dzień pod wieczór i nagle zapanowała cisza tak przeraźliwa, że niemal słyszeć było pierwsze opadające na ziemię śniegowe płatki.

Zbudzona późnym rankiem Kozubowa mocno się dziwowała, stwierdziwszy, że noc zamieniła na srebrno-bielusiejkę jej wczorajszą brudno-szarą hackę.

Redaktorze kochany!

Otóż i znowu dożyliśmy się miesiąca dwunastego, z podziwu wyjść nie mogąc, jak ten czas leci, jako że niedawno jeszcze myliliśmy się, pisząc 65 zamiast 66. Musiał ktoś szpetnie poprzekreść nasz stary pocztowy kalendarz, albo też jakiś inny w użyciu Mahomedan czy podobnych nieznabogów będący nam

podsunąć, bo na honor to niemożliwe! Nie tak dawno jeszcze „sorkając” redakcyjną kawę dzieliliśmy się wrażeniami z wakacji, a tu aniś się człeku nie obejrzał, a znów „czas radości wesołości nastał światu temu”. Cieszę się zatem niezmiernie, chociaż dopiero co wybuliłem pół tysiącza za węgiel, chociaż zdarto ze mnie skórę za prąd i TV. Piszcze z zachwyty, płacąc za czyszczenie zimowych ciuchów, za furę abonowanych przez okrągły roczek czasopism, nie wspominając o takich drobnostkach jak wyrównanie należności za dach nad głową, przy której to czynności miła skąd inąd urzędniczka pocieszyła mnie słowami, że dotychczas nie mam jeszcze o co narzekać.

— Któż tu narzeka? — pytam. (Przyznając w duszy — przepraszam w myśli — że czasem to lubimy sobie tak swojsko pobladzić, ale to chyba nie to?) Do kogo ta mowa?

Może po świętach ten i ów pociągnie się za nos, ale co to znaczy wobec faktu, że pań domu ma nareszcie swoje wymarzone futro, dojrzewająca latorośl (jedna) jugosłowiańskie kozaczki za trzy stowy, plus torebka, plus kapelusik, a najmłodsza poclecha rodu (druga) eks-

portowe zjazdówki „laminated-construction” za niecałych dziewięć kawałów.

Pan domu tymczasem zadowala się bolącą wątroba, dokumentując tym samym, iż nie tylko z okazji otwartej granicy dbamy o realizowanie planu monopolu państwowego Ludowej Ojczyzny.

Suma sumarum wszyscy zadowoleni, a jak wiadomo, leczący zdziaczałych od nadmiaru cywilizacji obywateli globu psychiatrzy, to właśnie uczucie za najlepsze przeciwko wszelkim nerwicom, antigestum uważają.

Nie zapomnijcież przeto, Ty Redaktorze i Wy Czytelnicy kochani w ową zacierowaną noc na przełomie roku (najlepiej wykorzystać moment, kiedy gospodyni stawia przewróconą przy pierwszym toaście choinkę, a gospodarz mocuje się z otwarciem ćwiartki czystej ojczystej) „zmiksować” sobie w głowie staropolskie „byleśmy tylko zdrowi byli” z góralskim „Na Istebnym też było trz dńi ni jako, a potom zaś jakiś było” i wykombinowawszy odpowiednie życzenie (gospodarzowi tymczasem udało się nalać) z tymże na ustach (życzeniem) dziarsko wziąć się za łyby z datą, na której końcu widnieje siódemka, liczba jakby nie była szczęśliwa.

Na to „chluśnięm, bo uśnięm!”

Wesołogol

BRONISŁAW PROCNER

CHOINKI BRONISŁAWA LIBERDY



„ZWROT”, miesięcznik. — Wydawca: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Czechosłowacji, Zarząd Główny, Český Těšín, ul. Lenina, nr 28, tel. 6693. — Redaguje zespół. — Redaktor naczelny Jan Rusnok. — Český Těšín, 15 grudnia 1966. — Cena egzemplarza 1,50 Kčs. — Redakcja i administracja Český Těšín, ul. Lenina 28, tel. 6864. — Prenumerata kwartalnie 3 Kčs, półrocznie 6 Kčs, rocznie 12 Kčs. — Tłoczono w drukarni TISK, n. p., Brno, provoz 3, Český Těšín, ul. Revoluční 1, tel. 6032. — Pozwolenie na używanie znaczków pocztowych wydała Okresní správa spojů Karviná, 20. 8. 1963, zn. 1268/63. — T-03*62183